PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY TRZECI. — TOM LXXXIX.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1906.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1906

Z LISTOPADOWYCH ROZMYŚLAN I DOŚWIADCZEN.[1]

I.

Minęły już dwa akty dramatu, który przeżywa nasze społeczeństwo w Królestwie. Pierwszy akt skończył się manifestem z 30 października, drugi — rozszerzeniem stanu wojennego i znanymi komunikatami rządu.

A przyszło to wszystko tak szybko, jak błyskawica!

Jak przyszło?

Przedewszystkiem dla ogromnej większości — niespodziewanie.

I w tem tkwi charakterystyczna cecha, niebezpieczeństwo, tragiczność sytuacyi obecnej.

Jeżeli sytuacyę tę u nas porównać z warunkami, w jakie się ułożyło życie polityczne w Rosyi, trudno zaprzeczyć tym ostatnim wyższości nad naszemi. W politycznej organizacyi i działalności społeczeństwa rosyjskiego więcej jest niewątpliwie uświadomienia, ładu i celowości. Wszystko tam idzie kupą. Stronnictw mniej lub więcej sformowanych jest z dziesiątek, ale właściwie łączą się one w trzy grupy: zachowawczo-nacyonalistyczną, konstytucyjno-demokratyczną-ziemców i socyalistyczno-rewolucyjną. Dwie grupy ostatnie przygotowują przewrót państwowy w Rosyi od szeregu lat z wytrwałą energią: ziemcy drogą agitacyi legalnej lub półlegalnej w celu przeprowadzenia szeroko, nieraz po doktrynersku zakreślonych reform konstytucyjnych, — rewolucyoniści za pomocą spisków i bomb, a jak obecnie za pomocą kole-

[1] Refleksye, wychodzące poza moment społeczny, wypowiada autor we własnem imieniu. *Redakcya.*

jowych i ogólnych strajków, chcą wywołać przewrót radykalny, doszczętny. Każdy z obozów ma widomą głowę: Związek związków i Zjazd ziemskich działaczy, to dziś prawdziwe rządy w rządzie, z którymi liczą się wszyscy więcej może, niż z rządem rzeczywistym, z którymi też pozostaje w ciągłem porozumieniu i ten ostatni.

Jak organizacya podporządkowana pierwszemu jest silną, widzieliśmy w bezrobociu kolejowem i powszechnem, które stało się bezpośrednią przyczyną manifestu konstytucyjnego. Ale i partya konstytucyjna chwilowo złączona z socyalistami, ma silną organizacyę i na jej rozkaz stają szerokie uświadomione i energiczne zastępy. Tu i tam — siła!

U nas jest trochę inaczej. Organizacya stronnictw rewolucyjnych jest, co prawda, doskonała, a rozporządza ona nawet liczniejszym personalem i szerszymi wpływami, niż w Rosyi, dzięki większej ilości fabryk, a bardziej jeszcze dzięki żydostwu, należącemu w całości do organizacyi socyalistycznych. Osłabia jedynie obóz przewrotu rozdzielenie jego na cztery odrębne organizacye, z których *Bund* wraz ze służącemi mu żargonowemi pismami przedstawia się najpokaźniej, *Proletaryat* z nim rywalizuje zamachami i bombami, *Socyaldemokracya* stanowi właściwie polski jego przekład a jedynie P. P. S. trzyma się cokolwiek na uboczu i dostępną bywa chwilami nawoływaniom narodowym i hasłom dobra powszechnego. Mimo jednak wspólności ideowej między wszystkimi a zwłaszcza pierwszymi trzema prądami rewolucyjnymi w Królestwie, nie brak między nimi starć osobistych i kontradykcyi co do chwilowych metod i działań i ogromny wpływ, jaki wszystkie razem wywierają na społeczeństwo, wynika nietyle z ich wewnętrznej siły, ile raczej z bierności, nieuświadomienia, chaosu, w jakim się znajduje ogół tutejszego społeczeństwa.

Istotnie całą siłą naszego przewrotu jest własna nasza słabość.

Przez szereg lat ostatnich przewrót organizował się nieustannie. Jądrem tej akcyi byli żydzi. W każdem miasteczku *Bund* wytworzył organizacyę, wciągając do niej młodsze żywioły i teroryzując starszych. Ludność żydowska została uzbrojona Browningami a instruktorowie z zagranicy przez letnie miesiące wy-

prowadzali ją za rogatki ucząc musztry i strzelania. Wysokie kontrybucye ściągane przymusowo pod grozą bomby i noża od kapitalistów, dostarczały środków. Na ten sam sposób zorganizowały się inne odłamy socyalizmu.

Są one dość silne, by obecnie wysokimi, po kilka tysięcy od jednostki wynoszącymi podatkami okładać inteligencyę i sfery zamożniejsze w miastach a nawet i wsiach, albo jak w Sosnowcu i innych miejscach ogłaszać publicznie wybory na społecznych urzędników i sędziów ludu, żądać i otrzymywać od policmajstrów zrzeczenie się władzy w ich ręce, odmawiać zezwolenia na druk konstytucyjnego manifestu póki w opanowanych przez nich drukarniach nie zostanie odbita proklamacya krytykująca manifest i orzekająca zniesienie autokracyi. Przy tem wszystkiem jednak i przy całem szerokiem i w głąb wszystkich warstw społecznych sięgającem rozgałęzieniu organizacyi socyalistycznych nie należy wyobrażać sobie, że poza masą żydowską mają one zbyt wielki zastęp uczestników.

Obok znacznej ilości płatnych agitatorów i mowców, wyjaśniających ludowi jego krzywdy i prawa po rublu, dwa lub trzy za przemówienie (arystokratyczna gradacya płac istnieje niestety w całej pełni wśród tych demokratów) — i obok mniejszej ilości ludzi idei czy praktycznego interesu, związanych z partyami bezinteresownie, przynajmniej na razie, ogół zwolenników idzie za przywódcami potrosze owczym pędem, bardziej zaś jeszcze pod przymusem. Powodzenie, teroryzm, nadewszystko zaś brak oparcia o inną jakąś organizacyę i siłę, to bodaj ogólny motyw atrakcyi wywieranej przez obozy rewolucyjne. Wśród inteligencyi histeryczkę pociąga krańcowość idei, ale i pewność poklasku u idących ślepo za komendą tłumów, — karyerowicza nadzieja wyśrubowania się w górę przy poparciu solidarności stronnictwa,— kapitaliści zabezpieczają sobie we własnem mniemaniu spokojne używanie majątku, a filistrzy idą za banalnym frazesem, rzuconym z ulicy. A wszystko dlatego, że wedle ogólnego zdania, partyom rewolucyjnym udało się.

»Lud wywalczył wolność: burżuje niech za nią płacą!«

»Przyszłość — nasza. Kto teraz z nami, tego oszczędzimy, reszta — na latarnię!«

»My mamy organizacyę, siłę — a wy co?«

I burżuje słuchają i — idą, gdzie im każą.

Istotnie im i tym wszystkim, co stoją poza organizacyami socyalistycznemi brak organizacyi i siły.

Zrozumiejmy się: nie siły wogóle, ale siły uświadomionej i zużytkowanej.

II.

Poza socyalistami są w Królestwie dwa poważne środowiska społeczne i polityczne: dawni ugodowcy i narodowa demokracya.

Właściwie stronnictw jest cztery, wyznaję jednak, że nie mogę brać na seryo ani Postępowej Demokracyi ani Centrum vel Spójni.

Postępowa Demokracya, to po części przeżytek a po części parawan. Z niedobitków zbankrutowanego pozytywistycznego obozu, z różnych afiliowanych do lóż zagranicznych i miejscowych inteligentników, wreszcie z dużego zastępu wykształconych i à la Dreyfus asymilowanych żydów, z jakiegokolwiek powodu nienależących do socyalizmu, wytworzono ten sztuczny konglomerat polityczny, którego program stoi w najzabawniejszej sprzeczności z istotnemi przekonaniami wszystkich prawie uczestników. Jakżeż bowiem nie śmiać się, kiedy się słyszy ludzi takich, jak Świętochowski lub Sieroszewski, ludzi zwalczających przez całe życie nacyonalizm i przesąd wyodrębnienia od Rosyi, ludzi, stojących na gruncie ogólno-ludzkim, żeby nie powiedzieć kosmopolitycznym, kiedy ich się słyszy, jak zarzucają narodowcom... zbytnią wobec Rosyi ugodowość, potulność, skłonność do kompromisów! W jednem na prawdę ludzie ci są szczerzy i między sobą zgodni — w negacyi chrystyanizmu, w nienawiści do wszystkiego, co katolickie. Żydostwo podszyte masoneryą wyłazi w tem jaskrawo.

Ale to jedno też jest u nich jasnem i to właśnie mają wspólnego z socyalistami. Poza tem cały ich program tak jest ogólnikowy i chwiejny, tak jednostajnie przytem w swych oscylacyach zwraca się w lewo ku socyalizmowi, że trudno całej

P. P. D. nie uważać wprost za ekspozyturę socyalizmu utworzoną wśród burżujów dla specyalnego użytku tych ostatnich, ale oczywiście na korzyść zjednoczonego i kierującego nią socyalizmu.

Obok wspólnej nienawiści dla katolicyzmu, łączy P. P. D. z socyalizmem takaż nienawiść dla *Nar. Demokracyi.* Nie było zresztą dotąd wypadku, by odcień ten szedł inną, samodzielną drogą. Niema też racyi oddzielać go od Czerwonego Sztandaru, do którego należy mniej otwarcie ale na równi z P. P. S., S. D., *Bundem* i *Proletaryatem.*

Centrum wczorajsze a dzisiejsza *Spójnia,* to właściwie pozawczorajsi ugodowcy a jutrzejsi... może narodowi demokraci a może znów ugodowcy, wedle wiatru i humoru.

Byli ugodowcami, póki to popłacało: gdy kierunek ten stracił grunt pod nogami, zmienili barwę i wywrócili jednego politycznego koziołka, rzucając się do stóp Nar. Dem. i prosząc u niej o absolucyę i... cząstkę cugli furmańskich. Absolucyi im udzielono, ale cugli nie dano, więc uciekinierzy znów wywrócili koziołka i zrobili zwrot na prawo, zwłaszcza, że była taka chwila, w której zdawało się, że *Słowo* i *Kuryer Polski* będą znów na wierzchu. Ale ugodowcy nie wypłynęli, więc nowe stronnictwo wykonało jeszcze jeden koziołek nowy, zwrot na lewo i zorganizowało się pod hasłem... Nar. Demokracyi. Zrobiono wiec, na wiecu zrobiono *Spójnię* i *Spójnia* stała się taką samą ekspozyturą N. D. jak P. P. D. jest ekspozyturą P. P. S. z tą jednak małą różnicą, że między socyalistami a postępowcami jest ścisły związek i wzajemna sympatya, a związek i sympatya *Spójni* do N. D. są jednostronne, bo *Spójnia* kocha N. D. bardzo gorąco ale N. D. wcale nie kocha Spójni i nie bardzo chce o niej słyszeć.

Podczas też gdy *Gaz. Handlowa* p. Kempnera i *Nowiny* jego szwagra p. Okręta były zawsze łagodnem odbiciem socyalistycznego *Kuryera Codziennego* — organa Spójni, *Gazeta Polska* pod nerwowem i więcej o aktualność, niż o wytrawność dbającem kierownictwem p. Gadomskiego, i bardzo zresztą poważnie i uczciwie przez pp. Lesznowskiego i Masoniusa prowadzona *Gazeta Warszawska* idą luzem bez myśli przewodniej i stałego kierunku, zwłaszcza od czasu zgaszenia ich latarni nocnej — *Gońca.*

Ugodowcy, na których modą jest dziś walić góry, nazwali się stronnictwem polityki realnej. Ugodowcami nie zwali się nigdy sami: było to przezwisko, którego jednak nie było może racyi porzucać w chwili, gdy pod znakiem ugody stanęło całe społeczeństwo w Królestwie. Szujski ani St. Tarnowski nie byliby tego zrobili. Wyglądało to na jakieś cofnięcie czy zaparcie się, a ani do jednego ani do drugiego nie było racyi, może nawet i nie było prawa. Ugodowcy, tak jak przed nimi Stańczycy, a bodaj czy nie więcej od nich, położyli dla kraju zasługi, które może zapoznać zaślepienie lub rozwydrzenie jednego politycznego momentu, które jednak oceni sprawiedliwiej historya. W czasie, gdy nikt nic dla społeczeństwa wydanego na łup rusyfikacyi i czynownictwa, uczynić nie umiał, oni nie opuszczali rąk i wytężali usiłowania, aby ochraniać, wydzierać, przekradać te okruchy życia, które same jedne utrzymywały organizm narodowy. Jeżeli ich zachowanie się po wstąpieniu na tron obecnego cesarza pozbawione było taktu i właściwej miary, a nadewszystko czucia politycznej sytuacyi, to błąd ten nie równoważy mnóstwa zasług i zdobyczy dla narodu, żeby tylko przypomnieć ostatnią, dokonaną przez najniepopularniejszego, bo najkrańcowszego z nich, Eust. Dobieckiego: pomnożenie ilości posłów z Królestwa o 9. Na wartość jakiegokolwiek czynu należy zapatrywać się z punktu, na którym został spełniony. *Ex post* łatwo potępiać Memoryał i lekceważyć zdobycz Dobieckiego, jak i inne zdobycze ugodowców: tak się dziś czyni, ale czy się czyni słusznie?

Piszący te słowa od wielu lat był publicznym przeciwnikiem polityki ugodowej, tak samo jak był zawsze zdeklarowanym przeciwnikiem partyi krakowskiej. Nie jest też dziś nawrócony do jednej ani do drugiej. Ale w czasie gdy każdy przeciętny filister uważa za swój święty obowiązek pluć na uczciwych i zasłużonych ludzi, gdy stało się dogmatem odmawianie wszelkiej nie tylko zasługi ale i dobrej woli uczciwie rozumianej, patryotycznej działalności tych ludzi, gdy setki politycznych faryzeuszów dziękuje codzień pobożnie niebu za to, że nie są jako ci nieprawi, godzi się podnieść publicznie głos uznania dla przeciwnika, którego się szacuje.

Godzi się jeszcze i to zaznaczyć, że rola ugodowców wcale nie zdaje się skończoną, jak to mniemają ich grabarze. Owszem, bodaj czy właśnie nie przyszedł na nią właściwy moment. Przed 8 laty było zawcześnie budować złoty most z jednej strony, gdy nikt nie zdradzał do tego ochoty ze strony przeciwnej: obecnie inaczej. Społeczeństwo rosyjskie, z lojalnością godną najwyższego uznania wyciąga do nas rękę i robi wszystko, czego w najśmielszych nadziejach i żądaniach mogliśmy odeń oczekiwać, upomina się o nasze prawa i prawom tym zakreśla tak szerokie granice, jak je zakreślają nasze własne postulaty. Jeżeli kiedy, to teraz przyszła chwila na ugodę i jest wysoką niekonsekwencyą ze strony tych, którzy sami biorą tę ugodę za podstawę swego programu na przyszłość — a do tych należą u nas wszystkie stronnictwa polityczne zarówno konstytucyjnej prawicy jak i rewolucyjnej lewicy, — rzucać równocześnie klątwę na tych, którzy przecie pierwsi to samo hasło podnieśli przed laty — przypuśćmy, że przedwcześnie, i stoją przy niem niewzruszenie, gdy inni do niego przymknęli ostatnimi czasy.

Bądź co bądź stronnictwo realnej polityki nie może liczyć na masy. Nie może liczyć nie dlatego, żeby program jego był zły, ale dlatego, bo w nim niema nic, mogącego pociągać tłumy. Te ostatnie nie idą za najrozumniejszemi i najtrzeźwiejszemi hasłami, a chwyta je przedewszystkiem negacya i krytyka. Być może konserwatyści byliby potrafili i pociągnąć je za sobą, gdyby przed paru laty stanęli na gruncie chrześcijańsko-socyalnym i zaczęli werbować wśród mas zwolenników dla idei reformy socyalnej w duchu demokracyi opartej na katolicyzmie. Były nawet w tym kierunku nieśmiałe próby, niestety pod formą teoretycznych rozpraw i artykułów dla inteligencyi, a nie w jedynie właściwej formie popularnego uświadamiania ludu i organizowania go w sposób odpowiadający ówczesnym warunkom i możliwościom. Były to czasy, w których krakowscy konserwatyści półgębkiem tylko tolerowali Leona XIII i demokracyę chrześcijańską na Zachodzie, a próby przeniesienia tej ostatniej na grunt swojski uważali za demagogię szkodliwszą od socyalizmu. Ich warszawscy sojusznicy byli mniej zacietrzewieni ale ogółem mieli o sprawie tej tyle

wyobrażenia, co o żelaznym wilku. Na autora »Kronik kośc.« w *Przeglądzie Katolickim* gniewano się w wysokich sferach za uparte nawoływanie do tego. Obecnie noszą się z tą myślą w sferach świeckich i duchownych — jak często u nas, jak zawsze u naszych konserwatystów — o rok lub dwa za późno...

Wobec upuszczenia jedynej okazyi i możności zgrupowania pod swym jeśli nie rozkazem, to wpływem mas ludowych i utworzenia organizacyi chrześcijańskiej przeciw konsolidującej się wówczas organizacyi socyalistycznej stronnictwo zachowawcze nie może w dającej się przewidzieć przyszłości liczyć na szerszy wpływ w masach ludowych i musi się ograniczyć oddziaływaniem na inteligencyę zwłaszcza wiejską. Rola jego — w gabinetach i salach konferencyjnych, wśród ziemian i miejskich przodowników społecznych, że jednak czynniki te będą prawdopodobnie miały wydatny wpływ i na wybory i na całe życie polityczne kraju, rola ta może jeszcze być ważną, choć nie będzie nią ani w części w tym stopniu, w jakimby była w razie dawniej rozumnie zorganizowanej akcyi socyalnej.

Rola zorganizowania mas przeciw socyalizmowi i rewolucyi przypada obecnie w udziale samej tylko Nar. Demokracyi.

Siła społeczna w szerszym stylu jest w niej jednej. Ona jedna jest dziś dźwignią, zdolną poruszyć masy poza obrębem socyalnej rewolucyjnej inicyatywy.

Patrzę od lat na działalność N. D. ogółem biorąc z sympatyą, bardzo często z uznaniem. Są to uczciwi ludzie, służący wedle najlepszej wiedzy i woli krajowi, któremu działalność ich na polu oświaty i uświadomienia narodowego ludu wiejskiego przyniosła wiele dobrego, tak samo, jak ich wpływ na młodzież, wyrwaną przez nich socyalizmowi i napojoną szlachetnemi aspiracyami narodowemi. Jeżeli chłop w Królestwie czuje się polskim w swej przeważnej części, sporo w tem zasługi N. D. I nie łudźmy się: tylko ten chłop uświadomiony, choćby to uświadomienie miało swe niedostatki i błędy, potrafi być czynnikiem dodatnim, bo odpornym. Jeśli tu i owdzie zdarzają się wsie, w których włościanie nie chcą śpiewać hymnów narodowych i boją się »Polaka«, bo z tego przyjść może Polska, a z Polski — pańszczyzna — wsie

takie nie są nabytkiem dla akcyi konserwatywnej: pójdą one na razie może za głosem komisarza włościańskiego lub nasłanego przez policyę agenta, w rezultacie zaś niechybnie za hasłami agrarnego komunizmu. Niezaprzeczenie też akcya oświatowa wśród ludu, choćby wychodziła z partyjnego założenia, o ile nie podkopuje zasad religijnych a podnosi poczucie narodowe, staje się poważnym plusem w życiu społecznem. Tak samo plusem jest działalność kół samokształcenia wśród młodzieży szkolnej mimo różnych braków i wadliwości tych organizacyi, dla oceny ich bowiem należy zastosowywać nie absolutną ale porównawczą miarę z tem, co równorzędnie działają na tem polu socyaliści; należy też pamiętać, że bez inicyatywy narodowo-demokratycznej młodzież byłaby cała w ich ręku, pod wpływem nie-ulegającym tu i owdzie słusznym zarzutom, ale przecie raczej dobrym, niż złym, tylko pod wpływem absolutnie złym.

Wogóle zresztą rozbudzenie życia narodowego i społecznego wśród inteligencyi miejskiej zwłaszcza poczytać należy N. D. za poważną zasługę pomimo znowuż pewnej chaotyczności i częstych radykalnych zabarwień tego życia, a to znowuż z tej samej racyi, którą wymieniliśmy przed chwilą. Na warstwy wyższe wpływ N. D. wywarł wrażenie podniecające i przeciągnął je na lewo, wyrabiając w nich nerwowość a czasem też zacietrzewienie i szowinizm: za to dla młodzieży i ludu był on szczepieniem ospy ochronnej przeciw socyalizmowi.

Ogólny ten plus w działalności N. D. nie wyklucza minusów, z których zwrócę uwagę na dwa najważniejsze. Jeden leży w samej treści N. D., płynąc z jej źródła a przejawiając się w całej akcyi i w metodach działania, — drugi odnosi się do jej działalności, wśród proletaryatu miejskiego i fabrycznego.

Jest to niesprawiedliwość ale niesprawiedliwość odwieczna, niezwalczona: dzieci odpowiedzialne są za grzechy rodziców. N .D. wyszła, w części przynajmniej, ludźmi, nie — duchem, z rewolucyi i z socyalizmu. Będąc zdrową reakcyą uczciwych i otrzeźwionych żywiołów przeciw kosmopolitycznej i bezwyznaniowej konspiracyi międzynarodowej, zachowała coś z przyzwyczajeń, metod, słabostek *Sturm- und Drangperiode,* zachowała obok mężów wytraw-

nych i w całej pełni politycznie uświadomionych — długi ogon młodych i niewyrobionych sił, przyczepiony do niej i, co gorsze, naciskiem swym rozstrzygający czasem o ogólnym kierunku, a rozstrzygający znowuż dlatego, że z dawnych czasów pozostało w stronnictwie dogmatem wyglądanie na ulicę i licytowanie się z rewolucyjnymi obozami o popularność u tłumu. Z tego wyglądania na ulicę wynika nie tylko chwiejność działania ale i chwiejność programu, który żeby wszystkim drgnieniom falującej opinii uczynić zadość, mieni się jak tęcza. *Qui trop embrasse, mal etreint.* N. D. mogłaby zgrupować wkoło siebie wszystkie czynniki ładu do wspólnej walki z anarchią, ale w takim razie musiałaby się pozbyć radykalnego ogona a przezeń — wpływu na masy. Więc lawiruje, łudząc siebie i drugich swoim uniwersalizmem, który jest niemożliwością i w dodatku nie prowadzi do niczego, bo i tak socyaliści nazywają narodowców czarną sotnią rządowców, klerykałów i wsteczników, a zachowawcy nie mogą im dowierzać po znanem zsolidaryzowaniu się Ligi z rosyjskiemi rewolucyjnemi stronnictwami i wobec jasnego sformułowania stosunku obecnego N. D. do władzy państwowej i do sposobów oporu tej ostatniej.

Niejasność programu i chaotyczność działania są zapewne powodem drugiego minusu w dotychczasowych wynikach pracy N. D. — niedostatecznej organizacyi warstw robotniczych. A może nawet nie to, jeno — płynący znowuż z oglądania się na ulicę oportunizm.

Masy poruszać można tylko bardzo silnie ich dotykającemi hasłami. Socyalizm chwyta je, grając na ich pożądaniach i społecznych nienawiściach. Działając na lud wiejski, narodowcy uderzyli w strunę religijną, wyczuloną uciskiem i zniewagami najświętszych wierzeń — i struna ta oddźwiękła zaraz, a za nią dopiero odezwała się słabsza daleko u ludu struna nie tyle narodowa, co językowa. Droga była praktyczną: należało nią iść, rozpoczynając akcyę wśród proletaryatu miejskiego. Niestety narodowcy ulękli się. Wśród ludu wiejskiego w Królestwie nikt na seryo nie robił dotąd antyreligijnej propagandy, nie było więc obawy spotkania się z zarzutem klerykalizmu: w miastach wcześniejsza propaganda rewolucyjna zapoznała lud z antykatolickiemi dąże-

niami, z drugiej zaś strony, rzecz ważniejsza, byłaby niewątpliwie użyła przeciw organizacyi i propagandzie nacechowanej katolicyzmem, piętna reakcyi i wstecznictwa, którego i tak zresztą niczemu co narodowe nie szczędzi. Cóż stąd jednak? Nienawiści i oszczerstw socyalistycznych N. D. nie mogła uniknąć, a hasło obrony wiary i narodu, rzucone w masy, znalazłoby w nich oddźwięk kto wie czy nie silniejszy od haseł ekonomiczno-rewolucyjnych. Ale narodowcy uznają wprawdzie w katolicyzmie siłę dodatnią, współczynną w życiu narodu, chętnie nawet siłą tą się posługują, ale przesądy i koneksye rewolucyjne nie pozwalają im siły tej uważać za współrzędną narodowym celom, a tem mniej za jeden z celów ich własnych. Dzięki temu nie zorganizowano mas roboczych pod hasłem religijnem, ograniczając się hasłami patryotycznemi.

Nie postarano się też o zastąpienie socyalistycznego programu ekonomicznych reform innym, własnym ekonomicznym programem.

Ten sam błąd, który popełnili przedtem konserwatyści, powtórzyła teraz N. D. Tamci wiedzieli potrochę to, co się działo na Zachodzie w zakresie reform społeczno-chrześcijańskich, ale sybarytyzm i egoistyczna krótkowzroczność nie pozwoliły im pofatygować się do tej samej roboty. Narodowcy, młodzi i wyłącznie w radykalnych środowiskach obracający się, nie wiedzieli poprostu jaką olbrzymią siłę wychodowała w sąsiedztwie demokracya katolicka i jaką dźwignią mogłyby stać się w rękach ich te same hasła. Socyalizm chrześcijański dlatego jest tak potężny i wpływowy, bo robotnikowi pokazuje nie tylko niebo z jego nadziejami zagrobowej sprawiedliwości, ale i ziemię z tem wszystkiem, co ona sprawiedliwie warstwom pracującym dać może i powinna, nie krzywdząc innych. Hasło reformy socyalnej opartej nie na rewolucyi, ale na racyonalnej ewolucyi, na organizacyi zawodowej i kooperacyi pracowników — w połączeniu z hasłem narodowem pod wspólnem godłem krzyża byłoby z pewnością wyrwało masy socyalistycznym organizacyom. Zamiast tego rzucono im samo tylko hasło patryotyczne, wobec nędzy i ciemnoty naszego proletaryatu — za słabe.

A przecie proletaryat ten, dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności, trzyma w tej chwili w zamulonych swych dłoniach klucz przyszłości. Później przyjdzie niewątpliwie chwila, w której własne słowo powie lud wiejski, dziś głos ma robotnik. I tego robotnika pozostawiliśmy na łaskę i niełaskę socyalizmu i rewolucyi.

W tem tragiczność chwili, w tem groźba jutra.

Z jednej więc strony wszystkie stronnictwa ładu i wszystkie prądy narodowe, ogromna większość polskiej inteligencyi, znaczny zastęp młodzieży, szary tłum miast i wielkie, bezwiednymi prawie odruchami kołysane morze chłopskie, z drugiej żydostwo całe, ciemne i oświecone, milionowe i chałatowe, a przy niem trochę bezwyznaniowej inteligencyi polskiej z pochodzenia i banda rewolucyonistów Petersburga, a czasem i Berlina. I ta garść rządzi krajem, terroryzuje go, narzuca mu jego obecną nędzę i przyszłe, nieobliczone w skutkach katastrofy.

Oto obraz naszego położenia w Królestwie.

III.

I czy niema na to ratunku?

Żeby na pytanie to odpowiedzieć, trzeba cofnąć się o krok wstecz i zdać sobie sprawę z przejść i doświadczeń ostatnich kilku tygodni. Jeżeli historya jest mistrzynią życia, uczy nas jego i świeżo przeżyta chwila.

Wypadki natłoczyły się jedne po drugich straszliwie szybko.

Strajk kolejowy zapowiadano dawno, próbowano go częściowo bez powodzenia, nie brano go na seryo. Dziwić się trudno nieuświadomionemu wolności słowa i druku społeczeństwu, kiedy człowiek tej miary, jak hr. Witte, nie przewidział wypadków ani im zapobiegł, a kilka dni przed ogłoszeniem konstytucyi zapowiedział delegatom kolejowym i kazał światu ogłosić, że żadnych ustępstw politycznych pod żadnym warunkiem nie zrobi. Spadł tedy strajk jak piorun. Po kolejowym — powszechny. Zamknięto sklepy, rozpędzano dorożkarzy, zabastowały apteki, chciano doprowadzić do strajku nauczycieli, lekarzy, adwokatów, pozbawić miasto nawet wody, jak pozbawiono go telefonów, tramwajów, opału, żywności, a ostatnio i gazu. Ludność bierna z natury i przez

rząd do biernego posłuszeństwa przyzwyczajona, zachowała się biernie i posłusznie. Rząd nie uczynił nic, żeby strajk wstrzymać i obronić tych, którzyby chcieli mu się oprzeć; jak i przedtem tak i teraz miało się wrażenie, że mu rozruchy, teroryzm mętów społecznych i nędza ludności — są na rękę.

Pod teroryzmem mętów nie rozumiem teroryzmu rewolucyjnego, a przynajmniej nie rozumiem go w pierwszej linii. Od dłuższego już czasu, dzięki cichej opiece policyi, prześladującej tylko księży, patryotów i »politycznych«, nożowcy i rzezimieszkowie wysunęli się na pierwszy plan życia miejskiego. Powtórzyły się szeroko rozgałęzione operujące organizacye złodziejskie i nożowe, z któremi ogół ludności liczył się, opłacał się, wykonywał ślepo ich rozkazy z obawy zemsty i dla zabezpieczenia się. Krwawe samosądy, walki zbiorowe, nieraz na szeroką skalę po przedmieściach i fabrycznych dzielnicach, wreszcie takie objawy »sprawiedliwości ludu«, jak znane pogromy domów rozpusty i kobiet złego życia, między któremi dostało się nieraz i najuczciwszym, osamotnionym kobietom — to wszystko były i są rzeczy możliwe tylko pod rosyjskim rządem. Doszło przecie do tego, że nikomu w Warszawie nie przychodzi poprosu na myśl ukarać lub oddać w ręce policyi przyłapanego na gorącym uczynku złodzieja i mordercy, bo naprzód policyę każdy uważa za rodzaj złodziejskiego konsorcyum, a powtóre każdy boi się pomsty, przeciw której żadnego państwo ani społeczeństwo nie dają zabezpieczenia.

Wszakże codzień do każdego z warszawskich mieszkań przychodzi co najmniej jedna delegacya, zbierająca składki na »więźniów«, »rannych«, »strajkujących«, głodnych różnej kategoryi, wreszcie na organizacye P. P. S. i innych partyi rewolucyjnych. Otóż nie ulega wątpliwości, że z tych kwestarzy i kwestarek przynajmniej trzy czwarte są zwykłymi oszustami, których listy składkowe, dokumenty i dowody są oczywiście sfałszowane. Przeciętny lokator, któremu przez szparę drzwi zamkniętych łańcuchem podają te papiery, spostrzega, że ma do czynienia ze złodziejami, ale daje im coprędzej tak samo, jak daje delegatom Proletaryatu i Socyaldemokracyi, bo inaczej będą się mścić. A po-

nieważ bywało sporo przykładów zemsty, więc trudno mu się nawet dziwić.

W mętnej wodzie ryby łowią. Na tle tych stosunków, w najwyższym stopniu niezdrowych, w których władza nie daje uczciwym i spokojnym obywatelom żadnej z gwarancyi, do których byłaby obowiązana, i przeciwnie, nie dopuszcza ich nawet do samoobrony, łatwo rozwinąć się propagandzie i organizacyi tajnych związków i rewolucyjnych haseł. Widzimy w krajach konstytucyjnych z jak brutalną i bezwzględną energią szeregują socyaliści dokoła swego sztandaru masy robocze, jak je utrzymują w posłuszeństwie srogą dyscypliną, w której i kar cielesnych nie brak, a tem mniej noża i rewolweru, jak okrutnie mszczą się na tych, którzy ośmielą się zdradzić odmienne zapatrywania i odmówią udziału w ich armii. Można sobie wystawić, o ile terroryzm ich jest silniejszy, tu gdzie cała ich akcya dzieje się w ukryciu, a chaos ogólny zapewnia im bezkarność. Pomaga im tu jeszcze ogólne i wprost niesłychane powikłanie pojęć, wywołane tak długiem zakneblowaniem prasy i wszelkiej publicznej działalności i swobody. W najlepszej wierze dobrzy katolicy i gorący Polacy idą na rękę kosmopolitycznemu i bezwyznaniowemu przewrotowi, sądząc, że tem służą wolności ojczyzny i wiary. Słyszałem od inteligentnych kupców, należących do tych kategoryi, że muszą przecie jako dobrzy Polacy zamykać sklepy 1 maja.

Niewątpliwie jednak zrobiony został w ostatnich dniach poważny krok naprzód ku uświadomieniu mas. Zawdzięczamy to przedewszystkiem bezrobociu, a następnie namiętnym wycieczkom krańcowego odłamu socyalistów przeciw polskości i katolicyzmowi.

Bezrobocie podjęte w imię zasad politycznych z natury swej nie może być popularne w masach. Robotnik fabryczny, wywierający nacisk na pracodawców strajkiem, oblicza sobie z arytmetyczną ścisłością, ile mu chwilowa ofiara przyniesie zysku w przyszłości. Kupiec zamykający handel, wyrobnik, zmuszony przerwać zajęcie utrzymujące byt jego rodziny, może mieć ze strajku tylko ruiny. Człowiek staje się w takich razach krytyczny i łatwiej oryentuje się co do innych niedogodności strajku. Zaczyna się pytać, co za znaczenie polityczne może mieć strajk aptek, jaką

szkodę rządowi może przynieść przykre i ciężkie dla mieszkańców polskich przedewszystkiem, bo Rosyan urzędników ratowały w tych razach zapasy i posługi wojska, zatrzymanie opału, światła, artykułów żywności, komunikacyi telefonowej czy dorożek, lub tramwajów. Jaśniej mu też przedstawia się fakt, że i wśród ludności polskiej od strajku cierpiącej, więcej daleko stosunkowo cierpią ubodzy niż majętniejsi. Dodajmy do tego niesłychaną brutalność przy wykonywaniu rozkazów partyi rewolucyjnych, a będziemy mieli pojęcie o wrażeniach ludności.

Celem socyalistów było oczywiście doprowadzenie do rozpaczy mas zgłodniałych i zmarzłych, zdenerwowanych grozą i niepewnością wypadków w najwyższym stopniu i puszczenie ich na barykady, względnie na mieszkania majętniejszych mieszkańców. Przypisują znanemu twórcy »Legend« i strajku uczniowskiego okrutne słowo: »Niech cierpią: będą tem wścieklejsi«. Rewolucyoniści nigdy nie byli zbyt czuli dla cierpień ludu, z wyjątkiem w podżegających przemówieniach... W każdym razie, choćby zmyślone, słowo to określa dobrze taktykę rewolucyi w Królestwie. Ale taktyka to była niebezpieczna, jak obosieczny miecz i niewątpliwie zraziła do socyalizmu część warszawskiego proletaryatu.

Zraziła go także i nieoględność, z jaką rewolucya odsłoniła swe karty w kwestyi narodowej i religijnej. Zwłaszcza w tej ostatniej. Na bezczelne miotania się różnych mowców przygodnych o zakrzywionych nosach po wszystkich rogach ulic przeciw Polsce, Białym Orłom i biało-amarantowym sztandarom oburzała się inteligencya: lud prosty, odzwyczajony przez 75 lat od godeł i tradycyi patryotycznych, pozostał ogółem dość obojętny. Ale gdy na ganku kościoła S. Aleksandra i w pobliżu innych świątyń zaczęto systematyczną propagandę przeciw chrystyanizmowi, gdy posypały się bluźnierstwa przeciw Bogu i wierze wraz z oszczerstwami przeciw duchowieństwu — lud oburzył się i zaprotestował czynnie. Jak iskra elektryczna przebiegła miasto wieść o znieważeniu przez żydów z Bundu procesyi z krzyżem i chorągwią kościelną na Lesznie i iskra ta zapaliła prochy. Wszystko zakotłowało żądzą odwetu i poskromienia bluźnierców. Pogrom żydów i socyalistów zawisł w powietrzu. Zgodnym usiłowaniom

księży i żywiołów zachowawczych i nar. demokratycznych udało się pogrom wstrzymać i Bogu dzięki, że się udało: należy jednakowo stwierdzić wbrew temu, co utrzymywała część prasy, że pobudką do ruchu przeciw żydom byli oni sami, a nie Czarna sotnia ani policya, które byłyby zapewne ruch ten wyzyskały, ale nie potrzebowały go wywoływać, bo powstał bez nich.

Pod wpływem postrachu wywołanego odruchem katolickiego tłumu przeciw bluźniercom żydowskim, a poczęści i wieściami o pogromach żydowskich w Cesarstwie, odstąpiły organizacye rewolucyjne od zamiaru przeszkodzenia siłą pochodowi narodowemu w niedzielę 5 listopada. Były próby rozbicia go, a przynajmniej wywołania popłochu. W jednem miejscu uczynili to policyanci zorganizowani w rosyjską wiernopoddańczą procesyą z cesarskim portretem i ikonami, w drugiem próbowali zrobić to strzałami socyaliści żydowscy, którzy nawet zamordowali jednego z uczestników pochodu. Ogółem biorąc ten ostatni udał się wspaniale. 200.000 ludzi przeciągało we wzorowym porządku — przyznał to sam *Warszawski Dniewnik* — ulicami pysznie dekorowanemi narodowemi barwami, emblematami, portretami bohaterów narodu i bardzo licznymi obrazami świętych. Sienkiewicz przemawiał z balkonu na Ujazdoskiej, entuzyastycznie witany przez tłumy, a śladem krzyża, chorągi z orłami i sztandarów z 1831 i 63 niosła się pieśń pobożna i patryotyczna tak różna od tych, któremi przez ubiegłych 4 dni rozbrzmiewało miasto. I pochód ten cały po tych ochydnych dniach rozpasanej orgii rewolucyjnej wyglądał jak świt lepszego jutra. Przewodniczyli mu kapłani, z których kilku, zdaniem naszem, rozminęło się taktem i zrozumieniem charakteru pięknej ale świeckiej i międzywyznaniowej uroczystości, biorąc do niej — komże i w stroju tym kościelnym idąc — obok dwóch pastorów...

Nie jedyny to zresztą był w tych środowiskach rozdźwięk.

Po pochodzie nastąpiło wzmocnienie represyi. Stanowisko władz od początku było dziwne: oscyllacya między biernością prowokującą społeczeństwo niewyrobione i oszołomione wypadkami do nadużyć i awantur, a gwałtami barbarzyńskimi i co gorzej niepotrzebnymi i nieprowadzącymi do niczego. Pod okiem wojska i policyi proklamowano na każdej ulicy co kwadrans detroni-

zacyę cara i republikę, noszono czerwony sztandar, rozdawano proklamacye rewolucyjne i równocześnie ni z tego, ni z owego, nie uprzedziwszy jednym znakiem, zaczynano strzelać ostrymi nabojami. Gdyby kto miał za zadanie wywołać rewolucyę w Warszawie, nie mógłby inaczej postępować. Każde społeczeństwo, pozbawione od wieku wszelkich praw ludzkich i rozdrażnione nieludzkim uciskiem musiałoby zatoczyć się jak pijane w pierwszych dniach wypuszczenia z ciemnicy na wolność. A w dodatku społeczeństwo mające w swem łonie jedyną zorganizowaną siłę rewolucyjną.

Rząd normalny zacząłby od tego, że rozpoznałby różne kategorye strajkujących i tym, którzy strajkowali wbrew woli własnej i opinii ogółu udzieliłby ochrony dla oporu strajkowi przynajmniej pośrednio, pozwalając na organizacyę obywatelską przeciw przymusowi bezrobocia. Następnie nie puściłby cugli odrazu, ograniczyłby wolność wiecowania, zwłaszcza pod odkrytem powietrzem do rozmiarów praktykowanych w państwach cywilizowanych, a tłum rozpędzałby środkami zapobiegawczymi bez użycia broni, której faktycznie ani w jednym przypadku nie było potrzeby używać. Ale tak nie było.

Rząd pozwolił na wszystko, co mogło podniecić i zacietrzewić umysły nie tylko ulicy, ale i sfer wykształconych, a represyi użył tam tylko, gdzie nie przeszkodziła niczemu, a podrażnienie i zacietrzewienie podniosła bardziej jeszcze. I dzięki temu wytworzył się stan umysłów wyglądający na zatrucie haszyszem. Hasła uliczne przedostały się do salonów i gabinetów, wszystko zaczęło lecieć z pieca na łeb — na lewo. Naprzód nar. demokraci rzucili do kosza swoje zastrzeżenia przeciw powszechnemu głosowaniu, za ich przykładem bardziej jeszcze zachowawcze żywioły zgodziły się na to żądanie socyalistów, pozbawiające Polaków w prowincyach zabranych wszystkich miejsc w przyszłym parlamencie, w którym przy systemie kuryalnym możnaby oczekiwać około 40 posłów polskich, przy powszechnem głosowaniu ani jednego. Ci sami zwolennicy powszechnego głosowania nie zastanawiali się i nad tem, że izba na tej podstawie wybrana będzie albo socyalistyczną, albo chłopsko-autokratofilską, w żadnym jednak razie

niezdolną do konstytucyjnej akcyi. Żądając konstytuanty w Warszawie i autonomii na wzór finlandzkiej nie pomyśleli, że konstytuanta rozstrzyga nie tylko o konstytucyi, ale o formie rządu, a dla Polski nie przedstawiałoby chyba korzyści proklamować republikę w żadnym razie, a dopieroż przy istnieniu monarchii w Petersburgu, że przytem Finlandczycy nie posiadają w Cesarstwie trzech milionów rodaków, a granica celna od Rosyi nie przynosi im szkody, podczas gdy dla Królestwa byłaby ona wyrokiem głodowej śmierci. I o tem też nie przyszło im na myśl, że o miedze stoją trzy korpusy w pikielhaubach.

To obałamucenie pojęć łączy się z innem: z zupełnem zapoznaniem zmiany sytuacyi politycznej, w której dziś słaba władza konstytucyjnego monarchy przestała być zaporą dla swobodnego rozwoju cywilizacyi i swobodnego życia narodu, a natomiast wrogiem groźniejszym, niż był nim kiedykolwiek w dziejach absolutyzm stał się ferment rewolucyjny, grożący dokonaniem tego, czego nie potrafił pierwszy: wyzuciem mas z religii, z etyki społecznej i z poczucia narodowej obecności. Siłą pierwotnego rozmachu społeczeństwo leci po dawnej drodze i walczy z wrogiem pokonanym przez innych, podczas gdy wróg nowy gotuje mu cios śmiertelny.

Wszystkiemu zaś temu winne natłoczenie nieprzygotowanych, zawrotnych wypadków. Zgubą naszą jak i zgubą Rosyi jest to, że rząd nie umiał wypadków tych przewidzieć, a teraz brak już czasu na wprowadzenie w życie konstytucyjnych reform. Rosya jest jak człowiek, który tydzień nie miał nic w ustach i dorwał się pełnej mięsa misy: grozi jej śmierć z uduszenia nadmiarem wolności, a nam z nią.

Dzięki temu niezrozumieniu sytuacyi społeczeństwo nasze przypisuje dość niewłaściwe znaczenie temu, co się dzieje w Rosyi. Trzęsie się z radości nad objawami sympatyi dla nas na kongresach ziemców, zapominając, że ci Zyrondyści rosyjscy są już dawno przelicytowani u rosyjskiego ludu, i że nawet gdyby tak nie było, przepaść stoi między rezolucyami opozycyi, a polityką państwową tejże opozycyi, gdy stanie się rządem.

Nadzieje pokładane w Związek związków, tę naczelną władzę socyalno-rewolucyjnych organizacyi, choć ta ostatnia zdaje się trzymać losy Rosyi i nasze z niemi w swem ręku, mogą również pokazać się zawodnemi. Bo przecież o co nam Polakom chodzi? Przecież nie tylko o pozbycie się biurokratycznej rusyfikacyi, ale o samodzielność. Otóż tej samodzielności rewolucya nam nie da i nie myśli dać. W miejsce centralizacyi rosyjsko-autokratycznej da nam ona centralizacyę rosyjsko-socyalistyczną, której przedsmak mamy i dziś, gdy wszystkie rozkazy naszemu społeczeństwu zorganizowanemu przez socyalistów, daje wyłącznie Petersburg. Trzeba nie zdawać sobie sprawy z istoty rewolucyi wogóle, a socyalistycznej rewolucyi w szczególności, by przypuszczać u niej możliwość dopuszczenia autonomicznych ustrojów i narodowo-kulturalnych odrębności. Być może republika wszechrosyjska da nam język nasz w administracyi wewnętrznej i szkole, ale czyż język jest wszystkiem? Czyż zastąpi on pozbawienie innych czynników narodowej odrębności i kultury? Czy zastąpi zwłaszcza religię, której nowy system rządu wypowiedziałby tą samą walkę na śmierć i to ze środkami zwycięstwa w tej walce, jaką dziś prowadzi przeciw niej socyalizm, na szczęście środków tych pozbawiony? Czy po 75 latach strasznego ucisku, ale przynajmniej nie absolutnego zakazu katolicyzmu miło byłoby doczekać się tego ostatniego, jako niewątpliwej konsekwencyi dojścia socyalistów do władzy?

Zapewne: trzeba stwierdzić smutny fakt — jesteśmy w obecnej chwili bezsilni. W żelaznych kleszczach trzyma cały nasz kraj organizacya nie miejscowego, ale wszechrosyjskiego socyalizmu, któremu Warszawa i Królestwo, jak dotąd, posłuszne są ślepo i na skinienie. W takich warunkach, zdawałoby się, niema nic do czynienia, jak ręce złożyć i polecić się Bogu. Tak też czynią żywioły zachowawcze. Czy to jednak słuszne i czy naprawdę wyjścia niema? Czy nie pozostaje już istotnie nic innego, jak ugiąć kark pod nowe jarzmo czerwonego sztandaru i patrzyć bezradnie w przyszłość, czekając od niej codzień nowych klęsk, przeciw którym nie szuka się środków zaradczych? Czy społe-

czeństwo nasze, w małej tylko części, nie ulega to kwestyi, przejęte zasadami socyalizmu, przeznaczone jest na to, by stać się w najbliższym czasie z wolą czy nie wolą władaniem i rozsadnikiem socyalizmu i czy jedyną cnotą społeczną, o której mu wolno myśleć, ma być rezygnacya? Na pytania te będziemy się starali dać odpowiedź w następnym artykule.

Ignotus.

MIKOŁAJ NIEPLUJEW I JEGO „BRACTWA PRACY".

W chwili, kiedy stosunki społeczno-ekonomiczne w Rosyi doszły do najwyższego napięcia, gwałtownie domagając się głęboko sięgających reform, pewien ukraiński obywatel, w szeregu ogłoszonych przez siebie broszur i odczytów mianych w różnych miejscach, śmiało występuje z własnym ciekawym programem społecznej pracy, mającej, według niego, do gruntu odnowić oblicze ziemi. Zaleca mianowicie społeczeństwu swemu, aby skorzystało z 20-letniej jego próby takiej pracy w założonem przezeń »Bractwie« i dążyło do przetworzenia dotychczasowych rosyjskich m i r ó w w gminy komunistyczne na podkładzie religijnym. Wierzy on mocno w wykonalność swego systemu i dlatego z zapałem go propaguje.

Chcemy zapoznać naszych czytelników z osobą i działalnością Mikołaja Nieplujewa i wypowiedzieć parę słów o r z e c z y w i s t e j wartości jego przedsięwzięcia.

I.

Dobra jampolskie, na północno-wschodnim krańcu Ukrainy, należące do bogatej rodziny Nieplujewów, stały się kolebką owych »Bractw pracy«, którym założyciel tak doniosłe w sanacyi społecznego życia wyznacza stanowisko. Początków tego przedsięwzięcia szukać należy w pobudkach natury religijnej, z których sam inicyator bractw dokładnie się spowiada w licznych swoich

pismach [1]. Poznajmy historyę pierwszego «Bractwa«, zanim przejdziemy do opisu jego organizacyi.

W tym samym, mniej więcej, czasie, kiedy miotany wewnętrzną rozterką Lew Tołstoj tworzył swą ewangelię, młody jego współrodak, Mikołaj Nieplujew, zdala i niezależnie od jakichkolwiek wpływów z Jasnej Polany, przechodzi podobneż udręczenie ducha, spowodowane przez krzyczący rozdźwięk między życiem, a chrześcijańskim jego ideałem. Majętny i wykształcony młodzieniec znajdował się wtedy w Monachium, w dyplomatycznej służbie przy ambasadzie rosyjskiej. Urodzenie, stosunki, osobiste przymioty otwierały mu wstęp na najpierwsze salony i zapewniały świetną karyerę; myśl jednak młodego dyplomaty w inną odbiegała stronę. Oto, co pisze o sobie: »Wesołe życie światowe nie zadawalniało mnie. Często się trafiało, że wróciwszy późną nocą z szumnego balu, czułem się do ostateczności znużonym na duchu, dla nikogo nie pożytecznym i z przerażeniem dochodziłem do przeświadczenia, że życie moje jest zgoła bezsensowne. Pewnego razu, kiedym wrócił z balu dworskiego w pałacu regenta Luitpolda, czułem większe niż kiedykolwiek zmęczenie duchowe; myśl, że całe życie moje upłynie wśród marności światowej, wykwitnej przewrotności i wyrafinowanej obłudy, doprowadzała mnie do rozpaczy. Tejże nocy, we śnie ujrzałem się w chacie włościańskiej; okno wychodziło na cerkiew mojej rodzinnej wioski; dzieci wiejskie cisnęły się do mnie, a ja, rozmawiając z niemi, uczułem taki pokój i wesele, jakich na jawie dawnom już nie doświadczał... Tenże sen powtórzył się kilkakrotnie i on też nadał nowy kierunek moim myślom i zamiarom. Zrozumiałem, że od nas, ludzi wykształconych i zamożnych wiele zależy w świętej sprawie umysłowego i moralnego przekształcenia rosyjskiego ludu; zrozumiałem, że smutny duchowy stan naszego biednego ludu jest spuścizną po antychrześcijańskiem zachowaniu się względem niego naszych przodków... Zrozumiałem, że jeśli dwór bawarski

[1] Pisma M. Nieplujewa, wydawane pojedyńczo w różnych czasach przeważnie zagranicą, wyszły zbiorowo w Petersburgu p. t. *Połnoje sobranije soczynienij N. N. Nieplujewa.* Dotąd są cztery tomy, wydane w latach 1901—1903.

i ciało dyplomatyczne łatwo bezemnie się obejdą, to dzieci rodzimego rosyjskiego ludu wprost domagają się mojej bratniej miłości i pracy« [1].

Pod działaniem tego rodzaju refleksyi dojrzał w umyśle Nieplujewa plan poświęcenia swych sił sprawie oświaty ludowej. Porzuciwszy rządową służbę, wraca do rodzinnego kraju i włości i, pomimo oporu niezadowolonego i zdziwionego ojca, gromadzi naokoło siebie opuszczone dzieci wiejskie, ucząc je czytania, pisania, a przedewszystkiem katechizmu i wszczepiając zasady moralności chrześcijańskiej. Było to w roku 1881. Co się miało rozwinąć z tych skromnych początków, tego wówczas Nieplujew nie przewidywał. Mieszkał w skromnym domku, służącym zarazem za przytułek i szkółkę dziesięciorga sierot, i z podziwienia godnem zaparciem siebie pracował nad ich wychowaniem.

Przystąpiwszy do filantropijno-pedagogicznej pracy, odczuł potrzebę i własnego dalszego kształcenia umysłu i woli, bo, pomimo swych dyplomów uniwersyteckich, stwierdzał ten fakt, że szkoła, mieniąca się chrześcijańską, nie dała mu najważniejszej rzeczy — jasnego zrozumienia chrześcijańskiego ideału życia i konsekwentnego systemu chrześcijańskiej moralności. Musiał dopiero sam je sobie tworzyć. Rozumie się, że udał się do pierwoźródła chrześcijańskiej nauki — do biblii. Odczytując po wielekroć święte księgi, estetyczny ten umysł szukał w chaosie pojedynczych faktów i sentencyi — jednej przewodniej myśli, jednego głównego motywu, na którymby można było osnuć całą harmonię chrześcijańskiego poglądu na świat i życie. »Bóg jest miłość«, oto przewodnia idea objawienia chrześcijańskiego. Ona też dała Nieplujewowi punkt wyjścia w jego pracach literackich i natchnęła jego utwory pedagogiczne, przeniknęła i powiązała w jedną piękną całość poglądy teologiczne, stworzyła zasady etyczno-społeczne, owszem wytknęła kierunek nawet jego historyozofii. Wszystkie jego utwory, dzięki syntetyczno-konstrukcyjnemu usposobieniu umysłu autora, lecz nie bez znacznego wpływu zapożyczonej z biblii idei przewodniej, odznacza szczególna symetrya, nieledwie

[1] *Połnoje Sobrańje* t. IV, str. 17.

matematyczna ścisłość podziałów, podporządkowania i ugrupowania myśli i zasad. Troistość, panująca w jego schematach, przypomina hegeliańskie konstrukcye.

Głęboko przekonany, że bez pomocy objawienia chrześcijańskiego niepodobna stworzyć żadnego zadawalniającego rozum i serce systematu etycznego, widział jednocześnie, że społeczeństwo naszych dni, pomimo swej urzędowej nazwy społeczeństwa chrześcijańskiego, w gruncie rzeczy mało w życiu kieruje się niespożytemi zasadami etyki objawionej: życiem jego kieruje cały szereg konwencyonalno-oportunistycznych półzasad, nie dających się sprowadzić do żadnego wspólnego mianownika, ani oprzeć na wspólnym bezwzględnej wartości fundamencie. Cały ten łańcuch wisi w powietrzu. To życie bez zasad poddaje Nieplujew krytyce we wszystkich swoich pismach, ale przeważnie w książce »Co to jest prawda?«. Przesuwają się w niej przed czytelnikiem tegoczesna szkoła, państwowość, nauka, literatura, sztuka, życie ekonomiczne, religijne, dobroczynność, zabawy, a wszystkie te objawy życia ludzkiego spotyka sąd, nieraz bardzo surowy.

Stanąwszy raz twardo na gruncie objawienia chrześcijańskiego, Nieplujew nie zna, nie dopuszcza żadnych kompromisów z rutyną życiową, żadnych ustępstw na rzecz panujących w danej chwili pojęć: oportunizm jest mu poprostu wstrętny. Ta cecha jego charakteru odbija się wyraźnie na stylu jego utworów, które bezwzględnością i pewnością tonu, dosadnością wyrażeń i akcentu bardzo zbliżają Nieplujewa do francuskiego myśliciela Ernesta Hello. Znając tylko jeden absolut i jednej prawdzie hołdując, Nieplujew nie uznaje żadnych apoteozowanych przez opinię bożyszcz, nauki, sztuki czy czynu społecznego, choćby niemi byli Puszkinowie lub Dostojewscy, o ile oni obracają powierzone sobie talenta nie na korzyść, lecz na podkopanie raczej królestwa Bożego, królestwa chrześcijańskiej miłości. Oto, co sądzi Nieplujew np. o warunkach użyteczności piśmiennictwa. »Zupełnie pożytecznym pisarzem ten tylko być może, kto przyswoił sobie zrozumienie chrześcijaństwa we wspaniałym jego całokształcie, w całym blasku nadziemskiej wielkości rozumnej myśli Bożej, ogło-

szonej nam w Objawieniu i przechowanej przez Kościół w świętej księdze życia«. Podobnież poetą prawdziwie pożytecznym może być tylko człowiek żywej i głębokiej wiary, myślący i czujący po chrześcijańsku. Tylko do takiego poety możemy zwrócić się ze słowami Nadsona:

I upadniemy na twarz przed tobą,
Z zachwytem wołając: »tyś poeta«!

W braku tego warunku, nie mówiąc już o pisarzach wprost wrogich religii, ci nawet, którzy przychylnie są dla niej usposobieni, szerzą szkodę, zaszczepiając w umysłach czytelników jednostronne, połowiczne, a zatem fałszywe pojęcia o religii i jej ideałach. Dowodem tego najwięksi mistrzowie pióra: Tołstoj i Dostojewski. Widzieli oni w chrystyanizmie jeden jakiś punkt, a stąd pierwszy z nich stworzył negatywną etykę bezczynności, drugi zaś cały chrystyanizm uosobił w idyotyczno-ascetycznym typie starca Zosymy. Pomimo najlepszych zamiarów oddali chrześcijaństwu złą usługę, bo podając wobec świata za chrystyanizm to, co nim nie jest, wyzuwają świat z sympatyi ku prawdziwemu chrześcijaństwu.

Wróćmy do opowiadania o dalszych losach pedagogicznej pracy Nieplujewa. W miarę jak dojrzewał, pogłębiał się i konsolidował w jego umyśle ideał chrześcijańskiego życia, zwiększało się i doświadczenie wychowawcy jego, jako ludu. Nieco idealizując z początku ten lud, przekonał się niebawem młody pedagog o istnieniu głęboko zakorzenionych w duszy ludu przywar, z któremi nie łatwa praca. Trudności jednak nie zraziły młodego idealisty i same nawet błędy przezeń popełniane wychodziły mu na dobre, zwiększając praktykę i doświadczenie. Rosła i gromadka wychowywanych sierot. Ojciec Nieplujewa, udobruchany powoli, oddał mu jakąś osadę do rozporządzenia; wkrótce śmierć ojca, stawiając naszego pedagoga na czele rodziny, dała mu zarazem możność rozwinięcia działalności na większą skalę, tembardziej, że i matka i siostry sprzyjały projektom jego. Te ostatnie nawet, za przykładem brata, postanowiły żyć w panieństwie, by módz wziąć czynny udział w urzeczywistnieniu jego zamiarów.

Przyszedł czas, że trzeba było pomyśleć o dalszych losach wychowanej gromadki sierot. Puszczać ich w świat Nieplujew nie miał odwagi, słusznie przewidując, że walka o chleb powszedni wśród bezreligijnego otoczenia, złe przykłady łącznie z twardymi ekonomicznymi warunkami wydrą tym dzieciom w krótkim czasie to wszystko, co on z takim mozołem w ich duszach zaszczepiał. Historya Dziejów Apostolskich natchnęła go myślą stworzenia dla swych wychowanków izolowanej od świata gminy, gdzieby bez obawy złego przykładu gromadka ta mogła pracować na chleb, ćwicząc się zarazem w cnotach chrześcijańskich. Rok 1889 stanowi datę założenia pierwszej tego rodzaju gminy pod nazwą »Bractwa pracy tytułu podwyższenia świętego krzyża«. Ponieważ rzecz trąciła niebezpieczną nowością, więc i Nieplujew wiele musiał przezwyciężyć przeszkód, by dzieło jego nie upadło. Wiadomo z historyi, że podobne komunistyczne teorye i próby zastosowania w praktyce, bywały niejako monopolem przeróżnych sekt religijno-społecznych, a zatem i w przedsięwzięciu Nieplujewa poczęto wietrzyć herezyę, a może i socyalizm. Do niepopularności Nieplujewa tak w oczach społeczeństwa, jak i rządu i przedstawicieli cerkwi, obok bezwzględności myśli i słowa jego, mogła się przyczyniać i ta jeszcze okoliczność, że zajmował się on sprawami ogólnego kościelnego znaczenia, utrzymywał ustawiczne stosunki z wielu działaczami społecznymi i kościelnymi na Zachodzie, często tam osobiście przebywał, badając na miejscu akcyę chrześcijańsko-społeczną, wywołaną głównie przez encykliki Leona XIII. Bądź co bądź długo musiał się borykać z zewnętrznemi przeszkodami, nosił się nawet z myślą przeniesienia całego swego dzieła za granicę.

W końcu jednak przezwyciężył stawiane mu trudności. Ustawa Bractwa, wypracowana przezeń, z niejakiemi przeróbkami została przyjętą przez władze dyecezalne i zatwierdzoną przez Synod w roku 1893. Roku następnego cesarz Aleksander III nadał Bractwu prawa osoby moralnej i tym sposobem zabezpieczoną została prawna egzystencya nowej instytucyi.

Taka jej historya, a jaka organizacya?

II.

Z ustawy, przytoczonej *in extenso* w pismach Nieplujewa [1], dowiadujemy się, że »Kresto-Wozdwiżeńskie Bractwo Pracy«, nazwane tak od folwarku, na którym się znajduje, i cerkwi, przy której zostało utworzonem, jest instytucyą religijno-społeczną, oddaną pod protektorat prawosławnego biskupa czernihowskiego. Trzy główne cele Bractwo sobie wytknęło: chrześcijańskie wychowanie dzieci w utrzymywanych przez siebie szkołach, religijno-moralne udoskonalenie dorosłych członków, przez otwieranie związków pracy na podstawach miłości chrześcijańskiej i zasadach Kościoła, wreszcie popieranie poza Bractwem tego wszystkiego, co sprzyja moralnemu udoskonaleniu życia.

Oprócz braci z pełnią praw, są nowicyusze, pozbawieni prawa głosu, chociaż biorą udział w ekonomicznych korzyściach Bractwa, i członkowie zelatorzy, żyjący poza Bractwem, lecz okazujący mu materyalną czy moralną pomoc. Bractwo ma prawo nabywać nieruchomą czy ruchomą własność, dzierżawić, prowadzić przedsiębiorstwa w zakresie przemysłu i handlu. Własność jest wspólną i nigdy Bractwo ani się jej pozbyć ani między członków rozparcelować nie może. Do zarządu majątkiem i organizacyi pracy istnieje wybrana z pomiędzy braci pierwszej kategoryi rada ekonomiczna; ważniejsze jednak sprawy decyduje ogólna rada, tak zwana Duma, lub nawet ogólne zebranie wszystkich pełnoprawnych braci. Na zewnątrz Bractwo jest reprezentowane przez swego Nadzorcę. Bractwo obowiązane jest utrzymywać kilka szkół, szpital, przytułki, cerkiew i kapłana przy niej. Bracia i siostry, żyjący w małżeństwie, mieszkają w osobnych domkach lub w większych domach po kilka rodzin razem, niezamężne i młodzieńcy posiadają wspólne mieszkania, według płci. Stołują się grupami po kilka rodzin lub kilkanaście osób razem. Z czystego dochodu Bractwa 10% odchodzi na kapitał żelazny, przeznaczony na rozszerzenie podobnychże Bractw, drugie 10% na kapitał zasobowy, na wypadek nieurodzaju, pożaru lub innych

[1] T. IV, str. 413 ss.

klęsk elementarnych. Reszta dochodu dzieli się równo między braci i siostry, jako ich własność prywatna, którą jednak nie mogą rozporządzać bez zezwolenia Dumy. W razie opuszczenia Bractwa, lub wydalenia z niego, otrzymują tacy wszystką swą prywatną własność, jak również i to, co przy wstąpieniu do Bractwa wnieśli. Starcy, wdowy, sieroty, kaleki cieszą się opieką Bractwa, lub, jeśli wolą, mogą je opuścić, odbierając wszystko, co im się należy. Oto, mniej więcej, w streszczeniu ustawa Bractwa w Wozdwiżeńsku.

Założyciel Bractwa, który też z natury rzeczy został dożywotnim jego nadzorcą *(blustitiel)*, nie od razu zdecydował się wyposażyć je w grunta na prawach własności. Chciał przedtem wypróbować swoje dzieło. Dopiero po kilku latach próby, w ciągu których umyślnie usuwał się nieraz na parę tygodni i miesięcy, aby Bractwo przywykło do rządzenia się bez niego, — r. 1901 zapisał na własność Bractwa 5,313 dziesięcin ziemi wraz z parkiem, zabudowaniami, szkołami, cerkwią i t. d.

Dzisiaj Bractwo Wozdwiżeńskie liczy paręset osób braci i sióstr, zrekrutowanych przeważnie, choć nie wyłącznie, z pomiędzy wychowanków Nieplujewa; posiada kwitnące gospodarstwo rolne i leśne, z których dochód w dwójnasób przewyższa dochód, otrzymywany niegdyś przez Nieplujewa. Utrzymuje w samym Wozdwiżeńsku dwie niższe agronomiczne szkoły, jedną dla chłopców, drugą dla dziewcząt, nadto posiada dwie bursy dla dzieci swych członków przy szkołach w Jampolu i Rożdiestwieńsku. Siły nauczycielskie brano z początku z zewnątrz, lecz powoli wszystkie miejsca mają być obsadzone przez braci i siostry. Podobnie rzecz się ma i co do pracowni ślusarskiej, tokarskiej, stolarskiej i innych niezbędnych w większem gospodarstwie. Ekonomiczna strona przedsięwzięcia wydaje coraz pomyślniejsze rezultaty. Przy wspólnem życiu utrzymanie każdego członka Bractwa wynosi około 150 rubli rocznie; każdy rok po zamknięciu rachunków wykazuje znaczne sumy dochodu, zapisywane następnie na prywatne rachunki, chociaż bracia dobrowolnie zrzekają się jeszcze pewnych części należnej im kwoty na rzecz celów humanitarnych.

Sympatyczniej jeszcze przedstawia się strona moralna brackiego życia. Dzięki doświadczonemu przewodnictwu swego założyciela i ścisłej karności, życie Bractwa nosi na sobie charakter pracowitości, pobożności, a przedewszystkiem wzajemnej miłości. Charaktery leniwe, niezgodne, nietowarzyskie, jeśli niema nadziei na ich poprawę, wydalane są bez miłosierdzia z łona Bractwa. Dzięki tej eliminacyi, jak niemniej dzięki ostrożności w przyjmowaniu nowych członków, może się utrzymać duch Bractwa w pierwotnej czystości. Jest to duch wprost zakonny, z tą tylko zmianą, jaka nieodłączna od rodzinnego życia w świecie. Bracia i siostry po odbyciu nowicyatu, składają pewien rodzaj ślubów, przyrzekając całe swoje życie urządzić i stosować do ducha Bractwa i istniejących w niem zwyczajów i przepisów. Cała atmosfera Wozdwiżeńska przesiąknięta jest religijnością. Bracia i siostry noszą na piersiach krzyżyki, jako odznakę przynależności do Bractwa; zresztą ubierają się bardzo skromnie i odpowiednio do swoich zajęć przy gospodarstwie, czy warstacie. Za to w dni świąteczne występują przeważnie w jasnych kostyumach, nadających całej kolonii cechę pewnej uroczystości. Dni święte w zupełności przeznaczone są na korzyść duszy i umysłu, a odpoczynek ciała. Z samego rana zbierają się bracia i siostry, jak również młodzież szkolna w odpowiednie kółka, na czytanie Pisma świętego, książek pobożnych, reguł i wskazówek, napisanych dla Bractwa przez jego założyciela. Zdaje się, że przy tej okazyi wygłaszane bywały i te liczne konferencye Nieplujewa, jakie wypełniają połowę IV tomu jego pism. Po takiej konferencyi czy posiedzeniu, wszyscy udają się do cerkwi brackiej na nabożeństwo. Wspaniały mieszany chór podnosi jego uroczystość. Trzeba zaznaczyć, że sam Nieplujew jest wysoce muzykalny, owszem kompozytorem wielu utworów treści religijnej. Do muzyki, jak i do poezyi, malarstwa i rzeźby wielką przywiązuje wagę tak w wychowaniu młodzieży, jak i w uszlachetnianiu charakteru dorosłych. Żąda tylko, aby sztuka była ze wszech miar chrześcijańską. Resztę dnia świątecznego poświęca się w Wozdwiżeńsku na odpoczynek cielesny, gry i rozrywki towarzyskie, czytanie hi-

storyi kościelnej i świeckiej, czasopism, odwiedziny krewnych i t. d. Wspaniały park, obdarzony we wszystko, co potrzebne do towarzyskiego a wesołego spędzenia czasu, przyczynia się do tego, że mieszkańcy tego Eldorado nudów nie znają. Dni powszednie poświęcone są pracy jużto w polu, jużto w ogrodzie, lesie, jużto w rozmaitych pracowniach rzemieślniczych. Kobiety głównie prowadzą pralnie, mleczarnie, szyją i pomagają w lżejszych pracach na polu. Podczas sianożęcia, żniwa, kopania kartofli, kiedy nie wystarcza Bractwu własnych rąk do pracy, przyjmowani są i najemnicy. Uważa się to jednak za rzecz wyjątkową i tolerowaną tylko do czasu, kiedy wzrośnie liczba członków Bractwa do odpowiedniej cyfry. I przy pracy nie wolno zapominać o obowiązkach religijnych. Zajęcia rozpoczynają się modlitwą, każdego wieczora wszyscy obowiązani są czynić rachunek sumienia i za swe uchybienia żałować. Pijaństwo, rozpusta, przeklinania są to rzeczy w Bractwie nieznane. Wielką się zwraca uwagę na to, co i Nieplujew wciąż w swych pismach akcentuje, aby religii nie ograniczano do prostej tylko formułki liturgicznej, ani modlitwy i praktyk religijnych nie traktowano, według wyrażenia Nieplujewa, jako środki przekupienia Pana Boga i zaskarbienia opinii ludzkiej. Religia ma być żywą sprężyną całego życia we wszystkich, choćby najdrobniejszych jego szczegółach; stąd też poleca się wszystko czynić z miłości ku Bogu, w stosunkach zaś do bliźnich rządzić się zasadą dobrowolnego samoograniczenia się i ofiary.

Podobny duch i system panuje w szkołach brackich. Dziecko każde, skoro zostanie przyjętem do szkoły, otrzymuje zaraz najbliższego opiekuna w osobie starszego koleżki lub koleżanki. Taki mentor stara się pozyskać zaufanie dziecka do kolegów i nauczycieli, ma przedewszystkiem uczyć je otwartości i prawdomowności. Po pewnym czasie takiej opieki, jeśli nowy elew zdradza dobrą wolę i pozbywa się niepożądanych nawyknień, przyjmują go do kółka, do którego należą lepsi wychowańcy. Takich kółek jest dwa: dla młodszych i starszych uczniów. Mają one za zadanie wzajemną pomoc w moralnem urabianiu charakteru, a zarazem wyrabianie w umyśle młodzieńca przedsiębior-

czości i organizacyjnego ducha. W sobotę każdą kółka zbierają się dla podsumowania moralnych zdobyczy lub strat z całego tygodnia. Wzajemnie wytykają sobie błędy i niedoskonałości, jakie jeden na drugim zauważył, a przewodniczący zebraniu nauczyciel lub wychowawca wyciąga stąd ogólne wnioski i udziela stosownych nauk. Oznajmienie publiczne wad kolegi należy do obowiązków dobrego ucznia, za to nie dopuszcza się pokątnych doniesień, chyba tylko w wyjątkowych wypadkach. Przy takim systemie wychowania zacieśnia się miłość i wzajemne uszanowanie między młodzieżą i formują się charaktery towarzyskie, otwarte, szczere. Kary cielesne są zupełnie wykluczone w szkołach Nieplujewa, jak również wszelkie nagrody i odznaczenia, wyjąwszy słowa uznania z ust kolegów lub wychowawców. Głównem staraniem Nieplujewa jest to, aby ani interes żaden, ani bojaźń nie grała roli pobudek w życiu jego wychowanków. Młodzież niepoprawna wydalaną jest ze szkoły w celu zapobieżenia zepsuciu innych. Należący do starszego kółka młodzieńcy stają się, w roli mentorów, współwychowawcami swej młodszej braci. Oto w głównych rysach tryb życia Wozdwiżeńskiego Bractwa i jego szkół.

III.

Jak z przytoczonego opisu mógł czytelnik widzieć, Bractwo Nieplujewa nie jest rzeczą oryginalną, ani nową. Próby organizacyi życia na podstawach komunistycznych podejmowano po wielekroć i z rozmaitem powodzeniem. Nie sięgając do głębi starożytności, do Likurga i Sparty, ani do esseńczyków, owych ascetów Starego Testamentu, w czasach nowszych dali przykład tego rodzaju życia herrnhuci w Czechach, mormoni i kwakrzy w Ameryce, duchoborcy rosyjscy nad morzem Azowskiem i na Kaukazie. Na szeroką skalę podobne gminy organizował w pierwszej połowie ubiegłego stulecia Robert Owen w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Dodajmy do tego niefortunne próby Saint-Simonistów, Fourieristów i w najnowszych czasach zwolenników Lwa Tołstoja. Na ogół więc rzecz biorąc, nie stworzył Nieplujew nic nowego.

Jest jednak w jego przedsięwzięciu wiele stron, które go

korzystnie wyróżniają od innych tego rodzaju »utopistów«, co właśnie zawdzięcza swym chrześcijańskiem zasadom. Najpierw to, że pragnąc organizacyi pracy na podstawach komunistycznych, nie życzy on sobie bynajmniej przymusowego z góry czy z dołu narzucenia jej społeczeństwu. Nieplujew uznaje, że każdy zamach na własność prywatną byłby grabieżą, potępioną przez Boskie prawo. Szanuje on prawa nabyte jednostek i z filozofią, potępiającą prawo własności prywatnej, nie ma nic wspólnego. W programie jego leży przeniesienie tego prawa z poszczególnych jednostek na większe lub mniejsze ich zrzeszenia, z woli i własnego wyboru tychże jednostek w interesie ich własnym zarówno ekonomicznym, jak moralnym.

Następnie organizacya Nieplujewa, tak jak ją obecnie widzimy, unika jeszcze innego poważnego szkopułu. Jedną z największych trudności, na jaką natrafia problem społeczny wogóle, a którą czynią bez wyjścia wszelkie dotychczasowe, obliczone na szeroką skalę, programy komunistyczne, jest to trudność pogodzenia i zapewnienia w granicach właściwych dwóch wrodzonych człowiekowi przymiotów: wolności i solidarności społecznej. Wolność, to najdroższy skarb naszej natury rozumnej, wynik i świadectwo samocenności osoby ludzkiej, i nie łatwo pozwalamy ograniczać, a tem mniej odbierać ją sobie. Poczucie znowu solidarności, podstawa uspołecznienia, wymaga właśnie nałożenia moralnych granic wolnej woli człowieka na rzecz wspólnych interesów całości. Z niedokładnego ustosunkowania tych dwóch ludzkich prerogatyw rodziły się i rodzą niedomagania społeczne. Zbytnie rozluźnienie wolności w XVIII stuleciu doprowadziło świat do wybujałego indywidualizmu ze wszystkiemi jego następstwami, na jakie patrzymy; proponowana zaś przez socyalizm przymusowa organizacya pracy, a jeszcze więcej utopijny komunizm bezwzględny i powszechny grozi kompletną tyranią wolności człowieka. Bractwo Nieplujewa, jak dotąd, uniknęło obydwóch niebezpieczeństw. Życie na łonie »Bractwa pracy« wymaga wprawdzie wielkich ograniczeń wolności i niemałych ofiar, ale jak w samej chwili zobowiązania się, tak i w dalszem swem trwaniu, ograniczenie to i ofiara nie przestaje być dobro-

wolną i zabezpiecza jednostki przed tyranią gminy, czy jej zarządu. Pozostawienie na prywatną każdego członka własność pewnej części dochodów »Bractwa« pozwala każdemu niezadowolonemu ze wspólnego życia opuścić je, kiedy zechce, wynosząc zeń większe zasoby na dalsze życie, aniżeli z jakimi przybył do gminy. Wierni zaś ideałowi Bractwa ofiarą ze swej wolności kupują życie bez trosk osobistych i zapewniają sobie opiekę na wypadek starości, kalectwa lub innego nieszczęścia. Zresztą wiadomo, jak małej garstce wybrańców dostępną jest prawdziwa, nie na papierze tylko, wolność w naszym ustroju społecznym; z drugiej zaś strony pobudki natury religijnej i czynny udział w zarządzie gminy każdego członka, czynią łatwem owe zrzeczenie się znacznej dozy wolności na łonie Bractwa.

Prawie wszyscy dotychczasowi utopiści, tak teoretyczni, jak i usiłujący w rzeczy samej stworzyć nowy rodzaj życia, grzeszyli zapoznawaniem faktycznego stanu naszego historycznego człowieczeństwa. Ich ludzie brani byli z fantazyi lub filozoficznych spekulacyi, nie zaś z naszej planety. O grzechu pierworodnym, o zepsuciu natury ludzkiej, owszem o nieodłącznych brakach czysto przyrodzonych takiej, jak nasza, istoty, nie chcieli wiedzieć lub zapominali nie tylko pogańscy utopiści, jak Plato lub Zenon, ale nawet tacy chrześcijańscy myśliciele, jak angielski mąż stanu i męczennik katolicyzmu, Tomasz More, jak głęboko religijny biskup francuski Fenelon, skoro się zabrali do pisania »romansów« polityczno-społecznych. I *Rzeczpospolita* boskiego Platona i *Utopia* Morusa, *Civitas Solis* Campanelli, *Salenta* Fenelona i pisma Owena, Morelly'ego i innych — wszystkie zarówno traktują człowieka, jako z natury swej doskonałą ze wszechmiar istotę, a w brakach upatrują czysto przypadkową tylko naleciałość. Idealizacya ta człowieka sympatyczna w fantastycznych utworach wyobraźni, skoro ją brano w praktyce za punkt wyjścia, stale podkopywała wszystkie próby komunistycznych organizacyi. Z tego głównie powodu utrzymać się nie mogły falanstery Fouriera, a w naszych czasach tołstojowskie »kółka inteligentnych oraczy«. Utopiści w wielkim stylu, jak More, nawet nie próbowali wcielić swego ideału w otaczającym ich świecie, a Plato,

po paru nieudanych usiłowaniach na dworze sycylijskim, uznał wreszcie, że jego Rzeczpospolita ziszczalną jest chyba w krainie bogów i synów boskich. Nieplujewowi i tu trzeba oddać sprawiedliwość, że trzeźwiej patrzał na rzeczy i ludzi. Objawienie chrześcijańskie i praktyka życiowa nauczyły go uważać człowieka za to, czem jest w rzeczywistości i liczyć się z jego moralnymi brakami. Kiedy dla Tołstoja np. dosyć usunąć sądy, wojsko, urzędy, kary, a tem samem otworzy się cnocie drogę na ten świat, Nieplujew uznaje potrzebę środków przymusowych dla ludzkości współczesnej, a cnoty spodziewa się tylko od długiej a mozolnej pracy wychowawczej. Surowość jego wymagań moralnych zamyka drogę do awanturowania się na szeroką skalę *à la* Robert Owen, ale zarazem zapewnia większą trwałość dokonanemu w skromniejszym zakresie dziełu. Niemałą tu gra rolę i cecha nadprzyrodzoności, jaką silnie Nieplujew akcentuje i przez którą nadaje swej gminie piętno klasztornego życia. Znany francuski organizator pracy na podstawach chrześcijańskich, Leon Harmel, oświadcza, że patronowi organizacyi katolickiej ani pobudki przyrodzone, ani siła naturalna stanowczo nie wystarczają, aby godnie wypełnić mógł swoje obowiązki względem młodszej braci. Musi on oprzeć się na motywach charakteru nadprzyrodzonego i skutecznego wzmocnienia swych sił szukać u Boga. To samo czuje i mówi Nieplujew. Całe swe dzieło odnosi on do łaski i pomocy Bożej i wychowankom swoim ustawicznie przypomina, że o ile chodzi o sprawę Bożą i doskonałości naszej, cała nasza dostateczność z góry na nas spływa. Stąd płynie u niego żywe i uzasadnione poczucie potrzeby modlitwy i opierania się we wszystkiem na Bogu.

Pomimo tylu niewątpliwych zalet, jednających usiłowaniom Nieplujewa prawdziwą sympatyę wierzącego chrześcijanina, musimy jednak zaznaczyć, że w ocenie praktycznego znaczenia swojej długoletniej próby ze względu na szersze kręgi społeczeństwa przesadził on niemało, a przesada ta pociągnęła za sobą inną, mianowicie w tłumaczeniu faktów historycznych. Nie czem innem, jedno tem przecenianiem praktycznej wartości swego dzieła dla całej ludzkości, możemy wytłumaczyć fakt, że Nieplujew wyczy-

tał w historyi pierwotnego chrześcijaństwa to, czego tam wcale niema. Według niego Apostołowie i ich bezpośredni uczniowie organizowali takie gminy, jak jego w Wozdwiżeńsku, i gminy te miały przetrwać aż do III wieku. W antagonizmie między papieżem Kalikstem, a jego przeciwnikiem Hippolitem, upatruje Nieplujew echa świeżego upadku gminy rzymskiej, a następnie innych z winy papieża. Przypisywać papieżom III w. tak daleko sięgającą powagę, jest to zbyt wiele ze strony zwłaszcza akatolickiego pisarza. Zresztą nie miał potrzeby Kalikst, lub kto inny, znosić podobnych komun, gdyż ich nigdy w Kościele nie było. Istniały tylko organizacye wzajemnej pomocy i ścisła między chrześcijanami solidarność, z pozostawieniem ich przy prywatnej własności. Nawet uważniejszy rozbiór znanych ustępów Dziejów Apostolskich (II, 44—45; IV, 32—35) przekonywa nas o tem, że wyzuwanie się z prywatnej własności przez wielu w gminie jerozolimskiej pochodziło z pierwotnego entuzyazmu religijnego i pragnienia, by pójść za r a d ą Chrystusa, nie było zaś bynajmniej warunkiem niezbędnym należenia do chrystyanizmu. Św. Piotr apostół, karcąc Ananiasza za jego hypokryzyę, wyraźnie oswiadcza, że i rola jego i pieniądze po jej sprzedaniu były w jego mocy (Dz. Apost. V, 4). Jak zachowanie celibatu, tak i dobrowolne ubóstwo w religii chrześcijańskiej stanowi ów wyższy stopień doskonałości, który, wogóle mówiąc, jest niezbędnym w Kościele, wziętym w całości, ale nie narzuca się obowiązkowo poszczególnym wiernym. Faktyczne wyrzeczenie się posiadłości i swej woli przez jednych, ma w myśl Kościoła służyć za żywą zachętę drugim do oderwania się duchowego od świata, czyli do należytej oceny rzeczy stworzonych, będących nie celem człowieka, ale środkami pomocniczymi do jego dopięcia. To zadanie pełniły w Kościele zakony, które w większej lub mniejszej mierze usiłowały wcielić w swem życiu ów wyższy ideał chrześcijański. Błąd radykalny Nieplujewa upatrujemy w tem, że chociaż nie śmie on rozpaczać o zbawieniu tych, co nie naśladują trybu życia jego »Bractwa«, jednak wszelkie inne formy życia traktuje w swych pismach, jakby jakiś pół-chrystyanizm tylko, któremu prędzej czy później, oczywiście sposobem pokojowym, koniec

położyć należy. Tymczasem ta właśnie proponowana i oczekiwana przez Nieplujewa powszechność życia wspólnego, nie tylko nie wypływa z przesłanek chrześcijańskich, ale owszem gwałci prawo natury, nakładając na jednostki nie już moralny, ale wprost fizyczny przymus poddania się komunistycznej formie życia. Przez takie upowszechnianie gmin komunistycznych, znikłaby z nich ta wolność wyboru i trwania w nich, jaka obecnie cechuje Bractwo Nieplujewa. O niemożliwości zresztą powszechnego komunizmu powinno było przekonać Nieplujewa i własne jego doświadczenie. Wie on, jak mało ludzi posiada, a nawet jak mało kto osiągnąć jest zdolny ten stopień ofiarności, jakiego wspólne życia wymaga. A cóż z innymi począć? Czy wyrzucić ich poza nawias chrześcijaństwa i społeczności ludzkiej? Trudności, płynące z komplikacyi nieodłącznych od stanu społeczeństwa, które osiągnęło pewien wyższy stopień cywilizacyi i uspołecznienia, pomijamy. Stają one silnie w poprzek wszelkim, nawet szlachetnym ale zbyt powszechnym, usiłowaniom zwolenników komunizmu i tak są widoczne dla każdego, że na śmiech byśmy się narazić musieli, gdybyśmy chcieli je wyliczać i siłę ich wykazywać.

Z tych powodów naiwną wydaje się nam i owa propozycya Nieplujewa, co do nadania rosyjskim m i r o m kolorytu jego »Bractw«. Zapewne, że ekonomicznie nawet rzecz biorąc, Bractwo pracy typu Nieplujewa nieskończenie wyżej stoi od dotychczasowej gminy chłopskiej w Rosyi. Pozwala ono prowadzić racyonalne gospodarstwo, zaprowadzać melioracye, korzystać z pomocy maszyny, podczas gdy »mir« rosyjski wyjaławia ziemię, rodzi lenistwo i nędzę, jak to i sam Nieplujew dosadnie opisuje. Mimo to, jeśli można czego życzyć rosyjskim »mirom«, to tylko rychłej ich parcelacyi między włościan. Musieliby oni uczyć się intenzywnej pracy na swoim kawałku roli i nie oglądać się na ręce cudze. Do zawierania zaś w interesie własnym dobrowolnych rolniczych związków stałaby im droga otworem. Chcieć zaś przeobrażać w klasztory te kupy ludu, które, według samego Nieplujewa, żadnej prawie religii nie znają i do żadnej ofiarności nie są zdolne, by tym dopiero sposobem doprowadzić je do materyalnego bytu — daleka to droga. Prawodawca, któryby zostawił

gminy rosyjskie w obecnym stanie i, zamiast reform doraźnych, popierał jedynie akcyę religijną w stylu Nieplujewa, byłby podobny do tego, kto mając gasić pożar, siliłby się zatrzymać wiatr, rozdmuchujący ogień.

Jakież więc znaczenie upatrujemy w »Bractwach pracy« Nieplujewa, żeśmy, pomimo minimalnego ich znaczenia ze stanowiska pracy społecznej, tyle kart im poświęcili? W »Bractwach« tych witamy jeden z sympatyczniejszych objawów tej etycznej reakcyi, jaka na wielu miejscach powstała ostatnimi czasy przeciwko moralnemu nihilizmowi życia bez zasad i hamulca żadnego. Objaw ten na tem większą zasługuje uwagę i pochwałę, że wychodzi od człowieka świeckiego, w społeczeństwie, gdzie życie religijne zamknęło się w suchych formułkach i Kościół prawie nic nie przedsiębierze w interesach umoralnienia wiernych. Na pochwałę Nieplujewa zapiszmy i to jeszcze, że nie poszedł za przykładem tej części inteligencyi, która, widząc braki swojego kościoła, odwraca się od chrystanizmu wogóle i zrzeka się samej myśli odnowienia świata przez chrystyanizm. Nieplujew, zamiast tworzyć etykę niezależną, wolał zagłębić się w ducha chrystyanizmu i tam poszukiwać podstaw do pracy nad podniesieniem swojego ludu; zamiast osłabiać swój kościół usuwaniem się z niego, wolał go ożywić, wnosząc weń pewną dozę swojej własnej pracy. Takie objawy zasługują na uznanie, gdziekolwiek będzie ich miejsce.

Nieplujew stworzył właściwie jakiś rodzaj klasztoru dla ludzi życia rodzinnego, jak istniały klasztory dla bezżennych. O ile ta próba będzie trwałą, przyszłość pokaże. To tylko można powiedzieć, że egzystencya jego zależy od zachowania tej religijnej atmosfery, jaka go obecnie przenika. Jeżeli się utrzyma, jeżeli się rozszerzy, może oddać społeczeństwu niemałą zasługę. Lepsze jednostki wyrwie z chaosu życia i dostarczy im środków własnego doskonalenia się, a względem otoczenia może w pewnej mierze spełniać tę misyę żywego przykładu pobożności i pracowitości, jakiego dać nie mogą rozluźnione i karyerowiczostwu oddane tamtejsze zakony.

Ks. Jan Urban.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

XI.

Po wyjeździe z Warszawy uskarża się Sobieski: »To najcięższa, że... pokazać się nie chciało, abyśmy przynajmniej wiedzieli, na czem i dlaczego ten tak potrzebny rozrywa się sejm, ponieważ mu (t. j. królowi) się na wszystko pozwalało, czegokolwiek upór jego zdał się potrzebować«. Żegocki, dawny żołnierz, a obecnie biskup chełmski, wielki króla Michała adorator, nie dając się ułożyć namiętnościom, podał do grodu akt konfederacyi zawartej przeciw »malkontentom«, w czem miano na pierwszem miejscu na myśli nie kogo innego, jak właśnie samego hetmana! Sejm nie doszedł, a zerwał go stronnik króla, Ubysz, poseł gostyński! Czekał Sobieski, że przynajmniej narada senatu uchwali środki wojenne. Czekał do dnia 7 lipca i — nie doczekał się! Zbyto go pospolitem ruszeniem, a on miał już wiadomości, że sułtan lada dnia ruszy w pochód!

Co miał robić, przewidując straszną klęskę, on, taki gorący patryota, a do tego hetman?! W Kamieńcu było ledwie 1.100 żołnierza załogi, a cała armia hetmana koronnego składała się — z dwóch tysięcy!! Rozpaczliwe było położenie Sobieskiego i pod wpływem zapewne tych przerażających zaiste okoliczności zmienia się znowu sytuacya polityczna. Sobieski, który do 28 czerwca szczerze zaręczał, że o detronizacyi nie myśli, zgodził się na nią dnia 7 lipca i przystał do spisku detronizacyjnego.

Spisek rozgałęził się szybko i objął tym razem szerokie kręgi. Dnia 1 lipca podpisano u Prażmowskiego sekretny akt konfederacyi malkontentów. Zwracali się do Ludwika XIV z prośbą, żeby wyznaczył kandydata na tron polski. Podpisało się od razu 38 osób; w ciągu następnych dwóch tygodni urosła liczba podpisów do dwustu; a do dnia 24 lipca było już w samej Warszawie zebranych podpisów 367, oprócz tych, które kładziono na egzemplarzach rozsyłanych do województw. Sobieski nie tylko się podpisał, ale przyjął pełnomocnictwo do działania w imieniu całego stronnictwa wraz z Prażmowskim. Wtenczas-to dnia 7 lipca 1672 r. wysłał wspólnie z prymasem list do Ludwika XIV, żeby przysłał Lougueville — oczywiście z wojskiem posiłkowem przeciw Turcyi.

A Lougueville — od trzech tygodni już nie żył! Zginął 12 czerwca przy słynnej w dziejach wojskowych przeprawie przez Ren pod Tollhuys. W Warszawie dowiedziano się o tem dopiero 13 lipca. W dwa dni potem, dnia 15 lipca, pisze Sobieski ponownie, prosi o Kondeusza lub kogokolwiek, byle dostać wojsko. Detronizacya Michała była mu tylko środkiem do otrzymania armii francuskiej, sprzedawał w tej chwili koronę polską za posiłki przeciw Turkowi. Cała partya malkontentów wysila się, żeby wydostać z Francyi żołnierza. Ktokolwiek go przywiedzie (Kondeusz, Turenniusz czy Conti), zostanie królem polskim! Ludwik XIV pozostaje głuchym. Grożą mu tedy, że się przerzucą do Karola Lotaryńskiego, groźba nie skutkuje. Chwytają się nowego sposobu: Obiecują tron dziedziczny, ba! władzę absolutną, posyłają listy z wyrzekaniem się ukochanych wolności — i ten sposób zawodzi! A tymczasem sejmiki relacyjne (20 lipca) żądają, żeby wydać pozwy przeciw Prażmowskiemu, Morsztynowi i Sobieskiemu, a pospolite ruszenie uchwalają — na obronę króla. Regimentarz Łużecki walczy na Ukrainie ze zmiennem szczęściem z Kozakami, a król odwołuje go w Lubelskie dla obrony od malkontentów. Sobieski ordynuje do Kamieńca piechotę łanową i prochy dostarczone przez elektora, a król zabiera to wszystko dla siebie do Warszawy — podczas gdy Turek dnia 1 lub 2 sierpnia 1672 stanął już pod Chocimiem.

Będziemyż się dziwili, że »malkontenci« uważali króla Michała za zmorę Polski na tronie? Ależ biskup krakowski Trzebicki, który nigdy do opozycyi nie należał, pisał pod wrażeniem tych strasznych stosunków (list z 26 sierpnia 1672), że bardzo żałuje, że sprzeciwiał się »świątobliwym i mądrym« zamysłom Ludwiki Maryi i elekcyi Kondeusza. Nawet tacy mieli już do syta króla Michała i cóż się dziwić Sobieskiemu lub takiemu Prażmowskiemu, który całe życie pracował nad związkiem z Francyą!

Żałował Trzebicki, że nie był niegdyś za Kondeuszem. Czy też nie żałował Prażmowski, że nie był niedawno za Sobieskim? W łonie spisku detronizacyjnego teraz nie myślał też nikt o Sobieskim, ale bo też obecnie pierwszym celem tego spisku było otrzymanie posiłków zagranicznych, a więc o żadnym »Piaście« nie mogło być mowy.

Zwaliło się 277.000 wroga przeciw 2.000, którymi rozporządzał Sobieski. Nie miał nawet o czem wyjść w pole! Król wyjechał z Warszawy dnia 12 sierpnia i potrzebował dziesięciu dni, żeby przebyć 18 mil, do Janowca i tam stanął, czekając na wielkie poselstwo od cara, które miało przybyć z ratyfikacyą przymierza zaczepno-odpornego. Za nadzieję posiłków z tej strony oddano Kijów. Poselstwo jakoś nie spieszyło się, a tymczasem Kamieniec znalazł się w ostatecznych opałach. Generał ziem podolskich, Mikołaj Potocki, spełnił jak najlepiej wszelkie swe obowiązki, szczupła załoga broniła się bohatersko, ale na nic się to nie zdało! Kamieniec Podolski musiał kapitulować dnia 26 sierpnia 1672 r. Gdy parlamentarze wracali z tureckiego obozu, major artyleryi Heyking podpalił dwieście beczek prochu w wieży i wyleciał w powietrze, przyprawiając zarazem o śmierć 700 ludzi. Podczas wjazdu tryumfalnego sułtana do Kamieńca należał Doroszeńko do orszaku sułtańskiego. Wydawszy manifest o zdobyciu Kamieńca chlubił się, że »Jego sułtańska Mość natychmiast puszcza nas z wojskami swojemi na wygubienie osad lackich«.

Jakżeż zachowywał się dwór królewski wobec tak poważnego niebezpieczeństwa? Otóż mamy wiadomość z dnia 27 sierpnia 1672, a więc nazajutrz po kapitulacyi Kamieńca, wiadomość smutnie pouczającą, jako na dworze głoszono, że Turcy

wcale do Polski nie weszli i że oblężenie Kamieńca jest kłamstwem zmyślonem przez malkontentów.

W dwa tygodnie po kapitulacyi przybyło do Janowca do króla poselstwo moskiewskie i ratyfikowano traktat zaczepno-odporny dnia 8 września. Ale nie było z niego żadnego użytku. I Ludwik XIV odmawiał stale udziału w sprawach polskich. Nie zrażał się Sobieski fatalnym wynikiem tegorocznej kampanii; kuł plany przyszłego odwetu i łudził się, że przynajmniej na przyszły rok otrzyma Polska posiłki z Francyi. Na razie radby zażegnać wszelkie nieporozumienia wewnętrzne. Z największym pedantyzmem dbał o to, żeby mu dwór nie mógł nic zarzucić i wzywał wszystkich, żeby się garnęli do króla.

Pospolite ruszenie wyznaczone było dopiero na dzień 8 września, a z początkiem października obóz pod Gołąbiem był jeszcze niemal pusty. Tatarzy wybrali się na pustoszenie Rusi Czerwonej i część tureckiej armii ruszyła pod Lwów. Kiedy 24 września zaczęło się ostrzeliwanie Lwowa, jeszcze obrona kraju nie była obmyśloną. Prowincya broniła się, jak mogła, dokonano też niejednego prawdziwie bohaterskiego czynu, ale stolica Czerwonej Rusi musiała się okupić 80.000 talarów; z tego ledwie 5.000 zdołano zapłacić gotówką, a za 75.000 dano dwunastu mieszczan na zastaw, którzy nasiedzieli się w więzieniu tureckiem w Kamieńcu Podolskim, nim ich wykupiono. Sobieski musiał przenieść swój obóz z pod Hrubieszowa pod Krasny Staw; tak kazano mu zrobić dla zabezpieczenia osoby królewskiej. Tam doszła go wiadomość 4 października, że nieprzyjaciel zamierza rzeczywiście ruszyć wprost na króla. Przeniósł więc obóz pod Krupę i zebrawszy nakoniec nieco więcej wojska, rozpoczął ową podziwianą wyprawę na czambuły tatarskie. Mając zaledwie niespełna 4.000 jazdy, bez dział, wozów ni bagaży, ruszył na Tatarów, których tak przepłoszył pod Narolem, Niemirowem, Komarnem, Kałuszem, że odebrał 44.000 jassyru! A król miał go w posądzeniu, jakoby on sam tych Tatarów naprowadził na Polskę! Kiedy Turcy odstąpili od Lwowa, zamierzał Sobieski odciąć im drogę do mostów na Dniestrze, lecz potrzebowałby do tego kilka tysięcy żołnierza. Nie mógł go jednak dostać, a Haneńko, hetman Ukrainy z ra-

mienia króla i Rzeczypospolitej, odmówił mu towarzystwa broni, bo król kazał mu stać w Zamościu! Takie działy się rzeczy, a zatem niema się czego dziwić, że rozszerzało się coraz bardziej koło malkontentów, a francuskie sympatye nie wyniknęły wcale z jakiejś intrygi prymasa, skoro największy nieprzyjaciel Prażmowskiego, ów Piotr Kochanowski, starosta radomski, zgodny był jednak z prymasem w poglądach politycznych i pisał do opata Paulmiersa pod datą 13 października 1672 r.: »My decydujemy się nie tylko na przymierze z Francyą, ale na nierozerwalne i wiekuiste połączenie dwóch narodów, na wcielenie *(incorporationem)* królestwa polskiego do królestwa francuskiego. Niech tylko Jego Najjaśniejsza arcychrześcijańska Mość raczy przyjąć rządy tak rozległego królestwa albo sam bezpośrednio, albo przez wicekróla. Przeklinamy zbyteczne *(superfluas)* prawa nasze, znosimy szkodliwe zwyczaje, chcemy żyć w ojczyźnie naszej podług wolności francuskiej. Oto cośmy z przyjaciółmi zbadali, pomiędzy sobą ułożyli i postanowili i za dobre uznali«. Wyrażenia te są aż nazbyt silne do scharakteryzowania sytuacyi.

Bo też pospolite ruszenie dopiero się zbierało, a han tatarski przestrzegał, że jeżeli się nie zawrze pokoju zaraz, sułtan zażąda odstąpienia nietylko Ukrainy (na lenno sułtańskie Doroszeńce) i Podola, ale też nadto Rusi Czerwonej. Przeraził się król, a jego doradcy najmniej mieli ducha wtenczas właśnie, kiedy Sobieski poczynał już przeganiać Tatarów. Traktat buczacki zawarto 16 października, właśnie wtenczas, kiedy obóz pod Gołębiem poczynał się zapełniać! Słusznie wywodzi p. Korzon, że wystarczało rozpocząć rokowania, żeby zyskać na czasie, ale potem należało komisarzy odwołać i mając już kilkadziesiąt tysięcy rycerstwa, chociażby lichego, próbować jednak orężnej rozprawy. Król zatrzymywał z dala od pola wojny Haneńkę, Łużeckiego, piechotę łanową, swoją gwardyę, pięćset dragonii brandeburskiej, przysłanej przez elektora Fryderyka Wilhelma II, i wreszcie całe pospolite ruszenie pod Gołąbiem. Pod koniec października miał w każdym razie około 40.000 zbrojnych pod swymi rozkazami. Zamiast ruszyć pospolitaków na pole walki, pozwalał im burzyć się przeciw Sobieskiemu! Stało też w gotowości wojsko litewskie

pod Kobryniem, ale nawet się nie ruszyło. Ogłoszono natomiast pod Gołąbiem »Koło generalne«, medytowano, jakby ogłosić konfederacyę generalną dla obrony króla (któremu przecież w tej chwili nic a nic nie groziło), żądano kar i konfiskat na »malkontentów«, a na Sobieskiego miotano obelgami, że się łączy z Turkami! Sprawcą tej zawieruchy był niejaki Łoziński, obieżyświat, najęty przez kogoś, kogo nie udało się wytropić w źródłach. Sam Łoziński nie był nawet szlachcicem. Pokazało się potem w następnym roku, że był on kowalem, złotnikiem, braciszkiem klasztornym, a pierwotnie chłopem poddanym pisarza krakowskiego. Kto mu dostarczył środków, kto mu kazał zamienić się w szlachcica-krzykacza i kto go wyuczył, co ma robić pod Gołąbiem, nie wiadomo. Tego samego dnia, kiedy podpisywano haniebny traktat w Buczaczu, ułożono pod Gołąbiem obszerny akt konfederacyi, który kazano zaprzysiądz senatorom. Nazajutrz ruszył król z pod Gołąbia, a dnia 20 października zatoczono pod Lublinem obóz konfederacyi generalnej. — Przeciw komu? — Pospolitacy zniszczyli posiadłości Sobieskiego w Lubelskiem, a sam król wyprawił do obozu jego w Krupem z rozkazem, żeby piechota kwarciana nie słuchała niczyich ordynansów, ani nawet samego wielkiego hetmana i żeby się nie ruszała, póki się z nią pospolite ruszenie nie złączy! Już, kiedy miano wiadomość o zwycięstwie Sobieskiego pod Kałuszem, wygłosił niejaki Laskowski w obozie pod Lublinem mowę, że Sobieski jest zdrajca i że w Kamieńcu umyślnie nie zostawił ani funta prochu! I nikt nie ujął się za hetmanem! Król czynił zarządzenia zmierzające widocznie do wojny domowej. Prosił elektora, żeby pozwolił użyć swej dragonii przeciw buntownikom (ależ nigdzie żadnego buntu nie było!), a do Krakowa posłał po klejnoty koronne, ażeby na nie pożyczyć 400.000 złp. Do wojska koronnego posłał rozkaz, żeby się połączyło ze szlachtą i zaprzysięgło wierność konfederacyi gołąbskiej.

Sobieskiemu nie domowa jednak wojna była w głowie! Mijały tygodnie, a nie okazali się nigdzie owi »buntownicy«, na których czekała konfederacya zbrojno pod Gołąbiem, zamiast ruszać na zewnętrznego wroga. Nareszcie znudziło się czekanie i w połowie listopada nie było już całkiem pospolitego ruszenia.

Sobieski snuł plany, jakby zmyć hańbę buczacką i miał już konkretne projekty wojskowe, a tu tymczasem trwają dalej w najlepsze przygotowania do wojny domowej! Dnia 22 listopada skonfederowało się wojsko litewskie w obronie króla, a więc przeciw Sobieskiemu, którego król uwziął się mieć w podejrzeniu. Musiał więc hetman myśleć także o sobie, a powiedzmy też, że miał obowiązek ten wobec państwa, bo on był jedynym, który mógł ocalić Rzeczpospolitę od niedołęstwa i bezmyślności króla, zajętego sobą, a nie państwem. Obowiązkiem jego było zapewnić sobie wierność wojska, którego nie zamierzał użyć do żadnej prywaty. Dobrze tedy uczynił, że założył dnia 23 listopada własną konfederacyę wojskową w Szczebrzeszynie (w Zamojszczyźnie), oświadczającą się przy honorze i powadze hetmańskiej. Również dobrze postąpił, że nie dał zabrać klejnotów koronnych na koszta zamierzonej wojny domowej, lecz położył na nie areszt za nieopłacone należytości wojska Rzeczypospolitej.

Nie tracił jeszcze nadziei, że nadejdą posiłki z Francyi. Próbował pozyskać Ludwika XIV obietnicami coraz większemi, zobowiązywał się wszcząć wojnę z elektorem (do czego Polska miała zupełne prawo z powodu sprawy Kalksteina), a gdyby cesarz wystąpił w obronie Michała przeciw francuskiemu kandydatowi, przyrzekał wkroczyć na Ślązk i na Morawy. Pojechał do Prus i za jego zapewne wpływem stanęły uchwały sejmiku generalnego grudziądzkiego dnia 15 grudnia 1672 r. Odmówiono tam przystąpienia do konfederacyi lubelskiej, zaciągnięto 600 piechoty i oddano ją pod komendę Sobieskiego, jakkolwiek król kazał ten zaciąg rozpuścić. Był więc hetman na prawdę przygotowany do zaatakowania Prus książęcych. Ale Ludwik XIV nie potrzebował już Polski do swej polityki i nadeszła z Francyi niepomyślna odpowiedź. Jeszcze raz prosił Sobieski, żeby francuski kandydat (któregokolwiek wyznaczyłby Ludwik XIV) przyprowadził z sobą chociaż 10.000 piechoty, a zaręczał, że będzie się działać przeciw cesarzowi i elektorowi w Prusiech, na Ślązku i w Węgrzech; ale też tym razem, pisząc z tą propozycyą dnia 30 grudnia 1672 r., wyznaczył termin pięciotygodniowy, jako stanowczo ostateczny termin, po którym musiałby radzić Rzeczypospolitej i sobie bez

Francyi. W Wersalu nie dbano o to. Łatwo się było domyśleć, że posiłki francuskie musiałyby walczyć przedewszystkiem przeciw Turcyi, bo inaczej kandydat francuski naraziłby się na powszechną nienawiść i sam Sobieski nie dałby mu swego poparcia. Chciał hetman pozyskać króla francuskiego widokami sporządzenia »kleszczów« przeciw Habsburgom; ale w Wersalu pamiętano, jak sam mawiał, że w danym razie zwróciłby się do Austryi o pomoc i forowałby Karola Lotaryńskiego. Wiedziano, że Sobieskiemu chodzi o wzmożenie sił wojennych Polski i o nic więcej, a trzymano się tego, że najlepszemi kleszczami na cesarza będzie zawsze sam Turek i dlatego zapewne nie uważano za stosowne dostarczać Polsce środków do walki z Turcyą. Obliczenia polityczne Sobieskiego opierały się na bardzo kruchej podstawie i z tego względu słuszność ma p. Korzon, twierdząc, że hetman niepotrzebnie czas tracił.

Skoro Francya odmawiała kupna korony polskiej za dostarczenie swej armii, a cesarz miał pokój z sułtanem, trzeba było próbować radzić sobie własnemi siłami. Szkoda, że złuda zagranicznej pomocy wcześniej nie pierzchnęła; byłoby lepiej dla kraju! Za pośrednictwem królowej i nuncyusza rozpoczęły się 19 stycznia 1673 r. konferencye pojednawcze pomiędzy dworem a prymasem, prowadzone w Ujazdowie i w Łowiczu. Ze strony malkontentów czekano jeszcze, aż minęło owych pięć tygodni danych Francyi na *ultimatum* i zwlekano z wszelką stanowczą deklaracyą. W sam raz ostatniego dnia pięciotygodniowych przewlekań i żmudy, dnia 3 lutego 1673 r. przybyło wreszcie z Łowicza, od prymasa poselstwo, na układy do Warszawy i tego samego dnia uchwalono w Warszawie wznowić wojnę turecką, odmówić ratyfikacyi traktatowi buczackiemu. Przyczyniła się do tego obecność posła moskiewskiego, który obiecywał 80.000 posiłków, a więc armię nielada, mogącą wynagrodzić po wielekroć pomoc francuską; w tem jednak do francuskiej podobną, że okazała się podobnież — zawodną. Dnia 19 lutego stanęła zgoda stronnictw, a wkrótce skasowano konfederacyę lubelską. A jednak była jakaś koterya, która jeszcze próbowała wodę mącić. Marszałek konfederacki, pisarz polny Czarniecki jest jedyną wybitniejszą

figurą, którą z tej koteryi można w źródłach wyłowić, ale trudno przypuścić, żeby na własną rękę robił to, co czynił. Dawno już miał służyć dworowi za taran przeciw Sobieskiemu i nieraz powierzał mu król komendy z uszczupleniem władzy hetmańskiej; on przywodził konfederacyom i sejmowym atakom na malkontentów, przyczem pamiętał dobrze o sobie i miał już w kieszeni dekret na mające uledz konfiskacie dobra po Prażmowskich. Wypadało mu marszałkować na sejmie zwołanym pod zasłoną konfederacyi, lecz zachorował i przez trzy tygodnie nie było go widać. Wyzdrowiał i objął przewodnictwo obrad dnia 21 lutego, a tegoż dnia zjawił się ni stąd ni zowąd ów znany nam już z pod Gołąbia Łoziński i podał się na delatora zdrady kamienieckiej. Oskarżał generała podolskiego, Mikołaja Potockiego, a inne osoby obiecywał wymienić przed sądem, że wzięli od Turków kilka milionów. Czarniecki wyjednał głos Łozińskiemu, a król kazał ogłosić od tronu, że będzie on zabezpieczony opieką marszałków, że dostanie gospodę z urzędu, a ze skarbu koronnego ma być dla niego obmyślana prowizya. Nie udała się jednak sztuczka. Ciekawym jest fakt, że gdy 25 lutego skasowano wyrok na Prażmowskiego, Czarniecki zażądał dla siebie wynagrodzenia ze skarbu publicznego i dostał 130.000 złp. Równocześnie toczyły się narady wojenne. Sobieski złożył swą opinię na piśmie, ale osobiście nie chciał brać w naradach udziału, póki nie będzie podpisaną ugoda z całem stronnictwem francuskiem. Skończyły się te korowody dopiero 12 marca i od tej chwili »kołowanie« konfederacyi generalnej zamieniło się na posiedzenia sejmu walnego. Sytuacya nagle się rozjaśnia. Mówcy sejmowi współzawodniczą z sobą w wygłaszaniu mów na cześć Sobieskiego, a za poniesione na publicznej posłudze straty przyznał sejm Sobieskiemu i jego potomstwu aż do czwartego pokolenia kwotę 150.000 na starostwie gniewskiem w Prusiech. Uchwalono wszystko, czego tylko żądał hetman na nową wojnę; grube podatki i znaczne zbrojenia. Na Łozińskiego spadł wyrok śmierci. Sobieski wyjednał mu darowanie życia, zamknięto go więc w gdańskiem więzieniu. Śmierć prymasa Prażmowskiego (umarł 15 kwietnia 1673) ułatwiła jeszcze bardziej zupełne pojednanie i ostateczne uspokojenie się umysłów.

Na Sobieskiego zwróciły się znowu oczy wszystkich, jako na jedynego wybawiciela; gdy sobie zastrzegł, że aż do przyszłego sejmu nie będzie mógł nikt otrzymać komendy niezależnej od niego, zgodzono się na to. Powierzono mu tak rozległą władzę, że niektórzy nazywali to dyktaturą. Wracały się dla niego czasy z ostatniego roku panowania Jana Kazimierza; wszak i wtenczas miał władzę dyktatorską i był nader popularnym. Teraz zaś miał się stać niebawem jeszcze popularniejszym, niż wówczas.

Wyprawa chocimska 1673 r. opracowaną jest w dziele p. Korzona szczegółowo. Wszystkie wogóle wojenne sprawy tych czasów znalazły w nim jak najgruntowniejszego badacza i jest w jego książce tysiące szczegółów ciekawych i pouczających. Dla braku miejsca pominęło się tu wiele ważnych nawet rzeczy, a z kampanii 1673 r. przytoczymy tylko, co dla sytuacyi ogólnej jest charakterystycznem. Sobieski miał usposobienie wielce pojednawcze i o tyle tylko dbał o swą osobę, o ile rzecz sama czasem koniecznie już tego wymagała. Spieszno mu było przeprawić się przez Dniestr, aż tu hetman litewski, Michał Pac, przybywszy 24 października pod Wieś Łukę, gdzie miano próbować przeprawy, sam, zostawiwszy wojsko swoje o milę za Buczaczem, proponuje, żeby je rozłożyć na Podolu albo Ukrainie, żeby wypoczęło przez dwa lub trzy miesiące! Pokazało się, że Pac był niezadowolony, że wojsko królewskie szło przodem! Sobieski oświadcza, że nietylko w tem gotów ustąpić, ale nawet poddać się pod jego komendę. Pojednali się hetmani, a Sobieski stał się nie tylko wodzem, ale duszą całej armii. Do rady hetmańskiej chciał należeć Czarniecki... przystał na to Sobieski, jakby nie wiedział, co to właściwie ma znaczyć. Był pewny swego, czuł swą wyższość i mógł sobie powiedzieć, że wszelkie dokuczania zawistnych nic mu nie szkodzą. Stanąwszy pod Chocimiem 9 listopada, dawał przez trzy dni pole nieprzyjacielowi, lecz Turek nie ruszył się z poza okopów. Przypuszczono szturm próbny, potem przez całą noc artyllerya i piechota były czynne, a nazajutrz zaręczył Sobieski w przemowie do wojska, że przy nowym szturmie weźmie szańce w kwadrans. Sam poszedł na czele swego pułku dragonów, ledwie go oficerowie odwiedli od tej brawury. I rzeczywiście, w jakie pół kwa-

dransa ukazały się sztandary polskie na szczycie wałów. Nastąpiła dwugodzinna bitwa, zakończona sławnem po wszystkie wieki zwycięstwem, a nazajutrz poddał się zamek chocimski i Turcy cofnęli się pospiesznie. Przeszło czterysta buńczuków i sztandarów i sama sułtańska zielona chorągiew dostały się w polskie ręce.

Król wybierał się własną osobą w to pole. Choroba nie dozwoliła mu dojechać dalej, jak do Skwarzawy za Lwowem. Wrócił do Lwowa i tam udzielił 24 października audyencyi posłowi moskiewskiemu, przywożącemu, jak zwykle, obietnice posiłków, podczas gdy Haneńko, zdradziwszy Rzpltę, przeszedł na tamtą stronę Dniepru. Przybył też poseł sułtański. Kanclerz Olszowski bał się, że poseł ten wiezie żółty kaftan wasalski z racyi traktatu buczackiego i nie dopuścił go już do audyencyi. Skonał król Michał dnia 10 listopada 1673 r., w wigilię zwycięstwa chocimskiego. Zwłoki jego wywieziono do Warszawy i tam utrzymywano je z górą dwa lata, co kosztowało około 8000 złp. na miesiąc. Słusznie zwraca p. Korzon uwagę, jak wydatek ten znamiennym jest dla samej idei monarchicznej w Polsce, a również sprowadzenie zwłok Jana Kazimierza z Francyi.

Sobieski chciał ruszyć z pod Chocimia pod Cecorę i dalej, ale Michał Pac odmówił udziału w dalszej wyprawie. Otrzymawszy wiadomość o zgonie króla nad Prutem dnia 21 listopada, prosił Sobieski prymasa (Floryana Czartoryskiego, sławnego z zacności) o przyspieszenie konwokacyi i elekcyi. Ostatniego dnia listopada wybrał się w powrotną drogę, a 16 grudnia stanął we Lwowie.

Nazajutrz po śmierci króla wyprawiła Marya Kazimiera zaraz do Francyi swego kamerdynera, a potem pułkownika Beaulieu, na własną rękę coś podejmując, bez wiedzy męża, który oczywiście nie mógł nawet jeszcze wiedzieć o tem, że nastało znowu bezkrólewie. W sam zaś dzień 10 listopada, a więc również o śmierci króla nic jeszcze nie wiedząc, wskazywał ablegat cesarski Stom na Sobieskiego, jako na następcę po obłożnie chorym Wiśniowieckim. Zrobił tę trafną uwagę tylko na podstawie obserwacyi stosunków. Nie ulegało wątpliwości, że kraj będzie chciał znowu Piasta, a trudno było przypuścić, żeby udała się powtórnie in-

tryga, która odwróciła w poprzedniem bezkrólewiu myśli od męża, który był jedyną tarczą Rzpltej. A cóż dopiero po Chocimiu! Sobieski nie czynił jednak ani tym razem żadnych a żadnych starań o koronę. Byli natomiast tacy, którzy powtórzyli komedyę z r. 1668 i 1669, a tym razem stanęli na czele akcyi przeciw Sobieskiemu Pacowie.

Kandydatem Paców był Karol Lotaryński, dawny narzeczony królowej Eleonory, wdowy po królu Michale. Zaczęła ona dopiero 21 rok życia i chętnie wydałaby się za tego, którego dla polityki oderwano od niej przed czterema laty. Dla utrzymania Eleonory na tronie popierał cesarz Lotaryńczyka, i tak zapewniali sobie Pacowie poparcie zagranicy przeciw Sobieskiemu. Rzucili też Pacowie zawczasu hasło wykluczenia Piasta i — szczególny zbieg okoliczności — w tem pomagał im sam Sobieski, bo i on był zasadniczo przeciwny Piastowi. Pragnął on pana, któryby »ubóstwo nasze swoimi ratował dostatkami, a przytem sławą wojenną był u świata wzięty«; tak pisze w liście do sejmiku lubelskiego z 20 grudnia, a miał przytem na myśli po staremu — Kondeusza. Pacowie zaś mieli na wypadek, gdyby szlachta upierała się przy Piaście, przygotowanych aż trzech kandydatów: Krzysztofa Paca, Michała Kazimierza Radziwiłła i kawalera maltańskiego Lubomirskiego; jeden z nich miałby spełnić tę rolę, którą w r. 1669 wykonał Michał Wiśniowiecki. Ale plany te pokrzyżowali Turcy, wkroczywszy w styczniu 1674 r., w sam raz podczas konwokacyi, w 60.000 do Mołdawii. Udało się wprawdzie Pacom przeprowadzić słowne postanowienie *(legem verbalem)*, żeby nie wybierać Piasta (wpisywać tego do konstytucyi nie chciano ze względów formalnych), udało się im też wyznaczyć termin elekcyi na 20 kwietnia, żeby nie mogli w niej brać udziału wojskowi, fanatycznie do Sobieskiego przywiązani, bo przewidywano, że wojskowi będą wtenczas zajęci nową wojną i wogóle zwracały się główne uchwały sejmu konwokacyjnego przeciw Sobieskiemu; ale zbliżająca się nowa wojna turecka stanowiła taką rekomendacyę i była tak potężną agitacyą za tym jedynym wodzem, który Turków bić umiał, że tym razem złość i zawiść pozostały bezsilnemi. Wszystkie sejmiki, zagajone 29 grudnia

1673 r., powzięły pochwalne i dziękczynne dla wodza uchwały. On sam żadnych z tego dla siebie nie wysnuwał wniosków i obstawał przy Kondeuszu. Ludwik XIV oświadczał się oficyalnie za młodym księciem Neuburskim, synem poprzednio kandydującego księcia, ale liczono na to, że w danym razie nie będzie Kondeuszowi przeszkadzał, gdyby go wybrano. Nie pozwalał król francuski wpisać francuskiego marszałka i księcia krwi urzędowo na listę kandydatów, ani oficyalnie się ubiegać o koronę i miał w tem zupełną słuszność. Nuncyusz Bonvisi przewidywał już w styczniu, że tym razem padnie wybór znowu na Piasta; tak samo przepowiadał poseł cesarski; zapewne więc i w Wersalu miano na tyle znajomości stosunków i słusznie nie chciano się kompromitować niepomyślnym rezultatem kandydatury; z drugiej zaś strony było to już przesądzoną precedensem sprawą, że można otrzymać koronę, nie kandydując oficyalnie. Wszak król Michał także niby nie kandydował! Tym razem jednak miał zasiąść na tronie taki, który naprawdę nie kandydował.

Pacowie chcieli ogłosić na elekcyi Lotaryńczyka Wielkim księciem litewskim i w imię unii wymusić potem zgodę koroniarzy. Byłoby to właściwie zrywaniem unii; spostrzeżono się i za wczasu uderzono na alarm. Ale stronnictwo lotaryńskie gotowało się ogłosić pospolite ruszenie, a miało po swej stronie prymasa; możeby w takim razie i cesarskie pułki wkroczyły do Polski. Na ten wypadek trzymał Sobieski w pogotowiu sześć tysięcy wojska (nieprawdą jest, jakoby ruszał na elekcyę z całą armią z pod Chocimia, bo ta pozostała w Mołdawii pod Sieniawskim) i powiedział, że raczej da się porąbać, niż dopuści Lotaryńczyka. W maju mógł jednak wiedzieć już napewno, że francuska kandydatura nie może liczyć na lepsze powodzenie, niż w poprzedniem bezkrólewiu. Morsztyn i Sobieski zabezpieczali się na wszystkie strony, na wypadek wyboru elektorowicza brandeburskiego (o ileby przyjął katolicyzm), Neuburczyka lub nawet księcia sabaudzkiego Tomasza, zapewniwszy sobie od tych kandydatów kwoty pieniężne i szafunek wszystkich dostojeństw w razie wyboru którego z nich. Nie mogąc przeprowadzić Francuza, (na pierwszem miejscu Kondeusza, na drugiem d'Anguiena lub Conti'ego)

zdecydowanym więc był Sobieski na kogokolwiek, byle nie na Lotaryńczyka i w razie tej kandydatury groził Pacom rozlewem krwi jeszcze w sam dzień elekcyi.

Nie mógł Sobieski nie wiedzieć, że będzie sam podany na kandydata; żył przecież między ludźmi, nie był naiwnym, a miał Marysienkę za żonę. Marya Kazimiera przedstawiała tę sprawę ambasadorowi francuskiemu 11 maja, ale sam ten ambasador (biskup Toussaint Forbin Janson) stwierdza, że Sobieski bardzo się wahał. W stanowczym dniu miał jednak do wyboru tylko pomiędzy Lotaryńczykiem, a samym sobą, bo gdyby kandydatury nie przyjął, przeszedłby kandydat polityki habsburskiej, ponieważ on tylko miał zorganizowane, świadome celu i środków, stronnictwo, wiedzione karnie przez Paców. Kandydaturę Sobieskiego podał wojewoda Jabłonowski, a popierał go Andrzej Maksymilian Fredro (który należał poprzednio do konfederacyi gołąbskiej) i biskup chełmski Stanisław Dąbski. I Stefan Czarniecki, sam marszałek konfederacyi z pod Gołąbia i Lublina, także gorąco za nim przemawiał; widocznie szanse Sobieskiego były zbyt wielkie, żeby warto było dłużej płynąć przeciw wodzie. Głosowała też za Sobieskim część Litwy z Radziwiłłami i Sapiehami, tylko pacowska Litwa protestowała. Kazał więc Sobieski wstrzymać swą nominacyę, aż wybór będzie jednomyślny. Zgodzili się Pacowie nazajutrz i dnia 21 maja nominował prymas Sobieskiego. Dnia 5 czerwca wykonał przysięgę — *pacta conventa* zabrały bowiem jeszcze dwa tygodnie czasu. Pierwszą czynnością elekta była rada wojenna, która trwała trzy dni, a 18 czerwca zapowiedział, że odkłada koronacyę, musząc się zaraz udać do obozu. Senat prosił nowego króla, żeby zatrzymał przy sobie hetmańską buławę, jakkolwiek mogło to być bardzo niebezpieczne dla swobód szlacheckich. Nie było więc jeszcze w ówczesnej Polsce »anarchii«, owszem, był zmysł monarchicznej władzy, a pytanie, dlaczego ona się nie wyrobiła, chociaż mogła mieć poparcie w społeczeństwie, oczekuje jeszcze na historyka, któryby dał na nie odpowiedź. Co do mnie, nie uznaję żadnej a żadnej z dotychczas dawanych odpowiedzi; w każdej z nich są niekonsekwencye i sprzeczności i materyałem zaczerpniętym od samego p. Korzona

przeczę jego mniemaniu, jakoby już wtenczas ogarnęła społeczeństwo »choroba umysłowa«, objawiająca się gorącem pragnieniem jak najsłabszych rządów. Tego pragnęli tylko niektórzy (wcale nie wszyscy) możnowładcy i szczupłe jeszcze grono doktrynerów; ale ogół był jeszcze w r. 1674 na tyle zdrowym, że mogło się na nim oprzeć państwo potężne i były jeszcze wszelkie warunki, żeby Polska utrzymała w Europie swe mocarstwowe stanowisko.

Poszukując przyczyn upadku Polski, doszukiwano się ich daleko wstecz w historyi. Podawano nawet datę 1374 r., jako *terminusa quo* robak już toczył ten owoc, i że rozbiory Polski były już *in nuce* w przywileju koszyckim. Termin ten modernizowano czasem łaskawie, ale nie przesuwając go nigdy poza rok 1573. Po pracy p. Korzona okazuje się, że termin ten jest gdzieś aż dopiero po roku 1674 i to jest głównym rezultatem tego pomnikowego dzieła, jakkolwiek rezultatem przez samego autora niedostrzeżonym.

Dr. Feliks Koneczny.

POSTULATY PSYCHOLOGII DOŚWIADCZALNEJ.

(Ciąg dalszy).

Powiadają empiryokrytycy, że eksperymentator wtedy »zrozumie« obserwatora i zapozna się z jego stanem duchowym, kiedy pozna pewne bezpośrednio dane wielkości, na które wskazuje obserwator. Jabym jednak sądził, że jeśli się krytycznie nie zbada faktycznego stosunku między wypowiedzianem wskazaniem obserwatora a świadomem odczuciem, to się obserwator absolutnie nie pozna, »nie zrozumie«, a zatem nie osiągnie się celu badań psychologicznych, jaki empiryokrytycy sobie zakreślają. Bez przypuszczenia aktów świadomości, rzeczywistych i faktycznych, w obserwatorze — zrozumie się słowa czy znaki, w wypowiedzeniu przez niego użyte, ale nie zrozumie się obserwatora jako przedmiotu badań. »Psychologowie« czystego doświadczenia, odrzucając nasze postulaty, z doświadczenia bezpośrednio zdające się wynikać, stawiają własny postulat, zaprzeczający aktywności czynu jako istotnego warunku życia psychicznego, a konsekwentnie rugujący introspekcyę jako istotny warunek eksperymentu psychologicznego. Z naszego naczelnego postulatu wynika pierwszy warunek jako postulat konstytuujący psychologię doświadczalną wogóle, a z niego znów wprost wynika drugi warunek jako postulat umożliwiający i konstytuujący psychologię w ścisłym sensie eksperymentalną.

Eksperyment psychologiczny różni się między innemi zasadniczo od eksperymentu fizycznego, chemicznego, fizyologicznego

i t. p. właśnie czynnym udziałem obserwatora jako takiego, w powstaniu i przebiegu doświadczanych zjawisk psychicznych. Wartość wciągniętych do protokołu wyników może się stać zupełnie iluzoryczną, jeśli się nie weźmie w rachubę np. zmiany w zachowaniu się obserwatora pod względem uwagi. Jeżeli obserwator na początku, dajmy nato, szeregu doświadczeń z wielką bacznością zwracał uwagę na wskazane mu przez eksperymentatora pole obserwacyjne, a w dalszym ciągu świadomie był roztargnionym i nieuważnym, to wypowiedzenia jego co do zaobserwowanych zjawisk na początku i w dalszym ciągu szeregu doświadczeń odnoszą się do innych zupełnie aktów świadomości, powstałych w innych zupełnie warunkach doświadczenia. Takie wypowiedzenia nie mają żadnej zgoła wartości naukowej, jeżeli taka zmiana stopnia uwagi ujdzie kontroli i wiedzy eksperymentatora. W doświadczeniach fizycznych wywołuje się i obserwuje zjawisko przedmiotowe, którego przebieg zależy od eksperymentowania, nie zaś od obserwowania; w doświadczeniu psychologicznem sam przebieg zjawiska, albo nawet i samo jego wywołanie zależy nadto od sposobu obserwowania.

Własna obserwacya czy introspekcya obserwatora, używanego do doświadczeń psychologicznych, nie jest czemś poza obserwowanem zjawiskiem, ale jest istotnym czynnikiem tego zjawiska: zjawisko zależy od obserwowania. Ta zależność sprawia, że eksperyment psychologiczny jest tak zawiły i trudny. Ona też jest powodem niepłodności metody czysto introspektywnej. Zrozumienie tej prawdy, że zjawisko psychiczne zależy w swem powstaniu i w swym przebiegu od obserwowania, od introspekcyi własnej, pociąga wprost za sobą dwa wnioski o zasadniczej ważności dla badań psychologicznych:

1) Eksperyment dopiero czyni możliwem ściśle naukowe obserwowanie własnych aktów psychicznych;

2) Obserwacya własna jest istotnym warunkiem ścisłego eksperymentu psychologicznego.

Umiejętne połączenie własnej obserwacyi, t. zw. obserwatora, z eksperymentowaniem, t. zw. eksperymentatora, uczyniło dopiero z psychologii naukę ścisłą, do innych nauk przyrodniczych po-

dobną. Eksperyment bez obserwacyi własnych aktów obserwatora jeszcze nie byłby eksperymentem psychologicznym w ścisłym sensie wyrazu, bo taki eksperyment nie dosięgałby właściwego przedmiotu psychologii, t. j. aktów świadomości, aktów zatem bezpośrednio dostępnych tylko własnej obserwacyi człowieka, który je ma, czyli który ich na sobie doświadcza.

Naczelny nasz postulat domaga się od eksperymentu psychologicznego spełnienia pewnych koniecznych warunków, bez których eksperyment ten nie będzie konstatował faktycznego stanu rzeczy, tutaj rzeczywistych aktów świadomości, nie będzie zatem ścisłym eksperymentem naukowym. Niektóre z tych warunków koniecznych przejdę po kolei, nie dlatego, jakobym chciał podać teoryę albo zarysy teoryi eksperymentowania psychologicznego, ale dlatego, aby jeszcze więcej uwydatnić wyżej w formie postulatów podane założenia, których zrozumienie i przyjęcie jest konieczne, zdaniem mojem, dla dalszego rozwoju psychologii prawdziwie doświadczalnej i naukowej.

Najistotniejszy warunek ścisłości eksperymentu psychologicznego polega na zajęciu tak przez obserwatora, jak eksperymentatora stanowiska nieuprzedzonego zgóry powziętemi teoryami, hipotezami i jakimikolwiek bezkrytycznymi aprioryzmami. Cel eksperymentowania jest dowiedzieć się o rzeczywistym, faktycznym stanie zjawisk obserwowanych. Powiadają, że w doświadczeniach zadajemy pytania przyrodzie, a wynik doświadczeń jest odpowiedzią przyrody na postawione pytania. Niech i tak będzie, ale strzeżmy się w samem stawianiu pytań tego wszystkiego, co już z góry w jakikolwiek sposób przesądzałoby o zrozumieniu odpowiedzi otrzymywanych. Możnaby wiele przytoczyć przykładów podobnego przesądzania w samym sposobie pytania. Podam choć jeden.

Wielka część prac eksperymentalnych, odnoszących się do zakresu wrażeń zmysłowych, zajmuje się kwestyą, czy i o ile w danej sferze wrażeń zmysłowych ma miejsce t. zw. prawo Webera. Otóż, w celu otrzymania odpowiedzi na to pytanie'

najczęściej stosuje się t. zw. metodę najmniejszych zmian[1] według tradycyjnych przepisów i prawie powszechnie robi się kolejne zmiany podniet w każdym szeregu doświadczeń (szereg doświadczeń charakteryzuje pewna stała podnieta, normalną albo główną zwana, z którą się porównywa kolejno i stopniowo zmieniane podniety t. zw. porównawcze albo zmienne) sobie równe a względem normalnej podniety proporcyonalne. Jeżeli więc np. w szeregu doświadczeń przy normalnej podniecie = 100 stosowano zmiany: 1, 2, 3 i t. d., to w szeregu doświadczeń przy normalnej podniecie 1000 stosuje się zazwyczaj zmiany: 10, 20, 30 i t. d. Takie stawianie pytań już przesądza w pewnej mierze o oczekiwanej odpowiedzi, a polega na zupełnie dowolnem założeniu, że podniety np. 102 i 103 porównywane z normalną podnietą 100, wywołują czucia tak samo się od siebie różniące, jak czucia wywołane przez podniety 1020 i 1030, porównane z normalną podnietą 1000. Założenie to właściwie już oparte jest na prawie Webera, odpowiedź jest więc już co najmniej w części z góry narzucona.

Innym warunkiem ścisłości i krytyczności doświadczeń psychologicznych jest kierowanie się obserwatora w swych sądach i orzeczeniach li tylko bezpośrednio odczutymi aktami świadomości, o które w danych doświadczeniach właściwie chodzi, nie zaś ubocznymi jakimiś względami i okolicznościami, domysłami itp. Obserwator ma sumiennie obserwować wskazane sobie pole obserwacyjne i według zaobserwowanych bezpośrednio danych sądzić i orzekać, nie zaś zgadywać, domyślać się, trafiać. Eksperymentator zaś ze swojej strony tak powinien doświadczeniami kierować, aby miał do dyspozycyi sposoby kontrolowania dawanych przez obserwatora orzeczeń, i przez taką metodyczną kontrolę przekonał się, o ile krytycznym jest obserwator i sumiennym w obserwowaniu i orzekaniu.

Inne znów cechy ścisłego eksperymentu psychologicznego wynikają z wniknięcia trochę głębszego w jego naturę. Jak

[1] G. E. Müller nazywa tę metodę w najnowszej swej pracy *(Die Gesichtspunkte und die Tatsachen der psychophysischen Methodik.* Wiesbaden 1904) metodą granic *(Grenzmethode).*

w każdym eksperymencie naukowym, tak i w psychologicznym chodzi o to, aby z rozmaitych warunków i okoliczności, wśród których odbywają się badane zjawiska, pewne warunki i okoliczności pozostawić stałemi, niezmiennemi, inne zaś celowo i metodycznie zmieniać: badanie zależności przebiegu zjawiska od zmian tych pewnych warunków ściśle określonych stanowi istotę eksperymentu. W doświadczeniach psychologicznych stałymi warunkami eksperymentowanych zjawisk psychicznych są: naprzód o b s e r w a t o r, który od początku aż do końca szeregu czy grupy porównywanych z sobą oddzielnych doświadczeń miałby pozostać t e n s a m tak pod względem fizyologicznym, jak zwłaszcza psychicznym; następnie o t o c z e n i e, czy te jego czynniki, które mogłyby mieć wpływ szkodliwy na przebieg doświadczeń i ich wyniki (jakie są te czynniki, zależy to od rodzaju eksperymentowanych zjawisk, mogą więc nimi być niektóre np. z następujących: temperatura i ciśnienie powietrza, w którem odbywają się doświadczenia, stopień wilgoci, natężenie i ton światła, dźwięki i szmery w miejscu doświadczeń dające się słyszeć, wstrząśnienia aparatu lub posadzki i t. d.); dalej pewne manipulacye a p a r a t u i pewien sposób metodycznego postępowania; wreszcie w każdej grupie doświadczeń stałym jest pewien rodzaj podniety, w każdym szeregu doświadczeń pewna normalna podnieta. Zmienne warunki doświadczeń psychologicznych polegają na celowo i według pewnej metody stopniowem stosowaniu podniet, którym odpowiadaćby miały pewne akty psychiczne. Te akty psychiczne, tak co do powstania, jak charakteru swego i przebiegu byłyby z a l e ż n e od owych zmian podniet.

Ponieważ jednak ten akt psychiczny, czy te akty psychiczne, które powstają w każdorazowem doświadczeniu przy zastosowaniu danej podniety, nie tylko zależą od owej podniety, ale nadto od bardzo wielu innych warunków, przeto eksperymentator koniecznie powinien krytycznie zbadać, o ile zmienność aktów psychicznych zależy od zmienności podniet, a o ile od tych innych warunków. Jeżeli wszystkie warunki i okoliczności danego doświadczenia, od których zależy dany czyli wywołany akt świadomości, nazwiemy c z y n n i k a m i z m i e n n o ś c i, to

pewne z nich miałyby pozostać stałe od doświadczenia do doświadczenia, jak to wyżej wspomnieliśmy, a inne, t. j. zmiany podniet, miałyby być tylko celowo zmieniane, czyli miałyby być zmiennymi (niezależnymi) czynnikami zmienności. Absolutnej stałości, t. zw. stałych czynników zmienności w przyrodzie nie ma. Konkretnie w mniejszej lub większej mierze każdy z tych czynników ulega zmianom. Poprzestać więc trzeba na przybliżonej tylko stałości tych czynników. Stopień przybliżenia zależeć będzie od tej dokładności, z jaką się chce eksperymentować.

Te właśnie, t. zw. stałe czynniki zmienności psychicznej utrudniają niezmiernie eksperymentowanie i krytyczne wyzyskanie zebranego materyału doświadczalnego. Gdyby pewne z tych czynników uległy w czasie doświadczeń większej zmianie, tak iżby ich stałość była znacznie mniejszą od przewidywanego i dopuszczanego przybliżenia, to doświadczenia takie odbywałyby się w odmiennych warunkach, a zaobserwowane i skonstatowane zmiany eksperymentowanych aktów świadomości byłyby wtedy wywołane nie tylko przez celowe zmiany czynników zmiennych, ale także przez nieskontrolowane zmiany czynników za stałe uważanych: cel zatem eksperymentu byłby chybiony, taki eksperyment nie byłby ściśle naukowym, nie odpowiadałby naszym postulatom.

Niektóre ze stałych czynników zmienności dadzą się łatwo kontrolować przy baczności i staranności eksperymentatora. Tak np. łatwą jest kontrola większych przynajmniej, t. j. wyraźnie dostrzegalnych, zmian w otoczeniu, jakichś szmerów czy hałasów, dajmy nato; bez trudności większych da się również kontrolować aparat, jego manipulacye, sam sposób wywoływania podniet i t. p. Także i większe zmiany w zewnętrznem zachowaniu się obserwatora, w jego zewnętrznym sposobie obserwowania, przykładania się do doświadczeń i t. p. nie ujdą bacznej uwagi eksperymentatora. Ale trudność największa będzie polegała na kontroli tych zmian obserwatora, które nazewnątrz się nie okazują. O pewnych zmianach, fizyologicznych i psychicznych, będzie wiedział sam obserwator; od dobrej jego woli zależeć będzie udzielenie tej

wiedzy eksperymentatorowi. Ale innych fizyologicznych czy psychicznych własnych zmian nie zauważy nawet sam obserwator, a zmiany te mogą być i takie, które znacznie nawet przekraczają przybliżoną stałość. Wyśledzenie i kontrolowanie tych to zmian ostatnich, jakoteż i takich zmian obserwatora, o których on świadomie zamilcza, stanowi dopiero zasadniczo ważne zadanie eksperymentatora. Środkiem, jakim w tym celu rozporządza, jest umiejętnie wymyślona i stosowana, a do konkretnych warunków danych doświadczeń trafnie dostosowywana, metoda eksperymentowania.

Niestałość obserwatora, i fizyologiczna i psychiczna, w czasie doświadczeń nie może przekraczać pewnych granic, wskazanych przez rodzaj eksperymentowanych zjawisk, kierunek i stopień przybliżenia badań podejmowanych. Niestałość, granice te przechodząca, powodowałaby także niestałość samych wyników tak znaczną, że nie uprawniałaby do przeprowadzenia naukowej indukcyi.

Dla okazania trudności, na jakie napotyka eksperyment psychologiczny i jakie musi pokonywać, jeśli ma być ścisłym i naukowym, wymienię niektóre z czynników fizyologicznych i psychicznych, na sam sposób obserwowania wpływających.

Organiczne usposobienia czy dyspozycye, stan zdrowia, nastroje fizyologiczne mogą sprawić, że taka a taka osoba nie kwalifikuje się w o g ó l e na obserwatora psychologicznego, albo znów, że może być z niej niezły obserwator w pewnym tylko rodzaju doświadczeń psychologicznych, w innym zaś nie. Neurastenik np., w silniejszym zwłaszcza stopniu, nie nadaje się do takich doświadczeń, do których należy przez dłuższy czas ze stałą mniej więcej przykładać się pilnością i z jednakowem mniej więcej zabierać się usposobieniem: jego na takie rzeczy nie stać, pomimo najlepszej nawet woli.

Podrażnienie czy podniecenie większe nerwowe, któremu podlega normalny zresztą obserwator, czyni go n a r a z i e niesposobnym do dobrego obserwowania. Jeżeli chodzi o subtelniejsze doświadczenia, to już nawet filiżanka czarnej kawy, bezpośrednio przedtem wypita, zazwyczaj uniemożliwia na razie ścisłe

eksperymentowanie. Równie ujemnym jest wpływ silniejszego zmęczenia, wskutek np. forsownego marszu, świeżo odbytego. Naturalnie: takie i t. p. zmiany fizyologiczne obserwatora czynią go na razie niesposobnym do doświadczeń, które się zamierzało odbywać w normalnych warunkach, ale nieraz może wprost chodzić o doświadczenia nad samemi właśnie takiemi zmianami, wtedy oczywiście same te zmiany będą uważane za zmiany (niezależne) zmiennych czynników (niezależnych) zmienności psychicznej. Tutaj zaś nam idzie o czynniki tak zw. stałe, o ile one od stałości, nawet przybliżonej, odstępują i eksperyment, odbywany wtedy nad innemi zmianami, za niezależne uważanemi, udaremniają.

Ogólne zmęczenie organizmu powoduje niestałość fizyologiczną, która uczynić może obserwatora na razie niesposobnym do wszelkich wogóle doświadczeń. Jeżeli zaś zmęczona jest pewna tylko część organizmu, wtedy takie zmęczenie stanowi niestały czynnik fizyologiczny doświadczeń, w których ta część czynny udział bierze. Jeżeli np. chodzi o badania jakieś subtelne w zakresie barw widmowych w zwykłem oświetleniu dziennem, to zmęczenie oka patrzeniem przez pół minuty np. w słońce albo inne rażące jasne źródło światła sprawia już zbyt wielką zmianę w nastroju fizyologicznym siatkówki, aby można go uważać za przybliżenie ten sam: doświadczenia wtedy trzebaby przerwać i zmęczonemu oku dać wypocząć patrzeniem np. na tło miernie oświetlone światłem dziennem. Zmieniłoby równie warunki (za stałe uważane) takich doświadczeń, gdyby obserwator przez dłuższy czas, z parę minut np., miał oko, którem obserwował, zamknięte, wtedy oko, już obecnie ciemno przystosowane, inaczejby widziało barwy widmowe w tych samych zresztą pozostałych warunkach, niż poprzednio, kiedy było przystosowane do zwykłego oświetlenia dziennego.

Przez doświadczenia same, jedno po drugiem odbywane, mogą się nieraz zmieniać warunki fizyologiczne więcej, niżby to przybliżonej ich stałości odpowiadało. Naprzód samo zbyt długie trwanie oddzielnych doświadczeń czy szeregu doświadczeń pociąga za sobą nie tylko psychiczne, ale także i fizyologiczne zmę-

czenie czy ogólne czy też używanego do doświadczeń organu. Ale nawet samo następstwo więcej od siebie różniących się podniet powoduje bardzo często zmiany fizyologiczne większe jakiegoś nastroju, deformacyi, przystosowania itp. Przytoczę jeden przykład.

Między mierniczemi metodami psychicznemi jest tak zwana metoda trafnych i błędnych orzeczeń[1], najwięcej uprawiana przez głównych przedstawicieli tak zwanej psychofizyki, Fechnera i G. E. Müllera. Według tradycyi od Fechnera się datującej i według metodycznych wskazówek największej powagi w sprawach tej metody G. E. Müllera uchodzi za najlepsze jej stosowanie *zupełnie przypadkowe* następstwo podniet, przeznaczonych na pewien szereg doświadczeń[2]. Otóż w bardzo wielu zakresach doświadczeń fizyologiczny skutek bezpośredniego następstwa silnej podniety po słabej nie równoważy się z fizyologicznym skutkiem bezpośredniego następstwa słabej podniety po silnej (jeżeli np. fizyologiczną deformacyę w pierwszym razie oznaczymy symbolicznie przez + 5, to w drugim razie zwykle nie będzie ona = — 5). Takie zaś założenie robi się we wspomnianem stosowaniu metody, bo rachunki na otrzymanych wynikach wykonywa się tak, jak gdyby się tu miało do czynienia li tylko z tak zw. (w teoryi matematycznej błędów) przypadkowymi błędami, gdy tymczasem popełnia się wtedy często

---

[1] U Fechnera i Wundta nazywa się ona *Methode der richtigen und falschen Fälle,* G. E. Müller dał jej nazwę metody stałych różnic *(Methode der konstanten Unterschiede,* krótko *Konstanzmethode).*

[2] Więc np., jeśli szereg doświadczeń miałby się składać z 70 oddzielnych doświadczeń, a prócz normalnej podniety (np. 100) byłoby 6 podniet porównawczych (np. 85, 90, 95, 105, 110, 115,), zatem siedem razem z normalną, to każda z tych siedmiu podniet zachodziłby miała w szeregu 10 razy. Otóż praktyka (np. w laboratoryum G. E. Müllera w Gietyndze) bywa najczęściej taka: pisze się każdą z tych siedmiu liczb na 10 kartkach i wszystkie te (razem na ilość 70) kartki tasuje się, a potem bezpośrednio przed każdem oddzielnem doświadczeniem wyciąga się jedną z nich na chybił trafił, doświadczenie według wypisanej na niej podniety odbywa, a wylosowanej kartki już się do jeszcze niewylosowanych nie wkłada. Do innego szeregu doświadczeń znowu tasuje się wszystkie (70) kartki i t. d. Szeregów takich robi się np. 20, a z otrzymanych razem 1400 wyników oblicza się średnie rozmaite według reguł rachunku prawdopodobieństwa.

błędy tak zwane systematyczne czy stałe, a to wskutek zmian stałości fizyologicznej z sobą niewyrównanych. Gdyby się nawet, w myśl rachunku prawdopodobieństwa, przypuściło, że w wielkiej ilości wypadków równie często zajdzie następstwo np. *a b*, co następstwo *b a*, to fizyologicznie wszystkie następstwa *a b* dadzą w ogóle pewną stałą różnicę od fizyologicznych następstw wszystkich *b a*, a więc nie będą nawzajem się wyrównywały. Jeżeli ta różnica przekracza granice przybliżenia, to i obserwator nie może być uważany pod względem fizyologicznym za przybliżenie niezmienionego, a więc i takie tradycyjne stosowanie metody trafnych i błędnych orzeczeń za krytyczne i ścisłe.

Eksperymentowanie psychologiczne komplikuje się jeszcze daleko więcej, jeśli się w rachubę wciągnie niestałość psychiczną obserwatora. Pod względem psychicznym ma się tu do czynienia z bardzo ruchliwym i wielorako wrażliwym ustrojem. Na pierwszem miejscu zmianom ustawicznym podlega tak zwane napięcie uwagi, uwaga zaś jest głównym i istotnym czynnikiem tak w życiu psychicznem w ogóle, jak i w obserwacyi własnych aktów eksperymentowanych w szczególności. Podnieta czy zmiana podniety ma wywołać w obserwatorze nowe zjawisko świadomości, które ma dlań stanowić jedyną podstawę do ocenienia i osądzenia. To nowe zjawisko świadomości, te nowe czucia, uczucia, wrażenia, które miałyby podniecie czy zmianie podniety odpowiedzieć, nie przychodzą wcale do skutku bez aktu uwagi. Tak zwana bierna uwaga może być obudzona przez silniejsze podniety, ale do spostrzeżenia małych zmian podniet potrzeba koniecznie tak zwanej czynnej uwagi, i to odpowiednio silnie skoncentrowanej. W jednym więc i drugim razie jest konieczną tak zwana czynna apercepcya. Żeby zaś doświadczenia danego szeregu doświadczeń albo doświadczenia z sobą porównywanych szeregów doświadczeń miały wartość naukową, do tego koniecznie trzeba, żeby obserwator w każdem z tych oddzielnych doświadczeń obserwował eksperymentowane akty własnej świadomości zachowując przybliżenie ten sam stały stopień koncentracyi apercepcyjnej.

Niestałość psychiczna objawia się dalej w zmianie tej normy, według której obserwator ocenia odczute akty i sąd wydaje o zmia-

nach podniet, które te akty wywołały. Raz stawia sobie obserwator ostrzejsze wymagania co do wywołanych aktów świadomości, i sąd swój zawiesza, innym razem sąd kategoryczny wydaje, choć może więcej uprawnione było jego zawieszenie, niż poprzednio. Gdyby skonstatowano u danego obserwatora znaczniejsze zmienienie normy osądzania, to oczywiście nie wolnoby było doświadczeń, dokonanych w tak zmienionych warunkach, porównywać ze sobą tak, jak gdyby były zrobione w stałych warunkach obserwowania. Nawet chwiejność obserwatora pod względem normy osądzania, brak pewności i stanowczości pod tym względem może łatwo stać się nieraz większą, niżby dopuszczały granice przybliżonej stałości.

Zdarza się znów, że obserwator raz czuje się niedobrze usposobionym do doświadczeń, innym razem doskonale. I takie zmiany usposobienia psychicznego mogą naturalnie powodować więcej niż dopuszczalną niestałość psychicznych warunków obserwowania, jeżeli obserwator nie potrafi nad sobą zapanować i nie zachowa pewnej jakiejś w przybliżeniu tej samej średniej miary w przykładaniu się do doświadczeń.

Innym powodem niestałości psychicznej mogą być różne suggestye. Obserwator łatwo im podlega, jeśli jakie zewnętrzne nadarzą się okazye, zdradzające rodzaj podniety i sposób jej działania, albo jeżeli z góry już wie, jaką jest ta podnieta lub zmiana podniety, której wyczekuje. W tym ostatnim przypadku zdarza się nieraz, że obserwator usiłuje walczyć z taką uprzednią suggestyą mimowolną i wpada łatwo w suggestyę przeciwną, wmawiając w siebie, że on takiej a takiej podniety nie odczułby i nie odróżnił, gdyby o niej z góry nie wiedział.

Pomijam inne objawy czy powody niestałości psychicznej. Już tych parę wyżej przytoczonych przykładów okazuje, jak ostrożnym i bardzo krytycznym musi być eksperymentator, jeśli chce ściśle naukowo eksperymentować. Orzeczenia obserwatora jako symbole porozumiewania się mają dla nas znaczenie naukowego materyału doświadczalnego tylko o tyle, o ile są w zgodzie z odczutymi aktami, a do skonstatowania tej zgody trzeba badać krytycznie warunki ich powstania i przebiegu, stałe i niestałe

czynniki zmienności psychicznej. Inaczej sensu nie ma poleganie na orzeczeniach obserwatora.

Kiedy człowiek zaczyna filozofować, zastanawiać się np. nad swojem poznaniem i stosunkiem poznania do poznawanego świata, już posiada pewną jakąś znajomość niektórych chociaż faktów psychologicznego doświadczenia: wie, że czuje, że poznaje; wie, że jest na jawie, nie we śnie; wie, że czegoś pragnie, do czegoś dąży i t. d. Człowiek więc taki już posiada pewną, choćby najpierwotniejszą psychologię, jak posiada pewną, choćby najelementarniejszą logikę. Gdyby dzieje początków filozofii u jakiegoś narodu nie wykazywały nawet śladów zajmowania się problemami psychologicznymi, to jeszcze nie mielibyśmy prawa twierdzić, że owi pierwsi filozofowie danego narodu nie mieli ż a d n e j znajomości faktów psychologicznych. Inna bowiem jest rzecz mieć znajomość pewnych elementów psychologii, a inna naukowo te elementy badać, a jeszcze inna nad takimi elementami filozofować. Że taki a taki filozof wcale może nie zastanawiał się naukowo albo filozoficznie nad aktami świadomości jako takimi, wcale to nie dowodzi nieznajomości jego zupełnej tych aktów; przeciwnie: filozoficzne zastanawianie się nad światem samo już opiera się między innemi na stwierdzeniu własnych aktów świadomości jako różnych od poznawanej w nich przyrody. To też pewna jakaś p s y c h o l o g i a p o s p o l i t a poprzedza wszelką filozofię, jest jednym z warunków jej ukazania się w dziejach ludzkości. Tem bardziej ta psychologia pospolita, polegająca na skonstatowaniu najzwyklejszych faktów świadomości, poprzedzić musi wszelką jakąkolwiek p s y c h o l o g i ę n a u k o w ą.

D o ś w i a d c z e n i e p s y c h o l o g i c z n e p o s p o l i t e, przednaukowe i przedfilozoficzne, wyznacza przecież dopiero przedmiot odrębny badań t. zw. psychologicznych; ono jest niezbędnym warunkiem, bez którego nie można ukonstytuować psychologii jako osobnej nauki doświadczalnej, w myśl naszych poprzednich postulatów doświadczalnych pojmowanej. Czy zaś psychologia naukowa, oparta na n a u k o w e m d o ś w i a d c z e n i u p s y c h o l o g i c z n e m, w dziejach cywilizacyi ludzkiej wogóle, czy też

cywilizacyi pewnego typu, występuje przed filozofią, czy współcześnie z filozofią, czy też dopiero w jakiś już czas po zapanowaniu filozofii, to zależy od konkretnych warunków i okoliczności, wśród których pewna cywilizacya się rozwijała. Rozwój historyczny nauk i filozofii nie krępuje się niestety wymaganiami ścisłej konsekwencyi naukowej, a filozofowanie nad daną grupą zjawisk chronologicznie uprzedza zbyt często rozwój naukowych badań nad zjawiskami tej grupy: prostem następstwem takiego nienaturalnego wyprzedzania nauki jest dowolny aprioryzm filozoficzny, nie troszczący się o doświadczenie naukowe, a poprzestający na naiwnej nieraz interpretacyi doświadczenia pospolitego.

Już w pierwszych śladach i fragmentach filozofii greckiej odnajdujemy wyraźne dowody interesowania się problemami psychologicznymi, ale problemy te albo były tylko stawiane jako warunki badań teoretycznych czy też normowań życia praktycznych albo filozoficznie rozwiązywane na wątłej podstawie prymitywnej psychologii pospolitej. Do siedmiu mędrców już, a w szczególności do Talesa odnoszą owo γνῶθι σαυτόν, ten jakby pierwszy postulat wszelkiej psychologii i pierwszy problem psychologiczny, którego trudności był Tales świadomy, skoro miał powiedzieć: χαλεπὸν τὸ ἑαυτὸν γνῶναι. I problem kosmologiczny filozofów jońskich zdaje się mieć źródło w naiwnym antropomorfizmie ich psychologii. U Talesa ciała miały dusze, skoro poruszały inne ciała; postawił więc sobie pytanie: jak te dusze w ciałach wytłumaczyć, jak pojąć ten pierwiastek ich ruchu? Do wytłumaczenia wystarczy Talesowi oprzeć się na bardzo odległej i bardzo powierzchownej analogii, jaką przedstawia rola wody w przyrodzie[1]. U Anaximandra pierwiastkiem powszechnym przyrody już nie jest woda, tylko τὸ ἄπειρον, u Anaximenesa powietrze: na tem polegało udoskonalenie niby kosmologii Talesa, ale sens problemu został ten sam. Wymownie o tem świadczy następujący np. fragment Anaximenesa:

---

[1] Hermann Diels: *Die Fragmente der Vorsokratiker.* Berlin, 1903, str. 3—13.

οἷον ἡ ψυχὴ ἡ ἡμετέρα ἀὴρ οὖσα συγκρατεῖ ἡμᾶς, καὶ ὅλον τὸν κόσμον πνεῦμα καὶ ἀὴρ περιέχει [1].

Podobny psychologizm w filozofowaniu nad przyrodą występuje i u Pitagorejczyków i u młodszych jońskich kosmologów. Ale już szkoła Pitagorasa zwraca się także wprost do filozofowania nad problemami psychologicznymi [2]. Taki zaś Empedokles już nawet nie tylko filozofuje nad zjawiskami psychicznemi, ale opisuje te zjawiska, o ile je konstatuje pospolite doświadczenie psychologiczne [3]. Pierwsze początki psychologii doświadczalnej możnaby słusznie zatem odnieść już do Empedoklesa. Wprawdzie dane w obserwacyi interpretuje ten filozof, podobnie jak jego poprzednik i może mistrz, Parmenides, w myśl apriorycznych założeń, ale tem się od niego różni, że gdy tam przemawia tylko metafizyk i teozof orficko-pitagorejski, tu przyrodnik i psycholog doświadczalny w jedną osobę się zlewa z poetą mistycznym i metafizykiem [4]. Mimo woli nasuwa się parallela pomiędzy Parmenidesem a Heglem, Empedoklesem a Fechnerem [5].

Skoro raz ukazała się w dziejach cywilizacyi ludzkiej jakaś zarodkowa psychologia doświadczalna, nie utraci już prawa do bytu i życia, ale jej rozwój naturalny będzie przez długie wieki tamowany przez wszechwładną filozofię. Ona to bierze na siebie rolę wychowawczyni, ale po macoszemu obchodzi się z nowonarodzonem dzieckiem, krępując jego wzrost przez sztucznie narzucone więzy. Zastrzegam się, że nic nie mam przeciw filozofii, jako takiej, owszem, i ja ją uważam za panią i królowę, ale mam tu na myśli kaprysy tej pani, ujawniające się w jej dziejach w formie dowolnych aprioryzmów i metafizycznych uprzedzeń. I ja nic nie mam naturalnie przeciw filozofowaniom nad zjawiskami

[1] Tamże, str. 25.

[2] Por. np. Arystotelesa: περὶ ψυχῆς A, β i γ; cfr. także Erwin Rohde: *Psyche*, dritte Auflage, zweiter Band, str. 159 i nast.

[3] Diels, l. c., str. 166 i nast.

[4] Por. Rohde, l. c., str. 155 i nast., 171 i nast.

[5] Rohde chce nawet u Empedoklesa odnaleść coś w rodzaju *psychofizycznego eksperymentu* (tamże, str. 175).

psychicznemi, uważam je za konieczne do wypracowania zgodnego z rzeczywistością poglądu na świat i życie, ale sądzę, że filozofowania takie nie mają uprzedzać doświadczalnej odpowiedzi na pytania co do tych zjawisk, postawione przyrodzie. Filozofia zjawisk psychicznych ma dopiero oprzeć swe badania na krytycznie i naukowo uzyskanych rezultatach doświadczenia. Spekulacye filozoficzne dopiero o ile są oparte na naukowej psychologii doświadczalnej i o ile są na każdym kroku kontrolowane doświadczeniem, w myśl naszego naczelnego postulatu, nadają prawo filozofii do uprawiania t. zw. psychologii metafizycznej, czy filozoficznej, czy spekulatywnej, jako jednego ze swych działów.

Historyczny rozwój nauki i filozofii szedł inną drogą. Filozofia wyprzedzała naukę, chcąc odrazu cały wszechświat zrozumieć i wytłumaczyć. Szczegółowe i mozolne badania, właściwe naukom doświadczalnym, nie były sympatyczne filozofom, którzy mieli wznioślejsze zadania do spełnienia, całość świata przez najwyższe przyczyny tłumacząc. Νοῦς Anaxagorasa, atomy Demokryta, idee Platona miały oczywiście dla tych geniuszów ducha więcej powabu, niż żmudne opisy i doświadczenia przyrodnicze. Tem większy podziw budzi taki Arystoteles, który, podobnie jak kiedyś Empedokles na bardzo jeszcze małą skalę, staje w dziejach jako potężny duchem filozof i przyrodnik zarazem pierwszorzędny. I psychologia doświadczalna zamanifestowała w systemie Arystotelesa swój byt i prawo do bytu. Na cały szereg wieków miał starczyć materyał doświadczalny tam nagromadzony. Ale także na cały szereg wieków miały spekulacye psychologiczno-filozoficzne Arystotelesa zastąpić eksperymentalne dochodzenie do prawd psychologicznych, zainicyowane przez niego.

Psychologia była odtąd integralną częścią systemów filozoficznych, a pierwsze próby oddzielenia jej jako nauki doświadczalnej od filozofii są daty bardzo niedawnej. A trzeba przyznać, że jeszcze do chwili obecnej nie można tego oddzielenia psychologii doświadczalnej od filozofii uważać za fakt dokonany, skoro

i dziś jeszcze są poważni filozofowie i psychologowie, zaliczający psychologię doświadczalną do filozofii [1].

Jakie należałoby zająć stanowisko wobec sporu, czy psychologia należy lub nie do filozofii? W kwestyi tak zasadniczej doniosłości dla dalszego rozwoju psychologii pragnąłbym możliwie dokładnie zdać sprawę z tego, jak się ta kwestya przedstawia w świetle poprzednio wyłuszczonych postulatów.

Dla uniknienia nieporozumień pozwolę sobie zwrócić uwagę naprzód na jedno. Używanie nazw pewnych na oznaczenie danych przedmiotów, czy zjawisk, czy nauk, ostatecznie jest rzeczą zwyczaju i umowy. Koniecznem więc jest do należytego porozumienia się z sobą, wiedzieć dobrze, według jakiego zwyczaju czy umowy używa danych wyrazów ten, z którym lub o którym się mówi. Jeżeli więc np. mówimy o znanym podziale psychologii na empiryczną i racyonalną, wprowadzonym przez Chrystyana Wolffa, to narazilibyśmy się na grube nieporozumienie, gdybyśmy wyrazy te brali w znaczeniu poprzednio określonem psychologii doświadczalnej i psychologii spekulatywnej albo filozoficznej. Wiadomą jest rzeczą, że tak zwana empiryczna psychologia Wolffa była równie metafizyczną, jak jego tak zwana racyonalna psychologia była doświadczalną. Dowcipnie zauważył Wundt, że tyle prawie było metafizyki w pierwszej, co doświadczenia w drugiej.

Sama nazwa, sam wyraz jeszcze nic nie mówi, ale o znaczeniu decyduje zwyczaj, którego się trzyma ten, co danej nazwy używa. Inny przykład możliwego nieporozumienia byłby następujący. Empiryokrytycy nazywają nieraz swój system filozofią czystego doświadczenia. Nieporozumienie możliwe co do dwu wyrazów: doświadczenie i filozofia. I jednego i drugiego wyrazu używają w sensie przez siebie wprowadzonym, od-

[1] Np. prof. T. Lipps, jak to wnosić można ze sprawozdań z ostatniego kongresu psychologów w Rzymie, mianowicie z polemiki między tym uczonym a W. James'em.

miennym od zwyczaju wogóle przyjętego. W myśl ich systemu sama filozofia empiryokrytyczna jest już jakąś psychologią *(porównawczą)*[1]. A i sam wyraz *psychologia* jest u nich używany w specyalnem, przez nich wprowadzonem, znaczeniu.

Inną znów uwagę nastręcza już niejednokrotnie przeze mnie wyżej zaznaczone przyrównanie psychologii doświadczalnej do *innych* nauk przyrodniczych. Sam ten sposób wyrażania się przesądza, przyznaję, moją własną odpowiedź na pytanie, czy psychologia należy do filozofii. Tak to przyrównywanie, jak i cały zresztą ton rozprawy od początku do końca niedwuznacznie stwierdza własne zapatrywanie na psychologię doświadczalną i jej stosunek do filozofii. Jednak nie chciałbym, aby mnie źle zrozumiano. Nie o to mnie chodzi, czy psychologia doświadczalna ma być tak czy inaczej nazwaną, jak również i nie o to, czy ma ona w klasyfikacyi nauk dostać atrybut *przyrodnicza*. Obojętnem mi jest również, jak kto chce sobie filozofię określać. Stanowisko, jakie chciałem zająć, jest takie, jak np. stanowisko przyrodnika, dajmy nato fizyka, który pragnie sobie jasno zdać sprawę z tych założeń, na których się opiera uprawiana przez niego nauka przyrodnicza, o ile jest i ma zostać ścisłą nauką doświadczalną. Podobnie jak dla fizyka t. zw. zjawiska fizyczne, zmiany stanu ciał, stanowią odrębny przedmiot badań, zatem osobną naukę, tak dla tego, kto chce badać t. zw. zjawiska psychiczne, a więc zmiany stanu świadomości, charakter odrębnej nauki przybierają badania takie: i jednemu i drugiemu obojętnem jest ostatecznie, jak inni nauki te nazywają, albo co inni przez te wyrazy *fizyologia* i *psychologia* rozumieją. Obaj chcą poznać dokładnie i krytycznie rzeczywisty i faktyczny stan zjawisk badanych, z natury więc rzeczy jedyną mają przed sobą drogę, do celu tego wiodącą, drogę doświadczenia. Z natury rzeczy obie nauki są zatem doświadczalne. Jeżeli kto chce już takie badania doświadczalne filozoficznemi nazwać, mniej-

[1] Por. np. J. Petzoldt: *Einführung in die Philosophie der reinen Erfahrung*, I Band (1900), s. 344: »Was Avenarius treibt, ist vergleichende Psychologie, Philosophie der Geschichte der Philosophie«.

sza o to, byle z góry zapowiedział, że używa tego wyrazu w znaczeniu nieco odmiennem od większości ludzi obecnie nauki uprawiających. Nie obojętnem jest ani dla rozwoju naturalnego obu tych nauk doświadczalnych, ani dla badaczy, pragnących ściśle się trzymać gruntu doświadczalnego, to tylko, czy badania zjawisk jednego i drugiego rodzaju nie są krępowane i interpretowane przez niekrytyczny dogmatyzm i dowolny aprioryzm.

Wobec wielorakiej rozmaitości znaczeń, w których brane są obecnie wyrazy takie, jak *psychologia* i *psychiczny*, *filozofia* i *filozoficzny*, *przyroda* i *przyrodniczy* i t. d., starałem się sam brać wyrazy powyższe w znaczeniach takich, jakie zdają się odpowiadać powszechniejszemu ich używaniu. Do większości starałem się stosować. Jeżeli jednak sądziłby kto, że użyłem któregokolwiek z powyższych wyrazów lub innych terminów w sensie pod jakimkolwiek względem dowolnie im nadanym, to naturalnie winęby mnie przypisał co do sposobu nazwania, ale ta wina nie rozciągałaby się jeszcze tem samem do sposobu i słuszności rozumienia rzeczy, opisywanych lub roztrząsanych. W dyskusyi o rzecz należałoby oczywiście wpierw porozumieć się ściśle co do wyrazów, których się chce używać. Jabym więc usilnie prosił wyrazy przeze mnie używane brać ściśle w podawanych przeze mnie znaczeniach. Bez tego ani zrozumienie rozprawy obecnej ani tembardziej porozumienie nie byłoby możliwe.

Według poprzednio podanego określenia przez *psychologię doświadczalną* rozumiem doświadczalną naukę o aktach świadomości i odróżniam ją od *psychologii pospolitej* i od *psychologii filozoficznej*. Przypominam, że ta psychologia doświadczalna jest o tyle nauką ścisłą, o ile jest opartą na *psychologii ściśle eksperymentalnej*. Na psychologii zaś doświadczalnej wogóle miałaby dopiero oprzeć się psychologia filozoficzna, jeśli filozofią miałaby być naukową, na doświadczeniu wogóle opartą.

Takie sformułowanie stosunku nauki doświadczalnej do filozofii i taki charakter narzucony filozofii zdaje się wprost wynikać z poprzednich postulatów, a odpowiadać obecnym zapatrywaniom, powszechnie prawie podzielanym przez przyrodników. Przyrodnikom, a zwłaszcza przyrodnikom-filozofom jest

dziś jasnem, że opisowe i doświadczalne poznanie przyrody musi poprzedzić filozofię przyrody.

Ale czy zjawiska psychiczne, akty świadomości, także do przyrody należą? Czy opisowa i doświadczalna nauka o aktach świadomości, ma się stać jedną z nauk przyrodniczych? Odpowiedź będzie zależała naturalnie od tego pojęcia, jakie kto ma o t. zw. przyrodzie, a więc ostatecznie od umowy, co wyraz *przyroda* ma oznaczać. Jeżeli się ten wyraz weźmie ciaśniej, odniesie tylko do zjawisk takich, które są t. zw. zmysłami bezpośrednio dostrzegalne, to aktów świadomości, zjawisk zmysłami bezpośrednio niedostrzegalnych, nie zaliczy do przyrodniczych. Jeżeli zaś weźmie kto te wyrazy szerzej, ogólniej, przyrodniczemi nazwie zjawiska jednego i drugiego rodzaju, to i psychologię doświadczalną zaliczy do przyrodniczych. Przyznaję, że mnie osobiście sympatyczniejszy jest ten drugi sposób nazywania. Ale nie sympatya, tylko ważniejsze względy powinny decydować o takiem lub innem używaniu wyrazów. Dla mnie na razie najważniejszy wzgląd jest należyte porozumienie się co do omawianych postulatów, więc nie rozstrzygam sporu, jak nazywać trzeba, ale biorę w tej rozprawie wyrazy *przyroda* i *przyrodniczy* w znaczeniu szerszem: chcę przez to jasno zaznaczyć, że jeśli chodzi o stosunek do filozofii, to w myśl naszych postulatów, psychologia doświadczalna w jednym staje rzędzie z innemi naukami doświadczalnemi. Tutaj przeto nazywam i psychologię doświadczalną jedną z nauk przyrodniczych. Będę nazywał inaczej, jeżeli się dowiem, że powszechniejszy jest zwyczaj przeciwny. Protest tylko zawszebym założył przeciw traktowaniu i uważaniu psychologii doświadczalnej jako części filozofii.

Z przyrodników-filozofów nikt z taką energią nie powstaje przeciw włączaniu psychologii do filozofii, ale też nikt równie stanowczym nie jest przeciwnikiem uważania psychologii za naukę przyrodniczą, jak Wilhelm Wundt. W jego systemie klasyfikacyi oddzielnych nauk trzy są zakresy: matematyka, przyrodoznawstwo i nauki duchowe. Podstawową nauką duchową jest psychologia. Filozofia naturalnie dopiero jest najwyższą, ogólną nauką, na fundamencie nauk specyalnych zbudowaną.

Każdy widzi, że spór z Wundtem byłby li tylko o nazwę i o sposób klasyfikowania. I dla niego, a zwłaszcza nawet dla niego jest psychologia doświadczalna przed filozofią. Owszem: dla niego niema już żadnej *psychologii* w obrębie filozofii; o tyle możliwy byłby spór, gdyby Wundt nie tylko psychologię doświadczalną nazywał psychologią bez dodatku, ale nadto wykluczał z filozofii wogóle filozofię zjawisk psychicznych w szczególności.

Ten sposób używania wyrazu *psychologia* bez przydawki w znaczeniu psychologii doświadczalnej wogóle jest dzisiaj prawie powszechnie, w Niemczech zwłaszcza, używany przez tych, co psychologię eksperymentalną uprawiają. Według tego zwyczaju należałoby psychologię filozoficzną uważać nie za część psychologii wogóle, ale za odrębną naukę, wyższą, spekulatywną, w takim stosunku będącą do psychologii doświadczalnej, jak np. filozofia przyrody[1] do fizyki, chemii i t. d. Podobnie jak nie mówi się o fizyce, chemii filozoficznej, tak samo możnaby konsekwentnie trzymać się wspomnianego zwyczaju i co do psychologii, nie nazywając odpowiedniego działu filozofii psychologią filozoficzną czy metafizyczną, ale np. filozofią zjawisk psychicznych albo filozofią czy metafizyką psychologii, albo metafizyką czy filozofią ducha i t. p. Wtedy przez psychologię rozumiałoby się jedną naukę doświadczalną, któraby obejmowała wszystkie specyalne nauki doświadczalne o aktach świadomości. Jeśli nie dla innych racyi, to już dla samego skrócenia dogodny jest taki sposób wyrażania się. Nadal będę już bez zastrzeżeń trzymał się wspomnianego zwyczaju i krótko przez *psychologię* rozumiał to, co dotychczas nazywałem psychologią doświadczalną wogóle. Konsekwentnie nie będę już odtąd nazywał *psychologią* odpowiedniej nauki filozoficznej o duszy czy o aktach świadomości.

Sam wyraz *psychologia,* używany w tak ciasnem znaczeniu, nie powinien nikogo razić, bo niema w tem używaniu większej

---

[1] O używaniu wyrazów zwyczaj ostatecznie decyduje: w angielskim języku — jak wiadomo — natural philosophy fizykę oznacza.

etymologicznej niekonsekwencyi, jak np. w używaniu wyrazów *fizyka* i *fizyologia*. Jak te obie nauki nie zajmują się przecież badaniem przyrody wogóle, ale tylko pewnymi stanami czy raczej zmianami stanów ciał przyrody, tak i *psychologia* może oznaczać naukę doświadczalną o zmianach stanów świadomości. Co zaś ma oznaczać, to jest, podobnie jak w tamtych dwu wyrazach, rzecz samej umowy. Umowy co do używania wyrazów ścierają się z sobą i ustępują jedna drugiej. Tak było z wyrazami *fizyka* i *fizyologia*. Tak jeszcze nawet i dziś jest z wyrazem *fizyczny*, używanym jeszcze obecnie nietylko w znaczeniu właściwem fizyce jako specyalnej nauce przyrodniczej [1]. Tak było i jest z wyrazem *psychologia*. Pierwotnie nie miał on oznaczać ani filozoficznej nauki o duszy, ani doświadczalnej nauki o zmianach stanów psychicznych, ale według intencyi tych, co pierwszy raz wyrazu tego użyli, miała psychologia być nauką »*o doskonałości człowieka, duchu i zwłaszcza jego początku*« [2]. Potem zaczęto psychologią nazywać część filozofii, traktującą »o duszy, jej władzach i czynnościach«. Ale w miarę tego, jak więcej się zajmowano opisywaniem zjawisk psychicznych, wciągano takie opisy i ich interpretacye do metafizyki psychologicznej, a nazwa psychologii obejmowała już sztuczne połączenie dwu nauk, jednej opisowej, doświadczalnej, drugiej czysto spekulatywnej i filozoficznej: wszystko razem było częścią filozofii. Dopiero kiedy psychologia, o ile była doświadczalną, uświadomiała się co do owego stanowiska z innemi naukami przyrodniczemi równorzędnego, zaczęła pokazywać dążność do oddzielenia się od filozofii, a uzurpowania sobie nazwy *psychologii*.

Pierwotnie każda z nauk przyrodniczych była częścią filozofii. Długo i powoli odbywał się proces uświadomiania i odrywania się. Wreszcie przyszła kolej i na najmłodszą z nauk przy-

[1] Używa się np. wyrazu *fizyczny* także wtedy, kiedy się chce przeciwstawić zmiany psychiczne jakimkolwiek zmianom organizmu zewnętrznym, fizycznym, chemicznym, fizyologicznym i t. p. Jestto bardzo powszechny sposób mówienia u niemieckich zwłaszcza psychofizyków. Sam wyraz *psychofizyka* urobiony jest na podstawie tego zwyczaju.

[2] Rudolphus Goclenus: Ψυχολογία, *hoc est de hominis perfectione animo et imprimis ortu huius Commentationes*. Marpurgi, 1590,

rodniczych, psychologię. Dopóki jeszcze i inne nauki przyrodnicze dzieliły z nią wspólny los, dotąd spokojnie można było patrzeć na taki konserwatyzm starej tradycyi. Ale kiedy sama jedna psychologia tylko została przy filozofii, powstało poważne pytanie: czemuż to tak? Czyż psychologia nie dorosła do samodzielnego stanowiska ścisłej nauki przyrodniczej? Czy może nigdy do niego nie dorośnie?

Pytania takie stawiali naprzód sami filozofowie. Kant dał na nie kategoryczną odpowiedź, że psychologia doświadczalna nie jest w stanie wznieść się kiedykolwiek do rzędu nauki przyrodniczej [1]. Może psychologia, według niego, stać się co najwyżej *opisem przyrodniczym duszy*, ale nigdy *nauką o duszy*, nigdy nawet *psychologiczną nauką eksperymentalną* [2].

Dzieje psychologii wykazują bezpodstawność tak twierdzenia Kanta, jak obu dowodów, którymi usiłował je uzasadnić. Przeciw pierwszemu dowodowi (niemożliwości stosowania matematyki do psychologii) zaprotestował Herbart dwutomową »psychologią jako nauką« opartą »na doświadczeniu, metafizyce i matematyce« [3]. Wprawdzie psychologia ta herbartowska, uważana przez swego twórcę za matematyczną, nie jest doświadczalną; wprawdzie zawieszona ona jest — według uznania samego Herbarta — między metafizyką a doświadczeniem [4]; wprawdzie ta psychologia więcej bez porównania przyczyniła się do opóźnienia rozwoju psychologii doświadczalnej, niż powaga i krytyka Kanta: ale mimoto samym faktem swego powstania obaliła pierwszy dowód Kanta. W drugim dowodzie Kant zaprzecza możliwości eksperymentowania nad zjawiskami psychicznemi, własnej tylko obserwacyi dostępnemi. Odpowiedzią na ten zarzut najlepszą jest faktyczne stosowanie eksperymentu ścisłego do aktów świadomości, datujące się już od Arystotelesa, a dzisiaj uprawiane przez setki

[1] *Metaphysische Anfangsgründe der Naturwissenschaft.* Wydanie Hartensteina, tom VIII, str. 445.

[2] Tamże, str. 448.

[3] Johann Friedrich Herbart: *Psychologie als Wissenschaft, neu gegründet auf Erfahrung, Metaphysik und Mathematik.* Königsberg, 1825.

[4] *Psychologische Untersuchungen* Göttingen, 1839. *Erstes Heft*, str. VI.

i tysiące badaczy. Psychologia ściśle eksperymentalna możliwa, bo jest. Dziś nikt już nie może wątpić o jej istnieniu. Dziś należałoby domagać się konsekwentnie rehabilitacyi psychologii wobec zarzutów Kanta. Ponieważ psychologia jako nauka ścisła, eksperymentalna jest, przeto dorosła do rzędu nauki przyrodniczej. Przeto należałoby już zerwać stanowczo z tradycyą i psychologię, jako naukę doświadczalną i równorzędną z innemi naukami przyrodniczemi, usunąć raz na zawsze z filozofii.

Siłą rzeczy usuwała się psychologia sama z filozofii, nie pytając jej o pozwolenie, bo najważniejsze pierwsze prace eksperymentalne, dające początek dzisiejszej psychofizyce, wyrosły na gruncie nauk przyrodniczych. Ernest Henryk Weber, kiedy opracowywał klasyczną swą rozprawę »de subtilitate tactus«[1], był fizyologiem i anatomem, a głównym pomocnikiem *(obserwatorem* według późniejszej terminologii) w typowych jego eksperymentach był również anatom (brat jego Rudolf, później profesor anatomii w Gietyndze). Gustaw Teodor Fechner był z powołania fizykiem.

Zaczęto nawet patrzeć już czasami na nową psychologię jakby tylko na część fizyologii. Była w tem niezdrowa przesada, bez wątpienia. Ale objaw ten dowodem jest, że zmieniły się zapatrywania na stanowisko psychologii wobec filozofii. Czy słuszną ta zmiana? Słuszną o tyle, że filozofia już sama zmieniła dawną rolę: dzisiaj nie jest ona encyklopedyą nauk, ale jedną tylko nauką, ze wszystkich najwyższą i najogólniejszą.

Czy oderwanie się innych nauk przyrodniczych od filozofii na złe wyszło czy im czy jej? Sądzę, że jedna tylko odpowiedź możliwa: i filozofii wyszło to na dobre i zwłaszcza naukom przyrodniczym. Czy nie leży teraz w interesie obustronnym, filozofii i psychologii, dokonać stanowczego między niemi rozdziału?

(Dok. nast.).

Ks. Stanisław Kobyłecki.

---

[1] De pulsu, resorptione, auditu et tactu. *Annotationes anatomicae et physiologicae auctore* Ernesto Henrico Weber, anatomiae professore in Universit. Litterarum Lipsiensi. Lipsiae, 1834. *De subtilitate tactus* etc. od str. 44 do końca.

MIĘDZY SŁOWIANAMI

Z PODROŻY PO BUŁGARYI.

(Ciąg dalszy)

W słoneczny, gorący dzień opuszczałem Warnę; był to pierwszy, urzędowy dzień winobrania, obchodzony uroczyście w całym kraju. Szkoły zamknięte, ruch handlowy prawie zupełnie ustał, a tłumy, zaludniające miasto i port, zapełniły winnice, które od barwnych strojów kobiecych zakwitły, niby błyszczący łan kwiatów, i zabrzmiały od dźwięcznych melodyi. Po raz ostatni w dali zamajaczyło morze, na pustem błoniu po raz ostatni jeszcze pojawiły się mogiły warneńskie i pociąg, wiozący mię do naddunajskiego Ruszczuku, wpadł w północno-wschodnie stoki Bałkanu. Ściany skalne, dochodzące stu i więcej metrów wysokości, ciągną się wzdłuż obu stron toru, a przyjmują takie dziwne czasami kształty, iż chciałoby się przysięgać, że tam wije się mur ręką ludzką wzniesiony, a tam dalej znów stoją bastyony i wieże. Najpiękniejsze na całej tej przestrzeni położenie ma miasteczko Priwadija, stare *Provaton,* które w różnych czasach swej przeszłości widywało przed swemi bramami Dariusza, Filipa II, Lysimacha, Luculla, wojska bizantyjskie, tureckie i bułgarskie; w przeważnej swej części tureckie, rozsiadło się w głębokiej kotlinie, otoczonej zewsząd olbrzymimi głazami i dziwić się tylko trzeba, jak te głazy się tam trzymają a nie spadają na miasto i nie grzebią w swych gruzach i domów i tych pięciu minaretów, między

którymi nie łatwo odszukać wieżę kościelną. Nad samem miastem wisi ogromna skała, łudząco chłopską strzechę swymi kształtami przypominająca.

Za Kaspiczanem, skąd nowa linia kolejowa zbacza do dawnej fortecy, Szumli, okolica staje się więcej jednostajną; uprawne pola, zasiane gęsto drzewami, zmieniają się z rozległemi łąkami, czasami tylko pojawiają się wzgórza lub otwierają doliny, czasami przez kilkanaście minut widać całe morze dolin i wzgórz, jak gdyby tu kiedyś, przed wiekami, ognista bryła ziemi, porysowana i pofałdowana, naraz, w jednej chwili zastygła. Blizko Ruszczuku schodzi tor do szerokiego tysiąc trzysta metrów Dunaju, idzie kawałek jego brzegiem i staje wreszcie na stacyi, daleko od miasta na wschód położonej.

Na przebycie tej, dwieście dwadzieścia trzy kilometry długiej drogi, potrzebuje kolej prawie ośmiu godzin; powolna jednak jazda jest tu wskazana, gdyż stacye stoją rzadko a budek strażniczych brak zupełnie. Jest to jeszcze zabytek dawnych czasów, kiedy ta pierwsza bułgarska kolej, założona już w r. 1866, należała do tak zwanych *chemins de fer de la Turquie d'Europe;* wtenczas też urzędnikami kolejowymi byli przeważnie Polacy. Pamięć o tych naszych wychodźcach dziś już zaginęła; na całej przestrzeni znalazłem tylko w szefie stacyi *Gebedże (Bielowo)* Polaka rodem, Bułgara duchem i wyznaniem, p. Woźnickiego. Mimo górzystej okolicy i prymitywnych urządzeń nie słychać tu jakoś o żadnych wypadkach, co najwięcej zdarza się podobno czasami, że lokomotywa przejedzie wygrzewającego się na szynach bawoła, który nie potrafił na czas niebezpieczeństwa uniknąć; taki jednak wypadek dalszych konsekwencyi za sobą nie pociąga.

Ruszczuk, bułgarskie *Russe*, rzymskie *Sexanta Prista,* ma małomiasteczkowy europejski charakter; oryentalnym on już nie jest, chyba o tyle, o ile porządek wiele jeszcze do życzenia pozostawia. Świat oryentalny ukrył się tu wśród meczetów i minaretów w dzielnicy tureckiej i na cmentarzu tureckim. Dzisiaj nie chce się naprawdę wierzyć, że to miasto przed trzydziestu laty było stolicą, że ze wszystkich stron błyszczały tam półksiężyce a żaden dzwon kościelny nie mógł wzywać wiernych na na-

bożeństwo. Zamiast dzwonów odzywał się z dwudziestu dziewięciu wysokich minaretów głos muezina, a w kilka lat później grzmiały kartacze i granaty do grobu islamskiemu cesarstwu; z dawnej potęgi nie pozostało i śladu.

Ruszczuk jest, jak i Warna, przedewszystkiem miastem handlowem, do jego brzegów przybija dużo okrętów, ale przystań, pożal się Boże! Właściwego portu, jakkolwiek prymitywnie urządzonego, niema; okręty zarzucają przy brzegu kotwicę, i na tem koniec. W Ruszczuku przeważa już element bułgarski, ale właśnie dla swego charakteru handlowego nie zdobył się on dotąd jeszcze na jedną choćby gazetę bułgarską; wogóle bułgarskie życie intelektualne koncentruje się w Sofii i Filipopolu.

Obecnie jest Ruszczuk rezydencyą biskupa katolickiego, którego jurysdykcyi podlega cała północna Bułgarya; dyecezya nosi jednak nazwę nikopolskiej, nie od położonego nad Dunajem Nikopolu, lecz od miasta tegoż nazwiska, z którego dziś pozostały tylko ruiny, a które leżało niegdyś nad rzeką Roszicą w pobliżu starej stolicy królów bułgarskich, Tyrnowa. Druga dyecezya a raczej wikaryat sofijsko-filipopolski obejmuje Bułgaryę południową i wschodnią Rumelię.

Kościół katolicki ma w Bułgaryi trudne stanowisko. Obie dyecezye liczą zaledwie do trzydziestu tysięcy katolików, w których skład wchodzą w wielkiej części cudzoziemcy; katolicki element bułgarski rekrutuje się prawie wyłącznie z pomiędzy wieśniaków, a nawróceń jest mało. Składają się na to, oprócz innych, dwie przyczyny leżące w naturze samego narodu. »U nas, mówił mi jeden z wysokich urzędników państwowych w Sofii, religia jest tylko formą«, a inny, który odgrywał wybitną rolę w bułgarskiem życiu politycznem i literackiem, pokazując mi nowe prawosławne seminaryum w stolicy, dodał: »Cóż z tego? mamy kościoły, mamy księży, władyków, seminarya i synody, ale nie mamy wiary«. Ten fakt uważnie podróżującemu rzuca się sam w oczy. W niedziele i święta pełno pracujących po polach i winnicach. Kościół prawosławny lubuje się w licznych cerkwiach i klasztorach, każde większe miasto rumuńskie ma ich po kilkanaście a nowe ciągle się jeszcze budują. W Bułgaryi tego nie

widać; tu i owdzie zaledwie pojawia się skromna wieżyczka kościelna. Kiedy Turków z *kniażestwa* wypędzono, nasuwała się sama przez się myśl, aby meczety poprzemieniać na kościoły. Tymczasem z meczetów porobiono muzea, prochownie, magazyny, więzienia — to też dziwnie świadczy o staraniach, jakie robi rząd w celu podniesienia wiary i moralności. Do tego zaniku wiary przyczynia się w wielkiej mierze wrodzona Bułgarom obojętność religijna, która sprawia, że są oni narodem areligijnym, — upośledzone stanowisko kleru, który skutkiem braku wykształcenia i zapoznania godności i obowiązków swojego stanu, nie cieszy się żadnym wpływem ni poważaniem i który w swej działalności, skądinąd bynajmniej nie produktywnej, krępowany jest przepisami rządowymi, i wreszcie zły wpływ szkół, które, — tak mnie z wielu stron informowano, — są przedewszystkiem tam, gdzie przeważają Grecy, rozsadnikami socyalizmu i ateizmu.

Niemniejszą rolę odgrywa tu, jako druga przyczyna, uprzedzenie i niechęć Bułgarów do katolicyzmu; sami wiary nie posiadają, mimo to trudno im zrozumieć, jak można nie być prawosławnym i stąd właśnie niechęć do wszystkiego, co katolickie. Tę niechęć podtrzymują i szerzą często gazety, pisząc o propagandzie katolickiej, która właściwie nie istnieje, i występując przeciwko szkołom katolickim, co jednak dziwną konsekwencyą bynajmniej nie przeszkadza, że ci, którzy zwołują protestujące przeciw katolickim zakładom zgromadzenia, sami do tychże, jak to miało np. w Warnie miejsce, swe dzieci posyłają.

Jeżeli jednak stanowisko narodu a w szczególności kleru, jest katolicyzmowi niechętne, nie można tego powiedzieć o stanowisku rządu. Kościół katolicki rządu wiele nie obchodzi, w jego wewnętrzne sprawy rząd się nie miesza a jeżeli się już niemi zajmuje, to czyni to nawet dość przychylnie. W pobudki tego postępowania szczegółowiej nie wchodzę, faktem jest, że tak się rzecz ma w rzeczywistości. Szkoły katolickie mają dużo wolności, seminaryum w Filipopolu dostaje od rządu znaczną zapomogę, biskupom przysługuje prawo wolnej jazdy na kolejach krajowych.

Do takiego stanu rzeczy przyczynia się prawdopodobnie niemało osoba księcia. W Sofii słyszałem często od różnych osób —

nazwisk z łatwo zrozumiałych przyczyn tu nie podaję — że książę nie jest w kraju lubianym, że patryotyzmu dynastycznego w Bułgaryi nie szukać, że gdyby okoliczności dzisiaj mogły Ferdynandowi zgotować los Battenberga, łezby za nim nie roniono; owszem, za czasu mego pobytu w Sofii, rozrzucano tam proklamacye jakiegoś rewolucyjnego komitetu, które wzywały do detronizacyi księcia — przyczyny tego zjawiska nie trzeba szukać tylko w tem, że książę to »Nemec« — coś jak rumuńskie *Niamc* na oznaczenie cudzoziemca, któremu się chce wyrazić lekceważenie lub pogardę — że przebywa on względnie mało w kraju a przedewszystkiem w stolicy, że wielka część narodu nie solidaryzuje się z jego polityką, szczególnie w kwestyi macedońskiej; przyczyna leży także w tem, że książę jest katolikiem i to wierzącym.

Niech ten pogląd nikogo nie dziwi! Na księciu Ferdynandzie spoczywa wielka plama, ta mianowicie, że dał najstarszego syna, Borysa, nie, jak to mylnie utrzymują, ochrzcić po raz drugi, ale bierzmować według obrządku prawosławnego, przez co się sprzeniewierzył zasadom swej wiary i tradycyom swej rodziny; tego błędu dotąd nie naprawił i nie wiedzieć, czy potrafi go naprawić, w każdym razie ciężko za niego pokutował i pokutuje — poza tem jednak prowadzi on życie wierzącego katolika. Dzieci są wychowane po katolicku, w jego kaplicach zamkowych odprawia się Msza św. nie tylko w niedziele i święta, ale raz i drugi w ciągu tygodnia. Na tych mszach klęczy zawsze i modli się pobożnie a pilnie dba o to, aby katolicy w jego służbie pozostający obowiązki religijne sumiennie wypełniali; nieobecnych każe wołać. Kościoły katolickie nieraz jeden jałmużnami wspomaga — kościół w Warnie stanął w wielkiej części za jego pieniądze. Widziałem w kościołach ornaty sporządzone z sukien zmarłej księżny i darowane tymże kościołom przez księcia; widziałem między księżmi ordery bułgarskie i fotografie księcia z jego własnoręcznym podpisem; słyszałem z ust księży słowa pochwały i najwyższego dla księcia uznania — to wszystko narodu dla swego monarchy nieprzychylnego życzliwie usposabiać dla katolicyzmu nie może i tłumaczy nam częściowo niechęć ku niemu, ale z tem właśnie usposobieniem księcia liczy się rząd.

Jedną jeszcze trudność, już więcej zewnętrznej natury, musi uwzględnić Kościół: propagandę protestancką. Niemiecki *Reichsgeld* znalazł drogę i do Bułgaryi. Za ten *Reichsgeld* budują się kościoły, stawiają się szkoły, pensyonaty, domy dla sierót; pastorzy otrzymują pensyi po trzysta i więcej franków złotem miesięcznie, mogą się więc oddać w zupełności pracy dla swego wyznania. Tymczasem proboszcz katolicki dostaje od swego biskupa dwadzieścia pięć franków miesięcznie, ponadto ma swoje stypendya mszalne; ale skąd te stypendya wziąć? Jeżeli mu ich nie przyślą z zagranicy, w kraju ich nie znajdzie. Jeszcze na wsi ma jaki taki dochód z małego gospodarstwa, w mieście i takich dochodów mieć nie może. Jakiż bo dochód da taka np. parafia warneńska, licząca około dwieście dusz? Ponadto w mieście jest praca kościelna utrudniona przez aglomerat najróżnorodniejszych narodowości, z którymi trudno się nawet porozumieć, to też stosunki katolickie po miastach, z wyjątkiem może jednego Filipopola, są wprost opłakane.

Mimo tych wszystkich trudności nie można powiedzieć, żeby katolicy siedzieli z bezczynnie opuszczonemi rękoma; w ostatnich dwudziestu latach dużo tam, szczególnie na polu wychowania, zrobiono. Pasyoniści, którzy zawiadamiają parafiami w północnej Bułgaryi, mają w Ruszczuku wielki, w wschodnim stylu nad brzegiem Dunaju zbudowany klasztor, z którego terasy prześliczny otwiera się widok na Dunaj, na jego wyspy, na Ruszczuk i leżące po rumuńskiej stronie miasto Dżiurdżiu; Kapucyni mają klasztory w Sofii i Filipopolu; Asumpcyoniści otworzyli duże pensyonaty i szkoły w Warnie, Filipopolu i Jamboli, Bracia Szkolni w Sofii, Maryści w Ruszczuku. Dziewczętami zajmują się: w Ruszczuku zakonnice *N.-Dame de Sion,* w Warnie i Burgas Oblatki, w Sofii i Filipopolu Siostry *St. Joseph de l'Apparition.* Te ostatnie kierują ponadto szpitalem w Sofii a Siostry Miłosierdzia z Kongregacyi Zagrzebskiej otwarły tamże orfelinat.

Słabą stroną wszystkich katolickich zakładów naukowych jest to, że przyjmują nawet do internatu młodzież wszelkich wyznań, począwszy od prawosławnych i protestantów a skończywszy na Zydach i Turkach, względnie Żydówkach i Turczynkach —

jednolite wychowanie i przedewszystkiem wykształcenie religijne jest tym sposobem bardzo na szwank narażone, ale ostatecznie inaczej postąpić sobie nie można. Dzieci katolickich niema na tyle, żeby dla nich osobno szkołę otwierać, brak środków nie pozwala na pracę dla samej idei, młodzież zaś innowiercza otrzymuje przynajmniej moralne i zdrowe wychowanie. To ostatnie dobrze zrozumieli rodzice i dlatego z ufnością powierzają swe dzieci zakładom katolickim. Jedną jeszcze dodatnią stronę ma szkolna działalność katolików w Bułgaryi. Uczniowie poznają ducha katolicyzmu, jego prawdziwe cele i zachowują na całe życie, gdy nieraz wysokie już zajmują stanowiska, dobre wspomnienia, sympatye dla Kościoła, i choć sami nie katolicy, często przychylnymi dla katolików się okazują.

Polacy cieszą się w sferach kościelnych w Ruszczuku uznaniem, zostawili też tam po sobie dobrą pamięć. Kiedy wojska rosyjskie po ostatniej wojnie, która Bułgaryi dała wyzwolenie, zajęły Ruszczuk, zapełniali polscy żołnierze co dzień kościół, przystępowali gromadnie do św. Sakramentów tak, że dwaj księża w Ruszczuku wysłuchali w czasie wielkanocnym 1878 roku około trzech tysięcy polskich spowiedzi. Ich hojność pozwoliła proboszczowi, który w czasie wojny wszystko utracił i żył nie tylko w niedostatku, ale w nędzy, na odbudowanie zniszczonego rosyjskiemi kulami kościoła i szkoły i na uprzątnięcie wszystkich śladów wojny. To też w listach ówczesnego proboszcza a późniejszego biskupa, ks. Agosto, pełno dla nich pochwał, pełno wprost uwielbienia.

Dzisiaj Polaków w Bułgaryi jest mało, nie tak jednak było dawniej; powstanie sześćdziesiątego trzeciego roku rzuciło tam dużo naszych, niestety jednak nie zawsze szlachetnych wychodźców — byli między nimi i awanturnicy i duchy niespokojne a podejrzane tak, że w drukowanej przed kilkunastu laty książce o Rumelii, dla Polaków Rumelię zamieszkujących, znaleziono jedynie określenie »szubrawców«. Dzisiaj stosunki zmieniły się na lepsze, choć i one nie są bez zarzutu. Na jednego z naszych rodaków w Sofii wydał przed dwoma laty komitet macedoński wyrok śmierci, gdyż uważał go za szpiega tureckiego; sam poznałem

w mej podróży Polaków, którzy porzuciwszy swe żony Polki, żyli na wiarę z Bułgarkami, a wszystkie dzieci wychowali w wierze prawosławnej i po bułgarsku, odwodząc je tym sposobem i od Kościoła i od ojczyzny. W r. 1888 założono w Sofii Polskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy; z początku liczyło ono czternastu, po roku istnienia już czterdziestu ośmiu członków. W ciągu dwóch lat zebrało kapitał 5.000 fr. i posiadało bibliotekę składającą się z 6.000 tomów, wszystko więc rokowało najlepsze nadzieje. Wzajemna jednak niechęć, brak jedności, zanadto arystokratyczne aspiracye i tradycyonalna niezgoda, rozbiły towarzystwo. Wniosek, aby zbudować krzyż na polach warneńskich i dom polski w Sofii przepadł, ponieważ wyszedł nie z tego obozu, który w Towarzystwie chciał nadawać ton. Pieniądze wysłano częścią za granicę, zdaje mi się do Rapperswylu, częścią gdzieś się ulotniły; bibliotekarz sprzedał na własną rękę parę tysięcy tomów Żydom na wagę — z pięknej biblioteki zostało obecnie około tysiąc książek. Narobiono długów, dzisiaj jeszcze nie spłaconych, nasprowadzano z kraju dużo dzienników, za które obecnie jeszcze przychodzą rachunki. Towarzystwo formalnie nie zostało wprawdzie rozwiązane, choć siłą rzeczy tak, jak gdyby nie istniało. Smutny to obraz naszych stosunków na obczyźnie.

»Ilu Polaków mieszka obecnie w Ruszczuku?« — pytam dawnego powstańca z 63 roku, p. Gawrońskiego, dzisiaj inżyniera kolejowego w bułgarskiej służbie, któremu dużo ciekawych szczegółów zawdzięczam.

»Oprócz mnie jest tu jeszcze niejaki p. Złotowski *recte* Goldstein. Przed dwoma laty umarł w Ruszczuku brat poety Karola Brzozowskiego, jego żona przed rokiem, oboje pochowani w jednym grobie na tutejszym cmentarzu. Ich wnuczki, panny Rydzewskie, mieszkają tu jeszcze teraz«. To wszystko.

Dowiaduję się tak samo, że w Sofii można znaleźć szesnaście rodzin polskich, włączając w tę liczbę i pojedynczo stojących Polaków; w Filipopolu, gdzie dawniej liczono ich do pięćdziesięciu, znajduje się już tylko jeden, p. Soczyński. Tu i tam po

kraju np. w Plewnie, w Razigradzie, w Burgas znajdzie się jeszcze kilku.

»Zajmują tutejsi Polacy może jakie wybitniejsze stanowiska?«

»Wybitniejszych stanowisk, odpowiada mi na to gorący patryota z Sofii, p. Muszler, który wcale dodatnią rolę w polskiem Towarzystwie odgrywał, nie zajmują, za to mają stanowiska niezależne. Mamy między sobą inżynierów, poszukiwanych doktorów, adwokatów, mniejszych właścicieli a pierwszy i najlepszy hotel w Sofii, należy do starego powstańca, p. Smolnickiego«.

Dla uzupełnienia tych wiadomości dodaję jeszcze, że niejaki, zdaje mi się, Skrzyżowski, redagował przez pewien czas francusko-bułgarski dziennik w Sofii *L'Orient,* włożył w niego dużo pieniędzy i... zbankrutował. A i tego także pominąć nie wypada, że znajduje się między tamtejszymi Polakami jeden, który odgrywa w Bułgaryi na prawdę wybitniejszą rolę, wspomniany już wyżej p. Soczyński. Obecnie jest tylko cenionym adwokatem i człowiekiem wielkiego znaczenia, przedtem był prokuratorem w służbie rządu rumelijskiego i jako taki wezwany, by organizował sądownictwo w Rumelii. Na tem stanowisku oddał na prawdę wielkie usługi Polsce, gdyż powyprawiał do kraju wszystkie nas kompromitujące żywioły, czyli, jak sam się do mnie wyraził, »oczyszczał« Polaków. Żeby nie brakło i humorystycznej strony, muszę nadmienić, że jeden z Polaków bułgarskich, o którym w kraju nikt nigdy nie słyszał, uchodzi w Bułgaryi za jednego z naszych wybitnych historycznych powieściopisarzy.

»A czy tutejsi Polacy czują się Polakami i nie stracili łączności z Polską«.

»Ci, mówi znowu p. Muszler, którzy pożenili się nie z Polkami, prawie bez wyjątku dla Polski straceni; inni jednak żyją w łączności z krajem i nie tają się ze swą narodowością«. Prawdziwość tego zapatrywania potwierdzają mi inni.

»Jakie stanowisko zajmują wobec nas Bułgarzy?«

Na to zgadzają się wszyscy, że Bułgarzy wogóle nas nie znają; poza tem jednak zapatrywania się rozchodzą. Pan Muszler twierdzi, że Bułgarzy na ogół są dla nas przychylnie usposobieni, że prasa ich wprawdzie bardzo mało nami się zajmuje, jeżeli

jednak to czyni, to dość pochlebnie. Inni wyrażają przeciwne zapatrywanie, to mianowicie, że Bułgarzy są nam niechętni dla tego, że wogóle niechętnie widzą wszystkich, którzy nie są Bułgarami lub Rosyanami. To ostatnie twierdzenie modyfikuje znowu p. Soczyński, utrzymując, że są nam zawsze przychylni, ilekroć w naszych stronnictwach politycznych pokaże się jakikolwiek zwrot ku Rosyi. Osobiście miałem później okazyę przekonać się, że w wyższych sferach bułgarskich liczymy szczerych i oddanych nam przyjaciół, którzy nas i dokładnie znają i nami się zajmują.

* * *

O pięć godzin koleją od Ruszczuku, wysunięte daleko na południe z małem tylko zboczeniem na zachód leży stare Tyrnowo, dawna stolica Bułgaryi, bułgarski Wawel. Okolica monotonna dopiero przed stacyą Bela nabiera trochę rozmaitości; przesuwają się doliny i wzgórza, uwieńczone wysokiemi strażniczemi mogiłami — tu i tam błyszczą wody strumieni. Za stacyą *Gorna Orehowica*, skąd rozchodzą się pociągi do Warny i Sofii, zmienia się krajobraz. Kolej wpada pomiędzy dwa łańcuchy skał, pokrytych do pewnej wysokości lasami, za chwil kilka wypada z nich i przed okiem podróżnika pojawia się pejsaż, przeniesiony pod bułgarskie niebo, gdzieś z dalekich, zaczarowanych Indyi. W olbrzymiej, zewsząd wysokiemi górami otoczonej kotlinie, sterczy kilka ogromnych rozmiarami skał; na tych skałach rozsiadło się miasto. Domy pną się coraz wyżej a wyżej, czepiają, jak obłoki, szczytów głazów, wznoszą się na prostopadłych kolumnach gdzieś w zawrotne wysokości, stoją nad brzegami stromych przepaści, a głęboko w dole toczy stara Jantra z hukiem i szumem swe zielone fale, oblewa dokoła pojedyńcze skały, tworząc tym sposobem kilka skalnych wysp, połączonych z sobą lekkimi, prawie że koronkowymi mostami; dwa długie tunele przerzynają miasto. Kto ma silną głowę, niech wyjdzie na balkon jednego z tych w olbrzymiej wysokości nad czarnemi czeluściami zawieszonego domu, a pamięć widoku, który się stamtąd roztacza, pozostanie mu na całe życie. Zwiedzanie miasta nie należy, rozumie się, do przyjemności; trzeba się piąć pod górę po skalistych, źle utrzyma-

nych ulicach, lub też wdrapywać po mniej jeszcze wygodnych schodach.

Na północny wschód od miasta wznosi się dość wysokie wzgórze, *Carewic*, nazwane przez Turków Hisar; obelisk wystawiony na jego szczycie z okazyi ślubu ks. Ferdynanda z Maryą Luizą, głosi w bułgarskim napisie, że tu jest święte dla Bułgara miejsce. Kto jednak zwiedzić je pragnie, a chce uniknąć niepotrzebnych wydatków, niech się zawczasu w magistracie postara o bilet, który tam każdemu bezpłatnie wydają. Na wierzchołku wzgórza stała niegdyś świątynia, w której się koronowali królowie bułgarscy. Dziś z tej świątyni ruiny; przewodnik pokazuje tylko kilka ocalonych marmurowych płyt w posadzce kościelnej, kilka resztek marmurowych i alabastrowych kolumn, świadczących i temi resztkami o niemałym artyzmie wykonania, i trochę malowidła na jednej ścianie, co przetrwało wieki i z pietyzmem jest przechowane. Z boku widnieją ruiny królewskiego zamku, a ku zachodowi wskazują dwa otwory wstęp do królewskich grobów; kości tych monarchów z lepszych, szczęśliwszych czasów spoczywają w cerkwi, stojącej z tamtej strony Jantry. Ku południowi sterczą ruiny tak zwanej wieży Balduina, z której ten bizantyjski książe wzięty do niewoli pod Andryanopolem w r. 1205, został, jak głosi tradycya, do rzeki strącony. Obok tego koronacyjnego wzgórza, oddzielone od niego tylko rzeką Jantrą, wznosi się drugie, *Trepewic* lub Trapezica, sławne tem, że w ostatnich czasach odkopano na niem fundamenty siedmiu, zdala już widnych kościołów. Wogóle pamiątek historycznych, sięgających bardzo daleko, bo aż w czasy rzymskie, jest tu pełno na każdym kroku; żal tylko, że te rzeczy nie są tak utrzymane, jak na to zasługują. Opowiadano mi nawet fakta, świadczące o takiem barbarzyństwie wobec przeszłości, że woła ono wprost o pomstę do Boga. Na wykutej n. p. w skale, pochodzącej jeszcze z rzymskich czasów drodze, która prowadzi do wzgórza Hisar, stała rzymska brama; ta brama tak raziła estetyczny smak burmistrza, że kazał ją zniszczyć. Niezadowolony tem zburzył nadto starożytny, sławny meczet i zrównał z ziemią wieżę, która jak utrzymują, pochodziła

jeszcze z czasów, gdy Bułgarya była niezależną. Ma więc i Bułgarya swoich »burzymurków«.

Zmęczony kilkugodzinnem bieganiem po mieście, wróciłem pod wieczór do hotelu i zasiadłem na jego terasie. Z dołu dochodził łagodny szum Jantry, obok wił się tor kolejowy ginący w poblizkim tunelu, tam dalej pięły się skały jedne nad drugiemi, w sali hotelowej grała muzyka cygańska tęskne melodye, a z poza Hisaru powoli na niebo wtaczał się księżyc. I w jego świetle te ruiny nabierały życia, a przeszłość z jej potęgą i blaskiem, jak żywa, stanęła przed okiem. Tu stała przed dziewięćset laty kolebka słowiańsko-bułgarskiej dynastyi Sziszmanidów, a w r. 1186 zostało miasto stolicą monarchów z domu Azów; tu w r. 1204 uwieńczył kardynał Leon cara Kalojana koroną poświęconą przez Innocentego III; tu w nurtach Jantry znalazł śmierć bizantyjski cesarz, Balduin, uduszono tu syna tatarskiego księcia, Nogaja, strącono ze skały zamkowej patryarchę Joachima III. I rozwijała się stolica, wzrastała potęga kraju, aż w r. 1393 pierwszy półksiężyc zajaśniał tam, gdzie dotąd błyszczały tylko krzyże. Ta niegdyś tak wielka Bułgarya utraciła swą niepodległość, zdarto z jej skroni królewską koronę, wieki jęczała w ciężkiej niewoli, najlepsze jej syny ginęły na rusztowaniu, strumienie łez i krwi zrosiły jej ziemię, a jednak to wszystko minęło, jak ciężki sen, zaświtała nowa jutrzenka, zajaśniało światło wolności, — a na jej siostrzycę nad brzegami Wisły kiedy przyjdzie czas? W odpowiedzi na to muzyka w sali hotelowej w dalekiem, królewskiem Tyrnowie, jakby wchodząc w myśli, zagrała: »Dręczy lud biedny...«

* * *

Z Tyrnowa prowadzi droga przez Bałkany i sławny z ostatniej wojny wąwóz Szipka do Kazanliku, miasteczka 500 metrów wysoko nad rzeką Tundżą położonego, słynnego z uprawy róż, które tu olbrzymie przestrzenie pokrywają, i z wyrobu olejku różanego, — a stąd dalej do Filipopola. Z tej drogi niestety zrezygnować musiałem, gdyż odbyć ją można tylko wozem, a to z powodu spóźnionej pory roku — było już trzynastego października — i padających wówczas właśnie deszczów, nie należało do przy-

jemności, tem bardziej, że taka podróż trwałaby zawsze kilkadziesiąt godzin i nie odpowiedziałaby swemu celowi, skoro grube chmury i mgły unosiły się nad Bałkanami. Nie pozostało więc nic innego, jak wrócić się do *Gornej Orehowicy* i stamtąd pospiesznym pociągiem warneńskim jechać wprost do Sofii. Jeszcze raz stare Tyrnowo pokazało się w swej krasie, gdy pociąg wypadł z pierwszego tunelu, wysoko na górach raz jeszcze przykuły do siebie uwagę dwa stare klasztory bułgarskie z otworami na groby, wykutymi w skale, wreszcie wąwóz się skończył, pociąg skręcił w bok, wszystko zniknęło. I znowu wozy pędzą po płaszczyźnie, aż po czterech godzinach dojeżdżamy do Plewny, bułgarskiego P l e w e n. Po prawej stronie wznosi się wzgórze Grywicy, której zdobycie tyle kosztowało wysiłków, ale też zadecydowało o losach wojny; dalej widać na stokach niewielkiego pagórka pomnik wystawiony ku czci poległych w bitwie żołnierzy, w jednem miejscu wznoszą się jakby resztki szańców, i wszystko. Z wałów, z fortów, z obwarowań nie ma i śladu; nic nie naprowadza na domysł, że tu taka zacięta niegdyś wrzała walka, i że tu właśnie znajdował się klucz, który silną ręką ujęty, otworzył wojskom sprzymierzonym bramę do tryumfalnego pochodu naprzód. Kiedy pociąg wyruszał ze stacyi, nad Plewną rozgorzała łuna i rozlała na polach i błoniach całe morze krwi, jakby na widomy znak, że tu naprawdę morze krwi ludzkiej się wylało.

Za Plewną tor zwraca się coraz więcej ku południowi, aż za stacyą C z e r w e n B r e g wjeżdża w Bałkany i przecina od Mesdry w całej szerokości tak zwaną Starą Planinę. Droga z każdą chwilą staje się bardziej malownicza, nie mało uroku dodaje jej światło księżyca, który po dniu słotnym wybił się wysoko na czyste niebo, a świeci tak jasno i silnie, że nawet drobne szczegóły podróży nie uchodzą uwagi. Kolej pnie się coraz wyżej, huczy między dwoma szeregami prostopadłych, ku niebu sięgających skał, tak że zdaje się wyjścia z nich niema, to znów, gdy wąwóz się rozszerzy, leci między olbrzymimi szczytami, których stoki porastają drzewa, podczas gdy wierzchołki toną w tumanach chmur i mgieł, wżyna się w ogromne granity, które jej stają na drodze, przebiega je w dwudziestu kilku tunelach i znowu

dokoła głazy, filary, wieże, kotliny, śnieżne szczyty, a do huku, świstu i zgrzytu lokomotywy wtórują w górze wystraszone bałkańskie orły, a tam hen w dole pieni się Iskra, rzuca swe wzburzone fale z przepaści w przepaść, rozlewa je w szerokie koryto, myje stopy skał, ginie w zaroślach i znowu wypływa i znowu się miota i znowu grzmi. Nagle pociąg zwalnia. Z lewej pionowa granitowa ściana wije się w różne skręty, z prawej przepaść, na dnie której huczy Iskra, droga wykuta w kamieniu, a tak wązka, że z jednej strony ręką dotkniesz prawie skały, z drugiej koła toczą się zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów od brzegu przepaści. Na twarzach podróżnych znać jakieś skupienie i powagę, bo tu każdy czuje, że w razie nieszczęśliwego wypadku ratunek niemożliwy. Prawda, że wskutek ostrożności zastosowanych przy jeździe w tem miejscu wypadków żadnych nie ma — raz tylko podobno przy budowaniu toru stoczyły się wozy po stromej ścianie —, ale skały się usuwają i dlatego wielkim nakładem pracy i kosztów przekładają obecnie tor na drugą stronę. Wreszcie parowóz przebiega dwudziesty trzeci tunel, w dali ukazuje się ciemna, granitowa ściana Witoszy, połyskują coraz gęściej elektryczne światła — o jedenastej w nocy stajemy w Sofii.

* * *

Kto w Sofii chce dokładnie i prędko zwiedzić to, co ona godnego widzenia posiada, kto przedewszystkiem pragnie oszczędzić wiele drogiego czasu i, w pewnych warunkach, droższych jeszcze pieniędzy — doróżki dużo tam kosztują, za kurs płaci się franka, a takich kursów nieznający miasta cudzoziemiec bez liczby robić musi — niech śmiało, pewien najlepszego przyjęcia, idzie na ulicę Aksakowa n. 45. W pięknej, kryjącej się w małym ogródku willi, z której werandy otwiera się ładny widok na granity Witoszy, znajdzie byłego gubernatora Warny i dawnego dyrektora biblioteki narodowej w Sofii, p. Stojanowa, gorącego przyjaciela Polaków, który w każdym przybyszu z dalekiej, nadwiślańskiej krainy wita »drogiego gościa« i »brata Polaka«. Dzieckiem jeszcze nauczył się po polsku i pamięta czasy, gdy w Szumli przebywało około tysiąca Polaków. Wówczas też poznał się z Bemem

i Sadykiem Paszą, o którym, jako o miłośniku i znawcy Bułgarów, wyrażał się z wielkiem uznaniem. Z entuzyazmem opowiadał, jakie wrażenie zrobił na nim początek tłumaczonej na bułgarskie powieści Czaykowskiego, *Kirdżali:* »Stary Dunaj, słowiańska rzeka«. W późniejszych latach utrzymywał stosunki ze Smolką i Szujskim, wszystkiem, co się Polski tyczyło, żywo się zajmował i dzisiaj zna dokładnie nasze położenie, wie co nas boli i jakiemi nadziejami żyjemy. Z pietyzmem przechowuje fotografie Polaków, z którymi w ciągu siedemdziesięcioletniego prawie życia losy go zetknęły, a kiedym później z nim razem zwiedzał Sofię, powitał mnie w wielkiej sali biblioteki narodowej piękny obraz Wawelu, przywieziony tu przez niego z Krakowa. Dzisiaj z trudnością już przychodzi mu się wyrażać po polsku, wybornie się jednak jeszcze w polskim języku porozumieć potrafi, to też niejedną przysługę mi wyświadczył — jeżeli te słowa dojdą do niego nad brzegi Iskry i skaliste złomy Witoszy, niech mu będą wyrazem wdzięcznego serca i szczerej podzięki.

Na razie jednak nie miałem jeszcze adresu p. Stojanowa, ani innych mi potrzebnych — wystarała mi się o nie następnego dopiero dnia uprzejmość p. Michałowskiego z Krakowa, *attaché* przy ambasadzie austryackiej — wybrałem się więc chwilowo sam w takie miejsca, o których przypuszczałem, że je bez większych trudności odnajdę.

Jeżeli czytelniku, twoje wiadomości bułgarskiego języka trochę szwankują, mów śmiało po francusku — niemiecki nie jest tu mile widziany — a od biedy i po polsku. Zdarzy się wprawdzie, że twój *vis-à-vis* w czasie twego polskiego przemówienia, będzie ci patrzał pilnie w oczy, uśmiechnie się trochę zaambarasowany i powie wreszcie *ne razbiram*, a ty mu niezadługo głośno zawtórujesz n i e r o z u m i e m; zdarzy się także, że gdy ci przypadkiem stanie zegarek, a spieszy ci się na kolej lub na jakiś wieczorek, na który nie chciałbyś się spóźnić, spytasz się pierwszego lepszego przechodnia, która godzina; on się popatrzy na ciebie zgorszony, czy może drwisz sobie z niego lub czy ci przypadkiem czego nie brakuje, a ostatecznie, jeżeli grzeczny odpowie, że: tysiąc dziewięćset pięć, z czego dopiero się przekonasz, że bułgarska

godina to nasz polski rok, a nasza godzina to bułgarski czas — koniec końców porozumiecie się jednak. Nie spuszczaj się tylko na fiakra, bo fiakier ma ciebie wprawdzie wieźć, ale ty jego powinieneś prowadzić; dotkniesz jego lewego lub prawego ramienia, to znak że ma w lewo lub w prawo skręcić; szturchniesz go w środek pleców, on wie, że ma się zatrzymać.

Przekonałem się jednak wkrótce, że poszukiwać w Sofii wybitnych nawet osobistości, których dokładnego adresu się nie ma, nie prowadzi do celu i to nie z powodu trudności językowych, bo te względnie łatwo pokonać się dadzą, ale dlatego, że nikt po prostu poinformować nie potrafi i potrzeba chyba wielkiego szczęścia, żeby trafić na kogoś z wyższych, w Bułgaryi znowu niezbyt licznych, dziesięciu tysięcy i tak dojść do potrzebnej wiadomości. Sądziłem naiwnie, że pisarz tej miary, co Iwan Wazow, będzie w Sofii chyba każdemu znany i rzeczywiście po kilkugodzinnej wędrówce udało mi się wreszcie odszukać ulicę, na której lub w pobliżu której miał mieszkać. Zaczyna się teraz pielgrzymka od domu do domu; wszędzie po zapytaniu o Wazowa, zdziwione twarze i stereotypowa odpowiedź: *ne ima* albo *ne tuka* — gdzie jednak, nikt nie wie. Dostaję się wreszcie do jakiejś wytwornej wili, w której salonie grono pań siedziało przy sorbetach i tureckiej kawie. Panie naradzają się między sobą i wreszcie jedna odpowiada mi, że chyba pomyliłem się co do nazwiska, bo tu o takim człowieku nikt nigdy nie słyszał. Z kłopotu ratuje mnie pokojowa, która właśnie z miasta nadeszła. Usłyszawszy, że chodzi mi o Wazowa, dopytuje się, czy mam na myśli *pisatiela,* wybiega za mną na ulicę, wskazuje może pięćdziesiąt kroków dalej stojący skromny dworek i dodaje, że tam mieszka Wazow, *pisatiel.* Nieszczęściem kamienica hermetycznie zamknięta, *pisatiela* niema w domu, a jak mi oświadcza jakiś przypadkowy przechodzień, jego *żena,* po polsku służąca, wyszła przed chwilą do miasta. Rezygnuję więc na razie z wizyt i zaczynam przyglądać się stolicy.

(Dok. n.)

Ks. Wiktor Wiecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetyckiej.

I.

1. Wł. Orkan: »Ofiara«. Fragment w trzech aktach z roku 1846. Kraków 1905. — 2. W. Orkan: »Wina i kara«. Tragedya w 3 aktach. Kraków 1905. — 3. J. Żuławski: »Eros i Psyche«. Wyd. II. Lwów 1905. — 4. J. Żuławski: »Ijola«. Dramat z czasów średniowiecznych. Lwów 1905. — 5. F. Płażek: »Elektra«. Tragedya. Lwów 1905. — 6. F. Płażek: »Święta Wiosna«. Dwa dramaty. Lwów 1904. — 7. J. A. Herbaczewski: »Potępienie«. Tragedya duszy (cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). Kraków 1906. — L. Staff: »Godiwa«. Dramat w trzech aktach. Lwów 1906. — L. Staff: »Skarb«. Tragedya w trzech aktach. Lwów 1904. — 10. L. H. Morstin: »Na racławickiem błoniu«. Udramatyzowana pieśń. Kraków 1906.

W *Gazecie literackiej* warszawskiej z r. 1821 czytam zdanie recenzenta przygodnego: »Nigdy nie było w Polsce większej liczby pisarzy dramatycznych, jak w dzisiejszym czasie«[1]. Toż samo teraz. Od lat kilku gorliwość i zapał talentów poetycznych w tym podąża kierunku; powstają liczne dzieła, wśród nich niepospolitym blaskiem lśniące tragedye Wyspiańskiego; coraz nowe w szeregi dramatyków wstępują nazwiska, aż nareszcie — nie trzeba wątpić — na tej piramidzie dzieł, nazwisk i talentów zajaśnieje geniusz, który da nam ten, o jakim niemal od wieku marzymy — dramat narodowy. Jakże to dawno, jeszcze przed romantyzmem w 1821 roku z powodu ponownego wystawienia i sukcesu na warszawskiej scenie »Barbary Radziwił-

[1] Nr. 25 z 19 czerwca.

łówny«, umieścił K. Brodziński w *Pomiętniku warszawskim* [1] uwagi o dramacie. Wróżył on: »Ten polski poeta trafi na drogę prawdziwie narodowej dramatyki, który najgłębiej uczuć potrafi wielkość prostoty greckiej poezyi«. Geniusz porówna wieki i narody, zbada serca i wynajdzie to, co będzie stanowiło narodową odrębność naszą. »Zostawmy okropne zbrodnie, gdyśmy ich ani z dziejów odziedziczyli, ani ich wystawianie z czuciem narodowem się zgadza, bo pewną jest rzeczą, że wielu tragedyi angielskich nigdyby publiczność nasza nie zniosła«. Tak to wówczas na przekór przeważnemu wpływowi klasyków francuskich, — poczęły się wyłaniać odmienne dążenia: więcej prostoty, uwzględnienie pierwiastku uczuciowego, cele etyczne, gdyż Brodziński w twórczości tragicznej dopatrywał się trojakiego celu. Tragedya powinna uczyć skutków namiętności, obudzać w nas uczucia szlachetne, tłumić i odstraszać od złych. Rzecz prosta, że i romantycy myśleli wcześnie po swem wystąpieniu o dramacie. Lubując się w skrajnościach i radykalizmie artystycznym, zrywając od razu i bezpowrotnie z kanonem prawideł, porywać się poczęli na fantastyczne wzloty w sfery ducha i za przykładem arcydzieł europejskich grać na najgórniejszych strunach namiętności i uniesień ludzkiej duszy, lubować się w sytuacyach beznadziejnie okropnych, wstrząsających grozą lub rozkoszujących się bólem. Taką jest część IV »Dziadów«, »Edmund« Witwickiego, »Wacław« Garczyńskiego. Pierwszy atoli Mickiewicz wyrozumiał potrzebę narodowego dramatu. Z powodu »Izory« Odyńca zaklina go, aby obrał do dramatu przedmiot historyczny, domaga się od dramatu »wielkiego wypadku«, »wielkich charakterów«, »wielkich sytuacyi«, wie, że zupełnie czem innem jest teatralność, a dramatyczność, zwierza się, że »kilka całych dramatów w ogień rzucił, kilka w połowie dokonanych«, zapewnia, że »jedyne drama, odpowiadające potrzebom wieku, jest historyczne«, ale na razie radzi naśladować Szekspira [2]. Dopiero francuska książka, którą tytułuje *Les soirées de Neuilly*, odkryła mu nową, szczytną formę dramatu, a forma ta polegała na tem, żeby w szeregu scen poetycznie opracowywać momenty dziejowe, pokrewne duchem chwili spółczesnej i obdarzone skutkiem tego potężną siłą oddziaływania. W chwili wyjazdu za granicę z Rosyi w 1829 roku podług Mickiewicza dramat narodowy miałby być: *a)* psychologiczny, *b)* historyczny, *c)* aktualny, t. j. zwią-

[1] Tom XX, 579—589 i »Pisma« V, 75—78.
[2] »Korespondencya« IV, 89, 103.

zany duchowo z dziejami chwili. Za granicą widział »Fausta« w Wejmarze — i stąd szereg rozmyślań, który dowodzi go do nowych uzupełnień teoryi narodowego dramatu. Nasza historya — wyznaje pewnego razu poeta [1] — obraca się w sferach wyższych nad ziemski rozum, nad sam ziemski interes lub namiętność, a sprawy świata jednoczy ze światem nadprzyrodzonym przez uczucie i wiarę. Przybywa tedy do powyższej teoryi pierwiastek cudowny w duchu pojęć chrześcijańskich. Jak mało Mickiewicz i później odstąpił od tego określenia narodowego dramatu, świadczy lekcya XXIII literatury słowiańskiej z roku 1843, gdzie mówi: »Trudno napisać dramat słowiański, któryby obejmował wszystkie żywioły poezyi narodowej. Dramat ten powinienby być lirycznym i przypominać urocze dźwięki pieśni gminnych, powinienby naśladować opowiadania, jakich wyborny wzór mamy w poematach Serbów i Czarnogórców; powinienby przytem przenosić nas w świat nadziemski. Żeby utworzyć dramat narodowy, trzebaby przebiedz cały rozmiar poezyi od piosnki do epopei«. Jeżeli do tego dodamy postulat mniejszej wagi, zapożyczony od Goethego, Lessinga i Schlegla, żeby dramat w odróżnieniu od powieści był szeregiem psychicznych przemian bohatera, postulat o tyle nieważny, że w dzisiejszym a nawet i szekspirowskim dramacie niekiedy jednostka bohaterska nie występuje przez cały ciąg dzieła, albo też jak w Hauptmana »Tkaczach« lub Wyspiańskiego »Weselu« jednostki bohaterskiej zgoła niema, — to otrzymamy całokształt pojęć Mickiewicza o narodowym dramacie. Pojęcia te w początkach twórczej pracy przyjął Słowacki, jakkolwiek w okresie swego mistycyzmu, a nawet wcześniej gdy pisał »Balladynę«, »Horsztyńskiego«, »Lillę Wenedę« poszedł własną drogą. Nie tu miejsce na rozpatrywanie tej drogi. Chodzi mi o stwierdzenie, że po latach trafił na Mickiewiczowskie szlaki Szujski w dramacie p. t. »Twardowski«, a za dni naszych odnalazł i wielkość greckiej p r o s t o t y Brodzińskiego i Mickiewiczowską historyczną aktualność w połączeniu z cudownością, z liryką i epiką — Wyspiański. Tak to

»... przez obszar daleki
Wiążą się istnień kolejne ogniwa...«

Kto był świadkiem zapału, z jakim przyjmowano dramatyczne dzieła Wyspiańskiego, ten zadaje sobie pytanie, czy nie zbliżył się poeta do formy najlepiej odpowiadającej dramatowi narodowemu, czy z pośród wielu form ta właśnie historyczno-aktualna, to zwierciadło,

[1] »Listy z podróży« Odyńca I, 342 i d.

odbijające blaski promiennego i ukochanego przeszłości ideału a zarazem dla serc dzisiejszych nadzieja i osłoda — nie jest złotym rogiem poezyi dramatycznej słowiańskiej. Nie przeto sądzić należy, że inne kształty np. dramatu psychologicznego, symbolicznego, spółczesno-obyczajowego miałyby uledz ograniczeniu, że może geniusz miałby uledz ograniczeniu. Obawa próżna i pretensya byłaby dzika. Geniusz potrafi z najdrobniejszych ziarn wytworzyć dzieło, pełne wielkich postaci, wielkich wydarzeń, wielkich sytuacyi. Powinnością natomiast krytyki jest wskazać, jak wiążą się ogniwa sztuki po przez obszar daleki, a ważne to mi się wydaje zwłaszcza w chwilach tak wzmożonej produkcyi artystycznej, jak obecna. Łatwość pozorna napisania dramatu, jeśli się sobie z góry przywłaszczy zasadę: żadnych skrępowań; rozlew kultury, powodujący głód książki coraz szerszy i większy; raźny wzrost ozdobnictwa typograficznego, które nie poprzestaje na dogodnym druku, lecz zachwyca oczy pięknością i zajmującym widokiem książki; gorączka nerwów, skłaniająca młodych poetów do rzucania na rynek myśli ludzkiej wytworów młodych, bo życie krótkie, a sława w ogniu wirowym rychło stanie się owocem dojrzałym, tylko go zerwać; — wszystko to są czynniki, które szczęśliwie zasilają skarbiec nasz piśmienniczy coraz bogatszym plonem, ale też wymagają niejakiego brakowania, iżby w tym skarbcu, jako przyszłych pokoleń nektar i ambrozya, nie pomieszały się ziarna ważne i lekkie.

Cokolwiek na tle przeszłości pisał Wyspiański, zawsze pisał z myślą o dzisiejszych czasach i ludziach dzisiejszych. Mógł to być »Kazimierz Wielki« czy »Bolesław Śmiały«, »Wanda« czy »Warszawianka«: wszędzie znajdowaliśmy myśli i uczucia, z głębi dusz dzisiejszych wydarte i w postaci wcielone. Tak on czynił historyę aktualną, tak on do nas wołał przez swe dzieła: *discite historiam exemplo moniti.*

W tym samym rodzaju jest fragment dramatyczny z r. 1846 p. Orkana. Rzecz dzieje się w okolicach Tarnowa we dworze Jana. On sam, i Piotr, i Paweł, i studenci nadsłuchują chciwie haseł, wezwań i poselstw emigracyi, gotowi są do czynu; tylko że Piotr i Paweł gnębią chłopa i uważają go za niewdzięczne bydlę, Jan zaś obchodzi się z chłopami swymi po bratersku, przyjmuje ich u siebie, jak równych gościnnie i serdecznie, łudzi się nadzieją, że pójdą razem na wspólnego wroga. A chłopi chytrzy, egoiści, bez śladu uczuć obywatelskich: czasem bezceremonialni, jak Rokita, czasem dzicy, jak Matus,

czasem ohydnie trywialni, jak Urlopnik. Szeregi skarg, jakie wytaczają zajadając pańską sarninę i popijając pańskie wino, szeregi krzywd niegdyś doznanych cuchną mocno egoizmem bez aliażu i jeżeli dadzą się oni porównać do Konewek i Chrzcicieli z Dobrzyna, to jedynie ze swej wstrętnej prywaty; Konewka bowiem i Chrzciciel są za głupi, aby się stać niebezpiecznymi, ci zaś podobni z przemyślności do hyen, węszą, rzekłbyś, żer, gotowi podejść zdradziecko z tyłu i korzystać ze zbytniej aż naiwnej ufności i dobroci Jana. Aż żal bierze, że poeta uczynił go takim zacnie ślamazarnym marzycielem, że stawiąc naprzeciw siebie do walki dwie siły, dał jednej zmysł szakali a drugiej gołębie serce. Prawdziwa też to ofiara, niepowinna i bezbronna, jak jagnię. Dla chłopów »becalung z becyrku« bogiem jedynym, a Jan, duchem ubogi, nie słucha przestróg, przeczuć, snów czy Magdy czy żony i wierzy, że oni poczciwi na głos jego pójdą do walki z Niemcami. Co prawda — to z wyjątkiem chłopów w ogóle ludzie w »Ofierze« za mali do dramatu. Studenci np. istne dzieciuchy! Myślą o pięknym stroju, o czapkach — batorówkach czy krakuskach, mniejsza o to, ale koniecznie z sobolami, piórami, chciwie wyciągają ręce po wstążki pani Maryi, jako nieodzowny bodziec animuszu. Takiej młodzieży dziś niema: dojrzalsi niezawodnie. A wówczas była? Godzi się o tem wątpić. Była niewątpliwie w konspiratorskiej organizacyi wyćwiczeńsza, boć od roku 1821 mogła nabyć wprawy, ale mniej miała na ustach szkolnej poezyi, którą ta szermuje, na trwogę bijąc, gdy mowa o ofierze (s. 27). Fragment ten kończy się oddaniem Jana w ręce niemieckie przez chłopstwo, dzięki nadziei *becalungu*. Przypuszczam, że należy do pierwszych dzieł p. Orkana, bo i datę nosi na końcu: »W Porębie Wielkiej 1899 r.« Nosi też ślady zależności od Maeterlincka w tem nastrajaniu czytelnika za pomocą »piewu żałobnego«, tajemniczych wyczekiwań osoby przybyć mającej, za pomocą zjawów cichych zwiastunów, którzy coś szeptem oznajmiają i wychodzą, za pomocą głosu sowy, jakichś rozmów, pełnych smętnych wspomnień, przeczuć, snów, rozmyślań nad życiem przeszłem, chwilą obecną a blizką śmiercią... Fragment ma jednak dwa rysy, godne pamięci: moment akcyi dzielnie wynaleziony. Myślę, że z tego momentu dobyć można niejedną scenę dramatyczną. Ma też fizyognomie chłopów ze śmiałym rozmachem szkicowane; ma wreszcie prześliczny ustęp w pierwszym akcie, godzien Wyspiańskiego:

> Jeśli ma powstać lud — niech wstanie wolny!
> Niech stanie przy nas, jako bratu brat! i t. d. (s. 29)

Druga tragedya »Wina i kara« odznacza się zawikłaniem tego gatunku, jaki dawał się spotkać w »Edypie«, »Fedrze«, »Beatrix Cenci«, »De profundis«, »Horsztyńskim« (Szczęsny — Amelia), »Mazepie« (Amelia — Zbigniew), o tyle brutalniej traktowanem, że sfera uczuć jest chłopską i że grzech kazirodztwa oblókł postać czynu. Łukasz, żonaty z Anną, miał niegdyś córkę z Wilhelminą i obecnie żyje w jednej chacie ze ślepą Anną i z własną córką Elżbietą w stosunku występnym. Anna skutkiem kalectwa przeczulona, prawie wizyonerka, zrazu odgaduje, potem ma pewność potwornego występku męża, oczekuje straszliwej kary gniewnego nieba, aliści oto umiera w mniemaniu, że ulega tej groźnej karzącej prawicy Boga, który się jednak »pomylił, bo ta śmierć... to wybawienie« od nieznośnych udręczeń serca. Najciekawszą postacią dramatu jest Owczarz, człek według zapewnień Łukasza — mądry i prawy, według naszego widzenia rzeczy — poganin, wierzący w przeznaczenie, a nie bardzo w Boga. »Przeznaczenie podobno jest i nikt go nie uniknie«, prawi Annie (str. 33). Ale gdy chodzi o etykę, ma bardzo osobliwą. Opowiada historyjkę, że mąż mieszkający z żoną i siostrą żony, szalał za tą ostatnią, a piorun wpadł przez komin i zabił... żonę. Na pytanie, czy to był grzech, odpowiada zagadkowo: »Grzech jest i kara jest, a jakby ich nie było, toby je ludzie znowu wynaleźli«, bo przykazania są rozmaite, »każdy zachowuje te, które mu są wygodne, a niektóre zaś zmienia do swojej potrzeby«. Nareszcie udziela absolucyi całej potworności domu tego, gdy zapewnia: »Niema niczyjej winy... ot, krewne dusze garną się ku sobie... i gdzież tu jaki grzech...« Nie dziw, że mając tak misternego kierownika Anna przy śmierci nie pragnie się spowiadać... »Wyspowiadam się wnet — Bogu«... Któżby w Owczarzu i Annie, w Łukaszu i Elżbiecie nie rozpoznał postaci naskalno-podhalańskich Tetmajera? Szkoda, że tragedyi, która ma znów niemało akcentów kwilących dusz, brak tła górskiego, dekoracyjności scenicznej i efektów kontrastowych. Wtedy czyniłaby zapewne wrażenie na deskach teatralnych. W tej postaci zaś za wiele ma martwych komparsów w początku i końcu, za mało głębokiego wniknięcia na dno dusz cierpiących, aby porwać mogła widza. Łukasz zgoła drewniany, Elżbieta znaczy swą egzystencyę osobliwie nastrojowym śmiechem; Dyzma Owczarz i Anna żyją, ale tego mało na trzyaktową tragedyę. I tu sporo motywów meterlinkowskich, owych burz, piorunów, przeczuć i sennych widzeń. I tu parę fragmentów prawdziwie pięknych, jak np. wybuch błagalny Anny:

O ratuj ty mnie, siostro!
Dusza moja we strasznym zamęcie... (str. 62—68)

Oba powyższe dramaty wydają mi się owocem dawnej pracy; talent p. Orkana od owego czasu wyrobił się i wzmógł samodzielniej. Są to raczej próby dramatyczne, tulące się na kształt bluszczu do jakiegoś panującego kierunku, może jakiejś mody. Pierwszy miły jest dzięki wątkowi swemu, z drugiego mogłoby ocaleć zaledwie parę kart pięknych. Reszta dziś nieco spóźniona...

(C. d. n.)

Antoni Maxanowski.

Polityka Rosyi względem szkolnictwa zaboru rosyjskiego. *Wł. Studnicki.* Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1906. (8-ka m., str. 260).

Dzieje szkół naszych po rozbiorze kraju dotychczas nie mają swego historyografa; a są to rzeczy niezmiernie ważne, pouczające, ściśle związane z naszą przeszłością dziejową i oświetlające wymownie losy naszego narodu w XIX już wieku. Że tych dziejów dotąd nie opracowano należycie, to się tem tłumaczy, że nie mieliśmy potrzebnych do tego materyałów; ale, z biegiem lat, te źródła otwierają się; przybywa tu i ówdzie niemało akt, zbiorów, dokumentów różnych, co może z czasem doprowadzi do wytworzenia całości pożądanej naszej porozbiorowej kultury i sposobów nauczania. A tymczasem mile witamy każdy nabytek w tym względzie, pracę każdą, skierowaną do poznania lepszego naszych instytucyi pedagogicznych w owej właśnie porozbiorowej dobie; bardzo też interesują nas rozprawy, usiłujące wyświetlić politykę, jakiej się trzymano względem szkół w kraju naszym; to też książka p. Wł. Studnickiego żywo nas obeszła, zajęła treścią swoją i śpieszymy zdać z niej sprawę.

Na jakich oparł on ją materyałach? — Na polskich i rosyjskich, ale jest tak nieścisły w podawanych cytatach dzieł pomocniczych, że często nie wiadomo, skąd ta lub owa zaczerpnięta wiadomość... Nadto niektóre materyały wcale nie były zużytkowane: np. archiwum kuratorskie w Muzeum Czartoryskich i t. zw. paki nowe, bez czego dziś już nie można pisać o szkołach polskich w zaborze rosyjskim przed rokiem 1831; historya Uniwersytetu wileńskiego przez d-ra Józefa Bielińskiego także nie uwzględniona przez autora, jak też dawniejsze druki nasze w tej materyi (np. Kołłątaja korespondencya z T. Czackim, »Ateny wołyńskie« p. M. Rollego i t. d.)

Gdyby p. Studnicki zaglądnął do tych rzeczy, to pierwsze roz-

działy jego książki (najważniejsze) wyglądałyby obszerniej i byłby uniknął omyłek nieraz rażących w swojem opowiadaniu... *Nomina propria* może najbardziej na tem ucierpiały. Wystarczy kilka przykładów. Pan Studnicki ustawicznie nazywa Jankiewiczem (s. 70 i inne) wyższego urzędnika rosyjskiego, bardzo znanego w swoim czasie, Jankowicza de Miriewo, tak go pisze i *Sbornik materjałow dla istorii prosweszczenia,* na który się autor powołuje; gubernatorem podolskim był Józefowicz Aleksy, nazywany przez p. Studnickiego Izefowiczem (s. 12), o czém także ze *Sbornika* tego można się było dowiedzieć; — sławny generał Jezuitów O. Brzozowski przezwany Berezowskim (s. 39); na str. 56 i 58 jest mowa o jakimś księdzu Klonowiczu, który miał być rektorem Uniw. wileńsk.; tu już niełatwo się domyśleć, że to ks. biskup Kłągiewicz; znane osobistości bardzo Krusenstern i Kartaszewski występują jako Kartaszew i Krutzenstern (s. 93, 66); znany literat i prof. warsz. Teodor Wierzbowski figuruje jako Wierzbicki (s. 245); po macoszemu też obszedł się autor z nazwami miejscowości; np. na str. 10: czytamy tam — Truskawiec, a to są sławne na Litwie Traszkuny, szkoły bernard.; Brzeck, czytać należy Brześć; Żyrowick, a to głośne Żyrowice; Poddębie — zamiast Podubisie alias Poddubisie, na Żmudzi, szkoły bazyliańskie; Morzyc, a to Merecz i wiele jeszcze innych podobnych przekręceń. Niekiedy wiadomości podane niedokładne: autor mówi o Liceum krzemienieckiem już w 1805 r. (s. 35), a przecież wiadomo, że wtedy było tam tylko t. zw. gimnazyum wołyńskie, a liceum utworzono dopiero w 6 lat po śmierci Czackiego w 1819 r. w styczniu (cf. *Sbornik postanowlenij* t. I, str. 1133, wyd, 1864); nie rozumiemy na jakiej zasadzie autor twierdzi (s. 4), że w Kijowie pierwsze szkoły rosyjskie powstały w 1789 r. (!); mówi też on o liceum w Orszy, jako o istniejącem (s. 71), a to był tylko projekt otworzenia tam takiego zakładu; na s. 29 znajdujemy zdanie, że szkoły powiatowe rosyjskie, to nasze wydziałowe, a przecie wiadomo, że podwydziałowe znaczenie pow. miały.

Jezuitów zwolennikiem i ich nauczania autor nie jest i patrzy na nich przez pryzmat Chmielowskiego (»Obskurantyzm i liberalizm na Litwie«), zgadzając się w swoich poglądach na ten Zakon w zupełności z p. A. Pogodinem, znanym literatem rosyjskim (cf. przedmowa do IV *Sbornika mater. dla istorii proś.* Petersburg 1902). Pan Studnicki robi Jezuitom zarzut (s. 40), że tworzyli katolicyzm rosyjski dla nas niebezpieczny, niwecząc jedną z cech oddzielających

nas od Rosyan; a kilka stron przedtem (s. 24), wymówił się, że Zawadowski, następnie minister oświaty w Rosyi, wychowaniec Jezuitów w Orszy, zawdzięczał im polską kulturę, ogładę, znajomość języka polskiego, że się lubił popisywać mową polską i zachwycał się Janem Kochanowskim, którego wiersze umiał na pamięć... Gdyby autor przypomniał sobie, ile to szkół jezuickich było na południu dalekiem w Rosyi, na wschodzie, nawet na Kaukazie i Syberyi, gdzie, okrom innych przedmiotów, uczono po polsku; gdyby uprzytomnił sobie czasy Akademii połockiej, w której starannie uprawiano historyę, literaturę polską, wykładano wszystko po polsku, wydawano czasopisma polskie, tym sposobem tworząc w Połocku ognisko kultury i inteligencyi polskiej, — to możeby tak pośpiesznie nie stawiał takich o Wielkim Zakonie wniosków...

Autor zna dużo dzieł rosyjskich w materyi swego przedmiotu i dobry bardzo robi z nich wybór, ale niektórych, dość ważnych, nie poznał, opuścił. Do takich należy sprawozdanie smutnej pamięci Józefa Sękowskiego z wizytacyi szkół białoruskich w 1826 r. (drukowane w *Żurnale Narodn. Prosw.* z r. 1872, zeszyt kwietniowy i majowy), memoryał kniazia Chowańskiego, generał-gubernatora witebskiego, mohylowskiego i smoleńskiego w sprawie szkolnej na Białorusi w ostatnich latach panowania Aleksandra, a także uszły jego uwagi oficyalne rosyjskie wydawnictwa sprawom szkolnym poświęcone, jako to: *Periodiczeskoje soczinienie o uspiechach narod. proświeszczenia* 1803—1817, *Żurnał depart. narod. prośw.* 1821—1823, *Zapiski depart. narod. prośw.* 1825—1828 i nakoniec *Żurnał ministr. narod. prośw.* już od r. 1834. Bardzo tu dużo ważnych szczegółów.

Chociaż, przyznajemy to chętnie, autor i bez tego nagromadził w swojej pracy niemało ciekawych, nowych nawet faktów i wiadomości (z ukazów np. cesarskich), informacyi różnych, dając im często należyte oświetlenie. Np. w sprawie t. zw. aspiracyi litewskich (s. 111, 112, 215), przez rząd wywołanych, popieranych, aby niweczyć wpływy kultury polskiej, słusznie bardzo p. Studnicki dowodzi, że ruch ten generał-gubernatorów wileńskich za swoich uważać może i powinien patronów i szerzycieli.

Książka ta podzielona na sześć rozdziałów.

I. Polityka względem szkół za czasów Katarzyny II, s. 1—17;

II. Okres od roku 1803—1824, s. 18—68 (dochodzi jednak do roku 1831);

III. Okres rusyfikacyjnej polityki na Litwie od r. 1831—1863 (uwzględnia tu i Ruś także), s. 68—127;

IV. Polityka Rosyi w szkołach Królestwa od r. 1831—1864, s. 128—177;

V. Szkoły na Litwie przeważnie po r. 1863, aż do końca prawie wieku XIX, od s. 178—228;

VI. Niby rekapitulacya i rozmaite dezyderaty, s. 228—260.

Na końcu, zamiast choć spisu rozdziałów, podana treść nowej autora pracy, będącej już pod prasą we Lwowie.

Korekta — straszna, sprostowań — niema; omyłek drukarskich moc wielka, a co się tyczy języka, to jest tak okropnie skażony rusycyzmami, że kto nie umie po rosyjsku, ten często wyrazów niektórych nie zrozumie; stylistyczne zaniedbanie ogromne.

Marek Michnowiecki.

Zarys historyi Kościoła katolickiego dla szkół średnich i seminaryów nauczycielskich. Opracował *ks. Walenty Gadowski,* katecheta w Tarnowie. Kraków. Str. 220.

Nie jest rzeczą łatwą ująć w ciasne ramy podręcznika przedmiot tak ogromny i dać w krótkich słowach treściwy i wierny obraz rozwoju i działalności Kościoła po całym świecie, szczególnie jeżeli trzeba mieć na względzie, że np. w ósmej klasie gimnazyalnej tylko dwie godziny tygodniowo przez rok niecały temu przedmiotowi są poświęcone. Widocznie też autor nie ograniczył się do tego *minimum,* które katecheta w roku wyłożyć zdoła, lecz rzecz obszerniej przedstawił, zostawiając resztę roztropności katechety i ciekawości uczniów. I słusznie, choć byłoby może lepiej, gdyby autor przytem był tylko miał na oku wymogi szkolne, a nie »wiele osób prywatnych a zwłaszcza Duchowieństwo, które zechce nabyć dziełko informujące krótko a jasno o kwestyach aktualnych«, bo te interesa nie schodzą się. Wobec tego autor szeroki sobie zakreślił plan, uwzględniając »cywilizacyjną działalność Kościoła w każdej dziedzinie a zwłaszcza na polu społecznem«. Czuł autor dobrze, że tym sposobem ogromny materyał ma do opanowania, wybrał dlatego inny sposób, mianowicie przedstawiając ze względów praktycznych, starożytny i średniowieczny Kościół bardzo krótko, za to dłużej zatrzymując się przy dziejach nowszych Kościoła. Historyk może nie zgodziłby się na to, ale aktualnie i taki sposób pojęcia może mieć swoje uzasadnienie.

Przejdźmy do szczegółów. Cytat z Józefa Flawiusza w notatce

str. 3 lepiej było opuścić, bo jest bardzo podejrzany. Że św. Piotr założył gminy w Antyochii i w Rzymie będzie autorowi trudno udowodnić (str. 10), a jeszcze trudniej wykazać, że ślady dawnego chrześcijaństwa w Ameryce Środkowej sięgają czasów apostolskich (str. 11). Co do prześladowań autor zdaje się być zdania, że już przed Decyuszem miały charakter ogólny i systematyczny, co wobec dzisiejszej krytyki trudno twierdzić (str. 16). Nie wiem, co autor rozumie pod listami pokoju, o których (str. 21) mówi, że na znak łączności odczytywano je nieraz przy Mszy św. — jeżeli to mają być znane *libelli pacis,* to należałoby je nieco inaczej przedstawić.

Tu i owdzie pragnęłoby się większej dokładności w wyrażeniach, tak np. jest ustęp o Ojcach apostolskich niedokładny, bo sądzę, że autor sam zdania (str. 23): »Dzieła Ojców Kościoła zawierają tak wiele cytatów z Pisma św., iż można z nich złożyć całe Pismo św.«, w tym związku, w którym znajduje się w podręczniku, nie podpisze. Ta sama niedokładność jest w ustępie o bezżeństwie księży (str. 26). Nie każdy się zgodzi na to, że bezżeństwo już od 255 r. stało się »prawem obowiązującem kościelnem na Zachodzie«, a z apostołów św. Paweł także nie był żonaty.

Ramy krótkiej krytyki nie pozwalają wchodzić w dalsze szczegóły. Zwracam tylko jeszcze uwagę na jeden objaw przejawiający się systematycznie w całym podręczniku. Cenię w autorze wielką miłość i głęboki szacunek dla Kościoła, który wszędzie wyraźnie występuje, widzę także potrzebę, aby wlać w uczniów to samo gorące przywiązanie do Kościoła, ale nie kosztem prawdy. Razi po prostu w tym podręczniku ta mnogość światła bez owych cieni, o których wiemy, że należą do wiernego obrazu Kościoła. Nawiasowo prawie przedstawia albo raczej wspomina tylko autor o ujemnych zjawiskach w dziejach Kościoła, jak np. wiek X, XV, XVI i t. d. Jest to z pewnością błąd nie tylko naukowy, ale i pedagogiczny. Prawdą więcej przysłużymy się Kościołowi, aniżeli wszelką apoteozą nieuzasadnioną.

Zresztą jest to książka bardzo treściwa, świadcząca o wysokim poziomie wiedzy i wykształceniu autora, i z wielką pilnością napisana. Dodał autor także ryciny ilustrujące tekst, choć może nie zawsze szczęśliwie dobrane, i przy końcu umieścił spis soborów powszechnych i chronologiczny spis papieży. Życzymy tej pracy jak najlepszego powodzenia.

Ks. A. Starker.

Dokąd dążymy? Napisał *ks. dr. Adam Kopyciński.* Lwów 1906. S. 185.

Rozprawa ta była już drukowaną w *Gazecie Kościelnej.* Treść jej zaczerpnięta jest w całości z dzieła ś. p. ks. Emila Bougaud »Chrystyanizm i czasy współczesne«, którego pierwszy tylko tom posiadamy w przekładzie polskim. Jest to apologia wiary katolickiej, napisana z polotem i zapałem, z werwą prawdziwie francuską, stylem potoczystym i dla ogółu przystępnym. W rozdziale pierwszym jest mowa o »istocie człowieka«, w drugim o »Istocie Bożej«, w trzecim o »obcowaniu człowieka z Bogiem«, w czwartym o »spotkaniu i wielkiem zjednoczeniu się Boga z człowiekiem«, w piątym o »Żywocie wiecznym«, w szóstym o niewieście, w siódmym o rodzinie, w ósmym o społeczeństwie, w dziewiątym o Kościele katolickim.

Różne mogą być zdania o tem, czy w taki sposób powinno się pisać książki apologetyczne, czy argumentacya tej rozprawy jest wszędzie dosyć gruntowną i przekonywującą. Nikt wprawdzie nie będzie do niej przykładał miary, jaką się przykłada do dzieł, przeznaczonych dla filozofów i dla ludzi szukających pouczenia głębszego o Bogu i religii. Nie myślę więc wytykać szan. tłumaczowi, że nie uwzględnił wielu zarzutów, z którymi spotyka się nauka Kościoła a z innymi załatwia się krótko, zbywając je ogólnikami. Chętnie też przyznaję, że podał nam dużo treści, z której skorzystać mogą kaznodzieje i katecheci; muszę jednak zwrócić uwagę na pewne braki i niedokładności, które w drugiem wydaniu powinny być usunięte.

Przedewszystkiem należałoby, jak sądzę, usunąć pewne wyrażenia nieścisłe, które należą do retoryki, nie bardzo liczącej się ze słowami, jak np. na str. 38: »Im coś jest piękniejszem w świecie, tem więcej jest ono i czułem« — to może się odnosić jedynie do pięknej duszy, wolnej od egoizmu. »Człowiek garnie się do Boga duchem swym, sercem, sumieniem, radością, boleścią. Całe życie, to ciągła a stała tęsknota za Bogiem«. Takby być powinno, ale niestety można tak powiedzieć jedynie o niewielu duszach świątobliwych, ogromna zaś większość nie czuje tej tęsknoty. Na str. 41 czytamy o »o b o w i ą z k a c h Boga względem człowieka«. Niejedną też niedokładność albo i sprzeczność zarzucić można ogólnikom, w których przeprowadzone jest porównanie pomiędzy duchem męskim a niewieścim (s. 109 i dalsze): »Mężczyzna porównuje, rozważa, w n i o s k u j e i w taki sposób światłość tworzy się w duszy jego«. Niewiasta zaś odczuwa wszystko i myśl jej zmienia się w »miłość«. Mężczyzna abstrahuje, uogólnia, niewiasta analizuje, wyciąga w n i o s k i. Mężczyzna myślom

daje światło, niewiasta tymże daje życie« i t. d. Co to ma znaczyć? Czy niewiasta nie potrafi także porównywać, rozważać, kierować się rozsądkiem? Jakaż zaś jest różnica pomiędzy »wnioskowaniem« a »wyciąganiem (lepiej wysnuwaniem) wniosków«? Czyż wreszcie mężczyzna nie zdoła żadnej myśli wprowadzić w życie? Wogóle trzeba powiedzieć o całem tem zestawieniu, że jest w znacznej części chybione i niezgodne z faktami.

Niepodobna też zgodzić się z twierdzeniem, że »łagodny powiew wiosennego zefiru, piękność obrazu, łagodny wiersz lub śpiew, wszystko to przepełnia boleścią i tęsknotą«, że »im doskonalszy jest obraz, tem więcej dusza czuje się niezadowoloną, bo w niej jeszcze wspanialsze, choć nieuchwytne przesuwają się obrazy« (s. 13). Faktem jest raczej, że najdoskonalsze dzieła sztuki wywołują rozkosz, niczem nie zamąconą, niezadowolenie zaś, dręczące duszę sprawiają wysiłki nieudałe artystów niezdolnych do odtworzenia piękności idealnej. Na str. 12 uderza znów zapewnienie, że »śliczną jest Wenus z Milo, a przecież w cień ją pogrąża późniejsza Wenus Medycejska«; dzisiaj estetycy, a przynajmniej ogromna ich większość stawia daleko wyżej Wenerę Milońską (znajdującą się w Luwrze) od Medycejskiej (we Florencyi). Na str. 15 wypowiada autor zdanie, które nie da się uzasadnić, że »Grecy nazwali duszę »astma«, t. j. »tęsknotą«. Wyraz ἄσθμα pochodzi od tematu, z którego powstał także czasownik ἄημι i znaczy pierwotnie tyle, co »oddech«, później zaś używano go w znaczeniu: »oddech ciężki« — »duszność«, nigdy zaś w znaczeniu: »tęsknota za nieskończonością«. Na str. 29 zaliczony jest Pasteur mylnie do badaczy »niewierzących«. Był to raczej dobry bardzo katolik. Cóż znaczy w końcu zdanie (na str. 180), że »Kościół przeżył swą własną nieśmiertelność«? Jak można »przeżyć nieśmiertelność«?

Wysłowienie szan. tłumacza jest wogóle gładkie i poprawne; tylko gdzieniegdzie wymagałoby drobnych zmian i poprawek; tak np. czytamy (str. 13): »cóż brakuje?« zamiast »czegóż«; — »rozumię« (93) zamiast »rozumiem«; — »szyzmy« (str. 180) zamiast »schizmy«; — »rozwałkowanie narodów« (tamże).

Ks. A. Pechnik.

Z piśmiennictw obcych.

Angélique Arnauld. *R. M. Monlaur.* (Ouvrage couronné par l'Académie française). Paris. L. Plon 1904.

Jansenizm, odgrywający tak wielką rolę we Francyi XVIII w., jest od dawna przedmiotem licznych i sumiennych studyów, a jednak mimo wiekopomnego *Port-Royal* Sainte-Beuve'a niejedno jeszcze pozostaje do powiedzenia; sąd bowiem o rzeczy jest nader trudny, gdyż rozchodzi się o kwestyę religijną, a tu we Francyi zwłaszcza bezstronność jest rzadką. To też niezbędnem jest po epokowem dziele Sainte-Beuve'a poznanie dzieł innych, uzupełniających i prostujących wiadomości i wady wielkiego krytyka. Należy tu w pierwszym rzędzie świetna książka Fuzeta p. t. *Les Jansénistes du XVII s. et leur dernier historien,* a nabytkiem wcale niepoślednim jest w tym dziale wyżej wymieniona monografia p. Monlaura. Postać Anieli Arnauld tak wyraźnie się zarysowuje na tle dziejów jansenizmu, że kreśląc jej życie, daje się zarazem obraz tej sekty; a nadto jest to niezmiernie ciekawy dokument do dziejów swego czasu.

W roku 1600 11-letnia córka ambitnego dygnitarza Arnaulda, Aniela, zostaje uznana przez Rzym (ojciec podał fałszywy wiek dziecka) ksienią klasztoru Benedyktynek w Port-Royal i jako taka z pastorałem w swych drobnych rączkach składa uroczyste śluby, a w dwa lata później, bez przygotowania, ale za to wśród pompy światowej, przystępuje do pierwszej Komunii św. — i byłaby ta święta chwila przeszła bez wrażenia, gdyby nie szewc ubogi, który ulitował się nad nieświadomością dziecka i nieśmiało ofiarował mu książkę do nabożeństwa. Ta książka biedaka obudziła w duszyczce dziecięcej pierwsze gorętsze uczucia ku Bogu. I oto ta wolą ojca wtrącona do klasztoru, ledwie pierwszych zasad religii świadoma dziewczynka, w kilka lat potem staje się wielką reformatorką zakonu, buduje całą Francyę swem dziełem, porywa swym przykładem, zwraca wreszcie na siebie uwagę biskupa genewskiego, św. Franciszka Salezego, z nim prowadzi ożywioną korespondencyę, chce porzucić Port-Royal, by jako zwykła siostra w klasztorze Wizytek pozostać pod bezpośredniem kierownictwem Świętego; — zdaje się, że taka dusza już prostą drogą zdąża ku niebu, nie zatrzyma się na chwilę, nie zboczy na krok... tymczasem zjawia się zły duch w postaci przyjaciela Janseniusa, Saint-Cyrana, i tę prawie Świętą sprowadza nad brzeg przepaści.

Prawda, że tej Świętej brakło cnoty, uznanej w Kościele za podwalinę cnót, — pokory i łagodności; była to wada dziedziczna, właściwa całej niemal rodzinie, zwłaszcza ojcu. Dostrzegł ją w Anieli biskup genewski i wytyka te skłonności »cierpkie, próżne, trochę krnąbrne«, zwraca jej uwagę, by nie była zbyt wymagającą, surową dla siebie, by w pokorze dziecięcej nie dziwiła się swym upadkom, bo »w takim razie nie spadnie z takiej wysokości« [1] i mimo wielkiego uznania dla cnót i zasług wielkiej reformatorki życia zakonnego, wielki Święty nie przyjął jej do swego zgromadzenia.

Po śmierci Świętego katastrofa grozi. Na własne życzenie a raczej usilne prośby Anieli, odbywa się wybór przełożonej; Aniela nie zostaje wybraną — i traci równowagę, ale wkrótce z woli arcybiskupa Paryża odzyskuje godność i osiedla się w Paryżu; tutaj czczona przez wszystkich, surowość reguły doprowadza do przesady, nie znosi świateł, kwiatów na ołtarzu, a wreszcie zaczyna szerzyć wśród zaufanych sióstr »tajemniczą koronkę« o N. Sakramencie, która, skoro tylko dochodzi do wiadomości publicznej, zostaje kategorycznie potępiona przez Sorbonę, jako sprzeczna z pojęciem miłości Bożej, zawierająca nie tylko błędy, ale »bluźnierstwa i bezbożności«. Istotnie pojęcie Boga w tej »koronce« przechodzi wszystko, co kiedykolwiek w Starym Testamencie powiedziano, jest to Bóg »niedostępny« przedewszystkiem, a tem samem niechrześcijański. Cóż dziwnego, że przeciw decyzyi Sorbony, a w obronie »koronki« wystąpił w anonimowej broszurze przyjaciel Janseniusa, Saint-Cyran; w ten sposób zbliża się on do Anieli Arnauld i oto jansenizm wkracza do Port-Royal.

Sainte-Beuve ma skromne pojęcie o życiu chrześcijańskiem, skoro Saint-Cyrana nazywa wzorem kierownika duchowego, zaprowadza on rygoryzm posunięty do pastwienia się nad biednemi ofiarami; do Komunii św. nie pozwalał przystępować całymi miesiącami (sama Aniela przyznaje, że z trudem doszła do wstrzymywania się przez pięć miesięcy od Stołu Pańskiego). Fatalne reformy dochodzą do wiadomości Richelieu'go; ten porucza zbadanie rzeczy i ludzi dwom najznakomitszym kapłanom, z których jednym św. Wincenty à Paulo, i temu Saint-Cyran w oczy mówi: »Bóg mi dał poznać, że już niema Kościoła«;

---

[1] »Widzisz, moja córko, — pisze jej dalej św. Franciszek Salezy — twoja płeć chce być kierowaną i nigdy żadne przedsięwzięcie jej się nie udaje, jak tylko przez uległość, nie jakoby bardzo często nie miała tyleż światła, co druga połowa, ale po prostu ponieważ tak Bóg ustanowił«.

a gdy Święty przerażony przypomina mu przykład Kalwina, »dobrze myślał, źle wypowiedział« — odpowiada z dumą przyjaciel Janseniusa [1]. Richelieu, wysłuchawszy sprawozdania, każe uwięzić winnego. Ciekawe jest powiedzenie kardynała-ministra w chwilę po wydaniu rozkazu. »Cokolwiek się stanie, mam przeświadczenie, żem oddał przysługę państwu i Kościołowi. Zapobieżonoby wielu nieszczęściom i niepokojom, gdyby uwięziono Lutra i Kalwina, skoro tylko zaczęli dogmatyzować«.

Więzienie St.-Cyrana, okrzyczane przez jansenistów, nie było tak straszne, skoro mógł on tam pisać i nawet dyktować olbrzymie listy, przyjmować wizyty i t. p. Niemniej więzienie nie było mu miłem, to też pisze list pełen pokory i uległości do jednego z przyjaciół Richelieu'go, odwołujący dotąd głoszone zdania jansenistyczne, ale gdy w miesiąc potem umiera wielki minister, St.-Cyran, co dopiero skruszony, podnosi hardo głowę i otwarcie (będąc pewnym uwolnie-

---

[1] Tym, co jeszcze nie pozbyli się tradycyonalnego uwielbienia dla »stoicznego« i »świętego« Saint-Cyrana, warto przypomnieć jego poniżające pochlebstwa względem Richelieu'go, którego porównywał do »lilii i róż« a zwłaszcza względem Henryka IV: gdy ten jowialny monarcha postawił w wesołej kompanii kwestyę: czy poddany mógłby się zabić, aby króla swem mięsem od śmierci głodowej uratować, St.-Cyran poważnym traktatem odpowiada twierdząco i wynajduje jeszcze mnóstwo innych wypadków, gdzie samobójstwo nie byłoby grzechem. Innym razem w seminaryum zwierza się pewnemu kapłanowi ze swemi przekonaniami, ale spostrzegłszy się, że ten jest innego zdania, natychmiast prosi go o spowiedź, na której do wszystkiego się przyznaje: »Chciałem zmusić go do zachowania tajemnicy pod pieczęcią sakramentu pokuty« — mówił śmiejąc się głośno. Te i inne szczegóły, często pominięte przez Sainte-Beuve'a, podaje Fuzet w wymienionem wyżej dziele o jansenistach. Nadewszystko jednak nie pozwala na wątpliwości co do etyki St.-Cyrana klasyczny dokument (zbyty mimochodem przez St.-Beuve'a), jakim jest list do przyjaciela, w którym jako kierownik Collegium oświadcza się z gotowością pokrycia wydatków za jakiegoś krewniaka: »... nie jakobym miał tyle środków własnych, ja co nic nie mam prócz swego życia; ale pozwalają mi na to i na więcej jeszcze pieniądze kolegialne, będące w moich rękach; o rachunki bowiem jakie składam co roku, nikt się nie troszczy«. P. Monlaur stanowczo zbyt łagodnie postępuje sobie z St.-Cyranem, pomijając ten dokument. Warto też dodać, że choć St.-Cyran umarł bez sakramentów, wydobyli jansenişci przekupstwem poświadczenie przeciwne, ogłosili, że się cud stał przy zwłokach, odcięli ręce na relikwie, a koszule posłali Matce Anieli na jej życzenie. Fuzet, cytując ten fakt, dodaje złośliwie: *Honny soit qui mal y pense.*

nia) z emfazą pisze: »Czas mówienia nadszedł, byłoby zbrodnią milczeć!« Zresztą zdradza się w dalszym ciągu: »Nie trzeba już używać milczenia ani udawania z obawy szkodzenia memu uwolnieniu«. Sainte-Beuve zatem myli się, i to bardzo, mówiąc o jakichś walkach wewnętrznych i robiąc ze St.-Cyrana bohatera.

Bez porównania szlachetniejsza od niego Aniela Arnauld, od czasu właściwego odstępstwa (do którego się nigdy nie przyznawała) dziwnie traci na przymiotach duszy, jak gałązka od pnia odcięta, — coś się psuje w tej duszy. Św. Franciszek Salezy trafnie ją określił jako »stworzoną do rozkazywania więcej, niż do słuchania«. Istotnie dopóki jej obowiązkiem było rozkazywać, dokonywała cudów: zgromadzenie więcej, niż światowych kobiet staje się pod jej wpływem wzorem zgromadzenia religijnego, wzorem, który za sobą pociąga inne zgromadzenia i staje się jednym z pierwszorzędnych czynników odrodzenia klasztorów we Francyi XVII wieku. Ale ta mistrzyni w rozkazywaniu, gdy przyszła pora słuchania, nie stanęła na wysokości swego powołania i na bullę papieża Innocentego X, potępiającą jansenizm, znalazła odpowiedź godną Lutra: «Łaska Syna Bożego zawsze była atakowana przez hipokrytów i oszustów, a broniona przez ludzi prostych i szczerych«, przyczem nie waha się uderzać na »zepsucie kuryi rzymskiej«: tak się wyraża do swoich przyjaciół; równocześnie jednak do królowej Polski Maryi z Gonzagów pisze co następuje: »Mogę N. Panią zapewnić, że wszyscy uczniowie św. Augustyna (janseniści) przyjęli ją (bullę papieską) z czcią i zupełną uległością, jaką winni są Stolicy świętej«.

Ten dokument, jak i wiele innych dowodzą jasno, że poza rygorystycznemi formułkami jansenizmu kryła się wątpliwej wartości prawość charakterów.

I cóż dziwnego, że koniec tej kobiety tak był straszny. «Wierzcie mi — mówiła przed śmiercią urywanym głosem — ludzie nie wiedzą, co jest śmierć; co do mnie, obawiałam się jej całe życie i ciągle o niej myślałam, ale wszystko, com sobie wyobrażała, jest mniej, niż niczem w porównaniu z tem, co czuję i rozumiem w tej chwili«. W obliczu obecności Bożej widziała się jako »zbrodniarka pod szubienicą oczekująca wyroku sędziego«. Czy z takiemi uczuciami umierają pobożni chrześcijanie, nie mówiąc o Świętych?

Książka p. Monlaura jest ze wszech miar godna czytania, oparta bowiem na źródłach, i to przeważnie jansenistycznych, a zatem aż do najdrobniejszych szczegółów historyczna, posiada właściwy tylko Fran-

cuzom czar słowa, lekkość, wdzięk, dzięki którym czyta się ją jak powieść. A nadto przedmiot tak ciekawy i pożyteczny, bo o jansenizmie dziś jeszcze — mimo jaskrawych dokumentów — tyle sądów z gruntu fałszywych znachodzi się po dziełach nawet naukowych. To też dobrze, że w tak przystępnej, niemal beletrystycznej formie p. Monlaur daje prawdziwy obraz rzeczy. Nadto zaletą dzieła jest uwzględnienie i nader barwne przedstawienie tła historycznego. Wyszczególnić tu należy śliczny rozdział o znaczeniu zakonów, które, pomijając inne zasługi, podczas wojen, zwłaszcza domowych, były jedynym przytułkiem dla biednej ludności.

Słowem, dzieło to jest cennym nabytkiem dla historyi literatury i idei religijnych we Francyi.

M. Paciorkiewicz.

Z powieści angielskich.

The perpetual Curate by *Mrs. Oliphant.* II vol. Tauchnitz Ed.
Salem Chapel by *Mrs. Oliphant.* II vol. Tauchnitz Ed.
Rose of the World by *Agnes and Egerton Castle.* II vol. 1905. Tauchnitz Ed. str. 325.

Książka nie nowa, bo jedna z pierwszych znakomitej autorki, ale u nas bardzo mało znana, dlatego może, iż treść osnuta na stosunkach klerykalnych angielskich, nie była dla wielu przynętą. Nawet w Angli t. zw. *High Church novels* bywały zazwyczaj wyśmiane, powiadano, iż fabuła ich z reguły na tem polega, że heroina zrywa z narzeczonym z powodu nieprawidłowej formy rękawów u jego komży, czem skruszony bohater powraca do dawnego kroju rękawów, a z nimi do serca bohdanki. W utworze pani Oliphant jest też coś zbliżonego i trzeba było wielkiego talentu i wielkiego bogactwa myśli, by na tem tle zbudować powieść bardzo zajmującą i ciekawą. The Perpetual Curate jest młodym protestanckim duchownym, zarządzającym filią parafii miasteczka Carlingford. Miasto samo nie wielkie, ale nadbrzeżne przedmieście bardzo ludne, ubogie i ciemne, dwaj ostatni »rektorowie« [1] byli jeden starym, drugi niezbyt czynnym, więc patrzyli przez palce na misyjną pracę, jaką Rev. Frank Wentworth wykonywał w ich własnym obrębie. Nastał atoli nowy rektor i atmosfera nabrzmiała chmu-

[1] *Rector* albo *Vicar* znaczy tyle, co anglikański proboszcz. Trzeba było sprzeczności protestanckiej, aby plebana nazwać wikarym, a wikarego plebanem: *Curate* jest oczywiście odmianą francuskiego wyrazu *Curé.*

rami: jest on nie tyle gorliwym ile zazdrosnym o swoje prawa, a Frank Wentworth w pobożnym zapale pyta tylko o dobro dusz, nie domyślając się, że wchodzi w drogę bliźniemu. Nadto wprowadza nowe formy nabożeństwa, zbliżone do katolickich: na ołtarzu stoi krzyż w dnie świąteczne strojny kwiatami, są świece i śpiewy i gromadka chłopców w komżach białych. Frank Wentworth również zaprowadza stowarzyszenie miłosierne żeńskie w szarych płaszczach, wdziewanych podczas nabożeństw, odwiedzania ubogich i t. p., a zdejmowanych w zwykłym trybie życia. Wszystko to przychodzi mu ciężko opłacić, bo utratą pięknego, »rodzinnego« beneficyum, do którego prawo patronatu dzierżą jego trzy ciotki, a raczej rządząca siostrami surowa Miss Leonora. Ciekawem jest widzieć zależność, w jakiej duchowni anglikańscy zostają od przeróżnych osób: tu, Jack Wentworth odprawia obrzędy w ciągłym niepokoju pod śledczem spojrzeniem starej panny; w innnej powieści *Whiteladies* stary pastor wije się między wyrzutami sumienia a uległością dla miejscowej dziedziczki, żądającej, by w kaplicy założonej przez nią ochronki, dodawano po nabożeństwie modlitewkę o zdrowie jej umierającego synowca. Wymaganie to wydaje się pastorowi zbrodniczem i w końcu podniecony przez żonę do wysokości męczeństwa, wypowiada protest przeciw tej naleciałości światowej. Milczy jednak, gdy niepoprawna kollatorka dobudowuje do kościoła kapliczkę i ustanawia przy niej duchownego dla śpiewania psalmów za dusze jej przodków, pragnąc tem odkupić popełnioną przez nich winę zaboru dóbr klasztornych w czasach Reformacyi. Pastor milczy, bo mu ten duchowny zastąpi wikarego, którego musiał utrzymywać z własnej kieszeni. Franck Wentworth jest mniej interesownym i mniej przezornym, co go wtrąca w trudności zbyt długie do opisania, ale z których w końcu wychodzi zwycięsko. Zato jego brat starszy też pastor i rektor w ojcowskich dobrach kompromituje się na dobre, bo przechodzi na katolicyzm. Franck kroku jego nie pochwala, ale nie przestaje zarówno go kochać i wysoko cenić. Zapytany o powód zmiany Gerald, odpowiada, że łaknął stanowczych dogmatów. Musi jednak nie dobrze znać przepisy kościoła, skoro zrazu chce opuścić żonę i dzieci, aby zostać księdzem i dopiero później dowiaduje się o nierozerwalności związków małżeńskich. Wszystko to i wiele innych rzeczy dzieje się na tle stosunków małomiasteczkowych, wśród wielu osobistości scharakteryzowanych niesłychanie wytwornie. Jednem słowem *The Perpetual Curate* jest książką dziś tak zajmującą i świeżą, jak w pierwszych dniach jej wydania; można przypuścić, że nią długo

jeszcze zostanie, jak każdy wierny i prosty obraz duszy człowieczej, zawsze jednakiej pod odmiennemi, zewnętrznemi formami.

Napisawszy *The perpetual Curate*, powieść na ton *dur* o stosunkach kleru anglikańskiego, trzymającego się ściśle panującego kościoła pani Oliphant nakreśliła na ton *moll* rzecz o stosunkach dyssydenckich. Jako tło wybrała umyślnie to samo miasteczko Carlingford, w którem *The perpetual Curate* Frank Wentworth przebył swą ogniową próbę i wyszedł z niej zwycięski na duchu i ciele, podniesiony w osobistej wartości moralnej i w ludzkim szacunku. W *Salem Chapel* celebruje po swojemu równie młody i utalentowany, jak on duchowny, ale w jak odmiennych warunkach i otoczeniu! Wentwortha mianowała władza duchowna, utrzymanie ma stałe, niezależne od złej lub dobrej woli swoich »parafian«, składających się przeważnie z inteligencyi miejscowej i z robotników. Jest wprawdzie w porównaniu z katolickim księdzem zawisłym od opinii rożnych osób co do szczegółów obrzędowych; w porównaniu zato z predykantem od *Salem Chapel* jest swobodnym jak ptak. Tu biedny Arthur Vincent obrany przez swoją owczarnię, zdany jest zupełnie na łaskę i niełaskę komitetu kościelnego, w którym trzymają prym handlarz masłem i handlarz drobiu i tychże sławetne małżonki. Co niedziela musi przemawiać przed rzędem krytykujących oczu, patrzących z pod bardzo jaskrawych kapeluszy, nadto musi z obowiązku pasterskiego chodzić z wizytą od domu do domu zjadać góry tłustej wieprzowiny i dzielnie stawiać czoło matrymonialnym atakom matek i córek. Arthur Vincent zaś do innego towarzystwa przywykły, czuje się obcym w tym światku o bardzo ciemnych pojęciach i ramach, czuje się skrępowanym w wykonywaniu obowiązków duchownych pod ciągłym nadzorem i kierunkiem dostojników komitetu. »Tego w sześć miesięcy zamęczą« mówi o nim proroczo sparaliżowana córka jego poprzednika, który z powodu wieku usunął się z urzędu, ale pozostał w mieście i stanowi dodatkową kontrolę nad swoim »młodym bratem«. Vincent zniósłby jeszcze jako tako te wszystkie męki, gdyby nie dramat, który się wplata w jego życie i życie jego najbliższych. W Carlingfordzie mieszka śliczna wdówka po starym mężu, Lady Western, jaśniejąca w oczach młodego predykanta, jak rajski ptak wśród stada kaczek i gęsi. Niedoświadczony w sprawach światowych bierze jej objawy prostej i serdecznej uprzejmości za wyrazy żywszego uczucia i zakochuje się na zabój. Dziwi się przytem, iż powóz pięknej damy widzi niejednokrotnie zatrzymany

u wrót ubogiego mieszkania szwaczki, zarabiającej ciężką pracą na życie. Powierzchowność tejże wszakże jest uderzająca, uderzającem też, że jest z Lady Western w bardzo poufałych stosunkach. Vincent nie wie jeszcze, że to żona jej brata, łotra, przed którym kryje siebie, i córkę pod przybranym nazwiskiem. Córkę zaś trzyma nie u siebie ale na pensyi w pobliżu miejsca zamieszkałego przez matkę i siostrę Vincenta; niebawem też poznawszy go bliżej, odsłania mu wszystko i prosi, aby jej dziecko znalazło w jego rodzinie schronienie. Vincent przystaje, skąd cały szereg nieszczęść na niego spływa, albowiem Mildmay, ojciec owego dziewczęcia, zaleca się do jego siostry, Zuzanny, pod przybranem nazwiskiem Fordhama i w nieobecności pani Vincent uprowadza ją pod jakimś pozorem wraz ze swoją córeczką. Na wieść o tem zaczyna się podwójny pościg — Vincenta i pani Mildmay. Po męczących poszukiwaniach predykant trafia wreszcie na tropy uciekających, ale gdy przybywa do hotelu, w którym wysiedli, zastaje tylko Mildmaya z przestrzeloną głową — ani Zuzanny zaś, ani małej Alicyi nie ma śladu. On wie, że zbrodnię popełniła żona rannego, ale policya poszukuje nie jej, ale jego siostry i gdy ta nieprzytomna, w malignie, szczęśliwym instynktem wiedziona powraca do matki, w ślad za nią przybywa ajent policyjny, aby ją aresztować. Wtedy jednak nad biedną Zuzanną boleje tylko matka — brat zaprzątnięty własnemi sprawami obojętnieje na resztę. W ciągu swej podróży odkrył, iż Fordham, którego nazwisko był sobie Mildmay przywłaszczył, istnieje w rzeczywistości, że to jest dawny narzeczony Lady Western i że obecnie przybył, aby ją poślubić. Prócz tego jego wyjazd i cień podejrzenia rzucony na jego siostrę wzbudziły niezadowolenie i rój niezliczonych plotek w jego »owczarni«; sam fakt, że zmuszony wyjechać, sprowadził kolegę, by go zastąpił w niedzielnem kazaniu, zasłużył na cierpkie wyrzuty: »Na to go płacimy, by nam kazał«, powtarzają poważni mężowie kongregacyi, podczas co poważne matrony kiwają głowami, a jedna z panien zanosi się od płaczu. Nawet gdy Zuzanna widzi się oczyszczoną przez deklaracyę rannego, iż ani jej ani nikogo nie oskarża o niedoszłe zabójstwo, rumor w mieście nie ustaje. Przychodzi do tego, iż przeciwnicy Vincenta zwołują meeting, aby go złożyć z urzędu. Charakterystycznem jest, iż prawdziwym powodem gniewu jest nie awantura Zuzanny, ale wizyty predykanta u Lady Western, nie należącej ani do »owczarni«, ani do sfery towarzyskiej pań kupcowych. Na meetingu zwycięża co prawda wpływ jedynego poplecznika Vincenta, ojca płaczącej panny — teraz jednak

sam predykant bierze na ambit, daje dymisyę i odjeżdża do Londynu, zajmować się literaturą. Fabuła dramatyczna nie koniecznie dobrze prowadzona, służy tylko za tło do uwydatnienia psychologicznego rozwinięcia charakteru Vincenta, który — przeciwnie jak Wentworth — nie wytrzymuje próby. Brak wyrobienia duchowego, brak moralnego oparcia doprowadzają go do egoistycznego zgorzknienia; o nadziei w pomocy Bożej, o pokrzepieniu w modlitwie nie ma mowy u młodego duchownego, który jest i pozostaje świeckim człowiekiem od początku do końca. Kontrast z nim stanowi jego matka, typ wdowy pastora bardzo charakterystyczny i wymodelowany wybornie. Staruszka czuje się bardziej od syna »duchowną osobą«, umie znakomicie obchodzić się z członkami »owczarni«, wie jak ratować pozycyę syna uśmiechem u jednych, zadzieraniem głowy u drugich, wyższą dyplomacyą u wszystkich. Nie wątpi ani chwili w opiekę Opatrzności i trzyma się dzielnie do końca; to jednak co ją podtrzymuje, nie jest wystarczającem dla syna. »To czego mu brakło — dodaje autorka — byłby znalazł w anglikańskim kościele, ale wychowanie i szkoła w Homerton sprawiały, iż się nie mógł doń zwrócić«. Mrs. Oliphant nie zdaje sobie sprawy, iż tem, czem *Salem Chapel* jest wobec urzędowej wiary angielskiej, tem ów kościół anglikański jest wobec katolickiego Kościoła. Niemniej przeto studyum ciekawe jest i pouczające, miejscami zabawne, a zajmujące ciągle.

Od pewnego czasu w książkach angielskich wydawanych dorywczo w Lipsku przez Bernarda Tauchnitz'a pojawiła się nowość: ładne znaczki z cienkiego kartonu zawierające reklamę najnowszych powieści, króciutkie zdania krytyki literackiej, przedrukowane z wybitnych czasopism W. Brytanii. Tym sposobem wybierający lekką strawę umysłową, nie kupuje na oślep: wie mniej więcej naprzód jaki jest rodzaj książki i jaki sąd o niej wydano w literackich kuchenkach recenzyjnych. Ładne to i wygodne, bo znaczek może nadto wybornie służyć do przecinania kartek. W znaczku z czerwca 1905 na pierwszem miejscu zapisaną jest powieść małżonków Castle *Rose of the World* z ocenami wyjętemi z *Daily Chronicle*, *Guardian* i *Academy*, chwalącemi jednogłośnie wykwintność psychologii, śmiałość pomysłu, rzewność i świeżość uczucia, słowem wdzięk, jakiego nieraz brak doskonalej zbudowanym powieściom. Owe braki w budowie to błąd wspólny wszystkim niemal utworom »składkowym«. Być może, iż w życiu państwo Castle urzeczywistniają ideał małżeństwa określony

matematycznie przez Ch. Wagnera jako: *deux font un* czyli dwoje to jedno. W pracy literackiej atoli mają dwa pióra i dwa umysły odrębne, których kreacye acz bardzo misternie zlepione, dają się przecież odróżnić pod łączącą je politurą. To samo zauważyć można w innej ich powieści *The star dreamer* znanej czytelnikom *Przeglądu* z dawniejszej recenzyi. Nadto nam, otoczonym środkowo-europejską banalnością XX wieku, pomysł »oryginalny i rzewny«, stanowiący główną treść książki, wydaje się romantycznym anachronizmem. Radzibyśmy go przenieść w inne stulecie, w epokę walk kresowych i kresowych ballad. Zapominamy, że dla Anglików walki kresowe są wciąż na porządku dziennym i że tylko linia tych kresów posuwa się wciąż dalej, dążąc według życzeń Kiplinga do utworzenia z czterech pozaeuropejskich części świata konfederacyę pod protektoratem Wielkiej Brytanii. Młody, piękny i dzielny kapitan Harry English jest jednym z bohaterów kresowych u północnych krańców Hindostanu; jest, a raczej był, gdyż oblężony przez krajowców w odludnej, górskiej forteczce, zniknął w wycieczce, uczynionej naprzeciw dawno oczekiwanej odsieczy. Towarzysze pozostali w forcie, widzieli przez lunety dzielną garstkę przedzierającą się wśród skał, widzieli jej pogrom pod ogniem wypadających z zasadzki wrogów, widzieli wreszcie ciała poległych i rannych zrzucane w przepaść, w głąb huczącego potoku. Zwłok wodza dostać nie mogli, więc przyjaciel jego Raymond Bethune zebrał tylko pozostałe pamiątki, niewysłane listy i dziennik z mroźnych a głodnych dni oblężenia i posłał je młodej wdowie English'a. Ale Rosamunda była jeszcze dzieckiem, nierozwiniętym pączkiem owej »róży świata«, jak ją według łacińskiego wykładu imienia mąż pieszczotliwie nazywał. Nie znała jeszcze miłości, a boleści się bała, więc stało się, że puzdro zawierające pamiątki po zmarłym nie zostało nigdy otwarte. Krótka słoneczna przeszłość przerwana gromem zasnuła się w jej pamięci gęstą mgłą i nie wiele czasu ubiegło, a już gubernator prowincyi Sir Arthur Gerardine poślubił uroczą wdowę. Był niemal stary, z powierzchownością niemal młodą, był głupi z pozorami rozumu, posiadał wdzięczny uśmiech, gwoli którego sprytny kolega nadał mu w młodości przezwisko: seraficzny osioł. To jednak nie przeszkodziło osłu wznieść się w karyerze wysoko ponad sprytnego kolegę. W domu jest bezwiednie samolubnym tyranem, więc Rosamunda zamiast się rozwinąć, kostnieje, co obok wielkiej piękności nadaje jej typ kobiety-sfinksa, tak ulubiony przez powieściopisarzy z przed lat 15-tu. Jedyną istotą, którą kocha, jest siostrzenica męża,

Aspazya, wesoła nuta w obrazie, rodzaj pani Basi Wołodyjowskiej, przeniesionej w anglo-indyjskie salony. Życie ich płynie spokojnie aż do wejścia na scenę Raymonda Bethune, który pełen pogardy dla Rozamundy niewiernej pamięci jego przyjaciela, przybywa, żądając od niej materyałów do napisania życiorysu Englisha. Rozamunda się wzbrania, nie chcąc wskrzeszać mar przeszłości, ale Bethune się uparł, przeciągnął na swoją stronę Sir Arthura, któremu pochlebia bohaterska aureola poprzednika i odtąd zaczyna się walka, w ciągu której Bethune bezwiednie zakochuje się w Rozamundzie, a ona powoli budzi się do świadomości własnej istoty, do uczucia miłości dla pierwszego męża, wybuchającej teraz tem większą potęgą, że ją podnieca żal nieocenionego i utraconego dobra. Lekarze każą jej chwilowo opuścić Indye, więc wraz z Aspazyą jedzie do Anglii, do odziedziczonego po Harry'm starego dworu, napełnionego przez jego matkę pamiątkami i portretami syna. Bethune wyjeżdża także i zobopólny proces duchowy zaczęty u brzegów Gangesu snuje się dalej i potęguje pod dębami północy. Śledzi go z dala i z cicha para bardzo czarnych oczu, błyszczących z pod szkarłatnego zawoju: to Hindus Muhammed przyjęty przez Sir Arthura dla opracowania źródłowej części dziejów podboju Indyi; dotąd kilku Anglików pracowało nad książką, mającą wyjść pod jego nazwiskiem, obecnie zapragnął krajowca i ten sam mu się ofiarował w postaci pięknego Pathana. Zdziwił się gubernator, bo ten szczep wydaje zwykle rycerzy nie skrybów, ale Muhammed okazał się zdatnym i tak pewnym, że go nawet przed swojem przybyciem posłał do Anglii. U Rozamundy kryzys przychodzi w niefortunnej chwili; gdy zatopiona w dzienniku i listach Harry'ego, odczuwa po raz pierwszy straszny ból jego zgonu, Aspazya wpada, oznajmiając o niespodziewanem przybyciu wuja automobilem, wraz z wesołą kampanią. Rozamunda po raz pierwszy znów pojmuje co uczyniła, oddając rękę drugiemu. Teraz jest jego żoną, więc przemódz się musi, musi podczas obiadu w domu Harry'ego patrzyć na tych ludzi, siedzących u jego stołu, jedzących jego chleb, pijących jego wino, a on tam, w skalistym forcie, przymierał z zimna i głodu! Wstrząśnienie przemaga jej siły — chora bardzo opuszcza gości i odepchnąwszy starego męża, zamyka się z dawną swą niańką, starą Hinduską. Ta olśniona wielkością stanowiska i bogactwem gubernatora nie przestawała dotąd, zwłaszcza przed Muhammedem wychwalać szczęścia swej pani, teraz dopiero widzi jej żal za tamtym i wraz poczyna czary, obiecując, iż go, choć zmarłego do żony sprowadzi. Ale nie ona jedna czuwa. Aspazya podchodząc w nocy

do drzwi młodej wujenki, widzi klęczącą przy nich ciemną postać Muhammeda, który zerwawszy się chwyta jej rękę i pyta głosem nie już Hindusa, ale angielskiego gentelmana: Za kim Rosamunda tak płacze? a otrzymawszy odpowiedź: Za pierwszym mężem! pędzi do pokoju Bethuna, daje się poznać jako Harry English, goli brodę, zmienia odzienie i biegnie napowrót do żony. Najdramatyczniejszem z całej powieści jest to spotkanie obu przyjaciół, gdzie wracający z martwych widzi w spojrzeniu dawnego druha nie radość, lecz przerażenie, a potem żal, pokorę i wstyd. Bardzo też podobną do Sienkiewiczowskiej jest scena, gdzie Bethune pali do połowy skreślony życiorys Englisha w poczuciu, że go pisał niegodnie, bo mu bodźcem była nie żałość za mężem, lecz ukryta miłość do żony. Spaliwszy zaś karty, pogrąża się w smutku, z którego budzi go słodki głosik Aspazyi. W chwili rozczulenia zaręczają się, Bethune wyjeżdża pogodzony z Englishem; Sir Arthur musi też wyjechać, choć nie pogodzony, Harry zaś, doczekawszy się powrotu żony do zdrowia po ciężkiej chorobie, odzyskuje utracone szczęście. Prócz wymienionych tu jest jeszcze parę innych bardzo udanych postaci: niemłoda a rzutna kuzynka gubernatora, która go w przyszłości pocieszy; uczony lekarz Francuz, autor studyów fizyologicznych o kobietach. Ten jest najparadniejszy i trzeba przyznać, że w Rozamundzie znajduje bogate pole do badań. Ustawiczne podniecenie nerwów u tej heroiny graniczące ciągle z histeryą, odejmuje jej wiele wdzięku, aż żal bierze na myśl, że ten mąż, który tyle lat przebiedował w niewoli, a potem nie chcąc jej psuć rzekomego szczęścia, cierpliwie czekał w ukryciu, dostaje na pociechę nową biedę w postaci roznerwowanej kobiety. Ciekawem byłoby wyśledzić, które części powieści pisała pani Agnes Castle, a które p. Egerton.

T. Wodzicka.

Worpswede. *Hans Bethge.* Berlin 1905. Die Kunst.

Można zazdrościć Niemcom ich publikacyi, popularyzujących tak przystępnie i zajmująco sztukę i literaturę. Tanie, a mimo tego starannie prowadzone wydawnictwo księgarni Marquardta w Berlinie p. t. *Die Kunst* przynosi cały szereg studyów o najnowszych kierunkach sztuki i jej mistrzach: ozdobione staranemi ilustracyami, dopomagają czytelnikowi do dokładnego obznajomienia się z przedmiotem, a cena tomiku 1 marka 25 pfen., czyni go przystępnym dla każdej kieszeni.

Jako trzydziesty drugi tom z rzędu ukazała się praca Hansa Bethge o ciekawej grupie młodych malarzy niemieckich, którzy od miejsca swego osiedlenia nazwali się Worpswede.

»Mamy w Niemczech całą moc wiosek w malowniczem położeniu, które służą jako miejsce studyów poszczególnym kółkom malarzy — pisze Bethge — ale znaczenie *Worpswede* polega na wewnętrznych przyczynach: wioska ta przy Bremie jest stałem miejscem pobytu i ojczyzną niejako tych artystów: ich całe życie uczuciowe zrosło się z tą okolicą«.

W Worpswede zdala od ognisk sztuki, jak Monachium czy Düsseldorf, ci malarze ograniczają się do samych siebie i z siebie muszą brać te zasoby, któremi ich sztuka żyć będzie. Na tle torfiastej, jednostajnej, lekko falistej okolicy nadmorskiej znajdują to, czego człowiek tak często znaleźć nie może wśród najwięcej pulsującego żywotnością otoczenia: prawdę wewnętrzną szczerego uczucia. Wgłębiając się w indywidualność własną, zarazem przetwarzają ją na twórczą niezależność w odczuciu tego otoczenia, które daje im przyroda i ludzie nadmorskiej okolicy.

Worpswede leży piękniej od innych, na płaszczyźnie przeciętej licznymi kanałami, przecedzającymi wilgoć zbyteczną. Brzozy przesiewają słoneczne promienie przez swe drobne listki, wysokie topole idą w dal zwartym szeregiem, domy są oryginalne o białych ścianach, na których się uwydatnia ciemny szkielet drewnianego wiązania, a nad tem wszystkiem wilgotna soczystość powietrza złotego od zachodniego ognia, to znowu przepełnionego cichymi, miękkimi obłokami, a nadewszystko: c i s z a, bo komunikacya odbywa się łódkami na sennych kanałach — tylko mnóstwo ptaków i owadów przepełnia torfiaste niziny, budząc ciekawą chęć zbadania i podpatrzenia tego natężonego życia przyrody.

Do grupy *Worpswede* należy sześciu młodych malarzy: Hans am Eude, Fritz Mackensen, Otto Modersohn, Fritz Overbeck, Carl Vinnea, Hans Vogeler. Pierwszy raz wystawili oni swoje obrazy w Bremie w r. 1895 — tam zwróciły one uwagę prezydenta monachijskiego stowarzyszenia artystów p. von Stieler, który zaprosił ich, aby posłali swoje utwory do Glasspalastu w Monachium, gdzie im da osobną salę: wtedy to pod nazwą *Worpswede* wystawili swoje dzieła, odznaczające się jakąś świeżą bezpośrednią prawdą podpatrzonego na tych torfiastych nizinach życia.

Gdy się kiedy w chwilach przygnębienia i zmęczenia stanęło

przed znakomitym jakimś krajobrazem, w któremś z przepełnionych obrazami muzeum — to prawie zawsze — doznaje się uczucia ulgi i odświeżenia. Duch przyrody wychyla się czasem z tych ram, gdzie potrafił go uwięzić delikatnie c z u j ą c y artysta i darzy zmęczoną duszę jakimś wzmocnieniem odnawiającem. Malarze z Worpswede starali się pochwycić ten właśnie zaczarowany nastrój ciszy — czy to w szarej smutnej jesieni — czy wśród budzącej się wiosny. Ale ta cisza często tchnie grozą i ciekawem jest podpatrzeć, jak wedle indywidualności każdego z tych artystów raz uderza jakaś tajemniczość z ciemnego, spiętrzonego od chmur horyzontu — jak n. p. »Burzliwy dzień« Overbecka — to znowu senna cisza jesieni *Herbst* Hansa vom Eude — Modersohn jest najwybitniejszym wśród nich pejzażystą, umie on zaakcentować i podkreślić d u s z ę tego, co maluje, a ludzie służą mu tylko za ilustracyę do jego pojęcia natury, w tem więc spotyka się z Boeklinem. W studyach olejnych, które często nie wychodzą poza album szkiców, Modersohn góruje nad swymi towarzyszami. Może najwięcej z nich wtopił się on w tajemniczą ciszę przyrody i umie oddać to coś nieujętego i nie dającego się pochwycić, a w czem leży charakter jakiegoś widoku i nastroju.

Ale i ludzie tych okolic, którzy żyją i codziennie stykają się z malarzami, ściągają ich uwagę. Są to biedni, zapracowani, o ciężkiej, niezgrabnej budowie rybacy »wyługowani życiem«, wysuszeni wiatrem i deszczem, stwardnieli w ciężkiej swej doli. Mackensen z szczególnym darem umiał pochwycić duszę typową tego ludu. Najwięcej znana jest jego *Frau auf der Karre* — samotnie siedząca kobieta z niemowlęciem, które karmi i drugi obraz *Die trauernde Familie*, gdzie na twarzach skupionej około zwłok najmłodszego dziecka rodziny cała skala różnorodnego stopnia bolu się maluje. Największy zaś i najsławniejszy obraz Mackensena to *Gottesdienst im Freien*, tworzony z ogromną ścisłością studyów i z wielkim wysiłkiem.

Kto się interesuje nowymi objawami malarskich kierunków, tego zainteresuje ta książeczka, dająca nam wglądnąć w życie tej małej grupy, z której może wyjdą europejskiej sławy mistrze.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Karty z dziejów wsi Smarżowy i Siedlisk powiatu pilzneńskiego oraz wspomnienia ich dawnych dziedziców (1686—1846). *Dr. Adam Bogusz.* Kraków. Nakład autora. 1904. (8-ka, str. 53, XV, z 2 ilustr.).

Wymienioną w nagłówku pracę poświęcił dr. Adam Bogusz przedstawieniu z jednej strony dziejów nie tylko zresztą, jak głosi tytuł, wsi Smarżowej i Siedlisk (powiatu pilzneńskiego w Zachodniej Galicyi), lecz i sąsiadującej z niemi wsi Dąbrowej, nadanej roku 1354 przez Kazimierza Wielkiego rycerzowi Janowi synowi Pakosława ze Stróżysk, a w r. 1785 nabytej przez Nikodema Stojowskiego, właściciela wspomnianych wyżej dwóch wsi; z drugiej zaś — dziejów, władających temi wsiami rodów szlacheckich (Stojowskich, Boguszów i in.) w epoce od roku 1686 do 1846, aczkolwiek kreśli też i dzieje dawniejsze, poprzedzające rok 1686. Treścią książki, według słów samego autora, jest »historya własności i posiadania tych wsi w przeszłej epoce pańszczyźnianej i wyświetlenia niektórych stosunków gospodarczych i kulturalnych«.

Wspomniana wyżej Dąbrowa, ongi siedziba potężnego niegdyś rodu Ligęzów, posiadała wspaniały zamek, po którym dziś pozostała już tylko piękna brama wjazdowa. Opis tego zamku podaje autor podług opisu b. właściciela jego Stanisława Stojowskiego z r. 1858.

Przedstawienie stosunków prawnych i gospodarczych Smarżowej i Siedlisk oparł autor na współczesnych, będących w jego posiadaniu, dokumentach, które też przytacza w dokładnym przedruku na końcu swej pracy, str. I—XI. Tamże na str. XII—XV znajdujemy tablice gieneałogiczne Jordanów z Zakliczyna Stojowskich herbu Trąby (XI pokoleń) i Boguszów z Ziemblic herbu Półkoza (VI pokoleń).

Jako ciekawy szczegół nadmienić należy, iż Stanisław Bogusz, dziedzic Siedlisk i Smarżowej, szambelan Stanisława Augusta, przejęty zasadami sejmu czteroletniego, człowiek dbały o dobro swych poddanych, widząc smutne stosunki w Galicyi zajmował się troskliwie ich naprawą i układał projekty konstytucyjne (r. 1815). I ten to właśnie człowiek wraz z całą rodziną stał się ofiarą rzezi 1846 roku, bez żadnej winy ze swej strony i »bez pożytku tych, którzy dali się użyć za ślepe narzędzie politycznych wichrzycieli«. Straszne sceny tej rzezi opisał już autor w nader ciekawej i obfitej w cenne, nieznane szczegóły pracy p. t. »Siedliska-Bogusz« (Kraków 1902).

Omówioną wyżej pracę p. Bogusza — wogóle wydaną bardzo ładnie — zdobią dwie pięknie wykonane fotografie: widok ruin bramy wjazdowej do b. zamku w Dąbrowie i portret szambelana Stanisława Bogusza. — Rzecz cała wykonana bez zarzutu, z dokładną znajomością przedmiotu. Za tę nową kartę z dziejów pewnej cząstki naszego społeczeństwa w zapadłym kącie powiatu pilzneńskiego, należy się autorowi serdeczna podzięka.

H. U.

Anhelli. *Juliusz Słowacki.* Opracował do użytku szkolnego *prof. dr. Wiktor Hahn.* Brody 1905. Str. 96.

Jedna z najgłębszych kreacyi poetycznych Juliusza Słowackiego, której tytuł radził wyryć na nagrobku autora Zygmunt Krasiński (»Autorowi Anhellego«), i która, zdaniem jego, »wystarczy dla zapewnienia mu (Słowackiemu) sławy na pokolenia przyszłe« — ukazała się świeżo w wydawnictwie »Arcydzieła polskich i obcych pisarzy«, wydawanych staraniem Feliksa Westa w Brodach.

Wydawnictwo to przeznaczone jest »dla użytku szkolnego«. Owo jednak opracowanie »szkolne« Anhellego, dokonane przez d-ra Wiktora Hahna, powita z radością każdy miłośnik literatury ojczystej, a w szczególności zajmujący się badaniami nad twórczością Słowackiego; dr. Hahn bowiem już od dłuższego czasu — jak wiadomo — skrzętnie bada dorobek poetycki Słowackiego, a samemu Anhellemu poświęcił w roku 1903 dwa przyczynki: »Wincenty i Bonawentura Niemojowscy w Anhellim« i »Ksiądz Adam Stanisław Krasiński w Anhellim«.

Omawiana przez nas książka zawiera następujące działy: artykuł wstępny (czas powstania poematu, geneza poematu, idea zasadnicza poematu, charakterystyka postaci), najważniejsze opracowania Anhellego, tekst poematu (podług pierwszego wydania paryskiego z r. 1838), objaśnienia wydawcy, przegląd treści i objaśnienia (komentarz).

Z zadania swego wywiązał się dr. Hahn bez zarzutu. A zaopatrzenie komentarzem Anhellego nie było łatwem, zważywszy, że interpretacya tego utworu zawsze nastręczała wiele trudności. Z wydawnictwa tego odniesie niewątpliwie znaczną korzyść nie tylko młodzież szkolna, dla której w pierwszym rzędzie wydanie to jest przeznaczone, lecz i szersza publiczność, wśród której zainteresowanie się Słowackim wciąż się wzmaga. Znajdzie tu również nieco nowego dla siebie i badacz fachowy. Za opracowanie więc krytyczne Anhellego należy się d-rowi Hahnowi prawdziwa wdzięczność.

Nadmienić też musimy, że korekta książki pozostawia bardzo wiele do życzenia.

H. U.

Přisłowa a přisłowne hróněka a wusłowa Hornjołužiskich Serbow. Zběrał a zhromadźił *Jan Radyserb Wjela.* Dorjadował a wudał dr Ernst Muka. Budyšin. Z nakładom dra E. Muki. 1902. Str. XIV, 314.

»Przysłowia i przysłowiowe zwroty i wyrażenia górnołużyckich Serbów«, ukazały się, jak zaznaczono w tytule, staraniem i pracą dwóch mężów: Jana Wjeli (Radyserb—pseudonim), literata i poety serbołużyckiego i d-ra Ernesta Muki, który od śmierci ks. Hórnika czyli od lat przeszło dziesięciu jest kierownikiem duchowym Serbów łużyckich. Z zawodu filolog, jest on autorem całego szeregu prac naukowych, z których wymienimy tu tylko dwie bardzo wielkiej wartości, są to; *Statistika łužiskich Serbow* (z mapą etnograficzną, Budziszyn 1884/6) i *Historische und vergleichende Laut- und Formenlehre der Niederserbischen Sprache* (Lipsk 1891). Po polsku zaś wydał dr. Muka pracę p. t. »Szczątki języka połabskiego Wendów Lüneburskich« (w pierwszym tomie »Materyałów i prac Komisyi językowej Akad. Umiej. w Krakowie« 1903).

W skreślonej przez wydawcę wymienionego zbioru przysłów, dra Mukę »przedmowie« i we »wstępie« pióra

zbieracza tych przysłów, J. Wjeli, znajdujemy historyę tego zbioru. Jest on mianowicie owocem przeszło pięćdziesięcioletniego skrzętnego zbierania; jednoczy zaś w sobie również i wszystkie zbiory do tego czasu ogłoszone drukiem, jak np. zbiory K. Zejlera, I. E. Smolera, I. Buka, E. Muki i innych. Podeszły wiek J. R. Wjeli (liczy obecnie 82 lata) nie pozwolił mu samemu zająć się uporządkowaniem swego zbioru; zaś »Macierz serbska« dla braku odpowiednich środków materyalnych, obarczona licznymi i znacznymi rozchodami z powodu budowy serbołużyckiego» Domu Narodowego« nie mogła podjąć się wydania na łamach swego *Czasopisu*. Uporządkowaniem zatem i wydaniem własnym nakładem zajął się dr. Ernest Muka, obecny redaktor *Czasopisu* i założyciel (w r. 1881) i długoletni redaktor *Łużycy*, tych dwóch głównych — a można powiedzieć i jedynych — organów życia kulturalnego Serbów łużyckich.

Cały zbiór rozpada się na trzy części: część pierwsza zawiera przysłowia nierymowane (str. 1—190), część druga — rymowane (str. 191—236), część trzecia — porównawcze wyrażenia (str. 237—269). Oprócz tego znajdujemy tu jeszcze i »dodatki« (str. 270—314); ogółem 9126 numerów (przysłów). W każdej części przysłowia ułożone są alfabetycznie podług pierwszego wyrazu.

O ważności zbiorów przysłów, o ważności badań paremiograficznych, nie będę tu rozprawiał; jest to bowiem rzecz powszechnie znana. Przysporzenie zatem nauce tak cennego, nieznanego w większej części, materyału paremiograficznego możemy powitać z największą radością, składając jednocześnie jak najserdeczniejsze podziękowanie obu tym zasłużonym działaczom na niwie życia kulturalnego swego narodu, który w tak ciężkich warunkach walczy wciąż o swój byt narodowy, o utrzymanie przekazanego mu przez ojców języka, zwyczajów i obyczajów.

H. U.

»Очерки по языковѣдению и русскому языку«. Пособіе при изученіи науки о языкѣ. В. А. Богородицкій, орд. профессоръ Императорскаго Казанскаго Университета. Казань. (8-ka, str. II, 2 nlb., 313).

Prof. Bogorodickij należy do starych już badaczy, choć na pozór pisał nie bardzo wiele. Natomiast daje *non multa, sed multum*. Omawiana książka składa się z szeregu rozpraw, ogłaszanych od roku 1880 w fachowem czasopismie *Russkij filologiczeskij wiestnik*. Obecnie autor zebrał je razem, ułożył w pewną całość i dopełnił nowymi rozdziałami, przerabiając przytem nierzadko dawniejsze.

Celem jego szkiców jest zaznajomienie czytelnika z głównemi zasadami językoznawstwa, w szczególności zaś z najciekawszemi zagadnieniami, tyczącemi się fizyologii i psychologii mowy. Wierny zasadom kazańskiej szkoły lingwistycznej, której założycielem był prof. Baudouin de Courtenay, uważa autor za najpierwsze i najważniejsze zadanie językoznawcy—możliwie najgłębsze i wszechstronne poznanie zjawisk mowy żywej, jako też jej zbadanie. Przyjmując taką zasadę, starał się autor w szeregu rozpraw stopniowo oświetlić życie języka, nie posługując się jakąkolwiek zapożyczoną teoryą, a dbając o to jedynie, ażeby ogólne wnioski o ile możności jak najwięcej harmonizowały z naprowadzonymi przez niego faktami. To też praca jego ma wszelkie znamiona oryginal-

ności i wyrosła organicznie na gruncie rosyjskim. Jednakowoż czytelnik nie musi przyjmować na wiarę twierdzenia autora, lecz ma możność kontrolowania ich za pomocą tych faktów, na których one opierają się.

W szkicach swoich zajmuje się prof. Bogorodickij kolejno typami języków i ich charakterystyką, przeglądem aryo-europejskich języków, fizyologią dźwięków z zastosowaniem jej do języka rosyjskiego, ważniejszemi danemi z fizyologii dźwięków, mówiącą maszyną Fabera, rosyjską *prawopisią*, historyą rozwoju dźwięków, pokrewieństwem dźwięków języka rosyjskiego z dźwiękami innych indo-europejskich języków, psychologią języka i t. d. Oto ogólniejsze rozdziały książki prof. Bogorodickiego. Inne są już więcej specyalne. Pierwsze z nich, dzięki żywemu przedstawieniu oraz interesującym kwestyom, o jakich traktują, mogą zająć uwagę nawet niespecyalisty. Dla każdego zaś z tych, którzy oddają się filologii słowiańskiej, jest książka prof. Bogorodickiego nieocenionym nabytkiem. Jedynie ważność tej pracy skłoniła nas do zwrócenia na nią uwagi.

w. i.

Poezye. *M. Szukiewicz.* Kraków. Nakład księgarni Friedleina.

W twórczości poetyckiej Szukiewicza uderza od razu dziwna nierówność. Obok wierszy tryskających swobodnie z duszy poety, wiersze wypracowane, czasem prawie z mozołem; obok szczerej liryki rezonowanie. Tematy znów różnorodne. Są opisy przyrody (jesień, wieczór, z Tatr, z nad morza), niepominięty świat uczuć (miłość, smutek, przeczucie śmierci); w »Sielance« dotyka poeta problemu filozoficznego, czemu duszy ludzkiej nie może zaspokoić żadne szczęście ziemskie; jest charakterystyka twórczości Szopena i postaci Endymiona, porównanie poetyczności średnich wieków z naszą trzeźwością; religijne uczucie znalazło wyraz w wierszu »Sanctus«, symbolizm i fantastyczność w »Sezamie« i baśni ludowej »Śnieg«.

Swą twórczość charakteryzuje poeta w dwóch miejscach; w wierszu wstępnym mówi, że dał »dużo łez słonych i troszeczkę nieba« (str. 5), a w wierszu »Do poezyi« prosi o »głos, coby opisał straszną dni Golgotę — i odmalował naszych dróg Gehennę — i dał mi w niebo iść i złote gwiazdy — zdobywać pieśni śmiałymi podjazdy« (str. 18). W swych utworach dał nam poeta jedno i drugie, ale dał w tonach średnich i umiarkowanych. Gwałtownych wybuchów skargi lub oburzenia, ekstatycznych uniesień ku temu, co wielkie i piękne, u poety prawie że nie spotykamy. Dla niewiernej kochanki ma tylko dumne milczenie (str. 14), kiedy piętnuje zmysłową, samolubną kobietę, to nie uczucie, ale rozum, myśl gra przytem główną rolę. Wogóle poeta chętnie zwraca się na pole refleksyi i rozmyślań, co widocznie w lirykach a niemal wyłącznie w wierszach o Morskiem Oku i »Z nad morza«, w których zjawiska przyrody służą tylko za tło. Z tą skłonnością poety zdaje się pozostawać w związku jego upodobanie dla symbolizmu, zwracającego się ku baśniom i podaniom.

A zatem wielka rozmaitość kierunków i motywów, jakby szukanie własnych, odpowiednich swemu talentowi rodzajów. Czuje to zresztą i sam poeta, że się jeszcze nie wypowiedział, że jego »słowo« w tajnikach duszy wyrabia się i krystalizuje (str. 156). Lecz i to, co dotąd stworzył, nosi na sobie cechy piękna i szla-

chetności, znacznego a nawet wybitnego poetycznego talentu, mającego przytem na swe usługi piękny język i kunsztowną formę.

M. B.

Powiat sanocki w cyfrach. Studyum statystyczne. *Antoni Borzemski.* Sanok 1904.

Obecny wiek wykazuje coraz większy rozwój statystyki we wszystkich dziedzinach. Wiele gałęzi wiedzy opiera się i operuje danemi cyfrowemi, a i praktyczna polityka np. kryminalna, administracyjna, ekonomiczna bez statystyki obejść się nie potrafi. Państwo czy też jakiekolwiek związki społeczne, by módz rozwinąć celowe działanie, muszą wiedzieć, jakiemi siłami rozporządzają, co mają, a czego im brakuje, jakie są zasoby, jaki stan kraju, przyrody w nim, jaki rozkład sił, zasobów i t. p. Stąd też płynie dążenie ujęcia tego wszystkiego w cyfry, których rezultat decyduje o drodze, w jakiej działać potrzeba. Autor w swej pracy daje wiązankę cyfr powiatu sanockiego. W cyfry ujmuje ludność i ukształtowanie ludności, stosunek narodowości, wyznań, stan oświaty, ruch ludności, stosunki majątkowe mieszkańców, ich siłę ekonomiczną. Niepodobna w krótkiem sprawozdaniu przedstawić choćby ostatecznych rezultatów pracy autora: trudno również sprawdzać te rezultaty: potrzebaby na to tak olbrzymiego nakładu pracy, jaki w swe dzieło włożył autor, zwłaszcza, że brak nam i materyałów, które miał autor do rozporządzenia. My poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu, że praca tego rodzaju się okazała, i wyrażamy życzenie, by coraz więcej mnożyło się prac tego rodzaju, z których poznaćbyśmy mogli, czem jesteśmy, byśmy stąd wyciągnąć mogli wnioski czem być możemy.

W.

O zjednoczeniu narodowem. Przez *ks. Arcybisk. Teodorowicza.* Mowa wypowiedziana w Dzikowie podczas uroczystości koronacyjnej cudownego obrazu dnia 8 września 1904. Lwów 1904.

Podniosła to była a i dziwnie poetyczna chwila, w której padły między tysiące zgromadzonego ludu natchnione słowa czcigodnego arcypasterza. Uroczystość koronacyi cudownego obrazu to uroczystość niepowszednia, to uroczystość nie tylko kościelna ale i narodowa. Dowodzi ona, jak N. P. Marya ukochała tę naszą ziemię, jak chciała ją do siebie silnymi węzły przywiązać, gdy mocą swą i łaską sprawiała tu od wieków cuda, dawała łaski i pocieszenia. A i moment, otoczenie, nastrój cały mógł pobudzić struny poezyi, drgające w naszej duszy. Na tle starego zamku wzniesiony cudowny obraz, a przed nim tłumy, wszystkie warstwy, wszystkie stany chylą kornie głowy, wśród dźwięku dzwonów i dzwonków, zlewających się w dziwną, piękną harmonię tonów. I w takiej chwili wielki kaznodzieja zabiera głos i zaczyna od tych dzwonów, co tak zgodnym chórem wydzwaniają chwałę Najśw. Panny. Dzwony te głoszą braterstwo, miłość wszystkich zjednoczonych w Chrystusie. Do tego nawiązuje kaznodzieja i wzywa do harmonii starszej braci w narodzie z ludem, do spojenia się węzłem ścisłym, małżeństwem duchowem. W małżeństwie trzeba jedności, trzeba wzajemnych ustępstw, nieraz przebaczenia uraz. Można i potrzeba wyrównać wzajemne rachunki, lecz nie

wyszukiwać powodów do rozejścia się, nie słuchać podszeptów obcych, dybiących na zgodę, by ją zniszczyć i rozerwać. Wiele winy było dotąd po jednej i drugiej stronie. Starsi w narodzie zawinili, że stali dotąd daleko od ludu, że niedość rozumieli i chcieli się zająć jego potrzebami, że znów nieraz pomagali mu nie w miarę jego rzeczywistych potrzeb, lecz »wedle własnej recepty«. A lud czem zawinił. Notował tylko urazy, przeoczał strony jasne, uogólniał krzywdy od jednostek doznane. Brak było mu nieraz cierpliwości i wyrozumiałości, żądał od razu wiele, nie rozumiał, że i ci starsi nie od razu mogli poznać jego dążenia i bole. Modlitwą do Najśw. Panny o sprowadzenie zgody i miłości, zjednoczenie narodu, kończy dostojny kaznodzieja swą mowę.

L. Ł.

Rolnictwo i jego funkcye w gospodarstwie społecznem. *Dr. Zygmunt Gargas.* Kraków 1904.

Autor uznając w całej pełni doniosłość hasła uprzemysłowienia kraju zwraca jednak uwagę, że przeocza się często ważne funkcye rolnictwa w gospodarstwie społecznem. Kwitnący stan rolnictwa, zamożność rolników, zdolność pokrywania zapotrzebowania surowców w własnym kraju popierają rozwój przemysłu. To też rolnictwo i przemysł nie są gałęziami dla się nieprzyjaznemi, lecz przeciwnie wspierają się wzajemnie. Galicya, kraj wybitnie rolniczy, nie jest jednak w tym kierunku tak rozwinięta, jakby to należało. Produkcya rolnicza nie pokrywa zapotrzebowania kraju; bilans handlowy w zakresie handlu zbożem jest stanowczo bierny Rolnictwo przy obecnym podziale pracy, decentralizacyi produkcyi narażone jest na niepewność cen: punkt ciężkości zysku wytworu ostatecznego nie spada na pierwszego producenta, rolnika, lecz na pośrednika a często dopiero na ostatniego wytwórcę. By podnieść rolnictwo, podnieść zyski, wskazaną jest koncentracya gospodarcza. Łatwo to przeprowadzić w wielkich gospodarstwach rolnych, o wiele trudniej przy drobnej produkcyi. Stąd konieczność assocyacyi rolników, tworzenia spółek, któreby spólnemi siłami dorównały intenzywnością i produkcyą masową siłom wielkich latifundyów. To jest ostateczny rezultat badań i wywodów autora.

Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rozdział Kościoła i państwa

Jeszcze kilka miesięcy temu, — opowiadał mi pewien Francuz — panowało we Francyi ogólne przekonanie, że senat Rzeczypospolitej nie zatwierdzi prawa o rozdziale Kościoła od państwa, lecz przeciągnie prawdopodobnie obrady do nowych wyborów przyszłego roku, które położenie polityczne zupełnie zmienić i groźne niebezpieczeństwo usunąć mogą; w każdym razie — twierdzono dalej — jeżeliby senat nawet powyższe prawo przyjął, nie podpisze go prezydent. Zapatrywanie to było jedną z tych iluzyi, któremi od dziesiątek lat pocieszają się Francuzi, to też jak każda iluzya, rozwiała się ona w dniu 6 grudnia minionego roku, kiedy senat 179 głosami przeciwko 103 wymienioną ustawę uchwalił. Większość była znaczna, jednak i opozycya liczyła w swem gronie siły wybitne i to jest objawem, częściowo przynajmniej, pocieszającym, jak niemniej i fakt, że większość mowców *contra* zwalczała prawo nie tak z punktu widzenia religijnego, jak raczej z racyi ogólniejszego znaczenia, kładąc przedewszystkiem nacisk na stronę etyczną i polityczną nowych przepisów. Liberalni republikanie nazwali przez swego przedstawiciela Legranda ustawę niepolityczną, nieodpowiednią, niemożliwą do przeprowadzenia i niebezpieczną; prawica widzi w niej

prawo wyjątkowe i potępione przez ogół ludności — ostrzej jeszcze wyrażali się inni.

I w rzeczy samej prawo przeszło wbrew woli narodu, który sobie bynajmniej tego nie życzył — to zapatrywanie stwierdził przed dwoma laty sam Combes; w rozprawach nad ustawą rozwinięto gorączkowy pośpiech, tak iż śmiało twierdzić można, że wielka część senatorów nie zdała sobie z niej sprawy. Najlepszym dowodem, że tak jest w rzeczywistości, to wystąpienie senatorów Chabré'a i Maujan'a. Pierwszy utrzymywał, że ustawa ma wiele braków, że będzie wymagała wiele istotnych nawet zmian, jak np. odstąpienia gminom gruntów kościelnych, drugi wołał głośno: »wyborcy mają obecnie głos, w maju otrzyma prawo swoją ostatnią sankcyę«, a jeden i drugi mimo to stanowczo za prawem obstawali. »Oskarżamy was — pisze Brunetière w *Revue des deux Mondes* — że prawo, które z natury swej zmieni całą politykę wewnętrzną i zewnętrzną wielkiego państwa, było uchwalone *ab irato*, przez jednego człowieka i bez porozumienia się z opinią«, a przecież, wołał w senacie Méline, wszyscy wielcy wodzowie stronnictw republikańskich byli zawsze przeciwko rozdziałowi. Równe prawa obywateli w kraju wolności i równości są pogwałcone, Kościół nie potrafi odpowiedzieć swoim zadaniom, wojna religijna rozwinie się na dobre a skutki jej dla Francyi mogą być tylko ujemne; przepisy o pensyach, jakie klerowi mają czas jakiś być wypłacane i o karach nałożonych na tych z księży lub z członków związków wyznaniowych, którzy się ujemnie o rządzie lub urzędnikach wyrażą, urągają kardynalnym zasadom słuszności i sprawiedliwości. Lud wiejski, który sądził, że nowe prawo uwolni go od wszelkich materyalnych ofiar na rzecz Kościoła, nie będzie bardzo zbudowany, gdy się dowie, że jemu przypada obowiązek utrzymywania kościołów i nabożeństw; mniejsze gminy nie będą w stanie temu zadaniu odpowiedzieć, dużo kościołów trzeba będzie zamknąć, ale tym sposobem niezadowolenie i rozgoryczenie tylko wzrośnie. Te i tym podobne sądy i zapatrywania głoszono w senacie.

Rozumie się, że członkom bloku prawo w swej nowej formie nie ze wszystkiem się jeszcze podoba. Combes zapowiedział

już, że demokratyczna lewica zgłosi nowe wnioski, jeżeli tylko w obecnem prawie pokażą się pewne niedokładności. Te niedokładności, to owe pozory wolności, które ustawa jeszcze Kościołowi zostawia.

Jakie jest w tej sprawie stanowisko prasy? Radykalne dziennikarstwo, to łatwo zrozumieć, czuje się zobowiązanem do wdzięczności za energiczny, spokojny i rozważny sposób, w jaki ustawę przeprowadzono; jaki to był, przedewszystkiem ten rozważny sposób, wykazaliśmy wyżej. To też deklamacyi o »historycznej dacie 6 grudnia 1905«, nikt nie bierze na seryo. Przeciwnie *République Française,* twierdzi, że lekkomyślne i bezkrytyczne przyjęcie ustawy przez senat, udowadnia tylko, że jego istnienie jest zupełnie zbyteczne; *Gaulois* widzi w zniesieniu budżetu wyznań zapoznanie obowiązku i bankructwo socyalnej solidarności; prasa nacyonalistyczna i konserwatywna kategorycznie i stanowczo prawo odrzuca.

Znamiennem jest w tej kwestyi zapatrywanie pewnego odłamu katolików, którzy w prawie samem widzą wprawdzie akt niesprawiedliwości i gwałtu, a mimo to wolą rozdział od dawnego konkordatu. Deputowany ks. Gayrand sądzi, że z punktu widzenia kanonicznego, historycznego i teologicznego nowa ustawa raczej odpowiada duchowi Kościoła, jak dawniejszy konkordat. Z punktu widzenia kanonicznego, gdyż Kościół będzie mógł swobodnie mianować biskupów i proboszczów, a biskupi znów większą mieć będą władzę nad związkami wyznaniowymi, jak mieli nad dotychczasową administracyą kościelną; z punktu widzenia historycznego, gdyż teraz ustanie upokarzająca zależność, w jakiej znajdował się Kościół za czasu konkordatu; z punktu widzenia teologicznego, gdyż Kościół będzie znowu wolnym, a o to najwięcej chodzi. »Zamiast więc walczyć przeciwko rozdziałowi, starajmy się raczej wykorzystać wolność, jaką rozdział nam daje, a której nie mieliśmy dawniej«.

I to warto jeszcze zaznaczyć, jako objaw częściowo dodatni, częściowo ujemny, że katolicy nie tracą nadziei. Nazwaliśmy ten objaw częściowo ujemnym, gdyż ta ufność opiera się w wiel-

kiej części na bardzo kruchych podstawach; jedni spodziewają się jeszcze dziś, że Loubet odmówi podpisu, inni oczekują wszystkiego od Rzymu, który przecież w tej sprawie moralną chyba tylko może dać pomoc. Trzeźwiejsi za to budują na danych politycznych i ekonomicznych, na przewrocie, jakiego rozdział dokona i powołują się na słowa Méline'a, wypowiedziane w senacie: »Po czterech latach pomówimy z sobą o tem raz jeszcze«. I te słowa niewiele w rzeczy samej mówią, ale polegają one przynajmniej na realnych podstawach, a jeżeli z niemi połączy się praca, rozumna a wytrwała, można się spodziewać, że cios nie będzie śmiertelny. »Czy przynajmniej teraz — pyta *Soleil* — zjednoczą się katolicy, aby razem z wiarą bronić i społeczności ludzkiej, narażonej na niebezpieczeństwo? Bo nigdy społeczeństwu nie zagrażało większe niebezpieczeństwo, jak obecnie. Prawo o rozdziale rabuje Kościół i otwiera wrota wszelkim zamachom na własność prywatną. Niech odtąd wszyscy się zjednoczą pod tym samym sztandarem, pod sztandarem wolności sumienia. To dla nich, dla Kościoła, dla Francyi jest dzisiaj kwestya życia«.

Jak ogół katolicki we Francyi skorzysta z tego wezwania, nie możemy jeszcze przesądzać; po tylu zawodach nie oddajemy się różowym nadziejom. Faktem jest, że po obsadzeniu wakujących szesnastu biskupów ma się zebrać, prawdopodobnie w Lyonie, konferencya biskupów francuskich i obradować nad tem, jakie stanowisko w kwestyi rozdziału zająć jej wypadnie.

Akcya o szkołę wyznaniową w Anglii

Anglia stoi przed nowymi wyborami do parlamentu, dlatego też zajmują się angielskie koła katolickie na nowo kwestyą szkolną. O ile pod innymi względami położenie katolików tamże nie jest najgorszem, o tyle jednak szkoła wiele do życzenia pozostawia. Prawo Ferstera dało wprawdzie katolikom w kwestyi szkół dużo wolności, uznania nawet, odmówiło jednak wszelkiej materyalnej pomocy. Katolicy nie próżnowali, rozwinęli przeciwnie w tym względzie akcyę na szeroką skalę, pootwierali dużo zakładów, które zasłużyły sobie na wielkie pochwały nawet w sferach anglikańskich, mimo to brak

poparcia materyalnego ze strony rządu tamował rozwój i konieczny wzrost tych szkół. Tym brakom, spodziewano się, zaradzi prawo Balfoura z 1902 r.; ponieważ uwzględniało ono jednak szkoły katolickie bardzo niewystarczająco, postawili katolicy hasło: katolickie szkoły dla katolickich dzieci pod katolickim nadzorem z katolickimi nauczycielami i z pensyą rządową. Jakie widoki ma ten dla katolickich szkół w Anglii postawiony program?

Początkowo zamyślali katolicy iść w tej sprawie ręka w rękę z anglikanami, którzy również szkoły wyznaniowej na równych prawach dla wszystkich żądali; pokazało się jednak, że nie można zbyt wiele na to poparcie liczyć, ponieważ anglikanie, jak się trafnie wyraziła radykalna gazeta robotnicza *The Clarion*, potrafią wprawdzie rozwodzić długo i szeroko swe żale nad spogańszczeniem czasów, gdy chodzi jednak o jakieś czyny, zdobędą się co najwyżej na rezolucyę potępiającą »ubóstwianie Maryi«. Stronnictwo konserwatywno-unionistyczne nic dla szkoły wyznaniowej nie uczyni, to pokazał rok 1902 przy rozprawach nad prawem Balfoura, a także fakt, że wykonanie powyższego prawa polecono jego wrogom. Liberalni zwalczali zawsze szkołę wyznaniową, a tak zaciekle, że dzisiaj nawet, gdy bez pomocy irlandzkiej pewnie się nie obejdą, o tem prawie wspomnieć sobie nie dadzą, a jeden nawet z kandydatów stronnictwa liberalnego Butler, był zmuszony do cofnięcia swej kandydatury, ponieważ w swym programie postawił żądanie szkoły wyznaniowej. Dla tych powodów skłaniała się pewna część katolików do nowo utworzonej partyi robotniczej, która należy wprawdzie do skrajnej lewicy i jest w części przynajmniej socyalistyczną, ale okazuje lepsze zrozumienie socyalnych potrzeb od innych stronnictw. Ostrożność jednak w szukaniu tej pomocy jest bardzo wskazana, pokazało się bowiem, że stronnictwo robotnicze zbyt łatwo odstępuje od swego programu, więc i stąd wiele spodziewać się nie można. Najodpowiedniejszem dla katolików angielskich byłoby połączenie się z narodową partyą irlandzką, mającą na celu tak zwane *Home-Rule* czyli autonomię kraju; stronnictwo to oświadczyło publicznie, że wszelkiemi siłami dążyć będzie do otrzyma-

nia szkoły wyznaniowej i wezwało angielskich katolików, by się z niem połączyli. Niestety! niema wielkich widoków, by do tego połączenia doszło. Katolicy angielscy dziwnie się boją autonomii irlandzkiej a znowu stronnictwo irlandzkie jest zanadto ekskluzywne. Polityka jego jest ściśle nacyonalistyczną, praca socyalna, o ileby się odnosiła np. do Anglii, nie jest objęta jego programem. Jeżeli czasami postawiono jakieś wnioski, odnoszące się do kwestyi socyalnej, uwzględniano jedynie ludność wieśniaczą, lub robotników irlandzkich w kraju, pominięto robotników angielskich i irlandzkich, żyjących w Anglii; poza tem treścią wieców i mów deputowanych irlandzkich jest wszędzie i zawsze tylko *Home-Rule*. Ponieważ żadne stronnictwo nie zajęło się w Anglii klasą pracującą, miała partya irlandzka dobrą okazyę, by stać się partyą robotników. Za taką partyą głosowaliby katolicy irlandcy, a z pewnością i niemały procent robotników angielskich; wtenczas po rozszerzeniu programu dałoby się też łatwiej pozyskać głosy angielskich katolików, gdyż stronnictwo pociągałoby do siebie, tem bardziej, że dzisiaj i tak dużo katolików należy do różnych partyi anglikańskich a między Irlandczykami nie znajdują żadnej przynęty dla siebie. Widoki więc walki o szkołę wyznaniową nie rokują wielkich nadziei.

Taktyka protestantyzmu w Czechach

Stara pieśń o celu, który uświęca środki, znalazła nowe zastosowanie w protestantyzowaniu Czechów przez Niemców. Niemieckość i protestantyzm to dwie rzeczy identyczne, dwie strony tego samego prysmatu, Rzym i Słowiaństwo to sprzymierzeńcy — te i tym podobne hasła rozbrzmiewają w Niemczech, gdzie protestanci czują się u siebie. Inaczej gdy trzeba między Słowianami pracować. Tam dowiadujemy się naraz, że protestantyzm jest międzynarodowym, że pierwszym zwiastunem ewangielickiej myśli był Hus, i że dlatego »szlachetny naród czeski«, jest dzisiaj w gruncie rzeczy protestanckim, a bynajmniej nie katolickim. Te myśli rozwija *Evangelische Kirchenzeitung*, która nie uważając na to, że obraża pewnie hakatystów, pod niebiosa wynosi Czechów i mimochodem wspomina, że trzeba

wynaleźć jakiś sposób pożycia z nimi, gdyż o uciemiężeniu i zniemczeniu ich myśleć nawet nie można. »Trzeba uznać, co na uznanie zasługuje. Nie tu miejsce, by mówić o zdobyczach kulturnych narodu czeskiego, o jego działalności na polu sztuki, o jego wychowaniu narodowem. Stwierdzamy tylko ogólnie, że Czesi mają kulturę, która między narodami Austryi naznacza im miejsce zaraz po kulturze niemieckiej. Dlatego, gdyby nie nieszczęśliwe narodowe waśnie, mogliby być Czesi naturalnym sojusznikiem Niemców, gdy chodzi o obronę duchowych i kulturnych dóbr przed klerykalizmem«. »Protestantyzm, pisze dalej *Evangelische Kirchenzeitung* ma w Czechach piękną przyszłość, ale przyszłość narodu nie jest protestancką«. Dlaczego? Gdyż przechodzenie czeskich Niemców na protestantyzm, skłania ich politycznych wrogów, chociaż to jest nierozumnem i zasadniczo wcale niekoniecznem, aby szukali schronienia w katolicyźmie. To wszystko oddziaływa źle na protestantyzm i odbiera mu sympatye ludności, tembardziej że, choć ten zarzut jest śmiesznym, zarzucają protestantyzmowi, iż dąży do germanizowania.

Dziwne! na tej zasadzie opiera się przecież cały ruch *Los von Rom,* i z tem tylko umotywowaniem przeszli na protestantyzm Iro, Wolff, Schoenerer i inni.

Mimo to, prorokuje *Evangelische Kirchenzeitung*, ruch protestancki w Czechach na przyszłość; przyszłość »w młodszej inteligencyi«, która stroni od Kościoła, przyszłość nawet w ludzie, »który nie może zapomnieć o swej ewangelickiej przeszłości«; ta pamięć żyje w urządzanych rok rocznie w szerokich masach ludności ku czci Husa uroczystościach.

Ten artykuł jest bardzo charakterystycznym i oświetla dobrze środki walki. W Niemczech i w Austryi rozszerza się protestantyzm pod czarno-czerwono-białym sztandarem, tam każdy kto chce być Niemcem, powiniem zrzucić z siebie więzy Rzymu i przejść na protestantyzm, w Czechach między Słowianami jest to zdanie »śmiesznym zarzutem«, a protestantyzm powołanym, by stał się Kościołem narodowym Czechów czy też Słowian. I to zapamiętać warto.

Biskupi a koalicya węgierska

W dzisiejszych węgierskich walkach zwraca na siebie uwagę stanowisko tamtejszych biskupów. Jedni z nich wystąpili energicznie w obronie konstytucyjnych praw monarchy, inni przyczynili się przynajmniej do złagodzenia zawziętych utarczek stronnictw, żaden nie solidaryzuje się z koalicyą. Dlatego też organa zjednoczonej koalicyi wzywają pięciu, za gabinetu Fejervarego mianowanych biskupów, aby godności kościelnych nie przyjęli, ponieważ pochodzą one od nielegalnego rządu; równocześnie agitują w dyecezyach, aby te nie pozwoliły na instalacye swych pasterzy. Powołują się przytem na fakt, że nie dopuszczono do przysięgi nadżupanów, jako mianowanych wbrew prawom. W obronie biskupów występuje *Hazánk*. Prawa dyecezalne, pisze, zależą od kanonów i konwencyi, biskupów mianuje król mocą patronatu i po przedstawieniu ich ze strony ministerstwa wyznań i tylko w kanonicznem prawie przewidziane przestępstwa mogą pozbawić biskupa jego urzędu. Nie tak ma się rzecz z nadżupanami. Opinia w Węgrzech sądzi, że biskupi w zażegnaniu toczącej się walki dużo zdziałać mogą, ale też ich odwaga będzie narażona na niemałą próbę, gdyż będą musieli wystąpić, nie jak tego żąda prasa koalicyjna, przeciwko królowi, ale w pierwszej linii przeciwko przesadnym żądaniom wielkiej części narodu. *Pesti Hirlap* donosi już nawet, że książe-prymas, kardynał Vaszary, wystosował do króla list, który oświetla położenie w Węgrzech i przedstawia mu postulaty tych stronnictw, które stoją na gruncie konstytucyi; utrzymują owszem, że kardynał omawiał w swym liście stosunek przysięgi koronacyjnej, na której Węgrzy wogóle wielkie budują nadzieje, do konstytucyi. W każdym razie słowa, wypowiedziane w *Hazánk*: »tylko ty zawsze z królem mówić możesz, więc idź nasz dobry arcypasterzu, powiedz, że jeżeli nam teraz nie pomoże, niczego dobrego już się nie spodziewamy i proś go, aby nas wreszcie poznał i tak ukochał, jak my go kochamy, co tylko wtenczas się spełni, gdy ciebie posłucha i spokój nastanie z tobą, z nim i z nami«, te słowa wskazują, że koalicya we Węgrzech chce wciągnąć także i Kościół do walki.

Z stosunków katolickich w Norwegii.

Zatarg, jaki w ostatnich miesiącach wybuchł między Szwecyą a Norwegią, zwrócił oczy katolików także na ten daleki, północny kraj. Do końca drugiej połowy minionego wieku była Norwegia fanatycznie protestancką, dopiero w r. 1843 miał tam miejsce pierwszy chrzest katolicki, w dwa lata później została Norwegia z Szwecyą za Grzegorza XVI wikaryatem apostolskim; w r. 1869 zrobiono z niej oddzielną prefekturę, a 11 marca 1892 wikaryat apostolski. W całym kraju żyło wówczas tylko siedmiuset katolików, dzisiaj liczba ich niesłychanie wzrosła, dwudziestu pięciu księży oddaje się w piętnastu stacyach pracy duszpasterskiej. Rząd zajmuje względem Kościoła stanowisko przychylne. Katolikom wolno mianować bez porozumienia się z rządem biskupa i proboszczów, wolno zakładać parafie, budować klasztory, kupować i sprzedawać dobra kościelne i klasztorne; szkół katolickich nie krępuje żadne prawo. W r. 1896 zmieniono za staraniem biskupa konstytucyę o tyle, że pozwolono zakonnikom i zakonnicom osiedlić się w kraju i tamże spokojnie pracować; za tą zmianą konstytucyi była najinteligentniejsza część storthingu. Zakonnice, zajmujące się pielęgnowaniem chorych tak są od ludności cenione, iż biskup Falize wyraził się żartem, że protestanci zakonnice psują i rozpieszczają. Szkół katolickich liczy Norwegia piętnaście. Prawda! rząd nie łoży niczego na utrzymanie szkół, kościołów i księży, ale i tu pokazał swoją przychylność tem, że uwolnił katolików prawie wszędzie od tych podatków, które według prawa płacą szkoły publiczne i kościół państwowy. Zachowaniu się władz wobec kleru i katolików niczego zarzucić nie można. Władze i sfery inteligentne biorą udział w katolickich uroczystościach kościelnych, a gdy w dniu śmierci Leona XIII biskup norweski znajdował się w głębi Laponii, minister wyznań sam go telegraficznie zawiadomił o śmierci papieża. Protestancki więc kraj daje Kościołowi tę wolność, której mu odmawiają ziemie katolickie, umią tam znać ocenić doniosłą i w owoce obfitą działalność Kościoła, którą wszędzie rozwija, gdzie na swej drodze nie spotyka trudności i przeszkód, uniemożliwiających, albo przynajmniej ograniczających jego rozwój.

»Ankieta w sprawie religii«.

Przed kilku tygodniami zostało polskie społeczeństwo zaalarmowane tak zwaną »ankietą w sprawie religii«, którą nieznane bliżej osobniki rozrzucały między młodzieżą gimnazyalną, począwszy od pierwszej klasy, zobowiązując równocześnie wszystkich do zachowania tajemnicy. »Ankieta« zawierała następujących dziesięć punktów:

1. Wiek, klasa, wyznanie, środowisko (rodz. intelig. i t. d.).

2. Wierzący czy nie?

3. Jeśli wierzący, co skłania go do trwania w wierze, jeśli nie, z jakich powodów wierzyć przestał?

4. Czem zastąpił religię?

5. Dlaczego jest, lub nie jest moralny *w szkole* (nie kłamie, nie oszukuje, nie uczy się) i poza szkołą (w stosunku do innej płci, do rodziny, do współkolegów i t. d.)?

6. Czy i ile rozszczepiło etykę nauczanie religii?

7. Jak reaguje na przymus religijny (jak się zachowuje wobec przymusowej spowiedzi i komunii, przymusowej obecności na nabożeństwie i t. d.)?

8. Czy uważa za konieczne nauczanie religii i etyki w szkole?

9. Czy zwraca uwagę na sprzeczność między naukami a religią?

10. Czy zwraca uwagę na sprzeczność między życiem współczesnem (ustrój społeczny, ekonomiczny, polityczny, stosunki narodowościowe, wyznaniowe, prawne, indywidualne) a zasadniczymi dogmatami religii (sprawiedliwość, miłość bliźniego, prawda, równość, poświęcenie, abnegacya, tolerancya)?

Na pytania odpowiada się bezimiennie. Rzecz traktuje się poważnie, odpowiedzi zatem winny być szczere i dokładne. Odsyłać do redakcyi *Naprzodu,* lub wrzucać do puszek *Biura Porady Un. Lud.* w Bibliotece i sali wykładowej w kopertach, na których wyraźnie zaznaczyć: »Ankieta w sprawie religii«. Ostateczny termin: 14. XII. 1905. *K. MŁ. KR.*

Tak *Naprzód,* jak i »Uniwersytet ludowy« wyparły się publicznie i oficyalnie jakiejkolwiek łączności z tym dziwnym kwestyonaryuszem; chcemy temu sprostowaniu wierzyć, choć ciekawe światło na sfery reprezentowane przez *Naprzód* i »Uniwersytet

ludowy« i na ich działalność rzuca sam ten fakt, że autorzy »Ankiety« tak dobrze zrozumieli, dokąd z tą sprawą się udać i gdzie dla niej szukać poparcia. Nie chcemy się dłużej nad tą rzeczą rozwodzić, boć widocznem jest, że ta »Ankieta« podyktowaną była wyłącznie przez złą i przewrotną wolę i wystawiła autorom świadectwo niesłychanego ubóstwa moralnego i umysłowego. Pisać np. o sprzeczności między naukami a religią, między życiem współczesnem a zasadniczymi dogmatami religii mógł tylko ten, kto wiedział, że pisze fałsz, a więc postąpił tem samem niemoralnie, albo ten, kto swe wiadomości czerpał wyłącznie z artykułów *Naprzodu* i z odczytów »Uniwersytetu ludowego«, a wtenczas postąpił sobie nienaukowo, bo żeby takie pytania rozstrzygnąć, na to trzeba trochę więcej nauki i wiedzy, jak je te dwa źródła podają i podać mogą. Stawiać znowu, może utalentowanemu, ale nie wyrobionemu jeszcze umysłowi pytanie, dlaczego wierzy lub nie wierzy, czem zastąpił religię, lub czy i ile rozszczepiło etykę nauczanie religii, świadczy o olbrzymiej wprost i naiwnej nieznajomości życia, nie dziwi nas więc, że i *Naprzód* i »Uniwersytet ludowy» tak skwapliwie wyparły się wszelkiego współpracownictwa w tej sprawie.

Ten objaw tak anormalnej przewrotności powinien jednak zwrócić wreszcie uwagę społeczeństwa na destrukcyjną działalność tak *Naprzodu* jak i »Uniwersytetu ludowego«, która musi być naprawdę ujemną, skoro ktoś mógł się odważyć połączyć je z tą »Ankietą«, ale równocześnie powinien też zwrócić uwagę na sumienniejsze zajęcie się młodzieżą, boć i tam nie wszystko chyba w porządku, skoro takie postawienie kwestyi uważano jako będące na czasie, a nie obrażające przekonań i godności osobistej młodzieży. Zaznaczmy jeszcze, że część młodzieży założyła przeciw tej ankiecie szlachetny protest.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z polskich wynalazków.

Śledząc od pewnego czasu bacznem okiem za rozwojem nauk biologicznych, których nowoczesną tendencyą jest coraz większe zbliżanie się do praw i formuł matematyczno-fizycznych, a wyczytawszy równocześnie w kilku pismach peryodycznych wzmiankę o najnowszych pracach paryskiej Akademii, które drogą zawiłych doświadczeń matematycznych potwierdziły czysto-praktyczne wyniki dawniejszych badań naszego rodaka, d-ra Zanietowskiego z Krakowa, przez co niejako teorya i praktyka w dziedzinie elektrobiologii podały sobie rękę, postanowiłem z ciekawości naukowej zasięgnąć w tym przedmiocie właśnie informacyi u samego źródła. Tem, co widziałem lub słyszałem, z gronem czytelników *Przeglądu* w formie krótkiej pogadanki naukowej niniejszem się dzielę.

W chwili, gdy nauka zajmuje się zastosowaniem tak przewrotowych odkryć, jak Radium, promienie Röntgena lub telegraf bez drutu skromną pozornie wydaje się praca szeregu lat, poświęconych przez naszego rodaka bliższemu zbadaniu pewnych prawd Elektrobiologii i zastosowania takowych do praktyki codziennej. A jednak, jak prymitywny »eolipyl« Aleksandryjskiego Herona nie przeczuwał iż się stanie kiedyś maszyną parową, tak i staremu Kleistow, z Pomorza nie śniło się przed półtora wiekiem, że jego prosty gwóźdź stanie się początkiem badań doniosłych dla teoryi i praktyki, o których tu mówić mamy. Przyrządy d-ra Zanietowskiego, których całą kollekcyę w chronologicznym rozwoju ulepszeń widzieliśmy, począwszy od tej pierwotnej formy, jaka przez niego była używaną do doświadczeń teoretycznych na Uniwersytetach w Krakowie i Wiedniu, a kończąc na najnowszych ulepszeniach, wypróbowanych niedawno przez autora w pracowniach naukowych Berlina, Wiednia i Wrocławia, zbudowane są na tej zasadzie, iż mamy możność kondenzować czyli zbierać pewne ściśle oznaczone ilości elektryczności i zapomocą nich w pewnym czasie wywoływać ściśle oznaczyć się dające skutki biologiczne lub fizyczne. W technice już oddawna panuje ta forma zastosowania sił przyrody, a nie mamy dziś bez niej ani ruchu wielkich induktoryów, ani przenoszenia się myśli po podmorskim telegrafie, ani fabrykacyi produktów pewnych na większą skalę dla celów rolniczych. Dziwnym zbiegiem okoliczności człowiek, król stworzenia, najpóźniej ją zastosował do siebie samego, tj. do potrzeb własnego

organizmu, do szybkiego, a dokładnego zbadania zmian w jego czynnościach, wreszcie zataczając już najśmielsze kręgi, do zbadania niektórych niewyjaśnionych praw jego życia. Do tych to właśnie trzech celów, tj. do rozpoznawczego, leczniczego i ogólno-biologicznego, zastosowane są przyrządy pomysłu d-ra Zanietowskiego, których ostatnia forma przedstawia się jako pęk przewodników metalowych, ułożonych grupami, a powleczonych odpowiednią masą, którego przekrój zbliżonym jest do budowy układu nerwowego ludzkiego, a rozgałęzienie do zakończeń tegoż, tak jak je szematycznie widzimy w organizmie lub jeszcze dokładniej w odnośnych narządach ryb elektrycznych. Pęk taki nie tylko jest dostosowany budową, ale odpowiada pewnemi własnościami fizycznemi wzajemnego stosunku składników własnościom elektrycznym, które okazuje układ nerwowy naszego organizmu. Otóż taki przyrządzik można przedewszystkiem napełniać elektrycznością i wywoływać zapomocą niego pewne zjawiska ruchu i czucia na organizmie zdrowym i chorym, których ścisły związek doprowadził autora do pewnych praw rozpoznawczych i leczniczych, uznanych już dzisiaj ogólnie przez krytykę fachową różnych uczonych. Następnie można na takim przyrządziku powtórzyć pewne zjawiska życiowe, odbywające się w organizmie i wytłumaczyć, dlaczego dotąd pozornie istniała przepaść między prostemi prawami fizyologa wypowiedzianemi dla wyciętego nerwu zwierzęcego, a skomplikowanemi zjawiskami, które lekarz lub przyrodnik, lub wreszcie każdy z nas obserwuje w czynnościach naszego organizmu. Wreszcie można w pewnej kategoryi zjawisk i w pewnych granicach, których zbadanie dozwolonem jest polotowi naszego rozumu, wprost substytuować czyli podstawiać ów przyrząd na miejsce pewnych narządów ustroju i naśladować pewne tychże czynności, budując w ten sposób podwalinę pod doniosłą sprawę assocyacyi zjawisk w przyrodzie, w podobny sposób, jak to czyni chemik, gdy drogą sztucznej syntezy nowe tworzy ciała i rzuca pomosty między światami: mineralnym, roślinnym i zwierzęcym.

Do powyższych trzech zdań musimy jednak dodać parę uwag' aby nie być fałszywie zrozumianymi i niektóre ogólniki jaśniej wytłumaczyć. Otóż o celach rozpoznawczo-leczniczych swoich przyrządów autor o tyle nie chciał nam dać wyjaśnień bliższych, iż wyglądaćby to mogło na reklamę w piśmie nie lekarskiem, a ciekawych czytelników odesłał do dwudziestu kilku prac swego pióra, oraz do najnowszych dzieł powag naukowych, które zechciały przyznać skromnej

pracy polskiego badacza zaszczytne słowa uznania, a nawet wprost jedno z pierwszych miejsc w postępie odnośnej gałęzi nauki. Natomiast powtórzymy tu porównanie autora, iż elektryczność w formach zastosowanych dotychczas, a nie zawsze pod względem precyzyi ściśle uchwytnych, choć zadziwiających w różnorodności skutków, podobną była do owej masy wody, która lejąc się pędem nieokiełznanego potoku, z równą w naszych oczach łatwością porywała źdźbełka słomy i górskie kamienie. Jak ta sama woda, zamknięta w granicach naczynia o znanej wielkości, wykona pewną ściśle oznaczyć się dającą pracę, gdy ją z pewnej wysokości w pewnym wypuścimy czasie, tak też i prawa siły elektrycznej, poddanej w medycynie tym samym prawom miary i wagi, których oddawna używa fizyka, ściślej się dadzą zbadać i określić. Dla lepszego zrozumienia tego porównania możemy użyć pierwszego lepszego przykładu. Tak jak dokładnie zważone lekarstwo, lub dokładnie zmierzona temperatura mogą stanowić o życiu i zdrowiu człowieka, tak też dokładne zmierzenie przyczyny elektrobiologicznego zjawiska, przypuśćmy chorobowego, może być ważnym znakiem rozpoznawczym lub leczniczym. Stary przyrząd naszych praojców może nie uwydatnić początku choroby lub wogóle zjawiska życiowego, gdy tymczasem ono w rzeczywistości już istnieje i uwzględnionem być musi. Idąc jeszcze dalej, przekonywujemy się, że w dziedzinie elektrycznych zjawisk życiowych, nie wszystko odbywa się drogą proporcyonalności, to znaczy, że skutek nie zawsze bywa tem wydatniejszy, im większą jest przyczyna; owszem rośnie prawie zawsze ten skutek, w miarę wzrostu przyczyny, aż do granic pewnych, aby potem pozostać niezmiennym lub nawet się zmniejszać, jak ono lekarstwo, które w miarę zwiększonej dawki, coraz lepszy wywołuje skutek, lecz przy pewnych granicach staje się wprost trucizną. Tylko wtedy, gdy porzucimy grubą obserwacyę jakościową, potrafimy zapomocą ilościowych metod nie tylko mierzyć przyczyny zjawisk życiowych i natężenie samychże zjawisk, ale oznaczyć właśnie owe granice przełomowe, poza którymi życie zdaje się podlegać innym prawom, choć w rzeczywistości tak nie jest. Gdy w ten sposób postępując, potężną siłę elektryczną poddamy w medycynie tym samym ścisłym prawom miary i wagi, których oddawna używa fizyka, otrzymamy skutki biologiczne, których różnorodność polegała dotąd na niedokładnej obserwacyi naszych zmysłów i metod, a nie na nieuchwytnych przyczynach, któreśmy tak często zbywali ogólnikiem, iż ciało nie jest epruwetką lub retortą. Przyczynowość zjawisk po-

prowadziła do bliższego poznania zjawisk samych; w powyższym wypadku, mówiąc językiem lekarsko-przyrodniczym, ścisłe zmierzenie przyczyn fizycznych i zależności biologicznych skutków poprowadziło do bliższego zbadania pewnych objawów chorobowych, do dokładniejszego określenia ich przebiegu, a co najważniejsza, do wcześniejszego wykrycia ich początku. Przez to zbliżyliśmy się znowuż o krok, a nawet może więcej niż o krok, wśród żmudnej pracy na ogromnym materyale, do słynnej enuncyacyi Emila Picard'a z francuskiej Akademii: *les sciences de la nature tendent à la forme mathématique.*

Ale z drugiej strony doświadczenia, o których mówimy, roztrząsane nie z punktu leczniczego, lecz ogólno-biologicznego, odgrywają także ważną rolę w tej odwiecznej ewolucyi myśli, która chce sprawy życiowe sprowadzić do zjawiska czysto-fizyczno-chemicznego, a nawet je naśladować drogą sztucznych konstrukcyi. W pojęciach naszych o życiu międzymolekularnem nerwów i ośrodków, które są przecież materyalnem podłożem całego naszego życia duchowego, używamy od dawna praw matematyki i analogii fizycznych, unikając natomiast z punktu widzenia przyrodniczego, niezgrabnych porównań dawniejszych do sprężystości kul bilardowych lub do ruchu fali, lub operując, że się tak wyrażę, z daleko subtelniejszymi czynnikami. Otóż na powyżej opisanych przyrządach d-ra Zanietowskiego można dokładniej, niż to odpowiadało dotychczasowym pojęciom, obserwować, podobnie jak w układzie nerwowym, analogiczne sprawy elektrostatyczne i elektrolityczne, widzieć analogiczne zjawiska konglomeracyi elektryczności i przewodzenia takowej wzdłuż warstwowo ułożonych pochewek nerwowych i włókien mięśniowych lub odpowiednio ułożonych części przyrządu, wreszcie zbadać analogiczne prawa ruchu w stosunku do jego przyczyn, do przebiegu w czasie, do rozszerzenia się w przestrzeni i do oporu, które mu stawią wedle swej wielkości i odległości wzajemnej warstwowo ułożone składniki drogi, wzdłuż której się objawia ten ruch tak w nerwie, jak i w przyrządzie. Gdy atoli zbadamy już tak ściśle fizyczne prawa zjawisk życiowych, gdy dojdziemy do samego jądra tej cudownej własności żyjącej plazmy, którą zwiemy »wrażliwością«, idąc po szczeblach teoryi jonizacyi, dyssocyacyi, assocyacyi i polaryzacyi, musimy się zatrzymać, zdaniem autora, w zwycięskim pochodzie, i powtórzyć za Claude-Bernardem: *l'élément ultime du phénomène est physique, l'arrangement est vital.* Tem zdaniem zakończył dr. Zanietowski demonstracyę swoich przy-

rządów, prac i wynalazków, a dodał do nich jeszcze przy pożegnaniu następne słowa: »Jak teorye emissyjne Newtona wydawały się waryackiemi, a przecie dziś w sphinteriskopie badamy szybkość cząsteczek radioaktywnych, wynoszących 100.000 kilometrów na sekundę, tak też w nauce każde najdrobniejsze odkrycie przysuwa coraz bardziej zakres naszej świadomości do jądra prawdy; ale jak z drugiej strony szybkość cząsteczek materyi nie doprowadzi nas zapewne do komunikacyi międzyplanetarnej, o której marzą niektóre umysły, tak też każdy biolog, któremu danem było uszczknąć promień światła ze słońca Wszechwiedzy i Wszechprawdy, kierującego światami, nie powinien iść śladami Ikara, lecz dorobek swój naukowy złożyć jako hołd tejże Wszechprawdzie, a jako szczebel dla postępu potomnych, w granicach tej pracy, które słusznie Flamarion nazwał w swem znakomitem dziele *l'Inconnu* granicami naszej możliwości, *le juste milieu de la possibilité*«.

* * *

Krócej już, bo bez uprzedniej autopsyi, wspomnę o wynalazkach drugiego Polaka, Jezuity ks. Żukotyńskiego, profesora w Chyrowie. Pierwszy z tych wynalazków, odnoszący się do dziedziny meteorologii przedstawia się jako przyrząd automatyczny do zapisywania wyładowań elektryczności ziemskiej. Przez zastosowanie najprostszych środków, tj. systemu zegarowego, aparatu Richarda, dzwonka elektrycznego, koherera systemu Fenyi i t. d., powstał przyrząd, który obok swej prostej budowy wykazuje wrażliwość, nieosiągniętą w żadnym dotychczas znanym registratorze, a pozwalającą na obserwacye w promieniu 400 kilometrowym. Za pomocą tego przyrządu powiodło się ks. Żukotyńskiemu jeszcze w r. 1901/2 poczynić ważne spostrzeżenia metereologiczne w Afryce południowej, które ogłosił w XXXII tomie *Jahrbücher der k. ung. Reichsanstalt für Meteorologie und Erdmagnetismus* (r. 1902, cz. I). Aparat sam opisał wynalazca w berlińskiej *Deutsche Mechaniker Zeitung* (r. 1903, Nr. 16, str. 145 np.) w artykule p. t.: *Ueber einen Gabel-Regestrierapparat und seine Anwendung zur Beobachtung der Blitze.* Aparatowi temu poświęcił dłuższe sprawozdanie w czasopiśmie *Natur und Off.* O. Fenyi, węgierski meteorolog. To współdziałanie O. Fenyi'ego, jakoteż spożytkowanie w aparacie jego koherera dało powód, iż w handlu aparat ten nosi nazwę registratora systemu »Fenyi-Żukotyński«. Patent na jego sporządzanie posiada zakład Wiktora Hosera w Budapeszcie.

Drugi wynalazek ks. Żukotyńskiego odnosi się do doświadczenia z równią pochyłą i polega na tem, że w miejscu dotychczas używanych systemów blokowych Bertrama i Weinholda wprowadza wagę sprężynową, co niezmiernie przyczynia się do dokładności obliczeń, utrudnianych poprzednio przez tarcie. Sposób posługiwania się tym przyrządem opisuje ks. Żukotyński w *Physikalische Zeitschrift* Rieckego i Simona (rocznik 6, Nr. 7, str. 207 i nast.), a wyrabianiem jego trudni się pracownia M. Kohla w Chemnitz.

M. N.

Z chwili obecnej.

Odznaczenie Sienkiewicza. — Z Królestwa. — Na Śląsku austryackim.

Na początek tych dzisiejszych notatek wypada zaznaczyć wypadek każdemu sercu polskiemu miły, w całej swej doniosłości i we wszystkich szczegółach znany już z dzienników, może tylko nie dość w swem istotnem znaczeniu przez prasę objaśniony.

Henryk Sienkiewicz otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń, międzynarodową nagrodę. Łączność w takich objawach jednostki twórczej ze społeczeństwem, a więc i pośrednie odznaczenie społeczeństwa na międzynarodowej arenie są zawsze faktem oczywistym — tu, w tym wypadku, odznaczenie to było bezpośrednie. Nie tylko sam Sienkiewicz, przyjmując osobiście odznaczenie, w tym duchu przemówił, ale i areopag, udzielający nagrodę, zaznaczył wyraźnie, że odznacza nie tylko twórcę ale i kulturę duchową jego narodu. Z obszerniejszej mowy sekretarza akademii szwedzkiej warto upamiętnić tu jeden ustęp: »Gdziekolwiek literatura jakiegoś narodu jeszcze żyje bogato i niewyczerpanie, tam istnienie tego narodu jest zapewnione; albowiem kwiat kultury nie może rozwinąć się bez gruntu podatnego. W każdym narodzie rodzą się geniusze, w których geniusz narodu skupia swoje siły. Stoją wobec świata jako reprezentanci ducha narodu. Strzegą pamiątki narodu z dni dawnych, ale na to, aby wzmocnić jego nadzieje przyszłości. Ich poezya ma głębokie korzenie w przeszłości, jako dąb potężny Baublis w puszczach Litwy, ale korona szumi wysoko pod niebem. Takim reprezentantem swego narodu jest Henryk Sienkiewicz«.

Tyle co do faktu. Jaka teraz w tem odznaczeniu głębsza myśl

się kryje? Myśl ta, w całości rozwinięta, wymagałaby bardzo obszernego omówienia, zastosowania do całego szeregu faktów z przeszłości i chwili obecnej, uwzględnienia wielu momentów, ważnych na przyszłość. Może i na takie omówienie sprawy tej, ogólniej pojętej, przyjdzie chwila odpowiednia. Tembardziej jednak można przy obecnej sposobności myśl tę szkicowo zaznaczyć, że nie jest ona u nas już nową, owszem w praktyce naszego polskiego życia coraz głębsze w ostatnich latach zapuszcza korzenie i coraz piękniejsze wydaje owoce. Myśl jest ta, że widoki powodzenia, pomyślnego rozwoju, a wreszcie zwycięstwa na każdem polu, ma tylko twórczość w rdzennym swoim pierwiastku rodzima. Nie chodzi o to w takiem postawieniu kwestyi, by wykluczyć krytyczne, umiarkowane, umiejętne opieranie się na cywilizacyjnych zdobyczach zagranicy; w samej twórczości Sienkiewicza możnaby także aliaż obcych pierwiastków wykazać. Chodzi tylko o to, by coraz bardziej otrząsać się z naiwnej a służalczej uległości wobec zagranicznego importu, z tej nieszczęśliwej uległości, która nie tylko, że niema wiary w rodzimą twórczość, ale i niema dla niej szacunku, wzamian zaś za to tarza czoło w prochu przed obcymi bożkami.

Poprawa z tej wady już jest dziś na każdem polu znaczna, w niektórych dziedzinach nastąpił nawet przewrót całkowity. To też zaczynamy już zbierać plony. Jak powodzenie nie tylko Sienkiewicza, ale i wielu innych dowodzi, już zagranica przychodzi się uczyć od nas.

Chodzi teraz o to, by wytrzebić do szczętu błąkające się jeszcze szczątki bezkrytycznej wiary w zagranicę, nadto, by coraz bardziej krzepić słabą jeszcze wiarę we własną siłę i twórczość. A chodzi o to, nie dla poklasku zagranicy, ale dla wzmożenia rzetelnej siły narodu, dla wzmożenia idącego za tą siłą dobrobytu i dóbr moralnych. Wchodzą tu nawet w grę tak wysokie dobra. jak moralność i religia, bo na historyi i literaturze naszej możnaby naocznie wykazać, że ile razy bezkrytyczny wpływ zagranicy u nas się zwiększał, tyle razy poziom moralny i religijny się zniżał.

* * *

Odznaczenie Sienkiewicza przyszło jak chwilowy przebłysk słońca wśród nawalnej wichury, jaka nad całą Polską, szczególniej w Królestwie, dzisiaj się roztoczyła.

O szczegółach anarchii w Królestwie powiadamia obszernie codzienna prasa, chcemy też tylko zwrócić uwagę na kilka szczegółów, z naszego stanowiska ważnych.

Ważnem najpierw jest to, że socyaliści rozpoczynają przenosić agitacyę na wieś. Akcya ta wymagać będzie zdwojonej baczności i pracy duchowieństwa.

Ważnem powtóre jest to, że socyalizm, który w ostatnich miesiącach wzrósł w opinii inteligentnego ogółu na znaczeniu, obecnie gwałtownie w tej opinii spada. Znudziła się po prostu ludziom ta bezcelowa szarpanina, to ciągłe dręczenie strejkami, gwałtami, wyduszaniem pieniędzy. Do szczętu wreszcie podkopali się socyaliści bratobójczą walką, wytoczoną narodowej demokracyi, posuwającą się nawet do mordu. Z tego względu ważnym jest otwarty list Daszyńskiego do socyalistów w Królestwie, doradzający zmianę taktyki.

Szczególniej ważnym objawem jest ruch, jaki w sferach katolickich się rozpoczął. Nasuwa się tu najpierw do omówienia głośny zjazd 417 księży. Niestety jednak, doszły nas z dwu stron informacye, co do zasadniczego momentu tak sprzeczne, że sąd o tym zjeździe na razie zawiesić musimy.

Tymczasem zbliża się inny zjazd księży, wiec dyecezyalny dyecezyi kujawsko-kaliskiej. Z odezwy, jaka nas doszła, widzimy, że będzie to u nas nowy objaw, jakiś rodzaj ankiety kościelnej. »J. E. ks. biskup dyecezyi — czytamy w odezwie tej księży do księży — chce nam dać zupełną wolność szczerego wypowiedzenia się, aby w swych rządach dyecezyalnych mógł się opierać nie na myśli i radzie jednostek, ale na opinii zdrowego ogółu podwładnego duchowieństwa«. Prawną formą takiego zjazdu, pisze odezwa, byłby synod, ponieważ jednak wymagałby on dłuższego przygotowania, a »gorące czasy nie cierpią zwłoki, wymagają jak najprędszych narad«, przeto odbędzie się wiec księży w tej formie. Przedmiotem obrad będą oczywiście sprawy religijne i społeczne, zwłaszcza potrzeby duchowieństwa.

Wreszcie zanotujmy, że w *Przeglądzie kat.* ogłoszono już program polskiego Związku katolickiego, o którym wzmiankowaliśmy w poprzednim zeszycie. We wstępie do tego programu czytamy takie zdanie: »Dziś, Polacy, przyszła i na nas chwila epokowa. Nasi kapłani muszą wyjść z zakrystyi i złączyć się z ludem. My świeccy nie możemy jak dotąd ograniczać religijnych spraw do domowych klęczników«.

Z radością zaznaczamy, że program, zwłaszcza co do sprawy ludowej i robotniczej, jest pojęty szeroko i stawia Związkowi wielkie i rozliczne zadania w dziedzinach kulturalno-duchowej, społecznej i ekonomicznej — w czem zbliża się do znanych tego rodzaju programów.

Związek stoi poza wszelkiemi stronnictwami politycznemi i ulega władzy biskupów.

* * *

Katolicyzm ruszył się i na Śląsku austryackim. Objaw to bardzo znamienny, bo zgoda, jaka dotychczas w pracy narodowej między Polakami protestantami a Polakami katolikami tam istniała, rozpada się. Objawem tego jest już rozdwojenie w »Macierzy«. Dla sprawy narodowej rozdwojenie takie może mieć niedobre skutki — ale trudno — w grę wchodzą zbyt poważne sprawy. To też lekkomyślnością nie do darowania stronie prowokującej jest to, że pierwszorzędne siły, na które cała Polska z podziwem patrzyła, zmuszone są do wycofania się z pracy.

Jak z miesięcznika »*Poseł związku śląskich katolików*« dowiadujemy się, polscy protestanci w całym szeregu faktów wystąpili agresywnie przeciw rodakom swoim, katolikom. Wobec takiej postawy, strona zaczepiona nie ma innej rady, jak bronić się.

Zadanie to obrony ma spełnić, istniejący od dawna, a obecnie do nowego życia wskrzeszony, »Związek śląskich katolików«, idący pod hasłem: »Przez lud dla Boga i ludu«. Ze spisu członków widać, że organizacya ta zatacza już dość szerokie kręgi, a z odezw i ze sposobu brania się do akcyi czuć siłę, jaka tę organizacyę ożywia. Tyle na dzisiaj, wkrótce będzie miała Redakcya sposobność na miejscu o sprawie tej poinformować się, by sprawę w całej rozciągłości wytoczyć przed forum publiczne. Zaznaczmy jeszcze, że gdyby walka zaczepna wzmagać się miała, to najmniejszej nie może ulegać wątpliwości, po czyjej stronie stanie polskie społeczeństwo.

Ks. J. Pawelski.

Od Redakcyi.

Ankietę naszą o obecnych zadaniach katolicyzmu w Polsce, ogłosimy w zeszycie lutowym.

W sprawie odpowiedzi ks. d-ra Wł Chotkowskiego na recenzyę pana M. Michnowieckiego, otrzymaliśmy od tegoż p. Michnowieckiego pismo, zawierające odpowiedź na odpowiedź. Żeby nie przedłużać polemiki, która, wskutek swej szczegółowości, nie przedstawiałaby dla *Przeglądu* donioślejszego naukowego znaczenia, uzyskaliśmy od autora, iż pismo swoje cofnął. Stwierdzając ten fakt, zaznacza Redakcya swoją z tem pismem solidarność.

Druk ukończono 10 stycznia 1906 r.

Katolicyzm stawiał sobie zawsze dwa zadania, a raczej jedno biegnące w dwóch kierunkach tj. rozwój etyki indywidualnej i społecznej. Pierwsza, która w życiu chrześcijaństwa wydała wspaniałe kwiaty poświęcenia i ofiary, opiera się zawsze na drugiej, na zespoleniu jednostki i całego Kościoła przeszłego i dzisiejszego mistycznymi a realnymi węzłami. Utrzymać tę podstawę i wyrosłą na niej chrześcijańską kulturę to pierwsze i główne zadanie katolicyzmu w każdym narodzie i w stosunkach międzynarodowych.

Oczywista dążyć trzeba do tego najlepszymi środkami. Publicystyce złej należy przeciwstawić dobrą, nie dopuścić do jednostronnego przedstawiania kwestyi naukowych i społecznych. Hasłem najwyższem winna być prawda. *Nihil est, quod ecclesiae ab inquisitione veri metuatur* »Kościół niczego od badania prawdy się nie obawia«, słowa wypisane w ułożonym przez samego Leona XIII dyplomie paleografa-archiwisty są zastosowaniem do Kościoła bezwzględnie obowiązującej zasady i świadczą, że ten wielki papież nie lękał się prawdy dla chrześcijańskiej kultury i etyki. Dlatego nie mogę uznać osobnych dążności katolicyzmu w nauce, filozofii i sztuce; osobne dążności tutaj niosą niebezpieczeństwo tendencyi, która tym dziedzinom winna być obcą. Kryteryum najwyższe prawdy winno być jedynem dla oceny badań filozoficznych i naukowych katolików i niekatolików, prawda jak słońce winna świecić jednym i drugim. Wykształcenie środków badania pozwoli coraz bardziej do prawdy się zbliżać.

Sztuka tendencyjna nie potrafi naprawdę żyć i działać.

Urzeczywistnieniu prawdy w nauce i sztuce odpowiada urzeczywistnienie sprawiedliwości w stosunkach społecznych. Ludzi dobrej woli należy skupić pod hasłem poszanowania godności ludzkiej w każdym bliźnim i utrzymania indywidualności narodowej. Ponieważ życie społeczne i polityczne niemożliwe bez stronnictw, trzeba się z ich istnieniem liczyć; umiarkowane winien katolicyzm natchnąć wspólną myślą, kiedy chodzi o środki do przeprowadzenia powyższych celów. Kosmopolitycznemu, bezwyznaniowemu i negującemu indywidualność narodową socyalizmowi należy prócz tego przeciwstawić wielkie na szerokich, demokratycznych i ludowych podstawach oparte stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, które jedynie zdoła podjąć walkę na gruncie powszechnego prawa wyborczego, aby dać ochronę wszelkiej materyalnej i umysłowej pracy, każdemu pracownikowi.

Stronnictwo takie należy zorganizować w Galicyi i w Królestwie Polskiem. W Poznańskiem, Prusiech Zachodnich i na Śląsku społeczeństwo winno utrzymywać najściślejszą łączność z centrum, bo jedyny to sposób, by przeszkodzić rozszerzeniu hakatyzmu wśród Niemców, zwłaszcza nieprusaków i zapewnić możliwą na dzisiaj na obronę.

Ostrzegam jednak przed niechrześcijańskim antysemityzmem, grożącym naszemu krajowi nieobliczalnemi klęskami ekonomicznemi i rzucającym całe masy żydów do obozu socyalistycznego. Szczególnie potępić należy antysemityzm w rodzaju fejletonu *Postępu* nr. 252 r. 1905, w którym powtórzono niedorzeczne elukubracye jakiejś książki z XVIII w. o morderstwach rytualnych, powołującej się na zeznania wymuszone torturą. O wartości takich zeznań inne miał wyobrażenie jeden z największych synów Kościoła, św. Augustyn, mówiąc w liście do Macedoniusza biskupa Afryki: »Jeżeli poddany torturze woli umrzeć, niż ją dłużej znosić, powie, że jest winnym zbrodni, której nie popełnił. Jest skazanym i straconym. A przecież sędzia nie wie, czy skazał winnego czy niewinnego, ponieważ tortura była niepotrzebną dla udowodnienia niewinności i służyła tylko do uzyskania prawnych pozorów winy«.

Takie występy, jak wspomniany fejleton, do tego podpisany przez duchownego, uważam za niebezpieczne dla sprawy katolickiej i sądzę, że nigdy dość ostro nie można ich napiętnować.

Kwestyi żydowskiej nie tylko w Galicyi, ale na całym obszarze ziem polskich trzeba śmiało spojrzeć w oczy i starać się o jej sprawiedliwe rozwiązanie.

W Galicyi Wschodniej trzeba utrzymać żywioł ludowy obrządku łacińskiego, ale równocześnie dbać o Kościół unicki i przez katolicyzm przygotować zgodę obu narodów.

Na arenie państwowej w Wiedniu, gdzie być może narodowe różnice zejdą na dalszy plan wobec społecznych, trzeba będzie złączyć się z wszystkiemi stronnictwami katolickiemi przy zachowaniu indywidualności narodowej.

W Królestwie Polskiem i w krajach zabranych należy otoczyć troskliwą opieką wiernych Podlasian i wszystkich, którzy na zasadzie tolerancyi liczbę katolików pomnożą.

Na Litwie właściwej nie należy żadną miarą dopuścić do zaostrzenia antagonizmów narodowych, ale trzeba koniecznie na wspólnym gruncie katolickim zawrzeć z nią nową unię pod hasłem: równi z równymi, wolni z wolnymi.

Prof. Dr. Stanisław Krzyżanowski.

Wezwany przez Szanowną Redakcyę, bym wypowiedział swe zdanie co do spraw katolickich naglących, chętnie spełnię to życzenie bez względu na to, czy wierzę w skutek, bylebym miał prawo powiedzieć: *Dixi et salvavi animam meam.*

K w e s t y a k o b i e c a jest obecnie jedną z najbardziej piekących spraw w Polsce.

W tej sprawie dość kilku słów dla tych, którzy, bezstronnie rozważywszy, zechcą ją zrozumieć, a dla tych, którzy nie chcą rozumieć i tomy nie wystarczą.

Jako założenie stawię dwa punkta.

Wykazywać, czem jest kobieta w każdem społeczeństwie,

byłoby nawet rzeczą śmieszną, bo niema jednego objawu życiowego, w którymby ona nie grała pierwszorzędnej roli.

Trzeba być z umysłu ślepym i zatwardziałym w ślepocie, by nie widzieć, że kwestya kobieca istnieje. Cyfry mówią najlepiej. W Anglii stała przewyżka narodzin żeńskich wynosi 800.000. Dodajmy te panny, których nie wzięli starzy kawalerowie i wdowy, które straciły mężów, to otrzymamy na pewno stałą liczbę 1,500.000 niezamężnych. Odliczmy hojnie 500.000 żyjących z własnych funduszów, to zostanie 1,000.000 takich, które o małżeństwie nawet myśleć nie mogą a są zmuszone same walczyć z życiem.

Z jakich przyczyn w ten sposób uformowały się te cyfry, tego analiza nie należy do nas, my tylko przyznajmy, że te cyfry są i, że z niemi musimy się liczyć. W Anglii, wskutek zupełnie wyjątkowych przyczyn, te cyfry są w najbardziej rażącym stosunku, w innych krajach Zachodu mniej, ale są wszędzie. Przyznajmy, iż wskutek tego powstał ferment w społeczeństwie Europy, który się zowie kwestyą kobiecą z jej dobremi i wyrodnemi stronami.

To strona ogólno-ludzka tej sprawy — a teraz nasza rodzima.

Polka nie jest już z samej natury namiętną, ale jest nerwowo-zapalną; wszelka więc teorya porywa ją, ale do czynu jej nie śpieszno, bo tu nie gadania lecz pracy potrzeba a ona, czystej krwi Słowianka, grzeszy na równi ze swoim mężczyzną niemałem lenistwem.

Jaki z tego wynik?

Na Zachodzie wre wspomniana walka ze smutnej konieczności a u nas feministki rozprawiają, »by nie być poza kobietami Zachodu«. — Tam poza jedną mową kobiety stoi setka ciężkich, bolesnych faktów, które przez jej usta ogłaszają swój byt — u nas rozprawy feministek, to szkoła oratorska. — Tam przy ruchu kobiecym stoją ogromne masy społeczeństwa: jedne za nim, drugie przeciw — u nas nieimponujący tłum ciekawych drepce za gronem biretowych pań, chychocząc ironicznie: »Chodźmy! chodźmy! posłuchajmy, i co też te baby będą gadały?«

Tak jeszcze jest u nas, ale tak nie będzie w przyszłości. Kto, nie tracąc z oka ogółu, pilnie będzie się przypatrywał życiu pojedynczych kobiet w Polsce w naszych czasach, ten się prze-

kona, że i do nas rzeczywista kobieca kwestya (nie dzisiejszy teoretyczny Doktor-feminismus) musi przyjść i to najdalej w ciągu 2—3 pokoleń, w ciągu kilkudziesięciu lat. Kto wtedy będzie miał w ręku jej ster? — Jeżeli my katolicy nie stworzymy w tym celu szeregu silnych organów — nie oratorskich lecz czynnych — to ster wezmą dzisiejsze feministki, których kierunek znany — nawet niechrześcijański.

Twierdzę, że faktycznej sprawy kobiecej jeszcze u nas niema, więc jeszcze jest czas zrobić przygotowania, by w miarę, jak ona będzie u nas rosła, brać ją w ręce. W każdej sprawie a szczególnie społecznej, ogromnej wagi jest pierwszeństwo inicyatywy. Kto drugi już przychodzi musi nie tylko tworzyć swoje, ale nadto zwalczać przeciwnika. Mamy tego świeży przykład w naszem mieście. Gimnazyum żeńskie okazało się koniecznością. Ogół katolicki przyjął założenie takowego kiwaniem głową: »No, proszę! będziemy mieli maturzystki!«

I przyszły maturzystki i okazało się, że to wcale nie dziwolągi. Gdyby ogół katolicki stworzył jaki organ, któryby tę szkołę chwycił do garści, toby nie przyszła potrzeba stworzenia drugiego gimnazyum, które niejedną rzecz musi prowadzić od początku.

Pamiętajmy o tem, że żaden prąd (dobry czy zły), który już powstał w jakiemś społeczeństwie, nie da się cofnąć. Nikt już nie zdoła zamknąć gimnazyów kobiet — pozostaje tylko kwestya, kto niemi będzie rządził, który kierunek zwycięży?

Pamiętajmy, że z jednej sprawy zawsze rośnie i musi urość druga. Z maturzystek poszły rzeczywiste studentki — ich egzamina powinny im dać prawa te same, jakie zyskują studenci. Jeżeli tych praw my im nie wyrobimy, to wyrobią nasi przeciwnicy i tem ich pozyskają.

Przeciwko mowom feministek postawmy liczne organizacye działające bezpośrednio na byt kobiet i społeczeństwa a wtedy weźmiemy w ręce dziś dopiero jeszcze początki faktycznej sprawy kobiecej, by potem panować nad nią w całym przebiegu rozwoju — a do jakich celów ona dojdzie, tego nie prze-

sądzajmy, nie mówmy naprzód: »Tu się ma zatrzymać kobieta«... byleby tylko od Boga nie odeszła...

Na dalekim Zachodzie mówią już o prawach wybierania i wyboru; zapalna Polka deklamuje na ten temat, ale o tem nie wie i z tem się nie liczy, że kobieta tameczna dała tyle pracy, że naszej o tem nawet się nie śniło. Niech cyfry mówią. W Stanach Zjednoczonych w szkołach od najniższych aż do gimnazyum włącznie, na 5 miejsc nauczycielskich kobieta posiadła już... 4.

Na tamecznych 300 uniwersytetach już jest 2000 posad w ręku kobiety. Mały uniwersytet we Wioming ma 12 katedr, z nich 8 w ręku kobiet.

W bibliotekach, w muzeach połowa pracowników — kobiety.

Oto jest społeczeństwo tamecznych kobiet potrzebujących zarobku. A wśród bogatych jest 500.000 Córek Syonu. Hasłem tego towarzystwa jest: »W Imię Jego«... Jezusa Chrystusa, a głównym obowiązkiem każdej z tych Córek Syonu jest przyjąć na jeden rok bezpłatną służbę — w szpitalach, więzieniach, misyach, w dobroczynnych zakładach. Oto, w jakim kierunku głównie idzie tam kobieta. Kobiecie, która tak pracuje, należą się prawa wyższe — to się rozumie... A gdyby tak naszym oratorkom zaproponować: »Idźcie na rok przewiązywać rany lub odprawiać misye wśród zbrodniarzy!«?... (Niech mi czytelnik daruje, żem sobie pozwolił na tę humoreskę).

Otóż zaniechajmy mówić: »Kobieta powinna tylko rodzić, mamczyć i niańczyć dzieci!« Zaniechajmy tej mowy, bo ona mniej ma wartości, niż popisy oratorskie naszych feministek — ich mowy są przynajmniej słuchane, a tej mowy nikt już nie słucha, bo zamęście coraz bardziej staje się przywilejem majętnych. Dlaczego tak jest, niech odpowiedzą ekonomiści — ja tylko powtarzam, zaniechajmy wszelkiego kiwania głową nad kwestyą kobiecą — ona jest — a pochód jej ku nam cofnąć się nie da.

Więc jeżeli nam przyszłość naszej ojczyzny jest drogą, to pozostaje nam jedno tylko: wziąć tę sprawę w nasze ręce. Ale zaniechajmy oratorstwa a postawmy czyny. Weźmy w ręce seminarya nauczycielek, żeńskie gimnazya, wszelkie wyższe zakłady naukowe dla kobiet i w ciągu kilkunastu lat ochwyćmy szkoły

naszemi uczenicami. Zawiążmy towarzystwo »Córek Syonu« — niemi ochwyćmy szpitale, domy poprawy, zakłady dobroczynne, zyskamy przez nie serca wszystkich biednych. We wszystkich szkołach żeńskich wprowadźmy, jako przedmiot obowiązkowy, egzaminacyjny — historyę kobiety u wszystkich narodów i we wszystkich czasach. Niech wie, czem była przed i po Jezusie Chrystusie; niech wie, co ją spotykało, ilekroć egoizm mężczyzny rozluźniał węzły małżeńskie, ilekroć kobieta wyrzekała się swoich najsilniejszych broni: macierzyństwa i nauczycielstwa, co się rozłączyć nie da... bo nie mówię tylko o macierzyństwie materyalnem. »Każde dziecię bez matki a szczególnie złej matki, w kobiecie szlachetnej, którą Opatrzność przy niem postawiła, winno znaleźć serce matki, jej opiekę, jej nauki... Bóg jej dał to dziecię!« To głos jednej z takich matek tam, z za Oceanu... Przeprowadźmy to wszystko — a wtedy użyczmy sal naszym feministkom, niech uprawiają retorykę.

Ze względu na charakter polskiego dziewczęcia — szlachetny ale nerwowo, zwykle bez analizy, zapalny a bujnej wyobraźni, sprawa kobieca u nas jest dwakroć piekącą, niż u innych narodów. Dzisiejsze stosunki już wyprowadziły dziewczynę polską z domu jej rodziny w świat — już ją żadną siłą do domu z powrotem nie zamkniemy.

A teraz zróbmy taki rachunek... Powszechny upadek uczuć religijnych owładnął i nią tem groźniej, że jest nerwową a bujnej wyobraźni, więc tworzy sobie własne dogmata bardzo często bez rozumowania a tylko sercem (znana na emigracyi *haeresia polonica*) lub targa się między myślą a uczuciem, bo ich związać nie zdolna. Prąd socyalistyczny wydziera jej polskość. »Ja przedewszystkiem socyalistka« — to się już często daje słyszeć. Walka życiowa, cierpienia, niedostatek, utrata wiary w prawość ludzi i prawdę wyznawanych ideałów... Dodajmy jeszcze, że nasz mężczyzna jest wielce ugrzecznionym i wytwornym dla kobiety w towarzystwie, ale poza tem brutalnym egoistą i lubi się nią zabawić... Czy nas zadziwi, jeżeli w sumie tego rachunku otrzymamy... truciznę albo rewolwer?! — —

Nie teorye ja tu prawię! nie teorye — niestety! W ostatnim

roku, tu w Krakowie 6 odebrało sobie życie a dwie były bliskie tego.

Jedna nie miała religii, wyznawała to otwarcie a jednak dlaczego żądała rozmowy ze mną? dlaczego po rozmowie, wcale niemiłej, przyszła drugi raz ze słowami: »Muszę przyznać panu profesorowi, że ma słuszność, że prawdę mi powiedział; rozważyłam naszą rozmowę, lecz co ja poradzę, ja nie mam siły iść w tym kierunku!« Jestem święcie przekonany, że gdyby ją kto w ręce wziął, toby ją ocalił. Stosunki nie odemnie zależne odsunęły mię od niej, straciłem ją z oczu na dłuższy czas. Jeszcze raz spotkałem, zapytałem, czy niema w niej zmiany? — »Żadnej«, odpowiedziała z jakimś dziwnym uśmiechem smętnego rozradowania, którego nie zrozumiałem. Dziś go rozumiem: już była zdecydowana — w miesiąc potem nie żyła. Do dziś mi ona stoi przed oczyma.

Druga, o ile ją znałem, była wierzącą, niezwykle szlachetnych uczuć, czuła, jak mimoza na wszelki brud. Już była o sto mil odemnie, gdy jej ktoś nagadał, że ją posądzam o niewłaściwe zachowanie się względem mnie. Otrzymałem list polecony z protestem i gorącą prośbą, bym ją uspokoił względem tych moich mniemanych podejrzeń. Była zamożną, a jednak od rana do wieczora dawała lekcye za darmo i stała się duszą swego rodzinnego miasta. Dlaczego odebrała sobie życie? Nikt nie rozumie. Ja w tej pracy nadmiernej widzę chęć zagłuszenia w sobie czegoś, co ją gryzło w głębi duszy i czego przetrawić nie mogła.

Żal, straszny żal tych szlachetnych istot — została tylko modlitwa za ich dusze.

Jeszcze dwie, znane mi, tylko Bóg uratował; niech Mu będą dzięki za to! Wszystkie tu wyliczone, z lepszych rodzin dziewczęta i bardzo wykształcone.

Kto żyje w świecie naszej młodzieży żeńskiej, ten wie, jak się rozwija tu w Polsce r z e c z y w i s t a kwestya kobieca, ale wie także i boleje szalenie nad tem, że żadna kwestya u nas katolików nie jest tak zaniedbaną, jak właśnie k w e s t y a k o b i e t y. W Krakowie jest *minimum* 500 przybyłych z obczyzny młodych, już dorosłych dziewcząt: w seminaryach, w gimnazyach, w szko-

łach specyalnych, w uniwersytecie; na samych kursach Baranieckiego dochodzi liczba 220... Ale żeby też choć jedna instytucya, któraby myślała o jakiemś zogniskowaniu tej młodzieży, gdzieby można było mieć z nią styczność, pracować z nią i nad nią, wpływać na nią... ani jednej! Młodzież męska ma swoje ogniska, znalazły się zapisy — jest już dom własny... dla dziewcząt nic a nic — a najwyższa ich szkoła t. zw. kursa Baranieckiego, do której zjeżdżają się dziewczęta nie tylko z całej Polski ale z Petersburga, Moskwy, Kazania, Ufy, Astrachania, Tyflisu, Taszkientu — ta szkoła ma takie pomieszczenie, że mię dziwi zaprawdę, iż fizykat miejski nie zamknął jeszcze jej ze względów sanitarnych. O 500 dziewcząt polskich w naszem mieście nikt się nie troszczy.

Jakaż to szlachetna istota ta dziewczyna polska, jeżeli pomimo całego zaniedbania, pomimo często strasznej nędzy, której obraz dał nam niegdyś ś. p. Ojciec Badeni[1], pozostaje jednak w całej swej godności.

A większość naszego społeczeństwa katolickiego nie wierzy nawet w istnienie kwestyi kobiecej, jak struś chowa głowę pod skrzydło i okłamuje siebie samego, że nic nie grozi.

Stwórzmy ognisko tej młodzieży, zbudujmy odpowiedni na ten cel dom, bursę katolicką żeńską — niech 50—60 razem mieszka, do nich się zejdzie sto innych, będzie można pracować z niemi i nad niemi.

Mieliśmy Polkę, którą w dawnych warunkach życia mogliśmy się chlubić, dziś warunki życiowe zmieniają się do gruntu... jeżeli sprawy kobiety nie weźmiemy do ręki, to możemy zdobyć taką Polkę, której się wstydzić będziemy... Nie obwijajmy sprawy w bawełnę, nie oszukujmy siebie samych: myślę o tej relegacyi 6 czy 7 hospitantek przed dwoma laty, a że jestem za równym wymiarem sprawiedliwości dla mężczyzny i kobiety, toć twierdzę, że tych relegacyi winno było być nie 6, lecz 12. Dlaczego nie zostali relegowani i ci, którzy w brutalnym egoizmie nadużyli stosunku koleżeństwa z dziewczyną polską, która po raz pierw-

[1] *Przegląd Powszechny* r. 1896 i nast., artykuł p. t. »Nędza w Krakowie«.

szy, w ten stosunek weszła. Sądziła, iż spotka kolegów i przyjaciół a spotkała... hańbę.

Stosunek koleżeński obojga płci jest tylko tam możliwy, gdzie mężczyzna ma sumienie i poczucie honoru względem nieopatrznej i niedoświadczonej... tam, gdzie mężczyzna ma to poczucie, że kobieta kochająca a szczególnie nerwowa jest na łasce i niełasce kochanego przez nią mężczyzny i tylko od jego sumienia a poczucia honoru los jej zależy... tam tylko, gdzie mężczyzna czuje, że ona wobec niego jest bezbronną i postępuje wedle nakazu szlachetności. Lecz jeżeli młodzieniec rozumie tylko słowo: kolega a w koleżance widzi kobietę do zdobycia, jak pierwszą lepszą i nie widzi w tem pohańbienia własnej godności a sponiewierania zasady przyjaźni i koleżeństwa, w takim razie kobieta jest w ręku rabusia, gorszego od tych, co po drogach gwałcą — — —

jednak przyjęty przez czytającą publiczność ponad wszelkie moje spodziewanie. Otrzymałem listy z powinszowaniami, ś. p. ks. Kalinka, jadąc przez Monachium, przyszedł do mej studenckiej celi, by się poznać ze mną.

Dziękowałem Bogu, że przecie nie na darmo pracowałem, że moje ostrzeżenie nie będzie głosem na puszczy. Byłem wtedy jeszcze bardzo młody i nie znałem naszego społeczeństwa... Nie zrobiono nic! słowem nic! Palcem pokazałem na szkołę ludową i na duchowieństwo, zapowiadając, że na te punkta uderzy socyalizm... W dwa lata potem był pierwszy proces socyalistyczny w Krakowie, na ławie oskarżonych siedzieli uczniowie seminaryum nauczycielskiego a wkrótce potem na czele naszego socyalizmu stanął — ksiądz.

Socyalizm wszedł do nas bez najmniejszego oporu. Przecież policyjne aresztowania nie można nazwać oporem! Na jednem z towarzyskich zebrań socyalistów w Monachium w 1873 roku, przyjęto z najwyższym entuzyazmem toast: »Niech żyje dyrektor policyi, nasz najczynniejszy agitator!«

Ostrzegałem daremnie... Słowo w słowo ten sam los czeka na obecny artykuł, a przedewszystkiem jeszcze zapytanie, czy będzie chociażby drukowany.

Dr. Michał Żmigrodzki
profesor Kursów Baranieckiego od 1898 r.

Niesprawiedliwość społeczna jest niemal tak dawną jak świat, tak starą jak okrucieństwo i wyuzdanie wybrańców losu, a zawiść i żądza zemsty nieszczęśliwych. Wszystkie bunty i rewolucye i mordowania królów i walki Grachów i powstania niewolników w tej niesprawiedliwości mają swe źródło. I rewolucya francuska i socyalizm współczesny wykwitły z tego olbrzymiego pnia, który wiecznie młody i coraz to nowemi krzywdami, jakby sokami się krzepiący, coraz nowe w świat wysyła gałęzie, coraz wyżej strzela koroną, szturmując nią niebiosa, coraz gęściej i na

szerszej przestrzeni rozsiewa ziarna swoje: smocze zęby z bajki, z których niebawem wyrasta zastęp bohaterów mścicieli.

Gdy na stropie ludzkości zabłysło słońce chrześcijaństwa, gdy zabrzmiało błogosławieństwo Chrystustowe dla tych, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, a cierpią za nią prześladowanie, rozstąpiły się mroki, jakie drzewo owo ponure rzucało na całą ziemię. Dotychczas znano tylko walkę i miecz, zemstę i bunt — Chrystus wskazał cierpienie i miłość. Nie mieczem, ale słowem Bożem gładzić chciał niesprawiedliwości społeczne i do miłości nakłonić. W czyścowym ogniu skruchy i cierpienia dusze oczyszczał i ku niebu wznosił, a urazy odpuszczać kazał.

Dlatego śmiesznem i pełnem ignorancyi wydać się musi twierdzenie o Chrystusie, jako pierwszym socyaliście.

Jeżeli chodzi o dyagnozę krzywd przez ludzi wyrządzanych i doznawanych, czyż mało o nich wzmianki i dowodów, że ich cierpiąca ludzkość była świadomą, choćby w starym testamencie? A jeśli chodzi o zachowanie się wobec krzywd, jakie zaleca Chrystus, a jakie głosi socyalizm, jaka ogromna między temi metodami różnica. Krzywd ludzkich nie potrzebował odkrywać Chrystus, dla ich uśmierzenia właśnie i naprawienia zstąpił na ziemię. A lekarstwo, jakie na nie zalecał, było tak zgoła różne od stosowanych przed Nim i po Nim, a na tak opornych trafiało wyznawców, że właśnie dlatego działać mogło tylko w owych czasach i kierunkach, w których było przyjmowane bezwzględnie i całem sercem.

Można się sprzeczać o to, która metoda jest lepszą, która trwalszą, która świetniejsze wydała wyniki i lepsze rokuje nadzieje na przyszłość, ale łączyć te dwa kierunki tak rozbieżne — dorabiać zaszczytną i blizko dwutysięczną genealogię socyalnej demokracyi, która nie dba przecie o rodowody i drzewa przodków — to znaczy zapoznawać prawdę naukową i piękny, ale nowomodny pałac bankiera stroić w portrety wrzekomych antenatów: starych rycerzy w zbrojach i pięknych kobiet w robronach. Trud niepotrzebny i śmieszny! Prawdziwy rodowód socyalizmu nowoczesnego jest inny zgoła.

Filozofia materyalistyczna XVIII wieku, zaprzeczając istnie-

niu Boga, podniosła wolność bezwzględną do godności zasady i odebrała grunt wszelkim więzom i przymusom etycznym. Równocześnie wynalezienie maszyny parowej stworzyło stany fabrykantów i zależnych robotników.

Ekonomiści, wierni synowie encyklopedystów, odkryli wieczne jakoby prawa obrotu, do których religia, etyka, prawo nie mają przystępu.

Miażdżące koło wyzysku przechodziło bezkarnie po milionach piersi i dłoni, a manczestryzm do tego pochodu Dżagernauta wygrywał melodye na temat wielkich a niezmiennych prawideł przyrody.

Więc nie tylko Chrystus nie był socyalistą, ale i socyalizm nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem. Jest on zapewne zdrową reakcyą przeciw doktrynom manczesterskim, ale tego zdrowego, etycznego pierwiastku najgłośniej sam się zapiera. Woli natomiast pokrewieństwo z klasyczną ekonomią i z materyalizmem, choć oneto właśnie wtrąciły miliony jego wyznawców w nędzę, choć na ekonomii klasycznej cięży krew setek milionów wyzyskiwanych, choć na tę nędzę nie byłby nigdy pozwolił Kościół, gdyby miał wówczas możność, sam prześladowany, ujęcia się za nieszczęsnymi.

Furnemont, Bebel, Vandervelde, de Paepe, Vollmar, Ferri i inni kierownicy ruchu socyalistycznego stwierdzają w ankiecie z r. 1902, ogłoszonej w *Mouvement socialiste* zgodnie, że socyalizm opiera się na materyalistycznym poglądzie na świat, a John Spargo, polemizując także z ks. Hagertsem, bez ogródek oświadcza, że nie życzy sobie wcale pomocy i przyjaźni Kościoła, woli jego nienawiść, a socyalizmu chrześcijańskiego wprost s i ę o b a w i a.

Ani materyalizm historyczny, ani zasada proletaryzacyi mas, ani hasło walki klasowej nie są zgodne z nauką chrześcijaństwa i to nie tylko tego chrześcijaństwa późniejszego, opartego na możliwie omylnych naukach ludzkich, ale nie jest też zgodne z pierwotną nauką ewangelii — stąd ta wielka i głęboka nienawiść przywódców socyalizmu do Kościoła, traktowanego przez nich w najlepszym razie jako przestarzała kategorya historyczna.

Wspólna sympatya dla wydziedziczonych nie wystarczyła

na pomost zgody wobec tak głębokich filozoficznych i społecznych, a poniekąd i etycznych różnic. Węzły krwi z klasyczną ekonomią, a przez nią z filozofią encyklopedystów okazały się silniejsze.

O władzę nad duszami, a z nią o przyszłość ziemi całej, dziś te dwie potęgi się spierają: chrześcijaństwo i socyalizm. Trzeba w tej walce duchów, rozdzielającej świat, stanąć po jednej stronie, bo wszystkie inne hasła należą już do rupieciarni historycznej.

Powiedział Kautsky w *Mouvement socialiste,* że Kościół trzymał stale z możnymi tego świata, zwłaszcza zaś nienawidził wszelkich usiłowań, wszczynanych w kierunku usunięcia wyzysku i różnic klasowych.

Ale zdanie to jest wręcz fałszywe. Wszak nie kto inny, tylko Kościół przekształcił cały ustrój społeczny w duchu ograniczenia praw monarchów i możnych; złagodził obyczaje, zniósł niewolnictwo, stworzył wolne miasta, wielkie ogniska cywilizacyi, a w nich potężne cechy opiekujące się słabszymi: czeladnikami i uczniami; chronił miasta przeciw cesarzom, uczył i ochraniał lud, w zakonach znosił własność prywatną i kazał przeciw możnym, lichwę a nawet procent potępiał, stawiając zasadę, iż cena wszelka powinna odpowiadać wewnętrznej wartości *(bonitas intrinseca)* towaru, a wynagrodzenie dorównywać istotnej wartości pracy najemnej.

Kościół pierwszy i jedyny wystąpił przeciw pojęciu własności prywatnej, uświęconemu przez prawo rzymskie i w jego miejsce postawił inne ciaśniejsze, ograniczone względami społecznego dobra, Kościół znosił prześladowania, tracił władzę i majątki, narażał się na konfiskaty, a zawsze stawał przeciw wyzyskowi i przeciw różnicom klasowym.

Nie możemy tu mówić o poszczególnych papieżach i biskupach, bo mowa jest o Kościele i jego nauce, o zasadach ewangelii, doktorów Kościoła, uczonych katolickich, o naukach soboru i papieży. Ze jednostki nawet liczne grzeszyły, że trzymały z możnymi tego świata, również mało dowodzi przeciw Kościołowi, jakby nie dowodziło nic przeciw d o k t r y n i e socyalizmu bo-

gactwo Bebla, sprzeniewierzenia funduszów partyjnych przez poszczególnych działaczy stronnictwa albo wyzysk robotników w socyalistycznej drukarni lipskiej.

Generalny komitet wykonawczy wszystkich katolików włoskich: *Opera dei congressi* z końcem 1902 r. ogłosił programową odezwę do ludu włoskiego, w której między innemi zadał sobie pytanie, dlaczego Kościół katolicki dzisiaj w szczególniejszej mierze zajmuje się ruchem społecznym. I na to pytanie odpowiada, że stało się to dlatego, że ruch, który dotąd ogarnął prawie niepodzielnie szerokie masy, jest ruchem wybitnie antychrześcijańskim, a wobec tego nowożytnego pogaństwa Kościół czuł się w obowiązku wystąpić do walki.

Tkwi w tem wyznaniu i lękliwe trzymanie się granic kultu religijnego, którego liberalizm zawsze się domagał, piętnując wszelkie usiłowanie wprowadzenia w czyn życie codzienne etycznych zasad Kościoła mianem klerykalizmu, ultramontanizmu, wojującego Kościoła — i pamięć o słowach Chrystusa, który głosił, że królestwo Jego nie jest z tego świata i pogarda dla dóbr doczesnych, którą nakazywał Kościół, nie zawsze słuchany przez swych wyznawców — ale jest w niem i przyznanie obojętności dla najszczytniejszych haseł ewangelii, obojętności wywołanej suggestyą o niezmienności i »świętości« wielkich praw ekonomicznych, której urokowi i duchowieństwo, nie znające częstokroć życia, chowane w świecie dogmatów i mistyki nadziemskiej, ulegało czas długi. Fakt jednak, że otrząsnęło się z tych wpływów i wierne wielkiej tradycyi Kościoła, stanęło wszędzie na czele postępu, a nie poprzestając na negatywnej walce z socyalizmem, poczęto w Niemczech, Belgii, Anglii i Włoszech domagać się stanowczych reform w obronie klas upośledzonych — naprawił ów błąd zaniedbania.

I oto walka w pierwszym szeregu kierunku rozwiązania kwestyi socyalnej w duchu sprawiedliwości dla wszystkich, to dziś najpierwsze zadanie Kościoła w całym świecie.

Przeciwko obłudzie codziennej i wszelkim konwenansom, przeciw chęci użycia, przeciw pięknej frazeologii niezgodnej z czy-

nami, przeciw masowym mordom, wojnami zwanym, przeciw intryganckiej i kłamliwej dyplomacyi, przeciw wszelkim ustawą karną niezabronionym, a jednak nieuczciwym praktykom giełdowym i bankierskim, przeciw wyzyskowi wogóle w jakiejbądź formie, a za oparciem życia społecznego na zaufaniu i prawdzie, Kościół katolicki potężny głos zabrać powinien. Niema kwestyi w dziedzinie prawa prywatnego, karnego, politycznego, międzynarodowego, ekonomii społecznej, którejby przy pomocy odwiecznych zasad religii naszej nie możnaby rozwiązać zgodnie z sumieniem, dobrem ogółu i postępem ludzkości.

Czyżby istniały rozliczne krzywdy, wynikające z nierówności społecznej, brak opieki na wypadek starości lub niezdolności do pracy, wyzysk na każdem polu, nawet dotąd tolerowany lub opatrzony sankcyą ustawy; czyżby istniała nędza chłopska, która co rok z ziem polskich wysyła 80.000 ludzi do Ameryki, a dwoma z górą milionami zaludniła już na stałe tę część świata; czyżby istniało wywożenie i sprzedawanie dziesiątków tysięcy kobiet z Polski do Konstantynopola, Aleksandryi lub Buenos-Ayres, g d y b y ś m y b y l i n a r o d e m n a p r a w d ę w i e r z ą c y m?

Wielu z tych zbrodni nie dopuszczają się katolicy, to prawda, ale im nie przeszkadzają dostatecznie, nie chronią ofiar, są zaniedbani i obojętni.

Nielogicznem, niekonsekwentnem, a przytem wprost ohydnem i cywilizacyi naszej niegodnem jest subtelne odróżnienie prawa prywatnego od publicznego. Zasadom etyki i moralności przyznaje się sankcyę w prawie prywatnem, ale odmawia się im wstępu do prawa narodów. Tej haniebnej doktrynie położyć mogła kres teorya Napoleona III-go o prawie narodów stanowienia samych o sobie, ale do wywalczenia tej idei prawa bytu, trzeba było innego człowieka, a nie słabego i samolubnego jej głosiciela. Teorya ta nie uzyskała uznania państw zaborczych, a dzięki temu jesteśmy dotąd w niewoli.

I póki prawdy Chrystusowe nie przeniknią z książek do przekonań i działań ministrów i dyplomatów, póki szlachetny idealizm Adamów Czartoryskich i Gladstonów nie wyprze kramarskiej ostrożności i kupieckiego rachunku, póki narody całe nie

zrozumieją, że ich potęga i wielkość nie na obszarze posiadanej ziemi i milionach ujarzmionych obywateli, ale na dobru i szczęściu d o b r o w o l n y c h poddanych zależy, na dobru nie tylko ekonomicznem, umysłowem, ale także na spokoju dusz, na czystości sumień, póty chyba od szczęśliwego przypadku, a nie od naturalnej ewolucyi dziejowej spodziewać się możem odzyskania niepodległości.

Ale nie wyglądając pomocy li z zewnątrz, musimy sami na tę wielką sposobić się chwilę.

W pierwszym rzędzie winniśmy więc dźwignąć moralność w naszym kraju[1], ona bowiem stanowi niespożytą siłę i jest dźwignią rozwoju umysłowego i materyalnego narodów. Gdyby nawet moralność niezależna nie była mrzonką, to i tak dla szerokich warstw — wedle przyznania własnych jej zwolenników — byłaby nieprzystępną. Indyfferentyzm religijny, tak w naszym pozornie katolickim kraju rozpowszechniony, prowadzić musi do niemoralności i zaniku sił; w wierze natomiast głębokiej i przenikającej każdy krok nasz i każde działanie, w wierze bez której żadne wielkie dzieło nie powstało na świecie, i dla naszego narodu źródło lepszej przyszłości.

Reformę etyczną zaczynając od siebie, musimy stać się sprawiedliwymi, to znaczy: z jednej strony rezygnować z wszelkich przywilejów, jeśli już nie dla samej zasady, to choćby dla przywiązania wszystkich warstw do ustroju społecznego i zyskania w nich sojuszników w obronie ideałów narodowych, z drugiej zaś strony nie pobłażać występkom, lecz energicznie i konsekwentnie je zwalczać. Musimy pogłębić poszanowanie prawa szerokich warstw, ale i praw, służących szerokim warstwom i w tym kierunku naród uświadomić.

Musimy obudzić śpiącą opinię publiczną przez nagradzanie zasługi choćby niepopularnej, a odpychanie od publicznych stanowisk choćby najgładszych awanturników i pustych głów. Uczciwa, ku górze i ku dołowi niezależna, prawdziwie katolicka opi-

[1] Myśli w tym i kilku dalszych ustępach wyrażone, powtarzam za moją rozprawą bezimiennie wydaną p. t. »Historya i polityka«. Próba programu. Lwów 1902.

nia zachęci do pracy publicznej, od której dziś szlachetniejsze żywioły się odstręczają, potwarczej prasie odbierze resztę wpływu, a wydobędzie na jaw niejedną prawdę, która dziś drzemie na dnie duszy narodu.

Musimy wogóle uczynić wszystko i żadnego godziwego nie zaniechać środka, aby ogół uczynić silnym, zdrowym i zamożnym. Kto nie umie bogactwa narodowego we własnej utrzymać dłoni, ustępując miejsca obcym żywiołom na własnej ziemi, jest mimowolnym aliantem naszych wrogów. Jeśli chcemy w nierównej walce, przeciw nam toczonej nie zginąć, musimy nie dorównywać, ale znacznie przewyższać siłą, energią i wytrwałością narody zaborcze. Nasz instynkt samozachowawczy żąda od nas dalszego przystosowania się do zmienionej fizyognomii świata. Z narodu rycerskiego, nieopatrznego i marzycielskiego musimy przekształcić się w naród przemysłowy, oszczędny, praktyczny i kochający naukę. Niema większej rozkoszy, jak czuć się panem w życiu codziennem, prawdziwem, niema większego upokorzenia, jak wyręczać się w niem na każdym kroku cudzą pomocą. A geniusz narodu, który dał nam największych bojowników i największych artystów, w tej nowej walce zewnętrznej, jaka już tu i ówdzie się zaczęła, sił nam doda i na nowe popchnie nas tory.

Jednak zwrot ten do cyrkla i wagi nie powinien być zwrotem do materyalizmu. Każdy poryw szlachetny, każdą myśl wielką, każde uczciwe dążenie popierać winniśmy. Naprzód z przykazania Bożego, a powtóre z własnego interesu. Bo człowiek szlachetny jest czysty — a czysty ma więcej sił do walki, łatwiej znosi przeciwności życiowe, łatwiej opiera się pokusom, tem samem staje się odporniejszym i twardszym wobec prób wynarodowienia. Chlubę nam przyniosły śluby Jana Kazimierza, odsiecz Wiednia, konstytucya trzeciego maja, natomiast udział nasz w wojnach Napoleońskich na wszystkich polach bitew, krew przelana przeciw Hiszpanom i Niemcom, broniącym słusznej sprawy niepodległości własnego narodu, błogosławieństwa Bożego nam nie przysporzyła.

W czem zaś podnieta do wielkich dzieł, w czem zachęta wymowniejsza do wytrwania, jeśli nie w głębokiej wierze, w czem puklerz jedyny, w czem pewniejsza rękojmia odzyskania Polski,

jeśli nie w zapowiedzi Chrystusowej o zwycięstwie sprawiedliwości?

Niezależnie od tego pożądania wszystkich serc i pragnienia wszelkich dusz polskich, katolicyzm wszędzie, a tem samem i u nas ma w dziedzinie całego życia ogromne zadanie do spełnienia. Położyć kres rozprzężeniu obyczajów, objawionemu w życiu i sztuce, zaprotestować przeciw egoistycznym ideałom przez usunięcie własnego ja na plan ostatni, a wskazanie celów publicznego dobra, przez naukę cierpliwości i wytrwałości, to znaczy podnieść odporność ludzką, powiększyć szanse postępu i rozwoju sztuk i nauk, które nie kwitną nigdy w samolubnem, płytkiem i niemoralnem społeczeństwie, a dla których tryumfu wedle słów Göthego potrzeba epoki prawdziwej i głębokiej wiary.

Chcąc społeczeństwu swemu wskazać konkretnie najbliższe w duchu katolickim zadania, chcąc do postępu w duchu katolickim, do odżycia katolickiej myśli w społeczeństwie naszem rzetelnie się przyczynić, należałoby jak sądzę, po nadejściu odpowiedzi zwołać konferencyę wszystkich chętnych i na niej po przedstawieniu sumarycznego referatu, zawierającego konkretne wnioski na najbliższą dobę, podzielić się olbrzymim materyałem, przekazać poszczególnym referentom po cząstce zadania — a ułożone tą drogą monografie, wówczas już wyczerpujące daną kwestyę, uczynić punktami wyjścia do świadomej celu, duchem wiecznej prawdy przejętej, a na znajomości potrzeb społeczeństwa zbudowanej akcyi katolickiej.

Spełnienia tego programu, a z nim lepszej przyszłości dla narodu z serca życzę.

Dr. Leopold Caro.

Ucieszyłem się szczerze, gdy od redakcyi *Przeglądu Powszechnego* otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w ankiecie, dotyczącej dezyderatów katolicyzmu w dziedzinach życia społecznego. Poruszę więc na tem miejscu sprawę mnie najbliższą, stosunku Kościoła do nowożytnej sztuki. Kwestya to niepoślednia,

doniosłego znaczenia, u nas prawie, że poważnie nigdy nie dyskutowana. I dlatego właśnie, że tyle ważna sprawa nie bywa tkniętą, zwiększa się nieporozumienie między artystyczną podażą a popytem. W dalszej konsekwencyi swojej nieporozumienie wywołuje dyssonans między duchowieństwem, ludem pobożnych a artystami, tudzież wpływa ono na obniżenie artystycznego poziomu sztuki religijnej.

Jasne i zrozumiałe określenie, czego Kościół, względnie społeczeństwo katolickie, może i chce żądać od artystów już do połowy załatwia i rozwiązuje kwestyę. Zwróceni zatem naprzód do artystów mówimy krótko: żądamy w waszych utworach n a s t r o j u r e l i g i j n e g o. Żądamy przejęcia się celem, zaparcia się na chwilę własnej filozofii, a zrozumienia i wniknięcia w potrzeby dusz tysiąca. Zatrzymując wasze środki artystyczne, jakimi rozporządzacie w bieżącej chwili nie obrażajcie tradycyi i wiary katolickiej w swych dziełach, dajcie nam to, czego łakną tysiące, nie tylko nagi świat formy, ale uduchowniony świat piękna, jaki dusza chrześcijańska wyśniła przez wieki.

N a s t r ó j r e l i g i j n y budzi się wtedy w sercach ludzkich, gdy ich otoczenie oraz warunki moralne i materyalne podnoszą ducha z ziemskich poziomów ku sferom duchowym rozkoszy i ukojenia.

W obliczu majestatu natury, na szczytach wielkich gór, w puszczy leśnej, podczas piorunnej wichury lub na bezbrzeżnych falach oceanu korzy się umysł ludzki, czołem bije przed potęgą Stwórcy, czuje się maluczkim. W sercu woła wtedy odzew ku niebios sklepieniu o miłosierdzie, o łaskę Bożą i płynie hymn podziwu i czci, a natura człowiecza zda się szlachetnieje w chwili takiej i wypełnia ją pragnienie dobra.

Sztuki plastyczne w służbie kościelnej spełnić mają cel podobny: skłonić umysł do podniesienia oczu duszy ku wiecznym ideałom ludzkości, ku Bogu, oderwać go od rzeczy doczesnych, wśród których wiedzie żywot. To jest właśnie nastrój religijny, podobny jak na tle wielkich zjawisk natury, tych najzrozumialszych wyrazów potęgi Boga. Powołaniem więc szczytnem artysty, jego posłannictwem byłoby odkrycie piękna w otaczającem go

świecie i ukazanie go oku ludzkiemu. W tem zaś wzniosłem pięknie spotkać się winny boskość z pierwiastkiem ludzkim, pierwsza z nich jako źródło i pierwowzór, drugie współczynne w jego odtworzeniu. Objawienie ideału to niesłychanie trudne zadanie prawdziwego artysty religijnego [1]. Tak idealnie pojętemu zadaniu może sprostać tylko umysł wyższy i przejęty wielką misyą.

Niedoścignionym wzorem był tutaj Fra Angelico da Fiesole, malarz, dla którego bezinteresownie wykonywana sztuka była »wyrazem aktu wiary, nadziei i miłości«. Zatopiony w modłach malował swe arcydzieła. Dusza jego przejęta była w chwili tworzenia tak silnie tematem, że odtwarzając np. na desce obrazu mękę Zbawiciela, cierpiał z nim razem i łzami spółczucia się zalewał. Ale to był artysta święty i takiej miary uduchownienia artysty nowoczesnego trudno się spodziewać, natomiast możemy i na dzisiejszego artystę liczyć, że umiłuje temat religijny i przejmie się jego zadaniem. W stosunku swoim do Kościoła musi jednak artysta porzucić na chwilę tworzenia hasło nowożytne »sztuka dla sztuki«, to warunek nieodzowny, i zastąpić go hasłem »sztuka dla Kościoła«. Nie chcę, broń Boże, przeto powiedzieć, by sztuka, ta »wolna córa ducha« miała się stać niewolnicą formy. Niechaj jak w malarstwie historycznem łączy pierwiastki piękna i prawdy, ale prawdy, jak ją głosi od wieków Kościół katolicki, a nie jego nieprzyjaciele. Idea chrześcijańska musi w nich płonąć jasnym płomieniem.

W ramach dogmatów wiary katolickiej pozostawmy zupełną swobodę fantazyi artystycznej, a dając jej równocześnie poparcie, możemy spokojnie czekać nowego rozkwitu sztuki chrześcijańskiej. Przestrzedz atoli należy artystów przed drogą skrajnego realizmu. Świat pojęć religijnych z jego niezwykłem bogactwem symboliki nie może się z natury rzeczy opierać w pierwszym rzędzie na wyłącznie materyalnem go ujęciu. Nie, to najszczytniejszy idealizm, marzenie na jawie w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, skupiającem w sercu ludzkiem najpiękniejsze porywy i uniesienia. Jeżeli przeto artysta malując postać Boga

[1] Por. J. Sörensen. *Die Malerei* p. 112 i i.

Ojca, odtwarza z całym realizmem po mistrzowsku pierwszego z brzegu pracownianego modela o typie gminnym i narzuciwszy mu na barki dekoracyjny płaszcz królewski nazywa ten obraz przedstawieniem Boga Ojca, to dalibóg nie wywiązał się z zadania stawianego mu przez Kościół. Malował on to studyum dla siebie, nie myśląc o temacie. Wówczas ze stanowiska sztuki chrześcijańskiej orzec musimy, że artyście brakło skrzydeł do lotu i nie zrozumiał swego posłannictwa. Miał on pamiętać nie tylko na słowa: »że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo Swoje«, ale również i to przedewszystkiem, że »królestwo Jego nie jest z tego świata«. Wobec czego winien był proroczem natchnieniem tworzyć wizyę, tchnąć w oblicze wielką miłość czy potęgę, ale nie prostaczymi kształtami wywoływać niesmak. Stokroć razy zrobi artysta w tym przypadku lepiej, gdy podobnie jak Rafael w »Loggiach« lub w wizyi Ezechiela, albotež (pozwalając sobie na skok olbrzymi) jak Wyspiański w oknach franciszkańskich, zapożyczy typ Ojca Przedwiecznego z Sykstyny, z genialnego dzieła Michała Anioła, które stało się »kanonem dla całego chrześcijańskiego malarstwa«. Arcydzieła sztuki chrześcijańskiej nie powstawały nigdy za dyktatem fundatora czy zamawiającego, ani też nie wyszły z pracowni podrzędnych artystów. Najwięksi malarze sterowali aż po nasze czasy tą nawą, która szybko kieruje obecnie ku mieliznom. Z zamówieniami dla Kościoła zwraca się obecnie społeczeństwo do artystów, którym braknie odpowiedniej kultury, artystów niewyposażonych w znajomości środków artystycznych i powstają albo kopije cudzych pomysłów, albo też szpetne »kruty«, które nie są w stanie podnieść ducha, lecz ściągają go na ziemski padoł. To zarzut, który z naciskiem podnosimy. Tymczasem dodajmy, iż nie idzie zatem, by bardzo światłe jednostki duchowieństwa, względnie fundatorów nie mogły wywierać wpływu na temat i rodzaj twórczości artystycznej. Wszak widzimy, że w średniowiecznej Kolonii, gdy zakon kaznodziejski siłą wymowy i przekonania porwał za sobą tłumy pobożnych, wprzągł tem samem w zwycięski prąd idealistyczny twórczość malarską i dał impuls do powstania szkoły kolońskiej, której dzieła należą do najpiękniejszych i najpodnio-

ślejszych sztuki religijnej. Wpływ ten skoro rzuci się do walki z indywidualizmem artysty, z jego środkami artystycznymi wydać może fatalne owoce. Nie dalej szukać jak u nas w Polsce, gdzie systematycznie indywidualność artystyczna była gniecioną silniejszym pierwiastkiem szlacheckim, gdzie podpis artysty należy do rzadkości, a forma dyktowaną wzorami zagranicznymi, dorobek wieków sztuki rodzimej okazuje się nieproporcyonalnie mały. Sztuka nie zdołała się tedy aż do XIX w. unarodowić, nie wydobyła się z obcych powijaków, ani mogła stać się samodzielną. Jak każdy naród, tak i polski ma swój język, swoją ziemię, swój obyczaj, kostyum, sposób myślenia i swoje tradycye. One popowinny były oddziałać i przejawić się w sztuce. Tymczasem w Polsce prócz nielicznych wyjątków stało się inaczej. Wewnątrz Kościoła zamiast starej polszczyzny, wszechwładnie zapanowała zamarła łacina, przystępna tylko dla warstwy wykształconych humanitarnie mężczyzn, nieprzystępna dla szerokich warstw społeczeństwa. Z małymi wyjątkami pomniki sztuki średniowiecznej, renesansu, baroka, okryły się klasyczną łaciną lub niemczyzną, okrywają się bez przerwy i dzisiaj — i stanął mur graniczny między umysłem maluczkich, a jednej warstwy wykształconych. Czemuż więc budować dalej ten wał ochronny tam, gdzieśmy wszyscy równi, gdzie mają się łączyć i rozumieć wszystkich serca. Między Kościołem a polskością wzmocni się przez uprawnienie języka silnie zadzierżgnięty serdeczny węzeł myśli i harmonii.

W naszych dawnych pomnikach malarstwa i rzeźby (z wyjątkiem nagrobków) przeważa strój i krajobraz niemiecki lub włoski. Dopiero w bieżących latach zjawia się za przykładem Niemca Uhdego i innych zagranicznych sukmana chłopska, kontusz szlachecki, lub inny strój narodowy i wieś polska. Jest to zupełnie zastosowanie trafne, o ile się odnosi do świętych polskich lub tematów symbolicznych jak w polichromii Włodzimierza Tetmajera w kaplicy św. Zofii na Wawelu. Natomiast nie mogę się godzić na przeniesienie scen biblijnych na krakowską ziemię. Taki sposób przedstawienia sceny religijnej mógł istnieć, przemawiać obrazowo i wymownie, gdy z jednej strony archeologia chrześcijańska nie była znaną, a z drugiej strony ciemny

i nieokrzesany lud analfabetów dawnej Polski najlepiej pojmował scenę religijną na tle współczesnem.

Dla dzisiejszej kultury toć to przecież anachronizm. Każdy chłop czy mieszczanin wie dziś dokładnie, że Betleem czy Jeruzalem nie leży w Galicyi lub w Poznańskiem, wie, że lud Izraela nie chodził w jego guni lub sukmanie. Znajomość historyi biblijnej i powszechnej zeszła już pod strzechę, więc sztuczne analogie nie przenoszą nas bezpośrednio do ziemi ludzkiego Zbawienia, ale przykuwają do rodzinnej wioski, co nie było chyba zadaniem obrazu religijnego. Dla mnie pozostanie to próbą nieszczerego rozsadnika obcej idei, nie zaś potrzebą Kościoła katolickiego w Polsce.

Do uprawiania sztuki religijnej przez wybitnych artystów braknie im, jak się powszechnie, słusznie czy niesłusznie żalą, poparcia duchowieństwa. Powiadają oni (prowadziłem w tym względzie umyślną kwerendę), że duchowieństwo narzuca im wprost formę, którą oni odrzucają, że każe im być nieszczerymi. Byłoby to, jeżeli tak jest, żądaniem hipokryzyi, powtórzeniem się starej wady, która była jedną z przyczyn braku sztuki narodowej. Jak twierdzą, popierając to przykładami, narzuca się im wyraźnie nie już sposób rozwiązania tematu, ale nawet zewnętrzny kształt i przepisuje jak mają wyglądać oczy lub jaka ma być poza każdej z przedstawionych postaci. Takie stawianie kwestyi niegodne jest poważnej sztuki kościelnej. To byłoby malarstwo etykiet jak na kawę ks. Kneippa lub czekoladę Van Houtten, a nie dzieła głębszej natchnionej treści, nie potrzebą serca. Faktem jest, że stanowisko malarza lub rzeźbiarza religijnego socyalnie doznało niezwykłego u nas w ostatnich czasach obniżenia. Na malarza religijnego patrzy się z rodzajem politowania, jak na głodomora. Sztukę kościelną wykonują pierwszorzędni artyści u nas tylko wyjątkowo, przedewszystkiem zajmują się nią biedacy, nie mający skądinąd zarobku, wypełniający wielkie płótna. Za ich tanie a wielkie malunki oblicza się wynagrodzenie według metrów kwadratowych, nie według wewnętrznej wartości. Są to kopiści cudzych pomysłów, którzy za tę cenę sprzedają swoje credo artystyczne. Powiedzmyż sobie teraz ostatecznie bez ogródek: my

nie mamy mecenasów sztuki kościelnej, a ogół nie rozumie jej znaczenia i doniosłości. Znam zdarzenia, w których zamawiający nasz domorosły *quasi* Medyceusz przynosi artyście fotografie i każe mu dokonać dzieła sztuki, w którem nogi miały być robione według wzorów w Siennie, a ręce według skulptury w Lucce. Gdzieindziej artysta tworzy prawdziwie wspaniałe dzieło, gdy jest na ukończeniu fundatorowi niepodoba się pojęcie figury świętej; bez ceregieli wynajduje więc innego biedaka artystę, łaknącego chleba i ten dokończa cudze dzieło, robi według jego recepty postać nową i rodzi się brzydota. Takich i tym podobnych przypadków mamy setki.

Cinnabue, jak opowiada Dante, tak był niedostępny dla niepowołanej krytyki, iż lada wytknięciem unosił się i niszczył swe dzieło. A przecież choć sam sobą pozostał, szedł świeżą drogą, porywał widzów. Gdy wykończył obraz Madonny do S. Maria Nowella właśnie dlatego, że nie widziano nic podobnego, wywołał taki entuzyazm, że lud florencki pełen uniesienia i radości, przeprowadził obraz uroczyście z pracowni artysty do kościoła. Był to tryumf samodzielnej sztuki kościelnej.

Wreszcie ze strony wybitnych artystów owianych najlepszą chęcią, troską szczerą o podniesienie sztuki religijnej w Polsce spotykam się z nadzwyczaj doniosłym dezyderatem utworzenia w naszej Akademii Sztuk pięknych, oddziału malarstwa religijnego. Nie istnieje on, bo obywają się bez niego inne akademie, bo wobec lekceważącego prądu dla stanowiska malarza religijnego nie odczuwa się jego potrzeby. Ma on tu jednak swoje uprawnienie, podobnie jak oddziały malarstwa historycznego, pejzażowego lub rodzajowego. Bardzo trafnie zauważył Jan Sörensen przy określeniu malarstwa religijnego, że jest ono ściśle historycznem, zatem wymaga studyów, osobnego przygotowania, a dalej, iż żaden z rodzajów malarstwa nie jest tak przez wszystkie ludy i czasy kultywowany jak religijny. Wobec największego zapotrzebowania sztuki religijnej zdawałoby się, że jej przedewszystkiem należałoby się akademickie stanowisko, tymczasem ta najdostojniejsza gałąź sztuki jest kopciuszkiem tutaj zapomnianym.

Młodemu pokoleniu braknie stanowczo należytego przygotowania do spełnienia szczytnej misyi. Tyle ważne przedmioty jak historya kościoła, ikonografia i archeologia chrześcijańska powinny mieć tutaj swoje katedry. Gdy ich niema, jakżeż wymagać od artysty namalowania dla katolickiego kościoła obrazu treści biblijnej, skomponowania sprzętu kościelnego lub wyrzeźbienia sceny z historyi Nowego Zakonu, kiedy rzecz ta dla niego nieznana i duch tradycyi kościelnej obcy. Aby dojść do praktycznego rozwiązania tej kwestyi, apelujemy najprzód do społeczeństwa, aby tylko dziełami prawdziwej wartości artystycznej zdobiło przybytki Boże, następnie zwracamy się do naszych posłów, aby rzecz wzięli gorąco do serca i domagali się od rządu dotacyi na utworzenie w Akademii Sztuk pięknych oddziału malarstwa religijnego.

Leonard Lepszy.

Mam to przekonanie, że w obecnych tak zmateryalizowanych czasach praca w Kościele nie wystarcza, i że ci, którzy pragną rozwoju katolicyzmu, wejść winni w życie praktyczne i w niem brać żywy udział. Szerokie masy ludzi, których już nie można zadowolić prawieniem o szczęściu pozagrobowem, bo ich inni przyrzeczeniami realnych korzyści mamią i ku sobie pociągają, niech widzą, że ci, którzy o ich życie pozagrobowe dbają, nie lekceważą ich potrzeb życia doczesnego, ale starają się im ulżyć i pomagać w trudnej dziś walce o byt. To jedyny dziś sposób zyskania zaufania mas, które wówczas chętniej słuchać będą o szczęśliwości wiecznej, o tem, że szczęście i powodzenie doczesne jednostki (mego ja) nie jest i być nie powinno celem życia, że każdy pamiętać winien nie tylko o swych prawach, ale i o swych obowiązkach względem bliźnich i Boga. Więc praca w Kościele przedewszystkiem, — ale poza Kościołem bardzo wytrwała i bardzo rozsądnie prowadzona praca we wszystkich kierunkach życia praktycznego.

Szerokie masy dają się prowadzić żydom, wielkie koła inte-

ligencyi żenują się w pewnej mierze wyznawstwa katolicyzmu, by ich za wsteczników i zacofańców nie poczytywano. Niema u bardzo wielu katolików tego poczucia godności, zadowolenia i pewnego rodzaju dumy, że się jest katolikiem. To konieczne! I w tym kierunku szerokie pole działania słowem i piórem.

Młodzież traci bardzo często wiarę w szkołach — a wina leży nie tylko w braku przykładu dobrego i w gorszącem postępowaniu niektórych niedowiarków nauczycieli, ale — zdaniem mojem — w wyższej mierze w niewłaściwie prowadzonej nauce religii. Tu zmiany w systemie nauki konieczne.

W końcu słowo o księżach, od których niemal wszystko zależy. W czasach dzisiejszych każdy czuć się winien misyonarzem i oddać się pracy swej z zapałem i abnegacyą misyonarza.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Każdy sukces i siła imponuje i przyciąga ku sobie, — upadek budzi litość i lekceważenie; więc ostrożnie z zawiązywaniem katolickich stowarzyszeń, katolickich towarzystw wszelkiego rodzaju, — ale skoro są, to poruszać niebo i ziemię, aby prosperowały. Pokora, skromność i t. p. cnoty są dobre — ale tylko w życiu jednostki!

Dr. Henryk Jordan.

»Jakie zadania ma do spełnienia katolicyzm w życiu publicznem specyalnie naszego kraju i w obecnej dobie?«

Odpowiem krótko.

W s z y s t k i m o r g a n i z a c y o m z a s a d n i c z e j n i e n a w i ś c i i w a l k i k l a s o w e j, p r z e c i w s t a w i ć o r g a n i z a c y e s p o ł e c z n e g o p o s t ę p u w i m i ę c h r z e ś c i j a ń s k i e j m i ł o ś c i.

Ogromna większość społeczeństwa naszego tak u Polaków jak u Rusinów jest szczerze katolicką; ale jednostka stoi bezbronna wobec despotyzmu a teraz już terroru skrajnych partyi nienawiści — i albo, przy słabem wogóle u nas uświadomieniu przekonań i zasad życia publicznego ta jednostka nie przypu-

szczając, że się tem może zasadom katolickim sprzeniewierzyć — takiej zorganizowanej sile się poddaje często z bojaźni, często z wrodzonego dla każdej siły szacunku, albo też od życia publicznego zupełnie się usuwa.

Te wszystkie atomy pod sztandarem katolickiej demokracyi zszeregować i nie ustawać w pracy, póki miliony ludności miejskiej i wiejskiej nie będą objęte taką organizacyą — oto co katolicyzm teraz zrobić musi, jeżeli nasz kraj nie ma stać się pastwą socyalizmu i sprzymierzonego z nim na Wschodzie radykalizmu ruskiego.

Nie nowa myśl i nie nowe hasło, ale w chwili obecnej bardziej jeszcze może aktualne i konieczne, niż kiedykolwiek.

Akcya ta katolicka powinna być zgodna i o ile możności wspólna tak w społeczeństwie polskiem jak ruskiem, a torować tem mogłaby także drogę — da Bóg do przyszłego porozumienia się politycznego i narodowego obu tych szczepów. Oby rozbujały nacyonalizm lub brak tolerancyi wzajemnej, z którejkolwiekbądź strony nie przeszkadzał możliwej jedności tej akcyi — bo *tertius gaudens* z rozdwojenia się jej i braku porozumienia byłby tylko socyalizm i anarchizm.

Jeżeli dotąd próby zorganizowania wielkiego stronnictwa demokracyi chrześcijańskiej nie powiodły się w takiej mierze, jakby to sobie należało życzyć — niech pracownicy na tej niwie nie tracą ducha, już niebawem czem raz liczniejsi ochotnicy pod ich sztandary zapisywać się będą.

Kaźmierz Szeptycki.

Allez de l'avant sur la route du progrés. portant d'une main le code des veritès Chretiennes, l'Evangile du Christ et de l'autre la constitutions des Etats Unis.
Mgr. Satolli cytowane przez mgr. Irelanda.

Działalność Kościoła katolickiego tak szerokie obejmuje dziedziny, Kościół katolicki tak głęboki wpływ może wywrzeć przez swoją etykę na jednostkę i całe społeczeństwo, że wskutek tego

pytanie, będące przedmiotem ankiety, staje się trudnem. Ułatwić je można jedynie, wydzielając z pośród całej masy zagadnień poszczególne i starając się na nie, w miarę sił, odpowiedzieć. Zyskuje na tego rodzaju metodzie odpowiedź na stawione pytanie, gdyż z ogólników przechodzi się w dziedzinę bliżej stojących faktów i codziennych doświadczeń, od których uzdrowienia należy zacząć każdą reformę. Ograniczę się więc do naszkicowania kilku uwag w sprawie działalności Kościoła na ruch robotniczy.

A naprzód ogólna uwaga. W całej tej sprawie mniej różnic zdań co do ostatecznego celu, którym bądź co bądź jest polepszenie i to znaczne tylu warstw robotniczych, jak co do środków i metod bezpośrednich działania.

Gdy jednak raz tej kwestyi dotknąć w szczegółach, piętrzą się trudności, uwidoczniają różnice zdań, namiętności wchodzą w grę. W teoryi powstaje chaos, w praktyce walka nie przebierająca w środkach.

Tu, zdaje mi się, winna się zacząć działalność Kościoła. Lecz jaka ku temu droga? Kwestya robotnicza jest stosunkiem społecznym, stosunkiem robotników do innych warstw społecznych. Stąd też trudności kwestyi nie leżą bynajmniej tylko w warstwach robotniczych. Stosunek ten społeczny nie jest nadto czemś stałem, gdyż ostateczny wyraz równania z każdą chwilą się zmienia pod wpływem czynników materyalnych, jakim jest postęp techniczny a w ślad za nim zmieniające się wymogi życia materyalnego jednostki — pod wpływem czynników etycznych, jakim jest postęp jednostki, w miarę szerzącej się oświaty i coraz dalej sięgającego ideału życiowego. Jeżeli nadmienię oddziaływanie potrzeb i dążeń pojedynczych grup społecznych na inne grupy, niestałość tego stosunku stanie się jeszcze plastyczniejszą.

W tych warunkach jasnem jest, że nauka Kościoła zwrócić się winna do wszystkich grup społecznych stanowiących elementa stosunku społecznego. Nawoływania skierowane jedynie ku jednej grupie byłyby bezowocnemi i bezowocnem byłoby dążenie do utrzymania stałości tego stosunku, skoro istotą jego jest zmienność i wzajemne oddziaływanie elementów — jednem słowem ciągła ewolucya.

Zmienność ta uwidocznia się w ciągłej przemianie instytucyi społecznych, w ciągłem rozszerzaniu stanu posiadania jednych na rzecz drugich. Kościół więc licząc się z tą zmiennością nie może stać na straży tej lub owej instytucyi.

Zadanie katolicyzmu, jako czynnika pojednania, sięga bardzo daleko, skoro się zważy, iż na gruncie etyki i Kościół może się zwrócić ku klasom oświeceńszym i wskazać im nową drogę w zbliżeniu się jednych do drugich. W tym kierunku Kościół z natury swojej, będąc instytucyą wolną, nie przymusową, w formie dobrej rady może niejako torować drogę, zwłaszcza w społeczeństwie polskiem, które zasadniczo nie stanęło wrogo wobec religii. Jeśli uwzględni się ewolucyę doktryny społeczno-chrześcijańskiej zainicyowaną przez encykliki Leona XIII, sprawa na pozór wyda się niezbyt trudną.

Zadanie to na pozór tak łatwe, w praktyce niemałe przedstawia trudności, leżące nie tylko w społeczeństwie, ale także w organach Kościoła. Część społeczeństwa naszego przyzwyczaiła się widzieć w Kościele instytucyę arcykonserwatywną i niechętnie słucha głosów nawołujących do reform społecznych. Widzi ono w Kościele strażnicę tych instytucyi, które zapewniają utrzymanie danego stanu posiadania na rzecz klas uprzywilejowanych, głosząc wyraźnie, iż zerwanie z tą tradycyą, jest zerwaniem z istotą zadań Kościoła. Wobec tego stanowiska organów kościelnych, połączonych zresztą bardzo ściśle z tą częścią społeczeństwa, była dotąd chwiejna, unikająca wyciągnięcia ostatecznej konsekwencyi z zastosowania zasady współpracy społecznej, podziału wpływu i zrównania uprawnień. Opierając się głównie na klasach posiadających, nie mógł Kościół wprost im wypowiedzieć wojny i zerwać tego sojuszu, który polegał głównie i na nieporozumieniu co do zadań Kościoła.

Trudność polegająca w organach Kościoła streszcza się do tego, że Kościół do przedsięwzięcia omawianego zadania i do wskazania nowych dróg potrzebuje całego zastępu ludzi obeznanych ze sprawami robotniczemi, umiejących traktować je z objektywnego stanowiska, na podstawie studyów uwzględniających w jak najszerszej mierze wysiłki badań naukowych i ogólnych

dążeń postępu społecznego. Tego, jak dotąd, u nas brak. Inicyowane na gruncie naszym (specyalnie krakowskim) t. z. roboty społeczne, katolickie, grzeszyły zawsze dotąd tym brakiem skupienia ludzi przejętych ideałem społecznym, ludzi stojących poza hierarchią kościelną, na których barkach winno opierać się całe zadanie, grzeszyło nieznajomością sprawy i niechęcią uwzględnienia tego, co stanowi istotę kwestyi robotniczej.

Ktokolwiek chce pracować dla świata robotniczego, musi z góry wiedzieć, że tylko uwzględniając jego słuszne postulaty może stworzyć dzieło stałe o wielkiej wartości etycznej. Bez ubocznych celów politycznych, lecz z tem przeświadczeniem, że ta część społeczeństwa najwięcej potrzebuje podpory etycznej i materyalnej, należy przystąpić do rzeczy.

Stąd też trzeba wyciągnąć pewne konsekwencye odnośnie do stosunku Kościoła do warstw robotniczych. Ci, co się zbliżyli do nich, wiedzą, że warstwy te żyją w warunkach etycznych i materyalnych jak najgorszych. W stosunku do warstw oświeconych przyzwyczajano je u nas — o ile zeszły do rzędu warstw najuboższych — do żebractwa. Brak u nich zupełnie samowiednej organizacyi, opartej na samopomocy, brak też poczucia odpowiedzialności, które z tego rodzaju organizacyi wypływa. Kościół, zwracając się do tych warstw, przedewszystkiem powinienby usunąć te braki podnoszące godność jednostki, rozwijając pojęcie odpowiedzialności duchowej i materyalnej, przyznając im słuszne i zgodne z pojęciami czasu żądania, dążąc w ten sposób do wyższego stopnia wpływu etyczno-religijnego, który nie zadawalnia się przywiązaniem tych mas do formy zewnętrznej obrządku. Tu już, obok rozległej znajomości spraw robotniczych, musiałyby organa Kościoła przynieść zasób wielki poświęcenia, pamiętając na słowa św. Pawła: *Ministri Christi sunt... plus ego in laboribus plurimis.*

Takie są trudności, wynikające z istoty rzeczy. Przechodząc do strony organizacyjnej kwestyi robotniczej a mianowicie do pytania, czy organizacya stowarzyszeń zawodowych, szkół zawodowych, opieki nad terminatorami i całego szeregu instytucyi ochronnych dla robotnika winna odbyć się w ramach istniejącej hierar-

chii kościelnej, czy też niezależnie od niej. W tym drugim wypadku Kościół mógłby mieć nie mniejszy lecz pośredni wpływ, a organa jego występowałyby jako organa pomocnicze. Wpływ ten uwidoczniłby się w tworzeniu i w kierowaniu doktryną specyalną.

Kwestya ta już nie dotyka samej istoty rzeczy, obojętnem jest kto podejmie pracę organizacyjną, byle tylko organizacya, wsparta na zasadach etyki chrześcijańskiej powstała. Ze względu jednak na stosunki polskie i na nasze obecne położenie nabiera niemałego znaczenia to, że na tle naszych stosunków tworzenie związków zawodowych o charakterze wyznaniowym byłoby wprost szkodliwe i dałoby całej sprawie charakter partyjny, ba nawet polityczny. Charakter wyznaniowy a etyka i religia, to dwa zupełnie różne pojęcia nie pokrywające się nawzajem. Tu nie chodzi o nazwę i o firmę lecz o gatunek pracy, o jej ścisły związek z przykazaniem miłości.

Na tle namiętności i haseł zrzeszono już i u nas robotników. Zadanie Kościoła rozmija się z tego rodzaju pracą. Gdy ją podejmuje naraża się na niebezpieczeństwo, że w walce tej użyć będzie musiał broni przeciwnika.

Tu nie chodzi o to, by ta lub owa organizacya lub hierarchia sprawę podjęła, lecz o to, by całość społeczeństwa poczuła się do swoich społecznych obowiązków pod wpływem nauki Kościoła.

Józef Jakób Michałowski.

I.

Gdyby wszyscy, którzy mienią się chrześcijanami, byli nimi w istocie, — to jest, rozumiejąc, czem jest chrześcijaństwo i, jakie obowiązki wkłada, — żyli stosownie do jego nauki, — nie mielibyśmy na ziemi wojen, buntów lub rewolucyi i nie wiedzielibyśmy, co to jest kwestya socyalna.

Tymczasem na całym świecie stwierdzamy powszechne niemal d e c h r y s t y a n i z o w a n i e się społeczeństwa. Widzimy to

nie tylko w kombinacyach polityki zewnętrznej albo wewnętrznej, ale we wszystkiem, czego się ręka ludzka dotyka, — w instytucyach filantropijnych, pedagogicznych, obywatelskich, w stosunkach towarzyskich i familijnych, w stosunku nawet do siebie samych. Choć znaczny jeszcze odłam naszego społeczeństwa mieni się chrześcijańskim i katolickim, — religijność nasza już jest tylko powłoką, wyblakłą etykietą, jakimciś pamiątkowym sztandarem, który skwapliwie zwijamy, ilekroć nam może zawadzać w przeprowadzeniu naszych doczesnych planów i kombinacyi. Wskrzeszamy chyba tę marę religii, gdy ją wypadnie stosować do tych, którzy nasze zamysły krzyżują. Wtedy umiemy nawet zdobyć się na ciepło, na zapał i na intonacye zupełnie szczęśliwe i szczere. To nie jest sprawiedliwe ani logiczne, bo na jakiej zasadzie wymagać od drugich tego, czego nie wymagamy od samych siebie?

Modlimy się, posty zachowujemy, w święta idziemy na mszę, starając się trafić w porę, by była dla nas ważna, próbujemy nawet nie grzeszyć, przynajmniej o tyle, o ile nas to nie kosztuje zbytecznie, ale mimo to, wszelkie nasze religijne odruchy automatyczne są, suche, pozbawione życia, duszy i ciepła. Jesteśmy ochrzczeni, ale, czy wolno nam siebie uważać za chrześcijan? Wmawiamy w siebie, że mamy wiarę, — ale czy ją mamy w istocie? W dodatku, wmawiamy ją w siebie po cichu, ostrożnie, jakby w sekrecie, bo chociaż się jeszcze nie zapieramy Kościoła, wolimy o nim nie mówić i nie kłaść na jego prawa nacisku, by niepotrzebnie nie wywoływać bądź nieprzyzwoitego protestu, bądź szyderskiego uśmiechu. Tak, — jesteśmy synami Kościoła, — wykrztuśmy nawet, żeśmy synami rzymsko-katolickiego Kościoła, — pozostaniemy mu wiernymi, będziemy mówili z uszanowaniem o jego przykazaniach, byleby tylko nad niemi się nie rozwodzić, »nie wyszczególniać ich, nie roztrząsać i nie zgłębiać zbyt drobiazgowo tego, czego od nas wymagają. Chociaż są bardzo piękne i wzniosłe, — nie zawsze się dają pogodzić z warunkami, wśród których się obracać musimy, — z warunkami życia, świata, położenia, stanu i nawet płci, skoro często nie możemy pozwolić kobiecie na to, co mężczyźnie płazem puszczamy. Gdy Kościół ma jeden katechizm dla wszystkich, świat ich namnożył dużo, dla

każdego stanu, dla każdej pozycyi. Weźmy naprzykład panienkę z dobrego i chrześcijańskiego domu, któraby z ładnym stajennym chłopakiem zawiązała stosunek? Nie mielibyśmy dosyć słów na jej potępienie. Jakżeż się inaczej przedstawia studencki romansik brata tejże panienki z tegoż dobrego i chrześcijańskiego domu, z ładną wiejską dziewczyną lub pokojówką! Nie wywoła w nas nic, prócz pobłażliwego uśmiechu, — znajdziemy w nim wdzięczną naiwność i pewien wiosenny urok, który się prosi o jakieś misternie wyśpiewane strofy nakształt tych, które nam Heine zostawił. Jeżeli jednak wierzyć katechizmowi i panicz i panienka grzeszą jednakowo i grzeszą w dodatku ciężko. Prawdziwy kłopot z tym katechizmem w zestawieniu z prawami uświęconemi przez świat nawet chrześcijański! To też dlatego, by go wciąż nie wykręcać, nie rozluźniać, albo wprost nie odrzucać niektórych w nim paragrafów, — wolimy o nim nie mówić, staramy się o nim zapomnieć.

Są jednak na świecie tacy, którzy nie grzeszą.

Nie czynić złego — to z pewnością lepiej, niż grzeszyć, ale — czy na tem koniec? czy może na tem poprzestać prawdziwy chrześcijanin? To raczej dopiero przygotowanie, to codzienna tualeta duszy, odpowiadająca wodzie i mydłu, których co dzień używać musimy dla utrzymania czystości ciała. Nabożeństwa? modlitwy? — to także konieczne, bo daje duszy siły tak samo, jak ciału niezbędne jest codzienne pożywienie. Ale jak ciało nie na to nam tylko dane, żebyśmy je odżywiali, tak samo i dusza inne ma jeszcze przeznaczenie. To dopiero jest pierwszym, przedwstępnym krokiem, po którym iść mają następne, a mianowicie — szereg czynów dopóki nam starczy życia i sił. I coraz więcej potrzeba tych czynów, bo coraz więcej na ziemi szerzy się zło.

Ale nasza religia jest bierna. Kiedy dokoła wszystko się rusza, wszystko agituje, działa, wojuje, walczy i zdobywa, — my, wysiliwszy się na pierwszy krok, — już przystajemy znużeni i zasypiamy na laurach, wypuszczając z rąk kierownictwo wszystkiego, co dokoła nas kipi, — kierownictwo obowiązujące jednakże każdego, kto przez Boga i dla Boga chce żyć. Obiegniemy kilka kościołów, namodlimy się, nawzdychamy, nakiwamy z ubolewa-

niem głowami, a potem, niechaj tam już Pan Bóg wyprowadza z kłopotu świat i ratuje i kogo potrzeba nawraca. Naturalnie Pan Bóg wyprowadza z kłopotu, ratuje i nawraca, ale wymaga, żebyśmy Jemu przychodzili z pomocą. Dał nam życie, dał przykazania, dał rozum, — dał nam zupełny, bojowy rynsztunek, ale zamiast z niego robić użytek, my te dary składamy do jakiegoś pamiątkowego muzeum. Bóg nas uzbroił do walki, a my się chowamy, — Bóg kazał nam działać, a my wolimy spać. Chcemy, żeby nam Bóg ponawracał tych albo owych niewygodnych grzeszników, ale sami nie spróbujemy ich ponawracać. Słowem — i chcielibyśmy należeć do Boga i jednocześnie uciekamy od Niego — wierzymy do połowy, do połowy słuchamy i wytwarzamy z Niebem jakąś ugodę. Jeżeli w stosunkach ludzkich ugody zawodzą, tem bardziej zawodzić muszą w stosunku do Boga, którego ani podejść, ani oszukać nie można. Trzeba być albo z Nim, albo przeciwko Niemu, — pośrednia droga jest niemożliwa.

Jakiemi są w społeczeństwie jednostki, takiem musi być społeczeństwo. Apatyczni, leniwi, bierni i przedewszystkiem tchórzliwi, nie jesteśmy w stanie złożyć się na społeczeństwo jawnie chrześcijańskie, a dla znieczulenia sumienia, któreby mogło czasem zaprotestować, osłaniamy się wysoce politycznymi względami. Stworzywszy cały system polityki »niedrażnienia« i wyprodukowawszy cały zastęp »trzeźwych« dyplomatów, z ustępstwa wpadamy w ustępstwo, aż w końcu nie pozostanie już nic do ustępowania. Możemy być o to spokojni, że się wśród nas nie pojawi żaden święty Jan Chrzciciel albo święty Jan Chryzostom. I gdyby w takiej, zabijającej ducha atmosferze, mógł powstać taki święty, tobyśmy go denuncyonowali do Rzymu, by mu nakazał przestać być świętym. Judasz sprzedał Jezusa Chrystusa jednorazowo, — my go sprzedajemy częściami i po trochu. Jeżeli na ziemi i szerzy się zło, to główna odpowiedzialność nie spada na ludzi złych, ale na nas, którzy mienimy się ludźmi dobrymi.

II.

Tymczasem, kiedy tak z Niebem politykujemy, świat dalej kroczy swoim ziemskim trybem. Tu i owdzie toczą się wojny,

jacyś wodzowie w galonach zastosowują najświeższe wynalazki nauki do wybijania tysięcy mundurowanych ludzi, mających prawo do życia, okręty wylatują w powietrze, fortece się rozpadają, całe miasta w gruz obrócone, — żenią się lub umierają jacyś królowie albo cesarze, — granice państwa się zmieniają, — upadają trony, dynastye, narody, — Bóg jeszcze na ustach u wielu, ale wygnany z serca i duszy, — dzieją się rzeczy wielkie, niebywałe, straszne... Ale ponad ten chaos światowy, ponad te wszystkie przemiany i katastrofy, wysoko się unosi i potężniejsza walka, wobec której karłowacieje wszystko, co się jeszcze przed chwilą wydawało ogromnem, — walka niemożliwa w społeczeństwie chrześcijańskiem, ale zupełnie zrozumiała w naszym bałwochwalczym świecie. To walka głodnych z sytymi, pracujących z wypoczywającymi, — apetytów z apetytami — to kwestya socyalna, jeszcze groźniejsza u nas, niżby się zdawać mogło, — bo zamiast sama w sobie być celem i rozwiązaniem, służy tylko jako przygodny wywrotowy instrument większej od siebie sile, dążącej do zapanowania nad światem. Poza kwestyą socyalną czai się kwestya żydowska.

Choć z temperamentu, z krwi i z tradycyi, żydzi nie są socyalistami, umieją dla swoich potrzeb poruszać najrozmaitsze hasła i przywdziewać najróżnorodniejsze kolory. Uświadomieni, zorganizowani, solidarni, jak jedna rodzina, w godnem podziwu porozumieniu, z ofiarnością i poświęceniem, na które się nie zdobędzie żadne współczesne społeczeństwo chrześcijańskie, bez chwili wytchnienia, pomimo przeszkód i prześladowań, nie zrażają się niczem, wytrwale ciągną do swojego celu, do materyalnego zapanowania nad światem. Praktyczni, — nie dbają nawet o jakieś trony albo wysokie stanowiska, o narodowe żydowskie szyldy i sztandary; im chodzi o skupienie w swem ręku tej siły, która porusza wszystko i trony i parlamenty i rządy, której kłania się wszystko, — siły jedynej w świecie, której moralne ideały pogubił. Im chodzi o złoto.

Zawładnąwszy w części tą dźwignią, następuje coraz śmielej i natarczywiej, żeby do reszty już poprzewracać stojące im jeszcze na drodze zapory. Stąd poruszanie wszystkich możliwych sprężyn,

rozbudzenie z letargu usypiającej już masoneryi, — dolewanie oliwy do ognia socyalizmu, — wysuszanie w sercach świętych uczuć religii, patryotyzmu, rodziny. A nacierają już tak gwałtownie, każdy ich cios taki śmiertelny, że zdaje się bardzo blizką godzina ich panowania, — panowania złotego cielca. A wtedy biada dzieciom Jafeta, biada naszej starej rzymsko-katolickiej kulturze, biada narodowościowym dążeniom i ideałom, biada niewolnikom chrześcijańskim na posługach u tryumfującego żydostwa.

Albo też, — co byłoby jeszcze straszniejsze, — doprowadzone do krańców cierpliwości, — zapominając do reszty, że jest chrześcijańskiem, — społeczeństwo nasze rzuci się całe na wspólnego i jedynego wroga i zdusi go, wymorduje, wytępi siłą liczebnej i brutalnej przewagi. A wtedy, skąpani we krwi, cofniemy się tak daleko w swojej kulturze, że powróciwszy do stanu pierwotnej dzikości, może już nie zdołamy odnaleźć wątka, po którymby się dało na nowo budować to, cośmy sami zburzyli.

III.

Po jednej więc stronie mamy potęgę żydowską, mocno osadzoną na fundamencie pieniężnym, po drugiej zaś my stoimy, z poddaniem wyczekując ostatniego ciosu. Stoimy pokorni, trwożliwi, osłabieni, rozbici i bierni, i znikąd już, zda się, nie spodziewamy się ratunku.

A jednak ratunek ten jest, — niechybny i ponad wszystko silniejszy, tylko nie umiemy go dostrzedz, albo też i nie chcemy w naszej leniwej i politykującej apatyi, — ratunek moralny jeden, — z dwóch świętych uczuć stopiony, — z miłości Boga i z miłości ojczyzny. Te dwa uczucia tak z sobą w Polsce od wieków zrośnięte, że jedno bez drugiego słabe jest, chwiejne i często sprzedajne. Powinny jednak wypływać z całej naszej istoty, z głębi serca i duszy, z naszej krwi, ze szpiku kości, z naszych wnętrzności. Pod tym względem, z jednego tylko rozumu płynące, podniosłe nawet słowa wystarczyć nie mogą, — tu nie uratuje teorya, tu potrzebne gorące, jak lawa uczucia. Dopóki nie nauczymy się kochać Boga i — przez Boga — ojczyzny, dopóty musimy wątpić o naszej przyszłości, ale z wskrzeszeniem tych dwóch miłości

nie potrzebujemy się obawiać nikogo, niczego, — nawet własnych pomyłek i błędów; w najcięższem prześladowaniu będziemy się czuli silnymi i spokojnymi o jutro; z wskrzeszeniem tych dwóch miłości będziemy zjednoczeni i potężni, jak żydzi, bo niemożliwy jest rozdźwięk tam, gdzie wszyscy z gorącą wiarą dążą do jednego, wyraźnie zarysowanego celu. Ale bez Boga — nie!

IV.

»Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma do spełnienia?« — zapytuje Redakcya *Przeglądu Powszechnego*. Zadanie zawsze jest jedno — nauczać, tylko treść tej nauki winna być stosowana specyalnie do potrzeb danego momentu. W obecnych czasach, kiedy pogański materyalizm ogarnął wszystkich, należałoby przedewszystkiem uczyć elementarnych zasad wiary, która w nas wszystkich wygasa. Należy wskrzesić tę wiarę najprzód pomiędzy tymi, którzy siebie jeszcze uważają za chrześcijan, potem ją szczepić na nowo wśród tych, którzy się bez niej obchodzą, a w końcu zająć się nareszcie sporym odłamem obcego nam po dziś dzień narodu, który jednak od kilku wieków pomiędzy nami żyje, gościnnie przez nas przyjęty w epoce, kiedy był gnębiony i prześladowany w całej Europie. Poprostu zrozumieć trudno, jakim sposobem żydzi do tej pory nie wsiąkli w nasze polskie i katolickie społeczeństwo? Czy to przypisać należy wyłącznie ich odporności rasowej, czy też i my mamy sobie do wyrzucenia brak zabiegów i starań w celu ich nawracania i przyciągania do siebie.

A więc nawracać? Nawracać nas chrześcijan, nawracać bezwyznaniowców, — nawracać żydów, — poczem wszystko już łatwo i samo popłynie? Jakimże jednak praktycznym sposobem przeprowadzić te nawracania?

Mojem zdaniem, przykładni nawet księża nie wszyscy wyczerpują swoje zadanie, — bo nie dosyć jest chrzcić, grzebać, spowiadać i kazać z ambony, nie dosyć jest dbać o estetyczny wygląd Kościoła i w nim nabożeństwa odprawiać. To wszystko jest raczej urzędniczą stroną zawodu kapłana, poza czem pozostaje mu jeszcze ogromne pole do działania, jako apostoł i obywatel.

Nasza religia jest religią miłości; tę miłość wygnaliśmy z naszych serc, zatrzymując zewnętrzne tylko formy i obrządki. Przedewszystkiem więc miłość wskrzesić i rozżarzać należy. Jeżeli nienawiścią ludzie poruszają tłumy, — czegóż to zdziałać nie można z taką bronią, jak miłość?

Więc mową, przykładem i czynem o niej nauczać trzeba bez ustanku i wszędzie. Bywają jeszcze ludzie w Kościele, ale daleko ich więcej od Kościoła stroni — należy ich przeto szukać tam, gdzie ich znaleźć można, — na zebraniach, na ulicach, na placach, po fabrykach, wsiach i na polu. Przecież i Jezus Chrystus nie tylko w świątyni nauczał.

I uczyć i oświecać bez przerwy, nie zaniedbując żadnych pedagogicznych środków, trafiających do duszy tłumu, — przez mózg, przez serce, przez oczy i uszy. Skoro widowiska działają na tłumy, jednoczą je, zlewają i porywają, więc i ten sposób trafiania do nich wyzyskiwać należy, organizując procesye, pochody, chóralne śpiewy, prowadząc je z krzyżem i sztandarami, przypominając im bez ustanku wiarę i narodowość.

Niedawno mieliśmy w Warszawie sposobność stwierdzenia cudownie uzdrawiającej mocy religijno-narodowego pochodu. Po tylu miesiącach terroru, kiedy się już zdawało, że całe niemal nasze społeczeństwo utonęło w mętach anarchii, kierowanej ręką żydów, ukazały się na ulicy krzyże i narodowe godła. I nagle w sercu tłumu drgnęło gasnące już przywiązanie do znaków, które się niegdyś kochało i otaczało czcią, — przywiązanie przez dziesięć wieków przekazywane generacyami ojców i dziadów, — przywiązanie, którego iskierkę odnajdzie się nawet w sercu polskiego bezwyznaniowcy albo kosmopolity. Tłum oprzytomniał i, — zupełnie już trzeźwy jął się garnąć do Boga i do ojczyzny, odbiegając ze zgrozą tych, którzy mu przewodzili przed chwilą.

A te znaki tak z sobą spojone i zrośnięte, że ich nic rozerwać nie zdoła. Tylko dobry katolik może być dobrym Polakiem — i tylko dobry Polak jest w stanie być dobrym katolikiem. Kto jednego nie oprze na drugim — musi błądzić i zbaczać z drogi.

Więc o tej dwoistej miłości bez przerwy nauczać mamy i w domu i w szkole i wszędzie, gdzie tylko jest ktoś, ktoby

słyszał. Niechaj od samego dzieciństwa każdy się opiera na krzyżu i na zrozumieniu, że jest Polakiem, — niechaj się tego uczy z miliona książeczek i druków, które dziatwie rozdawać trzeba, a niechaj na wstępie do życia uczy się przedewszystkiem od kobiet, które niebo specyalną obdarzyło siłą trafiania do serca i umysłu dziecka. Czem kto w dziecinnych latach nasiąknie, z tego się nie otrząśnie do śmierci, pomimo życiowych kolei i przeciwności. Dziecko przedewszystkiem do kobiety należy, — ona tylko jest w stanie kierować jego pierwszymi krokami. A ta jej rola piastunki taka wzniosła, szczytna i wdzięczna, że jej pozazdrościć może każdy mężczyzna. W jej bowiem ręku spoczywa przyszłość jednostek, społeczeństwa, kraju. Takie tylko miewamy społeczeństwa, jakie nam wychowały kobiety, — w taki tylko sposób rozwijają się dzieje danego narodu, w jaki je przygotowały kobiety, bo te małe, niewinne dzieci wrażliwie chwytające wszystko, — to przyszli obywatele albo matki obywateli.

Jeżeli mało w nas budzi zaufania kobieta myśląca, — nie mamy dość słów uznania dla kobiety czującej. Zamiast wiecować ze studentkami, zamiast filozofować i walczyć o jakieś suche prawa, zamiast, rywalizując z mężczyzną, szukać czegoś, co nigdy nie zaspokoi jej przyrodzonych pragnień i instynktów, — niech się kobieta szczerze poświęci dziecku, — małemu dziecku i niechaj chodzi po chatach, pałacach, poddaszach i dzieci wkoło siebie gromadzi, — niechaj je uczy o miłości Boga, ojczyzny, bliźniego, — niech bardzo kocha, żeby nauczyć kochać — i to kochać nie wybuchowo, gwałtownie, od czasu do czasu, co lat kilkanaście, ale kochać ciągle, spokojnie, bez przerwy, — od rana do nocy, od niemowlęctwa do najpóźniejszej starości. A wtedy pogodnie i śmiało będziemy mogli spoglądać w przyszłość, która nam da społeczeństwo lepsze, wyższe i przez to samo szczęśliwsze.

I już wtedy świadomiej będziemy mogli uciekać się do broni, którą nam Bóg dał przeciwko sobie samemu, — do modlitwy, — wtedy wyraźniej rozumieć będziemy o co Go prosić mamy. I, modląc się duszą, mową i każdym uczynkiem, nie tylko prosić będziemy o mądrych, świętych, apostolskich i odważnych biskupów i księży, — ale i o to, by ci kapłani w każdym z nas po-

mocnika znaleźli, — by każdy z nas w swoim zawodzie był apostołem i misyonarzem, wytrwale szerzącym dokoła miłość dla wszystkiego, co święte, dobre i piękne.

Aż widząc nasze starania, dopomoże nam Bóg i zniewolony naszą pracą i naszą modlitwą, — doprowadzi nas w końcu do celu, jaki każdemu wytknął narodowi.

Aleksander Mańkowski.

Zaproszony przez Redakcyę do ankiety w sprawie najpilniejszych zadań katolicyzmu w Królestwie Polskiem, mam zaszczyt odpowiedzieć, co następuje:

Jednem z najpierwszych i podstawowych zadań Kościoła w Królestwie Polskiem jest podniesienie oświaty religijnej. Do tego w pierwszym rzędzie należy podniesienie umysłowości i wykształcenia u duchowieństwa. Seminarya i akademia, pozostając przez wiele lat pod strasznym uciskiem rządu, nie mogły się zdobyć na odpowiednich profesorów i rozwinąć prowadzenia nauk. Dalej, trzeba podjąć wielką pracę nad uświadomieniem inteligencyi w rzeczach i nauce Kościoła katolickiego, bo, nie mając odpowiednich do swych potrzeb przewodników duchownych, uważają religię za coś niższego i nie zasługującego na zajmowanie nią swych myśli. Rozwój literatury religijnej i urządzanie konferencyi, w zastosowaniu do potrzeb sfer inteligentnych, jest rzeczą pilną. Wreszcie i sam lud i miejski i wiejski ciemny w rzeczach wiary, łatwo może pójść na wędkę przewrotowców. Już mamy na to dowody.

Do rozwinięcia potrzebnego wpływu duchowego ze strony Kościoła mogą posłużyć organizacye katolickie, których kraj, znękany prawami wyjątkowemi, nie mógł pozyskać. Lecz praca w tym kierunku winna iść szybko i drogą obmyślaną i pewną, bo krzewi się prąd, który zewsząd chce Boga usunąć. Zwolennicy jego też się ruszają i radzi korzystać z naszego niedołęstwa. Potworzono już szkoły dla chłopców i dziewczyn włościańskich, gdzie religii nie uwzględniają. Powstała szkoła dla ochroniarek

z tymże kierunkiem i już rozchodzą się stamtąd krzewicielki idei bezbożnych do ochronek wiejskich.

W szkołach średnich nauka religii w strasznem opuszczeniu i straciła powagę i w oczach pedagogów i w oczach młodzieży. Podręczniki tam niewłaściwe, a do wykładu przystępują katecheci nieuzdolnieni i nieprzygotowani.

Dla rozbudzenia wiary byłoby bardzo pożądanem zorganizowanie obozu katolickiego, któryby się zajął wielkiem zadaniem Kościoła katolickiego w obecnej chwili. Ludność robotnicza, choć już zdeprawowana w pewnej mierze, i ludność wiejska da się jeszcze utrzymać, lecz pod warunkiem, że znajdą w Kościele opiekuna dla swych potrzeb i kierownika nie tylko pod względem zbawienia, ale i na drodze do wywalczenia sobie lepszego bytu doczesnego. Akcya demokratyczna w obecnem położeniu sama się narzuca oczom naszym, jako zadanie najpilniejsze. Około tej pracy muszą się zgrupować i księża i ludzie szczerze katoliccy z obozu świeckiego.

Dotąd jeszcze nie mamy do tego podniety i wskazówek od zwierzchności kościelnej i dlatego usiłowania pojedynczych osób i grup spotykają się z wielu trudnościami.

Ważne posterunki wychowawcze potrzebują ludzi katolickich, których okoliczności bytu politycznego nie pozwoliły nam wyrobić. Nieocenioną silnicą wszego dobrego w naszym kraju byłyby zgromadzenia zakonne, poświęcające się życiu czynnemu. Gdyby one do nas zawitały, byłyby zwiastunami lepszej doli Kościoła katolickiego w Królestwie. Księża świeccy zbyt przeciążeni robotą parafialną i nie są w stanie więcej pracować nad to, co widzimy.

To są najpilniejsze zadania w tej chwili Kościoła katolickiego u nas.

Ks. M. Fulman.

Za szczególniejsze zadanie, które katolicyzm w Polsce ma dzisiaj do spełnienia uważam: Jeszcze usilniejsze przeprowadzenie w praktyce wymogu: Aby wiara była żywą.

Wiara bez uczynków martwą jest! Nie chodziło o czyny

wyjątkowe, w których katolicyzm świeci swoje tryumfy, lecz o czyny zwyczajne, codzienne, spełniane przez głębkie szeregi pracowników na wszystkich polach pracy, objętych ich obowiązkami wobec Boga, rodziny i narodu, względnie bliźnich.

Czyn moralny to owoc pracy ducha i wyraz opanowania ciała przez poddanie go w służbę obowiązkom moralnym.

Praca więc prawdziwa, dokładna i pełnym obowiązkom wobec Boga, rodziny i narodu, względnie bliźnich odpowiadająca, to jedyne pole, na którem wiara rzeczywiście żyje, we wszystkich zaś studyach niepracy, zawinionej wobec obowiązków osobistych lub społecznych, wiara tylko tleć może wśród popiołu słabych zamiarów i bezsilnych dobrych chęci, wyrosłych zawsze tylko przez zapanowanie w większej lub mniejszej mierze ciała nad duszą nieśmiertelną.

W zasadzie przypada dla mężczyzn praca poza domem, dla kobiety w domu. Oboje jednak, tak mężczyzna jak i kobieta bez pracy zanikają moralnie, oboje żywotność wiary utrzymać mogą tylko przez pracę.

Stąd tylko oddaniem się pracy rzeczywistej i jej rezultatami dać może kobieta świadectwo o swej istotnej wartości moralnej i tylko przez pracę przyczynić się może do wytworzenia pojęć o pięknie moralnem, męskość zaś moralna, której ostatnim wyrazem jest poniesienie śmierci za dobrą sprawę, dopiero przez czyn dochodzi do zaistnienia, a nadal urzeczywistnia się również jedynie przez pracę, aż do jej najwyższego stopnia, objętego: służbą Bożą.

O ile niepracująca kobieta długo swą ujemną wartość moralną ukrywać może pozornem pielęgnowaniem uczuć i przekonań moralnych, o tyle mężczyzna, który pozbył się pojęć o konieczności pracy, jako bezwzględnego warunku utrzymania zdrowia duszy i ciała, nieporównanie prędzej ujawni swą martwotę wiary, zatraca bowiem łączność z zadaniami życia oraz wprawę i zdolność do pracy, wobec czego coraz więcej obniża się jego wartość społeczna, którą zmódz może tylko ustawiczna czujność i ćwiczenie, a czego nie zastąpią nigdy, lecz tylko ułatwiają, tradycya narodowa, zamożność i zdolność osobista.

Mężczyzna, zatraciwszy poczucie właściwej sobie pracy, obojętnieje na sprawy społeczne, a zamknąwszy się, w razie zamożności, w domu i w rodzinie, a więc na terenie, gdzie tylko kobieta swą czynność rozwinąć może, wytwarza z siebie przez swą ogólną słabość nader ujemny typ społeczny.

Martwota wiary niszczy więc moralne pojęcia o pracy, pogrąża w trudną do uleczenia niewolę zmysłową, a obok tego sprowadza zanik absolutnego od godności człowieka nieodłącznego, wymogu zdrowej samoodpowiedzialności za swe postanowienia i czyny, co znów dziedzicznie przechodzi na generacye, jako skłonność do zależności, a niechęć do ciężarów, jakie samodzielność nakłada. Usilne zwrócenie uwagi na żywotność wiary potrzebną jest zwłaszcza u narodu, podległego ciężkim przejściom, tam bowiem, gdzie młodsze generacye bezpośrednio stykały się ze świadkami ogromnych burz i przewrotów i uczestnikami wielu cierpień i zawodów, rozpaczy i bólów — potrzeba przypomnieć młodzieży, że ci, którzy pod nowe porządki pierwszą, daleką jeszcze od rezultatów kładli pracę, że ci, co uprzątali gruzy lub z wysiłkiem utrzymywali równowagę, aby drugich od upadku uchronić, że te generacye pracowały nader ciężko! Gdy zaś taka głęboka, cicha i w milczeniu spełniana praca zdaje się być trudną, niepociągającą lub w sądzie pospiesznym zamałą, względnie żadną, i gdy jednostki, unikając natężenia, aby zwyczajną gotowość do pracy wzmódz stosownie do ogromu zadań — skłonić się wolą raczej do niepracy — wtedy potrzeba tem więcej przypomnieć, że warunkiem rzeczywistej wiary jest jej żywotność, a ta znów utrzymać się da jedynie przez świadomie podjęte, dokładne spełnianie obowiązków wobec rodziny, narodu i bliźnich, obowiązków moralnych, z których się nikt bez ciężkiej szkody dla siebie, swoich i społeczeństwa zrzucić nie może.

Stąd wierzący pamiętać ustawicznie winni: Że wiara bez uczynków jest martwą! *Dr. Rudolf Sikorski.*

Nie uważam się za kompetentnego, aby rozwodzić się nad zadaniami o g ó l n e m i, wspólnemi wszystkim narodom katolickim,

pragnącym utrzymania się w wierze świętej, podniesienia się moralnego i społecznego z jej pomocą, ale korzystając zarazem ze środków, jakie daje rozwój kultury i postęp nauki.

Co się tyczy spraw i zadań szczególnych, jakie Kościół katolicki ma do spełnienia w dzielnicy pod rządem pruskim, jaką zamieszkuję, to za ważne uważam następujące:

Pozbawiony przez rząd wpływów swych na szkołę, na polityczne i społeczne życie narodów, Kościół powinien starać się o odzyskanie tych wpływów za pośrednictwem swych narzędzi, tj. kapłanów, wszelkim sposobem.

1) Kościół nie powinien w swoich organach stawać się narzędziem wynaradawiania mniejszości na korzyść potężniejszej, panującej narodowości, ale popierać szlachetne dążności mniejszej, to jest politycznie słabszej narodowości, bronić jej praw, języka i zwyczajów. Organa Kościoła nie powinny więc się usuwać od życia politycznego, skoro do polityki, do akcyi państwa należą obecnie sprawy, któremi dawniej zajmował się wyłącznie Kościół, jak szkoła, nauki dopełniające, wychowanie i t. d. i w tej dziedzinie powinien nie ustępować, ale przeprowadzać odmienne swe od państwowego zadanie z całą konsekwencyą, ale i z ostrożnością wskazaną przez utrudnione warunki, w jakich się w państwach innowierczych znajduje.

2) Kościół powinien tem więcej jeszcze przez swe organa brać udział w życiu społecznem narodu, jego rozwoju moralnym i materyalnym, popierając i po części kierując usiłowanie pojedyńczych osób i stowarzyszeń świeckich i religijnych ku poprawie obyczajów i dobrobytu. W Poznańskiem stoją zacni księża polscy na czele ruchu przeciwko alkoholizmowi, prostytucyi i chorobom zakaźnym płciowym, stoją na czele związków zarobkowych i Kółek Rolniczych, towarzystw przemysłowych i czeladzi, nie tylko uczniów i terminatorów rzemieślniczych; działają w czytelniach ludowych i t. d.

Obowiązkiem młodszych kapłanów jest poznawać i śledzić rozwój ruchu społecznego, przynajmniej we własnym kraju i starać się w nim brać udział i nie być mu obcymi. Dawniej nędzy przychodziło w pomoc jedynie miłosierdzie chrześcijańskie; teraz

zapobiegają jej rozmaite instytucye państwowe, hygieniczne, ubezpieczeniowe, sądowe i poprawcze, gminne lub prowincyonalne (krajowe) tak, że kto nowego ustawodawstwa w tej mierze nie śledzi, ani ciągle nadarzających się okazyi nowego współdziałania miłosierdzia chrześcijańskiego, ten musi utracić wpływ, bo dawna okazya przychodzenia bliźniemu z pomocą w nagłej potrzebie coraz rzadsza. Nie tylko kapłani powinni być obeznani z ustawodawstwem socyalnem, jego dotychczasowemi instytucyami, dodatnimi i ujemnymi przymiotami, wreszcie i zdolnymi jego projektami i duchem jego, ale także i wszelkie katolickie dobroczynne stowarzyszenia powinny się tem zajmować. Co rok, jeżeli nie codzień, wyrastają ze zmienioną sytuacyą społeczną zmienione warunki, w jakich trzeba skuteczną nieść pomoc materyalną, a przez nią i moralną. Ponieważ zaś do stowarzyszeń dobroczynnych, mianowicie wśród mężczyzn, u nas nie należą liczni ludzie z klas oświeceńszych, ale raczej rzemieślnicy i robotnicy, potrzeba raz po raz na zebraniach obznajmiać członków z tem przynajmniej, co dotąd w kraju pod względem socyalnym zdziałano: jak się do tego zastosować trzeba, aby nie tylko zapewnić jak największą korzyść protegowanym, ale aby umieć w każdym razie służyć radą i osobistymi zabiegami, gdy sam potrzebujący o to postarać się nie umie. W wyższej jeszcze mierze stosuje się to, co powiedziałem, do stowarzyszeń miłosiernych p a ń, które, jak dotąd, ignorują u nas ustawodawstwo socyalne i nie rozumieją tego, że ze zmianami przez nie wprowadzonemi, zmieniać się także może i musi sposób pomocy przez nie udzielanej. Także i osoby chcące się poświęcić Bogu w usługach dla bliźniego mogą znaleźć w wyzyskaniu nowoczesnego prawodawstwa socyalnego niejedno nowe pole działania dla stowarzyszeń religijnych, o którem nie wiedzą nawet, a które wnet wszędzie u nas zajęte będzie przez diakoniski, gdy nikt z naszych kapłanów nie wskazuje nowych dróg, w jakich mogą takie osoby katolickie pracować, nawet z małymi środkami dzieło swe rozpoczynając. Mojem zdaniem, w każdej dyecezyi w Prusiech powinno istnieć grono kapłanów, mężów i dam dobroczynnych, śledzących ten ruch i gotowych do wskazania osobom, chcącym

życie swe służbie Bożej poświęcić u nas, gdzie i jak mają się wziąć do dzieła. Mam silne przekonanie, że bez wielkich nakładów możnaby u nas setki takich osób pełnych poświęcenia zatrudnić z wielkim pożytkiem, podczas gdy dotąd wiele z nich się przenosi do innych krajów lub do Galicyi, sądząc, że u nas niema pola działania dla nich. To zdanie jest bardzo mylne, a w skutkach swych dla nas fatalne. I u nas obecnie żniwo gotowe, ale żniwiarzy mało, bo się wynoszą z kraju za granicę!

3) Jeżeli współdziałanie księży i świeckich, katolików, w dziedzinie społecznej jest obowiązkiem łatwo dającym się wytłumaczyć, a może i w czyn zamienić, to daleko trudniejszą jest rzeczą współdziałanie tych elementów w życiu umysłowem u nas, które zamiera. Dla spraw społecznych posiadamy prócz regularnych odczytów na zebraniach pismo doskonałe *Ruch chrześcijańsko-społeczny*. Dla podniesiezia umysłowego poziomu — przy nieczynności Towarzystwa Przyjaciół Nauk — tylko *Przegląd kościelny*[1]. Inne pisma u nas trudnią się tylko polityką, sporami między sobą, ale umysłowemu ruchowi nie dają podpory ani impulsu. A jednak potrzeba obudzenia i podtrzymania takiego ruchu, którym kiedyś nasza dzielnica odznaczała się przed dwoma innemi, jest obecnie tem większa, gdy Niemcy nasi mają, od czasu założenia Akademii w Poznaniu, co dzień okazyę kształcenia się na wykładach w najrozmaitszych przedmiotach nauki i sztuki w popołudniowych godzinach, aż do 10-tej wieczór, przepełniając obszerne sale, aby się czegoś nauczyć. Polacy trzymają się zdala od tego, a nie czują się pobudzeni do naśladowania Niemców w tym względzie, choćby wysiłkiem podniesienia jedynej naukowej instytucyi polskiej, jaka nam pozostała, tj. Tow. Przyjaciół Nauk, które, z wyjątkiem wydziału lekarskiego, wegetuje tylko. Nawet i pod względem sztuki jest u nas martwota! Miasto, które w XVIII w., gdy Poznań liczył 13 razy mniejszą ludność, posiadało aż 3 kapele przy głównych kościołach, nie posiada obecnie żadnej polskiej. Niedawno dopiero zawiązało się towarzystwo dla stworzenia orkiestry polskiej, dotąd posługiwano się niemieckiemi wojsko-

[1] Dla lekarzy jest miesięcznik *Nowiny lekarskie*.

wemi, którym zakazano grać melodyi polskich. Na wszystkich tych polach ożywić ruch na podstawie katolickiej i polskiej, dbać o to, by w kościołach uprawiany był śpiew polski, dobrze wychowany (w kościele największej parafii poznańskiej jest śpiew najgorszy, a najlepszy jest w kościele pofranciszkańskim, przeznaczonym dla Niemców katolików), oto także zadanie do spełnienia! Podczas gdy lud po wsiach, dzięki szkołom z jednej strony, a zabiegom księży proboszczy, niektórych dobrze myślących i czyniących obywateli, a także i dobrej pracy ludowej, dzięki kółkom włościańskim i parafialnym, różnym stowarzyszeniom, zaczął się u nas podnosić nie tylko materyalnie, ale i moralnie i umysłowo, to wśród mieszczaństwa naszego można mówić dotąd tylko o materyalnem podniesieniu, o moralnem tylko o tyle, o ile z tamtem to związane, o intelektualnem — nic! Tłumaczy się to tem, że nasze mieszczaństwo, to prócz kilku techników, lekarzy i adwokatów — tylko agenci, kupcy i przemysłowcy, rzemieślnicy i robotnicy. W wolnych od pracy chwilach zebrania gminne, polityczne, zawodowe, religijne i dobroczynne tak absorbują czas, że na kształcenie się w polskim języku niema go już wcale! Chyba gazety polskie i czytelnie ludowe coś mogą zdziałać. Wykłady miewane na posiedzeniach stowarzyszeń nie mogą wiele nauczyć, bo niema w nich ciągłości, Redakcya *Ruchu chrześcijańsko-społecznego* stara się temu brakowi zaradzić. Pod względem ekonomicznym i politycznym wykształcenie i uświadomienie jest niezawodnie wiele lepszem, jak przedtem w tych klasach, ale dużo pod innemi względami jest jeszcze do osiągnięcia i zadanie kapłanów jest niemałem, jeżeli chcą i mogą i ten ruch prowadzić, albo do prowadzenia go innych odpowiednich znaleźć kierowników. Rozszerzyłem się nad tą sprawą nad miarę, bo mnie więcej obchodzi i boli. W społeczeństwie, które za patryotyczny czyn uważa uczęszczanie do teatru polskiego, a za dobroczynność uczęszczanie na zabawy, dlatego, że po opędzeniu kosztów coś się biednym dostanie, potrzebuje w obecnych warunkach, przy walce z tak intelektualnie mocniejszym przeciwnikiem, czegoś więcej, jak tych tylko umysłowych rozkoszy, potrzebuje ciągłego kształcenia się i zachęty do samodzielnego badania, chociażby

dziejów tej dzielnicy, które znajdują obecnie pracowników już prawie tylko pomiędzy Niemcami, bo inteligencya poznańska niema czasu tem się zajmować, nie czuje nawet potrzeby współubiegania się w tej mierze z Niemcami. Aby tej potrzebie zaradzić, widzę jedyny na razie sposób, by z zakonów nauką się zajmujących, osiedlili się tu prywatnie niektórzy księża, którzyby pomagali tutejszym kapłanom; znaleźliby i pole działania i środki utrzymania, a przytem w wolnej chwili dawali przykład naukowej pracy tak, jak się to dzieje u nas w zachodnich prowincyach monarchii pruskiej, a nawet w Berlinie i Wrocławiu. Musieliby być oczywiście poddanymi pruskimi i pozorować swój pobyt jakim dodatkowym przyjętym obowiązkiem. W takim razie władze nie mogłyby przeszkadzać ich pobytowi, a przez ten pobyt oddawaćby mogli usługę nie tylko Kościołowi, ale i społeczeństwu polskiemu miast, tak pozbawionemu obecnie intelektualnego wpływu rodaków!

Pozwoliłem sobie te trzy postulaty stawić. Ostatni nie obejdzie się bez pomocy Waszej. Liczę na Waszą więcej, aniżeli na pomoc Akademii Umiej., do której od paru lat pukałem, bo wiem, że gdzie miłość Boga i bliźniego jest pobudką, tam zawsze znajdzie się sposób zadośćuczynienia potrzebom bliźniego, mimo piętrzących się trudności czy to politycznych, czy innych.

Dr. F. Chłapowski.

Są rzeczy, są przedsięwzięcia, w dziedzinie umysłowego czynu, które już jako zamiary i postanowienia, same przez się, istotą swoją, zanim jeszcze objawi się ich wartość w ich skutkach, noszą na sobie piętno myśli wielkiej i płodnej. I wtedy, choć początek ich skromny, pozbawiony reklamy, nie ubrany w odświętne szaty uroczystego występu *ex cathedra*, budzą jednak odrazu echa szczere i prawdziwe.

Miara tych odgłosów z zewnątrz, tego zajęcia się ludzi ukazanym ich społeczności zaczątkiem czynu, ograniczoną już jest tylko zdolnością pojmowania myśli rzuconej i stopniem wrażliwości ducha kraju wobec pojętego zagadnienia. Kogokolwiek sprawa

taka obchodzi, nie tylko w swej postaci zewnętrznej, lecz także w swem istotnem znaczeniu, tego wysunięcie jej w sposób poważny i celowy nie może pozostawić obojętnym, owszem przykuje jego uwagę, skupi myśl i zapłodni do współdziałania.

Do rzędu przedsięwzięć tej miary należy ankieta, rozpisana przez Redakcyę *Przeglądu Powszechnego*, i ogłoszona także w gazetach codziennych. Przedmiot jej, zadanie i omówienie potrzeb sprawy katolickiej, potężny swym zakresem i znaczeniem, a sposób podjęcia go taki, że wywołać musi więcej niż zaciekawienie. Owszem radość serdeczną i w żywym współudziale dobrej woli podnietę, gdy tak widocznie tymi czynnikami, które ankietę wywołały, kieruje dobra wola. A prócz niej pogląd jasny i z wysoka, myśl swobodna w czystości swych zamiarów, nieskrępowana więzami rutyny, nie przygnieciona ciężarem skamieniałej formy, nie lękliwa, obawą siedzącego w szklannym domu.

Powiemy więcej. Ten właśnie sposób zapoczątkowania sprawy stanowi już sam w sobie w pewnym stopniu odpowiedź na jedno z najważniejszych zagadnień w niej zawartych. Bo oto z samego łona katolicyzmu czynnego, z łamów pisma, jawnie mającego na swoim sztandarze wypisane hasło omawiania spraw ludzkich z punktu widzenia ściśle katolickiego, odzywa się wezwanie do kół myślących w kraju. Nie tylko do duchownych, urzędowych w rzeczach religii, lecz na równi do świeckich, bez kategoryzowania powołanych, by odpowiedziały, przemówiły, wyjawiły swe zdanie o tem, co jest i co być powinno, radząc wspólnie nad wspólnemi potrzebami.

W pewnym stopniu znamiona wspólnej takiej rady posiadają, lub posiadać powinne, także wiece katolickie, których kilka już odbyło się w naszej ojczyźnie. Lecz wiec jest nie tylko radą, jest oprócz tego manifestacyą spójni katolickiej, występem zbiorowym sił katolickich w kraju, i ta strona jego istoty przeważa i musi przeważać nad innemi. Rzecz cała nosi na sobie piętno organizacyi, w której przeważnie najwyżej postawieni członkowie główną w tych wypadkach odgrywają rolę.

Ankieta zaś publicystyczna posiada charakter zupełnie odmienny. Nie tyle występu wobec świata, nie tyle affirmacyi istnie-

nia i samowiedzy, ile raczej krytycznego przeglądu własnych sił, i własnej działalności, rachunku sumienia, jako podstawy do określenia potrzeb chwili i czynów jutra. A prócz tego wywołanie takie głosów wolnych z rzeszy społecznej zawiera w sobie stwierdzenie znamienitego objawu wewnętrznej żywotności środowiska, z którego się odzywa.

W tem wywołaniu pragnienie postępu, przyznanie zasady rozwoju i ewolucyi na drogach do celu ostatecznego. W niem ta dobra ciekawość, która szuka, bo kocha, która bada, bo pragnie, a nowych rzeczy pożąda, bo wie, iż podwaliny starych są tak silne, że można na nich oprzeć dalszą budowę. A w niem także zaprzeczenie sceptycyzmu spoglądających z zewnątrz na sprawy katolickie. Odpowiedź głoszącym, że w starych formach ubywa treści, że w drzewie społeczności katolickiej obumierają soki żywotne, zanikają korzenie, jądro próchnieje, a stoi niewzruszoną tylko kora zewnętrzna, niezdolna do wydawania kwiatów, z którychby czerpać mogły pszczoły pracowite, ród Prometeuszowy myślą i czynem, szukających szczęścia i światła dla ludzkości.

Dlatego też wobec zawezwania do omówienia potrzeb sprawy katolickiej, obrawszy sobie jako temat ewolucyę myśli i czynu katolickiego, zastanowimy się najpierw nad zarzutami krytyki niekatolickiej, przypisującej katolicyzmowi nieliczenie się z potrzebami wieku. Następnie zaś na tle ogólnego stanu rzeczy w społeczności katolickiej poświęcimy kilka uwag ewolucyi i zadaniom ruchu katolickiego w Polsce.

Widzimy dziś w świecie objaw ciekawy. Krytyka wobec katolicyzmu nie ujawnia się, tak często jak dawniej, w protestach uroczystych lub gwałtownych przeciwko jego organizacyi i dogmatom. Pozostałości jej w tym kierunku są rzeczywiście pozostałościami w świecie ludzi myślących. Tak np. barbarzyńskie prześladowanie klasztorów we Francyi, najjaskrawszy objaw nietolerancyi religijnej nowszych czasów, potępianem jest wcale nie tylko przez katolików praktykujących i wierzących. Owszem ze wstrętem mówią o niem, jako o wykwicie fanatyzmu sekciarskiego wszystkie czynniki kulturalne, nawet, gdy zresztą od Kościoła są dalekie. Najzjadliwsze może strzały, pełne ironii i pogardy, wy-

puszczone zostały przeciw masońskiemu bloc'owi, który dziś owładnął rządami Francyi, przez pisma bardzo liberalne pod względem swych zasad religijnych.

Nie, dzisiaj duch zaprzeczenia wobec idei katolickiej, w tych środowiskach, które rzeczywiste posiadają znaczenie w umysłowym świecie, inaczej zaprzecza i wątpi inaczej. Dziś z głosów pozakatolickiego areopagu ludzi myślących w kulturalnej społeczności międzynarodowej, dziś z pióra krytyków płynie pobłażliwa w swem lekceważeniu ironia. Słyszymy łagodne i pogardliwe twierdzenia, że Kościół spełnił już swoje zadanie, że się przeżył, bo już duch świata postępuje prędzej od niego.

Udzielmy na chwilę głosu owym krytykom z zewnątrz. Zastanówmy się nad nimi swobodnie i bez fałszywego przestrachu, zanim stawimy własne twierdzenia. Czytelnik zaś katolicki niech wybaczy nam, że wpierw obcemi oczyma spoglądać będziemy na własne sprawy.

Mówią nam te głosy z zewnątrz — wasza organizacya jest jeszcze potężna, bo szeregi liczne, a spójnie dowództwa wiekowe. Ale patrzcie na te szeregi, czy to kwiat ludzi rozumnych, rozumujących, pchających świat naprzód? I patrzcie na to dowództwo, czyż ono przynajmniej jest pochodnią ludzkości, która oświeca tajemną drogę dni przyszłych. Nie, te szeregi to rzesza ogromna ludu poczciwego, który nie dorósł do samoistnego rozumowania, trzyma się antropomorficznej, obrazowej religii, bo ona odpowiada jego poziomowi umysłowemu.

I dobrze, że się jej trzyma, jako organizacyi duchowej, której mu wyższa świadomość wewnętrzna nie potrafi jeszcze zastąpić. Ale na jak długo ta organizacya mu wystarczy? Cóż będzie, gdy nie wystarczy, gdy z religii zabobonnej, na zewnętrznych praktykach i obrzędach bez końca polegającej, a równającej go pobożnym czcicielom starożytnej Cerery lub Merkurego, przebudzi się do świadomości, że dotąd żył duchowo pozorami i formą, a skruszywszy stare, nowych bogów nie ujrzy przed sobą.

Co pocznie wtedy ta kilkasetmilionowa rzesza dusz prostych? O ileż niższem, smutniejszem będzie jej położenie od tych rzesz innych świata chrześcijańskiego, także prostych, ale które od

wieków już zostały wychowane, nie przez katolicyzm, lecz inne, mniej potężne, ale za to mniej absolutne, mniej niweczące samowiedzę duchową organizacye, wychowane do samoistności moralnej, do pełnoletności w kroczeniu na drogach rozwoju.

I mówią nam dalej owe różnorodne głosy niekatolickiej krytyki. Rzesza prostych dusz społeczności katolickiej i w jeszcze wyższym stopniu druga rzesza tłumów Cerkwi prawosławnej, to dwie ogromne organizacye ludzi ślepych, którzy, biada, gdy przejrzą, a nie będą nauczeni do patrzenia, gdy będą mieli stanąć na własnych nogach, a nie będą wychowani do samodzielnego chodzenia po drogach duchowego życia.

A oprócz tych rzesz prostych, dotąd wam jako tako oddanych, cóż macie jeszcze? Dwie warstwy. Jedną złożoną z burżoazyi duchowej, ludzi z t. zw. warstw wyższych, na punkcie religii jeszcze ciemniejszych od ludu, dzielących się na upośledzonych umysłowo dewotów i dewotki, uprawiających najzupełniej fetyszyzm formy, i na t. zw. katolików światowych, którzy świadomie również tylko zewnętrzne formy religii zachowują: chodzą w niedzielę na mszę i poszczą w piątek, szczególnie, gdy ludzie na nich patrzą, ale przytem żyją jak bezwyznaniowcy, a raczej gorzej, jak ludzie bez moralności rodzinnej i społecznej. Ta cała kategorya, to najsmutniejszy objaw upadku i czczości waszych teoryi. To ludzie, którzy nawet nie posiadają prostej, pogańskiej, wiary chłopa.

I wreszcie, na końcu, trzecia kategorya, dowódców, władz kościelnych, księży, zakonów, wybitnych katolików świeckich. To wasza gwardya, to to, co macie najlepszego, to głowa waszej organizacyi. A patrząc na nią, stwierdzić można najlepiej, jak przeżytym jest wasz Kościół. Te wasze świeczniki, to często łojowe świeczki, które wypalają się już ostatecznie. To nie duchy stojące na czele ruchu umysłowego w świecie, to nie pracownicy w kuźni, w której kują się idee ożywcze. To mandaryni chińscy, którzy sztukami i sztuczkami próbują utrzymać to, co prędzej czy później musi się rozlecieć. Duch życia, duch Chrystusowy, zapału, miłości i ofiary nie kwitnie wśród wielu, a czego sami nie mają, tego nie mogą też dać innym, rzeszy sobie podległej.

Ewangelię czyta się od niechcenia w kościołach, ale jej istota nie żyje już w Kościele. Ten zaś, który waszego Kościoła jest początkiem, który umarł na krzyżu, ukrzyżowany przez arcykapłanów zmartwiałej społeczności religijnej, gdyby dziś stanął na ziemi i zaczął głosić, czem w zastosowaniu do czasów obecnych powinni być ci, których nazwał solą ziemi, byłby po raz drugi przez kapłanów ukrzyżowanym. I musieliby oni go ukrzyżować, bo nie rozumieliby słów i żądań jego, a czego się nie rozumie w życiu, to potępia się.

Patrzcie na Francyę — woła głos synodu protestanckiego prowincyi nadreńskiej — patrzcie na ten najlepszy przykład martwoty waszego ducha. To przecież kraj, w którym religia katolicka jest ogólną. Niemal wszyscy ją wyznają. Ale nie sercem i rozumem, tylko zwyczajem i nazwą. Dowództwo duchowne tam zorganizowane najzupełniej. Kilkadziesiąt stolic biskupich, sto tysięcy osób duchownych, liczny szereg katolików świeckich, głoszących się bojownikami za wiarę. I ten wielki zastęp, mający za sobą tradycyę, upada pod razami umysłów antykatolickich, kraj coraz bardziej odwraca się od Kościoła, coraz bardziej poganieje. Ależ gdyby ten katolicyzm był naprawdę żywotnym, gdyby nie był formą tylko, pozbawioną treści, gdyby głosił prawdę, nie upadałby, nie byłby ciągle pokonywanym przez niedowiarków.

Przed ośmnastu wiekami garstka ludzi, przejętych duchem Chrystusowym, pomimo najstraszniejszych prześladowań w społeczeństwie, które nawet pojęcia nie miało o zasadach głoszonych przez Jezusa z Nazaretu, w środowiskach zupełnie obcych, gromadziła zwolenników. A gmina chrześcijańska nie topniała, lecz rosła, w arenach cyrkowych, katakumbach, niszczona ogniem i żelazem, ale mocna i żywotna siłą prawdy, tą siłą, która jest największą ze wszystkich.

We Francyi zaś, wśród warunków nieskończenie lepszych, te sto tysięcy Apostołów pochwalić się mogą tak smutnym wynikiem, że coraz więcej ludzi odpada od ich wierzeń, że kraj materyalizuje się z roku na rok.

Bo tam nie walczy siła prawdy i miłości z potęgą niewiary, ale ta ostatnia ma przeciw sobie chińszczyznę przeżytych form i zesztywniałego organizmu kościelnego.

Patrzcie na misye w krajach zamorskich. Gdzież są te płomienne nawracania tysięcy i milionów, które niegdyś prawdziwego ducha apostolskiego były dowodem. I tam wszystko obumiera, jest słabym tylko odblaskiem wielkiej przeszłości.

Takim jest wstęp zwyczajny do owych krytyk, zmienny w swych szczegółach, stosownie do zdarzeń chwili, ale niewiele zmienny co do swej myśli przewodniej. Preludya te właściwych i głównych zarzutów rozbrzmiewają ze szpalt gazet, z feljetonów, z poetycznych utworów, z katedr profesorskich Berlina, Rzymu lub Paryża, z rozpraw filozofów bieżącej epoki, jednem słowem ze źródeł rozmaitych, zawsze w jednym ogólnym płynących kierunku, po części antykatolickich, po części zaś tylko akatolickich. Echa ich odzywały się także w naszej ojczyźnie. A po tych wstępnych zaczepkach następują zazwyczaj dalsze, jeszcze rdzenniejsze i surowsze. Idźmy więc, chcąc je poznać, dalej za niemi, posłuchajmy ich wywodów, zanim w nich zdrowe od fałszywych odróżnimy głosy. Są one coraz bardziej nieubłagane, na pozór coraz ściślejsze. Zwracają się do nas z powagą bezstronnego myślicielstwa *ex cathedra,* sądząc i potępiając. Oto zatem niech własnemi dalej przemawiają do nas słowy.

Ruch naukowy — powiadają — ogólno umysłowy, to dopiero prawdziwe pole upadku katolicyzmu. Jakże na niem wygląda akcya Kościoła. Porównajmy sumę dorobku kół umysłowych z poza obrębu wiernej rzeszy Kościoła z ogółem tego dorobku, który ludzkości dają czynniki katolickie. Wszędzie cofanie się, pozostawanie wtyle i to nie od dziś, lecz od dawna. Filozofia, nauki społeczne, a nawet to, co wkracza na specyalnie kościelny teren, egzegeza, badania tekstów, wydawnictwa na polu literatury starochrześcijańskiej, wszystko to stanowi pole, na którem bezustannie świat pozakatolicki wyprzedza świat katolicki.

Biorąc tylko przykłady z ostatnich czasów, wymienić można ogromne wydawnictwa Ojców Kościoła i apokryfów, podjęte przez ciała naukowe świeckie, po części wręcz antykatolickie. Gdzież są wasze siły naukowe, gdzież ogromnymi dochodami rozporządzający Benedyktyni, czemuż oni w swoich wspaniałych rezydencyach naddunajskich nie zapalają światła nauki i wiedzy?

Owszem, jak już od dawna, od czasów powolnego obumierania w Kościele ducha życia, tak teraz raczej strach i obawę wzbudza w hierarchii kościelnej, każdy objaw żywotności umysłowej u jej podwładnych. Jak niegdyś obawiano się Galileusza i Kopernika, tak dziś skromnego francuskiego kapłana, księdza Loisy, który zmartwiałe doktrynerstwo francuskiego katolicyzmu chciał nieco ożywić, nawołując do zajęcia się egzegezą, nie pozostawiania jej wyłącznie w rękach obcych, spotyka surowe napomnienie. A wysiłki na tem polu rzymskich komisyi jakże małą, jakże słabą odgrywają rolę, wobec ogromnego dorobku pracy czynników niekościelnych.

Ileż zaś smutniejszym jeszcze jest stan rzeczy w obozie katolickim, gdy spojrzymy na ewolucyę pojęć nie wyłącznie na jednem polu, lecz w całokształcie rozwoju ludzkiego. Nie na czele tej ewolucyi stoi Kościół, jak stał niegdyś przeobrażając społeczność starożytną, wpływając potężnie na średniowieczną, lecz pozostaje on na boku.

Rozwój myśli ludzkiej, pojęć religijnych w ogólnem tego słowa znaczeniu, postępuje swoją drogą, a Kościół nie mogąc nadążyć, woła, gdy dana myśl go już minęła i wyprzedziła, od czasu do czasu swoje *placet* albo swoje *veto*. Ale jedno i drugie po czasie.

Na wielkiej arenie świata kulturalnego postępuje praca ludzkich dążeń, wśród ciągłego objawiania się jednej i odwiecznej prawdy w corazto nowem jej zastosowaniu, w corazto nowem wcielaniu się jej w czyn społeczny.

Z głębin ducha narodów tryskają ożywcze zdroje. Potrzeby wieku przybierają określoną postać programów społecznych i dalekonośnych badań umysłowych. Krzyżują się prądy, zwalczają zasady, współzawodniczą o pierwszeństwo sprzeczne interesa, i w tem ścieraniu się przekonań i pragnień, w tej bezustannej eliminacyi myśli słabszych na korzyść tych, które noszą w sobie zadatek życia i przyszłości rodzi się ciągły postęp.

Prawda odwieczna, jedna, niezmieniona i nieskończona, światu ludzkiemu przystępna w organicznie rosnącym i w miarę rozszerzania się zdolności pojmowania ludzkiego postępującym rozwoju

objawiania się swego w nowym wciąż czynie i nowej wciąż myśli ukazuje się tęskniącym sercom i szukającym duszom coraz dalej i obszerniej.

A w tej nieustającej pracy porodowej, którą wśród walk i znoju, zapłodniona od dziewiętnastu wieków ideą Chrystusową ludzkość, nieprzerwanie i niepowstrzymanie spełnia, odkrywa się tej prawdy odwiecznej corazto większy rąbek, spełnia się stopień po stopniu w długiej i dalekiej jeszcze drodze prośba pokoleń i wieków — przyjdź królestwo Twoje.

W tym całokształcie pracy ogólno-ludzkiej — zarzucają dalej — w tem wyrabianiu się pojęć, zastosowywaniu ich stopniowem w czynie, w tym znoju, w tej pracy olbrzymiej, jakiż udział bierze Kościół katolicki? Czyż stoi na czele, czyż prowadzi, czyż postępuje naprzód z pochodnią, rozświecając tajemne drogi przyszłości? Czyż przynajmniej jest jednym z czynników głównych w tem współzawodnictwie prądów i dążeń?

Gdy zaś wiemy, że nim nie jest, gdy widzimy, że zawsze skądinąd tryskają nowe myśli, że zawsze inne czynniki pchają naprzód rozwój ogólny, czyż nie musimy wydać mu świadectwa, że się przeżył, że nie dorabia już niczego, a żyje tylko z zapasów przeszłości.

I dalszy zarzut stwierdzić jesteśmy zniewoleni, że idea Chrystusowa przekroczyła od dawna ciasne ramy katolicyzmu i rozlała się szeroko i daleko poza niego, użyźniając jałowe dawniej niwy, z których teraz wyrastają zewsząd kwiaty. A przeciwnie niwa dawna, pierwotna, wysycha i jałowieje coraz bardziej, rodzi coraz mniej.

Najdrastyczniej, najuchwytniej — tak brzmi dalej zarzut — stwierdzić to można na polu ewolucyi społecznej. Nowożytne jej dzieje ukazują nam cały szereg czynników, które w ścieraniu się bezustannem wytwarzają nowe formy, wypracowują nowe ustroje.

W życiu i działalności ostatnich pięciu pokoleń zachodniej i środkowej Europy widzimy encyklopedystów francuskich w walce z przestarzałym już absolutyzmem XVIII wieku, który poprzednio sam był postępem wobec partykularyzmu równie absolutnego, i niszcząc go, tu częściowo, tam zupełnie, utorował był drogę idei demokratycznej, a później, po epoce francuskiej rewolucyi, której

tchnienie z orłami napoleońskimi przebiegło przez Europę i przeobraziło jej ustrój, widzimy dalszą walkę liberalizmu i wreszcie socyalizmu o prawa człowieka, z konstytucyjną monarchią i zachowawczym kierunkiem warstw posiadających. Widzimy w czasach obecnych wyprzedzenie liberalizmu przez socyalizm. Liberalne szeregi, które zdobyły tyle posterunków i przewróciły tyle warowni w epoce poprzedzającej rok 1848 i następującej po nim, same teraz walczą o byt z czerwoną armią socyalizmu.

W tem ciągłem współzawodnictwie sił i prądów przeobraża się bez przerwy ustrój społeczny, którego stopniowe odmiany nie są syntezą jednostronnych pojęć, nie są narzuconym w całości programem jednego prądu, ale zawsze kompromisem kilku. Na całym obszarze świata chrześcijańskiego rozmaicie i nie w równym stopniu, ale wszędzie widzimy pracę, rozwój, ewolucyę.

Gdzież w tem wszystkiem inicyatywa katolicka, jakąż rola Kościoła? Odpowiedź brzmieć musi, że inicyatywy ze strony katolickiej niema prawie żadnej, a rola Kościoła ogranicza się do spóźnionych występów, którymi ulega natarczywości ducha wieku i liczy się z jego zdobyczami, a zatem zdobyczami cudzemi, nie swojemi.

Jakże dawnymi są czasy, — tak z tęsknotą rozumują niektórzy, — gdy wobec walącego się gmachu rzymskiego imperyum, wobec pozornego końca ludzkiej kultury z kończącą się cywilizacyą starożytną, wobec rozpaczy i bezgłowia, ogarniającego ludzi myślących, święty Augustyn, mocą Bożego natchnienia i potęgą geniuszu wywołał przed zdumionemi oczami zwątpiałych, w swojej *Civitas Dei,* wspaniały obraz nowego porządku rzeczy, nowego imperyum duchowego, nowej Romy, której widok wlał życie w tych, co obumierali, dał im treść nową i nowe wskazał drogi rozwoju.

Wtedy Kościół odgrywał rolę pochodni świata, wtedy stał na czele kultury i przeobrażania się myśli. Lecz jakże dawnemi są te czasy, jakże teraźniejszość do nich niepodobna. A jakże dawnym także odblask późniejszy słońca z Assyżu, gdy wśród zmateryalizowanej i rozdartej niesnaskami społeczności trzynastego wieku nagle jasność powstała ogromna z nad gór umbryj-

skich i przed bosemi szeregami franciszkańskimi schylały się sztandary możnych, topniała twardość serca arcykapłanów, a wiosny przedziwnej zapowiedź, z pieśnią fiorettów wionęła przez świat chrześcijański. Gdzież czasy, gdy w chwili strasznego zamętu umysłów, uboga dziewica z klasztoru toskańskiego słała napomnienia do Ojca chrześcijaństwa i na głos słabej kobiety budził się duch Chrystusowy na dworze wspaniałym Awinionu, szła myśl apostolska do krain i ludów.

A odtąd jakież cofanie się ciągłe, jaki zanik siły wewnętrznej, żywotności. Epoka humanizmu zastaje już katolicyzm w rozkładzie, i rozkład ten w zabójczy sposób ujawnia. Odpadają kraje i narody od Kościoła, a ci, którzy powstają w jego obronie, ludzie czynu i woli, jak św. Ignacy, muszą już ograniczać się na ratowaniu ostatnich twierdz, na ratowaniu ducha karności i posłuszeństwa w pozostałych, a już także rozprzęgających się szeregach.

Ale to już więcej akcya ratunkowa, niż akcya apostolska. To już strach o istnienie papiestwa, o samo jądro dowództwa katolickiego, a nie działalność na zewnątrz, zdobywanie serc, podbój duchów, oddzielających się od matki pierwotnej. Do walki z herezyą brak już broni jedynie skutecznej, potęgi ducha. Zastępuje ją coraz bardziej broń najmarniejsza, najsłabsza na polu duchowem, polityka świecka.

I tu już zwolennicy tego poglądu roztaczają coraz smutniejsze obrazy. W tym gmachu ogromnym cisza coraz większa, brak życia coraz zupełniejszy. Niektóre jego skrzydła już w gruzach, lub zamieszkałe przez obcych, którzy je objęli w swe posiadanie i w nich gospodarują, krzewią się i rosną. A w tych komnatach, które jeszcze należą do dawnych władców, i których jeszcze wiele, bardzo wiele, z hieratyczną sztywnością rządzi rutyna. Zamykane są staraunie okna i drzwi, by przypadkiem nie weszło przez nie trochę świeżego powietrza. Nakazane mieszkańcom mówienie i myślenie według przestarzałych formułek, poza tem zaś milczenie absolutne, grobowe milczenie.

Ci zaś, w których tli się iskra wewnętrzna, którzy słyszą dobijanie się wroga z zewnątrz i pragnęliby pobudzić do życia

wewnętrzną załogę, nieliczni są i słabi. Sami zarażeni są duchem apatyi i martwoty swego środowiska, a przerażeni strasznym rygorem klątw i ostracyzmu, grożącego umysłom niezależnym. Karność, potrzebna w swej zasadzie i uprawniona w Kościele, głoszącym swą nieomylność, staje się narzędziem niebezpiecznem, gdy przechodzi w służbę bojaźliwości umysłowej i cenzury ducha, małostkowej i zresztą bezskutecznej, a najszkodliwszej tym, którzy ją wydają.

Bo czego nie wolno poruszać wewnątrz gmachu, to z najzupełniejszą swobodą poruszanem bywa na zewnątrz, z tą tylko różnicą, że zabarwione nieraz bardzo wobec katolicyzmu nieżyczliwie, a w każdym razie oparte na podstawach mu obcych, gdy przeciwnie autokrytyka w samem łonie społeczności katolickiej wychodzić musi z założenia katolickiego, być głosem swoim, życzliwym i kochającym, pragnącym, nie burzyć, lecz rozwijać, nie gasić, lecz zagrzewać.

I dalszy wniosek tych głosów sceptycyzmu wobec działalności Kościoła jest zawsze ten. Nie dopuszczacie krytyki z wewnątrz, a bronicie się zacięcie przed brutalnem prześladowaniem z zewnątrz, lub biadacie nad niem głośno, gdy zmuszani jesteście mu ulegać. Nie rozumiecie, że owa krytyka z wewnątrz, to największy, najlepszy wasz przyjaciel, a owe barbarzyńskie napaści fanatyków antykatolickich stanowią niebezpieczeństwo bardzo względne, gdyż równocześnie wzbudzają dla was współczucie ludzi uczciwych z wszelkich obozów, zmuszają was do, narzuconej wprawdzie i dlatego niedostatecznej, lecz zawsze zbawiennej, baczności i budzą ducha religijnego w waszej społeczności, o ile w niej resztki prawdziwego poczucia katolickiego jeszcze istnieją. Zato zamykacie oczy na niebezpieczeństwo prawdziwe, na straszliwego wroga wewnętrznego, na raka formalizmu i rutyny, który toczy wasz organizm, zabija samą jego istotę.

Typowy przykład Francyi wykazuje dowodnie, że stokroć groźniejszym wrogiem od bloc'u masońskiego, który wyłamuje drzwi klasztorów, jest ustrój francuskiej społeczności katolickiej, która prócz paru czczych i teatralnych manifestacyi, na korzyść wypędzanych zakonników, okazała, że w gruncie rzeczy jest jej

ta sprawa w wysokim stopniu obojętną. Nauczyliście waszą społeczność kultu dla formy i ona w chwili niebezpieczeństwa służy wam też formą. Decorum zostało zachowane, gazety katolickie równolegle z uczciwemi gazetami niekatolickiemi napisały kilka artykułów, leaderowie stronnictwa katolickiego wygłosili kilka mów dość szumnych, w niektórych miejscowościach urządzono nawet okazałe manifestacye przed bramą klasztorną. Ale, gdy pozory zostały zachowane, godność uratowaną, odwrócili się wszyscy od sprawy, która zaczynała już być nudną i powrócili do domu, gdzie ich zajmuje tyle rzeczy stokroć ważniejszych.

Niechby kto przypuścił szturm do kwestyi posiadania, niechby kandydat poselski w programie swoim zamieścił kwestyę zamiany renty francuskiej na własność narodową, a widzielibyśmy tych samych ospałych katolików ogarniętych najwspanialszym zapałem. Wtedy nie ograniczyliby się na formie, na czczych i ostatecznie śmiesznych w swej bezowocności demonstracyach i protestach, ale dbaliby o rzecz, o istotę, o zorganizowanie obrony praktycznej i trwałej. Lecz gdzie chodzi o sprawę Kościoła, tam prócz formy, nie są zdolnymi dać niczego.

Chodzą do Kościoła z grubemi książkami do nabożeństwa, płacą papieżowi świętopietrza pewną ilość milionów franków, którą obecnie zmniejszają o tyle, o ile będą narażeni na płacenie pensyi swoim księżom po zniesieniu konkordatu. Panuje bowiem system w formie i w zmateryalizowanej religii rachunkowość prowadzoną jest dokładnie. Wysyłają deputacye do Rzymu, którym panny z rodzin katolickich dają na drogę ładne szarfy z haftowanemi godłami. Fabryki obrazków nabożnych i rozmaitych dewocyonaliów sprzedają ich ogromne ilości, nagrodzone przytem przez niebo odpowiednim procentem zysku. Dziewczynki w pensyonatach śpiewają hymny ładnie ułożone i grają komedyjki, w których zwycięża wiara, a pogrążoną jest herezya.

Ale poza tym całym rozkwitem i wybujałością formy niema treści, katolicyzm francuski nie posiada już czarodziejskiego talismanu prawdy, która zwycięża, porywa, zapala i tworzy.

Ten drastyczny zaś przykład zmateryalizowania religii, który nam daje czterdziestomilionowe społeczeństwo francuskie, w roz-

maitem stopniowaniu odnajdujemy także w innych społeczeństwach katolickich. Wszędzie brak żywego ducha, wszędzie kult przesadny dla formy, czynienie z niej treści i nieodzowny stąd upadek katolickiej idei. Patrzmy na ogół narodów katolickich w świecie. Czyż w nich widać owoce pierwiastku wyższego od innych, czyż idea katolicka, w którą się u nich przyobleka poczucie religijne, sprawia, że te kraje pod względem społecznym i moralnym stoją wyżej od krajów niekatolickich. Czyż wiekowe w nich istnienie całego władztwa katolickiego, całych pokoleń księży i dewotów świeckich, wytworzyło w tych społeczeństwach ustrój zdrowszy, niż w innych. Czyż królestwa Bożego są te kraje bliższe, czyż mniej w nich zbrodni, mniej zawiści, a więcej miłości bliźniego, większa naprawa życia indywidualnego i krzywd społecznych?

Jak na podobne pytanie, dotyczące wytworów życia umysłowego i zdobyczy myśli, tak i w tym wypadku na polu zastosowania ich w praktyce, odpowiedź musi nastąpić ujemna. Człowiek, w którym ciało zyskuje przewagę, staje się mniejwartościowym. Tak i religia, gdy forma staje się jej podstawą i główną podporą, słabnie i traci na żywotności. Ducha więc waszego reformujcie przedewszystkiem, nawiążcie znowu przerywającą się nić dawnej treści, wspomnijcie na początki, z których wyrósł wasz Kościół, na rozwój jego duchowy w czasach, gdy duch jego się jeszcze rozwijał.

Nie zapominajcie, że prawda sama w sobie niezmienna i nieskończona, stopniowo tylko przenika ducha ludzkiego i objawia mu się bezustannie w ciągłym rozwoju swego zastosowania. Chciejcie o tem pamiętać, a wtedy to wielkie i obszerne miejsce, które jeszcze w ludzkości zajmujecie, przestanie być martwem polem. Zakwitną na niem kwiaty miłości i wiedzy, a ci, którzy je zasieją, zasługiwać będą na miano siewców dobrych. Wtedy katolicyzm, jeżeli nie siłą przewodnią w ruchu religijnym świata, to stanie się przynajmniej potęgą poważną postępu, będzie już nie balastem i ciężarem dla synów Prometeuszowych, wiodących świat na drogi przyszłości, lecz jedną z ich dźwigni i podpór. W wspólnych wysiłkach pracujących umysłów ludzkich ku ugruntowaniu

królestwa Bożego w ludzkości odegracie rolę jednej z sił dodatnich, gdy obecnie rola ta z waszej strony coraz mniej widoczna.

Nie bójcie się tych, którzy was chcą kamienować. Oni to właśnie jedyni, którzy wam dają jeszcze świadectwo życia. Bo nie kamienuje się umarłych. Ale z drżeniem słuchajcie przestróg tych, którzy wam zarzucają nie to, że jesteście katolikami, ale to, że jesteście nimi za mało i za mało chrześcijanami. Zaszczytem dla idei katolickiej jest fanatyczny jej prześladowca, ale smutne jej daje świadectwo większy postęp duchowy u obcych.

Nie puszczajcie mimo uszu uwag tych umysłów, które uznając wasz upadek i powodzenie innych, ubolewają nad brakiem waszego głosu w dyskusyi światowej na polu religii, którzy odczuwają, że w tym akordzie różnych tonów brak katolickiego, i że ten brak stanowi szkodę, nie tylko dla was samych, ale dla ogółu ludzkiego. A prócz tego, gdy w domu własnym rozwiążecie języki i utrzymując przyrodzoną w katolicyzmie karność, zniesiecie gniotący absolutyzm rutyny, usłyszycie może głosy jeszcze inne, z własnego obozu, dotąd nie śmiejące się odezwać, a te z głębi serca kochającego stawią przed waszemi oczyma zarzuty jeszcze cięższe, niż to wszystko, co wam powiedzieli ludzie obcy.

Ci swoi, ci, wierni, powiedzą wam, że absenteizm katolicyzmu na polu ewolucyi myśli ludzkiej jest grzechem przeciw Duchowi świętemu największym, najcięższym, jaki zbiorowo na świecie może być spełnionym, bo oni wierzą, że idea katolicka jest przeznaczoną nie tylko do współdziałania z innymi czynnikami i siłami duchowemi w świecie, ale do kroczenia w najpierwszym szeregu, do odgrywania roli głównej, naczelnej w pochodzie ku światłu, do wznoszenia swej pochodni coraz wyżej i wreszcie tak wysoko, by w końcu oświeciła wszystko i wszystkich. Bo oni wierzą, że depozyt nieskazitelny idei Chrystusowej jest nie gdzieindziej, tylko właśnie w Kościele katolickim, że temu ostatniemu powierzoną została tej idei straż po wsze czasy i troska o jej rozwój, że zamieranie jej w Kościele katolickim jest zamieraniem jej w ogóle wśród społeczności ludzkiej, że zatem zbiorowa wina

i zbiorowa krzywda ze strony katolickiej staje się tu wprost niezmierzoną.

Tak wam powiedzą głosy waszych wiernych, gdy im mówić pozwolicie. Może powiedzą, bo może też zmiarniały i one, może już wiara ich w monopol katolicki idei Chrystusowej jest także formułą przestarzałą i idea ta, uszedłszy z dawnej świątyni, stałej szuka gościny i znajduje ją w świątyniach nowych, na szerokim łanie pracującej i tęskniącej ku prawdzie ludzkości.

II.

Taką jest wiązanka zdań i zarzutów przeciw obecnemu stanowi rzeczy w społeczności katolickiej. Treść ich ogólna zniewala nas do powitania z szczerą radością ankiety nad potrzebami katolickiemi, otworzonej przez tak niewątpliwie katolicki czynnik, jakim jest *Przegląd Powszechny*. Nie jest ta wiązanka zupełną, nie stanowi sumy krytyki, która odzywa się i w naszym kraju. Ale daje ona częściowy obraz tych prądów sceptycyzmu, które, choć mniej głośne od dzikich wybryków antykatolickiego, lub wogóle antyreligijnego, fanatyzmu, choć kryjące się nieraz pod powłoką ironicznej życzliwości i zwyczajowego uszanowania dla instytucyi katolickich, jednak na większą od owych krzykliwych występów zasługują uwagę.

Nurtują one wśród warstw myślących, istnieją często tam, gdzie zresztą zwyczaj katolicki uszanowanym jest starannie, a cały tryb życia bynajmniej nie uprawnia do lekceważenia moralnej powagi krytykujących. Tylko, że krytyki takie, bardzo rozgłośne zagranicą, w Polsce częściej spotkać można w słowie, niż w druku. Kwitną one w pogadankach prywatnych i tą drogą szerzą się coraz dalej, wyłaniając się w naszym kraju niechętnie na otwartą arenę dyskusyi publicznej, gdy przeciwnie na tej arenie kwitnie nieraz rozprawa ostra, przybierająca odrazu postać walki zaciętej, prowadzonej przeciw Kościołowi przez czynniki niewiary i rozstroju.

Na tej publicznej arenie rozbrzmiewają bluźnierstwa umysłowych nihilistów, rozlegają się hasła burzycieli porządku społecznego. Ale cicha i wytworna krytyka tych, których właśnie owe bluźnierstwa i owe hasła przejmują boleścią, a którzy współ-

winę w ich powstaniu i sile upatrują w brakach i niedostatkach ze strony katolickiej, ta krytyka trzyma się zdala od wrzawy wojennej. Ją razi ta walka, w której z obu stron ostrość tonu i stanowczość środków zastosowaną być musi do poziomu sporu, sporu mniej o ideę, niż raczej o władzę, o panowanie.

Z obu stron, bo choć z pewnością po stronie katolicyzmu nie widzimy zastosowywania środków bezczelnych, którymi się posługują jego fanatyczni wrogowie, to jednak gdy przedmiotem napaści jest podkopanie wpływu Kościoła na lud, a szerokie warstwy niepracujących myślą stanowią szachownicę, na której rozgrywają się zapasy, wtedy z natury rzeczy wnikanie w podstawowe głębiny sprawy schodzi nieraz na drugi plan, a agitacya poniekąd techniczna pierwsze zajmować musi miejsce.

Ci, którzy stoją opodal od walki i przypatrują się jej tak często dla katolicyzmu smutnym wynikom, wzrostowi bezustannemu szkodliwych prądów w naszym kraju, ci stanowią ów chór wątpiących. I wśród nich właśnie obok skarg słusznych ujawnia się nazbyt często brak wiary żywej w żywotność sprawy, nad której klęskami ubolewają. A gdy na swoje prywatnie wygłaszane żale usłyszą zachętę, by owszem wystąpili z niemi przed forum powag katolickich, które z pewnością wysłucha ich wywodów i zastanowi się nad zdaniami, pochodzącemi z umysłów poważnych i szczerych, wtedy niemal zawsze następuje odpowiedź, że nie warto, że każda krytyka spraw katolickich przyjmowaną bywa w szeregach kościelnych źle, z nieufnością i niechętnie, a narażoną jest na apodyktyczne podporządkowanie pod kategoryę występów wrogich Kościołowi.

Jedną z podstaw tego sceptycyzmu jest właśnie przekonanie i twierdzenie, że dyskusya w ramach katolicyzmu jest wogóle z góry skrępowaną i utrudnioną. A że tych głosów wcale nie niechętnych, ale zniechęconych, jest dużo, że odzywają się one ze strony czynników, które, wprowadzone w czynne szeregi katolickie i pozbawione swego sceptycyzmu, mogłyby sprawie Kościoła poważne oddawać usługi, przeto z radością powitać należy każdą okoliczność zaprzeczającą ich brakowi otuchy, udowadniającą im, że choć nieraz w praktyce zainteresowanie się ze strony katoli-

ckiej ewolucyą myśli ludzkiej, dyskusya na ten temat i badanie dróg przyszłości bywa zaniedbanem, to jednak bynajmniej nie jest ogólnie zaniechanem, a w zasadzie owszem uprawnionem i pożądanem.

Jedną z takich okoliczności jest ankieta nad postulatami sprawy katolickiej. Nie wątpimy, bo dowodnie wiemy z kilku stron, że rozpisanie jej właśnie wśród owych zwątpiałych wywarło wrażenie. Dlatego też, gdy ramy ankiety są dość szeroko zakreślone i zmieścić się w nich może omówienie zagadnień wielu, niech znajdzie w niej miejsce także nieco autokrytycznych spostrzeżeń o niektórych ducha katolickiego u nas objawach.

Pierwszym zaś autokrytyki warunkiem jest zdanie sobie sprawy z uwag i zarzutów krytyki postronnej i ta właśnie krytyka, dla własnej musi stanowić punkt wyjścia. Przeto rozpisaliśmy się nieco obszernie o pesymizmie ludzi dobrej woli, który choć błędny w swej istocie, gdyż zarażony brakiem wiary w nieśmiertelną żywotność Kościoła, jednak pożytecznym być może wielce, jako odczuwający i okazujący niejeden rzeczywisty brak, wyrażający niejedną słuszną skargę i niejedną obawę usprawiedliwioną wielce, choć nieuprawniającą do ostatecznych konkluzyi, które z niej wyciągają pesymiści.

Oczywistą jest rzeczą, że sprawa ruchliwości umysłowej katolickiej nie może być traktowaną wyłącznie na tle stosunków specyalnie jednego kraju. Ogół oddziaływa tu niewątpliwie na stan rzeczy szczegółowy, a żaden myślący katolik nie zaprzeczy, że stosunek wydatności umysłowej katolickiej do produkcyi duchowej sfer pozakatolickich jest równie dla katolicyzmu korzystnym, jak bywał już w epokach innych, a już wcale nie takim, jakim pragnęłoby go widzieć samopoczucie katolickie.

Gdy bowiem wszystkie inne prądy i organizacye w społeczności ogólnoludzkiej zawsze tylko poczuwają się do działalności cząstkowej, a zatem i do obowiązków i znaczenia cząstkowego, gdy żadne z nich powszechności i wyłączności swej przewagi nie stawia jako kardynalną zasadę, przeciwnie jeden tylko katolicyzm już samą swą nazwą powszechności dzierży godło, a wyłączność swą jako dziedzictwa Chrystusowego wszem wobec

zawsze stwierdza. Koniecznym tego wynikiem jest, że nietylko krytyka postronna osobną stosuje miarę do społeczności religijnej, wszystkie inne społem potępiającej i jedynozbawstwo swoje głoszącej, ale także miara sądu własnego ze strony katolików wierzących o katolickich sprawach osobną być musi i tak wysoką, jak wysokiem w oczach naszych dostojeństwo katolicyzmu.

Gdy tę miarę do sądu naszego przyłożymy, wtedy rzeczywiście niejedno w *status quo* katolickiem wyda nam się nieodpowiedniem, a niejedno również z krytyki wątpiącej ludzi z zewnątrz przyswoimy sobie pod postacią krytyki dodatniej i twórczej w swoich wynikach.

Główną i podstawową różnicą krytyki ściśle katolickiej od krytyki innej będzie zawsze tło, na którem z natury rzeczy tak nadzieje jak postulaty, jak obawy katolickie muszą się ujawniać. Tem zaś tłem jest niewzruszona wiara nie tylko w Boski początek i monopol Boskiego posłannictwa Kościoła powszechnego, lecz także w bezustanną nadnaturalną ingerencyę w jego sprawy.

Wierzymy, że Kościół, to nie tylko związek społeczny, pracujący nad uszczęśliwieniem ludzkości w obrębie ogólnoświatowej ewolucyi, ale także i przedewszystkiem, że w nim żyje i działa istotnie i nierozdzielnie z nim złączony Boski pierwiastek, sprawiając, iż mimo wszelkich ułomności ludzkiego organizmu, który on ożywia, organizmu tego celowość ostateczna jest z konieczności Boską. Z tego wynika, że obawy i krytyki katolickie o życiu Kościoła odnosić się mogą tylko do objawów częściowych tego życia, nigdy zaś do jego istoty i zasadniczego kierunku, a tak samo nie do jego trwałości i ostatecznych wyników.

Nie możemy zatem podzielać obaw, że żywotność Kościoła zaniknie, że niwa jego wyjałowieje, a idea Chrystusowa opuściwszy starą świątynię, znajdzie gościnę i rozkwitnie poza nią na szerokiem polu dążącej do postępu rzeszy pozakatolickiej. Wierzymy i wiemy, że Kościół katolicki jako taki zaniknąć nie może, że sprawować będzie Boskie swoje posłannictwo na ziemi aż do końca czasów, zmienny w organicznie postępujących objawach swej działalności, ale niezmienny w swej początkowej i obecnej istocie, jako ten sam od pierwszej chwili po wsze czasy, a nie

jako ogniwo łańcucha organizacyj, któreby, wyłaniając się jedna z drugiej, następowały po sobie.

W społeczności ogólno-ludzkiej, w bezustannej ewolucyi i rozwoju jej ducha, przedstawia Kościół czynnik stały i skończony w swej istocie, nie mogący podlegać zmianom tej istoty, zawierający w sobie potencyonalnie, a koniecznie, całą skalę rozwoju przyszłego w zastosowaniu prawdy odwiecznej do życia ludzkiego. Nie tylko nie możemy obawiać się, że zaniknie żywotność Kościoła, ale tak samo nie wątpimy, że dokona on całej pełni swego posłannictwa, że zdziała to wszystko, co jest jego przeznaczeniem i ostatecznym celem, będącym zarazem ostatecznym celem całej ludzkości.

Wiemy i wierzymy, że Kościół jest nie tylko powszechnym w celowości swego założenia, ale także, że będzie nim w swych owocach, że jemu tylko jest przeznaczonem spełnić dla powszechności światowej ojczenaszową prośbę: Przyjdź królestwo Twoje.

Ale zaznaczywszy te podstawowe różnice pomiędzy ściśle katolickiemi a postronnemi, choćby życzliwemi, zapatrywaniami na żywotność Kościoła, przyznajemy krytyce z zewnątrz prawo do tego, by była bacznie uwzględnianą z naszej strony w swoim pesymizmie co do objawów czasowej działalności katolicyzmu na polu umysłowo-społecznem, a tak samo na polu wyrabiania się indywidualnego. W tej mierze, choć nieraz pesymizm jej także uznamy jako przesadny, przyznamy jej jednak chętnie wielostronną słuszność, a stwierdzimy równocześnie, że równolegle z nią postępuje autokrytyka katolicka, bynajmniej nie tak skrępowana i nie tak ospała, jak zdawaćby się mogło patrzącym z zewnątrz.

Wszędzie tam, gdzie nie zaprzecza istotnym zasadom i prawom Kościoła, gdzie dotyczy czasowej formy działalności zbiorowej lub indywidualnej jego członków, krytyka jest najzupełniej dozwoloną, z uwzględnieniem oczywiście, jak wszędzie, względów taktu i odpowiedniego forum. Ale właśnie ta zasadnicza swoboda w tej mierze sprawia, że znów krytyce nie przyznaje się monopolu obserwacyi. Forum katolickie nie udziela jej praw sędziego, lecz adwokata tej lub owej myśli, tego lub owego prądu. Takie

samo zaś prawo głosu posiada wobec społeczności katolickiej przedstawicielstwo myśli lub prądu przeciwnego owemu krytycznemu. Obie strony mają prawo odzywać się i zwalczać się w dyskusyi, a nawet w czynie. Sędzią zaś jedynym i absolutnym jest nieomylna władza kościelna, najwyższa, która w oczach obu stron, dopóki obie pozostają na terenie ściśle katolickim, posiada sama jedna prawo ostatecznego rozstrzygania, moc zasadniczego potępienia i zasadniczej aprobaty.

Ale ten sędzia choć absolutny w swoich wyrokach, nie szafuje niemi często. Owszem pozostawia obustronnej dyskusyi zazwyczaj czasu dużo. Decyzye jego negatywne, potępienie zasadnicze, następuje tylko, gdy głos dyskutującego zaprzecza istocie samej Kościoła, gdy naruszonym jest uznany już, sformułowany i ogłoszony dogmat. Jeszcze rzadszą zaś jest aprobata ostateczna, formułowanie nowej, organicznie z poprzedzającemi złączonej, od początku istniejącej, choć czasowo jeszcze nie wyrażonej dogmatycznie, zasady.

Tak samo zaś, jak na polu stałej kodyfikacyi zasad, postępuje to władztwo najwyższe w ciągu wieków na polu współczesnego zastosowywania uznanych już zasad podstawowych do bieżących potrzeb społeczności ludzkiej. I tu pozostawia dużo swobody ścierającym się prądom i tu pozwala im wpływać na siebie wzajemnie. I rzecz dziwna, ta właśnie swoboda rozumianą jest najczęściej przez spoglądających z zewnątrz jako gniotący absolutyzm rutyny, jako karność zwyrodniała w chińszczyznę.

A gdy zapytamy dlaczego, mimo nawet dobrej woli patrzącego, nieraz tak fałszywą jest jego ocena, winę musimy tu przypisać brakowi rozróżniania enuncyacyi katolickich według ich obowiązującej dla katolików wartości i ważności. Każdy objaw ciasnoty umysłowej ze strony poszczególnych członków Kościoła uważanym bywa jako występ zasadniczy Kościoła samego. A przecież właśnie w kościele katolickim, posiadającym wszystkim wiadome władztwo ustawodawcze, w daleko mniejszym stopniu, niż we wszystkich innych społecznościach chrześcijańskich, wolno identyfikować zdanie, lub czyn poszczególnego członka z ideą i duchem całości.

Wśród społeczności protestanckiej, uznającej zasadniczo dowolność interpretacyi doktryny, głosy nauczających czynników przez swą różnorodność dają świadectwo panującej w protestantyzmie istotnej zasadzie, a tem samem poczytane być mogą jako wyraz rzeczywisty samejże protestanckiej idei. Przeciwnie w katolicyzmie tylko władztwo najwyższe posiada prawo formułowania ogólnie obowiązujących zasad i tylko te, które przezeń są niewzruszenie postawione, odgrywać mogą rolę rzeczywistego i urzędowego przedstawicielstwa idei katolickiej.

Wszystko zaś, co poza tem, wszelkie głosy i występy poszczególne członków Kościoła, o ile nie obracają się na terenie prawd dogmatycznie określonych, są poniekąd głosami prywatnymi, choćby wygłaszanymi przez osoby, posiadające charakter kapłański, i dlatego nie mogą być uważane jako przedstawicielstwo κατ' ἐξοχήν idei katolickiej. Mogą dla niej pracować, ale nie przedstawiają koniecznie jej istoty.

Gdy zatem wśród tych głosów występuje nieraz na jaw usposobienie wrogie krytyce, gdy działalność katolików usposobionych krytycznie spotyka się z przeciwieństwem innych katolików, usposobionych niekrytycznie, gdy dążenie do naprawy tego lub owego niedomagania na polu życia katolickiego, zwalczanem bywa, nawet bezwzględnie, przez czynniki apatyi i wsteczności, wtedy zawsze sumienny obserwator stwierdzi, iż powodem tego ostracyzmu postępu nie jest zbyt mała wolność, lecz raczej owa stała ostrożność i wstrzemięźliwość nieomylnego dowództwa Kościoła, która autonomii jego członków bardzo szerokie pozostawia pole.

A teraz przestawiwszy zarzut krytyki postronnej na teren katolicki, tj. stwierdziwszy, że nie chodzi tu o istotę i istnienie Kościoła niezwyciężonego i nie mogącego być zwyciężonym, lecz o mniejszą lub większą wydatność działalności jego członków, chętnie przyznamy krytykującym, że objawy życia i usposobienia katolickiego w świecie, choć dalekie od stanu smutnego, który im przypisuje sceptycyzm ludzi spoglądających z zewnątrz, bynajmniej nie zdają się wystarczającymi tym, którzy sprawy ka-

tolickie sądzą wysoką miarą, odpowiadającą zadaniu i godności katolicyzmu.

Jak drzewo olbrzymie i starodawne, tak rozrosła się społeczność katolicka od czasów apostolskich po dni dzisiejsze. Konarów tego drzewa wyrosła ilość nieskończona. Niektóre obłamały wichry i burze, inne obumarły lub obumierają, ale zewsząd wyrastają pędy młode i świeże, z tego samego zawsze korzenia, z tych samych zawsze źródeł, czerpiące swe soki.

Spoglądając na historyę wieków widzimy, że najstraszniejszemi, a jednak przetrwanemi były burze czasów niemal najpierwszych, owe wielkie odszczepieństwa pierwszych wieków chrześcijaństwa, gdy aryanizm, gnostycyzm, manicheizm, pelagianizm, montanizm, eutychianizm i tyle innych herezyi szturmowało do podwalin epoki Piotrowej. Przyszedł wielki rozdział wschodni, po nim drugie wielkie odszczepieństwo reformacyi. Duch wieku nieraz i nie tak jak teraz, ale wielokrotnie i stokroć groźniej powstawał przeciw Kościołowi, a znajdował w społeczności katolickiej tak potężne punkta oparcia, że zdawało się współczesnym, iż chyba owładnie zupełnie rzeszą katolicką.

Przyszły niebezpieczeństwa gorsze od herezyi, rozdwojenie świata katolickiego pod władzą dwóch papieży, z których każdy ciskał klątwy na drugiego, każdy dziedzictwo Piotrowe w mniemaniu milionów dzierżył w swem ręku. Już nie antagonizm przeciw władzy papieskiej ujawniał się wśród wiernych, ale samo dzierżycielstwo władzy, sama postać zewnętrzna namiestnictwa Chrystusowego była sporną w oczach zastępów katolickich.

A jednak w sposób zaiste cudowny, jedność została uratowaną, prawdziwe następstwo i filiacja apostolska pozostała określoną i utrzymaną właśnie wtedy, gdy z epoką humanizmu nadchodziły czasy takiego rozprzężenia obyczajów, takiego zaniku życia katolickiego wśród najwyższego władztwa, takie otwarte wyłamywanie się protestujących z szeregów katolickich, że dla tych, które pozostały, jedynie istota apostolskiej sukcesyi i prawowitość najwyższej władzy były wierności ich zadatkiem i przyczyną.

Tryumfującym, powszechnym, nie tylko w swojem założeniu

ale także w swem panowaniu, będzie Kościół, według własnego dogmatu, dopiero w przyszłości. Od początku zaś swego istnienia aż do chwili obecnej i w dniach następnych, których długość nam jest zakrytą, nazywa sam siebie Kościołem wojującym. I to nie tylko z wrogami postronnymi, ale także z wrogiem wewnętrznym, z ułomnością i ciemnotą wciąż zwalczaną, ale wciąż rodzącą się wśród własnych członków.

Walczy z duchem ciemności w katolickich szeregach idea Chrystusowa. Jej złote pasmo snuje się poprzez ciemności pychy i niewiary, a gdzie jej bieg jasny i promienny, tam zakwitają kwiaty purpurowe męczeństwa i miłości. Ci, którzy twierdzą, że ideę Chrystusową przedstawia całokształt członków Kościoła, mylą się tak samo, jak ci, którzy widząc, jak wiele z tych członków choruje i obumiera, mniemają, że Boska treść opuszcza ciało społeczności katolickiej, że idea Ukrzyżowanego uchodzi z walącej się świątyni.

Tak jedni jak drudzy zapominają o istocie rzeczy, zapominają o tem, że Chrystus jest w Kościele, ale że rzesza katolików nie jest Chrystusem, że owszem najtrudniejszą walkę przychodzi idei Chrystusowej staczać z niedostatkami w progach świątyni samej, z kupczącymi w niej lub śpiącymi. Istota Kościoła i dogmat i władza jest i będzie do końca wieków Chrystusową, ale nie Chrystusowymi wielu z tych, którzy w świątyni obrali swą siedzibę, obcy jej duchowi, niezgodni z jej ustrojem.

Ci, którzy szukają okiem ewolucyi myśli katolickiej wśród ogólnej ewolucyi myśli ludzkiej, niech badają ewolucyę idei Chrystusowej wśród społeczności katolickiej. Niech badają, jak ta idea cierpi i walczy i jaśnieje, coraz bardziej oczyszczona z naleciałości, coraz czystsza w swej postaci, w swem zewnętrznem objawianiu się. Niech spoglądają na drogę, którą ona musi przebyć, zanim może promienieć na zewnątrz, na ogół ludzkości. Niech ocenią, ile wpierw musi zwalczyć niechęci, apatyi w własnym obozie, wśród tych, którzy z nazwiska jej są zwolennikami, jak twardą, jak zastarzałą nieraz ta skorupa, którą wypada jej przebić.

Osobny to temat wdzięczny a wspaniały — idea Chrystusowa

w społeczności katolickiej. Niech zajmą się nim ci, którzy widzą zanikanie pierwiastka Bożego w Kościele. A wtedy zobaczą, jak rdzennie, jak istotnie on w nim żyje i działa. Zobaczą, że nie zmieniło się nic od czasów katakumb i rzymskiej areny, że choć formy nieraz inne, ale treść ta sama, że zawsze zaparcie się siebie i miłość, miłość, która kruszy skały i wskrzesza umarłe, że ona, jak dawniej, jest ogniem życia w Kościele. Niech wnikną w ducha mistycznej oblubienicy Chrystusowej i sprawy jej mierzą tą miarą, która jej jest właściwą i przyrodzoną, miarą nadprzyrodzoną.

I zobaczą rzeczy dziwne ich oczom. Zobaczą, że ta siła tajemna, która odżywia zewnętrzny, wiekowy, organizm kościelny czerpie swe soki z mistycznych źródeł ukrytych nieraz głęboko, nieznanych gawiedzi patrzącej. Te lampy mądrości, te światła Bożego ducha spoczywają w rękach nieraz nieznanych, istot umarłych dla świata, tak samo, jak w potędze geniuszu Augustynów, Hieronimów i Akwinatów.

Jak w organizmie ludzkiego ciała kształty zewnętrzne są widzialnemi dla drugich, ale tylko wiedzący odgaduje bieg krwi i soków wewnętrznych, tak samo i w organizmie katolicyzmu istnieje osobna ekonomia wewnętrzna, niewidzialna dla nieumiejących jej odgadnąć, rządzona osobnemi prawami tajemnej łączności dwóch światów: ziemskiego z pozaziemskim. W tych głębinach szukać należy podstawy, z której bezustannie wychodzi idea Chrystusowa na pole szerokie społeczności katolickiej, jak niegdyś tak i dziś niesiona często przez nielicznych, jak niegdyś tak i dziś działająca cuda, zdobywająca na pozór niezdobyte warownie, sprawiająca, że ten wielki organizm wciąż odnajduje siły do dalszego istnienia.

W wielkim pochodzie idei Chrystusowej w Kościele i społeczności katolickiej jasno występuje na jaw jej bezustanna ewolucya. Ów postęp w zastosowaniu prawdy odwiecznej do potrzeb czasu istnieje w katolicyzmie pomimo zaprzeczeń wątpiących. Lecz taki postęp, jaki wypływa z istoty dziedzictwa Chrystusowego, będącego znów uzupełnieniem, udoskonaleniem starego zakonu, jego odmianą Bożą i Bożym przyczynkiem.

Zasady i podstawy wiary i życia według myśli Bożej dane są nam już w przykazaniach, w ewangelii, w naukach Zbawiciela i w dogmatycznie przez Kościół ustałonych prawach. Nowych zasad, nowych podstaw ani nam szukać, ani znaleźć możliwem. Ale szukać nam trzeba, znajdować jest przyrzeczonem, coraz to nowe zastosowywania objawionej prawdy. Rzeczywistą treścią życia synów Bożych jest ten obowiązek, ta właściwa im wewnętrzna potrzeba i pragnienie postępu w zrozumieniu prawdy, w coraz jaśniejszem jej oglądaniu, coraz obfitszem, zupełniejszem przenikaniu przez nią ludzkiej pracy i dążeń.

I prawda, że jest nieskończoną, nie ustaje w objawianiu się coraz to obfitszem, coraz to obszerniejszem, choć pełnia jej zasady nam już od dawna objawioną. Ale nie pełnia postaci, nie pełnia wyników, skutków i owoców. I dlatego do końca czasów prosić będziemy — święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje.

Tu stajemy na polu postępu katolickiego, postępu Kościoła, i tylko na niem stanąwszy, możemy ten postęp należycie ocenić. Znaczy go szereg dogmatów i enuncyacyi najwyższego władztwa, ale wszystkie one są zawsze tylko nowem sformułowaniem tego, co już w istocie i naturze Kościoła istniało i spoczywało. Stąd pochodzi niesłuszność zarzutów z zewnątrz, gdy twierdzą, że Kościół nie umie dogonić biegu ewolucyi ogólnoludzkiej, że jego występy spóźnione w zasadzie, i że nowe prawidła powstają gdzieindziej, wywołując tylko ze strony Kościoła słabe i niesamodzielne echo.

Tak mają się rzeczy np. ze stanowiskiem Kościoła wobec kwestyi społecznej. Niewątpliwie, że encykliki i występy Kościoła ostatnie w tej mierze nastąpiły wtedy, gdy od lat już socyalizm zapuścił swe korzenie wśród ludów Europy, gdy kwestya socyalna w obecnej swej formie była od lat już postawioną. Ale prawda też, że Kościół odzywając się w tej sprawie, przypomniał tylko prawidła, które od czasów Chrystusowych zawsze wyznawał i do wierzenia podawał. Przypomniał i przypomina zaś w nowych słowach i nowej formie, gdy ewolucya społeczna objawiła równolegle do rozwoju w czynie i myśli, także cały orszak niesnasek międzyklasowych, gdy ewolucya budująca i rodząca przybierała

i przybiera niejednokrotnie znamiona rewolucyi burzącej i niszczącej.

Kościół jako władza duchowna spełnia swój obowiązek zabierania głosu wobec stawianych przez ludzkość zagadnień i określania stosunku ich do prawd Bożych, Kościół przestrzega, gromi, uczy i stanowi, ale jako władza duchowna jest właśnie władzą, zarówno zaś, jako organizm, jest społecznością katolicką. Właściwa praca katolicka w ewolucyi myśli i dążeń i czynów ogółu ludzkości jest zadaniem i obowiązkiem indywidualnym i zbiorowym członków tej społeczności.

Chrystus nie stworzył królestwa tego świata. Apostołom swoim i uczniom kazał nieść słowo Boże i ducha Bożego w autonomię ludzkich urządzeń, uznając tę autonomię, tę dziedzinę wolnej woli, samotwórczości ludzkiej. A równocześnie ze słów jego i nauk wypływa wcale nie wyłącznie dla władztwa duchownego, ale niemniej i dla ogółu wiernych obowiązek w tej samotwórczości działać w imię jego i pracować nad tem, by ona przyjętą została duchem Bożym, by dążyła do celów Bożych.

Zharmonizowanie się zupełne, utożsamienie się w ostatecznem zjednoczeniu, dziedzictwa Chrystusowego z ustrojem ludzkości, to dopiero cel i wynik ostatni, to owe królestwo, o którego przyjście prosimy w modlitwie Pańskiej. Ale zanim ten wynik dojrzeje, istota Kościoła, jako nieomylnej strażnicy wiary Chrystusowej, nie może być utożsamianą z ogółem rzeszy katolickiej, rozmaitej w swoim składzie, stopniu wyrobienia, ludzkiej jednem słowem i w autonomii ludzkich dążeń pracującej nad dojściem do owej ostatecznej harmonii, nad osiągnięciem ostatecznego celu

I znów samo władztwo Kościoła tylko w swej istocie i nadprzyrodzonem namiestnictwie esencyonalnie wznosi się ponad tę autonomię i dla objawów jej jest doczesnym najwyższym trybunałem, gdy przeciwnie akcydentalnie, poza obrębem swego nieomylnego arbitrium, znajduje się i działa także w zakresie autonomii ogólnoludzkiej razem z resztą członków katolickiej społeczności, razem z powszechnością stworzeń śmiertelnych, obdarzonych duszą nieśmiertelną, wolną wolą i wypływającemi z posiadania tej wolności skutkami.

Gdy zatem wiekowa działalność namiestnictwa Chrystusowego przedstawia nam się nie pod postacią rodzącej w bólach ewolucyi, lecz owszem jako postępująca bez zboczeń (nawet w potencyi) filiacya w dogmatycznem określaniu i oświetlaniu corazto liczniejszych właściwości już objawionej Prawdy, to wszystkie inne sprawy katolickie istotnie ewolucyi ciągłej podlegają.

Ta ewolucya dążąca do królestwa Bożego, do przeniknięcia ustroju ludzkości duchem Bożym, duchem świętym, jest ludzką, autonomiczną, wolnościową, bo z wolnej wypływającą woli, a tem samem podległą właściwościom ludzkim, zboczeniom, cofaniom się i błędom, tak samo, jak postępowi, oczyszczaniu się, usprawiedliwianiu w celach i środkach. Pracuje i dąży ludzkość cała, pracuje w niej i dąży katolicyzm, a jak ona, i on cierpi, jak ona, i on walczy, wyrabia się, rodzi i płodzi. Ponad nią posiada, ją przewyższa w zasadzie tylko tem, że złączonym jest bezpośrednio i podległym owemu czynnikowi nadprzyrodzonemu, nieomylnemu trybunałowi ostatecznemu władzy najwyższej.

A różni się od niej i tem jeszcze, że sam uznając swoje pierwszeństwo, sam głosząc swoją wyłączność i swe prawo do powszechności, sam też zniewala krytykę postronną i autokrytykę w własnych szeregach do większej surowości. Gdyż, jak na sztandarze białym każda plamka zdala już jest widoczną, tak i usterka każda lub zaniedbanie ze strony katolickiej szczególnie jest rażącem i do protestu zachęcającem.

Protest jednak jest sam w sobie rzeczą jałową: bezpośrednio nie tworzy niczego. Działać może i działał też już nieraz pośrednio, gdy sprowadzając przesilenie w organizmie Kościoła, narażając go na ataki zewnętrzne, oczyszczał go w ogniu walki. Ale autokrytyki katolickiej zdrowym owocem on nie jest i nigdy nie był. Jej bowiem dziełem jest nie negacya lecz afirmacya, nie sądzenie i nienawiść, ale tworzenie i miłość, jest. ewolucya a nie rewolucya.

I tu mamy przed sobą różnicę pomiędzy nowatorstwem świętych, a nowatorstwem odszczepieńców. I jedni i drudzy nie godzili się z współczesnym sobie stanem rzeczy. I jedni i drudzy pragnęli zmian. Ale gdy święci, każdy w swoim zakresie, budo-

wali dalsze piętra dawnego gmachu, heretycy uciekali ze świątyni i nowe sobie przybytki budując, obrzucali kamieniami stary. Święci i wszyscy w obrębie społeczności katolickiej, którzy choć w cząstce swej działalności im są podobni, t. j. pracują nad ugruntowaniem królestwa Bożego w ludzkiem społeczeństwie, byli i być muszą przedstawicielami afirmacyi, która samem swem objawieniem się rozprasza to, co przeżyte, skrzywione, szkodliwe.

Nie dumnym protestem, lecz dobrym czynem usuwa niedomagania prawdziwy zwolennik postępu. W ewolucyi bowiem zastępowanie każde jest zarazem następowaniem.

Gdy zatem stwierdzamy zasadę ewolucyi w katolicyzmie i ewolucyi katolicyzmu w całokształcie dążeń ogólnoludzkich, stwierdzamy również, że znamieniem postępu zdrowego może być tylko snucie dalej, snutej od wieków przędzy, a nie przerywanie jej wątku. W ten sposób rozwija się też ewolucya katolicka w najrozmaitszych swoich stopniach i rodzajach.

Spojrzmy na tę ewolucyę od szczytu.

Widzimy jeszcze w wieku piętnastym papieża idącego z mieczem w ręku do szturmu obleganego miasta. A ten wojowniczy obraz Juliusza II w zbroi i szyszaku jakże odmiennym jest od postaci Piusa IX, gdy, trzy wieki później, korzył się w modlitwie wśród huku dział walących w Porta pia.

I oto widzi się coraz większe przenikanie zewnętrznej postaci władztwa najwyższego, jego istotą, Chrystusowego namiestnictwa. Dawniej widzieliśmy na tronie Piotrowym świętych, ale także widzieliśmy na nim Aleksandrów szóstych. Istota władzy była ściśle odgraniczoną od osoby sprawującego ją. I dziś jest nią w zasadzie, ale coraz mniej w praktyce. Dziś, choć tak samo, jak dawniej, ludzkie charaktery są rozmaite, jednak w uczuciu społeczności katolickiej, w rzeczywistości praktycznej, wręcz niemożliwym jest na tronie papieskim człowiek nie tylko taki, jakim był Borgia, ale także tacy, jakimi byli wielcy przecież i zasłużeni, gromowładny twórca ligi w Cambray i uczony Eneasz Sylwiusz. a niemożliwy dziś kardynał nie tylko taki, jak Pompeo Colonna, Ile nawet taki, jak pożyteczny w swoim czasie rycerz Albornoz.

A proces ten konieczności społecznej uduchownienia osobi-

stego postępuje nieustannie i sięga coraz niżej, coraz szerzej. Już dziś duchowieństwo parafialne wychowywane jest nie tylko przepisami z góry, ale także przez kryteryum społeczeństwa, w którem ono żyje, kryteryum zaś to rośnie bezustannie, staje się coraz bardziej wymagającem. W dyecezyach od biskupa do wikarego wpływ i znaczenie wobec ludu warunkowanem jest stopniem uduchownienia osobistego, wartością moralną dzierżyciela godności kapłańskiej.

I w tem jest postęp ciągły, jest ewolucya logiczna i nieustanna. Kręgi jej przekraczają już ramy hierarchii duchownej, widoczne są coraz wyraźniej wśród rzeszy świeckiej. Kto z świeckich podnosi sztandar katolicki, spotyka się z równie ścisłem sądzeniem swego życia i charakteru. Symboliczne umywanie rąk przy ołtarzu, staje się dla wszelkiego apostolstwa realną podwaliną działania.

Na całym wielkim obszarze katolickiego świata spełnia się w naszych oczach ten objaw ewolucyi, na którego przygotowanie składały się wieki. Harmonia wygłaszanego słowa z życiem i wiarą uczącego, coraz ogólniej staje się koniecznością w poczuciu ludu katolickiego. To zaś, co rzesza rozumieć zaczyna, to zaczyna i dla siebie jako prawo wyznawać, i to własne, autonomiczne, z poczucia wypływające, będące koniecznem dopełnieniem prawa bezpośrednio Bożego.

Dopóki bowiem przykazanie jest tylko przykazaniem, dopóki z zewnątrz obowiązuje człowieka, dopóty może wprawdzie istnieć w nim spokój wewnętrzny, oparty na zaparciu się własnego instynktu i na posłuszeństwie kierowanem przez wiarę, ale nie może być harmonii wewnętrznej. Ta ostatnia istnieje dopiero wtedy, gdy prawo Boże tak dalece przenika człowieka, że jego własne poczucie, potrzeba i pragnienie, zastępują mu przykaz. Otóż dziś widzimy, że w społeczeństwie katolickiem to poczucie harmonii życia z wiarą rośnie i wzmaga się. U nas w Polsce tak samo jak i gdzieindziej. Ktokolwiek umie patrzeć, ten nie może nie dostrzedz tego objawu ewolucyi.

Gdy przed półtora wiekiem rozpasana, rozpita i zgnuśniała szlachta ostentacyjnie głosiła swój katolicyzm, umiała śpiewać go-

dzinki i dzieliła swój czas między nabożeństwami, pijaństwem i burdami sejmikowemi, znosiła ten stan usposobień publiczna opinia. Wtedy od stu lat dopiero była zgnębiona reformacya w Polsce, jeszcze trwało wrażenie przebytego niebezpieczeństwa, jeszcze głównym, kardynalnym postulatem dbających o sprawę religii, było potęgowanie wśród rzeszy poczucia przynależności do organizacyi kościelnej. Wszystkie inne postulaty pozostawały na drugim planie. A dziś! Dziś w krajn naszym opinia, poczucie ogólne, jakże się zmieniło.

Dziś harmonia zasad z życiem jest już postulatem ogółu, dziś brak jej niemal zawsze spotyka się z krytyką, osłabia znaczenie osobistości lub organizacyi, w której się ujawnia. Co chwila dziś w życiu publicznem widzimy przykłady tego objawu. Coraz stanowczej panuje zasada: umyjcie sobie wpierw ręce, zanim przystąpicie do pracy. Działajcie z rękami czystemi.

A wszędzie tam, gdzie stan przedstawicielstwa katolickiego nie odpowiada wymogom poczucia ogólnego, gdzie słowa a życie nie są złączone istotną harmonią, tam wszędzie odzywa się krytyka głośna lub cicha, ale zawsze istniejąca jako protest tego poczucia, zbudzonego dziś nie tylko w umysłach głębszych, ale wśród ogółu. Wzmogła się w szeregach katolickich tolerancya wobec przekonań przeciwnych, wzmaga się zaś krytyka wobec przedstawicielstwa własnego.

Dziś nikt nikogo nie wyzwie na szable za to, że śmiał uchybić temu lub owemu świętemu, ale niemal w każdym odezwie się ironia, jeżeli nie jeszcze inne uczucie, gdy ujrzy, jak to mianowicie bywa we Francyi, a zdarza się i w innych krajach, że »dobrze myślący« pan, noszący wysoko sztandar tradycyi i religii, sam do siebie inną stosuje miarę. Niesłyszane dawniej zdania objawiają się wobec wielu obchodów i uroczystości katolickich. Słychać zdania takie — sto tysięcy ludzi wyprowadzają na ulicę, folgują instynktowi manifestacyjnemu, wrodzonemu każdemu tłumowi i cieszą się, gdy przez miasto ciągnie krasny orszak chorągwi, feretronów i, gdzie wolno, kontuszów; a czy z całej tej parady wyniknie choćby jedna cnota więcej, choćby jeden dobry uczynek, jedna waśń zaniechana.

Takich głosów nie zabrakło w naszym kraju, a niesłusznem byłoby potępiać je zupełnie. Choć forma ich niestosowna, treść ich nie jest antykatolicką. Badając ściślej, o co chodzi tym, którzy wyrażają się w ten sposób, a pomijając innych, którzy zaczepiają manifestacye dla tego, że są katolickie, właśnie wartość ich w naszych oczach podnoszą, widzimy, że nie krytykują oni samej ceremonii. Oni tylko ubolewają nad brakiem proporcyi pomiędzy zewnętrznemi objawami a wewnętrznem ugruntowaniem religii. Nie żądają oni, by te objawy zmalały, lecz by dorosła do nich i uprawniła je treść istotna, treść życia. I gdy w ten sposób pojmiemy ową krytykę, wtedy owszem uznamy ją jako oznakę ducha zdrowego, poczucia prawdziwie religijnego.

Twierdzą przeciwnicy, że w katolicyzmie forma zabija myśl, że rzesza katolicka materyalizuje się coraz bardziej i obrzędy coraz mniej wpływają na życie jednostek i społeczeństwa.

Nam zaś w odpowiedzi na to twierdzenie wolno postawić zapytanie do katolików myślących, czy w szeregach katolickich nie budzi niesmaku, nie wywołuje krytyki, każdy objaw materyalizowania religii? Możemy śmiało stawić to zapytanie, bo wiemy, że da nam ono sposobność stwierdzenia po stronie katolickiej ducha żywego i dążącego do harmonii treści z formą.

Powiedział wieszcz niemiecki: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.* Kto chce sądzić ducha panującego wśród rzeszy katolickiej, ten musi wniknąć w jej życie, zrozumieć jej język, jej uczucia, jej sposób wyrażania tych uczuć. Kto sam pochodzi z kół ściśle katolickich, kto się wśród nich obraca, zna ich pojęcia i tęsknoty, ten wie, jak bardzo rozpowszechnionym jest postulat owej harmonii, ten wie, jak wszystko, co jej przeciwne, coraz liczniejszym jest wprost przykre lub nawet wstrętne. Kobieta biegnąca na mszę, lecz swarząca się z mężem, lub zaniedbująca dzieci, dom, w którym broń Boże kawałek mięsa nie pojawi się w piątek na stole, ale który swoją drogą słynie z lekkiego życia; częste spowiedzie i cały aparat religijny zachowywany skrupulatnie, ale waśń rodzinna, nienawiść, wzajemne przykrości na porządku dziennym, te i tym podobne objawy niezgody formy z treścią religii, nie spotykają się dziś wyłącznie

z napomnieniami zasadniczemi spowiednika lub kaznodziei. Im przeciwstawia się dziś zbudzone coraz bardziej poczucie ogólne rzeszy świeckiej. A jak w życiu prywatnem tak i w publicznem. Nadużywanie powagi religii do celów niereligijnych staje się coraz trudniejszem dla nadużywających.

W społeczeństwie katolickiem objawów zmateryalizowania religii nie brak, a całe kraje dają nam jego smutny przykład. A te właśnie objawy bijące w oczy uwzględniane i podnoszone są przez pesymistów postronnych. Ale chcąc słusznie ocenić stan rzeczy, powinniby owi krytycy zbadać i ocenić, jak żywym jest właśnie w takich wypadkach wzrost opozycyi i protestu w sumieniach katolickich, jak wzrasta w nich potrzeba walki przeciwko konwencyonalnym kłamstwom udanej religijności i obłudzie pompatycznego faryzeizmu. Zaiste na tem polu ewolucya katolicyzmu jest tak widoczną, że już nie jej potrzebę, lecz istnienie jej, wypada nam stwierdzić.

Lecz, gdy na te nasze słowa bezstronna krytyka zgodzić się będzie zniewoloną, odgadujemy bezpośrednio po tem przyznaniu następujący jej odwet. Powie nam ona to, co już jej na wstępie niniejszej rozprawy, choć innemi słowami, włożyliśmy w usta. — Ależ owo pożądanie harmonii słowa z życiem, ów tryumf wiary, to stopień ewolucyi już przeżytej, gdy oczom naszym widocznym już jest dalszy, gdy w świecie całym widnieje brzask epoki nowej, epoki miłości w czynie.

Dziś już nie wystarcza nam wierzyć i życie osobiste kształtować tak, by wiary przepisów nie przekraczało. Dziś w świecie całym odbywa się olbrzymi wysiłek pracy społecznej, w ustawodawstwie, w staraniach ludów, by porządek społeczny dostroić do rozwoju myśli. Oto szczebel ewolucyi dalszy, następujący bezpośrednio.

Dziś toruje sobie drogę zasada, że nie wystarcza wierzyć, nie wystarcza samemu własnem życiem nie przekraczać prawideł wiary, ale że z rosnącą świadomością ewolucyi, świadome działanie w niej i przyczynianie się do niej staje się obowiązkiem, gdy dotąd było tylko istniejącem co prawda zawsze i właściwem naturze ludzkiej, lecz przeważnie nie oświetlonem świadomością pra-

widłem. Jakże zaś wobec tego obowiązku przedstawia się działalność katolicyzmu w świecie, jakim na tle ogólno-katolickich stosunków jest przyczynek do dzieła rozwoju i postępu ze strony katolicyzmu polskiego? Czy wogóle katolicyzm ogólny i polski dotarł już do tego szczebla nowego, czy uznaje zasadę ewolucyi w dziedzinie ducha i czy przyjmuje wynikające z tego uznania konsekwencye?

I znów wobec takiej apostrofy powrócić nam należy do uwagi wyrażonej poprzednio, do stwierdzenia, że nierówną miarą mierzy krytyka sprawy katolickie a sprawy inne. I dlatego nie zaczniemy w odpowiedzi naszej wyliczać długiego szeregu przelicznych enuncyacyi katolickich, stających zupełnie na terenie ewolucyi świadomej, nie będziemy wyliczać pomników katolickiej nauki, lecz owszem zasadniczo i z radością przyznamy postronnym głosom słuszność zupełną, gdy katolickie rzeczy sądzą wybredniej, niż inne, gdy więcej od katolików wymagają, a w wypadkach, gdy działalność katolicka równą jest działalności pozakatolickiej, lub ją niewiele przewyższa, biadają nad biernością i apatyą katolicką. Ta bowiem miara, ten sposób sądzenia jedynie jest słusznym i sprawiedliwym.

Dzielniej zatem, niż apologią, odpowiedzieć tu możemy stwierdzeniem potężnych głosów autokrytyki katolickiej, które pozornie potwierdzając niejeden z zarzutów krytyki postronnej, w rzeczywistości jednak wytrącają jej broń z ręki. Stanowią bowiem dowód niezbity żywotności, swobody zdania i impulsu jednostek w obrębie katolickiej społeczności.

Weźmy jako przykład niesłychanie ciekawe debaty na temat spraw społecznych w łonie specyalnie włoskiego katolicyzmu. Znane są one dość ogólnie i nie pozostały bez wpływu na ruch idei wśród ogółu katolickiego. Spojrzmy na śmiałość, na głębokość sądu, na genialne wprost odezwania się takiego księcia Kościoła, jak np. biskup Bonomelli.

Jeżeli Francya stanowi przykład upadku idei Chrystusowej w kraju katolickim, a Hiszpania i Portugalia dają nam obraz zacofania krajów, w których katolicyzm jest religią ogółu, to naprzeciw tym przykładom stawić możemy z krajów romańskich

Włochy, w których równocześnie z podnoszeniem się ogólnego poziomu, podnosi się także i wzmacnia po bardzo ciężkich przejściach i pomimo ciągłej roboty przeciwnej ze strony masoneryi, idea katolicka.

A z krajów germańskich widzimy w najpotężniejszym, pierwszem dziś mocarstwie świata, niezwyciężonej Anglii, tak wielką skłonność do powrotu na łono społeczności katolickiej, że przed niewielu laty anglikański Highchurch powrotu tego już przedstawiał Rzymowi warunki.

W roku ubiegłym daną nam była sposobność rozmawiania z wybitnym duchownym anglikańskiego kościoła o sympatyach jego współwyznawców do katolicyzmu. Na zapytanie, co głównie przyczynia się do wzrostu tych sympatyi właśnie wśród kleru i wogóle wśród warstw oświeconych, brzmiała odpowiedź — w protestantyzmie nam za ciasno, za sztywno, za sucho. Protestantyzm przeżył się u nas, nie idzie z duchem wieku. Staje się coraz bardziej religią oderwaną od rzeczywistości, od życia praktycznego, staje się formą tylko. Nie rusza się z miejsca, nie posuwa się naprzód, podczas gdy myśl ludzka i potrzeby i dążenia wyprzedzają go coraz bardziej. A tu pokazują nam tacy ludzie, jak kardynałowie Wiseman, Newman i Manning, jak cały szereg ich współpracowników, że katolicyzm, choć starszy od anglikanizmu, jest jednak wewnętrznie młodszym i żywotniejszym, że w jego olbrzymim organizmie przetwarza się bezustannie myśl ludzka i pracuje nad rozwiązaniem zagadek wieku. Autokrytykę, ciągłe poznawanie tego, w czem się jest zacofanym i co jest zadaniem dnia obecnego, świadomość ewolucyi, jednem słowem życie, znajdujemy stokroć częściej w Kościele rzymskim, jak we własnym. I dlatego, szanowny panie, coraz więcej u nas kapłanów i świeckich, którym we własnym gmachu za ciasno i za zimno, i którzy pragną obalić ostatnie zapory, dzielące ich od wielkiej, szerokiej niwy katolickiego, powszechnego Kościoła.

Tak mówił ów wysoki dygnitarz anglikańskiego wyznania, a to jego świadectwo zapisaliśmy sobie, jako cenny objaw sądu ze strony z pewnością nie podejrzanej, ze strony, przemawiającej nie *pro domo sua.*

Lecz oto niech zabierze głos potentat myśli katolickiej zupełnie współczesny, bo żyjący i działający obecnie na posterunku najciekawszym z całego katolickiego obozu, w społeczeństwie będącem synonimem postępu, wolności, swobody i życia, w Stanach Zjednoczonych wolnej Ameryki, arcybiskup Ireland. A gdy słów jego przytoczymy choć kilka, gdy okaże się w nich myśl wielka, czysta i uroczyste wyznawstwo ewolucyi w katolicyzmie, wtedy zapytamy wątpiących, czy potrafią nam wskazać, choćby jedną inną społeczność religijną na świecie, w którejby przedstawiciele władzy i to władzy wysokiej w podobny odzywali się sposób o potrzebach i stosunkach we własnym obozie. Posłuchajmy zatem owego głosu znamiennego.

W świecie całym — mówi genialny apostoł amerykański — żyje i działa idea Chrystusowa. Przedstawicielem jej jest jako organizacya Kościół katolicki. Ale poza nim w szerokim świecie pracują dla tej idei liczne, przeliczne jednostki. Pracuje dla niej każdy, kto polepsza byt swoich bliźnich, każdy kto pogłębia myśl ludzką, każdy przyczyniający się do postępu. Pomiędzy tymi wszystkimi, a zdrową, żywotną częścią rzeszy katolickiej istnieje w rzeczy, choć nie w formie, wspólność wysiłków, wspólność impulsu. A dzieli nieraz tylko nieznajomość prawdziwego ducha katolickiego. Jakże często, jak przeważnie sądzą postronni społeczność katolicką według członków jej przestarzałych i zmrożonych w rutynie. Pokażmy tym wszystkim ludziom dobrej woli, że u nas dla ich zapału, dla ich poświęcenia i ducha miłości, więcej miejsca, że swobodnie i bezpiecznie im w murach Chrystusowego grodu.

Bo chwile wielkie nadchodzą. Stu łożyskami płyną strumienie Chrystusowej myśli, Chrystusowej miłości poprzez szeroki świat. One wszystkie kiedyś złączą się, spłyną do wspólnej matki rzeki, do katolickiego, powszechnego Kościoła. Więc rozumiejmy tę wspaniałą, niezmierzoną harmonię celów, harmonię sił. Nie odgraniczajmy się murami formalizmu i zmateryalizowania żywego ducha wiary. Miejmy miłość, miłość tę podstawę wszelkiego apostolstwa, tę walną przeciwniczkę, pychy, faryzeizmu, rutyny i zabobonu. Miłość, która widzi, że świat cały przetwarza się bez-

ustannie, i dla której wstydem nie jest przyznanie się do udziału w ewolucyi, lecz raczej wstydem byłoby bizantyńskie stwierdzenie, że katolicyzm powiedział już może ostatnie słowo, że wszystko w niem skończone i doskonałe, że myśl w nim niema się już przetwarzać i wyrabiać, nauka niema badać i zdobywać.

Uczmy się więcej, badajmy więcej, zaostrzajmy nasze oczy, by widziały potrzeby wieku, by rozróżniać umiały przyczyny nieporozumień pomiędzy duchem wieku, a duchem Kościoła. Boć jeden jest duch, choć różny w swych objawach, a tego Ducha świętego panowanie i królestwo przygotowywać wszystkiemi winniśmy siłami naszego jestestwa.

Nie liczmy się zbyt ostrożnie z rozwojem myśli w czynie wszechświatowym, lecz ten rozwój myśli, tę adaptacyę jej do czynu, to przebudowywanie ciągle gmachu ludzkiego, Bożego, posuwajmy naprzód całą mocą naszej wiary, naszej miłości. Nasz wiek jest wiekiem pracy nad reformą społeczną, nad postępem sprawiedliwości społecznej. A zarazem wiekiem postępu materyalnego. Uprzytomnijmy sobie to i idźmy w pierwszych szeregach, idźmy nie razem z drugimi, lecz przed drugimi z światłem, z pochodnią. A tych z pomiędzy siebie, którzy nie mają miłości i zdążyć nie mogą w tym ruchu naprzód, pozostawmy poza sobą, nie pozwólmy im opóźniać naszego pochodu.

Nie ujadajmy się o rzeczy niezasadnicze, jak to się tak często wśród nas działo i jeszcze dzieje, nie bądźmy jak ów kapłan znany mi z lat dziecinnych, który sto razy powiedział mi — idź do Kościoła — a raz tylko — bądź porządnym człowiekiem, kochaj Boga i bliźniego i pracuj dla drugich, dla ludzkości.

Tak przemawia biskup katolicki, książe Kościoła, potentat myśli katolickiej. Czyż potrzeba więcej przykładów?

A jeżeli o naszym kraju wypadnie nam mówić, czyż potrzeba przypominać, w jak strasznych warunkach większość naszej ojczyzny dotąd pozostaje, jak bardzo wszystko w niej, a zatem i Kościół, nieraz nawet najbardziej Kościół, jest skrępowanym? I zaiste niezgody pomiędzy duchem wieku, a duchem Kościoła nie widzimy dziś u nas. Więcej niż w którymkolwiek kraju katolickim Kościół żyje u nas wspólnem życiem z narodem, i gdy

dla niego pragniemy rozwoju i postępu myśli katolickiej, to w równej mierze postępu tego i rozwoju pragniemy dla kraju w jego całokształcie. I myśl żywotna, myśl biegnąca naprzód w sprawach, powstających i żądających rozwiązania, ukazuje się nam współcześnie ze strony katolickiej, a nawet wprost kościelnej w Polsce.

O przykłady tu nie trudno. Wspomnijmy na początki akcyi socyalnej w Galicyi, na pobudkę do czynu, przestrogę przed niebezpieczeństwem grożącem, które wyszło z ust zakonnika. Wspomnijmy w tej samej dziedzinie na enuncyacye biskupie, z których dumnym może być nie tylko Kościół polski, ale całe społeczeństwo.

Przechodząc do innych dzielnic, wspomnijmy jak wielkim, jak przeważnym jest udział duchowieństwa wielkopolskiego w wychowaniu społecznem ludu wiejskiego, w opiece i podniecie jego organizacyi zawodowych, w podnoszeniu jego poziomu tak, że przewyższa on dziś poziom ludności niemieckiej.

Lecz nie zbaczajmy z torów zakreślonych nam przez krytykę obcą, sceptycyzm z zewnątrz. Mówił on nam o bierności całej społeczności katolickiej. Uogólniał. Tą samą ironią łączył katolików kapłanów z katolikami świeckimi, hierarchię duchowną z rzeszą wiernych. I z tej oto powierzchności jego wątpienia wyrasta dla nas sposobność stwierdzenia, napełniającego serce pociechą, że w żadnym może kraju na świecie, idea katolicka nie odgrywa takiej roli w całokształcie usiłowań i dążeń narodu, ile właśnie w Polsce. Słyszeliśmy poprzednio krwawą ironią zaprawione uwagi o stutysięcznej armii duchownych apostołów francuskich, która dokazała tyle, że kraj z roku na rok odwraca się od sprawy Chrystusowej. Odpowiedzmy zatem argumentem polskiego apostolstwa duchownego, któremu inne wydać możecie świadectwo.

W Polsce Kościół i społeczeństwo tak zespolone razem, tak zrośnięte w cierpieniach, pracy i życiu całem, że śmiało o apostołach idei Chrystusowej u nas powiedzieć możemy, po owocach ich, sądźcie ich. U nas, nie tylko że ogół postępu i pracy narodowej nie leży poza obrębem działalności katolickiej, ale ta działalność tak dalece jest ogólną, idea katolicka tak dalece przenika

inicyatywę postępu i dorobku społecznego, że wprost nie wiele znajdziemy objawów czynu prawdziwie dodatniego, któreby tą ideą nie były przejęte, nie nosiły jej znamienia, nie głosiły swej do niej przynależności.

Co się w Polsce dobrego działo w ostatnich dziesięcioleciach i dziś dzieje, to najprzeważniej, to niemal zawsze, nosiło i nosi na sobie piętno katolickie. Ludzie nauki i społecznego czynu, to u nas w swej większości, przeważnej większości, ludzie przejęci ideą katolicką. Chcąc okazać, jaką u nas odgrywa rolę katolicyzm, można wskazać na całokształt naszego dorobku narodowego i szukać raczej starannie wyjątków, przykładów ludzi antykatolickich lub niekatolickich, którzy rzeczywiście coś dla kraju pożytecznego zdziałali.

Lecz stwierdzenie tego stanu rzeczy, choć zaprawdę pocieszające, staje się zarazem podstawą do twierdzenia, że właśnie u nas katolicyzm, tak przeważną w życiu narodowem odgrywając rolę, tem większe ma zadanie przed sobą, tem bezpośredniej się otwierające drogi czynu. Drogi te są tak szerokie, a równocześnie tak trudne i cierniste, jak te, które całej sprawie rozwoju narodowego otwierają wielkie zdarzenia chwili obecnej.

Na całym obszarze naszej ojczyzny mnożą się potrzeby, zmieniają się warunki życia i to nie, jak w większej części innych społeczeństw, jednolicie, lecz wskutek wiekowego już podziału Polski, w wysokim stopniu odmienne. Z punktu widzenia katolickiego, pod wszystkiemi zaborami góruje u nas kwestya socyalna, ale w każdej dzielnicy posiada ona odrębne znamiona. Stosunkowo najnormalniej i najobszerniej wystąpiły wobec niej od dawna czynniki katolickie polskie pod zaborem pruskim, ale i tam, mianowicie na Śląsku, bardzo wiele jest jeszcze pola nieuprawionego. Jest go nawet obecnie coraz więcej, wobec trudnych stosunków narodowościowych, które sprawiają, że lud polski uciskany przez czynniki niemieckie, w coraz większem znajduje się przeciwieństwie także do katolików niemieckich, nierozumiejących potrzeb ewolucyi narodowościowej. Zastąpienie dyrektywy tych ostatnich przez katolickie wpływy polskie, niedopuszczenie, by

z rozdwojenia katolickiego skorzystał *tertius gaudens*, bezwyznaniowy socyalizm, to wielkie i trudne zadanie.

A o ileż większą, o ileż trudniejszą jest jeszcze praca, której konieczność zapowiada się na ogromnym terenie zaboru rosyjskiego. Tam wszystko jest jeszcze mgliste, niepewne, zależne od nieobliczalnych dziś jeszcze okoliczności. Tam miliony ludu naszego żyją wśród ogólnego chaosu i przeobrażania się stosunków. Z tego zamętu może już niebawem wyłaniać się zaczną podwaliny nowego porządku rzeczy. W olbrzymiej pracy, która tam społeczność naszą czeka, w nieskończoność rosną także obowiązki katolicyzmu. A może także i niebezpieczeństwa dla niego. Bo wśród intelligencyi, wśród części myślącej społeczności naszej pod zaborem rosyjskim, nie przeszło bez śladu długoletnie skrępowanie wszelkiej działalności katolickiej, wszelkiego katolickiego wpływu. Tam też, jak w żadnej innej dzielnicy naszej ojczyzny, w pracy narodowej znaczny posiadają wpływ czynniki nienależące wogóle do społeczności katolickiej.

Nowych więc zadań nie brak u nas nigdzie, a i starych, znanych nam już dobrze i podjętych od dawna, nie możemy zaniedbywać i nie prowadzić ich dalej. Bo i one rozwijają się i wymagają całego naprężenia sił ze strony katolickiej. Galicya, w której stosunkowo największą swobodą cieszą się nasze czynniki katolickie, najlepszym tego dowodem. Prześladowania, także i skrępowania czynników katolickich niema wśród milionowej dziś ludności polskiej w Ameryce, a ileż tam zadań trudnych staje przed oczami myślących katolików, jakież i tam obszerne pole do pracy.

Wszędzie, gdzie brzmi mowa polska, w ojczyźnie czy na obczyźnie, działa i pracuje duch polski, myśl polska. W tym całokształcie ewolucyi i rozwoju, idea katolicka ma obowiązek i prawo współdziałania, utwierdzania swego wpływu, zdobywania nowego, wskazywania dróg nowych, kroczenia razem z ruchem ogólnym, narodowym, społecznym, umysłowym.

A że, jak już zaznaczyliśmy, dotąd cieszy się ona w społeczności polskiej tak niezaprzeczoną powagą, jak może w żadnej innej, więc tem większy dla niej ten obowiązek, tem znaczniejszą miara, którą katolicyzm polski do kryteryum swej działalności

sam winien przykładać. Gdy zaś zadanie ważne jest i trudne, wciąż należy badać, wciąż zastanawiać się nad sposobem i rodzajem pracy, której ono wymaga. Zagadnienie im głębsze, tem lepiej winno być oświetlanem.

Przeto z wszystkich postulatów dotyczących działalności katolickiej u nas, pierwszym i najważniejszym jest sam obowiązek badania i zastanawiania się nad potrzebami wieku i jego niebezpieczeństwami w zastosowaniu ich do naszych stosunków. I dlatego na wstępie niniejszej rozprawy zaznaczyliśmy, że sam fakt rozpisania ankiety o potrzebach sprawy katolickiej, samo odezwanie się w tej sprawie do ogółu myślących, stanowi spełnienie częściowe zasadniczego katolickiego postulatu. To zaś spełnienie powinno być dopełnianem ciągle, nieustannie, przez organizacye zbiorowe tak samo, jak przez jednostki.

Czyn katolicki poprzedzać, kierować nim i ożywiać go, powinna ciągła troska o poznawanie istoty ewolucyi ogólnej w społeczeństwie, o śledzenie jej objawów, przewidywanie jej dalszego rozwoju. Ankieta o sprawach katolickich, podjęta przez katolickie czynniki a przystępna szerokim kołom, jest oznaką czasu. Niech nie będzie odosobnioną, niech stanie się hasłem.

Franciszek Morawski.

Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Chcąc na powyższe pytanie ankiety odpowiedzieć, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę, czem był katolicyzm dla Polski w przeszłości, następnie dlaczego w rozwoju naszego narodu obecnie nie odgrywa tej roli, jaką powinien, a dopiero na takiem tle mogą się wyraźnie uwydatnić szczególniejsze zadania katolicyzmu w Polsce w dobie obecnej.

Czem był katolicyzm dla Polski w przeszłości? Patrzmy na fakty. Katolicyzm przyjęty przez Mieszka I, ochronił nas od losu ludów połabskich. On nam dał niezawisłość kościelną od imperyalizmu germańskiego za Chrobrego. On kazał nam szukać

pierwiastków europejskiej kultury u samego źródła na Zachodzie romańskim. On dał nam materyalną kulturę szerzoną wraz z duchową przez Benedyktynów, Norbertanów, Cystersów, Dominikanów, Franciszkanów i t. d. Katolicyzm okiełzał despotyzm pogański pierwszych Piastów, on wywalczył pierwsze swobody społeczeństwu polskiemu na przełomie XII i XIII wieku. W chwili zupełnego rozstroju politycznego w XIII wieku katolicyzm podtrzymywał ideę jedności narodu. U trumny kanonizowanego biskupa Stanisława powstało hasło zjednoczenia Polski. Katolicyzm w osobie Pełki i Świnki ratował nas przed germanizacyą na przełomie XIII i XIV wieku. Katolicyzm pierwszy potępił moralnie zwyrodniały zakon krzyżacki, grożący naszej egzystencyi. Idea katolicka pchała Kazimierza W. do ratowania Rusi Czerwonej z pod jarzma pohańców tatarskich i litewskich pogan. Ta sama idea zgotowała Polsce największy tryumf, pokojowe nawrócenie Litwy i jej unię z Polską przez chrzest Jagiełły i ślub jego z Jadwigą. Propaganda katolicka na Wschodzie, oto rodzicielka głównego ogniska cywilizacyjnego w Polsce, *Almae matris Jagiellonicae.* Sobór kostnicki dokonał moralnego pogromu średniowiecznej zachłanności germańskiej w krzyżackim kapturze, skruszonej na polach Grunwaldu. Katolicyzm polski urzeczywistnił w części czy w XV, czy w XVI wieku najdonioślejsze zadanie w dziejach chrześcijańskiego społeczeństwa, t. j. połączenie Kościoła zachodniego ze wschodnim. Katolicyzm odrodził i wzmocnił na czas pewien rozprzężone rewolucyą reformacyjną społeczeństwo polskie z końca XVI wieku. Katolicyzm uczynił Polskę przedmurzem chrześcijaństwa w XVII wieku, dał nam Chocimy, odsiecz wiedeńską, Żółkiewskich i Sobieskich. Katolicki duch Kordeckich i Czarneckich uratował korab polski z odmętów potopu szwedzkiego. Katolicyzm nawet w ogólnem znikczemnieniu społeczeństwa XVIII wieku, ratował honor Polski w Konfederacyi Barskiej, w postaciach Puławskich, biskupa Krasińskiego i O. Marka. Odrodzenie się nowej Polski z konstytucyą 3 maja, jako dewizą, odbywa się już nie na katolickiem, lecz wolnomyślno-encyklopedycznem tle, nie należy jednak zapominać, że ten ruch odrodzenia miał swój początek w katolickiej reformie szkolnictwa, dokonanej

przez ks. Konarskiego. Wiek XIX, to czas martyrologii polskiej. Naród nasz przechodzi wszelkie bóle, wszelkie złości; lecz do wyżyn prawdziwego męczeństwa, do niepokalanego bohaterstwa i poświęcenia pierwotnych chrześcijan wzniosły się o katolicyzm oparte tłumy unitów podlaskich, mieszczan krożańskich i ludu wielkopolskiego w czasie walki kulturnej. Najwspanialsze więc czyny i postaci w dziejach polskich, to wonne latorośle, wyrosłe z winnej macicy Kościoła katolickiego.

A jednak mimoto katolicyzm dzisiaj w przodujących obecnie warstwach narodu naszego, niema ani takiego wpływu ani miru, jaki mieć powinien. Jest zapoznawany, jest lekceważony, jest napastowany i wyszydzany. Czem się ta zagadka tłumaczy?

Dante w »Boskiej komedyi« (Piekło pieśń XIX w. 82—85) potępiwszy papieża Bonifacego VIII za świętokupstwo niesłusznie i usadowiwszy go w ósmem kole piekielnem, gorzej, ale całkiem słusznie się obszedł z Klemensem V, zwąc go »pasterzem niegodnym i mistrzem podlejszej sprawy« za to, iż się zaprzedał Filipowi Pięknemu, królowi Francyi i wydał Kościół, oblubienicę Chrystusową, w niewolę władzy świeckiej i duchowi świeckiemu. Od tego czasu Kościół Boży przez 6 wieków więcej lub mniej ograniczany, więcej lub mniej gnębiony ze strony potęg tego świata, przechodzi istną martyrologię. Jeżeli dzieje Kościoła są przedłużeniem życia Chrystusa w rozwoju ludzkości, tedy 6 wieków ostatnich możnaby nazwać przedłużeniem męki Chrystusowej w dziejach ludzkości, straszliwą walką idei Chrystusowej z poglądami tego świata. Zeświecczonym sługom Kościoła ciska w początku XIV wieku natchniony wieszcz florencki potężne słowa potępienia:

Was w ewangelii wytknął pisarz Boży,
Gdy o niewieście przepowiadał owej,
Która z królami ziemi cudzołoży,
Co się zrodziła potwór siedmiogłowy.
I moc swą z rogów ciągnęła dziesięci,
Dopóki grzech jej nie zgubił mężowy,
Czemżebo od was różnią się wyklęci
Poganie, w kruszcu swe mające bogi,
Jak, że im jeden, a wam się stu święci?

Historya nieudałej reformy kościelnej w XV wieku, dzieje rewolucyi religijnej w XVI wieku, cesaropapizmu państwowego w XVII, rewolucyi politycznej w XVIII, a spółczesnej w XIX wieku, są tych wieszczych słów wymowną ilustracyą, zarówno w dziejach europejskich, jak i polskich, z tą tylko różnicą, że w nas duch średniowiecznego idealizmu chrześcijańskiego i wolności Kościoła przetrwał do połowy XV wieku, do czasów nawrócenia Litwy, do warneńskiej wyprawy, do rozkwitu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Najnowsza krytyka historyczna usiłuje wykazać, iż Polska najwyższy swój rozkwit osiągnęła w połowie XV wieku za Kazimierza Jagiellończyka, że najwymowniejszym wyrazem wielkiej mądrości politycznej tego władcy i jego potęgi, było przywłaszczenie sobie prawa nominacyi biskupów na wzór władców zachodnich. Zdaniem naszem, to ujarzmienie Kościoła polskiego przez władzę polityczną, było fatalnem w swych skutkach pogwałceniem pierwiastku chrześcijańskiej moralności w narodzie, przeciwko czemu daremnie się opierały najtęższe umysły XV w., Zbigniew Oleśnicki i Jan Długosz. Rychło bowiem wskutek osłabienia władzy monarszej, rząd nad Kościołem przywłaszczyła sobie szlachta, rezerwując sobie najwyższe dostojeństwa w Kościele polskim. I tem się stało, że w owczarni Chrystusowej, gdzie tylko narodziny z Boga uprawniają do synostwa Bożego, decydowało pochodzenie z krwi, kastowość, tyle zawsze i wszędzie Kościołowi szkody przynosząca. Naród szlachecki narzucił Kościołowi, instytucyi najbardziej demokratycznej, dobór swoich sług w zarządzie kościelnym zaledwie z jednej dziesiątej części wszystkich wiernych. Jakie były tego następstwa, tego dowodzi historya biskupów polskich XVI wieku, między którymi był nie jeden Gamrat i nie jeden Uchański myślał o protestanckim Kościele narodowym. Opinia choćby kapituły krakowskiej o biskupach polskich, wysłana w połowie XVI wieku do Rzymu (jaskrawo) uwydatnia, jakiegoto rodzaju byli ludzie, dzierżący wonczas ster w Kościele polskim. Dość wspomnieć między innemi, że Zygmunt August nasłał klasztorowi lubińskiemu na opata, swego sekretarza, człowieka żonatego, sprzyjającego he-

rezyi. Najtęższi ówcześni teolodzy, najgorętsze serca kapłańskie w rodzaju Hozyusza, Skargi lub Wujka, zarządzali Kościołem tylko na partykularzu warmińskim, lub w zakonnej szacie mogli co najwyżej dobroczynnie oddziaływać na losy Kościoła, nie zaś nim kierować. W XVII wieku czuć pewne odrodzenie się episkopatu pod względem kościelnym, niestety uprzedzenia kastowe, od jakich najlepsi wśród wyższego duchowieństwa nie byli wolni, zaprzepaściły wielkie dzieło unii, albowiem najgorliwsi i najpobożniejsi biskupi polscy zbyt wiele czuli ekskluzywności szlacheckiej, aby biskupa unickiego dopuścić do senatu i w ten sposób usunąć główne zarzewie waśni religijnej, rozdzierającej naszą ojczyznę. Z tej też ekskluzywności płynęła ówczesna nietolerancya w kierujących sferach kleru polskiego nietylko wobec doktryny innowierczej, co zupełnie jest słuszne, lecz i wobec innowierców, co sprzecznem jest z duchem miłości Chrystusowej, a co nam tyle szkody w historyi przyniosło. Następstwem tej fanatycznej bigoteryi bez ducha Chrystusowej miłości, był zupełny upadek ducha religijnego na wyżynach społecznych XVIII wieku, oraz tego rodzaju przedstawiciele episkopatu, jak Krasiccy, Poniatowscy, Kossakowscy, Massalscy. Jeżeli rząd polski takie osobistości sadzał na stolicach biskupich, czyż można się dziwić, że rządy obce, wrogie i innowiercze starały się o mianowanie przedewszystkiem powolnych sobie narzędzi na biskupów, którzy niejednokrotnie zaprzedawali całe dyecezye wrogom Kościoła, a w najlepszym razie grzeszyli bałwochwalczym serwilizmem wobec potęg świeckich?

W takich warunkach wychowane pokolenia uczyły się przedewszystkiem bizantyjskiego serwilizmu wobec władzy duchownej czy świeckiej, zupełnie odmiennego od szacunku dla władzy i posłuszeństwa w duchu Bożym. Wszelka krytyka, choćby najsłuszniejsza, ujemnych objawów w życiu kościelnem, ta męska, otwarta krytyka chrześcijańska, datująca się od św. Pawła, a mająca przedstawicieli w najdzielniejszych i najświętszych obrońcach Kościoła, ta uchodziła często za bunt, a pełzające lokajstwo wraz z pokątnemi intrygami, stało się synonimem chrześcijańskiej pokory i roztropności, najpewniejszym objawem prawowierności i nieodzowną

drogą do karyery. Następstwem tego stało się identyfikowanie Kościoła ze wstecznictwem, z ultrakonserwatyzmem i ultralojalnością. Krytykę zaś i reformę przeżytych i niesprawiedliwych urządzeń objęli nie, jak za czasów świetności Kościoła, słudzy Chrystusowi, lecz rewolucyjny agitator, sceptyczny filozof, albo radykalny żyd-publicysta.

Czy jednak tylko te ujemne objawy stanowią charakterystyczne znamię ówczesnych dziejów Kościoła polskiego? Nie, stanowczo nie — świętości, poświęcenia, ofiary i miłości było u nas wiele, bardzo wiele, nawet w episkopacie szlacheckim, że wymienimy choćby tylko biskupów z rodu Łubieńskich, Krasińskich, Załuskich. To tylko było smutnem, iż ci naprawdę Chrystusowi słudzy w zarządzie Kościelnym, nie odegrali w społeczeństwie przodującej roli, nie zdołali upadającej w wyższych warstwach narodu moralności chrześcijańskiej i ducha katolickiego wzmocnić i ocalić. Rządy zaś obce starały się i starają jeszcze wszelkimi sposobami wykluczyć od zarządu Kościołem u nas jednostki silne, energiczne i niezawisłe. Pomyliły się nieraz potęgi rozbiorowe przy nominacyi biskupów, zawiodły się na Hołowińskich, Łubieńskich, Felińskich, Ledóchowskich bez kwestyi, ale to fakt, że wpływ innowierczych rządów na obsadzanie biskupstw, że wpływ antykościelny państwa w zarządzie Kościelnym, jest zbyt silny, aby nie miał ujemnie oddziaływać na stosunki Kościelne w dawnych ziemiach polskich. I tym wszechpotężnym a wrogim tak często wpływem państwa tłumaczy się lękliwa niejednokrotnie hyperdulia kleru wobec każdego życzenia rządu, ba, wobec każdego reprezentanta rządu najbardziej Kościołowi wrogiego. My rozumiemy, że każdy katolik prawy oddać winien wszystko, co jest cesarskiego, cesarzowi, ale tam, gdzie żądają niesprawiedliwości, chcą krzywdy katolickiego społeczeństwa, tam lękliwość nietylko przynosi ujmę społeczeństwu, ale wyrządza największe szkody Kościołowi, a równocześnie podkopuje podwaliny państwa.

Zrozumiały to wreszcie decydujące czynniki w Galicyi, gdzie józefinizm i liberalizm głównie przyczyniły się do obniżenia poziomu religijno-moralnego w społeczeństwie, do zaognienia się stosunków klasowych i fermentu społeczno-politycznego i posta-

rały się w ostatniej dobie o wybór ludzi najtęższych i najgodniejszych na stolice biskupie bez względu na krew i pochodzenie. Krok ten nad wyraz rozumny wywołał ogromne oburzenie w niektórych z uprzywilejowanych. Od jednego z najzacniejszych kapłanów, pochodzenia arystokratycznego, słyszałem w tym względzie dziwnie niekatolickie zdanie. Skutki ostatnich nominacyi biskupich pod zaborem austryackim z pewnością za lat kilkanaście dadzą się odczuć bujnym owocem katolickiej pracy i akcyi. Na razie jednak jeszcze wiele pozostało starego kwasu z dawnych oligarchiczno-józefińskich czasów, tak, że trudno się z niejednym objawem katolikowi oswoić. Albo to dawne czasy, kiedy prości awanturnicy lub oszuści za gięcie się w kabłąk przed osobistościami wpływowemi za faryzejską gorliwość, ofiarność lub bigoteryę, za Potemkinowskie obrazy akcyi katolickiej otrzymywali ordery i godności kościelne? Dawneż to czasy, kiedy inspiracye co do działalności społeczno-katolickiej pochodziły niejednokrotnie od ludzi, którzy wolą widzieć w Sejmie posła socyalistę, niż księdza, jako reprezentanta ludu wiejskiego? Dawneż to czasy, kiedy obronę interesów katolickich uzurpowały sobie organa, zwalczające najusilniej demokracyę chrześcijańską lub poczytujące lekkomyślne zohydzanie świętych Patronów polskich za najświetniejszą zdobycz naukową? Widzimy dziś w naszym katolicyzmie wiele dodatnich objawów, czyż widzimy jednak owoce, jakie dałaby prowadzona w całym kraju jednolicie akcya chrześcijańsko-społeczna w myśl encykliki »*Rerum novarum?*« Mamy duchowieństwo w znacznej części przejęte duchem Chrystusowym, czy jednak zawsze wspólność akcyi istnieje ta, jaka istnieć winna między członkami wojującego Kościoła? Czy panuje kontakt, między duchowieństwem świeckiem i zakonnem, ta spoistość niezbędna w sztabie generalnym armii wojującej. I tem się dzieje, że Kościół, ta najlepsza i najmądrzejsza matka, ta piastuna europejskiej cywilizacyi, jeszcze dziś jest, jak była, nie mistrzynią, lecz sługą prostą w naszych domach i naszem społeczeństwie. Wprawdzie się jej jako starej zaufanej klucznicy w obecnych zawichrzonych czasach więcej względów okazuje, nawet w rodzinnem kółku do stołu sadowi, niech tylko jednak zawita do nas obcy przybysz,

czy polityka frakcyjna, czy postęp pseudo-naukowy, czy literacka nowość, czy sztuka podkasana, a starą klucznicę odsyła się czemprędzej do czeladzi, by swą archaiczną naiwnością nie przyniosła ujmy domowi wobec renomowanych przybłędów. Tymczasem tysiące prostaczków i maluczkich z roku na rok zabiera nam najchytrzejsza, najprzewrotniejsza i najbezbożniejsza propaganda rewolucyjna, tymczasem w najhaniebniejszy sposób poniewierają naszemi najświętszemi uczuciami codziennie awanturnicze przybłędy, rozpasane młokosy, innowiercze pismaki i socyalistyczni agitatorzy, a my zaledwie na płaczliwe narzekanie się zdobywamy, my, których liczą na miliony, my, którzy na własnych śmieciach siedzimy!

Jakie więc wobec takich stosunków są szczególniejsze zadania, które katolicyzm w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Pierwszem zadaniem jest, zdaniem mojem, aby ewangeliczna sól ziemi, stała się na całej linii ewangeliczną Chrystusową solą. Niech tylko duch Chrystusowy przeniknie całe duchowieństwo na ziemiach polskich w tym stopniu, jak już tego prześliczne przykłady dzisiaj widzimy, a katolicyzm odzyska w narodzie to samo znaczenie, jakie sobie zdobył za Innocentych III, za Sykstusów V i Batorych. Duchowi Chrystusowemu nie sprosta żadna piekielna brama, żadna błyskotliwa utopia naukowa, żaden najwymowniejszy agitator. Duchem Chrystusowym przejęty kler usunie bez trudności główne przyczyny skarg przeciw Kościołowi, on ureguluje na wzór Kościoła niemieckiego sprawę »*jura stolae*«, przez ogłoszenie taks, zastosowanych do potrzeb miejscowych, on traktować będzie lud w sposób jak najwięcej przyjacielski, ludzki i uprzejmy.

Jakie są zadania Kościoła pod względem społecznym, to w wiekopomnych swych encyklikach nakreślił Leon XIII, a praktycznie wskazuje Pius X. W jaki zaś sposób teoryę społecznego działania można urzeczywistnić, tego nauczyć się katolicyzm polski może od niemieckich katolików na Zachodzie. Porozumienie się episkopatu i solidarne, jednolite postępowanie w tej mierze, jest nieodzowne. Niech na całej polskiej ziemi duchowni, przestrzeżeni straszliwym przykładem Francyi, nietylko w zakrystyi służą ludowi, ale wejdą w życie publiczne i niech z pracującymi

pracują, ze smutnymi się smucą, radosnymi objawami społecznymi niech się z całym ogółem cieszą! Niech w każdej parafii powstaną stowarzyszenia czy matek chrześcijańskich, czy młodzieńców, czy dziewic, czytelnie katolickie, Kółka rolnicze, kasy reifeisenowskie i spółki, niech światły a gorliwy kapłan nietylko na polu duchownem, ale i ekonomiczno-społecznem będzie życzliwym i mądrym doradcą, a lud nie będzie potrzebował i łaknął doradców w postaci czerwonego agitatora lub szynkarza wyzyskiwacza. W pojedynkę robi się u nas pod tym względem dość dużo, nie robi się systematycznie i na całej linii. Skąd jednak czasu weźmie duszpasterz na to wszystko? Chętny, czas zawsze znajdzie, pomny słów apostoła: »*Omnia possum confortante me Domino*«. Zresztą nie brak w żadnej parafii intelligentnych ludzi z charakterem katolickim, którzy są gotowi wspólnie z kapłanem poprowadzić pracę społeczną, tylko trzeba inicyatywy i zachęty ze strony episkopatu, rozumnego podziału pracy i zgodnego współdziałania szczerze katolickich żywiołów. Mogą nadreńscy i bawarscy kapłani stać na czele ruchu społecznego, dlaczegoby nie mogli polscy? Jeżeli tamci znajdują nawet w niedzielę czas, by uczestniczyć w zabawach ludu i uświęcić te zabawy i uszlachetnić obecnością duszpasterza, dlaczegoby polscy kapłani nie mieli tego samego uczynić i w t. z. »Katolickim domu«, kontrolując zabawy młodzieży, nie mieli powstrzymywać jej od pijaństwa, wybryków karczemnych, zgorszenia i rozpusty? Dlaczego u nas najgorliwsi często kapłani, potępiając wszelką zabawę, jako niegodziwą i śliską, pchają niejednokrotnie dorastające pokolenia, by konieczną potrzebę rozrywek zaspakajały w sposób zły i niegodziwy? Dlaczego u nas niema takich Oberammergauów, dlaczego u nas zabawy ludu takie barbarzyńskie, takie pijackie i niechrześcijańskie? Ha, bo nikt nie nauczył ludu po chrześcijańsku, dobrze i rozumnie się bawić! Niema czasu wieczorem w niedzielę troszczyć się duszpasterz, zastępuje go więc socyalistyczny agitator, a wyzyskując wszystkie psychiczne strony ludu roboczego, stara się go zabawić, zorganizować zawodowo, bronić przed wyzyskiem, wywalczyć mu lepszy byt i w ten sposób pozyskać dla socyalistycznej herezyi, czy zawsze z miłości do ludu? Wątpić należy! Z miłości do upo-

śledzonej braci robotniczej winni to wszystko uczynić katolicy i ucząc się od wroga pracy nad ludem tak samo, jak się uczyli reformatorzy katoliccy od protestantów w XVI wieku, paraliżować zgubną dla społeczeństwa naszego działalność socyalistyczno-rewolucyjną. Tylko zaniedbanie ludu ze strony kleru, ze strony inteligencyi katolickiej, sprawiło, że w Galicyi taką potęgą stał się socyalistyczno-żydowski radykał i rewolucyonista!

Ułatwiła w niesłychany sposób powodzenie socyalizmowi doktryna, głosząca przez niekatolickie lub zaufane żywioły, przyznające się do katolicyzmu, jakoby t. z. demokracya chrześcijańska nie miała nic do czynienia z polityką, że politykę należy zostawić bezwyznaniowym stronnictwom, czy one do konserwatywnego, czy demokratyczno-narodowego, czy radykalnego przyznają się sztandaru. Zatem w tej chwili, kiedy się szerzy najchytrzejsza, najprzebieglejsza herezya materyalistyczno-rewolucyjna, która i na polu politycznem pragnie odnieść zwycięstwo, jak je odniosła do pewnego stopnia we Francyi, katolicy mają z założonemi rękoma patrzeć, jak socyalistyczny obóz, proklamując prawo powszechnego głosowania, dążąc do emancypacyi czwartego stanu, porywa masy ludowe za sobą, katolicy mają spokojnie patrzeć, jak socyaliści stają się apostołami postępu i rzecznikami niejednokrotnie słusznej sprawy? Czyż bowiem można nazwać sprawiedliwym ustrój polityczny, który milionom, opłacającym podatek krwi lub mienia, choćby w postaci opłat konsumpcyjnych, odmawia praw politycznych? Czyż słusznem jest wobec upadającej posiadłości większej w naszym kraju to jej anormalne uprzywilejowanie? Katolicyzm i na polu politycznem zatem winien wystąpić jako czynnik regulujący, domagający się sprawiedliwszego unormowania praw politycznych. Powszechne, a choćby nawet równe prawo głosowania katolicyzmowi szkody nie przyniesie, jak mu nie przyniosło w Nadrenii, Westfalii, Bawaryi, Poznańskiem, prędzej bowiem, czy później, ono aktorskim przedstawicielom tłumu z ulicy przeciwstawi przedstawicieli rzeczywistego ludu, w postaci katolickich posłów, na wzór posłów centrowych lub z Wielkopolski. Niech indyferentyzm konserwatywny, narodowy, czy liberalny, kompromituje się dalej w obronie nieuzasa-

dnionych przywilejów rzekomych interesów narodowych, polegających na cudzej krzywdzie, niech broni straconych okopów św. Trójcy, katolicy mając na oku przyszłość społeczeństwa polskiego i ludu polskiego, niech formują przeciw Pankracym obóz nowy, obóz odpowiadający najnowszej taktyce bojowej, zapożyczonej w znacznej części od tryumfującej demokracyi socyalnej, obóz, mający tę wyższość nad wrogami chrystyanizmu, że spojony jest miłością, a nie nienawiścią klasową. W obozie politycznym katolickim będzie miejsce i dla robotnika i dla chłopa i mieszczanina, narodowca, intelligentnika, szlachcica i arystokraty, byleby nikt w nim nie szukał innego przywileju, krom przywileju zasługi, rozumu, ofiary i poświęcenia. Sformowanie takiego obozu na ziemiach polskich, jest kwestyą niezbyt może dalekiej przyszłości. Dziś wypadki pierwszorzędnej doniosłości kroczą szybko jeden za drugim u nas, a sarmacka nizina stała się kartą, na której historya pisze potężne słowa przełomu, rewolucyi, czy wielkiej ewolucyi. Nie zbuduje obozu chrześcijańskiego samo społeczeństwo dobrowolnie, zbudować go zmusi nas antychrześcijański wróg. Domagając się zatem sprawiedliwych praw politycznych dla czwartego stanu, dla ludu, wszędzie, czy w kraju, czy państwie, czy gminie, katolicy nietylko wytrącają socyalistycznej propagandzie najsilniejszą broń z ręki, ale pracują dla naszej przyszłości bez porównania rzetelniej od tych, którzy pod pozorem obrony rozumu politycznego przed brutalnością mas chcą utrzymać przywileje oparte na przeżytych, a zatem niesprawiedliwych stosunkach, a hołdując zgubnej zasadzie *après nous le déluge,* rzucają lud na pastwę agitatorom rewolucyjnym.

Pod względem naukowym katolicyzm u nas ma wielkie zadanie do spełnienia. Nasza wiedza (ogółem biorąc) znajduje się pod wpływem taniej tandety niemiecko-liberalno-protestanckiej. Masy przeciętnej intelligencyi czerpią swe wiadomości, poglądy i uprzedzenia na sprawy katolickie wyłącznie prawie z niemiecko-protestanckich tanich podręczników lub encyklopedyi. Przewodnikiem dobrym dla tej deprawacyi umysłów polskich na różnych polach nauki są, u nas zwłaszcza, socyaliści i żydzi. Nietylko jednak przeciętna intelligencya ulega suggestyi liberalno-protestan-

ckiej, ale niejednokrotnie i wyżyny naukowe. Jeżeli najgłośniejsze nasze powagi naukowe sławią bezkrytycznie pamflety antykatolickie, jeżeli najwyższy areopag naukowy sławi jako wzór metodyki naukowej, na podstawie dziwacznych fantazyi, karkołomnych hipotez i nieuzasadnionych uprzedzeń, potępienie najszlachetniejszych postaci naszego średniowiecza, jeżeli z katedr uniwersyteckich słyszeć trzeba niejednokrotnie tendencyjne poglądy, nie stojące na wyżynach nowoczesnej naukowości, tedy naprawdę czas zabrać się do obrony katolickiej prawdy i katolickich atakowanych zasad. Apologie Kościoła i spraw chrześcijańskich nie docierają do intelligencyi naszej, pogrążającej się coraz bardziej w neopogańskim eklektycyzmie i sceptycyzmie. Z drugiej strony i to stwierdzić trzeba, że krytyczne badania, dotyczące kwestyi kościelnych i poglądów katolickich, napotykają na trudności ze strony ortodoksów. Podczas gdy na Zachodzie krytyka katolicka w studyach biblijnych, czy hagiograficznych, czy historyczno-kościelnych zdobywa się na coraz to większą odwagę i śmiało oddziela plewę od ziarna, dogmat od wierzeń ludzkich, sąd trzeźwy od przesądów, u nas taka rozumna i jedynie naukowa krytyka, spotyka się z niedowierzaniem lub podejrzeniem w sferach kościelnych.

Zadaniem katolików intelligentnych świeckich czy duchownych jest wystąpić otwarcie do walki zarówno z przesadną lękliwością zelotów-formalistów, jak ze sceptycznym indyferentyzmem naszych pseudonaukowych wielkości. Katolikom nie wolno chylić bałwochwalczo czoła przed żadną patentowaną powagą naukową, choćby ta powaga była kilkakrotnym członkiem różnych Akademii i Towarzystw naukowych swojskich, czy zagranicznych, lecz owszem należy każdej takiej powadze patrzeć pilnie na palce, ilekroć z lekkiem sercem, a bez dostatecznych podstaw naukowych, pozwala sobie na sądy, uwłaczające sumieniu katolickiemu. Troszeczkę więcej energii ze strony katolickiej i znacznie więcej pracy krytycznej na różnych polach naukowych mogłoby niesłychanie skutecznie przeciwdziałać tej ustawicznej infiltracyi protestancko-niemieckiego sceptycyzmu, tych socyalistyczno-materyalistycznych utopii pseudonaukowych w naszem społeczeństwie.

Popieranie, wydawanie i pisanie pism lub książek katolickich, czy ściśle fachowych, czy popularnych, zaznajamianie intelligencyi naszej ze zdobyczami umiejętności katolickiej na Zachodzie, zwalczanie wpływów wrogich Kościołowi w naszych instytucyach, czy redakcyach naukowych, tworzenie stowarzyszeń naukowych katolickich, oto zadanie katolicyzmu na polu naukowem.

Na polu literatury pięknej i beletrystyki, najbardziej niestety u nas kultywowanej, bodaj czy nie obszerniejsze pole do działania. Przedewszystkiem katolicyzm musi się zdobyć na stanowcze potępienie i bojkot wszystkiego, co nasze uczucia katolickie obraża. Taki srom, jaki nas spotkał nie z powodu osławionych »Legend«, ale z powodu niedołężnego i tchórzliwego zachowania się samych katolików w kraju wobec bezprzykładnego, haniebnego bezczeszczenia najświętszych uczuć katolicko-polskich nie powinien się już nigdy powtórzyć, nie powinno się już nigdy powtórzyć, by szeregi pism katolickich sławiły najzjadliwszą napaść na katolicyzm, by w chwili, gdy poseł socyalistyczny wbrew konfiskacie sądowej potrafił się postarać o imunizacyę bluźnierstw, posłowie katoliccy w parlamencie, księża, proszeni o to, nie umieli przeszkodzić tej antywyznaniowej swywoli w katolickim kraju i katolickiem państwie. Ale czyż na polu literatury mamy tylko jedne legendy bluźniercze? Wszak modernistyczna literatura w wielkiej części jest przesiąknięta duchem bez dogmatu, bez etyki i obyczajności katolickiej. Pod tym względem za mało u nas odwagi cywilnej, zdolności i ciętości w piętnowaniu tych aberracyi, a często wybryków literackich i w wykazywaniu strasznych szkód, jakie ta swoboda w szerzeniu cyganeryi, zgnilizny i błota społeczeństwu wyrządza. Z jaką obojętnością tolerowało się do niedawna kawałki najbardziej podkasanej muzy nawet w narodowych teatrach naszych. Prasa nasza, nawet prasa przyznająca się do barwy katolickiej, nietylko, że prawie pary z gęby nie puściła w tej tak gorszącej sprawie, ale, co gorsza, sławiła nieraz humor i wdzięk tłustych i pieprznych fars teatralnych. Ale czegóż wymagamy od prasy codziennej, jeżeli w najpoważniejszych pismach, pod firmą bardzo katolicką wychodzących, czytamy o szlachetności uczuć pani Walewskiej, lub o naśladowania godnym charakterze takich

bohaterów, jak Rafał Olbromski. Brak zdeklarowanej a poważnej prasy katolickiej w rodzaju *Kölnische Volkszeitung*, czy *Historisches Jahrbuch der Görres-Gesellschaft* i t. d. fatalnie daje się u nas odczuwać, i na taką prasę zdobyć się katolicyzm u nas powinien jak najrychlej. Chcąc wyrobić w kraju poważną opinię katolicką, trzeba mieć poważną prasę katolicką, katolickie pismo jednak stworzyć bez redaktorów przejętych nawskróś duchem katolickim, jest utopią, która katolików, zwłaszcza w Galicyi, niejedno gorzkie doświadczenie kosztowała.

Najważniejsze może zadanie ma katolicyzm do spełnienia na polu wychowania. Odrodzenie narodu tylko przez wychowanie zdrowych pokoleń da się uskutecznić. Czy jednak można wychować zdrowe pokolenia bez życiodajnego zdroju wiary Chrystusowej? Kto głębiej wniknął w istotę katolicyzmu, ten przekonać się musiał, jak silne podstawy dla bytu i rozwoju, czy jednostki, czy społeczeństwa zawiera ten zakon, który podyktowała miłość Boża dla dobra i szczęścia ludzi. Czy jest jakiś przepis w religii katolickiej, któryby nie miał wyłącznie dobra, istotnego dobra człowieka na celu? Prawda, ludzie niejednokrotnie nadużywali lub wypaczali te Boskie, a tak humanitarne przepisy, czy jednak przez to traciły one same na wartości? Dla wielu twarde i niewygodne są takie przykazania, jak post, jak przymus spowiedzi, jak czystość i nierozerwalność małżeńska, jak obowiązek chodzenia do kościoła. Czyż jednak sama medycyna nie wykazuje, że zmiana pożywienia od czasu do czasu, zwłaszcza na wiosnę, jest pożyteczna i pożądana? Czy koniecznego postulatu udoskonalania się, wyrytego na frontonie świątyni delfickiej, owego sławnego »γνῶθι σεαυτὸν« (poznaj siebie samego), głoszonego przez największą powagę etyczno-filozoficzną świata starożytnego, Sokratesa, Chrystus Pan nie wyniósł do godności Sakramentu i nie nałożył go słusznie, jako obowiązku dla każdego członka Kościoła? Dla utrzymania bytu społeczeństwa, czy jednostki, nie wiem, czy mogą istnieć mądrzejsze i szlachetniejsze przepisy, jak katolickie, strzegące czystości duszy młodzieńczej i nierozerwalności związków małżeńskich. A ponieważ Bog jest wiekuistym ideałem dobra, piękna, prawdy i miłości, czy nie słusznem, czy nie koniecznem

jest, że Kościół oczy tych ludzkich pędraków, pełzających po ziemi, zwraca ku ideałom ludzkiego bytu, choćby w porannej, czy wieczornej modlitwie, choćby w nabożeństwie niedzielnem? Jeżeli zaś Kościół nakazuje obrzezanie serc i namiętności, czy niema na celu li tylko dobra człowieka, który w rozpasaniu, w nieokiełzaniu, staje się jeden drugiemu katem *(homo homini lupus)* i ginąć musi, jak to stwierdza wymarcie tylu sławnych rodów, upadek tylu potężnych narodów? Wobec tych faktów naprawdę wierzyćby się nie chciało, by mogli istnieć ludzie rozumni, którzyby pokolenia dorastające chcieli pozbawić takiej podpory, takiego instynktu samozachowawczego, jakim jest katolicyzm, katolickie wychowanie i katolicka etyka. A jednak tak jest rzeczywiście; potężne państwa wyrzucają dziś religię ze szkoły, lub nadużywają jej do celów politycznych, a za tym przykładem i u nas coraz śmielej głoszą się hasła: »Precz z religią katolicką ze szkoły«, które niedowarzone wyrostki powtarzają, żądając wolności wyznania w szkole.

Ależ to obłęd, niosący straszne skutki za sobą. Tak samo wołano w XVI wieku w Niemczech, a odpowiedzią historyi na to była w XVII wieku straszna wojna 30-letnia, tak samo wołano we Francyi w XVIII wieku, a 2 miliony ludzi przypłaciło życiem te hasła, tak samo Francya dziś postępuje i kurczy się codziennie wskutek depopulacyi. I ten wychowawczy raj francuski chcieliby apostołowie nowej ewangelii przeszczepić na polską ziemię, aby do tylu klęsk i nieszczęść dodać największe, degeneracyę i uwiąd starczy!

Katolicyzm, odtrącony dotąd od wychowania przez wrogie nam rządy, z konieczności dla samoobrony społecznej winien w wychowaniu naszej młodzieży stać się podstawą i gwiazdą przewodnią. Aby się tem katolicyzm mógł stać tu w Galicyi, zerwać trzeba czemprędzej z bezdusznym systemem wykładu religijnego, narzuconym nam przez dawne generacye — a nad czem nasz Episkopat usilnie już pracuje. »Precz z teologią ze szkół ludowych, średnich«! oto hasło coraz potężniejszem odbijające się echem w sferach najbardziej katolickich. Prosimy o katechizm dla naszych dzieci. Prosimy o katechizm jak najjaśniejszy, jak

najprzystępniejszy i chwała Bogu mamy taki katechizm znakomicie zredagowany przez jednego z biskupów polskich. Tymczasem dogmatyką, bez podkładu filozoficznego, zachwiani w wierze pięcioklasiści, w chwili dojrzewania wystawieni na wszelkie pokusy obyczajowe, dostają się w obroty antyreligijnej propagandy i przepadają setkami dla chrześcijańskiego zwyczaju i obyczaju, a nauczyciele religii narzekają wyłącznie na przewrotność czasów, na liberalizm nauczycielstwa, jak gdyby po ich stronie nie było żadnej winy zaniedbania. W naszych czasach urząd nauczyciela religii, urząd katechety, należy do najtrudniejszych, do najbardziej odpowiedzialnych. Czy jednak posterunek ten zajmują zawsze ludzie ze wszech miar odpowiedni, górujący i cnotą i poświęceniem i wiedzą nad otoczeniem? Wiemy, iż są najlepsze w tej mierze intencye, wiemy, iż są najszlachetniejsze wysiłki w tym kierunku, mniemam jednak, że i na tem polu dałoby się więcej uczynić, a mianowicie na tak eksponowanem i wyczerpującem stanowisku, osłabione siły zastępować wciąż świeżemi, coraz to dzielniejszemi i doskonalszemi. Przecież tu chodzi o ratowanie pokolenia dorastającego, najbliższej zatem przyszłości, od neopogaństwa, od bezwyznaniowego radykalizmu. Dobór zatem i to najściślejszy dobór, jeżeli gdzie, to na stanowisku katechety jest najbardziej pożądanym. Ustępującym pracownikom należałaby się nietylko nagroda w postaci skromnej emerytury, ale praca taka twarda i taka ważna powinna być podstawą do najwyższych dostojeństw w hierarchii kościelnej.

Z radością konstatujemy, iż w naszym kraju kompetentne czynniki zrozumiały obecnie doniosłość pierwiastku katolickiego w wychowaniu. Zadaniem jednak katolicyzmu w kraju jest ten kierunek utrwalić, a to tembardziej, iż w ten sposób najskuteczniej paraliżuje się zgubne skutki wichrzycielskiej propagandy na niwie wychowania. Rzeczą katolików w kraju jest sformułowanie żądań katolickich w dziedzinie wychowania, a temi są przedewszystkiem oktrojowanie materyału naukowego w szkole, ustawodawstwo ochronne przed demoralizacyą młodzieży, a wreszcie wzmocnienie pierwiastka katolickiego w szkole przez pomnożenie praktyk religijnych, o ile możności dobrowolnych. Jeżeli w takiej

np. Szwajcaryi nie uważa się za szkodliwe przystępowanie dzieci szkolnych co miesiąc do Sakramentów świętych, dlaczegoby u nas częstsze, niż trzy razy do roku, chodzenie do spowiedzi miało być szkodliwem? Dlaczego u nas bractwa religijne, sodalicye nie miałyby pożytecznie oddziaływać na młodzież, zwłaszcza jeżeli Kościół te instytucye właśnie za pożyteczne uznał i dla młodzieży przeznaczył? Całkiem słusznie domagają się katolicy egzaminu z religii przy maturze, niech jednak wymagania maturyczne ze wszystkich przedmiotów, a zatem i z religii będą umiarkowane i nie zmuszają młodzieży do szkodliwych dla zdrowia wysiłków lub szkodliwszych dla moralności wykrętów i wybiegów. Jeżeli młodzież szkół ludowych może w miesiącach letnich uczęszczać codziennie rano na szkolną Mszę świętą, dlaczegoby uczniowie szkół średnich byli pokrzywdzeni, gdyby w dni powszednie chodzili na poranne nabożeństwo? Wszak nawet w protestanckich Prusiech uczniowie katoliccy 2 lub 3 razy w tydzień słuchają Mszy świętej! I pod tym względem jednak, jak pod tyloma innymi, należy nam kroczyć śladem katolików na Zachodzie, którzy starannie strzegą się przesady, strzegą się długich nabożeństw, strzegą się bigoteryi i kwietyzmu, będących antytezą prawdziwej religijności. Czy jednak usiłowania katolickie znajdą poparcie w samem nauczycielstwie? Rodzice katoliccy mają prawo żądać, by im kierownik szkoły lub nauczyciel w szkole dzieci nie gorszył, wszelkie wykroczenia w tym kierunku winny być przez władze najsurowiej ścigane. Dyrektor, czy profesor, nie rozumiejący wychowawczej siły, tkwiącej w pierwiastku religijnym, nie powinien zajmować się wychowaniem. Tak samo nauczyciele, prowadzący gorszące życie, nie powinni być w zakładach publicznych tolerowani, wymaga tego istotne dobro maluczkich, dobro społeczne. Byłoby bardzo pożądane, by nauczycielstwo nietylko się ograniczało do roli biernej, lecz czynnie wspierało życiodajny moment religijny w wychowaniu. Wielu nauczycieli, więcej niż się powszechnie wydaje, praktykuje to na całej linii. Przesadą jednak byłoby dziś żądać przekonań katolickich od każdego nauczyciela, kiedy to nie każdemu danem było i niejednokrotnie człowiek o przekonaniach liberalnych, ale sumienny i uczciwy,

więcej dobrego zdziała, niż praktykujący katolik bez sumienności, bez wyrozumiałości i miłości bliźniego. Miłość Boga i bliźniego, to sedno katolicyzmu, i tę miłość właśnie szerzyć wśród młodzieży, to najszczytniejsze zadanie katolickiego wychowawcy, to najwznioślejsze zadanie katolicyzmu na polu wychowawczem. W chwili, kiedy przewrotna propaganda nawet na ławie szkolnej uczy przedewszystkiem nienawidzieć całe warstwy społeczne w rzekomym interesie niższych warstw, kiedy szerzy się nienawiść do innych nacyi i innowierców, katolicyzm winien wpajać w serca młodzieży miłość ludzi, a nienawiść zła, szanowanie ludzi, a zwalczanie ich błędów. W chwili, kiedy nawet młodzież niedojrzałą wyzyskuje się haniebnie do politycznych agitacyi, podburza się do buntu przeciw władzy, katolicyzm uczy w myśl słów św. Pawła, iż »wszelka władza od Boga«, karności i posłuszeństwa, dalekich od lokajstwa i nikczemnego służalstwa, albowiem władzy domagającej się rzeczy zdrożnych i niesprawiedliwych, prawdziwy katolicyzm zawsze stawiał opór. Wstyd jednak dla przełożonych i nauczycieli, którzy się serwilizmu domagają od uczniów. Smutne świadectwo wystawiają sobie ci przełożeni, ci zwłaszcza katecheci, którzy dla uczniów mają tylko rygor żołnierski, tylko znają karcenie, a nie czują serdecznej miłości ojcowskiej lub braterskiej przyjaźni! Kryspowie z »Quo vadis« dziś tylko niechęć do najukochańszej matki, jaką jest Kościół, w sercach młodzieży wzniecić potrafią; przywiązać do wiary Chrystusowej i przynieść młodzieży połączone z tą wiarą szczęście, pociechę i podporę w twardej życia walce, zdoła tylko apostolska miłość św. Piotra.

Oto w rysach głównych zadanie katolicyzmu, jakie ma do spełnienia w przełomowej obecnej chwili na różnych polach polskiego życia. W chwili, kiedy duch rewolucyi, krusząc pęta niewoli naszych braci na Wschodzie, grozi równocześnie nie mniej niebezpiecznemi pętami ducha, niewykonalnemi utopiami społecznemi, neopogańskim materyalizmem, terrorystycznym fanatyzmem, w chwili, kiedy podburzony u nas motłoch uliczny przypuszcza wściekłe szturmy do nieuprawnionych częstokroć przywilejów, pod hasłem »Wyrznąć szlachtę, a czaszkami jej brukować ulice naszych stolic« pragnąć należy, aby w zaciekłej walce

stronnictw katolicyzm odegrał rozjemczą rolę, przyniósł pokój i zgodę zawichrzonej krainie mogił i krzyżów. I dlatego to zawezwany przez tyle sympatyczną mi redakcyę *Przeglądu Powszechnego* do zabrania głosu w ankiecie, odnoszącej się do dzisiejszych zadań katolicyzmu w ojczyźnie naszej, uważałem za obowiązek pisać prawdę tak, jak mi ją sumienie przedstawia, bez oglądania się na kogokolwiek, pomny słów: *Et veritas liberabit vos.* W wypowiedzeniu tej prawdy nie powodowała mną najmniejsza niechęć do jakiejkolwiek warstwy, stronnictwa, godności lub osoby, lecz wyłącznie głęboka miłość, wdzięczność i przywiązanie do wiary naszego Mistrza i Pana i gorące pragnienie, by ta wiara stała się dla polskiego narodu uzdrawiającem »Efeta«. Któż z ludzi może powiedzieć, iż jest bez błędu, bez winy? Bez poznania tych win, bez piętnowania ich, niema uzdrowienia i odrodzenia. Nie mam pretensyi do nieomyłności, ale to wiem, iż tylko wiara Chrystusowa stworzyła ongi społeczeństwo, w którem ani Grek, ani Rzymianim się nie wadził, ani żydowinem nie gardzono, gdzie senator, zarówno jak niewolnik, patrycyusz, jak plebej, złączeni byli jedną wiązką miłości. Takie społeczeństwo przetrwało wściekłość cezarów i chytrość wichrzycielskich herezyi. Oby tego cudów cudu na ziemi mogił i krzyżów, dokonał odrodzony w polskim narodzie katolicyzm i dał nam dożyć tego, co z wyżyn duchownego Horebu przewidywały wieszcze polskie duchy, t. j. odrodzenia się narodu polskiego w Chrystusie i w wolności!

Dr. Kazimierz Krotoski.

»Niemoc serca gorsza jest od niemocy fizycznej«.

Modrzewski.

Nie znam się na polityce i nie umiałbym z całą gruntownością zdać sobie sprawy, o ile zbliżyliśmy się przez trzy ćwierci wieku do ideału Krasińskiego: polityka musi się schrześcijanić. Wprawdzie rola katolicyzmu w naszem narodowem i społecznem życiu jaśniej mi się przedstawia, ale i tym kierunku nie poważyłbym się zabierać głosu, bo to nie moja dziedzina. Ankieta

jednak Szan. Redakcyi otwiera łamy *Przeglądu* także dla uwag o zadaniach katolicyzmu w rozlicznych zakresach życia, a zatem i w literaturze, co mię zachęca do podzielenia się kilku spostrzeżeniami, może nie pozbawionemi interesu ze względu na szeroką rozlewność obecnej produkcyi literackiej, wciskającej się wszędzie — zarówno w marmurowe oddrzwia magnackiego przybytku, jak pod słomianą strzechę wieśniaczą. Choć nikt nie odmówi słuszności twierdzeniu, że ostatnie lata przyczyniły się w znacznej mierze do wzrostu ducha wiary, to jednak pewna ilość objawów indolencyi moralnej, pewna pochopność do samobójstw, pewien wzmożony stopień obyczajowego rozluźnienia, napełniają troską i obawą. Nieraz już ostatniemi laty szukano źródeł tego zjawiska i nieraz wskazywano, jako jedno z nich — ujemne oddziaływanie literatury. W istocie w najnowszej literaturze znajdujemy mnóstwo scen niemoralnych, mnóstwo postaci marnych, mnóstwo tez przewrotnych. Chajtach Sieroszewskiego, Borowiecki Reymonta, Falk lub Gordon Przybyszewskiego, Borowski, Jelsky lub v. Hertenstein Berenta; takie sceny, jak w górach, w powieści »Popioły«, jak w Saragossie, jak niektóre w »Ziemi obiecanej«, wiele w *Homo sapiens*, *De profundis* i t. d. — wszystko to jest istnem krzewieniem zdziczenia obyczajowego [1]. A cóż mówić o tezach?

Nadczłowiek — to natura; nie ma i nie potrzebuje sumienia. Może kruszyć egzystencye, jak Falk lub Judym i nie jest odpowiedzialny za własne występki przed nikim. Co w »Synagodze szatana« wyraźnie wypowiedział Przybyszewski, że szatan *hat den Menschen gelehrt, dass es kein Verbrechen gebe ausser wider seine eigene Natur*, to już od dawna wskazywał Świętochowski w swych »Niewinnych« (1874). Egoizm, nienawiść, żądza niszczenia, zemsta za siebie — to są podpory nowych bohaterów. Kiedy przed półwiekiem z górą Pankracy zdobył Okopy św. Trójcy, on — także pałający nienawiścią — wołał do krwawego Leonarda: »Trzeba zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży.

[1] Jan Baudoin de Courtenay: »Krzewiciele zdziczenia«. Kraków 1905.

Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest«. A nowy Pankracy-Gordon woła: »Chcę burzyć, nie iżby budować, lecz aby zburzyć. Zniszczenie — to mój dogmat, moja wiara, moje bóstwo!« Nie wyglądaż pierwszy niszczyciel i apostoł nienawiści prawie jak dobroczyńca wobec drugiego nędznika?

— Nienawiść — to wielkie, święte uczucie — mówi Müller, jeden z bohaterów »Próchna« Berenta.

— I zemsta — dodaje po chwili.

— Na kim? — pyta v. Hertenstein.

— Na wszystkich.

— Za kogo?

— Za siebie! (str. 322)

Nienawiść, zemsta, egoizm — uświęcone dźwignie życia. W parze z tem idzie kult szatana, który ma nawet swoją dość logiczną genezę w najnowszej literaturze. Rozpaczliwy i beznadziejny pesymizm stanowi istotę poglądu na świat. »Wszędy uczuciem, które ponad inne wyrasta i w otchłani wieków się gubi, jest uczucie ciemności, przekleństwa, wygnania, wiekuistej śmierci. Ponad wszystkiem roztacza się ołowiane niebo i mściwy gniew Jehowy. Wszystko przenika posępne oko pesymisty, który w życiu nic innego nie widzi, jeno ból ostry i brutalność nieokiełznaną« [2].

»Smutek życia! — mówi Kunicki w »Próchnie«. Może on jest konieczny? Może ten jest potężnym, kto go hojną dłonią sieje. Może z tych właśnie nasion wyrastają najszlachetniejsze kwiaty?« Wszyscy ci ludzie, powyżej wymienieni, szalenie cierpią, a ich twórcy-poeci wynaleźli niesłychanie silne obrazy na wyrażenie bólu: »Tępy, przyczajony bezwład ułożył się grubą skorupą koło jego serca«, »dławiło go, jak gdyby połykał kłęby śrežogi«, »jego dusza boleśnie skręcała się«, »krwawy ból palił się w jego mózgu« i t. p.

Skąd ta beznadziejność, rozpacz, upajanie się cierpieniem, skąd ta dobrowolna ekstaza męki?

Oto we wszechświecie od wieków trwa walka dwóch mo-

---

[2] Przybyszewski: »O Wiegelandzie«.

carzy: dobrego i złego — Boga i Lucyfera. Lucyfer jest zwątpieniem, negacyą prawd bezwzględnych i sumień, on jest wszechwładnym królem, on jest boleścią, żalem, wątkiem daremnych pragnień, on ma władzę nawet nad Chrystusem — głosi Kasprowicz.

Szatan jest prawdziwym władcą ziemi i ludzi, nie sługą lub naśladowcą Boga, jak go wzgardliwie Ireneusz mianuje, lecz już od początku bóg, którego moc sięga daleko w dziedzinę białego, słabego Boga. Cokolwiek wielkiego się stało, stało się przez szatana — wtóruje Kasprowiczowi Przybyszewski.

A jeśli tak — zabiegać o względy tego mocarza, godzien uwielbienia... I oto piszą się liczne hymny pochwalne, ody i litanie ku czci szatana, a spółcześnie liczne bluźnierstwa i zniewagi naszego Boga. Ta bluźniercza literatura obecnie już liczy dziesiątki utworów i prawie niema młodego poety, któryby za punkt honoru nie uważał: bryznąć Bogu jakiemś grubiaństwem a z kadzielnicą klęknąć przed szatanem. Istne orgie zła i cierpienia! A gdy zatęchłe, zgniłe wyziewy życia, uświęcone przez szatana, jako źródło sztuki, zanadto wiele gryzących tęsknot zasieją w sercu, wówczas... »da ci cień swój i owoc i wonność nirwana«. Tu jest źródło rwania się wszelkich skrępowań i cugli.

Dawniej za Słowackiego i Krasińskiego też uważano tę walkę dwóch potęg we wszechświecie. Ale i Słowacki wierzył w końcowe zwycięstwo dobra i Krasiński pisał do Reeve'a: »Koniec Fausta dowodzi mi, że Goethe był istotnie wielkim poetą, większym nawet od Byrona; bo rozważ Manfreda, Kaina, Marino Falieri i t. d., zobaczysz, że wszędzie potępienie wieńczy dzieło. Pod tym względem Byron zbliża się tylko do poezyi wszechświatowej. Nie pojął wszechświata, a Goethe objął wszechświat, walkę dobrego ze złem — i kazał tryumfować dobremu«. Dzisiaj zaś choćby np. Żeremski w swoim uroczym, ale trującym poemacie »Ariman mści się« — złu życia tryumfować każe. Dziś piekielne męki przenikają serce a duch pogrąża się w odmęty coraz sroższego upadku. Niedola poniża, nie zaś podnosi. Na cóż się przyda cierpienie w życiu? Gdzież wobec tego ucieczka, gdzie ostoja, w czem ratunek?

Przypomina mi się głębokie i prześliczne zdanie św. Augustyna: *perdidistis utilitatem calamitatis et miserrimi facti estis.* W niedoli życia, jakkolwiekby ona wielką była, katolicyzm szukać radzi czynnika uszlachetnienia duszy. Im więcej cierpisz, jeśli umiesz cierpieć, tem większa twoja wartość i zasługa, tem bliższym jesteś ideału. Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie — jam zwyciężył świat (św. Jan XVI, 33). W zasadach katolicyzmu, w jego wzniosłych dogmatach, w pismach jego wielkich apostołów, a zwłaszcza w ewangelii szukać trzeba jasnej zbroi na marazm i mroczne odmęty myśli, na niepojęte tęsknoty i beznadziejne rozpacze, na bluźniercze porywy i kulty szatana, na tarzanie się w nurtach płciowości i bezkreśne rozuzdanie instynktów. W dziejach ludzkiego ducha wracają fale upadku i fale podwyższenia. Na wstępie wieku V po Chr. straszliwa nawała wandalska srożyła się nad państwem rzymskiem, w duszach zaś rozpętały się burze jeszcze szaleńsze. Lęk i groza owładnęły sercami. To oddech sponiewieranych starych bogów — mówiono. Zewsząd rozbrzmiewały skargi i żale. Małowierni chrześcijanie poczęli wątpić w Opatrzność Bożą; jak i dziś *deorum falsorum multorumque cultores Deum verum blasphemare coeperunt.* Wtedy to św. Augustyn napisał wielkie dzieło *De civitate Dei.* Zebrał w niem wszystko, co mogło rozpędzić mgły zwątpień, rozwidnić przyszłość zagrobową, utwierdzić w wierze i nadziei, uchronić od rozpaczy, podnieść człowieka w godności i uwielbić wielkość Boga [1]. Negacyom wieku przeciwstawił afirmacyę jedynie prawdziwej wiary. Katolicyzmowi nie brak afirmacyi, iżby je przeciwstawił dzisiejszym negacyom. A owa miłość społeczna i wzajemna, jako przeciwstawienie nienawiści (św. Jan XIII, 34, XV, 12; Mat. V, 43), owa cichość i pokora serca, jako przeciwstawienie pychy i pogardy (Mat. XI, 28—29), owa sprawiedliwość i ów spokój, jako przeciwstawienie szalonych uniesień gniewu, wygłaszanych spienionemi usty (Mat. VI, 3—4), owa ufność i otucha, jako przeciwstawienie rozpaczy i zwątpień (Mat. XIV, 27), owe rzewne i wznio-

[1] Ks. I, r. 27. Czy godzi się życie sobie odbierać lub ks. V, r. 9: O wszechwiedzy Boga i wolnej woli człowieka.

słe błogosławieństwa, słane światu, jako przeciwstawienie obelg, klątw i złorzeczeń (Mat. V, 3—15), — czyż to nie jest ucieczka i ostoja?

Ośmielam się mniemać, że komukolwiek dana jest możność wpływania na myśli i uczucia współbraci, ten musi w katolicyzmie oprzeć się na afirmacyach, musi w świętej nauce Chrystusa, której najnowsza literatura nie lubi, akcentować, podkreślać i podnosić *te* zasady, *te* nauki, *te* obietnice, *te* prawdy, któreby działały kojąco, budziły nadzieję, rozpraszały mętne mgły, napełniały serca wiarą i miłością, zachęcały do życia.

Czy z profesorskiej katedry, czy z kaznodziejskiej mownicy, czy z konfesyonału, czy z łamów pisma, czy z kart książki lać się powinien strumień światła i ciepła, jak pieśń wspaniała, która będzie »zgodną — ciszą świata«. Jakże to pięknie powiedział Ruskin: »Ten kraj jest najbogatszym, który karmi największą liczbę istot szlachetnych i szczęśliwych, a ten człowiek jest prawdziwym bogaczem, który wywiera najszerszy i najdobroczynniejszy wpływ na życie bliźnich«.

Dr. Antoni Mazanowski.

Czyniąc zadosyć zaszczytnemu wezwaniu, pozwalam sobie przesłać kilka słów odpowiedzi. W nadziei, że bardziej powołani wyświetlą zasadniczą stronę problemu, ograniczę się do uwag o sposobach wdrożenia skutecznej, katolickiej akcyi społecznej, pragnąłbym bowiem bardzo, ażeby ankieta Szanownej Redakcyi nie była litylko »literaturą«, choćby najprawdziwszą, ale ażeby stała się zarodkiem czynów, któreby popchnęły naprzód sprawę nam wszystkim równie drogą.

Kościół katolicki, rozumiejąc dobrze, że wiara bez uczynków martwą jest, bez przerwy od początków swego istnienia aż po dzień dzisiejszy, opiekował się nie tylko ściśle religijnemi, że tak powiem dogmatycznemi wierzeniami swych wyznawców, ale równie gorliwą pieczą otaczał ich moralny byt, a zatem nie mógł być i nie był obojętnym wobec bieżących kwestyi socyalnych,

których nigdy nie brakło, aczkolwiek zmieniały się ich zewnętrzne przejawy.

W Galicyi obecnie duchowieństwo bierze żywy udział w zakładaniu i dalszym rozwoju Kółek rolniczych, Spółek kredytowych dla oszczędności i pożyczek, patronowanych przez Wydział krajowy, Spółek mleczarskich, oraz innych instytucyi gospodarczych o użyteczności powszechnie uznanej. Działalność na tem polu została uwieńczona w wielu wypadkach zasłużonem powodzeniem, stwierdzić jednak można, że nie zawsze zachodzi pożądana równowaga między dobremi chęciami a uzdolnieniem. W dzisiejszych czasach życie społeczne i gospodarcze staje się coraz bardziej zawiłem, przekształca się coraz szybciej, to też jeżeli duchowieństwo chce z dobrym skutkiem oddziaływać na pomyślne rozwiązanie bieżących spraw społecznych, musi posiąść wiadomości niezbędnie potrzebne do zrozumienia zagadnień, z któremi ma do czynienia.

Także i w tym kierunku rozpoczęto u nas pracować. Przypominam sobie, że przed laty odbył się w Krakowie staraniem komitetu, któremu przewodniczył ksiądz prałat Chotkowski, trzydniowy kurs socyalny, wygłoszono szereg wykładów z zakresu asocyacyi i polityki socyalnej dla licznego grona słuchaczów, wśród których przeważało duchowieństwo parafialne; niestety ten kurs był pierwszym i, jak dotąd, ostatnim. Zasadnicza myśl kursu zasługuje na podjęcie i systematyczne przeprowadzenie, ponieważ akcya społeczna duchowieństwa przyniesie tem więcej dobrych skutków, im z większą znajomością rzeczy prowadzoną będzie. Dla osiągnięcia tego celu koniecznem jest przedewszystkiem uzupełnienie planu nauk w seminaryach wykładami z zakresu bieżących spraw gospodarczych i społecznych; najbardziej pożądanemi byłyby odczyty o asocyacyi rolniczej, albowiem przeważna część kleryków w przyszłości będzie czynną na wsi, zresztą już dzisiaj parafialne duchowieństwo wiejskie odgrywa w zakładaniu i rozwijaniu towarzystw i stowarzyszeń rolniczych ważną rolę. Asocyacya nie jest i nie może być wyłącznie wynikiem dobrze zrozumianego własnego interesu, przeciwnie, koniecznym warunkiem skutecznego zjednoczenia się w spółki gospodarcze jest po-

czucie solidarności, poczucie obowiązku wzajemnego popierania się, natomiast brak zaufania, zazdrość wykluczają prowadzenie stowarzyszenia. Proboszczowi i wikaremu przystoi bardziej, niż komu innemu nawoływać i zachęcać wiernych do czynnego objawiania solidarności. Akcya w tym kierunku może jednak stać się niebezpieczną, jeżeli z braku znajomości stosunków ekonomicznych, skończy się stratami dla stowarzyszonych. Tych niebezpieczeństw uniknie się tylko wtedy, jeżeli duchowieństwo parafialne będzie znało choćby tylko zasady życia gospodarczego. Sprawa to tem ważniejsza, że jak powszechnie wiadomo, asocyacya rolnicza, zwłaszcza wobec nadmiernego rozdrobnienia posiadłości chłopskiej, jest sprawą pierwszorzędnej wagi w naszym kraju; poprawa stosunków ekonomicznych włościaństwa, tej najliczniejszej warstwy narodu, zależy w znacznej mierze od rozwoju asocyacyi.

Nie tylko zachodzi potrzeba, ale jest także możność skutecznej pracy w tym kierunku, powodzenie zależy li tylko od dobrej woli i znajomości rzeczy ze strony wszystkich biorących udział w tem doniosłem dziele społecznem. W Niemczech i Belgii, gdzie świadomość użyteczności asocyacyi rolniczej jest silnie odczuwaną, nauki rolnicze bywają wykładane od lat kilku w seminaryach duchownych. Także i w innych krajach wydano podobne zarządzenia. Mając tego rodzaju przygotowanie, klerycy po wyświęceniu z tym większym pożytkiem i zajęciem korzystać będą mogli z kursów socyalnych, które należałoby urządzać stale w peryodycznych odstępach czasu, np. jednego roku w Krakowie, drugiego roku we Lwowie. Akcya społeczna katolicka wymaga ciągłej opieki, jeżeli ma być jednolitą i systematyczną, jeżeli niema pozostać wtyle poza wymaganiami bieżącej chwili. Trzeba zatem organów, któreby te funkcye wykonywały. W Belgii utworzono w tym celu z ramienia biskupów stałe komitety, złożone, o ile mi wiadomo, nie tylko z duchownych, ale także i z ludzi świeckich chętnych, a uzdolnionych do pracy w tym kierunku. Zadaniem takiej organizacyi, ujętej w tę lub ową formę, byłoby przedewszystkiem stworzenie literatury o sposobach prowadzenia katolickiej akcyi społecznej, której mamy dopiero początki, a dalej

urządzanie kursów socyalnych, udzielanie rad i wskazówek, utrzymywanie łączności i jak najściślejszego porozumienia między wszystkimi czynnikami współdziałającymi w katolickiej akcyi społecznej, rozumie się bowiem samo przez się, że akcya ta nie może być prowadzoną wyłącznie siłami duchowieństwa.

Mamy wprawdzie w naszym kraju wielce użyteczne organizacye dla obrony interesów katolickich na polu politycznem, nie uważałbym jednak za stosowne organizacyi tej obarczać sprawami zupełnie odmiennej natury. Podział pracy w tym wypadku, podobnie jak i w wielu innych, zdaje się prowadzić pewniej i lepiej do celu.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Wezwanie otrzymałem późno, to też niepodobno obszerniej odpowiedzieć na pytania, które wymagają osobnych dzieł, a wprzód głębokich studyów. Ale jeżeli mam dać wyraz swemu uczuciu i przekonaniu, to pozwoliłem sobie porządek spraw, przedstawionych przez Szanowną Redakcyę, inaczej postawić. Niezawodnie akcya społeczna wybija się na pierwszy plan w epoce socyalnych przełomów, ale są inne przełomy, od których wszelka akcya zależy — w duszy ludzkiej. Od ukojenia duszy, od wewnętrznego spokoju, zależy spokój w świecie. Zupełny spokój jest marzeniem tak samo dziś, jak za czasów Danta, kiedy odzywał się głos, pełen skargi: *pax, pax.* Ale i rzeczywistość, która nęka nasze pokolenie, nie może być i nie jest dla nikogo ideałem; zamięszanie nie może trwać, bo wszyscy, przemęczeni walką, łakną uspokojenia. Przecież świat w chaosie nie zginie i wyłoni się wielka jasna myśl. Ale wprzód w duszy musi nastąpić cisza. W chwili naprężenia sprzecznych prądów i zmiennych nastrojów, wiara musi oprzeć się na pełnej świadomości. Wszyscy, którzy powołani do najwyższego apostolstwa, muszą dziś natężyć swe siły, aby ugruntować wewnętrzne życie. Apostolska misya wymaga skupienia ducha, głębokiej nauki, doświadczenia bólem zdobytego, wymaga miłości i mądrości.

Kościół, oparty na epoce dogmatów, ma wieczne cele, ale w dążeniu do tych celów, w użyciu środków i sposobów, postępuje zgodnie z duchem epoki. Inna była metoda wychowania w średnich wiekach, inna w epoce odrodzenia, inna w każdej przełomowej epoce. I nie mogło być inaczej! Psychologiczny podkład epok zmienia się; w tem właśnie tkwi wielkie zadanie, aby prawd wiecznych, odpowiadających zasadniczym potrzebom ludzkości, trwałym warunkom bytu ziemskiego, uczyć metodą, zastosowaną do usposobienia i nastroju każdego pokolenia. W stałości niewzruszonej i ciągłości nieprzerwanej, nie może być martwoty, musi być rozwój — życie. Tym, którzy w Kościele widzą antitezę życia i nowożytnej kultury, nieprzezwyciężoną przeszkodę rozwoju, trzeba wytężoną, a skupioną myślą dowieść, że błądzą, że w nauce katolickiej może być i jest świeże tchnienie i tętno życia. Potrzeba wpłynąć na całego człowieka, podnieść go i uszlachetnić, przekonać głęboką nauką i ująć żywem słowem, żywą pieśnią przemówić i trafić do duszy.

Muzyka Kościelna, prosta a serdeczna, ukoi znękanych, rozbroi twardych i opornych, nakłoni do prawdziwego nabożeństwa, uchroni od zwątpienia, jak pieśń Zmartwychwstania zrozpaczonemu Faustowi wytrąciła z ręki śmiertelny trunek. Tak głęboka nauka, licząca się z rzetelnemi zdobyczami i niezaprzeczonemi wynikami wiedzy, tak prawdziwa sztuka, muzyka, architektura i rzeźba, odpowiadająca poczuciu piękna, harmonii linii i tonów, przyczyni się do wytworzenia i utrzymania harmonii w duszy, do uciszenia wewnętrznej, nieuniknionej walki, do uznania głównych prawd z całą samowiedzą i samodzielną siłą przekonania.

Obowiązkiem szkoły jest, aby samodzielnie prowadzić, popierać i uzupełniać wielką pracę wychowawczą, dawać nietylko samą wiadomość z różnych dziedzin wiedzy, ale dbać o całokształt poglądu na życie. Świeżo właśnie odzywają się głosy, domagające się oddzielenia etycznego wychowania od religii. Sądzę, że zerwanie tego związku, ugruntowanego w duszy, sprawi raczej podkopanie, a nie ugruntowanie etyki. Szkoła, wykluczająca religię, zatraci wychowawczy charakter, bo nie stworzy silnej podstawy moralnej, któraby ostała się wśród burzy. Nie wystarczy też, że

nauka religii stanie się przedmiotem, objętym naukowym programem i egzaminem dojrzałości, bo jeżeli wogóle sama wiadomość do życia nie wystarcza, to zwłaszcza w religii o ducha chodzi. Ta nauka jest może najtrudniejsza i wielką nakłada odpowiedzialność. O podniosłych rzeczach, tylko w podniosły sposób można mówić. Ta potrzeba głębokiego przygotowania, prawdziwego natchnienia, delikatnego odczucia indywidualnych potrzeb i pragnień. Kiedy duch zrywa się do samodzielnego ujęcia i zrozumienia zjawisk, to wtedy potrzeba właśnie mądrości i miłości, aby nie przyszło do rozerwania życia, tylko do skupienia.

Do misyi wielkiej, kierowania wychowaniem, powołana ta, która przez wrodzoną przenikliwość jest zdolną odczuć wszystko, co się dzieje w bliskiej, a drogiej duszy — matka. Jeżeli kobieta słusznie dąży do światła nauki — a to jest nietylko jej słusznem prawem, ale wprost jej obowiązkiem — to tego światła powinna użyć, aby wprowadzić w świat młode pokolenie, nie śledzić znikomej karyery, ale czuwać przezornie nad tem, co się w duszy dzieje, wnikać w ten wewnętrzny proces wyrabiających się przekonań, od których całe życie zależy. Potrzebny nietylko zdrowy instynkt i serce oddane, ale rozum światły.

Wszystko zmierza do tego, aby wytworzyć harmonijny świat wewnętrzny, oparty na głębokiem przekonaniu, bo to główny warunek akcyi zewnętrznej, społecznej i politycznej. Kto sam nie zna pokoju, ten pokoju nie da i w świat nie wniesie. Tylko Ten, co z całą potęgą przeświadczenia powiedział: że jest »prawdą«, mógł prawdę objawić, za prawdę cierpieć i umrzeć.

Sprawa ta zasadnicza, powszechna, ma w Polsce to samo znaczenie, a może nawet wyższe, dlatego, że naród nasz w walce z ogromną materyalną przewagą, więcej od innych skazany jest na moralną siłę. Może i musi przekształcić swój charakter, spotęgować swe władze, wytężyć ducha, ale nigdy z ujmą chrześcijańskich wielkich prawd, które świat pogrążony właśnie w materyalnem użyciu, odrodziły.

Zachować wiarę ludowi, który budzi się z brzaskiem, ale jasno drogi jeszcze rozpoznać nie może, jest wielkiem zadaniem

chwili, najściślej złączonem z tem, czego cała ludzkość pragnie i wymaga.

Potrzeba tu prostoty duszy św. Franciszka z Asyżu, jego poświęcenia i wielkiej miłości, aby trafić do ludu i utrzymać się w zupełnem zaufaniu. Wszelka akcya społeczna i narodowa musi płynąć z czystego a świeżego źródła wielkiej miłości, aby ci, którzy zawiścią żyją, nie zdobyli przewrotnem słowem serc prostych. Głosy ludu, z obcych trybun, oskarżające swych pasterzy, są nad wszelki wyraz bolesne, bo świadczą o zachwianej wierze, o duszach, przesiąkniętych żółcią i jadem.

To straszna rana! Potrzeba znowu mądrości i miłości, aby uspokoić wzburzone fale, potrzeba wielkiej pracy, aby u samych podstaw narodu zachować wiarę, prostą, głęboką i gorącą wiarę.

Bronisław Dembiński.

Trudno rzeczywiście o bardziej sposobną i odpowiedniejszą chwilę, jak obecna, dla skupienia się w sobie wszystkich Polaków katolików, celem gruntownego zastanowienia się nad tak głębokim, niezmiernie doniosłym i w życie praktyczne, jak i duchowe wnikającym problemem, jakim jest pytanie, stanowiące przedmiot ankiety, podjętej przez Szanowną Redakcyę *Przeglądu Powszechnego*, za co Jej gorące uznanie całego społeczeństwa i wielka się wdzięczność należy.

W czasie walk religijno-politycznych i społecznych, wstrząsających do głębi duszą i siłą, czy zaciekłością i znaczeniem, w czasie nowej formacyi stosunków socyalnych, których ewolucyi końcowej tak trudno dziś przewidzieć, w czasie, w którym jako pewnik matematyczny jedynie to tylko można przyjąć, że obecne przesilenie socyalne oddziała w wysokim stopniu na dalszy rozwój i ukształtowanie się stosunków Kościoła katolickiego wszędzie, gdzie istnieje wiara katolicka — u nas w Polsce, ma kwestya ta cała znaczenie donioślejsze, głębsze, z tego powodu, że społeczeństwo polskie było i jest ściśle złączone z Kościołem katolickim.

Nikt nie twierdzi, że stadyum, w jakiem znajduje się obe-

cnie kwestya socyalna, jest zadowalniające; natomiast każdy musi przyznać, że inne są jej formy, co ważniejsza, inna jej treść i cele, inne dążenia i podkład w Polsce, aniżeli w innych społeczeństwach. Muszą zaś one być inne, choćby tylko z tego zewnętrznego powodu, że włączeni w organizmy trzech państw, żyjemy życiem potrójnem, z konieczności dostosowując się pod względem politycznym, gospodarczym i spółczesnym do życia i warunków państw zaborczych. Wszystkie jednak właściwości i natury naszej i kultury naszej, przeszłość nasza historyczna i upragniona przyszłość, i to wszystko, co składa się na indywidualność narodu, tworzy ważniejszą: wewnętrzną — zarazem odrębną stronę rzeczy, umożliwiając w ten sposób w zasadzie — z najogólniejszego oczywiście tylko stanowiska, na postawione pytanie dać odpowiedź jedną, chociaż myśli ciśnie się tu mnóstwo przeróżnych i odpowiedzi kilka różnych daćby należało: Bo zupełnie inne pole pracy w obecnej chwili — inne »szczególniejsze« zadania ma dziś do spełnienia katolicyzm tam, gdzie hakata i protestantyzm z butą krzyżacką i bezwzględną brutalnością panują przy pomocy wielkiej potęgi politycznej — ale gdzie lud bardzo oświecony żyje w dobrych warunkach ekonomicznych; inne tam, gdzie kolos »na glinianych nogach«, przed którym drżała Europa lata całe, nagle chwiać się zaczyna i ujawnia niespodziewaną niemoc zewnętrzną i wewnętrzną, a gdzie cały horyzont przyszłości politycznej spowity jest w mgłę ciemną i dziś nieprzeniknioną; tu lud w wielkiej części ciemny, lata długie rozmyślnie pozbawiony najprymitywniejszej nawet kultury, wyzbywany systematycznie — choć bez skutku — niekiedy w sposób zwierzęco-barbarzyński z wiary i uczuć religijnych przez wyrzutki społeczne i »siepaczy religijnych«, żyjący w znacznej większości w ubóstwie i ciemnocie — inne wreszcie tam, gdzie od czasu swobód konstytucyjnych, przy współudziale autonomii, społeczeństwo polskie używa wszystkiego, co naród podbity, pozbawiony bytu politycznego, uzyskać może, gdzie mu i mówić wolno swym językiem, Boga chwalić, jak ojcowie, i uczyć się w mowie zrozumiałej, nigdzie jednak o powszechnym dobrobycie i ogólnem oświeceniu mowy dziś niema. Odmienne są niemal zupełnie nietylko polityczne,

ale wszystkie stosunki w trzech zaborach — różnica, która z biegiem czasu stale i ciągle się pogłębia. Dziś jednak chcemy pytanie, około którego obraca się ankieta, sprowadzić do wspólnego mianownika i nie wchodząc w szczególne stosunki w poszczególnych zaborach, odpowiedź dać ogólną, odnoszącą się do stosunków polskich w ogólności.

Według mego zdania, wspomniane niebezpieczeństwo dla Kościoła katolickiego, jest szczególnie groźnem dla społeczeństwa polskiego z tego powodu, że na gangrenę społeczną nie zwykliśmy używać, nie lubimy, czy nie umiemy używać środków silnych — radykalnych, woląc — półśrodki. Pomocy w pracy narodowej w jakimkolwiek kierunku, nie należy nigdy spodziewać się od obcych — sanacyą stosunków społecznych, umiejętnie i z całem poświęceniem, zająć się musimy sami: katolicy-Polacy. Do tej pracy obowiązanym jest każdy stan i każda jednostka bez wyjątku — przedewszystkiem jednak kler. On jedynie jeszcze dziś może działać na masy na całym obszarze polskim — pracować wytrwale i skutecznie nad odrodzeniem społeczeństwa polskiego, nie dać mu się porwać reklamowanym i modnym dziś hasłom, nie pozwolić mu iść na lep wrogiej nam w gruncie rzeczy, choć pozornie przychylnej agitacyi, pracującej dla celów niby naszych, w gruncie rzeczy zabójczych dla nas. W takich warunkach i takich czasach, jak obecne, kler katolicki polski winien być duszą i sercem społeczeństwa, czuć jego czuciem, znać jego życie i potrzeby: znać drogi, któremi to społeczeństwo prowadzić należy.

Nie stawiam programów, nie robię nikomu żadnych zarzutów, nie stroję słów w frazesy, nie wchodzę też w kwestye najbliższe z poruszoną tutaj, stawiam tylko — zgodnie z mem głębokiem przekonaniem i z pewnością najlepszą powodowany wiarą i chęcią służenia dobrej sprawie — ten jeden postulat: Obowiązkiem głównym, zasadniczym, najważniejszem zadaniem katolicyzmu, jakie ma dziś w całej Polsce do spełnienia, jest: wytężyć wszystkie siły i skoncentrować je w jednym kierunku dla wychowywania młodych duchownych, stojących na wyżynie postępu, odpowiadających i Duchem Chrystusa i umysłem i sposobem pojmowania

życia — duchowi czasu, nie należących do żadnego stronnictwa, ale będących »wszystkiem dla wszystkich i prowadzących wszystkich do Boga«.

W Bibliotece królewskiej w Berlinie, w dziale politycznych korespondencyi znanego miesięcznika *Preussische Jahrbücher* — 120-ty tom, zeszyty: kwietniowy do czerwcowego wł. rok 1905, str. 379 — wypadkowo wyczytałem dziś następujący ustęp, napisany przez prof. Delbrückal: *Der Katholicismus ist von je doppelseitig gewesen: Vermöge seines Autoritätsprinzips ist er dem Konservatismus verwandt, vermöge seiner Unabhängigkeit vom Staate dem Liberalismus.* Istotnie — przedziwna organizacya katolicyzmu może uprawniać do tego sądu. Tembardziej przeto gorąco pragnąć należy, aby wskazane wyżej wykształcenie naszego kleru potęgowało i rozwijało tak wzniosłe, tak mądre i tak głębokie zasady, jakie nauka katolicka w sobie zawiera.

Dr. Jerzy Michalski,
Docent pryw. Uniw. Jagiell.

W ostatnich latach wychowanie młodzieży nie daje, na ogół biorąc, tak dodatnich wyników, jak dawniej. Troska to wielka. Dlatego nad wychowaniem młodego pokolenia praca musi być wydatniejszą. Nietylko nauce religii należy przywrócić wybitniejsze stanowisko, ale w wykładach wszystkich przedmiotów podnosić to, co umysły zwraca wyżej. Poza szkołą, dzieciom, które nie mają bliskich, powinniśmy stworzyć ciepło rodzinnego ogniska, by ich uchronić od życia i szukania rozrywek w niewłaściwem otoczeniu.

Harmonia społeczna również niestety nietylko nie postępuje, ale się raczej cofa. Znaleść drogę zgody, jest dla nas sprawą pierwszorzędnego znaczenia. Ogrom cierpień narodu, wydawało się, że skupi nas więcej, niestety, tak nie jest. Rozterka w Królestwie, rozterka w Galicyi, rozterka wśród emigrantów w Ameryce. W jedności tylko przetrwać możemy, zaś różniąc się, zaciskamy jedynie pęta naszej niewoli. W katolicyzmie siła. W naj-

doskonalszem życiu według zasad, Ojców naszych świętej wiary znajdziemy to, co nas godzi. W zupełnie wyjątkowem położeniu naszem, przyszłości lepszej doczekać się możemy tylko wtedy, jeśli bez sporów, bez dzielenia się na stronnictwa, przejęci miłością na wzór pierwszych chrześcijan, stanowić będziemy jedno braterskie koło.

Wszystko nam przeto czynić, co nas do tego zbliża, wszystkiego unikać, co nas oddala; zatem bez próżnych rekryminacyi o »wczoraj«, powinno być »dziś« i »jutro« pełne miłości, niewykluczające nikogo, błądzących sercem pozyskujące.

Jan Trzecieski.

Zaszczycony wezwaniem do tak poważnej ankiety przez Sz. Redakcyę, chcę odpowiedzieć na pytania w miarę mego pojęcia o rzeczy tak ważnej i żywotnej dla każdego katolika-Polaka. Zgadzam się najzupełniej na twierdzenie Sz. Redakcyi, że katolicyzm u nas uczynił postępy i okazuje coraz większą żywotność, rzekłbym: pod pewnymi względami. Uważam za konieczne dla ugruntowania go głębszego i wyprowadzenia ze sfery uczuciowo-tradycyonalnej, w której głównie czerpie swą siłę, uświadomienie coraz gruntowniejsze i szersze, społeczeństwa naszego, poza amboną, a więc drogą wykładów mądrych a przystępnych i drogą książek i broszur, o tem czem on jest, na czem polega, czego wymaga, jakie środki podaje i t. p.; bo chodzi o to, by społeczeństwo w obecnej dobie zrozumiało zaszczyt i chwałę wyznawania katolicyzmu i ztąd idący obowiązek wprowadzania katolicyzmu w czyn życiowy, osobisty, rodzinny, społeczny jako ideę przewodnią i siłę działania i podejmowania spraw w tym kierunku. Tu chodzi także o szerzenie wśród społeczeństwa naszego zrozumienia obowiązku ofiarności tak moralnej jak i materyalnej dla sprawy Bożej, społeczno-katolickiej w naszym kraju, czego ogół zamożniejszy lub intelligentniejszy absolutnie zrozumieć niechce.

Jako następstwo powyższych postulatów rozumiem konie-

czność zawiązywania stowarzyszeń zawodowych z charakterem rdzennie katolickim, dających prócz duchowo-moralnej spójni, odpowiednie idei stowarzyszeń poszczególnych korzyści ułatwiające doczesne interesa stowarzyszonych. Z tego będzie następstwem wprowadzenie w życie assocyacyi i organizacyi. Katolicy rozprószeni zszeregują się i staną się armią karną, gotową wszędzie bronić wiary i Kościoła, a powtóre rozumienie i bronienie oraz dodatnie działanie w kwestyach materyalnych uczyni i katolicyzm i katolików pociągającymi, wykaże jego dzielność, pożyteczność i żywotność, a w działaczach zapali ogień święty dla sprawy.

Narzucam tylko i szkicuję to, co we wnętrzu jest mi jasnem przeświadczeniem.

Ks. St. Bratkowski.

Jakie są szczególne zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

I. Główne niedostatki.

1) W Wielkopolsce wychowało się całe pokolenie intelligencyi między r. 1873 a 1884 bez normalnego wykładu religii w gimnazyach, a dziś chowa się młodzież gimnazyalną w Prusach Zachodnich i w Księstwie bez wykładu religii w języku ojczystym. Tak samo ma się rzecz ze wszystkiemi bez wyjątku dziećmi w szkołach elementarnych, bo resztki polskiego wykładu religii są niemal bez znaczenia.

2) W Królestwie kończy się do tej chwili wychowanie i pouczanie religijne dziatwy na przysposobieniu do Sakramentów św. W gimnazyach jest wykład religii niedostateczny, a był nietylko zbyt długo nie polski.

Skutki tego są aż nazbyt widoczne:

Intelligencya w obydwu tych dzielnicach obojętnieje dla wiary św. i dla Kościoła. Za nią idzie ludność robocza i przemysłowa, osobliwie w większych miastach, zaciągając się do socyalistów.

II. Wobec tego ma Kościół u nas obowiązek:

1) Odzyskać stanowisko w intelligencyi.

Środki ku temu: Oprócz wszystkich zalet, któremi duchowieństwo świecić powinno, potrzebne mu jest nie klasowe, lecz obywatelskie pojmowanie rzeczy i obowiązków, chętny i czynny udział w sprawach całe społeczeństwo obchodzących, pewna bezinteresowność i ofiarność.

2) Pozyskać młodzież, aby wiarę św. poznała, umiłowała i wykonywała.

Środki ku temu: Gdzie można, pracować w szkole, gdzie nie można, uważać przygotowanie do Sakramentów św. za jedną z najważniejszych czynności kapłańskich. Dla gimnazyastów i akademików są kongregacye maryańskie, dla akademików samych kółka, w rodzaju związków katolickich między akademikami niemieckimi, bardzo przydatnym środkiem.

3) Brać gorliwy udział w ruchu towarzyskim wśród robotników i przemysłowców. Przykład archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej może być pod tym względem wzorem.

4) Zająć jaknajsilniejsze stanowisko szczególnie w (ruchu) publicystyce i zajęciach literackich, a jeżeli być może, też w naukach. Złe wciska się do domów i rodzin po wielkiej części za pomocą druku, stąd druk powinien się stać środkiem często używanym i doskonalonym do pozyskania umysłów dla wiary św.

5) Baczyć na przykładne odprawianie nabożeństw i na głoszenie wiary św., kładąc przycisk na poznanie jej; szczególnie potrzebne są nauki apologetyczne — i utrzymanie lub zaprowadzenie tych stowarzyszeń, które się nędzą opiekują.

Ks. Kujot.

Ciężko na to pytanie odpowiedzieć, bo jedno zadanie nie obejmie wszystkiego, a braków, na jakie cierpi nasze społeczeństwo pod względem moralnym, powstających zaś właśnie z niedostatecznej wiadomości i gruntownego poznania zasad katolicyzmu i etyki chrześciańskiej — jest tyle, że żądać należy jego działania, katolicyzmu, w każdej dziedzinie, w każdym niemal

dziale naszego społecznego ustroju. Gdy niepodobna wszystkich pragnień wyliczyć, gdy dla streszczenia się, pominąć nawet się musi sprawę wychowania rodzinnego i szkolnego, pozwolę więc sobie tylko zwrócić uwagę na dział, zupełnie u nas dotąd w rachubę nie brany, pomimo, że czas nagli ze względu na przyszłość zwrócić uwagę na sprawę wychowania, czyli wykształcenia politycznego, ze stanowiska katolicyzmu i etyki chrześciańskiej.

Odpowiedź moja brzmi więc: Najpilniejsze i szczególnie ważne zadanie katolicyzmu w społeczeństwie naszem, leży w pouczaniu zasad wiary i etyki, politycznie uświadomianego ludu i mas miejskich.

Hasło, w imię którego »wchodzą w lud«, to znaczy, hasło uświadomienia jednostki o jej prawach, teoretycznie dobre i słuszne, ale przez złość, przewrotność i obłudę, ale przez świadome dążenia do zupełnie innego celu, pod płaszczem tego hasła, w praktyce staje się to hasło przyczyną, — upadku i demoralizacyi naszych klas pracujących, naszego ludu wiejskiego, jednem słowem, przyczyną zgangrenowania większej części naszego społeczeństwa.

Leon XIII powiedział: »rozum ludzki bez Boga, nie zbawi ludzkości«.

Rozszerzono udział w głosowaniu i prawo wyborcze, zaś prawo powszechnego głosowania, co tylko nie zostanie zaprowadzonem.

Wiemy ze smutnych doświadczeń, jakie żywioły na mocy tego rozszerzenia, weszły do ustroju autonomicznego, krajowego i państwowego, możemy więc sobie łatwo wyobrazić, jeżeli poziom religijny i etyczny, pozostanie u nas ten sam co dotychczas, jakie jednostki, o jakich pojęciach, przedstawiać będą i bronić spraw społecznych, jaki kierunek nadadzą wychowaniu, szkole, moralności publicznej.

»Prawo powszechnego głosowania, jest to najwyższy przywilej, honor, nagroda i prawdziwy pożytek dla ludzkości, ale dopiero wtedy, kiedy ją na wskróś opanował i przetrawił duch ewangelii. Powierzyć bowiem udział w rządach bezpiecznie można

tylko temu, kto umie panować nad sobą«. (Ks. Arcyb. Bilczewski. List pasterski do Młodzieży r. 1905).

Jakiemi zasadami przejęty profesor wykładający z katedry szkolnej, takie przyjmuje ucząca się młodzież, jakie społeczeństwo, taki też i jego reprezentant i trudno słusznie wymagać od bezwyznaniowcy, by był za szkołą wyznaniową lub obowiązkowym wykładem religii, za nierozerwalnością związku małżeńskiego, trudno słusznie wymagać od anarchisty, by przemawiał za ustawami zabezpieczającemi prawo posiadania. »Miłość ojczyzny i miłość obowiązku, niechaj będzie kierowaną zasadą. Zasadą zaś główną, przewodnią z której wszelka inna się wysnuje, jest zasada chrześciańska. Ona to uzdrowi i wzmocni potrójną podporę społeczeństwa, jaką jest charakter w życiu społecznem, zdrowe wychowanie w rodzinie i zdrowe wychowanie społeczeństwa, obejmujące tę szeroką rodzinę, jaką jest lud. Chrześciańską tedy zasadę wnieście w nasze działanie. Z osłabnięciem chrześciańskiej zasady, powstał obecnie oportunizm, podkopawszy chrześciańską zasadę, podkopał wszelką inną zasadę, bo czci i kocha tylko własną korzyść. Służy temu, kto da więcej«. (Ks. Arcyb. Teodorowicz. List pasterski z 2/II 1902 r.)

Zasady więc chrześciańskie, wszczepione za młodu jednostce, a z latami pielęgnowane i rozwijane, to, powiedziałbym puklerz kulo-chronny, to zabezpieczenie przed niedościgłemi, a tak niebezpiecznemi hasłami. Taka jednostka, gdy wydostanie się na szeroką arenę polityczną, jako dojrzały człowiek, nie dopuści, pomiędzy nim a ludem, którego ma przedstawiać interesa, by wcisnęły się żywioły sprzeczne wierze, moralności i bezpieczeństwu, żywiołom, które opanowane sobkostwem, nienawidzą tego kraju, w którym się zrodzili, i ustroju społecznego, który im nie odda wszystkiego na pastwę. »Prawdziwy katolik, to tem samem człowiek najbardziej nowoczesny i najbardziej postępowy w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, który ani miłością, ani sposobem życia, sumiennością i taktem, nieda się przewyższyć nikomu«. (Ks. Arcyb. Bilczewski).

Należy wchodzić w lud, w masy, należy je »uświadamiać«, jednak uświadamiając ich o ich prawach, należy niezapominać

o uświadomieniu i o obowiązkach. Katolicyzmu właśnie zadanie, by zapobiedz niepowołanym uświadamiaczom, bałamuceniu mas teoryami sprzecznemi z zasadami wiary, etyki i własnego interesu ludu, zapobiedz powinien katolicyzm przez ubieżenie tych niepowołanych, dążących do wykorzenienia, wykarczowania z tego pola ostatnich śladów posiewu religii, poczucia uczciwości i sprawiedliwości. Ale nie dość na tem, by zapobiedz złemu, należy również starać się, by właśni wysłannicy idący z miłości dla tych mas wśród nich, byli sami gruntownie przejęci i przekonani zasadami katolicyzmu, by pojęli, że objaśniając o prawach obywatelskich, jakie nabywają, mają zarazem konieczny obowiązek pouczania, jaki dług równocześnie zaciągają względem reszty członków społeczeństwa.

Uświadomiony, ale zarazem według zasad katolicyzmu pouczony, stanie się dodatnim obywatelem kraju, dodatnim członkiem społeczeństwa, uświadomiony jednakże bez tych zasad, przemienia się jakby w drapieżne zwierzę o instynkcie destrukcyjnym a samolubnym. Agitatorami dzisiejszymi bowiem, wchodzącymi w lud, kieruje i powoduje nienawiść do wszystkiego co ponad niemi się wznosi czy nauką, czy moralnością, wiarą, czy niezależnym bytem, a ponieważ o wiele łatwiej wypowiedzieć mowę agitacyjną, choćby bez sensu i treści, jak poważny program polityczny, oparty na zasadach sprawiedliwości, doświadczeniu i logiki, więc pierwsi posłuch prędzej znajdą. Ale znajdą go również i dla tego, że tym agitatorom przeciwne sfery, tłómacząc swą bezczynność twierdzeniem: »lud jeszcze niedorósł do spraw społecznych« masami się nie zajmują, radząc wciąż o nich, dla nich, lecz bez nich.

Niechaj katolicyzm otworzy uczciwym czynnikom oczy i sprostuje błędne zapatrywania, otrząśnie ich zapały. Niech wykształca według swych zasad polityczno-społecznych apostołów z misyą wchodzenia w lud, a wkrótce zaznaczy się dodatnia odmiana.

Lecz prócz wpajania zasad katolicyzmu, jeszcze jedno w tych wysłanników wpoić należy. Oto wykształcić należy u członków społeczeństwa naszego, odwagę swych przekonań. Tej odwagi

brak nam bezwarunkowo, a bez niej co się stanie? do czego się dojdzie? dowodem »najlepsi synowie Kościoła«, Francuzi! Wszak są wierzący, praktykujący nawet szczerze, a z powodu braku odwagi publicznego wystąpienia w obronie swych przekonań, doprowadzili kraj do ruiny moralnej, a nawet i materyalnej, bo powstałe zamięszanie, rozterki i wręcz zdeptanie najelementarniejszych zasad sprawiedliwości, odjęło narodowi temu powagę i siłę polityczną, zatem i znaczenie pomiędzy mocarstwami ościennemi. Swym brakiem odwagi, zniszczyli ostatnie szczątki nimbusu, jakim ta »córka Kościoła«, była jeszcze otoczoną.

Krzysztof hr. Mieroszewski.

Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia?

Odpowiedzią na powyżej postawione pytanie może być tylko wybór i podkreślenie tych z pomiędzy środków działania katolicyzmu, którym w obecnym czasie u nas, pragnęlibyśmy wywalczyć pierwszeństwo; wyróżnienie i bliższe określenie tych najpilniejszych zadań, które ze względu na oznaczony czas i miejsce wynikają z ogólnego zadania katolicyzmu, jakiem jest szerzenie Królestwa Bożego na ziemi.

A więc co do czasu.

Żyjemy w epoce wielkiego zamącenia pojęć i wielkich sprzeczności. Z pięknemi hasłami na ustach ludzkość podjęła na całej linii walkę z dotychczasowym stanem rzeczy, w której dochodzi do wyników owym hasłom wprost przeciwnych. W imię postępu czyni się wszystko, co może utrzymać wszelki postęp, co sprowadza cofanie się społeczeństwa, powrót do jakiejś przedwiekowej dzikości i barbarzyństwa. W imię miłości dla upośledzonych wypowiada się wojnę chrześciaństwu, które jest religią miłości. W imię podniesienia, dobrobytu najszerszych warstw, rujnuje się gospodarstwo, przemysł, handel, wszelką produkcyę i wszystko co jest źródłem bogactwa kraju i narodu. W imię uświadamiania szerokich warstw zabija się kulturę, prześladuje

się nietylko kapitalizm i klasy bogatsze, ale arystokracyę intelligencyi, a zatem tych co jedynie mogą przodować na drodze do oświaty. W imię obowiązków dla ludzkości tępi się wszelkie poczucie obowiązku, szerzy się najwstrętniejszy egoizm, bo połączony z samowolą i rozpasaniem, wojnę wszystkich ze wszystkimi. W walce o prawa, popełnia się gwałty, wciska się ludziom w rękę może i bomby. W walce o rzekomą prawdę i sprawiedliwość — nie gardzi się żadnem kłamstwem i żadną krzywdą bliźniego. Ci co przeciw znienawidzonym Jezuitom podnoszą jako jeden z najcięższych zarzutów, imputowaną im zasadę, że »cel uświęca środki«, sami nie cofają się przed zbrodnią, gdy tylko sądzą, że ta może ich doprowadzić do celu.

Chrześciaństwo i katolicyzm, który jest tylko dobrze zrozumianem chrześciaństwem, w zasadzie swojej zawsze były szerzeniem prawdy, sprawiedliwości, miłości, dążeniem do zdrowego i prawdziwego postępu. Wobec tego, zadania dzisiejsze katolicyzmu są jasne, choć nie są łatwe. Ciąży na nim obowiązek wyjaśnienia zamętu w umysłach, tępienia fałszów, prostowania pojęć. Przeciw mocy nienawiści, którą jest socyalizm, powinien walczyć mocą miłości. Były czasy kiedy wystarczała miłość w postaci miłosierdzia chrześcijańskiego. I dziś dobrem ono jest, ale nie wystarcza. Nie dość wspierać ubogiego, trzeba zapobiegać nędzy, dopomagać gnębionym i upośledzonym do uzyskania praw, utwierdzać w dobrem przez skupianie i jednoczenie. Stąd obowiązek akcyi społecznej w różnych kierunkach, zakładanie stowarzyszeń zawodowych, nawet spółek zarobkowych chrześcijańskich, urządzania biur obrony prawnej, opieki nad sługami, nad terminatorami itd. To potrzebnem jest dziś wszędzie.

A teraz co do miejsca, w szczególności w odniesieniu do Polski?

Są u nas pewne właściwości narodowe i pewne objawy domagające się specyalnego przeciwdziałania.

Należy do nich przedewszystkiem niekonsekwencya w działaniu i myśleniu, rozbrat z logiką w życiu.

Któż nie dostrzegł np., że między masami przyłączającemi się do pochodów socyalistycznych, jest bardzo wielu takich, któ-

rzy zdejmują kapelusz przed kościołem i obrazami świętych; że na zgromadzenia niedzielne, gdzie się śpiewa »Czerwony sztandar« i wygaduje przeciw własności, a zachęca do gwałtów, dążą ludzie z książką do nabożeństwa pod pachą? Z książką w której na początku jest dekalog: nie kradnij, nie będziesz pożądał... ani wołu ani osła bliźniego twego, ani żadnej rzeczy, która jego jest; a dalej przykazanie chrześcijańskie: będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego. Czyż więc socyalizm i chrześcijaństwo mogą się godzić? U nas wielu tego nie rozumie. Są ludzie w przekonaniu swojem dobrzy katolicy, którzy abonują pisma szerzące nienawiść. Należy ich oświecać, że religia miłości nie może mieć nic wspólnego z sektą nienawiści, że niegodzi się katolikowi przyczyniać się czemkolwiek do tryumfu wrogów chrześcijaństwa, lub groszem swym wspierać propagandę nienawiści i sumienia, że po jednej stronie powinni być chrześcijanie, a po drugiej wrogowie chrześcijaństwa.

Druga niekonsekwencya: w domach i rodzinach u nas chcących uchodzić za chrześcijańskie, a nawet z wielu innych względów istotnie chrześcijańskich, często spotkać można książki przewrotne, nawet wprost złe i niemoralne, jakich w Niemczech, we Włoszech a nawet w rozluźnionej bardzo Francyi nie spotkałbyś w żadnym chrześcijańskim domu. Tam zrozumiano, że zła lektura nietylko wstyd przynosi domowi, ale zawsze kala, zostawia brud i męty w duszy czytającego. U nas chorobliwa ciekawość ciągnie nieraz ludzi o zasadach, nawet o praktykach chrześcijańskich do literatury szkodliwej. Ludzie czytają wogóle niewiele, ale chętnie czytają rzeczy złe, podkopujące wiarę i dobry obyczaj. Pod pozorem »uświadamiania« przemyca się rozliczne zdrożności, które oswajają ze złem, a w następstwie szerzą zarazę moralną i skarłowacenie fizyczne. To nic, zwykliśmy sobie mówić; co innego zasady i życie, a co innego lektura. Przeciw temu zapatrywaniu należy walczyć nietylko negatywnie, zwracaniem uwagi na skutki takiego braku cenzury domowej i rodzinnej, lecz także pozytywnie szerzeniem lektury zdrowej i pożytecznej, popieraniem produkcyi księgarskiej w tym kierunku, zakładaniem spółek wydawniczych katolickich i księgarni katolickich i dzienników kato-

lickich, reklamowaniem dobrych wydawnictw, tworzeniem czytelni, wypożyczalni książek, kółek czytelnianych, Towarzystw oświaty katolickich. Czyni się nieco w tym duchu, ale to wszystko za mało. Należy rozwinąć akcyę systematyczną, na wielką skalę.

Smutnym objawem ostatnich czasów u nas, to rozluźnienie karności młodzieży i podkopanie powagi rodziny. Strajk szkolny w Królestwie, rozpoczęty wbrew woli rodziców, był pierwszym większym a groźnym tego dowodem. Cóż może być straszniejszego, bardziej prawu natury przeciwnego, a złowrogiego dla społeczeństwa, jak dzieci buntujące się przeciw przełożonym i rodzicom, dyktujące im swoją wolę i ogłaszające po dziennikach swoje manifesty? Gdyby coś podobnego miało przejść w stan stały, byłby to koniec narodu i społeczeństwa. Chwilowe już objawy muszą napełniać bólem i zwątpieniem. A przykład bywa zaraźliwy. Były i w Krakowie próby czegoś podobnego, szczęściem na małą dotąd skalę i w zarodku potępione przez ogół. Niemniej złe istnieje, hasło zostało rzuconem, zarazek choroby tkwi w społeczeństwie. Wszyscy katolicy powinni wziąć się za ręce, by nietylko potępić w teoryi, nietylko biadać i ręce załamywać, ale złe jedno z najstraszniejszych w teraźniejszości przezwyciężyć, w przyszłości uniemożebnić. Rzeczą katolików jest zrozumieć, że chodzi tu o jedno z praw dekalogu »czcij ojca i matkę twoją« i że energia oraz wytrwałość w przeprowadzeniu tego przykazania w życiu jest obowiązkiem, za którego zaniedbanie nie tylko dzieci ale rodzice będą odpowiedzialni, odpowiedzialni przed Bogiem i narodem.

Kiedy na zachodzie lud już postąpił dość daleko w oświacie, u nas zacofanie pod tym względem jest wielkie. Stąd większa może niż gdzieindziej ważność szkoły ludowej na ziemiach polskich. Większa jeszcze i z tego powodu, że lud nasz nietylko jest mało oświecony, ale nadto z powodu stosunków politycznych na niezwykłe narażony pokusy i niebezpieczeństwa. Kierunek nauczania a więc wykształcenie, charakter, sposób myślenia nauczyciela, to jeden z najważniejszych czynników w życiu narodu. Jaki nauczyciel taki lud, a jaki lud taką będzie przyszłość narodu. Lud nasz jest katolickim; wpływy nań nieraz działają

mało katolickie lub katolicyzmowi przeciwne. Stąd znów jedno doniosłe zadanie katolicyzmu: otoczyć opieką nauczyciela ludowego, jego wykształcenie i wychowanie. Część tego zadania starają się spełnić internaty dla uczniów seminaryów nauczycielskich, których — dzięki inicyatywie społeczeństwa — już jest kilka, a z wolna coraz więcej przybywa.

Mówię tu tylko o Galicyi — bo w innych częściach Polski społeczeństwo na tę sprawę wpływu niestety niema, a rządy obce wpływ jaknajsmutniejszy wywierają. Podwójny stąd obowiązek spada na naszą część Polski, działać za siebie i za tamte kraje, przyświecać dobrym przykładem, wytworzyć rozsadnik i wzór, — da Bóg — kiedyś i tamtym częściom Polski przydatny.

Oto kilka najbliższych zadań katolicyzmu w Polsce. Już o nich — a jest ich więcej jeszcze — możnaby pisać tomy, na które nie tu miejsce i czas za krótki. Na razie dobrem i pobieżne przypomnienie. Spełnienia ich nie odkładajmy, a pamiętajmy, że niema bodaj człowieka dobrej woli, któryby w tem w jakikolwiek sposób nie mógł być pomocnym: inicyatywą, groszem, pracą, agitacyą i jednaniem zwolenników.

Gdy patrzymy na działanie wrogów porządku społecznego i katolicyzmu, nie podobna oprzeć się podziwowi nad ich zabiegliwością, energią, karnością i organizacyą. Potępiając to co jest złe, naśladujmy ich w tem co mają dobrego. Przeciwstawmy im z naszej strony zabiegliwość, energię, karność i organizacyę. Zasady i cele nasze są lepsze — w tem nasza siła. Uczmy się od wrogów tego, w czem ich siła; przyswajajmy sobie ich środki, o ile tylko one są godziwe.

Stanisław Tomkowicz.

Dążenia do rozluźnienia zasad, na których się opiera chrześcijańskie społeczeństwo, znachodzą od kilkunastu lat wstęp i do naszego kraju, a zarazem niestety znalazły podatny grunt szczególniej między młodzieżą szkolną i rzemieślniczą, również między klasą robotniczą.

Najskuteczniejszym środkiem przeciwko złemu byłoby, mojem zdaniem, tworzenie związków katolickich mających czuwać nad utrzymaniem ducha katolickiego i moralności między młodzieżą; dla ludu pracującego zaś misye często powtarzane, a nie zanadto egzaltujące ich umysły.

Kraiński.

Le tiers-état n'est rien et il doit être tout.

W obecnej dobie stosunek Polski do katolicyzmu inny jest niż u innych narodów. Przyczyną jest, że on jeden pozostał u nas siłą społeczną, podczas gdy zewnętrzna obręcz państwowa znikła, a opinia publiczna, niemogąca być siłą bez dogmatu stawiającego prawo do bytu niezależnego pod nad wszelką wątpliwość, rozsypała się pod ciosami internacyonału i przyjęcia, choćby chwilowo, polityki ugodowej przez klasy posiadające. Bo dawniej wiedziano, że jest coś co się nie godzi, a dziś to niepewne.

Katolicyzm pozostał jeden siłą społeczną, i to głównie dla tego, że jego zadanie społeczne niezależnem jest od wypadków i od opinii. Tylko, że on jest siłą leżącą odłogiem, nieużytą, bo jedni go niechcą, a inni użyć nieumieją.

I nie można stąd robić wniosku, że katolicyzm, skoro leży odłogiem, jest w równem położeniu u nas jak siła państwowa lub opinia publiczna, bo on jest siłą sam przez się, nawet gdy odłogiem leży, podczas gdy one nie mogą łatwo być reaktywowane, a raczej wskrzeszone. Żeby katolicyzm podnieść, dosyć aktu woli wszystkich wierzących, a nie tak jest z tamtemi siłami.

Do tego trzeba dodać, że wskutek pozbawienia naszego narodu wszelkiej siły państwowej, więc wszelkiej egzekutywy, a mając właśnie w katolicyzmie przeszkodę i ochronę od zlania się z innemi organizmami społecznemi, musimy pozostać do czasu w warunkach społeczności duchowej, oderwanej od warunków ziemskich, owianej świadomością polską w życiu tem duchowem,

które jako takie, musi opierać się na prawdzie i słuszności na gruncie katolickim. Gdyby chciała ona, ta społeczność, opierać się na innym pierwiastku duchowym, straci kontakt z ludem. Gdyby chciała ludowi odebrać wiarę, aby w jedności z nim być społeczeństwem duchowem, ale nie katolickiem, to musi stać się synagogą masoństwa, żydostwa i socyalizmu. Mamy wóz i przewóz.

Jeżeli to nie jest faktem w oczy bijącym i do skrajności grożącym, to niech się temu głośno zaprzeczy, a jeśli jest faktem, to dlaczego z nim nie liczy się polityka »realna?« Czy fakty nie podpadające pod zmysły nie są faktami?

Tymczasem nasi konserwatyści myślą, że wszystko zrobili kiedy w Galicyi żądają wychowania religijno-moralnego, choćby buddystycznego lub kiedy w zaborze rosyjskim upomną się skromnie o zachowanie »wiary ojców«.

Nie mamy więc wyboru jak tylko między społeczeństwem na seryo katolickiem, a społeczeństwem żydowsko-socyalistycznem.

Głównem zadaniem katolicyzmu u nas jest urobienie nas na społeczeństwo narodowe, oparte głównie na Kościele katolickim, mówię głównie, bo pozwolą nam iść pochodem za kapłanem niosącym krzyż, ale nie za chorągwią z białym orłem.

Jednak krzyż potrzebuje, w duchu naszym, tarczy z orłem, bo miłość ojczyzny musi się łączyć z miłością prawa i prawdy i Chrystusa. Nie wszyscy mogą żyć pojęciem oderwanem od tradycyi.

A skoro to jest głównem zadaniem katolicyzmu, to środkiem do tego jest kształcenie duchowieństwa świeckiego i zakonnego, i to od najmłodszych lat, aby kapłan czy zakonnik pozbyli się za młodu zapatrywań i obyczajów zbyt surowych, które wynoszą ze sfery ludowej, tak u nas odległej od klas intelligentnych.

Trzeba więc aby biskupi mieli środki na zakładanie i utrzymanie małych seminaryów w prawdziwym ich typie, t. j. z nauką domową.

Trzeba także wyłącznie i ściśle katolickich seminaryów nauczycielskich, męskich i żeńskich.

Przygotować duchowieństwo i nauczycielstwo, to pierwsza w kraju sprawa i pierwszy obowiązek katolików.

Drugą z porządku sprawą do załatwienia, bez której nie przekształci się społeczeństwa, jest kwestya żydowska. Na nią niema innej rady jak chrzest.

W nawracanie żydów mało kto u nas wierzy i to jest znakiem słabości naszego katolicyzmu. Gdybyśmy byli sami mocniejszymi i głębszymi katolikami, bylibyśmy mocniejsi od żydów. Tymczasem okazujemy się słabszymi. Dowodem »bund« warszawski.

Gdyby taka liczba żydów była we Francyi jaka jest u nas, niezawodnie powstałaby tam niejedna kongregacya ku ich nawracaniu.

U nas jeden zakon nieco na tem polu pracuje, ale środków niema.

Trzebaby pierwej zbliżyć żydów do nas, potem nawracać. Trzebaby dobrze urządzonego katechumenatu opatrzonego w środki pieniężne ku podtrzymywaniu ochrzczonych. Trzebaby całej organizacyi opartej na jakimś specyalnym *ad hoc* zakonie.

Sprawa katolicyzmu nie zależy jedynie od duchowieństwa. Zależy ona także od społeczeństwa świeckiego, jego współdziałania i pomocy. Niestety, ludzie utalentowani, których jest sporo, przeszli przez szkoły liberalne i choć są po większej części wierzącymi katolikami, jednak liberalizm odrętwił w nich moc i energię do walki. Więc niema z nich Kościół pomocy czynnej i działającej systematycznie dla sprawy Bożej. Oni nawet niewiedzą, ażali jest jaka sprawa Boża na ziemi.

Trzebaby ich gromadzić w Towarzystwo opieki i obrony wiary. Podobno już się taka akcya zaczęła we Lwowie. Takie Towarzystwa najlepiej i najprędzej uświadomiłyby intelligencyę o interesach katolicyzmu. Dopóki to nie nastąpi, nie czas jest na polityczne dziennikarstwo katolickie, bo ani zarodku niema opinii katolickiej.

Ks. L. Żbyszewski.

Chwila, w której mam odpowiedzieć na zadane mi pytanie: Jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia? — zdaje się być przełomową dla naszego społeczeństwa, a przynajmniej dla bardzo znacznej jego części, tej, która od stu lat z górą zostaje pod rządem rosyjskim.

Wielki gmach samodzierżawia pęka, trzeszczy, łamie się i co chwila z różnych końców jego tryskają krwawe płomienie. Utrzymanie dawnego państwa wydaje się niepodobieństwem, przeobrażenie niewątpliwem. Ale co będzie to, co się na gruzach jego uformuje?

To tylko można za rzecz pewną uważać, że kamień, przygniatający swobodę wyznania w Rosyi, został na zawsze odwalony i katolicyzm, dotychczas krępowany i więziony, odzyska swobodę ruchów.

Jak ma tej swobody używać? Ileż zadań otwiera się przed duchowieństwem katolickiem! Dotychczas mogło ono, mógł wogóle katolicyzm tylko bierny opór stawiać pokusom i gwałtom ze strony wszechwładnej biurokracyi; teraz, mając rozwiązane ręce i nogi, będzie mógł iść naprzód swobodnie i działać w różnych kierunkach.

W jakich kierunkach? Wymienić wszystkich nie potrafię, zwłaszcza, że chwila przełomowa trwa ciągle i nowe zmiany wywołują wciąż nowe widoki. Ale sądzę, że można wskazać trzy, które już dzisiaj zarysowują się wyraźnie.

Jeden z nich, to przeciwdziałanie nihilizmowi rosyjskiemu w różnych jego postaciach. Nihilizm, ten tragiczny ekstrakt dziejów narodu rosyjskiego od czasów niewoli mongolskiej, jest reakcyą przeciw państwu zbudowanemu na tradycyach mongolsko-bizantyńskich i przeciw cerkwi rosyjskiej, która odziedziczyła po Bizancyum martwotę i służalczość.

Jako taka reakcya, jako środek burzący niewolę polityczną i cerkiewną, nihilizm był sprzymierzeńcem narodu polskiego w codziennej walce jego z jedną i drugą. To pociągało ku niemu młodą intelligencyę polską i poddawało ją z tem większą łatwo-

ścią pod wpływ jego, że posiadał on na swe usługi znakomite talenta pisarskie.

Ale ten sam nihilizm był zarazem nieświadomym sprzymierzeńcem rządu rosyjskiego w tępieniu uczuć religijnych w młodzieży polskiej. Rząd tysiącznymi sposobami zewnętrznymi, jakie miał do rozporządzenia, tamował rozwój tych uczuć; nihilizm, jako środek wewnętrzny i tajemny, działał o wiele silniej w tym samym kierunku. Bo nie rozumiejąc różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Kościołem wschodnim a zachodnim, nie mógł jej uwydatnić, ani mu o to chodzić mogło, a młodzież polska, pozbawiona rzetelnego światła historycznego i rozleglejszych horyzontów, ślepo stosowała burzące narzędzia do własnego Kościoła, do katolicyzmu.

Otóż należy dążyć do tego, aby owej młodzieży polskiej, nihilizmem rosyjskim napawanej, katolicyzm ukazał się we właściwem świetle, jako przeciwieństwo martwemu i niewolniczemu duchowi Cerkwi wschodniej.

Drugi kierunek — socyalny. Katolicyzm ma za główne zadanie podnosić dusze ludzkie ponad byt doczesny, ponad potrzeby cielesne, ale jak Chrystus nie tylko słowem, ale i chlebem karmił rzesze, które go otaczały, tak i katolicyzm u nas nie może być obojętnym na kwestyę socyalną, powinien ująć ją w swoje ręce i dążyć do podniesienia bytu materyalnego warstw niższych, do wyrównania niesprawiedliwości społecznych w duchu chrześcijańskiej miłości bliźniego, jak tego znakomite dał próby w Anglii.

Tym sposobem nie tylko spełni swój obowiązek względem słabych i uciśnionych, ale i powstrzyma łatwiej katolickie masy od garnięcia się do socyalizmu bezwyznaniowego.

Trzeci kierunek — narodowy. Katolicyzm przez sto lat dziejów porozbiorowych był mocną dla narodowości polskiej ostoją i stąd tem większe ściągał na siebie prześladowanie. Pozostaje mu i nadal wytrwać na tem stanowisku, ale strzegąc pilnie tej granicy, poza którą zaczyna się to, co nazywamy szowinizmem, to jest wynoszenie własnej narodowości ponad wszelką prawdę i sprawiedliwość.

Tu wysuwają się kwestye litewska i ruska i stosunek do

nich katolicyzmu. Czy ma on w obronie polskiej narodowości występować wrogo przeciw dążeniom do rozwoju tamtych? Nie, powinien być jak słońce, które przyświeca wszystkiemu, co żyje na powierzchni ziemi i pod którego promieniami rozwija się tylko to, co ma istotną siłę żywotną, a schnie i marnieje wszystko, co jest sztucznie, nieodpowiednio do gleby zasadzone. W kwestyi litewskiej i ruskiej jest sporo niesłusznych lub przesadnych uroszczeń, które żyją tylko oporem i polemiką. Niech zaświeci nad niemi bezstronne, spokojne słońce wolności, a zmarnieją same z braku sił żywotnych i rozwijać się będzie tylko to, co odpowiada istotnym potrzebom tych społeczeństw.

W ten sposób, zgodny z tradycyą dawnej Polski, katolicyzm wyświadczy wielką przysługę narodowości polskiej. Nie inaczej pozyskała Polska całe masy szlacheckie na Litwie i Rusi dla siebie, dla swojej kultury. W porównaniu z litewską i ruską, ta kultura jest tak rozrosłem i pięknem drzewem, że nie potrzebuje żadnych sztucznych upiększeń i przesadnego wynoszenia; potrzebuje tylko, aby żadne sztuczne środki nie odstręczały nikogo od niej.

Katolicyzm zatem spełni swoje zadanie względem narodowości polskiej, jeśli bronić jej będzie tam, gdzie jest zagrożoną, rozbudzać, gdzie jest uśpioną, jeżeli jako spokojny i sprawiedliwy rozjemca występować będzie w narodowościowych zatargach sąsiedzkich, ale nie tamując nigdzie rozwoju sąsiednich narodowości.

Jest jeszcze jedna kwestya obok dwu tamtych, groźniejsza od nich dla przyszłości narodu i trudniejsza do rozwiązania — kwestya żydowska. Ale właśnie dlatego, że jest trudna, nie można jej w kilku słowach rozwiązywać. To pewna tylko, że i tutaj muszą być stosowane dwie zasady: sprawiedliwości i samoobrony.

Ażeby w tych wszystkich kierunkach katolicyzm mógł działać skutecznie, do tego potrzeba wewnętrznego i zewnętrznego przygotowania, odpowiedniego do nowych warunków. Wewnętrzne przygotowanie — to świadomość położenia, świadomość celu, przejęcie się jego ważnością; zewnętrzne — to porozumienie się wszystkich żywiołów, które uważają katolicyzm za jedną z głównych podstaw dla rozwoju społeczeństwa polskiego i utworzenie silnej organizacyi, któraby jawnie, odważnie i konsekwentnie stawiała

czoło wywrotowym dążnościom, broniła interesów narodowych i religijnych i była prawdziwą »arką przymierza między dawnemi a młodszemi laty«.

Dr. Józef Tretiak.

Salvian, zwracając się do chrześcijan z ostatnich czasów państwa rzymskiego, powiedział: Nie wymagają od was męczeństwa, ale nie myślcie, że to was uwalnia od służenia Bogu innemi sprawami. Tak mówił Salvian, ale z góry powiedzieć trzeba: te czasy spokoju, owej służby nie krwią i nie męczeństwem, są nieraz do przebycia trudniejsze. Są nawet tak trudne, że Kościół, zwycięski zawsze, jeśli o prześladowanie chodziło, nie zawsze był nim w czasach takiego spokoju. Nieraz obniżył swój własny poziom, wchodził w różnego rodzaju kompromisy, zadania nie spełniał, a nie spełniając, stawał się powodem upadku dla siebie, a moralnego zgorszenia dla innych.

W podobnem położeniu może się teraz znaleźć i Kościół katolicki w Polsce. Czasy prześladowania mimo pozorów nie minęły, ale, jeśli lepsza zaświta przyszłość, minąć mogą, a wtedy zacznie się życie bardziej normalne — każdy z nas wie jak dalece pozornie tylko! Aby utrzymać władztwo dusz, jedynie coś warte, aby nie stracić serc ludzkich, lecz je zachować, musicie je zdobywać, ale uczciwą i szlachetną walką i na nią musicie właśnie dobyć wszystkich sił! Inaczej ów zdradliwy »dzień powszedni«, który gotów jest zatrzeć i zniszczyć wszystkie podnioślejsze, niecodzienne pragnienia, gotów zniszczyć i wasze. Jesteście wielką siłą w naszem społeczeństwie, od was też wiele zależy; możecie wiele dobrego zdziałać lecz możecie także nie spełniając tego dobra skrzywdzić siebie i to społeczeństwo, do którego sami należycie.

Zwycięstwo można osiągnąć wieloma drogami i chwytając się wielu środków; musicie wybrać najtrudniejszy, podnosić dusze ludzkie i serca. Lud nasz jest głęboko i gorąco religijny — każdy to wie. Lecz ta jego wiara jest zazwyczaj wiarą zewnętrzną, przy-

wiązaną do form, do kultu. Z religii, jak ze wszystkiego, można wziąć powierzchowną powłokę lub głębszą treść, dajcie więc temu ludowi ową treść głębszą: nie róbcie łatwej propagandy, nie straszcie go malowanym obrazkiem, a mówcie mu więcej o tych podniosłych zasadach etycznych, których wam nie zbraknie. Niech wam to przypomni list św. Pawła o miłości. Wpisanie kogoś do »ksiąg stanu cywilnego«, jako katolika jeszcze nie wystarcza! *Christiani non nascuntur, sed fiunt* — powiedział Tertulian — godzi się o tem pamiętać. Róbcie i wy z ludzi istotnych i prawdziwych chrześcijan. To wasze zadanie!

Pozostaje wszakże inna jeszcze ważna strona waszej działalności. Ludzkość przechodzi kryzys religijny. I my ją odczuwamy. Walka toczy się i u nas na polu umysłowem — ale jak się toczy! Przeciwnicy wasi w sporze naukowym, który z wami wiodą, walczą bardzo często bronią bez wyboru. Każdy, nawet zwietrzały i porzucony przez naukę argument, jest dobry jeśli o was chodzi; wy zaś znowu tak często nie schodzicie ze stanowiska wyłącznego, przestarzałego i niekrytycznego. Taka walka, tak prowadzona jest zawsze niebezpieczną, obie strony bowiem schodzą na niższy poziom. Tymczasem na Zachodzie daje się od dość już dawna spostrzegać silny ruch naukowy na polu religijnem. Podstawy wiary, początkowa historya Kościoła, tworzenie się i ustalanie dogmatów, wszystko to jakby ponownie teraz ludzkość bada i ponownie, głęboko się nad tem wszystkiem zastanawia. I katolicy oczywiście biorą w tem ruchu żywy udział i stoją najzupełniej na naukowym poziomie. Dziwna rzecz, iż kraj tak na wskróś katolicki jak Polska, pozostał w tyle pod tym względem. Są i u nas chwalebne wyjątki, wiem o nich, ale to tylko wyjątki — o ile możności też starajcie się przemienić je w regułę. I tu starajcie się podnieść poziom, zróbcie pod tym względem, wy pierwsi, początek. Musicie się starać uczynić prawdę, którą głosicie wszystkim dostępną — ale to nie znaczy, że macie ją obniżyć. Przeciwnie! to znaczy uczynić ją tak podniosłą, aby wszyscy za nią poszli i stali się jej wyznawcami.

Karol Potkański.

Ze wszystkich doniosłych zadań, jakie katolicyzm ma u na do spełnienia, najważniejszem w dobie obecnej wydaje mi się skrzepienie wiary w intelligentnych warstwach naszego społeczeństwa, zwłaszcza w zaborze rosyjskim i to głównie w miastach, oraz zszeregowanie tych warstw społecznych pod sztandarem wiary, co najlepiej przez organizacyę chrześcijańsko-społeczną dokonaćby się dało.

Wypadki ubiegłego roku zaskoczyły nasze społeczeństwo zupełnie nieprzygotowane moralnie do odparcia ciosów, jakie wypadki te miały mu zadać.

Wśród polskiej inteligencyi w zaborze rosyjskim, od długiego lat szeregu pozbawionej wpływu światłego duchowieństwa, demoralizowanej przez władze rządowe, poczynając od dzieciństwa, gdy w szkole po raz pierwszy z niemi się stykają, a nadto od kilku pokoleń bałamuconej przez filozofię pozytywistów warszawskich, w rzeczach wiary zapanował zamęt pojęć i powstało spaczenie, które w lekceważeniu wiary a nawet w jawnem jej wypieraniu się zanadto częsty wyraz znajduje. Na taką glebę w ciągu ubiegłego roku padał posiew niezdrowy, z haseł wprawdzie pociągających, ale zrodzonych nie z miłości, ale z nienawiści bliźniego. Podobna gleba jeszcze bardziej przez to zachwaścić się musiała. Już nie tylko ze względów ogólno-ludzkich, ale zarazem i wręcz ze względów narodowych w dobie obecnej bardziej niż kiedykolwiek złemu przeciwdziałać należy. Bieg wypadków w zaborze rosyjskim wskazuje, że niebawem będzie musiał nastąpić tam rozłam społeczeństwa na dwie wielkie frakcye, z których jedną stanowić będą elementy socyalistyczne i żydowskie, drugą zaś chrześcijańska i polska część społeczeństwa. Wobec tego, że już w niedalekiej przyszłości na losy nasze w zaborze rosyjskim pewien wpływ wywierać będą przedstawiciele naszego społeczeństwa z wyboru, więc niewątpliwie w znacznej mierze przedstawiciele intelligencyi, jest rzeczą dla narodu niezmiernie doniosłą, by te właśnie warstwy, które dziś, zwłaszcza po miastach, naogół idą za hasłami wygłaszanemi przez stronnictwa żydowsko-socyalistyczne, przez rozbudzenie w nich często tylko uśpionej lecz nie zanikłej jeszcze wiary, niejako przez chrześcijańskie ich

uświadomienie, pomnożyły szeregi katolickiej i polskiej części społeczeństwa, która jedynie w wierze ojców i z niej płynących zasadach moralnych może znaleźć moc potrzebną do skutecznego służenia sprawie narodu. Wzniecenie przeto ruchu katolickiego wśród polskiej intelligencyi jest dzisiaj, zdaniem mojem, postulatem pierwszorzędnej wagi.

Karol Klecki.

Zdając sobie sprawę z bezsilności swojej wobec postawionego pytania, wolałbym nie odpowiadać na nie. Biorę jednak pióro do ręki w przeświadczeniu, że nie wolno uchylić się od odpowiedzi katolikowi, który losy narodu swego wiąże ze sprawą Kościoła i z tego powodu zastanawiał się nieraz nad współczesnemi kierunkami myśli katolickiej.

Przedewszystkiem należy tu mieć na oku fakt, że Japonia wepchnęła świat w nowy okres dziejów. Rasa żółta zadała cios Rosyi, a przez Rosyę całej rasie białej, czyli tej, która, przyjąwszy chrześcijaństwo, wraz z tem przyjęła była na siebie zobowiązanie stworzenia chrześcijańskiego porządku rzeczy. Ale niejeden okres dziejowy jest świadkiem, że zadanie to niespełnione. Od chwili wyjścia z katakumb, chrześcijanie nienawidząc i tępiąc się wzajemnie, nieraz zgodni byli w jednem tylko — w usiłowaniu nagięcia Ewangelii do swoich nie ewangelicznych, lecz samolubnych celów, czyli oparcia prawa mocniejszego na podstawach religii. Podnosili głos swój przeciw temu wielcy papieże i wielcy święci, powstawali również ludzie wyżsi poza Kościołem, lecz daremnie. Nieprawość i złość natury ludzkiej silniejsze były nad bohaterskie porywy wybrańców.

Lecz oto nadszedł czas likwidacyi. Zjawił się nowy czynnik dziejowy w postaci Japonii, której barki nie były obciążone nieuniesionym przez siły nasze ciężarem wielkiego posłannictwa chrześcijańskiego. Od dział japońskich zachwiała się wewnętrzna budowa państwa rosyjskiego, wybuchnęły nagromadzone tam materyały palne i pożar stamtąd pocznie się szerzyć po Europie.

Jesteśmy w przededniu wielkich przewrotów socyalnych, wchodzimy w chwilę, którą w wieszczej intuicyi odtworzył niegdyś twórca Nieboskiej komedyi.

Wynika stąd, że katolicy powinni w ręce swoje wziąć sprawę reform społecznych i warstwy robotnicze wyrwać z pod wpływu agitacyi socyalistycznej. Istotne znaczenie jednego z zasadniczych twierdzeń socyalizmu, że *Religion ist Privatsache* wyjaśnił niegdyś Marx, wygłaszając, iż »religia to opium«. I w rzeczy samej, socyalizm, wysnuwając swoje wywody z przesłanek filozofii materyalistycznej i pozytywistycznej, występuje stale w najściślejszym związku z wojującym antyteizmem, systematycznie i zaciekle usiłuje zohydzić Kościół i wszelką religię, czego dowodem są drukujące się u nas świstki socyalistyczne. Wypleniając myśl o Bogu z serc wyznawców swoich i ograniczając aspiracye ich zakresem materyalnych tylko potrzeb, niszczy on świat ducha, kaleczy istotę człowieka i przez znikczemnienie jej prowadzi do powszechnego zdziczenia obyczajów. Przerażony groźnemi następstwami socyalizmu, jeden z najgorętszych wyznawców tej doktryny nie wahał się wyznać niedawno, że »ateizm, jako kult człowieka przeciwstawionego Bogu, jest religią socyalistów i z religii tej nie zaś z bezpośredniej miłości bliźniego wypłynął cały socyalizm, który, w skutek tego zamiast być celem dla siebie, stał się tylko narzędziem dla ateizmu w jego walce przeciw religii Boga-człowieka, w imię religii człowieka-boga« [1].

A jednak potworny sam w sobie, jako owoc dobrowolnej kastracyi duchowej, socyalizm pociąga umysły szlachetne a słabe tem, że biorąc w opiekę warstwy wydziedziczone, z całą potęgą namiętności dąży do urzeczywistnienia takiego ustroju społecznego, który w gruncie rzeczy stanowiłby w głównych zarysach swoich tylko cząstkę wielkiego ideału Państwa Bożego *(Civitas Dei)*. Ten więc monopol walki o prawdę społeczną powinni katolicy odebrać socyalistom i w tem zadaniu katolicyzmu w Polsce schodzą się najzupełniej z zadaniami całego wogóle świata katolickiego. »Pókiście nie uczynili jednemu z tych najmniejszych —

[1] Prof. S. Bułgakow w *Woprosach Żizni*, 1905, Nr 9, str. 351.

mówi Chrystus o łaknących, pragnących i nagich (Mat. XXV)— aniście mnie uczynili...« Czyli ci, co im nie czynią, wyrzekają się Chrystusa i uczestniczą w krzyżowaniu Jego. Nie wolno służyć zarazem Bogu i mamonie. Służąc mamonie, opieramy dostatki nasze na nędzy i łzach milionów i przeto dostatki te nakładają na ich posiadaczy obowiązki najcięższe, jakie mogą być.

Zrozumiał to był Leon XIII; dzieło, któremu dał swoją encykliką *Rerum novarum* bardzo nieśmiały początek, niech katolicy prowadzą teraz dalej ze zdwojoną energią pod dwoma jednak warunkami, które dla nas, Polaków, są szczególnie ważne: popierwsze, oręż nienawiści i oszczerstwa, którym walczy agitacya socyalistyczna, powinien być porzucony przez przedstawicieli ruchu katolicko-społecznego; powtóre przedstawiciele ci powinni być katolikami nie z imienia tylko, lecz z głębi duszy, gdyż w przeciwnym razie, choćby posiadali najgłębszą wiedzę ekonomiczną, pierwszorzędne zdolności organizacyjne i najświetniejszy talent publicystyczny, każdy odczuje, że wiara, zamiast być podstawą ich istoty duchowej i dźwignią życia, jest tylko czemś wyrezonowanem, polecanem przez nich, jako zbawcza siła społeczna. I ten brak szczerości uczyni wysiłki ich bezowocnymi, nieraz nawet szkodliwymi. Nie agitatorów potrzebujemy, ani oportunistów katolickich, lecz apostołów, którzyby sercem całem ukochali swoich wydziedziczonych braci.

Przypuśćmy jednak, że sprawa reformy społecznej w duchu chrześcijańskim znalazła u nas dzielnych bojowników, że zdołali oni pociągnąć lud za sobą i że sparaliżowali agitacyę socyalistyczną wśród warstw robotniczych. Tak się już stało wśród pobratymczych nam Słowieńców w Krainie i Styryi Południowej. Czy to wszystko? O nie! Na czele akcyi katolickiej stanęło tam duchowieństwo. Ale nie umiało ono swoich postępowych pod względem społecznym ideałów odłączyć od dążeń klerykalnych, innemi słowy, nie umiało wyrzec się tego, co jego naturę stanowi, jako organizacyi, w ręku której spoczywają rządy Kościoła. I zorganizowana tam demokracya klerykalna wzburzyła przeciw sobie bezwyznaniową i indyferentną intelligencyę — i pomiędzy katolikami a liberałami rozwarła się przepaść nienawiści, o której

nie możemy na podstawie naszych stosunków wyrobić sobie dokładnego wyobrażenia.

I to jest nieszczęściem. Gdyby Kościół miał nawet za sobą wszystek lud i warstwy robotnicze, nie wieleby zdołał dokonać, jeśliby przeciw sobie miał intelligencyę. Intelligencyi zaś nie pociągnąłby, gdyby stanął jej w drodze tak niezgodny z duchem Kościoła klerykalizm. Mówiąc to, czuję, że wchodzę w krainę mgły, po której błądzić muszę po omacku, mając przed sobą zamiast ściśle odgraniczonych pojęć niedostrzegalne w różnicach odcienie tych pojęć. Klerykalizm polega na utożsamieniu interesów Kościoła, który jest Ciałem Chrystusowem, z interesem osobistym hierarchii. Lecz gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie? Wszak wiem, że Kościół rządzący stoi na straży prawd wiary i moralności, wiem, że przedstawia zasady najdostojniejszego na świecie autorytetu, wiem wreszcie, że ten pierwiastek autorytetu jest niezbędny, inaczej ludzkość wpadnie w anarchię. Ale wiem również, że niema w życiu ludzkiem zakresu, któryby się nie stykał z dziedziną wiary i moralności i że przeto z tego, naturalnym rzeczy porządkiem, wyniknąć może dążność Kościoła rządzącego do rozciągnięcia samowładnych rządów nad wszystkiemi dziedzinami życia. Wyjście stąd widzę jedno: to na które wskazują najszlachetniejsi i najgorętszego ducha kapłani (np. biskup Bonomelli) t. j. skojarzenie autorytetu z miłością, czyli miłościwem patrzeniem i miłościwem rozumieniem duszy ludzkiej na tych różnorodnych drogach, po których podąża w wieczystej pogoni za prawdą.

U nas duchowieństwo bliższem jest tego ideału, niż gdzieindziej, albowiem, wskutek warunków politycznych, sprawa narodu zlała się w jedno ze sprawą Kościoła i kapłan-Polak czuje się nietylko kółkiem w organizacyi obejmującej świat cały, ale i obywatelem swego kraju. Jednak wobec zbliżającej się wybitnej roli społecznej i politycznej, jaką duchowieństwo nasze, w obecnej chwili przełomowej odegrać może, przestroga przed tem następstwem, jakieby z tej roli wypłynąć mogło, nie jest zbyteczną.

Filozofia chrześcijańska i organizacya Kościoła rozwijały się

pod wpływem greckiej filozofii i rzymskiej państwowości. Typ myśli starożytnej był racyonalistyczny. Nieodstępnym zaś towarzyszem racyonalizmu jest skłonność do despotyzmu umysłowego, podającego twierdzenia swoje, jako pewniki, zbudowane na niewzruszonych podstawach logiki. Wszelki zaś despotyzm jest ekskluzywny i wyrabia te instynkty pychy i panowania, które nieraz rażą u zwolenników klerykalizmu. Otóż taki właśnie klerykalizm odpycha tych wszystkich, a jest ich najwięcej, w krew i kość których weszło przywiązanie do zdobytego wszelkim kosztem skarbu wolności, myśli i słowa; na tych zaś, których pociąga, wyciska nieraz piętno suchości, zwiewa z nich tę poezyę, którą niesie w duszę szlachetny pęd do szukania prawdy i do przetwarzania świata na wzór tej prawdy.

Mówię to wszystko na podstawie osobistych doświadczeń. Od czasu studyów uniwersyteckich aż do dziś dnia widziałem zawsze, że umysły żywsze, lotniejsze i śmielsze zwracały się ku doktrynom krańcowym, a że natomiast tych co przy wierze ojców zostawali, a mam na myśli najlepszych z ich grona, cechowała jakaś roztropność i trzeźwość, nie licująca z młodością, jakaś nieraz przedwczesna starość. Wyjdą z nich ludzie porządni, myślałem i myślę, lecz tacy nie przetworzą świata ani popchną naprzód sprawy Kościoła.

Tymczasem idea Kościoła, obejmując ten świat i tamten, wiążąc życie doczesne z przyszłem, tworząc społeczność idącą poprzez światy i wieki ku Bogu i te wieki i światy rozświetlającą tem światłem wewnętrznem, które łaska Boża w każdą duszę wlewa, idea ta najwyższa i ostatnia, streszczająca w sobie podobieństwo człowieka do Boga, powinna tryskać młodością i życiem, porywać szumem i lotem rodzących się z niej myśli i pragnień.

Ponieważ tak nie jest, więc świadczy to o nizkim poziomie ogółu, a także i o tem, że ci, co ideę tę głoszą, nie zawsze we właściwej ją szacie przedstawiają. I stąd wyprowadzam wniosek, że dla wzmocnienia słabnącej spójni katolicyzmu z intelligencyą potrzebne są reformy w wykształceniu kleru, także w nauczaniu religii po szkołach. Ale jakie muszą to być reformy? Teolo-

giem nie jestem i czuję tu swoją upokarzającą bezsilność. Jedno jest dla mnie jasne, że zaznaczona przezemnie wyżej skłonność do ekskluzywizmu ma ustąpić miejsca inkluzywizmowi, wychodzącemu z zasady, że Kościół jest przedewszystkiem życiem, nie zaś doktryną, że w pewnym stopniu do Kościoła należą, jak się wyraził niegdyś nasz mistyk, ci wszyscy, co mają czucie chrześcijańskie, że przeto katolicyzm powinien odczuć, objąć i pogodzić w sobie wszystko, co jest istotnie pięknem, dobrem i prawdą, co kiedykolwiek jako takie żyło w duszach szlachetnych i wielkich.

Na tem polegać ma owo skojarzenie zasady autorytetu z miłością, w którem się streszcza odwieczna a najpilniejsza potrzeba Kościoła.

Zdobycie kwiatu intelligencyi dla katolicyzmu jest koniecznością tak dla nas, jak dla całego świata katolickiego. Kto ideę Kościoła odczuł, ten się jej nie wyrzecze; komu jest obcą, ten dzieckiem jest lub kaleką duchowym. Z niewoli ubóstwa tego i kalectwa wyprowadzić trzeba Polskę.

Nie chcę, aby słowa moje zrozumiane były jako potępienie katolicyzmu naszego. Widzę w około siebie biskupów głęboko przejętych powagą swego posłannictwa; widzę gorliwych kapłanów oraz katolików świeckich podniosłego ducha. Mogę się z nimi w tem lub owem nie zgadzać, lecz pójdę tylko z nimi, nigdy z ich przeciwnikami. A jednak usiłowania ich rozbijają się o ogrom przeciwieństw i myśl szuka środków jak światło z Nieba skierować w tę ciemność, obejmującą dusze współczesne, w której zanika nawet zdolność do podnoszenia wzroku w górę. Walka człowieka przeciw Bogu zaznacza cały wiek XIX, objawiając się w najgłośniejszych objawach jego literatury, filozofii, polityki. Dziś doszła ona do kresu roznamiętnienia: człowiek-bóg postawiony został na miejscu Boga-człowieka. Wśród tych zawichrzeń najprzedniejsze duchy narodu naszego, z Mickiewiczem na czele, stawały w obronie wiary i myśl o Bogu i Kościele zespoliły w promienną całość z miłością ojczyzny. Powinniśmy przyjąć to wielkie spadkobierstwo. I gdy powódź rewolucyi, usiłującej zniszczyć przybytki czci Bożej tak na świecie szerokim, jak i w du-

szach ludzkich, coraz gwałtowniej zalewa Europę, my, myślą Mickiewicza owiani, pójdziemy z tymi nielicznymi zapewne, którzy ratując to co najdroższe i najświętsze — ideę Kościoła, uniosą ją na górę wysoką, aby stamtąd świeciła światu i przechowują ją do chwili, gdy rasa świeższa, zdrowsza i szlachetniejsza przyjdzie zastąpić konające w konwulsyach nienawiści społeczeństwo Europy.

M. Zdziechowski.

Odpowiedź mą na pytanie: jakie są szczególniejsze zadania, które katolicyzm u nas w Polsce ma dzisiaj do spełnienia, ograniczam tylko do politycznej dziedziny, w przekonaniu, że inni piszący odpowiedzi rozświetlą kwestyę z innego punktu widzenia.

Jakkolwiek nie tworzymy jako naród osobnego państwa, niemniej, jak mówił Szujski w swem wspaniałem studyum o Długoszu, »w nieśmiertelnej czujący się jedności«, mamy swe polityczne, ogólno narodowe zadania, a temi są: krzewienie moralnego, społecznego, politycznego i materyalnego dobrobytu.

Aby zadania spełnić, potrzeba organizmu, który dojdzie do ich świadomości i zdoła skupić środki i drogi, celem ich podjęcia i skutecznej realizacyi.

Jako organ taki występuje u narodów państwowo zorganizowanych przedewszystkiem rząd. Siła jego rośnie w miarę poparcia reprezentacyi społeczeństwa i zgody w zasadzie i szczegółach między rządem a większością przynajmniej i reprezentacyi i społeczeństwa.

Jego głównymi środkami działania są ustawy i własne instytucye, administracya tych instytucyi. A więc np. wyda ustawy o przymusie szkolnym, o planie naukowym i organizacyi szkoły i czuwa nad ich funkcyonowaniem w duchu i kierunku przez politykę za dobry uznanym, czy też wyda ustawy ujmujące w karby obrót ziemią, znów w świadomym celu służenia politycznym zadaniom społeczeństwa.

Samo działanie rządu i wpływ jego ustaw i instytucyi, acz-

kolwiek wielki, jednak nigdzie nie jest ani wyłącznym, ani może być dostatecznym. I w najlepszych szkołach mogą się źle uczyć, i na najlepiej zorganizowanych co do obszaru jednostkach gospodarczych mogą ludzie źle orać, siać i t. d. Rezultatu dodatniego nie będzie, bez poparcia skutecznego idei i zamiarów ustaw i instytucyi publicznych, przez społeczeństwo. Prócz dobrych ustaw potrzeba przeto istnienia i rozwoju czynników zdolnych wpływać dodatnio na wolę, przez to i na czyny jednostek ludzkich, społeczeństwa całego. Obok ustaw potrzeba tu przeto i zdrowego obyczaju społecznego i szeroko panującej a wnikającej głęboko moralności, cnoty w myślach i czynach. Wiadomem jest, że Platon uznawał cnotę wprost za najwyższe zadanie polityki, a pisarze oceniający odmienne zadanie polityki, stawiający je więcej realnie, odnosząc do całości społeczeństwa, uznali jednako cnotę i moralność za najważniejszy czynnik rozwoju, najistotniejszą siłę, poręczającą zwycięstwo.

A pogląd ten znajdujemy nawet u współczesnych niemieckich autorów politycznych, którzy zresztą raczej skłonni są do przeceniania znaczenia i doniosłości wpływu państwa (Schläffle, Wagner, Schmoller), niemniej jednak cnotę, moralność indywidualną, za niezbędny czynnik i warunek politycznego rozwoju uznają. I Wagner stwierdza dalej (*Grundlegung* I, 131), jako *psychologische und historische Erfahrungstatsache ersten Ranges* z jednej strony, że sumienie jest najskuteczniejszym środkiem do zwalczenia nizkich, egoistycznych popędów, że religijna wiara w Boga, Jego wszechwiedzę, sprawiedliwość, nakazy i zakazy, jest podporą sumienia i najskuteczniejszą pomocą dla rozwoju lepszych, nieegoistycznych popędów duszy. A Schmoller (*Grundriss* 42) stwierdzając, że religia wytwarza ogólne poczucie obowiązków, występujące wszędzie jako silnie działający impuls przeciwko nizkim popędom, z trwogą stawia pytanie, co zdoła zapewnić skuteczną substytucyę religii, uznając jej dotychczasową nie tylko etyczną lecz i społeczną i polityczną doniosłość, a kończy wyrażeniem obawy, że nic nie zdoła zastąpić w życiu religijnych podpór i norm, że bezreligijne społeczeństwo widzi kotwicę, co

je ratowała dotąd *im wilden Spiel roher Naturmächte und Leidenschaften vor dem Zerschellen an dem Felsen menschlicher Gemeinheit.*

Obawy wywołane stwierdzeniem zaniku wierzeń i uczuć religijnych odezwały się tak potężnie, że dały w licznych krajach początek ruchowi t. zw. etycznemu, chcącemu ująć umysły, dusze, czyny ludzi na nowo w karby religii obowiązku, żądającemu bez względu na wiarę w dogmata, pełnienia przykazań Chrystusa, a jeden z najwybitniejszych pisarzy tego kierunku, Sheldon (»Ruch etyczny«, 28), stwierdza, że nigdy cywilizacya prawdziwa w większem, jak obecnie, nie znajdowała się niebezpieczeństwie.

Tem ważniejszem przeto jest posłannictwo religii u nas, a ponieważ jako religia narodu występuje w Polsce katolicyzm, tem ważniejszem jest u nas znaczenie i zadanie katolicyzmu. Wpływ na treść ustaw, na zakres, ustrój i dążność działania instytucyi państwowych mamy tylko w Galicyi, nie mamy go w ziemiach obu drugich zaborów, a i w Galicyi jest ten wpływ ograniczony tak zbyt ciasną kompetencyą sejmu, jak realnym wpływem na tok wielu spraw centralnego rządu. Społeczeństwo polskie nie może przeto ani w tym stopniu, ani z tem zaufaniem patrzeć na polityczny wpływ ustaw i instytucyi publicznych, jak to mogą czynić społeczeństwa, mające swe własne państwa narodowe. Ustawy nie zmuszają nas do spełnienia narodowych obowiązków, instytucye publiczne — np. szkoła pruska czy rosyjska — nie starają się o należyty rozwój naszej umysłowości i charakteru, owszem one mają być — jak to przyznaje Treitschke w swej *Politik* — środkiem wynarodowienia.

W wyższym przeto stopniu niż inne społeczeństwa musimy polegać przy całem zagadnieniu naszego narodowego dobrobytu, w naszem politycznem działaniu na moralności jednostek w skład społeczeństwa wchodzących, na ich żywem poczuciu, zrozumieniu obowiązków narodowych oraz gorliwem tychże pełnieniu. Organem naszego działania jest nie rząd lecz społeczeństwo, jego świadome i przejęte poczuciem obowiązku jednostki. Starałem się już dawniej zwrócić na to uwagę w mych odczytach: »Zdobycze i illuzye postępu« oraz »Zadania narodowej oświaty«.

Wszystkie nasze czyny w kierunku narodowego rozwoju są

dobrowolne, nie zmusza do nich żadna ustawa, nie podejmuje ich organ publiczny, nie zbiera dla nich środków materyalnych żadna władza podatkowa. Indywidualne czy zbiorowe czyny — czytelnie, wydawnictwa, ochronki i t. d. — są wypływem dobrowolnego działania, dobrowolnej ofiary swego czasu, pracy wiedzy, zasobów. Dobra ta wola istnieje tylko — pomijając nieliczne wyjątki działające pod presyą opinii publicznej czy jakich względów ściśle subjektywnych — pod wpływem szeroko rozwiniętej moralności, t. j. żarliwego poczucia i pełnienia obowiązków.

A znów niebezpieczeństwem najwyższem dla narodowego rozwoju i przyszłości, to nie cudza prześladowcza polityka, lecz wewnętrzne rozbicie społeczeństwa, zanik solidarności narodowej, wybujałość antagonizmów klasowych, warstwowych, zawodowych, partyjnych, połączona z zanikiem wzajemnego szacunku i zaufania. I mieliśmy tego smutne przykłady, fakta stawiania np. ludu w antytezie do narodu, co już samo przez się jest antynarodową polityką. Takie rozbicie nas na nieprzyjazne warstwy, obozy i żywioły było w programie wrogiej nam cudzej polityki, a jest błędem wielkim, wyrażając się łagodnie, gdyby to czynił ktoś zaliczając się jeszcze rzekomo do narodowego obozu. I tu znów jako lekarstwo i środek prewencyi wystąpi moralność, bo ona pouczając o wzajemnych obowiązkach, skłaniając do ich pełnienia, stopniowo łagodzi przeciwieństwa, nienawiści, stopniowo budzi wzajemne zaufanie i życzliwość, ożywia naród cały jedną myślą wspólną, która gdy go jako moralne powrósło przewiąże (Libelt), daje mu wielką siłę i wytrwania i czynu.

W obu kierunkach i jako nauka dodatniego czynu i jako środek zapobiegający niebezpieczeństwu rozstroju, najskuteczniejszą pomoc i najpełniejszy system moralności daje nam etyka chrześcijańska. Czy wspomnimy sobie uroczą naukę o błogosławieństwach, chociażby tylko owo »błogosławieni miłosierni«, »błogosławieni pokój czyniący«, czy pomyślimy o uczynkach miłosiernych co do ciała i duszy, o tem, by »łaknących nakarmić, pragnących napoić, nagich przyodziać«, »nieumiejętnych nauczać, wątpiącym dobrze radzić, zasmuconych pocieszać«, czy rozważymy naukę o cnotach i grzechach, owo potępienie grzechów wo-

łających o pomstę do Boga, w ich rzędzie ucisk wdów i sierót, zatrzymanie zapłaty sługom i robotnikom, tam wszędzie objawia się nam katechizm katolicki jako ewangelia społecznego pokoju i sprawiedliwości, jako zapora złego a nauka czynów nie tylko indywidualnie lecz społecznie dodatnich. Jej wynikiem miłość, poświęcenie, cierpliwość, obowiązkowość.

Były dawniej i istnieją i dziś różne systemy etyki filozoficznej, szlachetnej, choć nie opartej o religię, Sokratesa, Platona czy Sheldona, ale żaden z nich w żadnym punkcie, o ile nie jest eklektyką z chrystyanizmu, nie stanął tak wysoko, jak etyka chrześcijaństwa, żaden z nich nie umiał trafić do warstw szerokich, stać się ich ewangelią. Współczesne wypadki stwierdzają licznie, że gdzie religia zanika u warstw szerokich, tam wybucha przedewszystkiem nienawiść, stająca się grobem etyki, czynnikiem zdziczenia. Etyka pozareligijna opiera ostatecznie dwa wymogi na idei korzyści społecznej, i stąd w walce życiowej łatwo odnosi nad nią zwycięstwo idea korzyści własnej, bo bliższą jest, zrozumialszą dla przeciętnych, i to prowadzi do zjawisk antyspołecznych, rozpasania osobniczego egoizmu, wybujałego indywidualizmu. Omawiając to w swej dwutomowej historyi moralności i polityki pisze Paul Janet (I, 283), że nauki ewangelii: *ont servi à nourrir les âmes populaires, les coeurs simples, les petits et les innocents, tandis que les beaux écrits des philosophes demeuraient le mets réservé des raffinés et des délicats.*

A z uwagą tą łączy słuszną ocenę doniosłości etyki chrześcijańskiej, pisząc: »L'esprit de la morale chrétienne est de demander à l'homme tout ce que l'on peut lui demander, c'est d'exiger de lui le plus grand effort de dévouement, de sacrifice et d'oubli de soi-même, que l'âme humaine puisse, je ne dis pas exécuter, mais concevoir. C'est pourquoi elle est la plus grande morale qui ait jamais paru... L'Evangile nous impose tout l'amour de Dieu, tout l'amour des hommes, tout le courage, toute la patience, toute la chasteté, toute la modestie et l'humilité, en un mot, toute la perfection que l'on peut rêver pour l'homme, et non pour un homme qui n'a jamais existé et n'existera jamais, mais pour

l'homme véritable, tel que l'a fait la nature. Cette doctrine me parait contenir la plus parfaite idée de la vertu humaine«.

Podobnie ocenia historyk Sir J. R. Sceley *(Ecce homo, the life and work of Jesus Christ.)* znaczenie moralnych zasad chrześcijaństwa, uznając, że Kościół Chrystusowy może stąd być zwanym *the Moral University of the World, not merely the greatest, but the only great School of Virtue.* A wobec podnoszonych nieraz zarzutów bezskuteczności akcyi Kościoła, bo tyle istnieje w świecie i złego i brudu i gniewu i zawiści, przypomina Sceley słusznie, że polityczna organizacya społeczeństw pomimo mniejszego i poziomszego zakresu działania, a równocześnie silniejszych środków wykonawczych, materyalnej władzy, jednak nie zdołała nigdzie w całej rozciągłości spełnić swych zadań elementarnych, chociażby tylko, mianowicie bezpieczeństwa życia, mienia i czci; mimo to nikt poważny nie zaprzeczy ni znaczenia, ni trudności i skuteczności państwowej organizacyi. Pomimo istnienia dużo złego w świecie, nie może przeto nikt z tego wnioskować o niedostateczności etyki chrześcijańskiej.

A uznając zgodnie z prawdą i z powyższymi wywodami wielką życiową doniosłość nauk Kościoła, ich podniosły wpływ na ogół społecznych stosunków można zadziwić się, widząc wprost wrogie i nieżyczliwie obojętne stanowisko różnych partyi radykalnych wobec Kościoła. Kto myśli i czuje jak bezwzględny spekulant giełdowy jawnie hołdujący zasadzie, że na to są głupi, żeby z nich mądrzy żyli, żyjący wyłącznie z cudzej straty i krzywdy, bogacący się na cudzej ruinie, z tego jasną jest nienawiść do nauki, która potępia wszelką krzywdę i wyzysk, każe kochać bliźniego. Ale partye radykalne głoszą, że chcą przewrotu, bo widzą zło i krzywdę w istniejącym ustroju. A mimo tego programowego hasła, bądź to zwalczają wprost Kościół, ową najwyższą szkołę cnoty i najsilniejszą negacyę uprawnienia krzywdy, lub w równie monstrualnej niekonsekwencyi uznają jego naukę za obojętną! I jak można w walce głoszonej z rzekomym zamiarem uchylenia krzywdy, uznawać za obojętną tę właśnie naukę, co krzywdę najstanowczej potępia. Sprzeczność to jaskrawa między hasłem głoszonem, a metodą akcyi, sprzeczność ta odbiera też

zaufanie do szczerości głoszonego hasła. Walka z krzywdą jest tylko firmą, treścią zaś prosta nienawiść, troska co najwyżej tylko o pewną część społeczeństwa, z pominięciem, z krzywdą dla innych. Budzenie wrzenia, nienawiści, niepokoju jest ich metodą akcyi, warunkiem powodzenia i stąd wykorzeniają naukę tak potrzebną dla życia, poddania się Bożej woli.

Trudniejsze nasze położenie niż innych narodów, bo i większemi nasze zadania, gdyż więcej straciliśmy i mniej dorobili niż inni, i szczuplejszymi w liczbie i bezpośredniej skuteczności środki czynu, jakie mamy do rozporządzenia. Tem ważniejszem przeto dla nas zyskanie moralnie najtęższego materyału ludzi, a w tym względzie wiara i etyka katolicka może nam być najskuteczniejszą pomocą. Nie dogmat to bowiem tylko metafizyczny, lecz nauka cnoty i czynu, walka prawdy i drogi i życia. Rozumne czyny i cnota publiczna to dźwignie narodowego dobrobytu na wszystkich polach, zdolne usuwać osłabiającą społeczną rozterkę. To też nadać katolicyzmowi u nas polityczne i narodowe znaczenie.

Józef Milewski.

Nowożytny absolutyzm królewski opiera się w znacznej mierze aż do rewolucyi francuskiej na wyższem duchowieństwie, które dzięki rozdawnictwu beneficyów przez monarchę, należy, można powiedzieć, do najściślejszych sfer dworskich. Nic przeto dziwnego, że pierwsze prądy wolnościowe, dążące do obalenia panującego ustroju, zwracają się z równą siłą przeciw monarchii i religii, gdyż ze względów agitacyjnych i wskutek tak zwykłego w szerokich masach jednoczenia idei z jej przedstawicielami, nie odróżnia się bynajmniej Kościoła od stanowiska zajętego przez kler wyższy.

Mimo więc specyficznie demokratycznego charakteru swych zasad, katolicyzm przybiera pozornie znamiona czynnika feudalno-absolutnego. W owym czasie cechy te narzucono mu z zewnątrz, najpierw w interesie idei monarchicznej, potem rewolucyjnej.

W pierwszych dziesiątkach XIX stulecia dołącza się do tego błąd znacznie większy, bo katolicyzm przyjmuje je dobrowolnie, potwierdzając tem samem to wszystko, co z tego tytułu podnosili przeciw niemu przeciwnicy. Po zamknięciu okresu przewrotów, kler widzi z jednej strony szerokie masy społeczne, które wzięły udział w rewolucyi, z drugiej zaś rząd i powracające do wpływu sfery konserwatywno-monarchiczne, Kościołowi życzliwe. Na pierwszy rzut oka naturalną wobec tego wydawała się potrzeba połączenia się z grupami otaczającemi tron, przeciw burzycielom wszelkiej władzy, społecznego porządku i religijnych uczuć. W ten sposób powstała słynna doktryna o obronie »tronu i ołtarza«, tak dogodna dla pewnych kierunków politycznych, tak szkodliwa dla katolickiej idei.

Oczywiście rozwój ten zaznaczył się najsilniej we Francyi, gdzie od trzech wieków pracowały w tym kierunku najpotężniej powyżej skreślone czynniki, najpierw najbardziej wydoskonalony absolutyzm królewski i skupienie wszelkiej władzy publicznej w sferach dworskich, potem skuteczna agitacya intellektualna i wybuch rewolucyi, wreszcie restauracya monarchii i powrót emigrantów »katolickich« do »niekatolickiego« społeczeństwa. W owych czasach jednak Francya wywierała tak znaczny wpływ na całą Europę, że jakkolwiek w wielu krajach zupełnie inne panowały stosunki i nie było tych powodów, które we Francyi przynajmniej pozornie usprawiedliwiały sojusz katolicko-konserwatywny, wszędzie mniej więcej poszło się za tym przykładem, tak, że katolicyzm znalazł się w jednym tylko obozie politycznym i to w najmniej dla niego odpowiednim, bo w stronnictwie, zwalczającem mniej lub więcej skutecznie i gwałtownie reformy demokratyczne i społeczne.

Naturalnie w przeświadczeniu swych twórców po stronie katolickiej, ustrój ten miał bronić Kościoła i chrześcijańskich zasad. Łączono się z partyą monarchiczną i konserwatywną, bo ona przyznawała się głośno i otwarcie do katolicyzmu, bo obiecywała iść w jego duchu, trzymać się jego przepisów, zwalczać wszystkie zakusy wrogów. Konserwatyzm miał być podporządkowany kato-

licyzmowi, miał mu służyć, lecz w żadnym razie nie miał go opanować.

Było to złudzenie, które niestety utrzymywało się zbyt długo. Z góry można było przewidzieć, że stronnictwo polityczne, utworzone w celu utrzymania swego stanu posiadania lub nawet dla odzyskania utraconego wpływu, prędzej czy później wyzyska ideę religijną, ten tak potężny czynnik grupowania społecznego, do swoich partyjnych celów, że pójdzie w duchu katolickim o tyle, o ile jest on zarazem konserwatywnym, lecz wszędzie tam, gdzie zasada lub polityka zachowawcza nie będzie zgodną z interesem katolicyzmu, oświadczy się za konserwatyzmem. Utworzono spółkę konserwatywno-katolicką, w której nie było uprawnionych członków; jeden, katolicki, miał popierać drugiego całym swoim wpływem na lud, choćby ze swą stratą, drugi miał kierować i pobierać korzyści. Była to prawdziwa *societas leonina,* w której konserwatyzm zmonopolizował katolicyzm na swój wyłączny użytek.

Zgubne dla katolicyzmu skutki tego zlania się z konserwatyzmem okazały się z równą siłą u góry — w ciałach ustawodawczych — jak i u dołu, przy bezpośredniem zetknięciu się z ludem. Konserwatyzm narzucając katolikom wszystkie swoje postulaty, począwszy od legitymizmu we Francyi, aż do prawa wyborczego u nas — zarazem nie przyjmował do swego programu całego szeregu żądań katolickich, mieniąc je niewłaściwemi i niepolitycznemi. Nie wdając się w ich ocenę, należy jednak stwierdzić, że w wielu wypadkach jedyną ich wadą był brak podkładu konserwatywnego. W starciu tem, w którem zwyciężała zawsze idea konserwatywna, stronnictwo zachowawcze wychodziło jeszcze z rycerskiemi ostrogami obrońcy nowożytnych myśli prawno-publicznych wobec zakusów średniowiecznej nietolerancyi lub klerykalizmu. Cokolwiek było niepopularnego w konserwatyzmie, spadało i na katolików; odrzucane w imię t. zw. postępu postulaty chrześcijańskie, piętnowały katolików jako zacofańców, lecz nie dotykały konserwatystów, którzy oświadczali się przeciw nim tak samo jak stronnictwa liberalne, a nawet zwalczali je skuteczniej, bo mając katolików w swych szeregach, tem łatwiej umieli utrzymać ich na wodzy. Dość przypomnieć sobie

kwestyę wychowania i szkoły wyznaniowej, ażeby się o tem przekonać.

W parlamentach przeto katolicki odłam konserwatyzmu uchodził za najzaciętszych przedstawicieli reakcyi. Gorzej jeszcze było u dołu, w stosunku do ludu. Stronnictwa konserwatywne tam wszędzie, gdzie mogły liczyć na katolików, nie miały najczęściej samoistnej a dostatecznie wykształconej organizacyi partyjnej, zastępowała ją bowiem hierarchia kościelna. Naturalnym do pewnego stopnia, w ich mniemaniu, obowiązkiem księdza było zachowanie szerokich warstw ludowych dla partyi, która politycznie reprezentowała katolicyzm, bez względu na to, w jakim kierunku w danej chwili idzie polityka konserwatywna. Stąd wszędzie rola duchowieństwa stawała się nader trudną, w wielu wypadkach wprost niezgodną z jego właściwą misyą. Ksiądz w parafii, który miał być nauczycielem etyki chrześcijańskiej, który miał lud uszlachetniać moralnie, głosić wszędzie i zawsze idee słuszności i sprawiedliwości, co chwila musiał przybierać charakter ajenta politycznego, który broni oportunizmu i utylitarności partyjnej polityki, z większym lub mniejszym nakładem dyalektyki i sofisteryi tłumaczy lub osłania niewłaściwe jej kroki, nieraz wbrew lepszemu swemu przeświadczeniu zwalcza słuszne zarzuty przeciwników, byleby tylko lud i nadal utrzymać w konserwatywnym obozie. A u nas rzecz cała przedstawiała się tem gorzej, że współdziałał on z rządem, że schodził do rzędu czynnika, który w każdym wypadku idzie z dworem i starostą.

Związek ten konserwatyzmu z katolicyzmem utrwalał się i pogłębiał coraz więcej siłą przyzwyczajenia. Pierwotnie sojusz polityczny, spowodowany panującemi na razie okolicznościami, mający trwać tak długo, dopóki istnieć będą przyczyny, które go wywołały, powoli przybiera w umysłach charakter prawie zupełnego zjednoczenia obu kierunków, bo całe generacye wzrastały w przeświadczeniu, że katolicyzm musi iść ręka w rękę z stronnictwem zachowawczem. Przywódcy partyi konserwatywnej umieją doskonale wyzyskać te poglądy dla swych politycznych celów, tak że dochodzi do tego, iż każde wystąpienie przeciw polityce

grup konserwatywnych identyfikuje się niemal ze stanowiskiem antikatolickiem. Skoro tylko duchowny, który przecież jako obywatel kraju może mieć indywidualne zdanie o sprawach polityki bieżącej, wystąpi przeciw partyi konserwatywnej, a choćby tylko rozpocznie działalność społeczną, która wydaje się niepożądaną konserwatyzmowi, natychmiast u góry, u jego władzy, rozpoczynają działać wpływy, ażeby z mocy władzy biskupiej, zakazać mu tej roboty, niebezpiecznej — jak tam mówią — dla Kościoła, bo popierającej kierunki »rozkładowe i demagogiczne«, osłabiające stronnictwo, które jedynie broni katolicyzmu. Episkopat opierając się, wskutek powyżej skreślonych powodów, na stronnictwie konserwatywnem, musiał nieraz dla dobra sprawy uwzględniać podobne żądania. Rezultat zaś tego jest bardzo jasny: albo duchowieństwo, widząc, że próby akcyi społecznej powieść się nie mogą, z rezygnacyą wraca w ciasne granice konserwatyzmu, albo idąc dalej w obranym kierunku, ściąga na siebie zarzut nieposłuszeństwa swej władzy. Wtedy w imię interesów partyjnych zwraca się z wielkim naciskiem uwagę stolicy biskupiej na zgubne skutki takiego rozluźnienia karności, systematycznie i wytrwale zachęca się do zastosowywania ostrzejszych środków względem opornych, gdy nie pomogły łagodniejsze. Nie chciał ustąpić, należy go złamać, powtarza się na wszyskie tony.

Zgubny wpływ tych stosunków występuje wyraźnie tak po stronie duchowieństwa, jak i w sferach świeckich. Ksiądz, wobec nieprzezwyciężonych niemal przeszkód, usuwa się od pracy społecznej, zamyka się w »kościele i zakrystyi« nie tylko faktycznie ale i intellektualnie. Sprawy publiczne stają mu się obce, bo nie mogąc działać wedle swego przekonania, przestaje się niemi interesować. W ten sposób nie tylko nie wypełnia się, lecz coraz więcej pogłębia się ta wielka luka w jego zawodowych studyach, które do dzisiaj jeszcze pomijają u nas prawie zupełnie aktualne życie prawno-publiczne. Z uniwersyteckich wykładów teologicznych nie wynosi się zwykle żadnych wiadomości ani o kwestyi socyalnej, ani o ustroju prawno-politycznym, ani o prądach społecznych narodu, w którym wkrótce ma się rozpocząć pracę. Tymczasem od pierwszej chwili po opuszczeniu seminaryum, młody

ksiądz styka się z nader powikłanemi nieraz zagadnieniami tego rodzaju, ma je wyjaśniać swym wiernym, ma im prostować błędy, a wskazywać prawdę. Sam nieprzygotowany, mało lub wcale nie zoryentowany w tych problematach, przykro odczuwa braki uniwersyteckich studyów i w miarę sił stara się je uzupełnić lekturą domową i doświadczeniem praktycznem. Gdy tutaj napotka na trudności zewnętrzne, gdy to, co jest niewątpliwie ciężarem, dobrowolnie podjętym dla dobrej sprawy, uważa się w kierującej opinii za akcyę niewłaściwą, którą co najwyżej się toleruje, lecz nie popiera pod żadnym warunkiem — prędzej czy później opadną mu ręce, zwycięży ogólno-ludzki wzgląd na los własny. Zarzuciwszy marzenia albo stanie się mniej lub więcej wybitną podporą konserwatywnego kierunku, albo ograniczy się wyłącznie do funkcyi kościelnych. W ten sposób dla przeważnej liczby jedynym celem i ideałem staje się nauczanie katechizmu. Tylko, że katechizm nie może być doktryną czysto abstrakcyjną, bujającą w chmurach, lecz normą postępowania praktycznego, wskazującą sposób działania, zgodny z zasadami religii i moralności, dającą wybór zasad, dróg i środków w każdym wypadku codziennego życia. Ksiądz, nie znający problematów rzeczywistości, nie biorąc udziału w tem, co wstrząsa społeczeństwami, nie może wskutek tego być dostatecznym nauczycielem, a rezultatem tego będzie tylko naturalny zupełnie korelat zamknięcia się duchowieństwa w kościele i zakrystyi — zamknięcie u ludności katechizmu wewnętrzne, oddzielenie go od czynu. Przez to powstaje nie tylko przedział pomiędzy duchowieństwem a społeczeństwem świeckiem, lecz co gorsza rozdział zasad religijnego życia wewnętrznego i postępowania w praktyce.

Pod wpływem tych czynników zaczęły się ukazywać pierwsze objawy przedziału, można powiedzieć stanowego, kleru i ludności świeckiej, na szczęście drobne tylko, wyjątkowe, bez głębszego znaczenia. Główną siłą katolicyzmu w Polsce było to jego tak ścisłe zjednoczenie z narodowością, że szerokie masy ludności wprost nie odróżniają obu tych pojęć. W ślad zatem szło stanowisko kleru, wybitnie narodowe. We wszystkich kwestyach wstrząsających narodem, duchowieństwo brało zawsze udział równy

z innemi klasami ludności, jako równouprawniony, solidarny z resztą społeczeństwa w poglądach i w czynie odłam obywateli. Zarzutów indyferentyzmu narodowego, kosmopolitycznych dążności i ultramontanizmu, nie podnosili na seryo nawet najzagorzalsi przeciwnicy katolicyzmu. Dziś również, mimo wysiłków niektórych stronnictw, broń ta byłaby u nas zupełnie bezużyteczną. Zaczęły się jednak pewne nieporozumienia, gdy kler dobrowolnie lub z konieczności obojętniał dla spraw, najbardziej interesujących w danej chwili inne koła ludności. Partye zwalczające konserwatyzm, rozpoczęły kampanię przeciw duchowieństwu, jako najpotężniejszemu filarowi niepopularnego kierunku politycznego; lud pozostając szczerze katolickim, poszedł jednak w sprawach publicznych za innymi, bo tamci mówili mu o jego prawach i lepszej przyszłości, podczas gdy znaczna część duchowieństwa ograniczała się tylko do akcentowania obowiązków, posłuszeństwa i pogodzenia się z losem; intelligencya przybrała pozory indyferentyzmu, a nawet pewnej antireligijności, bo katolik stał się w mieście synonimem konserwatysty. Zradykalizowanie społeczeństwa, najgorsze bo zewnętrzne, polegające nie na istotnych przekonaniach, lecz na metodzie postępowania, szło naprzód przyspieszonym krokiem; walki partyjne zaogniły się w niepokojący sposób. A nawet tam, gdzie kler rozpoczął właściwe, odpowiedne stosunkom działanie, gdzie pragnął pracować istotnie w duchu sprawiedliwości społecznej, rezultaty tych wysiłków musiały być nader skromne. Akcya duchowieństwa musiała się z konieczności ograniczyć przeważnie do strony negatywnej, do zwalczania kierunków i haseł niebezpiecznych i szkodliwych. Lecz gdy lud, który idąc za radą księdza, odrzuciwszy socyalizm i antireligijny liberalizm, pytał się co postawić w ich miejsce, kto i kiedy wystąpi w imię słusznych jego postulatów, wtedy najgorliwsi działacze nie mogli dać mu odpowiedzi, bo jedyną dla niego ostoją pozostawał chyba konserwatyzm, który jak sam twierdzi, prace dla ludu chce przeprowadzić bez ludu. Rezultat walki z hasłami społecznej destrukcyi musiał więc być tylko chwilowy, po pewnym czasie powracały one znowu do wpływu, gdyż nie zastępowano ich żadnym innym programem.

Tak było dotąd, a jakkolwiek skutki nie są jeszcze zbyt jaskrawe, należy jak najprędzej zejść z tej niebezpiecznej drogi, jeżeli nie mamy dojść do stosunków, w których religia stałaby się rzeczywiście rzeczą czysto-prywatną, nie z mocy jakiegoś programu politycznego, lecz wskutek istotnego oddzielenia życia publicznego od oficyalnego stanowiska katolicyzmu. Dotąd, można powiedzieć, wywołano tylko szereg nieporozumień i dysonansów, bo naród, w olbrzymiej swej większości szczerze katolicki, chętnie puszcza w niepamięć popełnione błędy, z łatwością tłumaczy i usprawiedliwia czyny i wypadki, które przy innym nastroju umysłów mogłyby doprowadzić do ruchów antireligijnych. Kilkunastu działaczy społecznych z pomiędzy duchowieństwa wystarczy na razie, ażeby swą akcyą pokryć i zrównoważyć bezczynność lub odmienne stanowisko innych, lecz oczywiście z dniem każdym trudniej jest osiągnąć ten rezultat, bo codziennie dostarcza się agitacyi antikatolickiej nowej sposobności, z której stronnictwa skrajne korzystają nader zręcznie. Roboty tej, popieranej nieświadomie własnem postępowaniem, lekceważyć niepodobna. Dzisiejszy rozdźwięk, który na razie da się jeszcze usunąć z łatwością, może z czasem zmienić się w przepaść tak głęboką, że braknie nam sił, ażeby ją wypełnić.

Doświadczenie przeszłości i wzory zagraniczne winny nakreślić program przyszłego działania. Dzięki całemu rozwojowi historycznemu, walka antireligijna nie może się u nas poszczycić poważniejszemi rezultatami, bo nie mogła użyć najskuteczniejszej swej broni, nie mogła duchowieństwa wykluczyć z narodowego koła. Ten wybitny charakter polskości i gorącego patryotyzmu, którego nigdy nie można było odmówić klerowi, musi być i nadal zachowany i wzmacniany. Wszelka akcya, która choćby zewnętrznie ścierała te znamiona, jest zgubną z każdego punktu widzenia. Ideowo niema ona u nas żadnych szans powodzenia, nie jest jednak wykluczone niebezpieczeństwo przybrania pozorów, jeżeli już nie indyferentyzmu narodowego, to w każdym razie usunięcia na drugi plan dążeń patryotycznych. Trudno wymarzyć sobie skuteczniejszy środek rozbicia jednolitości społeczeństwa nad pytanie, z którem i dziś niekiedy można się spotkać:

czemś się jest najpierw, Polakiem czy katolikiem. W ten sposób tworzy się sztucznie antagonizm narodowości i wiary, który oczywiście służy wyłącznie do wzmocnienia dążeń rozkładowych, kosmopolityzmu i bezreligijności. A przecież to opuszczenie łącznika narodowego jest błędem z każdego punktu widzenia. Pomiędzy jednostką a ludzkością muszą być etapy pośrednie, związki ciaśniejsze i nam bliższe. Myślą i uczuciem idziemy przez rodzinę i swe otoczenie ku całemu społeczeństwu, analogicznie przeto tylko na narodowej podstawie możemy wznieść się do zrozumienia i ogarnięcia całej ludzkości.

Powtóre katolicyzm musi być szczerze demokratyczny, jak to już wynika z jego istoty i dziejów. Nie chodzi bynajmniej o demokracyę polityczną, która z natury rzeczy stawiając w różnych krajach i czasach najróżnorodniejsze żądania, stała się raczej hasłem tylko, niż ściśle określonym kierunkiem. Forma rządu, zewnętrzny ustrój aparatu hierarchicznego niema również nic wspólnego z istotną treścią demokracyi. Stanowe państwo średniowieczne było niewątpliwie mniej demokratyczne, niż despotyczne państwo mahometańskie; dzisiejsza Anglia, o tak wybitnym charakterze patryarchalno-arystokratycznym, jest w gruncie rzeczy demokratyczną, czego nie można powiedzieć o republikańskiej Francyi, w której uchylono wprawdzie zewnętrznie monarchię, lecz w istocie rzeczy spotęgowano jeszcze dawniejszy system, wzmacniając biurokracyę i doprowadzając centralizm do nieznanych przedtem rozmiarów. Prawdziwa demokracya polega, mojem zdaniem, na zupełnie równem uwzględnianiu praw i obowiązków wszystkich jednostek i grup społecznych i na przyznaniu wszystkim równego prawa decydowania o sprawach, obchodzących ogół, a więc i ich samych. Wszelkie podporządkowywanie potrzeb jednej grupy interesom drugiej, wszelki ustrój, w którym o losach jednych mają stanowić inni, jak się często słyszy, starsi i wytrawniejsi od braci młodszej, która nie dorosła jeszcze do tego zadania, sprzeciwia się dyametralnie idei demokratycznej, która w swem pojęciu nie jest niczem innem, jak zasadą sprawiedliwości.

Katolicyzm jest właśnie tym potężnym czynnikiem, który

tak pojętą demokracyę winien popierać i szerzyć. Sprawiedliwość społeczna żąda zapewnienia każdemu równych warunków rozwoju, równych praw i równej swobody. Dominujący przez tyle wieków wpływ społeczny niektórych warstw ludności, komplikuje całą sprawę o tyle, że właśnie w imię sprawiedliwości nakazuje zająć się dzisiaj przedewszystkiem losem klas długo upośledzanych; faktyczne przyznanie praw politycznych pewnym tylko grupom, domaga się zdobycia tych uprawnień także dla tych, którzy ich dotąd nie posiadali. Dążenia te, które są celem dla jednych a napełniają obawą drugich, wyzyskane przez agitacyę partyjną socyalizmu, skutecznie, choć mimowoli popartą egoistyczną obroną stanu posiadania warstw zamożniejszych, sprowadziły kwestyę społeczną na tory nienawiści i rozgoryczenia, zmieniły ją w walkę, w której nie przebiera się w środkach. I w gruncie rzeczy, w swem pojęciu socyalistycznem jest ona równie antydemokratyczną jak stan dotychczasowy. W miejsce dziś uprzywilejowanych, przyszliby inni, również wyżej udotowani, tak jak rewolucya francuska zastąpiła arystokracyę rodową oligarchią mieszczańską.

Wobec tych dwóch, równie egoistycznych prądów, musi się wystąpić w imię chrześcijańskiej etyki, w obronie rzeczywistych interesów ogółu. W pierwszej linii powołane jest do tego duchowieństwo, które stykając się bezpośrednio ze wszystkiemi klasami społeczeństwa, samo osobiście niezainteresowane, wszędzie z mocy swego urzędu uprawnione do rady, krytyki i żądania zmiany, może i powinno stanowić ten czynnik, który prowadzi pominiętych i pokrzywdzonych do zdobycia należnych praw, a skłania uprzywilejowanych i wyposażonych do ofiar z osobistej korzyści na rzecz ogółu i wyższych idei. Rola to trudna, wymagająca wielkiego przygotowania i taktu, ale zaszczytna i świetne dająca owoce, jak mamy tego przykłady za granicą. Trzech jednak do niej potrzeba niezbędnie warunków: prawdziwego wykształcenia społecznego, sprawiedliwego i szczerego stosowania zasady sprawiedliwości i wyzbycia się ambicyi osobistej, tak ogólno-ludzkiej chęci wpływu, władzy i panowania. Akcya katolicka jest wprost niemożliwą, gdy duchowieństwo nie zna gruntownie problematów społecznych, gdy wskutek tej nieświadomości, albo błądzi w cie-

mnościach, albo czując swą bezsilność, usuwa się od czynu. Zabójczym jest dla niej tak często przez niektórych polecany system uspokajania sfer ludowych wyłącznie nadzieją szczęśliwości wiecznej, skłaniania ich do pogodzenia się z niedostatkiem na ziemi w imię życia pozagrobowego, bo z równem prawem należałoby żądać od przeciwników wyzbycia się w tym samym celu dostatków na rzecz potrzebujących. W końcu niebezpiecznym jest zarzut klerykalizmu. Dzięki całemu dotychczasowemu stanowisku, pojęcie klerykalizmu, jako panowania duchowieństwa nad światem świeckim, przeniesienia całej pełni swej władzy wewnętrznej na pole publiczne, jest uważane za jednoznaczne z opanowaniem wszystkich przez garstkę sfer najwyższych, za powrót do stanowości średniowiecznej. Duchowieństwo w sprawach publicznych musi więc działać nie nakazem lecz swym wpływem moralnym, musi korzystać z zaufania, które do siebie wzbudziło, a nie ze swego prawa, musi wreszcie pracować pozytywnie u dołu, a nie dążyć do zajęcia stanowiska kierowniczego, które z natury rzeczy wchodząc w sferę polityczno-partyjną, ściąga na nie zarzut ambicyi i miłości własnej, a odbiera główny, niezbędny przymiot bezstronności i przedmiotowości.

W ten sposób pojęta akcya katolicka jest nam nieodzownie potrzebną. Może być tem skuteczniejszą, że u nas nie oddziałały nigdy silniej okoliczności, które zagranicą wykopały przepaść między społeczeństwem i duchowieństwem, że cały naród jest prawdziwie przywiązany do wiary, że religia i narodowość zlewają się u nas prawie w jedno uczucie. A jeżeli wobec takiej działalności Kościoła pojawiają się ze strony tych, którzy katolicyzm dotąd wyzyskiwali dla swych partyjnych celów, głosy, że jest to tylko socyalizm, pokryty płaszczykiem katolicyzmu, to można im odpowiedzieć, że w gruncie rzeczy nie jest to zarzut, lecz najwyższa tylko pochwała. Antagonizmy i walki społeczne można usunąć tylko wtedy, gdy aspiracye materyalne potrafi się pogodzić z zasadami moralności. A czemże innem jest ów socyalizm katolicki, który ocenia żądania poszczególnych warstw społecznych na gruncie etyki chrześcijańskiej, w jej gra-

nicach przyznaje każdej z nich to, co się jej sprawiedliwie należy, a przyznając słowem, idzie w tym duchu i czynem?

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

Oczy całej Europy na Rosyę dziś zwrócone. Nie sama tylko ciekawość wzbudza powszechne zajęcie dla rewolucyi rosyjskiej. Jest w niem też uczucie trwogi i niepokoju wobec niebezpieczeństwa, zagrażającego wszystkim krajom europejskim. Okropne wstrząśnienie na Wschodzie już teraz dreszczem niepokojącym poczyna się rozchodzić na Zachód, a kto odgadnie, jak daleko sięgnie, jak wielkie wywoła następstwa?

Przewrót dokonywujący się w Rosyi, ma dwie strony: polityczną i społeczną. Pierwsza ma znaczenie czysto miejscowe: jest dążnością do wyzwolenia się z dobrze już nadgniłych więzów mongolsko-bizantyńsko-biurokratycznego systemu — ale druga?..

Druga to wielki, pełen grozy problemat, niby chmura burzliwa, wiszący już od wieku prawie ponad całym widnokręgiem kultury europejskiej. Wspaniale roztacza kultura owa swe zdobycze, bez końca i miary pomnaża swe wytwory, ale we wnętrzu jej siedzi straszliwy, może śmiertelny dla niej robak — problemat socyalny, z którego wyrośnie może z czasem pochłaniający ją potwór — przewrót socyalny.

Czy tam, na Wschodzie, nie rozpoczął on już swego dzieła niszczącego? — czy dziś, jutro, nie rzuci się na cywilizacyjne skarby Zachodu?

Bywają w dziejach niespodzianki, których i najbystrzejszy umysł przewidzieć nie zdoła. Ekonomiści i socyologowie przepowiadali nieraz przewrót społeczny jako wynik nieodzowny do najwyższego stopnia wytężonej kultury materyalnej, która, skupiając w rozwoju nowożytnego przemysłu najwyższy dobrobyt na jednym biegunie, a najokropniejszą nędzę na drugim, wywołać musi potężny wyrównywający prąd przewrotu, a może i zniszczenia powszechnego.

Teoretycznie biorąc, pogląd ten wydaje się bardzo uzasa-

dnionym; — kto wie jednak, czy nie zaprzeczy mu realna praktyka życia. Ta często bywa tak zawiła, takie niespodziane zdarzają się w niej kombinacye działających sił życiowych. Rozkład ich na dodatnim i ujemnym biegunie bytu społecznego, niekoniecznie musi być wynikiem rozwoju ekonomicznego. Może tu wchodzić w grę jakiś inny czynnik skombinowany z działaniem czynników czysto ekonomicznych. W Rosyi jest nim bezduszna potęga biurokratycznego systemu, który zawsze i wszędzie stawał po stronie możnych, bogatych, uprzywilejowanych, łączył się z wszelką ślepą siłą materyalną, gotów ją zawsze wspierać w gnębieniu słabych i upośledzonych. Czy można się dziwić wobec tego szczególnie nierównemu w Rosyi rozkładowi ciężarów publicznych i ogromnemu zaostrzeniu się w niej problemu socyalnego, pomimo tak słabego stosunkowo rozwoju warunkującej go zazwyczaj kultury przemysłowej?

Nie ulega wątpliwości, że w rewolucyi rosyjskiej dążenia polityczne jak najściślej połączone są ze społecznemi. Nietylko otwarcie socyalistyczne, lecz i niektóre dość nawet umiarkowane jej stronnictwa nakłaniają się ku socyalizmowi, który wogóle od samego początku aż do ostatnich chwil wielkimi cieszył się sympatyami wśród przedstawicieli ruchu wolnościowego w Rosyi. Niedawno jeszcze stronnictwo demokratyczno-konstytucyjne, dalekie od radykalizmu przewrotowego, złożone w znacznej części z żywiołów umiarkowanie postępowych, oświadczyło otwarcie w swym programie, że w zasadzie uznaje ideał reformy socyalnej, a różni się od skrajnych jej rzeczników li tylko przeświadczeniem o niepodobieństwie natychmiastowego jej urzeczywistnienia.

Przypomnijmy sobie zresztą początek rewolucyi rosyjskiej. Pamiętny pochód robotników petersburskich do pałacu zimowego w dniu 22 stycznia 1905 r. był pono najwspanialszym czynnym protestem proletaryatu nowożytnego przeciw gnębiącej go przemocy stosunków społeczno-politycznych. Religijno-chrześcijański charakter tego ruchu robotniczego wzbudza wprawdzie pogardliwy uśmiech wielu współczesnych czcicieli i wyznawców siły materyalnej jako jedynego regulatora spraw życiowych; trzeba jednak wielkiego zaślepienia doktrynerskiego, aby w tych sprawach nie-

dostrzegać doniosłego wpływu czynników moralnych. Czyż bez ich współudziału dokonał się jakikolwiek zwrot lub przewrót w rozwoju dziejowym? Czyż daje się pomyśleć rewolucya francuska bez wiary w prawa człowieka, bez entuzyastycznego zniesienia przywilejów w noc 4 sierpnia? Sądzę, że podobnie niemożliwa byłaby rewolucya rosyjska bez dnia 22 stycznia i dokonanego w nim ofiarnego, chrześcijańskiego czynu robotników rosyjskich.

Czyn ten ujawnił siły społeczne, walczące na całym obszarze bytu współczesnego w najistotniejszym ich charakterze. Z jednej strony upośledzony, zgnębiony proletaryat, jedynie w imię humanitarnej idei chrześcijańskiej mogący się dopominać o sponiewierane swe prawa ludzkie — z drugiej strony jedynie możliwą na podobne domagania się odpowiedź istniejącego porządku rzeczy: brutalna przemoc, bezduszna siła mechanizmu militarnego, jako jednego z głównych składników wielkiej machiny-kultury, ogarniającej swem działaniem cały świat współczesny.

Takie jest zasadnicze przeciwieństwo, tkwiące w problemacie socyalnym naszej epoki. Występuje ono nietylko w Rosyi, lecz wszędzie w Europie, w Rosyi jaskrawiej się tylko zaznacza przez bezwzględniejsze działanie grubej siły materyalnej w samowoli despotycznego systemu i przez szczersze, bardziej naiwne ujawnianie się u gnębionego ludu wiary w wyższe przez chrześcijaństwo poręczane, a przez współczesną antychrześcijańską kulturę zaprzeczane prawa ludzkie z nadludzkich, bożych praw wynikające.

Wiara ta, choć nieraz głęboko ukryta, tkwi we wszystkich chrześcijańskich z natury *(naturaliter christianae)* duszach nowożytnych, tłumiona w nich tylko przez tę olbrzymią potęgę materyi, która w kulturze współczesnej stała się skupieniem wszystkich wrogich chrześcijaństwu sił życiowych.

Skąd współczesny bojownik socyalizmu czerpie siłę heroiczną, pobudzającą go do ofiar i poświęceń dla idei nowego, wyższego porządku rzeczy? Czy z gry samolubnych instynktów i interesów, wyjaśnionych przez materyalistyczną doktrynę Marxa, uporządkowanych systematycznie przez organizacyę Lassala?

Zapewne, mają one swe znaczenie jako pobudki mściwych wybuchów przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu, jako ekonomiczne czynniki, warunkujące rozwój i stopniową przemianę obecnych sposobów wytwarzania materyalnego — ale czyż mogą stanowić dodatnią siłę moralną, bez której dążności socyalne nigdy nie zdołałyby wzbudzać tego trwałego zapału, nadającego im charakter religijny prawie w duszach wielomilionowego proletaryatu naszej epoki? Namiętne porywy mściwości działają jako siła wybuchowa w poszczególnych momentach przewrotu, czynniki ekonomiczne są zewnętrznymi materyalnymi regulatorami rozwoju — ale trwałym, wewnętrznym, duchowym jego bodźcem może być jedynie wiara w prawa ludzkie wydziedziczonych i upośledzonych, wiara, mająca istotne swe źródła w chrześcijaństwie, w »dobrej nowinie«, niosącej pociechę nędzarzom, a groźbę bogaczom. Nie są pozbawione słuszności słowa Laveley'a, powtórzone przez jednego z najwybitniejszych działaczy katolickich, kardynała Manninga: »W każdym chrześcijaninie tkwi socyalista, w każdym socyaliście — chrześcijanin«.

Czem jednak wyjaśnić faktyczną antychrześcijańskość dążeń i doktryn socyalistycznych? Warunkami i tłem ich rozwoju. Powstały one na gruncie antychrześcijańskiej, doszczętnie zmaterya-lizowanej kultury, jako wynik zbliżającego się przesilenia wysoce jednostronnego jej rozwoju. Nie dziw, że przejęły się jej charakterem, że materyalne czynniki mściwości i używania zmysłowego wybujały w nich ogromnie i przytłumiły chrześcijańską, moralną ich treść. Ale zniweczyć jej całkiem nie mogły.

Mówią niektórzy: jedynym celem socyalisty jest wydziedziczenie posiadających, przywłaszczenie sobie ich bogactw. Prawda, ku takiemu celowi zwracają się zazwyczaj jego dążenia. Ale czyż w tym kierunku zwrócone nie muszą się one wyczerpać niebawem? Patrzmy na Francyę dzisiejszą, gdzie zanik ducha chrześcijańskiego najsilniej się zaznacza, gdzie materyalistyczny antychrystyanizm kulturalny najbardziej się rozpanoszył. Socyalistom tamecznym obce są wszelkie wyższe, religijno-moralne pobudki dążeń, ale obcy im także istotny ideał socyalny. Są to najzwyczajniejsi, chciwi władzy i bogactwa »burżuje«, którym socyalizm

służy tylko za hasło kliki. *Exemplum:* najwybitniejszy przewódca partyi, Jaurès, wchodzący w konszachty z reakcyjną dyplomacyą pruską przeciw narodowcom francuskim. A socyaliści niemieccy jakże odbiegli od ideału swych poprzedników, od materyalistycznej religii Marxa i Engelsa, jakże gruntownie sfilistrzeli w swych obecnych dążeniach partyjno-parlamentarnych!

Gdyby socyalizm był li tylko grą drapieżnych instynktów i interesów klasowych, dawnoby już utracił swą żywotną energię, wsiąknąłby w jałowe piaski znikczemniałego egoizmu mieszczańskiego. Fakt, że żyje, rozwija się i wciąż niepokoi utuczone krwią proletaryatu mieszczaństwo — świadczy, że obok sił materyalnych i ujemnych, działa w nim jakaś siła dodatnia moralna, która w dążeniu swem do wyższego ideału humanitarnego, tylko z chrześcijańskich źródeł może być wyprowadzona. Że ta ostatnia przez negacyjny materyalizm tak przemożnie bywa zazwyczaj opanowana, że socyalizm w realnych swych objawach nieraz ulega takiemu moralnemu zdziczeniu — czyż nie winny temu życiowe warunki epoki, w której on powstał i rozwinął się?

Wspomnijmy tylko, jakiemu wykrzywieniu ulegały religijne idee chrześcijaństwa na początku naszej ery w życiu barbarzyńskich ludów nowożytnych. Co za dziw, że obecnie przy jej schyłku, wśród kulturalnego barbarzyństwa zdziczałych w samolubnym używaniu zmysłowem kapitalistyczno-mieszczańskich klas społecznych, najpotworniejszemu nieraz zwyrodnieniu ulegają dążenia humanitarno-socyalne.

Armia proletaryuszów, oblegająca obecnie ze wszech stron twierdzę kapitalizmu, takim samym walczy orężem, jakim posługiwały się i posługują dotąd klasy uprzywilejowane w swem dążeniu do władzy, bogactwa, używania — orężem samolubnych instynktów, nienasyconych w swej żarłocznej chciwości, gotowych pochłaniać wszystko, co na swej drodze napotkają. Europa taki ma proletaryat, jaki sobie wychodowała w atmosferze swego antychrześcijańskiego zmaterya lizowania: bezgranicznie samolubny, żarłoczny, żądny użycia, a przytem — pełen uczuć mściwych i nienawistnych, wyrobionych w nim przez ciężką niedolę upośledzenia społecznego, podniecanych wciąż przez widok szalonego zbytku,

który z cyniczną i bezczelną wystawnością roztaczają dokoła siebie w naszych wielkich miastach klasy uprzywilejowane.

Czyż wobec tego można się dziwić wywrotowym dążeniom naszych proletaryuszów socyalno-rewolucyjnych? Czyż rewolucyjne ich zbrodnie nie są odwrotną stroną ulegalizowanych zbrodni wyzyskiwaczy kapitalistycznych? Ta tylko zachodzi tu różnica, że ci ostatni powodowani są wyłącznie interesem egoistycznym, działającym na gruncie ustalonego porządku rzeczy — tamci, obok instynktów samolubnych i mściwych, mają w głębi duszy ideał jakiegoś wyższego porządku, który z tym, co jest, pogodzić się nie daje, a to, co ma być, opiera na humanitarnem pragnieniu braterstwa i szczęścia powszechnego.

Atoli ideał ten o tyle tylko realizuje się w życiu mas społecznych, o ile zakwita na gruncie żywej wiary chrześcijańskiej — poza jej obrębem, jako abstrakcya humanitarna, może on przenikać dusze jednostkowe, w duszach ogółu ludzkiego nie przemówi nigdy realną prawdą życia. Dzisiejszy socyalizm rewolucyjny pozbawiony jest przeważnie podkładu religijno-chrześcijańskiego, to też ideał humanitarny ujawnia się w nim jedynie potencyalnie, czy zarodkowo, w całej pełni żyją w nim natomiast antyhumanitarne uczucia namiętnej, mściwej nienawiści społecznej.

Ale czy idealne dążenia humanitarno-chrześcijańskie mogą uledz zupełnemu zanikowi w socyalizmie współczesnym? Nie mogą, z tego choćby powodu, że (jak to zaznaczyliśmy wyżej na przykładzie Francyi) w ślad za owym zanikiem, za odchrześcijanieniem zmateryalizowanego społeczeństwa idzie nieodzownie upadek ideału socyalnego. Jedno z dwojga: socyalizm odrodzi się, odmieni i rozwinie w duchu chrześcijańskim, albo utonie w morzu nienawiści, w chaosie walk bratobójczych, wsiąknie w jałowe piaski materyalistycznej powszedniości mieszczańskiej.

Dylemat ten streszcza w sobie niewątpliwie główne zagadnienie dziejowe naszej epoki. Rozwiązanie go takie lub owakie stanowić może o przyszłości całej cywilizacyi naszej, wyznacza drogi przyszłego jej rozwoju.

Jakie wobec tego stanowisko, jakie jest zadanie Kościoła katolickiego?

O nim tylko może tu być mowa, gdyż inne kościoły chrześcijańskie, czy to protestanckie czy prawosławne zbyt ściśle są związane z całokształtem życia państwowego, aby mogły zająć niezależne od niego stanowisko wobec społecznych i dziejowych zadań epoki. A dla państw nowożytnych odpowiedź na zagadnienie socyalizmu nie może ulegać wątpliwości; właściwie mówiąc, nie istnieje ono dla nich wcale. Jedynem ich zadaniem: stłumienie wszelkich dążeń do reformy socyalnej, mogącej pociągnąć za sobą zagładę panujących obecnie materyalistycznych warunków bytu społecznego, z których wyszło państwo współczesne i którym wyłącznie byt swój zawdzięcza. Jasną jest rzeczą, że wszelkie związane z nim instytucye, a zatem i religijne instytucye, które ono w postaci Kościołów narodowych odpowiednio do nowych celów ukształtowało, muszą się z nim zupełnie solidaryzować w zadaniu będącem, jak walka z reformą socyalną, najistotniejszą kwestyą jego bytu. Oczywiście poszczególne, samodzielnie w obrębie tych Kościołów działające jednostki mogą uczestniczyć w ruchu reformatorsko-socyalnym, same jednak owe instytucye jako zbiorowe organizacye, z natury wrogie wobec niego zająć muszą stanowisko.

Jasną jest rzeczą, że Kościół katolicki, z interesami państwowymi wcale niezłączony, owszem nieraz w swem życiu dziejowem zwalczać je zmuszany, zupełnie odmienne ma tu cele i zadania. Niektórzy sądzą wprawdzie, że i on całą siłą swych wpływów moralnych bronić powinien ustalonego porządku społecznego, nie czyniąc żadnych ustępstw na rzecz zwalczających je dążeń reformatorsko-socyalnych.

Inne jest wszakże zdanie najwybitniejszych rzeczników katolicyzmu i najwyższych jego powag. Zbyt wiele byłoby tu do przytaczania rozstrzygających w tym względzie głosów, począwszy od opinii Ojców Kościoła aż do encyklik Leona XIII, w których kwestya socyalna tak jasno i tak śmiało podjęta została w duchu ideału ewangelicznego, nakazującego współczucie, pomoc i pracę dla upośledzonych nędzarzy społecznych. Jeszcze jako biskup Perugii pisał wielki papież w nowym liście pasterskim z r. 1877: »Wobec nędzy okropnej robotników, wyzyskiwa-

nych przez nielitościwą chciwość, nastręcza się pytanie: czy działacze naszej bezbożnej cywilizacyi zamiast wieść nas naprzód, z postępem czasu nie cofają nas wstecz, ku epoce niewolnictwa?«

To pytanie stanowi punkt wyjścia późniejszych odezw Leona XIII w kwestyi socyalnej, wprowadzających ją pod postacią demokracyi chrześcijańskiej, jako jedno z głównych zadań katolicko-kościelnego życia naszej epoki. Czy te odezwy i wszelkie inne podobnej treści przemówienia przewódców i mistrzów Kościoła katolickiego stanowią ostatnie jego słowo w kwestyi socyalnej? Czy poza tem nic on już niema i nie będzie miał do powiedzenia o niej?

Ktoby to twierdził, zaprzeczałby życia Kościołowi, zaprzeczałby mu żywej, twórczej siły, ujawniającej się w oddziaływaniu na rozwój wielkich zadań społecznych i cywilizacyjnych. Kwestya socyalna jest jednem z takich zadań, które niedawno stosunkowo pojawiło się na widnokręgu naszej kultury, w oczach naszych z ogromną rozwija się szybkością, coraz donioślejsze osiąga znaczenie i niewątpliwie wielką ma przed sobą przyszłość. To słowo głębokie, które przez usta jednego z najznamienitszych swych zwierzchników wyrzekł o nim Kościół katolicki, musi być poczytane za zapowiedź, a może nawet za początek olbrzymiej akcyi dziejowej, która ciężko, bardzo ciężko zaważy na szalach przyszłych losów Europy.

Już Bismarck przeczuwał wpływ katolicyzmu na rozwój dążeń socyalnych, czyli, jak on się wyrażał, połączenie internacyonału czarnego z czerwonym; widział w tem wielkie niebezpieczeństwo dla państwa pruskiego i dla zażegnania go pono poszedł do Canossy, t. j. zrzekł się antykatolickich praw majowych. Odtąd tak patrzący w dal wrogowie Kościoła, jak również jego przyjaciele i wyznawcy nieraz mówili o wpływie, jaki on wywrzeć może na przebieg i rozwiązanie kwestyi socyalnej. Gdyby, jak tego lękał się kanclerz żelazny, wpływ ten miał się przyczynić do obalenia zbudowanego krwią i żelazem państwa Hohenzollernów byłby to już olbrzymi tryumf duchowej kultury chrześcijańskiej, nad wrogiemi jej potęgami materyalnej, wrogiej chrze-

ścijaństwu kultury, której najzupełniejszym w epoce naszej objawem jest militarna monarchia pruska.

Ktoś, parafrazując znamienite słowa Napoleona, słusznie powiedział, że za lat kilkadziesiąt Europa będzie socyalistyczna albo prusacka.

Co to znaczy Europa prusacka? Czy nie jest to bezgraniczne wybujanie przygniatającego wszelką żywą, humanitarną siłę, bezdusznego, mechanicznego militaryzmu? Czy nie jest to wściekła walka potworów egoizmu narodowego, powrót do jakiegoś przedpotowego barbarzyństwa, wśród którego po »trupich wodach ziemi« krążyć będą zimne poczwarne płazy państwowe, gotowe zawsze pożerać się nawzajem?

A z drugiej strony, jak sobie wyobrazić Europę socyalistyczną? Pewną jest rzeczą, że nie wyjdzie ona z tego okropnego kotła rewolucyi, w którym bezmiarem nienawiści wykipiały wiekowe krzywdy społeczne. Nienawiść jest tylko potężnym fermentem, sprawiającym burzenie się różnorodnych sił i pierwiastków w wielkim kotłowisku życiowem współczesnej ludzkości europejskiej. Twórczą, kształtującą siłą w tym rozpoczętym już przed oczami naszymi procesie dziejowym może być tylko miłość chrześcijańska.

»Wyjdzie z zamętu świat ducha,
Miłość go pocznie w swem łonie«.

Jak będzie ukształtowany ten świat, jakie warunki społeczne i ekonomiczne złożą się na wytworzenie go: o tem, z wyjątkiem doktrynerów socyalizmu, nikt chyba nie może przesądzać. Dla nas jest to pytanie postronne, nie wchodzące w zakres naszych roztrząsań. Chodzi nawet tu li tylko o moralną stronę zagadnienia, o stosunek Kościoła katolickiego do kwestyi socyalnej i przypuszczalną rolę, jaką on może odegrać w rozwiązaniu jej. Pomijając tedy całkiem ekonomiczną jej stronę, kwestyę własności prywatnej i przewrót w sposobie wytwarzania społecznego, bierzemy ją jedynie jako olbrzymiego znaczenia zagadnienie moralne, zagadnienie nienawiści, wzbudzonej przez bezmiar krzywd wiekowych, a mającej być przezwyciężoną przez miłość.

Wyżej zaznaczyłem, że nienawiść ta nie jest jedynie grą

chciwych żądz i instynktów, jak twierdzi współczesny materyalistyczny socyalizm. W zamęcie najdzikszych, najwyuzdańszych jej porywów odzywa się zawsze idący z głębin Ewangelii głos wiary w jakiś wyższy porządek rzeczy, w jakoweś królestwo boże na ziemi, którego bezwzględnem zaprzeczeniem jest rozpościerające się dziś na całym obszarze naszego świata kulturalnego dyabelskie królestwo najniższych, najpodlejszych instynktów ludzkości. Jak dalece ta wiara złączona jest z samą istotą socyalizmu współczesnego, dowodem przytaczany już powyżej przykład Francyi dzisiejszej, w której zanik jej zupełny prawie, zanik przemawiającego w niej często bezwiednie poczucia chrześcijańskiego pociąga za sobą utratę wszelkich wyższych ideałów reformy socyalnej.

Ideały te zdają się też niekiedy ginąć całkiem w ogniu walk okropnych, toczonych przez zrewolucyonizowany proletaryat z gnębiącem go mieszczaństwem kapitalistycznem i militarnem państwem nowożytnem. Ale być może, jest to tylko pozorna ich zagłada, chwilowy ich zanik.

Jak ongi rycerstwo średniowieczne z entuzyazmem w duszy idące wyrwać ziemię świętą z rąk niewiernych, unoszone porywem dzikich namiętności, dopuszczało się nieraz po drodze nieludzkich okrucieństw, a często zapominało zgoła o wzniosłym swym celu, podobnie bojownicy proletaryatu współczesnego, którzy także mają do zdobycia jakąś ziemię świętą, ziemię ideału społecznego, aż nadto często tracą z oczu cel swój, sprzeniewierzają się swemu zadaniu i szlachetny swój entuzyazm topią w dzikim morzu nienawiści klasowej.

Któż im wskaże ich cel istotny, ich ideał społeczny, widniejący ponad burzliwemi falami roznamiętnienia rewolucyjnego? Czy filozofia lub wiedza współczesna? Zapewne, ta i tamta oświecają nieraz niebezpieczne drogi ich pochodu, ale kres jego ostateczny, najwyższy wskazać im może tylko religia; ona tylko bowiem posiada święty ogień miłości, zdolny rozprószyć swym blaskiem panujące obecnie wszędzie na świecie i zasłaniające wszystkie najwyższe jego kresy, mroki nienawiści.

Jakżeż straszliwie zgęściły się one ponad rozległym obsza-

rem, na którym wre teraz wzburzone morze rewolucyi rosyjskiej. Fale jej, a z nimi razem i mroki nienawiści, coraz dalej się szerzą, ogarniają już nasze kraje do państwa rosyjskiego przynależne i dalszym jeszcze grożą rozlewem. Dziwny obrót rzeczy. Gdy w ojczyźnie swej pierwotnej na Zachodzie socyalizm tracił stopniowo rewolucyjny swój charakter i począł spływać w spokojne łożyska mieszczańsko-państwowego rozwoju, nagle od Wschodu wybuchnął szaloną burzą rewolucyi, której następstw i kresu niepodobna jeszcze przewidzieć.

Niezależnie od wskazanych powyżej przyczyn, przeciwieństwo to da się wyjaśnić przez odmienny stosunek do pierwiastku religijnego społeczeństwa rosyjskiego i społeczeństw zachodnio-europejskich. Tym ostatnim wszelka religijność coraz bardziej staje się obcą w Rosyi, podobnie jak u nas i w całej słowiańszczyznie, stanowi ona zawsze jeszcze główny czynnik wewnętrznego życia dusz ludzkich. W duszach słowiańskich, niezracyonalizowanych dotąd przez jednostronnie wybujałą kulturę materyalną, żywioły religijne panują przemożnie ponad całym rozwojem intelektualnym i uczuciowym.

Nie dziw wobec tego, że dążenia społeczne i polityczne w Rosyi jeśli nie wynikające wprost z tego rozwoju, to w każdym razie przezeń określone, rozsuwają się na mniej lub więcej wyraźnem tle religijnem, chociaż często tak zamąconem przez namiętności, tak omroczonem przez barbarzyństwo rodzime. Stąd ten żarliwy prozelityzm, ten fanatyzm zaciekły politycznych i socyalnych rewolucyonistów rosyjskich, którzy od stulecia walcząc na śmierć i życie, w ostatnich chwilach rozwinęli przepotężny, bezprzykładny od czasów wielkiej rewolucyi zapęd entuzyazmu bojowego.

Czyż ten entuzyazm może być wyjaśniony bez pobudzającej go wiary w wyższy ideał społeczny, wiary, świadczącej o istnieniu w duszach nastroju religijnego, przeciwieństwa wszelkich racyonalistycznych stanów umysłu ku trzeźwym, utylitarnym zwróconych zadaniom? jest to obca a nawet wroga chrześcijaństwu religia zemsty i nienawiści, która jakkolwiek idealne ma pobudki i cele, w rozwoju swym prowadzi do wyuzdania najniższych

instynktów materyalnych ludzkiej natury. Zachodzi jednak pytanie: czy wpływ chrześcijański niezdołałby wydobyć z tego zamętu rozszalałych żądz i instynktów tkwiących bądź co bądź wpośród nich idealnych pierwiastków wiary, wiary w ideał społeczny, w obiecany kraj szczęścia powszechnego, w ziemię świętą, na zdobycze której wyprawiali się rycerze proletaryatu, heroiczne o nią tocząc walki i bezmierne dla niej ponosząc ofiary?

Powracamy tu do naszego punktu wyjścia, do zaznaczonego na wstępie religijno-chrześcijańskiego początku rewolucyi rosyjskiej. Roznamiętnienie szalonej walki z systemem posługującym się najbardziej wyrafinowanymi środkami nowożytnego barbarzyństwa cywilizacyjnego pociągnęło za sobą zboczenie z pierwotnej drogi rewolucyjnej, ale czyż ta nie może być odnaleziona w dalszym rozwoju, skoro wyczerpią się rozszalałe burze namiętności? Nie jest to zapewne dziełem przypadku, że równocześnie z rewolucyą polityczną i społeczną rozwinął się w Rosyi ruch religijny, dotąd niedostrzegalny prawie w zamęcie burzliwych prądów nowego życia, ale w przyszłości powołany niewątpliwie do odegrania doniosłej roli w wielkiem odrodzeniu narodowem.

Nie od dziś zresztą on się począł. Podobnie jak inne reformatorskie i wolnościowe ruchy w państwie carów od stulecia już istnieje. W starowiernem sekciarstwie ludowem, jako napoły bezwiedny protest przeciw ujarzmieniu przez państwo Kościoła narodowego w głębszą jeszcze sięga przeszłość. Wśród kulturalnych warstw społecznych jest mniej lub więcej świadomą, umotywowaną uczuciowo i intelektualnie opozycyą wewnętrznego, religijnego życia duszy przeciw martwocie urzędowego Kościoła. Obecnie coraz silniej się zaznacza, ogarnia coraz szersze koła intelligencyi, przenika do duchowieństwa, sięga nawet szczytu hierarchii kościelnej w osobie metropolity petersburskiego Antoniusza.

Nie miejsce tu zastanawiać się nad poszczególnymi objawami tego ruchu reformatorsko-religijnego. Poprzestańmy na zaznaczeniu niewątpliwej jego łączności z wielkim ruchem wolnościowym i rewolucyjnym, wstrząsającym obecnie tak potężnie duszą rosyjską. A dodać trzeba, że zupełnie jest on odmienny od dawniejszych protestanckich, racyonalistycznych reform, doko-

nanych przez Nikona i Piotra W. Obecnie mamy raczej do czynienia z dążeniami o charakterze wybitnie mistycznym, zwróconymi nie do odszczepieństwa nowego i do nowego protestu, lecz do jakiegoś wielkiego zjednoczenia, do powszechnego, wszechświatowego Kościoła przyszłości.

Czyż nie można tedy powiedzieć, że ruch ten idzie na spotkanie odwiecznych, jednoczących dążeń katolicyzmu? Czyż nie jest on może zapowiedzią usunięcia w przyszłości wielkiego rozdziału w Kościele chrześcijańskim, ponownego w nim zjednoczenia Wschodu z Zachodem? Dodać tu trzeba, że najwybitniejsi przedstawiciele nowego ruchu religijnego w Rosyi za jednego z mistrzów swych uznają Włodzimierza Sołowiewa, który w konsekwentnym rozwoju swej myśli religijnej doszedł ostatecznie w swej słynnej broszurze francuskiej: »*La Russie et l'Eglise universelle*« do uznania konieczności połączenia się Rosyi z Kościołem katolickim.

Ale ten wielki fakt zjednoczenia Wschodu z Zachodem, fakt, który musiałby pociągnąć za sobą odrodzenie religijnego życia Europy, niemoże się dokonać na gruncie istniejącego, antychrześcijańskiego porządku rzeczy, na gruncie współczesnej cywilizacyi pogańskiej, współczesnej państwowości, która we wszystkich dotychczasowych swych postaciach okazała się zasadniczo wrogą religii Chrystusa. Tylko zupełna przemiana istniejących stosunków społecznych, tylko zupełny upadek dzikiego bizantynizmu, zdziczałego w swej materyalnej kulturze prusactwa i podobnych wytworów pogaństwa współczesnego, może otworzyć drogę do wielkiego religijno-chrześcijańskiego odrodzenia Europy.

W obecnym stanie rzeczy jedna jest tylko potęga materyalna zdolna dokonać tego przewrotu: ruch reformatorsko-socyalny, a obecnie i po wsze czasy jedna jest tylko potęga duchowa, mogąca na gruzach przeszłości doskonalszą wznieść przyszłość: powszechny Kościół Chrystusowy.

Czy to podwójne ludzkie i boże dzieło nie dokona się na gruncie odrodzonej politycznie i społecznie, a zjednoczonej religijnie Słowiańszczyzny? Czy nasz naród (nasz Kościół) nie jest powołany do odegrania pierwszorzędnej roli w tym wielkim dra-

macie dziejowym? Faktem jest, że nasi wieszcze narodowi w ten sposób odczuwali i pojmowali dziejowe zadanie Polski, a bohaterowie nasi w tej wierze za nie walczyli i umierali. Może obecnie zbliżamy się do ziszczenia tych wróżb, do spełnienia tych zadań. Może istotnie do »innych już idziem lat i promień z nieba spadł nam nowy!«

Tymczasem wszakże ziemskie, aż nadto ziemskie mroki zewsząd nas otaczają:

Ostatnia chwila
Zgon w życie przesila,
Najsroższy bój!

Rewolucya socyalna coraz groźniej wznosi swe fale niszczące. Czyż można się spodziewać, że spłyną one same w łożyska spokojnego rozwoju? A któż zdoła uśmierzyć straszliwą ich potęgę? Wierzę, że tylko duch chrześcijański, żyjący w Kościele mocen tego dokonać, niewątpię, że poza obrębem jego wpływów cały świat naszej kultury zagrożony jest powodzią powszechnego barbarzyństwa, rozlewającą się z morza nienawiści klasowych.

Walery Gostomski.

Druk ukończono 10 lutego 1906 r.

ZBUDŹMY JADWIGĘ!

Ołowiana chmura niepewności zasłoniła nam przyszłość; przelotny błysk nadziei i znowu straszne zalegają ciemności. Nad Polską na krzyżu rozciągniętą, wrogowie podają sobie dłonie, a z pod ziemi wydobywają się duchy złowieszcze, nienawiści i rozdwojenia szerzący zarzewie.

Na próżno z łoża swej boleści woła Polska:

— Jam jeszcze żywa! rozczłonkowaliście ciało, wysączyliście krew, ale nie dosiągnęliście serca...

Wrogowie szyderczym odpowiadają śmiechem:

— Garstką już tylko jesteście; jak gałęzie od pnia, w którym życie krążyć przestaje, tak odpadają od was Ruś, Żmudź i Litwa, niegdyś waszymi zasilane sokami. Jadem naszym zatruliśmy wasze dzieci, zabiliśmy w nich miłość wzajemną, rozdmuchaliśmy w nich nieufność — oto teraz oni sami stają się narzędziem naszej nienawiści. W nas się rozpłynąć musicie lub zginąć!

I gdzież w tak ciężkiej doli znajdziem jeszcze ratunek? Chwila jest ważną i stanowczą; któż potrafi orzec, co chwila ta w sobie kryje: zawody życia czy śmierci — oswobodzenia czy ostatecznego zaniku? Boć i u wrogów naszych wszystko się także gmatwa, wre i kipi, fala przewrotu pędzi i piętrzy się, coraz głębsze czyniąc wyłomy. Czy nas zaleje, czy na brzeg bezpieczny odrzuci? Kto odgadnie?

Nam na przypadek nie liczyć; ani czasu, ani sił od strace-

nia nie mamy. Więc może na pomoc obcą? Tej jak świat szeroki i daleki dla nas jednych niema — a choć się czasem odezwie, to łudząca ona i krucha. Snać rozstrzygnięcie sprawy naszej Bóg sobie zastrzegł i od nas samych zawisłem uczynił.

Więc rozglądnijmy się po krainach polskich wśród tłumu żyjących i zapytajmy: Gdzie duch, coby wszystkich synów tej ziemi około jednej skupił myśli? Gdzie hasło zdolne zwołać wszystkie dzieci rozdartej ojczyzny — hasło potężne i zawsze drogie, drzemiące na dnie każdej polskiej duszy od Odry po Dniestr, od Wisły po Dźwinę i Dniepr?

Ale szukamy na próżno!

A jednak czas ostatni rzucić takie hasło — zbudzić takiego ducha, któryby rozproszonych skupił, zwaśnionych pojednał, ducha, któryby z ogniska swego serca wyrwał iskrę i nią naród cały wstrząsnął i miłością rozpalił.

Zwycięscy wczorajszej doby, ci Japończycy, których bohaterskie czyny świat cały podziwiał, gdzież oni czerpali podnietę do nieustraszonego męztwa, do nieprzebranej z krwi i mienia ofiary? Oto w czci dla przodków, oto w tej świętej solidarności pokolenia żyjących z pokoleniem umarłych. I żaden naród, który na siebie wyroku śmierci nie podpisał, tej spójni z wielkimi duchami swej historycznej przeszłości nie zerwał.

Ale nie wszyscy oni w równej mierze wcielili w siebie za życia myśl przewodnią narodu. Ten, kto ją całą objął i w czyn wprowadził, kto nią życie własne wypełnił, ten dopiero godzien przewodniczyć narodowi od pokolenia w pokolenie aż po najdalsze czasy, a chociażby pamięć jego przygasła — zmartwychwstanie w blasku, skoro tylko naród nici historycznej tradycyi nawiąże i od niej ożywczego zaczerpnie prądu.

Oto naród francuski wśród fermentów rozkładowych czynników zwraca się znowu do tej, co przed wiekami wyrwała kraj ze szponów najezdcy — do Bohaterki, co śmiercią męczeńską okupiła ludu swego wyzwolenie. W dzisiejszej Francyi liczne odezwały się głosy, wzywające znowu na pomoc Orleańską Dziewicę i domagające się usilnie o wpisanie Jej w poczet świętych orędowników Kościoła i narodu.

Niedawno uroczystość doroczną Joanny d'Arc sędziwy kardynał Richard temi zamknął słowy:

»A ponieważ to są bracia nasi, a Twoi ziomkowie, spraw, aby się cofnęli przed bratobójczą walką, podwójnie bezbożną! Natchnij ich serca litością dla Francyi! Niech poznawszy swój błąd staną pod sztandarem Twoim, niech się połączą z nami w jednakim kulcie Kościoła i Francyi, w nierozdzielnej miłości wiary i ojczyzny«!

Ach! naród nasz stokroć bardziej rozdarty i nieszczęśliwy! Kto go około jednego zgromadzi sztandaru? Kto z nieba litościwe ku niemu wyciągnie ramiona?

Polsko! i ty masz swoją świętą Bohaterkę i tobie Opatrzność zesłała wielką duszę niewieścią, która cię wiekopomnej chwały powiodła szlakami! Duszę wspaniałomyślną, co dobrowolnie spłonęła na ołtarzu miłości Boga i ojczyzny — Apostołkę, jedyną w dziejach, co na twój rachunek zapisała dusz miliony, wyrwanych pogaństwu, pozyskanych dla nieba i oświaty, nie szczękiem oręża, nie krwi rozlewem, ale cichą swego dziewiczego serca ofiarą. Unia święta Litwy z Polską, to Jej dzieło; poczęła je w czystej myśli i obie krainy równą objęła miłością. Więc, gdy ona rzuci znowu to hasło, kto Jej się oprze, kto na głos tej wspólnej Królowej i Matki nie przybiegnie i pod Jej nie zaciągnie się sztandar?!

Ale duch Jadwigi czeka, aby Ją naród wezwał.

Długo dawała mu widzialne znaki Swej opieki, Orędowniczką chciała mu być z nieba, jako Matką była mu tu na ziemi. Lecz naród przestał się domagać tych znaków, pamięć Jadwigi przygasła, liczne wota, składane u Jej skromnej grobowej płyty, zaginęły... Jadwiga zasnęła »dnia sądnego czekając«, jak mówi skromny napis na czarnym marmurze, co drogie pokrył Jej zwłoki.

Sąd Boży już się nad Nią spełnił. Cuda, jakie przez ciąg dwóch wieków działy się na Jej grobie, są Jej chwały w niebiosach dostatecznem świadectwem. Ale Kościół i potomność uroczystego sądu jeszcze o Niej nie wydały, cześć należna nie została Jej jeszcze przyznaną. Ostatecznie też cały sąd o tej sprawie pod wyrok Stolicy Apostolskiej poddajemy.

Jak ongi młodem dziewczęciem na węgierskim dworze, tak dziś u podwoi niebieskich czeka Jadwiga przybycia polskiego poselstwa. »Ona śpi, a serce Jej czuwa«, jak Oblubienicy w Pieśni nad pieśniami.

Serce to najszlachetniejsze, jakie kiedykolwiek biło na obszarze polskiej ziemi; typ kobiety najwdzięczniejszy, jaki wykazują dzieje. Z jakiejkolwiek oświetli się Ją strony, zawsze Ona najdoskonalsze odzwierciedli wzory — bo czy Ona dziewicą, czy żoną, czy matką, czy wreszcie królową brzemię potrójnej dźwigającą korony — zawsze się w ogniu cierpienia oczyści i wytrawi, zawsze z siebie dla dobra ogółu i chwały Bożej zupełną złoży ofiarę.

Duch ofiary — to cała tajemnica uroku i wielkości Jadwigi; z niego spływa na Nią i światło i moc nieprzeparta i aureola cichego męczeństwa i nieśmiertelności!...

Duch ofiarny to w przędzy tego krótkiego, a tak dla narodu płodnego żywota — nić złota; to woń najcudniejsza z każdego Jej wydobywająca się czynu od Unii począwszy aż do tych najcichszych pod strzechą lub na poddaszu spełnionych czynów. Bo jest w życiu tej młodej kobiety nie tylko poryw chwilowego bohaterstwa, ale jest nieustająca ciągłość pracy, jest męstwo na każdy dzień, jest odradzające się ciągle poświęcenie, jest wzrok bystry i sięgający głęboko, jest miłość szeroka, co obejmuje wszystkie potrzeby i prawa powierzonych sobie ludów, jest wreszcie myśl śmiała i mądra, co narodowi podstawę cywilizacyjnego rozwoju zapewnia i świątynię jego wiedzy, fundacyę dziada swego, rozszerza i wzbogaca.

Taką to znali Ją współcześni, taką nam Ją ukazuje historya. Dwóch zdań niema o królowej Jadwidze; zagłębianie się w Jej życiu tylko nowe Jej piękności uwydatnia rysy.

I taki blask cnoty, mądrości, anielskiego uroku bił od Jej oblicza już za życia, że lud cały wielbił Ją na kolanach, królowie i papieże zwracali się do Niej z głębokiem uszanowaniem, a wróg nawet wieczystą zaprzysięgając zemstę przed nią dumnego uchylał czoła.

Gdy zgasła natychmiast Ją aureola otoczyła świętości. Spie-

szyły do Jej grobu tłumy kornych wielbicieli, wlókł się długi orszak kalek i strapionych, a Ona, jako za życia nad każdą pochylała się biedą z anielskim mówiąc smutkiem: »Któż im łzy powróci«, tak po śmierci, zaledwie tron swój objęła w niebiosach, już zsyła im w bólu ukojenie — w potrzebie pomoc — w kalectwie i chorobie uzdrowienie.

I łańcuch tej cudownej opieki królowej Jadwigi przeciąga się aż w wiek XV i dalej. Świadczą za tem współcześni, Długosz zwłaszcza — świadczą jeszcze późniejsi: Bielski, Wapowski. A naród wdzięczności chcąc Jej złożyć hołd i Orędowniczką mieć w niebie, mieć już Ją na wieki, głosem wielkim domaga się kanonizacyi swej królowej.

Już pasterze Kościoła polskiego podejmują ten zamiar, już Zbigniew Oleśnicki rozstrząsanie życia i cudów Jadwigi przeprowadza; pozostaje tylko poprzeć sprawę w Rzymie. Lecz proces kanonizacyjny to rzecz znacznego wymagająca nakładu, więc zebrać trzeba pieniędzy. I te się znalazły; ofiarność wdzięcznego ludu nie zawiodła.

Nagle urywa się sprawa!

Wieczysty wróg Jadwigi, nieprzejednany wróg Polski i Unii, ciemięzca Litwy, lennik zbuntowany polskiej Korony, święci wreszcie chwilę odwetu. Jadwiga należnego Jej miejsca nie zajmie — Jadwiga już na czele swego narodu nie stanie — Jadwiga nie zbudzi się ze snu — Jadwigę zapomnienia pokryje wieko!

Sumy, na Jej kanonizacyę przeznaczone, on to właśnie pochłania. Niedość mu swoich hufców, całe Niemcy poruszy, byle nie przyjść za późno, byle uderzyć na Polskę, póki Jadwiga przeszkodzić mu nie zdoła. I wydał Kazimierz IV sumy, Jadwidze przez naród ofiarowane, na wojnę pruską!...

Starania, tak gorliwie rozpoczęte, zmarniały.

Może Szwed, w dzikim przez Kraków pochodzie, usunął liczne wota u grobu Jadwigi zawieszone, może już naród nie umiał nawiązać nici zerwanej, — może Opatrzność wznowienie Jej czci na chwilę ostatecznego przeznaczyła przełomu, dość, że cisza zaległa grób królowej Jadwigi, przestali do Niej dążyć pielgrzymi.

Naród już nie wołał, Ona nie odpowiadała i snem głębokim zasnęła, »dnia wyczekując sądnego«.

Niejeden około wawelskiej przechodząc płyty, — umyślnie, jak twierdzą współcześni, w celu kanonizacyi tak blizko wielkiego ołtarza umieszczonej, — zadumał się i westchnął, bo na dnie wszystkich serc tliła dalej iskra dawnej czci i miłości — ale imię to wymawiano już ciszej i czarnej płyty nikt podnieść się nie ważył.

Uchyliła ją jednak historya i w cudne Jej oblicze zaczęła się pilnie wpatrywać, a taki z niego po pięciu wiekach czar uderzył, że tych nawet, co się Jej ostrzem zimnej krytyki dotykali, ogarnął zachwyt; roztrząsania ich historyczne, jak np. Józefa Szujskiego, Stanisława Smolki, przeszły w hymn uwielbienia i podziwu; z trudnością wyraz »Swięta« w piersi swej tłumili.

Ale nie tego potrzeba Jadwidze.

Ona, co miliony porwała ku niebu, milionów tylko zbudzi się wołaniem!

Dlaczego głos ten potężny nie zabrzmiał dotąd? Czyżby się zerwać miała nić miłosna, co dzieci z najczulszą wiązała matką? Czyżby to wszystko, za co ona cierpiała, co stworzyła, czemu życie swe całe niosła w ofierze, miało się stać dla nas obcem, przebrzmiałem, jak przestarzała melodya? Czyżby nam już Unia drogą i świętą nie była? Czyżby od tych wrogów podstępnych jednym ruchem Jej dziewiczej ręki roztrąconych i ubezwładnionych, żadne już teraz nie groziły pociski i podejścia?

Ach! chyba nigdy nie były one tak groźne!

...Niepewność nas gnębi, strach kurczy, nie śmiemy pytać, co z nami się stanie, bo o tej Jedynej, coby nam wyprorokować mogła, jak ongi na rok przed śmiercią zebranemu w Inowrocławiu rycerstwu — zapominamy!

Pięćsetletnia rocznica Grunwaldzka już blizka; dlaczego naród Jadwigi nie wzywa, aby mu znowu przyszłości uchyliła zasłonę?

Kilka miesięcy temu w dniu 16 lipca z. r., gdy w Maryackim kościele radni Krakowa z wielką rzeszą wiernych uroczy-

stem nabożeństwem obchodzili pamięć Grunwaldzkiego zwycięstwa, piszącemu te słowa przypadł obowiązek podnieść znaczenie tej wiekopomnej w dziejach daty. I oto dolecialy go dźwięki »Boga Rodzica«, a ponad ołtarzem mistrza Stwosza, na tle mieniących się w tęczowe barwy witraży, zjawiła mu się w myśli postać owej królowej, Wielkiego Kazimierza wnuczki, Jagiełły małżonki, jako istotnej tryumfu oręża polskiego sprawczyni, a misyi dziejowej Polski najszlachetniejszej przedstawicielki. I pod urokiem i czarem tej cudnej postaci wypłynęły z ust słowa ufności i nadziei, zachęty i bodźca: »nie będzie w Polsce nowego Grunwaldu, póki Jadwiga nie będzie czczoną na ołtarzach, póki do niej cały naród nie zawoła:

— Ratuj, Jadwigo, Polskę, Ruś i Litwę«!

Równocześnie, za znamiennem woli Bożej zrządzeniem, a także pod wpływem Grunwaldzkiego obchodu, ta sama odezwała się struna w duszy młodego poety, gorącego miłośnika polskiego ludu i jego historycznych tradycyi, Lucyana Rydla. Ale ani obchód 500-letniej rocznicy unii z Litwą, święcony w r. 1886, ani poetyczne odezwanie się Lucyana: »Czy nie Święta«, w pismach polskich z *Przeglądu Powszechnego* w listopadzie z. r. przedrukowane, ani głos z ambony Maryackiego kościoła, nie wywołały dotąd wyraźnego oddźwięku, nie porwały serc, nie zwróciły tłumów ku czarnej płycie, pod którą na Wawelu spoczywa Jadwiga.

I znowu cisza, wielka, zapomnienia cisza, zaległa wokoło...

Ale czas podnieść wieko tej trumny, czas zawołać w całej Polsce głosem donośnym, głosem milionów:

— Jadwigo zbudź się! w Tobie nadzieja nasza! Zaginął ród bohaterskich wodzów — przebrzmiały pieśni wieszczów, co jeszcze dawny krzesili zapał — nie masz, ktoby nam przewodniczył, nie masz, ktoby nas znowu miłości spoił ogniwem — ktoby się wstawił za nami!... Dzieło Twoje, Unia, chwieje się, rozpada! Tobie jednej przystoi podjąć powtórnie dzieło pogodzenia i zjednoczenia bratnich plemion, Tobie, coś niegdyś Jagiełłę z rozgniewanym pogodziła Witołdem. Ty jedna znajdziesz balsam ukojenia na urazy i nieufności nasze wzajemne przez wrogów podniecane, Ty, coś krew serca swego zarówno dla nich jak dla

nas wysączyła, Ty, coś Litwę, Zmudź, Polskę i Ruś jedną objęła miłością!! Wolną Polskę z wolną połączyłaś Litwą — Matkę ona w Tobie znalazła prawdziwą, rzeczniczkę gorliwą swych praw i przywilejów, — Opiekunkę najtroskliwszą swych potrzeb.

»Noce bezsenne trawiłam«, sama wyznaje, »rozmyślając, jakby rozsiać promienie wiadomości i cnoty w plemieniu nowo ochrzczonem, jakby światłem dzieł chrześcijańskich oświecić wyżyny narodu litewskiego, użyźnić winnicę Pańską a wyrwać kąkol« — i nie na samych poprzestając marzeniach dla apostolskiej pracy na Litwie żadnego ta młoda i wątła niewiasta nie szczędzi sobie trudu i własnemi pieniądzmi Kollegium Litewskie w Pradze zakłada. A wiara święta z taką miłością litewskiemu plemieniu przez tę chrzestną Matkę wpojona, tak silne zapuściła w niem korzenie, że ani wróg wydrzeć jej nie zdołał, ani żadne separatystyczne prądy targnąć się na nią nie ważyły. Cały naród litewski schronił się w tej najsilniejszej warowni, zbudowanej mu przez Królowę Jadwigę.

Więc nawet nieprzejednani, nawet ci, co dłoń Polski odtrącają — Ciebie się, Pani, wyrzec nie mogą... Czyż na dźwięk Twego imienia mogą pozostać głuchymi? Czyż nie przybiegną jak dzieci, do Matki, gdy ze snu długiego zbudzona pod płaszcz ich swój zapragniesz przytulić?

Zbudź się Jadwigo! Czas nagli...

Orędownictwa nam Twego i opieki potrzeba! Przewodniczką nam stań się w tej ciężkiej niepewności chwilach!

Kiedyż to większego od każdego z nas Ojczyzna wymagała zaparcia — skupienia — pracy dodatniej — wytrwałości i męstwa? — A Tyś wszystkich tych cnót wzorem najmilszym, więc i mistrzynią być możesz!

Niechaj cały naród ku Tobie wyciągnie ramiona! Niech najpierwsze otoczą grobową Twą płytę niewiasty polskie i one niech zbudzą Cię ze snu! Wzorem będziesz d z i e w i c o m, jak osobiste, choćby najsłodsze uczucie, Bogu i Ojczyźnie złożyć w ofierze! Ż o n y pouczysz, jak mężów nawracać do Boga, jak podtrzymywać ich w znoju pracy, jak do poświęcenia dla dobra współbraci zagrzewać! I jedne i drugie niech odtąd pod Twojem żyją i pra-

cują hasłem! Niech imię Twe już najdrobniejszej powtarzają dziatwie, abyś odtąd nad sercami młodego zapanowała pokolenia i odwiodła je od tego, co brudzi, poniża i paczy!

Kobiety polskie! miliony was jest na obszarze ziem polskich, litewskich i ruskich; w dłoniach swoich dzierżycie serc drugich miliony: apostołkami stańcie się czci Królowej Jadwigi, jako ona apostołką była wiary świętej na Litwie i Żmudzi! Niech odtąd przy każdem pacierzu płynie z dusz waszych korna modlitwa, aby kanonizacya Królowej Jadwigi na nowo podjętą i przeprowadzoną została!

Ale i Tobie, młodzieży polska płci obojga, co tak tłumnie ciśniesz się do podwoi tego uniwersytetu, przez nią odrodzonego, nie przystoi abyś się dała komukolwiek wyprzedzić w czci dla Jadwigi. Na nią się powołuj, nią się zasłaniaj, gdyby cię od krynicy prawdziwej wiedzy oderwać chciano! Na jakiż to cel ona swoje najcenniejsze obróciła skarby? Czy na zakony, na nowe kościoły złożyła w ofierze te rubiny, perły, topazy, błyszczące na dnie swej wyprawnej szkatuły?

Nie zapomniała o zakonach i kościołach. Pokorna służebnica na wzór świętych niewiast, których krew płynęła w Jej żyłach: Jolanty, Salomei i tej, której imię przy chrzcie św. nadane Jej zostało, jak one rozmodlona, jak one umartwiona, jak one najcichsze spełniająca przed Bogiem uczynki — Jadwiga nasza w jednem od nich odbiega daleko: w zrozumieniu majestatu nauki i dobrodziejstwa szerokiej dla narodu oświaty. Tem ona nowożytną prawdziwie staje się kobietą i Polski w pochodzie cywilizacyjnym jedyną patronką. Wyższego nie widzi ona przed sobą zadania, jak dźwignąć uniwersytet, jak nauce polskiej taką wznieść świątynię, aby sława jej po całym rozeszła się świecie i wieki przetrwać mogła.

Więc na czele Twoim, ucząca się młodzieży, niech staną w uroczystym na cześć Jadwigi pochodzie i Mistrze Twoi w nauce, uniwersytetu tegoż światli profesorowie! Wszak wizerunek tej Królowej zawieszony w auli wciąż im przypomina, co *Alma Mater Jagiellonica* Jej zawdzięcza. — Wszak z ich to łona wyszli ci wielcy żony Jagiełła wielbiciele.

Ale niechaj się zjawią poeci i wsławią tę wielką mowy polskiej miłośnicę, co tyle tłómaczeń na język polski sporządzić dla siebie kazała, bo żadne dźwięki słowa równie miłemi jej nie były, jak polskie. Już król wieszczów polskich, ten, »który« — jak pisze Smolka — »ujrzał światło dzienne na tej samej ziemi, którą ona zdobyła dla polski swą ofiarą«, naucza, jak czcić, jak kochać Jadwigę.

A już najliczniej niech otoczy czarną płytę wawelską lud nasz polski — lud wiejski, ten, któremu ona łzy litościwą ocierała dłonią, któremu ona matką była najczulszą. Lud ten wierzy dotąd, że Ona kiedyś hufce swych rycerzy w łonie Tatr uśpione, powiedzie do boju za Ojczyznę i wiarę, za cnotę i sprawiedliwość.

Jemu nie trudno uwierzyć, że chwila się zbliża, że czas obudzić Jadwigę!

A gdy tak naród cały na Jadwigę zawoła, gdy ona ze snu się zbudzi i znowu opieki swej zeszle mu znaki, wtedy sprawa kanonizacyi szybkim posunie się krokiem. Lecz nie dość wołać i pragnąć! — Działać trzeba — starań i ofiar dołożyć, by odwetu pruskiego zniszczyć ślad i błąd Kazimierza IV naprawić.

Niech się zawiążą stowarzyszenia i komitety, mające na celu pielęgnowanie i rozszerzanie czci królowej Jadwigi przez odczyty, odezwy i ofiary!

Kobiety polskie, już w tylu politycznych i społecznych wyprzedzające nas pracach, jakież tu dla waszej inicyatywy wdzięczne otwiera się pole!

Ale niech uczeni dziejów polskich badacze przyjdą waszym usiłowaniom z pomocą, niech zaczną przygotowywać akta do procesu kanonizacyjnego niezbędne!

A gdy tak wszystkie warstwy i stany narodu czci swej dla Jadwigi wymowne złożą dowody, duchowieństwo nasze, książęta kościoła polskiego, nawiązując pracę Jastrzębca i Oleśnickiego, ujmą sprawę kanonizacyi w swe dłonie — u stóp Ojca św. ją przedłożą — poprą wieków świadectwem, nowemi łaskami i cudami i najgorętszem całej Polski, a daj Boże, Litwy i Rusi, oczekiwaniem.

I zbudzi się Jadwiga w koronie chwały, nad płytą jej wzniesie się ołtarz — poniżej pokornego napisu, co wieki długie przetrwał: »Oczekuje dnia sądnego«[1] — za wiedzą i zezwoleniem Kościoła św. wyryte zostaną słowa: »Tu spoczywają szczątki Królowej Jadwigi, co przez Kościół uznana za Swiętą, odtąd czczoną jest na ołtarzu«.

A od tego ołtarza spływać będą na wierny i wdzięczny naród potoki łaski i błogosławieństwa Bożego.

Ks. Dr. Władysław Bandurski.

---

[1] HEDVIGIS LUDOVICI HUNGARIAE ET POLONIAE REGIS FILIA,
CASIMIRI MAGNI NEPTIS, VLADISLAI JAGELLONIS UXOR,
OBIIT ANNO DOMINI 1399.
A TERGO HUIUS MARMORIS
ULTIMUM EXSPECTAT DIEM.

Z NAD MORZA.

OGRÓD.

Po długim, smutnym cieniu niemych kurytarzy
Wybłysnął ku nam nagle od szpalerów końca
Ogród dziwny, mający rozwiewność miraży,
Wydan mórz bezmiarowi i miłości słońca,
A nie cofnął się nam on, choć byliśmy śmieli
Wstąpić na ścieżki jego w słonecznej topieli.

Wśród kaktusów srebrzystej poplątanej kraty
Wybujały różowe, błyskające róże.
Mórz błękitnych kołyszą je senne zaświaty,
Hiacynty, wonią pijane, tulą ich podnóże,
Nad niemi nieruchomo pomarańcze stały
Owoców swoich złotych pełne pysznej chwały.

Wić winna więzią silną objęła kolumny...
W głębi ogrodu milczy dom nawskróś otwarty,
Podobny do otwartej dawno pustej trumny,
Której dawno strażują marmurowe warty,
Bo dawno już zostało podniesione wieko,
A prochy co w niej były, rozwiał wiatr daleko.

Z morza mgła srebrna, parna, mgła słoneczna wstaje.
Milkną fale, dalekie stapiają się lądy,

Toną w jedno mórz sinych i nieba bezkraje,
Na drogach srebrnych morskie usypiają prądy.
Idzie mgła słodka z morza... na ogród się kłoni
I mży cieniem przejrzystym na obłoku woni.

Ustał ogród w ogromie bezmiernej słodyczy.
Świecą się kryształowe narcyzów szeregi.
Dyszący kwiat swej woni krople trwożnie liczy,
Bo chwila jest słodkości pełna już po brzegi.
W zachwycie niemym, oczy oparłszy o ziemię,
Czujemy, jak nam ciąży chwili wielkie brzemię.

Jakgdyby wszystkie chwile zachwytu, tęsknoty,
Które dawno żyjący ludzie tu przeżyli,
Powrotne, żądne życia, rozwinęły loty,
I nam na dusze rój ten opadał w tej chwili.
Pod ich ciężarem słodkim dusza pochylona
Jak kwiat, któremu ciążą zbyt pszczół złote grona.

ECHO DNIA.

Topole, których szczyty sterczą w pomrocz siną
I lipy, co się zwarły skupioną rodziną:
Nad niemi gwiazdy złote ot, ot, już wypłyną —
A jeszcze się niesie,
I błąka po lesie,
Od pnia do pnia,
Echo złotego dnia.

A stoi jeszcze zorza,
Bledziuchna przedwieczorza —
jeszcze w drżących dłoniach dnia ostatki trzyma,
I tuli je do siebie drżącemi rączęty —
I słowo ma na ustach, którego nie powie —

W szatkach swoich przyniosła wilgotną woń mięty,
Zebraną gdzieś na rzecznym, dalekim ostrowie.
Stoi, patrzy wielkiemi, zlękłemi oczyma.

W gąszczach, a haszczach nizkich słowik się przyczaja,
Raz wraz się ozwie... zmilknie... I nutę za nutą
Z ciszy podnosi, liczy, jak rosę rozsnutą,
Lśniące pieśni perełki zgubione w czas maja.

I jeszcze się niesie,
I błąka po lesie,
Od pnia do pnia,
Echo złotego dnia.

W PORCIE.

Z szerokiego morza idzie bujna fala,
Hej!...
Z szerokiego morza wicher bujny wieje,
Hej!...
Z szerokiego morza, gdzie słońce rozpala
Srebrzystych szlaków błyszczące koleje. —
A w porcie ciasnym na kotwic łańcuchu
Okręty drżą.
Całe we zwroku, całe we słuchu
Rozkołysane ożyły okręty
I wlot się rwą!
Las masztów taktem rytmicznym się chwieje,
W błękitach czarne kreślą się reje,
Jak struny, lin strój pobrzęka napięty.
A bijąc się o ciężkie kadłubów ich cielska,
W głębiach rozwierająca oczy pełne złota,
Spiewa i chlupota
Mórz nieskończonych fala marzycielska...

Morzem, morzami
Na białych skrzydłach bijących w lot, spieszą
Od krańców świata rozpierzchłą rzeszą
Stęsknione mórz okręty.

Morzem, morzami
Nieskończoności poczyna się błonie,
Gdzie blaskiem białym trwający, płonie
Dzień słońca wieczny: święty.

DUBROWNIK.

A co zachodu przed oczy nam stawa
Promienna grodu bajkowego zjawa,
Na którą patrzym z daleka i z góry.

Nad białe, złotem bladem opłynione, mury
Swiecą się mglisto szczyty wież z słoniowej kości,
W które wieki odległe wprawiły i wkuły
Perły podłużne lśniące: wschodnich wież kopuły.
Pod miastem leży morze w szafirów ciemności.
Nad miastem wykreślony kontur ostry, czysty
Gór, w które w tło promiennej pozłocistej zjawie
Kładną głębokie, mocne cieniu ametysty.
Nad wszystkiem błękit blady i wygasły prawie,
Łuną grodu złotego lekko ozłocony.

A grodem złotym, mgliste zrzuciwszy zasłony,
Chodzą wolne i jasne, chodzą króle dzwony.

Z MGŁY.

Ty wstające przedemną ze mgły oddalenia
O mewich skrzydeł srebrem stonowanej gamie,
Z mgieł ty idące morze, z mgłami w jedno zlane!

Fala twa, goniąc falę, gnana bez wytchnienia,
Z szumem rytmicznych płaczów kolejno się łamie
W białą okwitającą, na żwirny brzeg, pianę.

Nad tobą drży niepokój mewiego kwilenia.
Z przebłysków twoich każdy, i z łkań każdy zna mię
I wszystkie mi jak życie, tak dawno są znane.

O wstające przedemną!... O morze wspomnienia!

W ZATOCE.

A wiem jak zorza krwawa
Ogromnooka nad zatoką stawa,
I z cienia blaskiem wyrywa skał złomy
I krzyczy niemi ponad czarną głębią.

Głębia tężeje w bazalt nieruchomy,
Po nim się sploty wężów złotych kłębią,
I wielkie, w drzazgi pękające koła.
Pożarna zorza wściekłym krzykiem woła.

A między złote węże, zębate koliska
Prześlizguje się chyłkiem, trwożnie się przeciska,
Ow niespokojny, prędki, lękliwy i drżący
Szept fali drobnej, szept nieustający.

ZATOPIONE MIASTA.

Nad morzem wielkiem słońce zachodzi,
Fala się ruchem leniwym gnie:
Na brzegu mojej zwieszona łodzi
Siedzę bez ruchu i patrzę się,
Patrzę w zielone przejrzyste morze,
Które się słońca lemieszem porze...
Bez ruchu patrzę, jak w dziwnym śnie
Śledząca myśli moje znizane
Perłą po perle i łzą po łzie,
Jak się zsuwają w morze świetlane,
By legnąć ciche na rzeczy dnie...
Milcząca patrzę, jak w dziwnym śnie.

Miasta śniące,
Przeświecające
Poprzez zasłonę
Ruchomych fal,
Zorzą zachodnią lśnią wywabione!
Poprzez przeszłości świecą zasłonę
Z grobowca fal.

Dawne miasta,
Które porasta
W długie warkocze
Tłum morskich traw,
Nad niemi wieczna fala chlupocze
Chwiejąc zielone, długie warkocze
Podmorskich, miękkich traw.

Nad niemi łuna chwieje się złota
Gięta oddechem fal,
I wszystko tęczą przejrzystą mota.
A przez ulice miast opuszczone

Mierzący wieczne kroki zmęczone,
Jak niemogący umrzeć sierota,
Człowieczy krąży żal...

Nad wszystkiem chodzą mórz dziwotwory
Wśród plątaniny traw,
I łun rzucają dziwne kolory
W traw poplątane bujne warkocze.
Nad wszystkiem wieczne morze chlupocze,
I suną wieczne, smutne upiory
Człowieczych ciężkich naw.

BURZA.

Nad mętnem, posępnem morzem, kona samotnie dzień.
Z zachodu patrzy tępy i daleki —
Nad nim się wiesza chmury nachylonej cień:
Tak z półzamkniętej powieki
Umarłe spogląda oko.

Z morza, co w czarny smutek zapadło głęboko,
Zrywają się i milkną, bijąc w białe skrzydła,
Bałwany, ptaki dzikie, które jeszcze sidła
Moc zamyślona, skupiona głęboko.

Zniknął ostatni odblask. Noc nadchodzi z tuczą,
Gnane pomrukiem gromów, co za niemi huczą.
Żywioł wyzywa żywioł — Szał sił ślepych dziki,
Wichru pęd rozkiełzany, pogwizd, zawodzenie,
Szum, jęk i dzika wściekłość. — Błyskawic szarpnienie
I nocy władza. — Ciemność i ostry blask biały
Świat sobie wydzierają, podarty w kawały.
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po takiej nocy strasznej — jutrznia jeszcze świeci,
Schodzi Chrystus na morze. Twarz ma nową męką
Śmiertelnie umęczoną. Wraz z drżącą jutrzenką
Idzie zbierać i liczyć trupy swoich dzieci.

Jeden z nich pokrwawiony, podarty o skały,
Umarły w walce krwawej — a inny z nich siny
I przeźroczysty prawie — a inny tak biały
Jak piana morska, cichy jakby trup dzieciny.

Chrystus każdy kolejno podejmie w ramiona,
Nad każdym twarz się Jego schyla rozmodlona,
Każdemu usta święte przyciska do czoła,
Imieniem jego własnem po raz pierwszy woła.
Każdy Chrystusowego kiedy dotknie łona,
Uśmiecha się, jak dziecina, matce powrócona.

Nad przestrzeń mórz, co cichnie bezsnem umęczona
Dzień wstaje zimny, blady. — Wschodnia niebios strona
Nasiąka seledynem — Gwiazda porankowa
Wciąż patrząc, w światło roztapia się, chowa.
Czasem jeszcze gdzieś załka fala rozżalona...
Pokój im! miłosierdzia rzucona zasłona.

Krystyna Saryusz-Zaleska.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

W lipcu i sierpniu r. 1905 brałem udział w naukowej wyprawie po Arabii Skalistej, krainie zajordańskiej i ziemicy galilejskiej, którą podjęło kilku profesorów fakultetu oryentalnego na uniwersytecie bejruckim. Celem wyprawy było bliższe zbadanie kraju i pomników w nim rozsianych, tak pod względem etnologiczno-geograficznym, jak i archeologicznym. Profesor ks. Lammens T. J., geograf i historyk z zawodu, władający biegle językiem arabskim i jego narzeczami, stał na czele wyprawy i miał głównie etnografię na oku. Profesora archeologii oryentalnej ks. Seb. Ronzevalle T. J. niespodziewana zaskoczyła przeszkoda, to też archeologię i epigrafikę zarazem reprezentował ks. Jalabert T. J., profesor epigrafiki rzymsko-greckiej na tymże fakultecie. Ks. Holzmeistrowi T. J. i mnie chodziło głównie o geograficzne zbadanie kraju, zapoznanie się z jego mieszkańcami i starożytnościami w celach przeważnie biblijnych. Wiadomo, że Arabia Skalista, ziemie Edomitów i Moabitów bardzo ważną odgrywają rolę w Pięcioksięgu Mojżesza i księgach historycznych Starego Testamentu. Mimo, że nasze pragnienia były na pozór rozbieżne, prace jednak nasze nie stały sobie na przeszkodzie, owszem wybornie się uzupełniały.

Nie zamierzam bynajmniej podać tu wyników badań tej z wielu względów nader interesującej podróży. Wymagałoby to

dłuższej wyczerpującej rozprawy i nie odpowiadałoby może życzeniom ogółu czytelników. Zresztą trzebaby mimowolnie wkroczyć w zakres badań mych Towarzyszy i uprzedzić ich publikacye naukowe[1]. Cel tego i następnych artykulików nie sięga tak daleko. Pragnę po prostu podzielić się najogólniejszemi wrażeniami, jakie odniosłem w czasie podróży, na widok dotychczas nieznanych mi a ciekawych krain, ludów, zwyczajów i pomników; chciałbym na kilka chwil usunąć zasłonę z tego tak oryginalnego a poetycznego życia Beduinów i innych plemion arabskich, zamieszkujących Arabię Skalistą. (Bo do Arabii Skalistej ograniczam tylko moje sprawozdanie). Krainę tę mało u nas znają, bo mało jest dostępną i rzadko zwiedzaną, nawet przez uczonych. Nowe środki komunikacyjne, które się obecnie otwierają, zapełnią z czasem i tę lukę u ogółu.

* * *

I.

Święta kolej mekkańska.

Pobudki budowy — pierwsze prace — pielgrzymka z r. 1902 — cholera — rewolucya w Jemen — prace w ostatnich trzech latach — trudności budowy — horoskop na przyszłość.

O 1500 metrów za ostatnim kramem Mejdanu[2], wznosi się na pustem polu, od dwu niespełna lat, mały parterowy budynek z kamienia, pokryty czerwoną dachówką. To początek, to stacya wielkiej kolei, której jedno ramię wsparło się o Damaszek, a drugie błądzi jeszcze po pustyni arabskiej, szukając daremnie »miasta bożego«; to początek »świętej« kolei mekkańskiej, zwanej *Hamidije*[3] lub częściej koleją *Heżaz*, od prowincyi arabskiej, do której dąży i w której ma ostatecznie spocząć.

---

[1] O ile mi wiadomo prof. ks. Jalabert wkrótce ogłosi: *Corpus inscriptionum graeco-latinarum in Syria*, w którym zamieści nowo znalezione inskrypcye i poda sprostowanie pomyłek, jakie zauważył w znanych już dotychczas napisach.

[2] *Mejdan*, południowa dzielnica Damaszku.

[3] Na cześć sułtana od jego imienia *'Abdu-l-hamid*.

Dzieje tej kolei, dalekiej jeszcze od ukończenia, tak są niezwykłe, jedyne; tak charakteryzują Turcyę i jej stosunki wewnętrzne i polityczne, że zasługują na kilka stronnic nawet w pobieżnem sprawozdaniu.

Co ostatecznie i w istocie spowodowało sułtana do tego przedsięwzięcia, nie wiadomo. Nie chcę przeczyć, że chęć przysłużenia się sprawie tak esencyalnie muzułmańskiej, jaką jest pielgrzymka mekkańska, i zyskania popularności w świecie Islamu, mogła pobudzić »zastępcę proroka« do rozpoczęcia budowy. Ten zresztą powód: chęć ułatwienia »wiernym« spełnienia ich religijnego obowiązku i ochrony ich życia przed zuchwałymi napadami Beduinów, wynoszą i podnoszą jako jedyny motyw wszystkie dzienniki muzułmańskie w Turcyi i poza jej granicami.

I jest w tem nieco prawdy. Sułtan, jako »dowódca wiernych«, »chalif (zastępca) Proroka«, »stróż i sługa miejsc świętych«[1] — ma ścisły obowiązek czuwać nad tem, by wierni przybywający dla spełnienia religijnego przepisu do Mekki, leżącej w jego terytoryum, znaleźli tam bezpieczeństwo życia i jakie takie wygody. Tymczasem praktyka wieków mówiła co innego. Nie było roku aby koczowniczy Beduini nie obrabowali, poranili i zabili kilkudziesięciu przynajmniej pielgrzymów. Muzułmanin jako fatalista z zasady, jest wprawdzie nad wyraz cierpliwy, ale wszystko ma swoje granice. Gdy rabunki i mordy nie ustawały, skargi, niezadowolenie i wrzenie między »wiernymi« zaczęły się szerzyć na dobre, głównie między muzułmanami politycznie niezawisłymi od władzy Padyszacha.

Poczęto oskarżać powszechnie chalifa, a jego urok w świecie muzułmańskim malał z roku na rok. Rzecz poczynała być nieprzyjemną, niebezpieczną, nawet groźną. Nużby ludy muzułmańskie zaczęły badać bliżej drażliwą kwestyę chalifatu i jej legalność, albo doszły do wniosków niekorzystnych dla Turków i ich przedstawiciela, wtedy rządcy Turcyi ostałaby się wprawdzie władza nad Turcyą, ale po chalifat sięgłyby inne ręce. Sułtan przestałby być widomą głową »wiernych«.

---

[1] Te tytuły zdobią urzędowo władcę Turcyi.

Trzeba było koniecznie coś zrobić, by uspokoić wzburzone umysły muslimów. Dowodem, że sułtan dba pilnie o interesy i dobro całego świata muzułmańskiego, miała być kolej do Mekki.

Ale silniej i skuteczniej nad wszelkie pobudki natury religijnej, podziałały na rząd turecki wypadki charakteru politycznego. Od kilkunastu lat Arabowie-Beduini, zamieszkujący Arabię (Skalistą i Szczęśliwą) jakoteż i krainę zajordańską a pozornie tylko ulegli Turcyi — zaczęli coraz częściej objawiać pragnienie zupełnej niepodległości, odmawiać wręcz posłuszeństwa »iradom« sułtańskim, uchylać się przed podatkami, oświadczać, że »Arabia dla Arabów«, że »umieją się sami rządzić« itp. Sprawa poczynała być bardzo przykrą i groźną dla bytu państwa tureckiego. Gdyby te poglądy przeniosły się do innych prowincyi, Turcya przestałaby istnieć.

Należało położyć tamę tym »zbrodniczym zachciankom« Arabów, stłumić iskrę w popiele. Rząd turecki zdecydował się na ten skok, łatwy w teoryi, ale prawie niemożliwy w praktyce z wielu przyczyn.

Jedną z najgłówniejszych był brak twierdz, załóg wojskowych, jednem słowem brak punktu oparcia w kraju zrewolucyonizowanym. Na ogromnych przestrzeniach między Damaszkiem a Mekką, było zaledwie kilka małych posterunków wojskowych, które w strachu przed Beduinami nie śmiały wychylić nosa z blokhauzu. Jeśli się zaś weźmie pod uwagę z jednej strony teren operacyjny: pustynię, szalony brak jakichkolwiek uczciwych dróg, brak wody i paszy, rzadkość osad ludzkich: z drugiej zaś koczownicze życie nieuchwytnych Beduinów — to można będzie ocenić trudność wykonania planu.

Trudność tę usuwałaby w wielkiej części linia kolejowa. A więc nie pozostawało nic innego, jak zbudować drogę żelazną. Ona umożliwi transport wojsk w pustyni, ułatwi dowóz żywności i wody, zakładanie twierdz i ostateczne ujarzmienie zbuntowanych plemion. Prosta roztropność nie dozwalała przedłożyć wszystkich pobudek światu muzułmańskiemu; ograniczono się przeto do pierwszej, charakteru religijnego, zdolnej zapalić serca »wiernych« do wdzięczności względem chalifa i... ofiarności na

»świętą sprawę«. A o to ostatecznie najwięcej chodziło, bo sułtan nie myślał z własnej kieszeni pokrywać olbrzymich kosztów szalonego w wykonaniu przedsięwzięcia.

Nie posiadam statystycznych wykazów składek ze wszystkich lat, ale tylko z kilku miesięcy r. 1901 i 1902 [1]. Wskazują one wybornie, że zachęty i kazania mu'allimów nie przebrzmiały bez skutku. Kieszenie »wiernych« otworzyły się chętnie, posypały się obfite datki. W samem państwie tureckiem od września do grudnia 1901 roku zebrano ze składek dobrowolnych blisko 17 milionów franków; od stycznia do końca maja 1902 r. około 31 milionów franków, bo nietylko prywatne osoby, ale i towarzystwa nałożyły na siebie characz. Tak np. administracya tytoniu złożyła 200.000 franków; towarzystwa przemysłowe nie mniejsze sumy. Nawet tragarze rządowi zebrali między sobą 250.000 franków.

Nie poprzestając na dobrowolnych składkach, nałożono przymusowe ofiary na muzułmanów i niemuzułmanów w postaci opłat, stemplów itd. Że z tego tylko źródła zebrała się niemała sumka, nie ulega wątpliwości. Pomysłowość komisyi centralnej, utworzonej dla przedsiębiorstwa mekkańskiego, poszła jeszcze dalej. Zapropowano »wiernym«, aby na rzecz świętej kolei składali... wszystkie skóry zabitych baranów podczas uroczystości *Kubran-Bairam* [2]. Że to nowe źródło dochodów nie zawiodło nadziei, wykazuje statystyka. Tak np. w samym Konstantynopolu zebrano w r. 1901 za skóry 47.000 franków, w Smyrnie 34.000 fr. itd.

Poza granicami Turcyi w świecie Islamu, ruch składkowy raz wzbudzony nie ustaje dotychczas. Tylko kilka przykładów na poparcie twierdzenia. W Indyach np. bogacze ofiarowali w r. 1902 na kolej mekkańską swe znaczne posiadłości w Mece,

---

[1] Daty statystyczne biorę z rozprawy ks. H. Lammensa T. J. *Notes sur les musulmans indiens,* ogłoszonej w *Missions Belges de la Compagnie de Jésus.* Bruxelles, septembre, 1902.

[2] Pod koniec corocznej pielgrzymki zabijają w Mece olbrzymią ilość baranów na ofiarę. Tego samego dnia na całym obszarze Islamu powtarza się to samo, a święto nosi nazwę »wielkiego Bairamu«, dla odróżnienia od »małego Bairamu«, który jest finałem Ramadanu (miesięcznego postu).

dzienniki otworzyły swe szpalty, nawet w teatrach poczęto dawać przedstawienia na cel powyższy; — w kilku miesiącach zebrano 250.000 rupii. Chiny złożyły w ofercie 6,300.000 franków, Singapore 20.000 fr., Bukhara 160.000 rubli, Sebastopol (w r. 1901) 4.500 rubli; Muzułmanie z Petersburga nadesłali (w r. 1902) 300 rubli. Nawet Afryka nie została w tyle. Tak np. Mozambique przysłał (w r. 1902) 25.000 franków, Natal (w r. 1901) 24.000 franków itd.

W istocie jest coś wzruszającego w tych ofiarach pieniężnych, składanych przez afrykańskich lub indyjskich muzułmanów, którzy z tej kolei wcale korzystać nie będą[1], ale którym wystarczył jej charakter religijny, zręcznie narzucony przez Turcyę.

Spodziewaćby się można, że wobec takiego zapału jaki »święta sprawa« wywołała w świecie muzułmańskim, wobec tak obfitych datków, płynących ze wszystkich ziemi zakątków, gdzie tylko jest czczone imię Proroka — kolej ta zostanie szybko i należycie zbudowaną. Rzeczywistość mówi inaczej.

Budowę rozpoczęto w czerwcu 1900 r. Po upływie czternastu miesięcy było zaledwie gotowych 15 klm. kolei wąskotorowej *(Mzerib-Der'āt)*, mimo, że teren nie przedstawia w tej części żadnych trudności technicznych i że pracowało z przerwami 8.250 robotników obok pułku tureckiej inżynieryi wojskowej, liczącego 4.452 żołnierzy! Rzecz istotnie nie do uwierzenia, możliwa tylko w Turcyi! W roku następnym 1902-gim do 14 czerwca ukończono 46 klm. (razem więc 61), a wytrasowano około 100 klm. Oto bilans dwuletniej pracy, prowadzonej głównie przez tureckich inżynierów. Naukę Koranu: »Allah jest z tymi, co się nie spieszą«, zastosowano w całej pełni. Wobec tego każdy myślący uważał budowę tej kolei za utopię zaprzepaszczoną, gdyż 1700 klm. dzielących Derat od Mekki, wymagałyby w tym stanie rzeczy 50—60 lat pracy!

---

[1] Muzułmanie z Indyi, Chin, Persyi, Afryki odbywają swą pielgrzymkę na okrętach aż do Żiddy, miasta portowego Mekki.

Tymczasem zaszły wypadki, które stanowczo zażądały pośpiechu. Pierwszym z nich było niesłychane oburzenie w świecie muzułmańskim, wywołane rabunkiem i mordem czterech setek pielgrzymów mekkańskich, którego (w lutym r. 1902) z niesłychanem zuchwalstwem, graniczącem z brawurą, dokonali Beduini prawie w oczach załogi tureckiej na sześć godzin jazdy przed Mekką.

Powszechną żałobę Islamu powiększyła jeszcze nader silna cholera, jakiej już od dawien dawna nie pamiętano, a której ofiarą padło kilka tysięcy pielgrzymów w drodze z »uczczonej« Mekki do »jaśnie oświeconej« Medyny [1]. Przeniesiona z Mekki do Egiptu i do Syryi cholera pożarła w samym Egipcie 30.000 ludzi. Smutek był tem większy, że cholerę miało wywołać zatrucie cystern przez Beduinów, czy też Greków [2]. — Jedno i drugie wywołało wielką niechęć do Konstantynopola między wyznawcami Proroka.

Że niechęć ta była w znacznej mierze uzasadnioną, przekona czytelnika stan polityczny Heżazu. »Błogosławiona« ta prowincya [3], na której obszarze leży Mekka i Medyna, posiada rząd dualistyczny. Tytularnym władcą i rządcą jest wybieralny przez Arabów »Jego Wysokość Szeryf«. Ale właściwa władza spoczywa w rękach walego (namiestnika), mianowanego przez Portę. Od niego zależą wszystkie funkcye administracyjne, wojskowe, sądowe i finansowe. Innemi słowy: wali r z ą d z i w całem znaczeniu tego słowa, podczas gdy szeryfowi pozwala się k r ó l o w a ć. On jako »potomek Proroka«, odbiera wszelkie honory, stronę zewnętrzną i etykietę władzy. Te pozory władzy są konieczne ze względu na Arabów, którzy tylko szeryfa uważają za właściwego władcę krainy i jemu tylko chcą ulegać. Z tego tytułu posiada

---

[1] Medyna nosi tradycyjny tytuł: »jaśnie oświeconej«, natomiast Mekka posiada tytuł: »uczczonej«.

[2] Ani jedno ani drugie niezgodne z prawdą. Jedynym powodem cholery był niemożliwy stan cystern, napełnionych gnijącą wodą, którą pielgrzymi pili w braku innej.

[3] Tytuł oficyalny.

on swą przyboczną straż i rodzaj żandarmeryi, którą odziewa i płaci sułtan.

Skutki tego dualizmu są fatalne, przedewszystkiem dla pielgrzymów. Niema bowiem roku, aby między szeryfem a walim nie wybuchły nieporozumienia lub sprzeczki co do zakresu władzy. Wprawdzie szeryf ulega Porcie i uznaje sułtana za swego suwerena, atoli »król królów« (padyszach) posiada prawo utrzymywania w prowincyi błogosławionej załogi i urzędników jedynie dlatego, aby w razie potrzeby ułatwiały szeryfowi wykonywanie władzy. Tymczasem urzędnicy tureccy, za zgodą czy rozkazem Konstantynopola, uważają się za właściwych rządców. Stąd nieporozumienia i antagonizmy między szeryfem a walim; — słowem anarchia administracyjna. Wprawdzie w razie ostateczności wali może liczyć na swoją armię, ale na odwrót szeryf ma na swe zawołanie, prócz gwardyi i żandarmeryi, jeszcze wszystkie plemiona beduińskie, które uważając go za swą głowę, nienawidzą Turcyi i ciągle się buntują.

»Dolewają wody do błota« — według arabskiego wyrażenia — pielgrzymki mekkańskie, nad których bezpieczeństwem chcą czuwać i szeryf i król królów (w osobie walego). Obydwaj chcą uchodzić za opiekunów Islamu. Najgorzej wychodzą na tem oczywiście pielgrzymi. Jeżeli np. wali zechce dowodnie wykazać pielgrzymom niemoc szeryfa, lub odwrotnie szeryf niedołęstwo walego, wówczas — przy tym dualizmie politycznym — wystarcza sekretnemi intrygami ubezwładnić zarządzenie przeciwnika lub zachować się biernie. Beduini zawsze są skorzy do *razyi* [1].

Historya Heżazu pełną jest przykładów tego właśnie rodzaju antagonizmów, a pielgrzymka z r. 1902 jest jego świeżym i klasycznym dowodem. Kto właśnie zawinił w ostatnim wypadku: szeryf czy wali, — niepodobna z całą ścisłością wykazać; zdaje się, że jeden i drugi maczali tu swe palce. Ostatecznie jednak w oczach Islamu odpowiedzialność spadła na Konstantynopol.

---

[1] *Razya* = napad połączony z rabunkiem (a czasem i mordem) od arabskiego: *raziat* (napad, wyprawa wojenna). Rozpowszechniona (u nas i za granicą) pisownia: *razzia* nie jest poprawną ni uzasadnioną, ze stanowiska filologii semickiej.

Sułtan nie mógł pozostać bezczynnym. On — chalif i szef naczelny »wiernych« — musiał we własnym interesie, jeśli nie usunąć, to przynajmniej osłabić bolesne wrażenie, wywołane tym wypadkiem. Chcąc więc dać satysfakcyę i pocieszyć »wiernych«, ogłosił, że połączy Żiddę z Mekką (± 150 klm) za pomocą kolei żelaznej, aby w ten sposób raz na zawsze (??) położyć koniec zuchwałym napadom Beduinów i uchronić pielgrzymów indyjskich przed *razyami.* Obok tego nakazał przyspieszyć budowę kolei Damaszek-Mekka, by zabezpieczyć pielgrzymów turecko-syryjskich. Wykonanie pierwszego postanowienia odłożono widocznie *ad Calendas graecas,* bo już czwarty rok upływa, a jeszcze nie zbudowano ani jednego kilometra.

Do niepowodzenia moralnego i upadku *prestige'*u tureckiego przyłączyły się w latach następnych (1904 i 1905) niepowodzenia orężne w walce ze zbuntowanemi plemionami prowincyi Jemenu, które grożą Turcyi utratą całej Arabii Szczęśliwej, a może i Mekki. Jemen, druga Damara i Granama[1] pruska, stał się dla Konstantynopola powodem trosk niemałych. Wysunięty najbardziej na południe, przedzielony pustyniami od centralnych prowincyi i stolicy państwa, nie może być skutecznie ujarzmionym z powodu olbrzymiego oddalenia i trudności w dowozie wojsk, dla których tylko dwie istnieją drogi: przez pustynię lub morzem *via* Suez. Pierwsze w obecnym stanie prawie niemożliwe[2], drugie nader kosztowne[3]. Dla skutecznej i trwałej obrony południowych prowincyi nie pozostaje więc nic innego — jak kolej mekkańska, która mogłaby dowozić wojska i żywność. Nowa to a silna pobudka do przyspieszenia robót.

Jakoż wzięto się energicznie do pracy. Przedewszystkiem

---

[1] Kolonie pruskie w południowo-zachodniej Afryce, osławione powstaniem Hererów.

[2] Z Damaszku do centrum Jemenu około 3500 kilom.; $^4/_5$ drogi pustynią!!

[3] Okręty wojenne i kuryery pocztowe płacą za przejazd kanałem Sueskim od każdej tony $8^1/_2$ franka a nadto za każdą osobę przewożoną 10 fr. Jeśli do tego dodamy koszta przewozu wojska wogóle (z Azyi Mniejszej do Żiddy np.) otrzymamy sumy kolosalne.

zawezwano do pomocy wielu inżynierów europejskich (wszystkich prawie narodowości, z wyjątkiem Anglików), a dozór i dyrekcyę wykonawczą oddano w ręce europejskie. Następnie pomyślano o połączeniu z Damaszkiem, który i nadal ma pozostać punktem zbornym pielgrzymek.

Już od r. 1898 istniała wąskotorowa kolej prywatna francuskiego przedsiębiorstwa między Damaszkiem a Mzeribem (101 km). Rząd podjął w r. 1902 rokowania, aby odkupić tę linię. Towarzystwo zażądało dość wysokiej sumy, a Turcya nie miała zamiaru drogo kupować. Nie zważając na udzieloną Towarzystwu koncesyę, rząd zdecydował się wybudować własną linię i dokonał dzieła w r. 1904. Linia ta biegnie prawie równolegle z koleją francuską, w odległości przeciętnie kilku kilometrów.

Wobec tego Towarzystwo wydało proces rządowi tureckiemu i — przy nacisku dyplomatycznym — wygrało go. Turcya musiała wypłacić przedsiębiorstwu trzy miliony franków tytułem indemnizacyi. Wliczywszy w to około milion franków, które (w latach 1900—1904) Towarzystwo zarobiło na Turcyi za przewóz maszyn, wagonów i całego materyału do budowy kolei mekkańskiej, a nadto koszta budowy linii tureckiej (Damaszek-Derat [123 klm]) — dojdziemy do sumy dwakroć conajmniej większej, niż żądania francuskie za linię Damaszek-Mzerib. »Skąpy zawsze traci« — to przysłowie raz jeszcze spełniło się dosłownie na Turcyi.

Cały materyał kolejowy sprowadzała Turcya z Europy okrętami do Bejrutu, a stąd koleją francuską do Damaszku. Towarzystwo, będące właścicielem tej linii, mimo wierno-poddańczego tytułu: *Société ottomane*, kazało sobie dobrze płacić za przewóz. Nie chcąc przepłacać transportu i być zawsze zależnym od obcokrajowców w komunikacyi z morzem, rząd turecki już od dłuższego czasu chciał zakupić linię Haifa-Damaszek, rozpoczętą i zarzuconą przez przedsiębiorstwo angielskie. Kupna dokonano w marcu r. 1902. Za cenę 155.000 lirów tureckich (± 3,600.000 franków) nabyto gotowych 7 kilometrów, trochę nagromadzonego materyału i udzieloną koncesyę. Linię tę wykończą w grudniu 1905 r. O szczegółach dość ciekawych, które dotyczą tej linii, mógłbym długo opowiadać, gdyż zebrałem ich garstkę niemałą. Szczegól-

niej zasługuje na wzmiankę zmiana pierwotnego planu w trakcie budowy. Zamiast do Damaszku poprowadzono szyny do Derat, jako odnogę kolei mekkańskiej, rzekomo dlatego, aby ci z pielgrzymów egipskich lub europejskich, którzy przyjadą morzem do Syryi, mogli koleją »turecką« dojechać do Derat i tu wsiąść na »świętą« kolej mekkańską. Dlatego linia Haifa-Derat jest także uważana za »świętą« a, co najważniejsze, koszta jej budowy pokryto z kasy kolei mekkańskiej, widocznie pełnej.

Trudności techniczne przy budowie tej linii, którą stawiają inżynierowie europejscy, były niemałe. Należało bowiem z równiny Ezdrelonu w Galilei, spuścić się w przepaścistą kotlinę Jordanu (aż do —250 m. poniżej morza), a przebywszy *Ror*[1] i Jordan wspinać się napowrót na spadzistą wyżynę +550 m. wysoką. Jedyną jeszcze, względnie możliwą drogą, był głęboki jar rzeki *Jarmuku*[2]. Ale by go przebyć trzeba było w wielu miejscach skopać bazaltowe ściany i podłoże rzeki, wystawić liczne nasypy, zbudować na krótkiej przestrzeni około 20 ciężkich wiaduktów i mostów, a nadto przebić jeden tunel. Kotlina Jarmuku jest nader niebezpieczną dla zdrowia z powodu strasznych upałów i panującej wszechwładnie febry, której ulega 50% robotników, a z której ginie śmiercią około 10%. Najtrudniejszy kawał drogi, od mostu na Jordanie w górę doliny Jarmuku buduje[3] jako szef linii nasz rodak, inżynier Zabłocki z Konstantynopola, którego miałem przyjemność poznać w *Semach*[4], gdy przejechawszy konno całą ziemicę zajordańską, zabierałem się do przeprawy przez Jordan i do podróży po Galilei.

Na linii mekkańskiej roboty raz na seryo rozpoczęte postępowały bez przerwy, choć wolno, naprzód. Na *żulus*[5] sułtańskie

---

[1] Taką nazwę nosi kotlina Jordanu w narzeczu ludowem arabskiem Dosłownie znaczy to tyle co: rozpadlina, wydrążenie.

[2] Po arabsku zwany: *Szeri'at el-Menadire.* Grecy nazywali tę rzekę *Hieromykes;* nazwa będąca przekształceniem talmudycznego miana Jarmuk.

[3] Piszę to we wrześniu 1905 r.

[4] *Semach* miasteczko na południowem wybrzeżu jeziora Tyberyadzkiego.

[5] W Turcyi dzień wstąpienia na tron *(żulus)* jest świętem uroczystem, które zwyczajnie usiłuje się uświetnić jakimś nadzwyczajnym czynem, np. kilkudziesięciu kilometrami nowej kolei.

(1 września) 1903 r. doprowadzono maszynę aż po Amman (224 klm od Damaszku); w lutym r. 1905 aż po Maan (480 klm)[1]. Ale z Maan do Medyny pozostaje jeszcze 1000 klm., a do Mekki 1300 klm!

Nie tyle jednak liczba kilometrów, ile niesłychane trudności stały i stoją na przeszkodzie budowy. Najpoważniejszą — to pustynia straszliwa, rozciągająca się od Maan na południe prawie aż po Medynę, pustynia bez wody, bez roślinności. Wodę trzeba dowozić robotnikom aż z Maan, częściowo koleją (na przestrzeni gotowych już 30 klm), a stąd na wielbłądach. Kosztuje to ogromnie a opóźnia budowę, a nadewszystko przyprawia robotników o chorobę i śmierć. Wprawdzie linia już istniejąca pożarła koło Amman niemało istot ludzkich, ale dalsze kilometry potroją liczbę ofiar.

A ofiarami temi to przedewszystkiem nieszczęśliwi ze wszech miar żołnierze tureccy[2]. Inżynierowie europejscy, z którymi rozmawiałem, nie mają dość słów uznania dla tych bohaterów pracy i zaparcia, posuniętego nieraz do heroizmu. Ich zdaniem, żołnierz turecki dla swych zalet i wytrzymałości mógłby przy dobrej mustrze przewyższyć najlepsze wojska europejskie. — Nawzajem żołnierze tureccy uwielbiają europejskich inżynierów za ich ludzkość i za energię, z jaką ich bronią przed ich katami, komendantami tureckimi.

Prócz kompletnego braku wody i chorób, inne trudności niemniej poważne piętrzą się coraz bardziej, im głębiej przychodzi zapuszczać się w pustynię. Tutaj na dziesiątki kilometrów grunt tworzy usuwające się pagórki piaszczyste, na których maszyna żadną miarą stanąć nie może; trzeba więc w ścisłem tego słowa znaczeniu b u d o w a ć tor i zwozić z daleka kamienie. Tam znów robotę utrudniają napady Beduinów, które mieczem należy

---

[1] Od Damaszku! — a więc w przeciągu niespełna trzech lat wybudowano 420 klm. — dzięki energii inżynierów europejskich i ich nadludzkim prawie wysiłkom, podczas gdy w pierwszych dwóch latach tureccy inżynierowie wybudowali tylko 60 klm!

[2] Obecnie pracuje na linii 5 batalionów wojska (+ cztery tysiące) i 3000 europejczyków (głównie Włochów), Arabów i Turków.

odpierać. Gdzieindziej okolice zapowietrzone, a robotnicy padają jak muchy. Dodajmy do tego straszliwe upały dochodzące do 50—60° C (w cieniu namiotu) — a będziemy mieli bardzo blady obraz tych trudności, które trzeba pokonywać.

Nie brak i trudności zewnętrznych. Do takich należy niewypłacalność Turcyi. W pierwszych latach Turcya była przekonaną, że inżynierowie europejscy będą pracowali literalnie za darmo; zbywano ich kwitkami papierowymi, nigdy niewypłacalnymi. Teraz nabrała już przekonania, że jeśli się chce mieć kolej, trzeba koniecznie płacić. Płaci więc, — ale z półroczną zwłoką, co przyprawia europejskich przedsiębiorców o ogromne straty, gdyż robotnika muszą opłacać regularnie z własnej kieszeni; w przeciwnym razie rzuca pracę, i tak już ludzkie przechodzącą siły.

Wreszcie intrygi, fałszywe donosy i szykany ze strony tureckich inżynierów, zazdrosnych o chleb, dopełniają miary udręczenia. Budowę podzielono na sekcye dziesięciokilometrowe; sekcye trudniejsze wydzielono — rozumie się — inżynierom europejskim, łatwiejsze tureckim. Otóż zdarzało się, że np. zapas wody, wysłany z Maan dla inżyniera europejczyka, przechodząc przez sekcyę turecką, doznawał konfiskaty, zwłoki lub kradzieży. Ponieważ zaś woda jest czynnikiem *sine quo non* pracy i życia w pustyni, przeto roboty się opóźniały lub powodowały ogromne straty. Raz np. wskutek kradzieży pewnej części wody, wydzielonej dla sekcyi europejskiej, zdołano zaledwie zaspokoić pragnienie robotników, natomiast 60 wielbłądów, które przyniosły wodę, padło dla jej braku ofiarą. Innym razem Beduini zabrali wielbłądy wraz z wodą, a robotnicy i zwierzęta pociągowe przebywały męki pragnienia aż do następnej wysyłki.

Że mimo takich trudności zdołano zbudować drogę z Amman do Maan, wytrasować prócz tego tor na przestrzeni 130 klm. (na południe od Maan), a położyć szyny na 30 klm. poniżej Maan, to zasługa energii i poświęcenia europejskich inżynierów. Zresztą cały materyał w tej budowie europejski. Szyny, wagony, maszyny, żelaziwo, progi itd. — pochodzą z Belgii i Niemiec, częściowo z Francyi. Inżynierami są przeważnie Niemcy, w części Francuzi, Belgijczycy i jeden Polak. Wobec tego na śmiech

i politowanie zasługują szumne zapowiedzi i kłamstwa dzienników tureckich, że wszystkiego dokonano własnemi siłami, własnym materyałem, pod kierunkiem wyłącznie tureckich inżynierów [1].

Jak długo potrwa jeszcze budowa? czy wogóle będzie ukończoną? Niewiadomo. Inżynierowie europejscy sądzą, że jeżeli praca będzie postępowała nadal jak teraz (po 150 klm rocznie), to za o ś m lat dojdzie do Medyny. Medyna, zdaje się, będzie końcem nie zaś Mekka, gdyż Beduini tamtych okolic są wprost przeciwni kolei, wiedząc że jest skierowaną przeciw ich wolności. Prócz tego prawa Islamu nie pozwalają wstępować do »kraju błogosławionego« niemuzułmanom. Bardzo zaś wątpić można, czy tureccy inżynierzy pokonają trudności drogi między Medyną a Mekką (300 klm). Z tego samego powodu wątpić można, czy obiecana uroczyście kolej z Żiddy do Mekki (150 klm) zobaczy światło dzienne.

Warto wkońcu wspomnieć o trzeciej przeszkodzie budowy: dyplomacyi angielskiej. Anglicy mieli podobno wywołać powstanie w Jemenie; Anglicy zaprotestowali przeciw temu, by kolej mekkańska przechodziła przez Akabę [2], pod pozorem, że handel świata z Indyi do Konstantynopola przeniósłby się na tę linię i spowodowałby upadek kanału suezkiego (nb! przedsiębiorstwo angielskie); — w rzeczy zaś samej ze względów politycznych,

[1] Przed rozpoczęciem budowy pisał 26 maja 1900 r. *Wschód* (dziennik turecki): »... Nasi inżynierowie, zaopatrzeni w dyplomy tureckie, będą budowali tę kolej, nasza inżynierya wojskowa będzie im towarzyszyła; wszyscy robotnicy to muzułmanie. Wreszcie materyał, cały materyał, wyjdzie z arsenałów państwa. Raz jeszcze warto stwierdzić, że obecnie mamy u siebie wszystko i możemy się obejść bez pomocy zagranicy«.

Szumne te przechwałki powtarzają się jeszcze po dziś dzień. Tak np. niedawno temu dziennik turecki *Sabah* (Poranek) pisał: »Rezultat prac jest bardzo zadowalniający, zważywszy, że całe to przedsięwzięcie jest wyłącznem (!) dziełem Islamu, wykonanem wyłącznie (!) przez inżynierów tureckich, robotników tureckich i z pomocą srebra tureckiego«. (!) — Widzieliśmy wyżej, że cały świat muzułmański nadsyła obfite datki na kolej mekkańską.

[2] Port nadmorski na północnym szczycie zatoki Elanickiej morza Czerwonego.

aby przeszkodzić łatwej wysyłce tureckiej armii do Jemenu. Niedawno temu — również ze względów politycznych — Anglia skutecznie przeszkodziła przedłużeniu projektowanej (i koncesyonowanej) kolei Konstantynopol-Bagdad z Bassory do Koweit. Kto wie czy przemyślna dyplomacya angielska nie znajdzie jakich pozorów, by niedopuścić ukończenia linii mekkańskiej, która jest jej tak bardzo nie na rękę [1].

Jeżeli jednak mimo tych trudności, kolej mekkańska przyjdzie kiedyś do skutku i będzie funkcyonowała, wtedy może liczyć na pewno na 7000 pielgrzymów (najwyższa cyfra, jaką dotychczas osiągnęła pielgrzymka syryjska [z Turcyi] do Mekki). Po wybudowaniu kolei, liczba ta z pewnością się zwiększy. Nadto linia Damaszek-Maan będzie używaną przez licznych w przyszłości turystów do Petra, a na mniejszych przestrzeniach także przez krajowców. O transportach armii wspominaliśmy wyżej.

Jak kolej mekkańska wygląda w praktyce i rzeczywistości pouczą następujące rozdziały.

Ks. Władysław Szczepański.

---

[1] Kiedy już mowa o kolei mekkańskiej, warto podać liczbę kilometrów dróg żelaznych w Turcyi azyatyckiej.

Sieć anatolska	1.020 klm
Linia z Aidin	515 »
» z Kasaby	516 »
Bejrut-Damaszek-Hama-Hauran	460 »
Jaffa-Jerozolima	86 »
Mersyna-Adana	67 »
Mudania-Brusse	41 »
Damaszek-Maan	± 500 »
Haifa-Derat	± 200 »
Razem	±3.500 klm

Jeśli do tego dodamy zatwierdzoną już i rozpoczętą kolej bagdadzką (Konia-Bassora), która będzie wynosiła 2500 klm [linię Konstantynopol-Konia (500 klm) wliczyłem do sieci anatolskiej] — prócz tego 200 klm z Hama do Killis i 1300 klm kolei mekkańskiej (w budowie) — to przekonamy się, że za jakie 10 lat Turcya azyatycka będzie posiadała razem około 6500 klm (obecnie posiada już 3500 klm).

Fakt dość wymowny! Przy wstąpieniu na tron (r. 1876) obecnego sułtana Abdu-l-hamida sieć wszystkich linii żelaznych w Turcyi (europejskiej i azyatyckkiej) wynosiła tylko około 1700 klm.

Por. Lammens S. J. *La future route des Indes.* Bruxelles 1903.

POSTULATY PSYCHOLOGII DOŚWIADCZALNEJ.

(Dokończenie)

Projektowany rozdział między psychologią a filozofią odnosić się ma nie tyle do przerwania węzłów zewnętrznych, ile do zasadniczego ograniczenia ustrojów obu nauk pod względem wewnętrznym. Nie o formy zewnętrzne tu idzie, ale o rzecz, treść, zasady, dowody, związki wewnętrzne. Formalnie zerwała już psychologia dzisiejsza, prócz bardzo nielicznych wyjątków, stosunki z filozofią. Dziś nikt prawie nie zalicza psychologii do nauk filozoficznych. Ale w rzeczy samej niejeden z przedstawicieli obecnej psychologii opiera się w wyprowadzaniu psychologicznych wniosków nie tylko na ściśle skonstatowanych faktach doświadczalnych, lecz nadto na zasadach własnej metafizyki niestwierdzonych i nieudowodnionych. Przykładów parę podam w następnym rozdziale tej pracy. Tutaj chcę tylko jasno postawić zasady, według których koniecznie należy dla dobra psychologii przeprowadzić postulat uwolnienia jej od filozofii.

Sens i cel tego postulatu nie polega ani na ustaleniu nazwy tej nauki doświadczalnej, której przedmiotem są akty świadomości, ani na takim lub innym sposobie klasyfikowania nauk, wśród których owa nauka o aktach świadomości ma się znaleść, ani na żądaniu nienazywania filozofią albo psychologią takich a takich badań. Gdyby nawet wszystkie te kwestye były usunięte, czyli tak a tak rozwiązane, to w niczemby

to jeszcze nie wpłynęło na zmianę sensu i na zadanie owego postulatu.

Czy doświadczalna nauka o aktach świadomości nazywa się psychologią doświadczalną, czy psychologią, czy inaczej, czy zaliczona ona jest do nauk przyrodniczych, czy do kategoryi nauk odrębnych od przyrodniczych, czy uważa się ją za naukę filozoficzną, t. j. czy nazywa się ją nauką filozoficzną, czy nie i t. d.; wszystko to zależy ostatecznie od umów i zwyczajów, które zewnętrzną tylko oznakę nadają nauce, istoty zaś jej i wewnętrznej budowy jeszcze nie dotykają. Jeżeli ja wyżej okazałem skłonność do tej umowy raczej niż do innej, jeżeli według takiej a takiej umowy rzeczy ponazywałem, to robiłem to tylko ze względów praktycznych na jasność, zwięzłość lub dogodność wyrażania i porozumiewania się. Ale samo klasyfikowanie według tego lub innego systemu, samo nazywanie wedle tego lub innego zwyczaju jeszcze nic nie mówi o sposobie badania, wiązania rozumowań, uzasadniania robionych konkluzyi.

Dajmy nato, że filozof zajmuje się obok filozofii zjawisk psychicznych nadto i doświadczalnem ich badaniem, dajmy nato dalej, że ten filozof-psycholog krytycznie i ściśle eksperymentuje zjawiska psychiczne, opisuje je naukowo, a do wyników swych i wniosków dochodzi drogą doświadczalną, dajmy nato wreszcie, że mimoto nazywa swoje doświadczalne badania — wbrew może powszechnemu zwyczajowi — filozoficznemi, że broni przynależenia uprawianej przez siebie psychologii doświadczalnej do filozofii. Czy powiemy o takim filozofie przyrodniku, że wykracza przeciw obecnie omawianemu postulatowi? Nigdy w życiu: on nazywa rzeczy inaczej, niż większość dajmy nato ludzi obecnie, ale psychologię doświadczalną uprawia niezależnie od swej filozofii, a więc i u niego jest już ta psychologia nauką nie filozoficzną, ale czysto doświadczalną, z przyrodniczemi równorzędną, chociaż nie według własnej jego terminologii.

Dajmy nato znowu, że przyrodnik zajmuje się doświadczeniami psychologicznemi, ale w badaniach swych, eksperymentowaniach, opisach nie trzyma się ściśle i krytycznie samego do-

świadczenia, lecz wyniki interpretuje dowolnie w myśl zasad filozoficznych, którym hołduje, wyprowadza wnioski zależnie zatem od swej filozofii; dajmy nato, że ten przyrodnik w taki sposób przez siebie uprawianą naukę nazywa czysto doświadczalną i przyrodniczą, że nawet głosi się za wroga wszelkiej metafizyki. Mimoto powiemy, że choć taki przyrodnik-filozof innych nazw używa, niż większość ludzi obecnie, to jednak uprawiana przez niego nauka jest w rzeczy samej nie przyrodniczą, ale metafizyczną, że zatem sprzeciwia się naszemu postulatowi.

Samo więc to, że kto z powołania jest filozofem, lub przyrodnikiem, albo że kto ma się za takiego, jeszcze nie daje rękojmi żadnej, czy filozof w tem, co za samą filozofię uważa, nie zawarł także ścisłej nauki przyrodniczej, albo czy przyrodnik nie popsuł swych badań przyrodniczych metafizyką własną, dowolną. Z drugiej strony, podobnie jak filozof może być przyrodnikiem, tak znów przyrodnik obok ścisłej nauki przyrodniczej może uprawiać filozofię i metafizykę: jedno drugiemu nie zawadza, owszem, pomaga, jeśli tylko i jedno i drugie krytycznie i ściśle naukowo się bierze.

Już jesteśmy bliżej głównego i właściwego sensu, w postulacie naszym zawartego. Jeżeli teraz zostaniemy przy umowie, aby przez psychologię rozumieć doświadczalną naukę o aktach świadomości, przez filozofię jakąś najwyższą i najogólniejszą naukę, to będziemy mogli krótko powiedzieć, że psychologia daje naukowy opis pewnej kategoryi faktów i zjawisk w formie praw doświadczalnych, a filozofia dopiero prawa te z sobą i z innemi prawami przyrodniczemi, jakoteż z prawdami filozoficznemi, czy metafizycznemi, zestawia, porównywa, w ogólniejszą syntezę składa, ogólniejszej natury konkluzye wypowiada i t. d. Postulat domaga się, aby w wyprowadzaniu i stawianiu pewnych doświadczalnych praw psychologii nie opierać się na prawdach filozoficznych takich, do których uznania już trzeba było oprzeć się na tych prawach czy na innych jeszcze doświadczalnie niestwierdzonych. Tak sformułowany sens postulatu nadaje mu cechę rzeczywiście ściśle doświadczalną, a wynika wprost z naczel-

nego postulatu (zgodności z doświadczeniem) i z naszych umów, poprzednio co do nazw porobionych.

Naturalny i naukowy porządek badań wymaga zatem, żeby filozofia, jeśli nie chce zatracić cechy naukowej, nie wpierw filozofowała nad pewnemi prawami psychicznemi, dopóki psychologia do praw tych nie dojdzie drogą doświadczenia. Przedwczesne i niekrytyczne uogólniania stanowią główne źródło złej, t. j. nienaukowej metafizyki. Jeżeli taka metafizyka wkrada się do psychologii, wtedy psychologia przestaje już być ścisłą nauką doświadczalną. Przed takiem mięszaniem się filozofii musi się psychologia zastrzedz stanowczo — tego domaga się po niej postulat omawiany.

Jeżeli jednak filozofia na podstawie ściśle doświadczalnie i naukowo stwierdzonych pewnych praw psychicznych i na podstawie ścisłych rozumowań, przy pomocy może także rezultatów, przez inne nauki zdobytych, dojdzie do jakichś wyższych i ogólniejszych prawd psychologicznych, do których jeszcze doświadczenie naukowe w psychologii nie doszło dotąd, czy wtedy psycholog może skorzystać z tej wiedzy w jakikolwiek sposób?

Postulat nasz daje na powyższe pytanie z góry następującą naprzód odpowiedź: prawdy takie psychologiczne, do których psychologia nie doszła własnemi metodami, dla niej nie istnieją. Psycholog jednak, będąc jednocześnie filozofem, może sobie pomódz w samej psychologii tą wiedzą, z filozofii zaczerpaną, stawiając nowe pytania doświadczeniu psychologicznemu i przystosowując odpowiednio metody badań. W ten sposób może psycholog-filozof wyzyskać swą wiedzę filozoficzną dla samej psychologii, tak umiejętnie, wszechstronnie i krytycznie kierując doświadczeniami, że prawdy psychologiczne, poprzednio wyrozumowane przez filozofię, może zjawią się i w psychologii samej jako prawa psychiczne, ścisłe rezultaty doświadczenia. Takie więc zewnętrzne węzły mogą istnieć między psychologią i filozofią, byle tylko psychologia dochodziła do swoich psychologicznych rezultatów samodzielnie, byle została od początku do końca, na każdym kroku, we wszystkich szczegółach nauką doświadczalną, nie uznającą innego kryteryum swych badań nad doświadczenie.

Psychologię należy czemprędzej zautonomizować, uwolnić od autokratycznych rządów filozofii. Wyjdzie to na dobre jednej i drugiej. Wyjdzie na dobre psychologii, bo będzie się normalnie rozwijała na swoim przyrodzonym gruncie doświadczenia. Filozofia zaś będzie wtedy miała robotę niezmiernie ułatwioną, bo rezultatów doświadczalnych psychologii będzie mogła użyć jako krytycznie stwierdzonych podstaw do właściwych sobie badań i do wysokich swych zadań. Póki psychologia na ścisłe tory doświadczenia stanowczo nie będzie sprowadzona i od naleciałości filozoficznych oczyszczona, dotąd filozofia skeptycznie musi przyjmować jej rezultaty i gruntownej krytyce je poddawać.

Na zakończenie tego rozdziału wypada rozwiązać pewną trudność, która łatwoby się tu mogła nasunąć. Żąda się autonomii dla psychologii, chce się z niej rugować metafizykę i filozofię, a jednak w poprzednio postawionych postulatach robi się założenia pewne i w zależności od nich dopiero zamierza się ustanawiać psychologię. Czyż przez te postulaty i założenia nie wprowadza się zaraz na początku filozoficznych podstaw do psychologii? Jakiem prawem wtedy uważa się ją za naukę czysto i ściśle doświadczalną?

Odpowiedź na tę trudność jest już właściwie zawarta w uwagach, podanych przy omawianiu naszego naczelnego postulatu. Założenia i postulaty, jakie w trzech pierwszych rozdziałach postawiono, nie są dowolne. Dowolnemi są do pewnego stopnia zwyczaje i umowy co do nazw i sposobów klasyfikacyi, ale nie jest dowolnem to, co się poznaje, stwierdza, konstatuje. Postulaty postawione nie są metafizycznemi czy filozoficznemi twierdzeniami, w myśl jakiegoś filozoficznego systemu wyrozumowanemi, ale są stwierdzeniami oczywistemi tych danych, z jakiemi się spotyka umysł, pragnący krytycznie i dokładnie opisać akty danego rodzaju zjawiska, tutaj akty świadomości.

Umysł staje wobec rzeczywistości, poznaje ją, stwierdza. Samo poznanie i stwierdzanie jest znowu rzeczywistością pewną, daną. Tę rzeczywistość, nazwaną aktami świadomości, znowu się poznaje, stwierdza. Staje się ona przedmiotem badań osobnej na-

uki. Poznaje, stwierdza się konieczność środka tych badań: umiejętnego połączenia eksperymentu z introspekcyą. Oto treść trzech pierwszych postulatów. Są one założeniami rzeczywistemi, doświadczalnemi, z których ma sobie dokładnie zdać sprawę, ktokolwiek doświadczalnie chce poznać, skonstatować rzeczywisty stan i przebieg aktów świadomości. Albo się tych aktów nie bada doświadczalnie, nie konstatuje, nie opisuje tak, jak są, tak, jak się odbywają — albo bada się je i opisuje w myśl owych założeń.

Postulaty powyższe nie są niczem więcej, jak stwierdzonymi, skonstatowanymi warunkami istotnymi doświadczenia, konstatowania aktów świadomości, nie są zaś wykombinowanemi, wyrozumowanemi konkluzyami filozoficznemi. Założenia powyższe w niczem nie są aprioryczne, lecz jak najbardziej empiryczne. Ten zaś czwarty postulat domaga się ściśle w myśl trzech poprzednich konsekwentnego ich przeprowadzenia przez usunięcie z psychologii twierdzeń i założeń apriorycznych w myśl pewnych systemów filozoficznych wyrozumowanych czy stawianych.

V. Parallelizm psychofizyczny.

Jako ostatni postulat chcę postawić pewną zasadę, według której kierować się musi psycholog, jeśli chce rzeczywiście konstatować eksperymentalnie akty świadomości, ich przebieg, warunki i t. d. — w myśl poprzednich postulatów. Nazwa tej zasady jest ta sama, jakiej używają różne systemy filozoficzne i różne szkoły psychologiczne, chociaż zasadę samą rozmaicie formułują i rozmaicie rozumieją. Chodzić nam będzie naturalnie o to, czy i w jakim sensie pewien jakiś parallelizm psychofizyczny ma być uznany za postulat doświadczalny, skonstatowany warunek istotny doświadczenia psychologicznego.

Zacznę od krytyki tych formułowań t. zw. parallelizmu psychofizycznego, które na pewno nie są w zgodzie z poprzednimi naszymi postulatami, z postulatem zwłaszcza uniezależnienia psychologii od filozofii. Ale naprzód słowo w sprawie nazwy.

We wszystkich najróżnorodniejszych znaczeniach, w jakich

psychologowie i filozofowie używają tej nazwy, wspólną podstawą jest: 1-o umowa, żeby wszelkie zmiany zewnętrzne, materyalne nazywać fizycznemi, 2-o analogia, jaka zachodzi między przebiegiem zjawisk psychicznych i przebiegiem odpowiadających im zmian materyalnych a między dwiema liniami do siebie równoległemi.

O umowę wspomnianą mniejsza. Utrwalił ją Fechner wprowadzając sławne owe wyrazy: *psychofizyka i psychofizyczny*[1]. Ale analogia geometryczna mniej szczęśliwie była pomyślana, bo obraz linii równoległych z góry już narzuca pewien sposób patrzenia na odpowiedniość zjawisk materyalnych i zjawisk psychicznych, z doświadczenia nie wynikający.

Ponieważ jednak nazwa *psychofizycznego parallelizmu* dostała już powszechne prawo obywatelstwa, trzeba z konieczności przy niej pozostać, ale nie należy nic więcej w niej widzieć, jak tylko umówiony termin techniczny na oznaczenie tytułu następującej kwestyi: jaki jest stosunek zmian materyalnych do odpowiadających im zmian psychicznych i zmian psychicznych do odpowiadających im zmian materyalnych? Jeżeli się przez tę nazwę coś więcej rozumie, to już wprowadza się drugą umowę, że mianowicie kwestyę powyższą rozwiązuje się w taki a taki sposób, w myśl takiego a takiego poglądu.

Jeżeli kto z psychologów stawia na czele swej psychologii jako postulat zasadę parallelizmu psychofizycznego, to: albo ją rozumie li tylko jako zaznaczenie, że pewna jakaś odpowiedniość zachodzi między zmianami psychicznemi a materyalnemi — wtedy zostaje na gruncie doświadczenia; albo z góry w niej wyraża taki a nie inny sposób owej odpowiedniości — wtedy robi założenie dowolne i aprioryczne, bo jeszcze nie skonstatowane doświadczeniem, które dopiero się ma rozpocząć. Zacznę od wykazania słuszności drugiej części mego twierdzenia. Słuszność pierwszej jest właściwie oczywistem następstwem doświadczalności zjawisk psychicznych. Wskażę na nią potem jeszcze wyraźniej.

[1] »Physische Tätigkeiten, welche Träger oder Unterlagen von psychischen sind, mithin in direkter funktioneller Beziehung dazu stehen, nennen wir psychophysische« (Elemente, wyd. 2 r. 1860, cz. I., str. 10).

Zastrzegam się zaraz na wstępie, że nie myślę się tu rozprawiać z takiemi formułowaniami parallelizmu, które wprost same przyznają się otwarcie do stanowiska metafizycznego. Nas tu tylko takie parallelizmy psychofizyczne obchodzą, które bywają stawiane w imię doświadczenia albo w formie niezbędnych warunków, którym psychologia zasadniczo i zaraz od początku czynićby miała zadość, gdyby chciała być ścisłą nauką doświadczalną.

A więc nic tu nas nie obchodzi parallelizm psychofizyczny formułowany jako parallelizm metafizyczny, jako zasada metafizyczna typu np. dwoistości atrybutów substancyi spinozowskiej, albo typu t. zw. okkazyonalistów, czy też typu przedustawnej harmonii Leibniza. Do czynienia możemy tu mieć tylko z zasadą heurystyczną parallelizmu psychofizycznego, z zasadą mianowicie ograniczoną wyłącznie do faktów, dla których się ją bezpośrednio jako warunek ich doświadczalnego badania konstatuje czy przyjmuje [1].

Z natury więc rzeczy rozprawić się nam tu wypada wyłącznie tylko z tymi psychologami, którzy z jednej strony wyraźnie zaznaczają swoje doświadczalne stanowisko w psychologii i wyraźnie głoszą, że psychologia nie jest nauką filozoficzną, z drugiej zaś strony w formułowaniu i interpretowaniu swej *heu-*

---

[1] Tak co do nazwy, jak określenia istotnej cechy parallelizmu jako postulatu doświadczalnego, idę tu za Wundtem, abym tem łatwiej mógł wykazać niżej, że nawet Wundt nie zostaje wierny swojej zasadzie, ale wprowadza do interpretacyi heurystycznego swego parallelizmu psychofizycznego pierwiastek pewien metafizyczny. Zresztą — zdaniem mojem — Wundt w olbrzymiej już dzisiaj literaturze, odnoszącej się do parallelizmu psychofizycznego, zajmuje miejsce najpierwsze, bo nikt tak jasno i ściśle nie zaznaczył doświadczalności jako zasadniczej i istotnej cechy parallelizmu psychofizycznego, o ile ma być postulatem doświadczalnym psychologii. O parallelizmie pisze Wundt na wielu miejscach (i w *Vorlesungen über die Menschen- und Tierseele* i w »*Systemie*« i w »Essays«), ale głównie mam tu na myśli artykuły »*Über psychische Kausalität und das Prinzip des psychophysischen Parallelismus*« (w »*Studien*«, tom X, str. 26 i nast.) i »Heuristisches Prinzip des Psychophysischen Parallelismus« (w »*Grundzüge*«, tom III wyd. piątego, str. 768 i nast.).

rystycznej zasady parallelizmu psychofizycznego świadomie czy nieświadomie wprowadzają własną metafizykę. Ograniczę się do paru znamienniejszych przykładów, które zarazem będą oczywiście dowodami niedostatecznego jeszcze wyemancypowania się psychologii z pod rządów filozofii i metafizyki.

Pierwszy przykład stanowi sam Wundt, największy bezsprzecznie psycholog na świecie. U niego parallelizm psychofizyczny bez zarzutu prawie jest sformułowany i wyjaśniony jako heurystyczna zasada o ile nie wchodzi w sposób odpowiadania sobie aktów świadomości i zmian materyalnych. Na nieszczęście nie ustrzegł się znakomity ten uczony niebezpieczeństwa, jakie dla Wundta jako psychologa przedstawiały wyniki metafizycznych i teoryopoznawczych badań Wundta-filozofa. Wundt-metafizyk przeświadczony jest między innemi o niemożliwości działania świata materyalnego na świat duchowy i duchowego na materyalny. Działanie bierze się tu w sensie zasady przyczynowości. U Wundta jest przyczynowość t. zw. fizyczna, jest przyczynowość t. zw. psychiczna, ale niema i nie może być przyczynowości t. zw. psychofizycznej. Otóż ten sposób interpretowania zasady przyczynowości przenosi Wundt ze swojej metafizyki i ze swojej teoryi poznania do przyrodniczych badań zjawisk świadomości i zaraz na wstępie ich, z góry, a priori patrzy na nie tylko jako na t. zw. *drugą stronę* zjawisk fizycznych, jako na zjawiska *tylko równolegle* się odbywające ze zjawiskami fizycznemi, ale nigdy z niemi przyczynowo nie związane i t. d.

W tem wprowadzeniu filozoficznych rezultatów do samych początków i podstaw psychologii zawiniło także obrazowe przedstawianie sobie zjawisk psychicznych i fizycznych jako dwu stron, wewnętrznej i zewnętrznej, łuku krzywej linii[1]. Zapomniano, że to jest tylko obraz przecie, jakaś tylko analogia odległa, służąca do uzmysłowienia i ukonkretnienia rzeczy pomyślanych. Zbyt wiernie i zbyt naiwnie zaczęto sobie przedstawiać jedną jakąś

[1] Wprowadza ten obraz Fechner na pierwszych stronach »*Elementów*«.

rzecz transcendentną, która rzeczywiście ma takie strony, jakiemi są wklęsłość i wypukłość jednej i tej samej krzywej linii albo jednej i tej samej powierzchni krzywej. Z tak gotowym i z tak plastycznym obrazem przystępuje się do kwestyi, jak sobie wytłumaczyć znaną z pospolitego doświadczenia odpowiedniość pewnych zjawisk psychicznych i pewnych zjawisk materyalnych. Zapomina się o tem, że i sama kwestya nie może być rozwiązana już na samym wstępie do naukowego doświadczenia psychologicznego i że odpowiedź na pytanie z góry się daje według tego obrazu rzecz tłumacząc. Chodziłoby bowiem dopiero o doświadczalne stwierdzenie tego, czy powyższy sposób mówienia i patrzenia rzeczywistości odpowiada, czy może raczej rzecz przesądza.

Wspomnianemu obrazowi, gdyby był rzeczywistym obrazem odbywania się zjawisk psychicznych i równorzędnie z niemi idących zjawisk materyalnych, raczejby odpowiadało utożsamienie obu szeregów w rzeczy samej, tej jedynej wspólnej rzeczywistości, nie zaś przedstawianie ich sobie jako linii do siebie równoległych. Dlatego też psychologowie, konsekwentniejsi w przeprowadzeniu do końca analogii z łukiem krzywej linii, nazywają taką interpretacyę parallelizmu psychofizycznego hipotezą tożsamości. Przedstawicielem takiego parallelizmu jest Harald Höffding. Psycholog ten swoją teoryę parallelizmu (»Identitätshypothese«) uważa za najnaturalniejsze i niemal za jedynie możliwe założenie, określające stosunek fizyologii do psychologii[1]. Zdaje się nie zdawać sobie sprawy z dowolności i metafizyczności tego założenia.

Inni psychologowie, zwolennicy owej analogii, poprzestają na zaznaczaniu równoległości obu szeregów, fizycznego i psychicznego. Ale w tłumaczeniu tej równoległości rozchodzą się ich teorye. Jedni uważają oba szeregi za ciągłe w sensie matematycznym, a każdemu punktowi jednego przydzielają odpowiedni punkt drugiego. Przedstawicielem tej interpretacyi jest Fechner. Konsekwencyą jej — ożywianie całego wszechświata we wszyst-

[1] *Psychologie* (3-e niem. wyd., str. 89 i nast.)

kich jego częściach — hylozoizm[1]. Inni przypuszczają, że każdemu punktowi ciągłego szeregu fizycznego odpowiada pewien punkt szeregu psychicznego, ale nie naodwrót (L. William Stern)[2]. Inni znowu nie mają szeregów za ciągłe i parallelizm tłumaczą w ten sposób, że pewnym punktom szeregu psychicznego przydzielają pewne punkty szeregu fizycznego. Tych psychologów podzielić można na dwie kategorye: jedni utrzymują, że każde zjawisko psychiczne jako takie ma pewien określony odpowiednik fizyczny (tu należą przedewszystkiem systemy materyalistyczne jakiegokolwiek pokroju); inni zaś przyznają, że pytanie, czy każdemu zjawisku psychicznemu odpowiada pewne fizyczne zjawisko w żywym organiźmie, może być dopiero doświadczalnie rozstrzygnięte.

Przedstawicielem tej ostatniej interpretacyi parallelizmu jest Wundt. Można powiedzieć, że ze wszystkich formułowań i tłumaczeń parallelizmu psychofizycznego, polegających na owej analogii z łukiem, jeszcze wundtowski parallelizm możliwie najniewinniej się przedstawia pod względem metafizycznym. Powiadam: możliwie najniewinniej; bo zupełnie niewinnym nie może być, skoro a priori odrzuca przyczynową zależność między zjawiskami psychicznemi a fizycznemi i zakłada a priori rzeczywistą ich jedność.

Czy słusznem jest takie zaprzeczenie przyczynowych związków między zjawiskami fizycznemi a psychicznemi? Jeśli na początku psychologii słuszności tego zaprzeczenia nie da się wykazać, to wszelkie założenie, jakkolwiekby się nazywało, przyczynowość tę z góry usuwające, musi być poczytane za dowolne i metafizykę do psychologii wprowadzające. Groźba to straszna dla takiego Wundta, najdoświadczalniejszego z psychologów! Ale zaraz dodam, zanim sam wykażę dowolność owego zaprzeczania: na szczęście, uczony ten w psychologii swej obywał się bez interpretacyi parallelistycznej, lecz opisuje zazwyczaj zjawiska

[1] Z obecnych filozofów najżarliwiej broni takiej interpretacyi parallelizmu psychofizycznego Paulsen *(Einleitung in die Philosophie,* VIII Auflage, głównie str. 108—126).

[2] *Psychologie der Veränderungsauffassung*, str. 145—146.

psychiczne tak, jak się rzeczywiście odbywają. Jeszcze więcej powiem: Wundt-psycholog zapomina o Wundcie-metafizyku, sam często używając do opisu zjawisk psychicznych najzwyklejszej terminologii przyczynowej (mówiąc np. niezliczoną ilość razy: podnieta *wywołuje* czucie, *działanie* podniet i t. p.).

Czy między danemi zjawiskami zachodzi związek przyczynowy, to jest rzecz doświadczenia i tylko doświadczenia. Filozofujmy jak chcemy, rozumujmy jak tylko się podoba, ale do poznania tego, co i jak jest w przyrodzie, nie dojdziemy inną drogą. A jednak tu chodzi o zjawiska rzeczywiste, odbywające się w świecie, w przyrodzie. Jakiem prawem możemy z góry więc, przed zaczęciem doświadczenia, dawać już kategoryczną odpowiedź? Tem dowolniejszą jest dana odpowiedź, że samo pytanie było przedwczesne.

Powiadają paralleliści: wzajemne działanie świata psychicznego i fizycznego jest niemożliwe. Radbym wiedzieć, co rozumieją przez *działanie*, przez *przyczynę*, przez *przyczynowy związek*. Radbym wiedzieć, co ich uprawnia do stawiania takich zasad metafizycznych, jaką jest np. zasada, że *skutek jest tego samego rodzaju co przyczyna*. Na tejto zasadzie polega cała, nieraz bardzo dziwna, dyalektyka około prawa zachowania energii się obracająca. Na tej samej zasadzie opiera się znów interpretacya postulatu zamkniętości szeregu przyczyn fizycznych, nie dopuszczająca z góry działań niektórych z tych przyczyn w świecie psychicznym. Wcale nie twierdzę, że ta zasada jest sama w sobie prawdziwa albo nieprawdziwa, mniejsza o to: ale przed doświadczalnem stwierdzeniem zależności aktów psychicznych od czynników za niezależne uważanych, przed dokładnym naukowym opisem tych aktów i warunków ich powstawania i przebiegu nic nie można powiedzieć o tem, czy i o ile akty psychiczne są skutkami czynników fizycznych, a więc nie można twierdzić, że nie są skutkami, a więc nie ma się prawa uogólniać zasady, stwierdzonej li tylko dla zjawisk fizycznych, o ile się je naukowo poznało. O to właśnie chodzi, czy naukowe doświadczenie psychologiczne stwierdzi, czy nie, przyczynową zależność fizycznych i psychicznych czynników. Przed takiem do-

świadczeniem, na wstępie psychologii nie można przecie opierać się na tem, co dopiero może być stwierdzone jako wynik naukowych jej badań i doświadczeń.

Przedwczesne uogólnianie to jedna cecha metafizycznej dowolności parallelistów. Druga cecha to samowolne używanie terminologii przyczynowej. Gdyby ci sami psychologowie, co odrzucają przyczynowość psychofizyczną, nie uznawali (słowami przynajmniej) przyczynowości i związków przyczynowych w świecie fizycznym jako takim, wtedy nicbym im nie miał do zarzucenia tutaj, na wstępie do psychologii. Konsekwencya wymagałaby w takim razie zachowania tej samej terminologii tak w opisie związków fizyczno-fizycznych, jak w opisie związków psychiczno-psychicznych, jak również i w opisie związków fizyczno-psychicznych czy psychiczno-fizycznych. Dlaczego zaś jedna tylko grupa związków miałaby być inaczej opisana i nazywana, niż inne, tego naprawdę nie rozumiem. Jeżeli odpowiedniość aktów psychicznych i zmian materyalnych chce się nazywać parallelizmem, nie związkiem przyczynowym, to wtedy i odpowiedniość pewnych zmian fizycznych, związkiem ich przyczynowym nazywana, również parallelizmem powinnaby się nazywać. Empirycznie podstaw do zmiany terminologii nie widać żadnych.

Nieempiryczne podstawy są, wiem o tem. Ale o to mi właśnie idzie, że te nieempiryczne podstawy są aprioryczne i metafizyczne. Dla Wundta np. podstawą taką jest między innemi przekonanie, że inaczej wpadnie się w materyalizm, doktrynę, której sam jest największym wrogiem i najostrzejszym krytykiem. Ale czy obawa słuszna? Czy przez przypuszczenie przyczynowego związku psychofizycznego koniecznie robi się wyłom w przypuszczalnej zamkniętości szeregu przyczyn fizycznych? Czyż jedna i ta sama zmiana materyalna nie mogłaby jednocześnie dwu skutków przyczynowych wywołać: jednego materyalnego według zasady fizycznej przyczynowości, drugiego psychicznego według jakiejś jeszcze dotychczas naukowo nie zbadanej zasady psychofizycznej przyczynowości? Przed zdobyciem odpowiedniego materyału doświadczalnego nie da się a priori niemożliwości tego przypuszczenia wykazać, a więc i nie da się

a priori udowodnić zasady wundtowskiego parallelizmu psychofizycznego.

Ta obawa Wundta przed materyalizmem, rzekomo wynikającym z przypuszczenia przyczynowości psychofizycznej, źródło ma oczywiście w czysto metafizycznej jego zasadzie, wyżej krytykowanej, że skutek jest zawsze tego samego rodzaju, co przyczyna. Dla salwowania tej zasady i dla uniknienia nawet pozorów materyalizmu zmienia Wundt swą terminologię, kiedy chodzi o nazwanie odpowiedniości zjawisk psychicznych i fizycznych.

Tak Wundt, jak inni paralleliści w psychologii wykazują sami zależność zjawisk psychicznych od fizycznych nazywając zjawiska psychiczne funkcyami zjawisk fizycznych. Bardzobym rad był się dowiedzieć, co ponad funkcyonalną zależność stwierdza się w naukowem doświadczeniu, właściwem fizyce, chemii, fizyologii i t. p., takiego, coby uprawniało do uważania funkcyonalnych związków materyalnych za przyczynowe. Sądzę, że konsekwentnie należałoby albo funkcyonalne związki psychofizyczne nazywać również przyczynowymi albo i innych przyrodniczych związków funkcyonalnych tak nie nazywać: jedno z dwojga.

Dużo metafizyczniej przedstawia się interpretacya parallelizmu psychologicznego, podawana przez psychologów empiryokrytycznych. Ich parallelizm wynika z kardynalnego ich założenia metafizycznego, że radości, smutki, bóle, smaki i t. d. są tak *bezpośrednio dane*, jak przedmioty barwne i przestrzenne, dźwięki i t. d., że więc t. zw. zjawiska psychiczne mogą być tylko tak badane, jak się bada zjawiska materyalne. Konsekwentnie t. zw. akty świadomości innych ludzi jako takie nie mogą być, w myśl powyższego założenia, badane, bo nie są dla psychologa bezpośredniemi danemi. Ograniczyć się więc psychologia musi do badania jedynie takiego innych ludzi, jak każdego innego *przedmiotu otoczenia*, zatem może tylko badać zmiany fizyologiczne nie o ile od nich zależą akty świadomości człowieka, w którym te

zmiany spostrzeżono, ale tylko o ile od nich zależą własne *odczucia* psychologa badającego.

Na tej zależności *(pomiędzy zmianami fizyologicznemi, badanemi na innych, a własnemi odczuciami)* polegać ma — według niektórych empiryokrytyków — *prawo psychologicznej równoległości.*

Dla takiego psychologa empiryokrytycznego badanie aktów świadomości jest rzeczą niemożliwą, bo wypowiedzenia obserwatora, używanego do eksperymentów psychologicznych, *nie wskazują na stany świadomości badanego, lecz posiadają dla badającego znaczenie wówczas tylko, gdy on je zrozumie, a więc gdy je wyłoży w duchu swego myślenia i swego odczucia.*

Te słowa podkreślone wiernie są wypisane z własnych wyznań empiryokrytyków powyższego odcienia. Nawiasem wspomnę, że taki wykład orzeczeń obserwatora w duchu myślenia i odczucia eksperymentatora, byłby kryteryum ostatecznem jego wywodów, nie zaś samo doświadczenie. Psychologia na takiem założeniu oparta nie miałaby rzeczywiście cechy ścisłej nauki doświadczalnej, podobnie jak jej nie ma psychologia czysto introspektywna.

Inni empiryokrytycy trochę odmiennie formułują swój parallelizm i swoje założenia, na których ten postulat opierają. Wszyscy jednak schodzą się w dwu zasadniczych poglądach: 1° że niezależny szereg jest tylko fizyczny, psychiczny zaś tylko zależny, 2° że niema przyczynowości psychicznej. Oba te poglądy są zupełnie dowolne na początku psychologii. Jeśli się nie ma uprawiać jakiejś metafizycznej dyscypliny, ale naukę naprawdę przyrodniczą, to absolutnie nie wolno czynić badań, nauce tych właściwych, i ich rezultatów zależnemi od takich metafizycznych poglądów. Czy one są prawdziwe, dopiero ma wykazać krytyczne badanie doświadczalne i naukowe, pod żadnym względem nie oparte na gotowej już odpowiedzi na postawione pytania. Zupełnie więc niesłusznie uważają empiryokrytycy swoją interpretacyę parallelizmu psychofizycznego za postulat psychologii doświadczalnej, za jakąś podstawową zasadę, mającą znaczenie aksyomatu. Innych postulatów nad doświadczalne, wynikające wprost z naczelnej zasady, zgodności z doświadczeniem, psycho-

logia doświadczalna przyjąć ani uznać nie może zaraz na wstępie, na samym początku badań swych doświadczalnych nad zjawiskami psychicznemi.

Niesłusznie również podają empiryokrytycy swoją zasadę parallelizmu psychofizycznego, jako rezultat zasady zachowania energii.

Prawo zachowania energii, o ile jest doświadczalnie stwierdzone, odnosi się do zjawisk materyalnych przyrody, nic zaś nie ma do czynienia z psychicznemi zjawiskami przyrody jako takiemi. Uogólnianie tego prawa w tym kierunku, aby podciągnąć pod nie i zjawiska psychiczne, miałoby tylko wtedy sens, kiedyby doświadczalnie dało się stwierdzić, że między formami energii materyalnej jest także ta forma energii, którą za psychiczną możnaby uważać i za źródło zjawisk psychicznych. Doświadczenie dotychczas takiej formy energii nie odkryło, równoważnik psychofizyczny jeszcze w nauce doświadczalnej nie istnieje. Poza czy ponad naukami doświadczalnemi istnieje wprawdzie pogląd, że jedna jest tylko energia we wszechświecie a psychiczna jedną z jej form, ogólnemu prawu zachowania energii podlegającą: ale pogląd ten istnieje w filozofii, w metafizyce. Pogląd ten tak jest dowolnie metafizyczny, że kompromituje w wysokim stopniu »filozofię przyrody« Ostwalda, *nie uznającą żadnej hipotezy* prócz hipotezy jedynego kosmologicznego pierwiastka, energii. Atoli to wymysł Ostwalda — filozofa, nie Ostwalda — przyrodnika. Empiryokrytycy chcą przecie przemawiać w imię doświadczenia, a więc w imię powagi zasadniczo przyrodniczej. Cóż zaś doświadczenie przedpsychologiczne może powiedzieć o tem, czy zjawiska psychiczne jako takie polegają na pewnego rodzaju przemianie energii materyalnej? Jeśli się jednak takiej hipotezy nie przyjmie, jako początkowego założenia w psychologii, to a priori żaden parallelizm psychofizyczny, usuwający przyczynowość psychiczną z przyrody, nie wynika z zasady zachowania energii.

Kwestya zawsze zostaje otwarta: czy zjawiska materyalne, podlegające prawu zachowania energii, stanowiące szereg przyczyn materyalnych bez żadnej w nich luki, są lub nie są przy-

czynowo związane ze zjawiskami psychicznemi — przyczynowością oczywiście innego już rodzaju, jakąś psychofizyczną? Dla tej kwestyi zachowanie energii jest rzeczą najzupełniej obojętną, bo ta przyczynowość jakaś osobnego rodzaju psychofizyczna, jeśli istnieje, odbywałaby się obok zamkniętego szeregu przyczyn materyalnych, a więc obok nienaruszonej co do ilości energii materyalnej. Zmiany psychiczne ani owe związki przyczynowe psychofizyczne nie miałyby wtedy przecież miejsca w szeregu fizycznym, materyalnym własnościom i prawom energii materyalnej podlegającym, ale poza nim, obok niego.

Jeśli się kwestyę powyższą z góry przesądza, kładąc gotową na nią odpowiedź w interpretacyę własną zasady zachowania energii i w interpretacyę własną parallelizmu psychofizycznego, wtedy naturalnie kwestyę samą już się zamyka i nawet sens jej odbiera. Ale takie przesądzanie nie jest chyba dopuszczalne w nauce, o ile ona ma zostać ściśle doświadczalną i przyrodniczą.

Jeżeli kto przez przyczynowość rozumie z góry jedną tylko jedyną przyczynowość materyalną, inną z góry wyklucza, jak gdyby pierwszą w czemkolwiek znosiła, z nią była wprost sprzeczna, albo stałość ilości energii zmieniała, ten się oczywiście nie porozumie z tymi, którzy chcą poznać zjawiska tak, jak są w rzeczywistości, a nie usuwają z góry środków do poznania tej rzeczywistości. Rzeczywistość ma dopiero rozstrzygnąć pytania, jej stawiane, ale stawianie pytań niema być takie, jakie już z góry uniemożliwia należyte zrozumienie odpowiedzi.

I na tem miejscu stwierdzić muszę, że porozumienie z empiryokrytykami na gruncie psychologii jako nauki o aktach świadomości jest niemożliwe, dopóki oni stale *a limine* psychologii usuwać będą ten czynny pierwiastek w życiu naszem psychicznem, który dla nas stanowi pierwszy fakt wszelkiego doświadczenia. Jeśli psychologia nie jest nauką o tych tak zw. aktach świadomości jako rzeczywistych faktach, jeśli z psychologii z góry się usuwa świadomość jako akt, czyn, działanie, to wtedy konsekwentnie już stawia się takie interpretacye parallelizmu, jakie z góry uniemożliwiają doświadczalne

badanie tak zwanych aktów świadomości. W tym sensie empiryokrytyk nie jest psychologiem doświadczalnym.

Teraz wypada mi jeszcze wskazać na ten sposób postawienia tak zwanego parallelizmu psychofizycznego, który jedynie wolny jest od metafizyki i dowolnych interpretacyi a postulatom doświadczalnym odpowiada.

Sama nazwa, powtarzam, nie jest szczęśliwie dobrana, bo nosi w sobie obraz gotowy dwu linii równoległych do siebie, odpowiedniość zaś zjawisk psychicznych i materyalnych może jest tego rodzaju, że niema w niej żadnej analogii z tem geometrycznem przedstawieniem. Nadto obraz ten przesądza poniekąd rozstrzygnięcie kwestyi. Jeżeli się jednak umówi, żeby przez *parallelizm psychofizyczny* nic więcej na razie, tj. o ile go się stawia jako postulat psychologii, nie rozumieć, jak tylko wyłącznie odpowiedniość zjawisk psychicznych i materyalnych, to można wyraz przyjąć jako termin techniczny owej odpowiedniości. Używając tego wyrazu na wstępie do badań psychologicznych, myśleć trzeba tylko o tem, że jakaś odpowiedniość między zjawiskami psychicznemi i zjawiskami materyalnemi jest; nie należy zaś uprzedzać tych wyników badań, do których się jeszcze nie doszło, z góry zakładając, jaka to odpowiedniość jest albo jaka nie jest.

W tym tylko sensie brany *parallelizm*, tj. w sensie jakiejś odpowiedniości, może być uważany za postulat doświadczalny psychologii, owszem, w tym sensie jest on koniecznym postulatem, bezpośrednio wypływającym z czterech postulatów poprzednich. Przez doświadczenie, na eksperymencie ścisłym oparte, możemy bowiem osiągnąć tylko dokładny opis naukowy aktów świadomości (to jest treść czterech poprzednich postulatów), a zatem te akty świadomości tak trzeba opisać, jak są w rzeczywistości związane z warunkami i okolicznościami, wśród których się odbywają (tu już tkwi treść piątego postulatu).

Warunki i okoliczności powstania i przebiegu aktów świadomości są wogóle tak inne akty świadomości czy ich następstwa, jak zjawiska materyalne. Otóż związanie ba-

danych aktów świadomości ze zjawiskami materyalnemi jako warunkami i okolicznościami ich powstania i przebiegu jest koniecznem założeniem, które się konstatuje na wstępie do psychologii. Bez tego założenia do eksperymentu psychologicznego się nie przystąpi, bo przystępując już się przecież chce celowo zmieniać pewne warunki, aby zależność badanych zjawisk od nich skonstatować. Eksperyment zaś psychologiczny jest tego rodzaju, że do rozporządzenia, do tej celowej zmiany ma się bezpośrednio tylko warunki materyalne. Więc zakłada się z konieczności doświadczalnej zależność jakąś zjawisk psychicznych od materyalnych. Ta jakaś zależność, jakaś odpowiedniość, jakiś związek rzeczywisty między zjawiskami psychicznemi a fizycznemi jest doświadczalnym postulatem tak koniecznym, jak koniecznymi były postulaty poprzednie, umożliwiające dopiero doświadczalne konstatowanie aktów świadomości.

Owa jakaś odpowiedniość między zjawiskami psychicznemi a materyalnemi, nazwana dla krótkości paralellizmem psychofizycznym, jest rzeczywistym i zasadniczym postulatem dla psychologii. W myśl tego postulatu miałby psycholog przed rozpoczęciem naukowych eksperymentów psychologicznych zapoznać się dokładnie z temi zjawiskami materyalnemi, które warunkami są i okolicznościami powstania i przebiegu zjawisk psychicznych. Ściśle naukowa psychologia jest zasadniczo i istotnie oparta na ściśle eksperymentalnej psychologii. Ta zaś psychologia eksperymentalna, jest z natury rzeczy i w sensie naszego ostatniego postulatu, psychologią fizyologiczną, słusznie tak przez Wundta nazwaną. Z natury więc rzeczy, tj. eksperymentalnie badanych rzeczywistych aktów świadomości, i w myśl zasady t. zw. parallelizmu, tj. rzeczywistego związku aktów świadomości ze zjawiskami materyalnemi, koniecznemi naukami pomocniczemi i przygotowawczemi do psychologii są fizyka, anatomia, fizyologia. Ten jest między innemi sens praktyczny parallelizmu psychofizycznego, wskazujący na to, jaki ma być naturalny wstęp do psychologii, najmłodszej z nauk przyrodniczych. Nie ma zaś nim być metafizyczna dyalektyka, a priori interpretująca zasadę parallelizmu.

Jeśli się nie chce stracić pod nogami doświadczalnego gruntu przyrodniczego, to nie można z góry kłaść w zasadę parallelizmu odpowiedzi na pytanie, jaka jest zależność zjawisk psychicznych od materyalnych. Nie można tedy z góry twierdzić, że jest ona przyczynową lub nie, albo że jest przyczynową w tym nie innym sensie. Jaką jest ta zależność czy odpowiedniość, rozstrzygnąć dopiero będzie można na podstawie doświadczenia, po rezultatach ściśle naukowych badań nad aktami świadomości, nie przed tymi rezultatami. Na rozstrzygnięcie zaś nie mają żadną miarą wpływać aprioryczne interpretacye parallelizmu. Że jest jakaś odpowiedniość czy zależność między aktami świadomości a czynnikami materyalnymi, tyle tylko wiemy przed doświadczeniem naukowem, na podstawie doświadczenia przednaukowego. Tyle też tylko zawiera w sobie doświadczalna treść parallelizmu psychofizycznego, o ile się ten postulat stawia na czele psychologii jako nauki doświadczalnej.

Ks. Stanisław Kobyłecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Czasopisma literacko-naukowe w r. 1905.

Chimera. — Ateneum. — Poezya. — Biblioteka naukowa. — Krytyka. — Ognisko. — Świat słowiański. — Hasło. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec. — Tygodnik polski. — Ziarno. — Ogniwo. — Prawda. — Przegląd powszechny. — Głos. — Bluszcz. — Tygodnik mód i powieści. — Świat kobiecy.

W porównaniu z obydwoma swoimi poprzednikami okazał się rok miniony bardzo a bardzo korzystnym w rozwoju naszego czasopiśmiennictwa. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że upadły tylko dwa pisma, i to: *Reforma szkolna* zaraz po wyjściu pierwszego zeszytu, a *Tygodnik polski* został zawieszony dopiero w ostatniem ćwierćroczu, że natomiast powstało siedm, w przeważnej części bardzo pożytecznych pism, to chyba przyrost jest zupełnie niewątpliwy. Z ważniejszych nabytków zeszłorocznych przedewszystkiem wymienić uważamy za stosowne powstanie warszawskiego *Przeglądu historycznego,* który przedstawia się bardzo korzystnie, choćby sądząc z pierwszych trzech zeszytów, dalej *Świata słowiańskiego,* miesięcznika informującego wybornie polskich czytelników o sprawach pobratymców naszych, wreszcie wznowienie upadłego przed kilku laty *Herolda polskiego* i ożywienie się wydawnictwa *Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych.* Wszystkie one stanowią arcypożądany nabytek. Niemniej ciekawym objawem jest podjęcie peryodycznego czasopisma p. n. *Poezya,* jak tytuł pozwala się domyślać, poświęconego wyłącznie muzom.

Nowe te nabytki równomiernie dzielą się na Królestwo Polskie

i Galicyę. Jedynie W. Ks. Poznańskie od całego szeregu lat nie daje o sobie znaku życia. Najbiedniejsze ono, skoro z wyjątkiem omawianych na innem miejscu *Ruchu społecznego* i *Przeglądu kościelnego* ma tylko jeszcze fachowe *Nowiny lekarskie,* ale i te są urzędowym organem wydziału lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Przyczyna takiego stanu rzeczy powinna być dla każdego jasna, kto wie, jak wielki jest pod zaborem pruskim brak sił czy to na polu naukowem czy literackiem. Wszystko bowiem zdolniejsze, żeby tylko wymienić: Kasprowicza, d-ra Rakowskiego lub Wł. Rabskiego wyemigrowało, dzięki panującym w tej dzielnicy stosunkom, do Królestwa lub do Galicyi.

* * *

Wytworna, z takim aplauzem i przychylnością powszechną przywitana po swoich narodzinach *Chimera,* wychodziła w r. ub. jeszcze chimeryczniej i powolniejszym, od żółwiego, krokiem, niż dawniej. Ukazały się zaledwie dwa poszyty za drugie półrocze jeszcze 1904 r. Najwięcej interesującym ze względu na mało szerszym kołom, ba nawet zawodowym historykom literatury, znanego pisarza, jest spory tom, poświęcony wyłącznie Cypryanowi Norwidowi, pasowanemu przez redaktora *Chimery* Miriama, na praojca dzisiejszego modernizmu. Niewątpliwie — talent Norwida i pisarski i malarski był niezwykły; nie należy jednak pominąć milczeniem, że był to talent bardzo mglisty i chorobliwy. Zasługą jednak niezaprzeczoną Przesmyckiego jest wyciągnięcie z pyłu zapomnienia utworów Norwida, spoczywających w rękopisie. Znalazły więc tu pomieszczenie: wiersze z cyklu »Vade mecum«. fragmenty z »Promethidiona«, tragedya historyczna p. t. »Kleopatra«, poemat p. n. »Pompeja«, nowela p. t. »Stygmat«, przekłady z »Odysei«, garść utworów lirycznych i ironicznych, oraz listy do Maryi Trembickiej z lat 1845—1857, wydane z rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej i przygotowane do druku przez p. St. Kossowskiego, który opatrzył je dokładnemi objaśnieniami. Całości dopełniają reprodukcye nieznanych rysunków i malowideł Norwida. Pietyzm, jakim p. Przesmycki otacza zapomnianego poetę, pozwala się spodziewać rychłego ukazania się kompletnej edycyi utworów Norwida.

Drugi warszawski miesięcznik, podobny pod względem kierunku do poprzedniego — *Ateneum* — jak gdyby zapatrywał się na *Chimerę* w nieregularnem, stale spaźniającem się ukazywaniu. Co prawda — trudnoby wymagać od miesięcznika, ażeby wychodził regularnie ka-

żdego pierwszego. Dzień ani parę dni nie stanowią różnicy. Ale można żądać, ażeby zeszyty ukazywały się nie w parę miesięcy dopiero od daty, na tem bowiem tracą czytelnicy, a w dalszej konsekwencyi i samo wydawnictwo. Z belletrystyki wymienię dalszy ciąg wcale udatnych »Linii Hofera« przez J. Zarycza, o których pisaliśmy już w roku ubiegłym, dalej A. Langego »Amora i fauna« oraz dramat Słowackiego p. t. »Zawisza Czarny«. Z pomiędzy celniejszych artykułów zaś: A. Górskiego »Głosy do kultury niemieckiej i polskiej«, rzecz A. Neuwerta-Nowaczyńskiego o Mikołaju Reju, F. Bryka »Fragmenty współczesnej grafiki« i O. Weiningera studyum o Schillerze, wreszcie tegoż autora »Peer Gynt i Ibsen«. W mglistości i niejasności wyrażania się nie ustępują »Dusze niektórych melodyi« dawniejszym rzeczom redaktora pisma, Cezarego Jellenty. »Kronika sztuki« była prowadzona starannie i z zamiłowaniem. Wydawnictwo to zostało — niestety — z końcem ubiegłego roku zawieszone przez władzę. Skoro w pomyślniejszej chwili zostanie na nowo podjęte, należałoby sobie darować resztę niewydanych zeszytów, a natomiast rozpocząć je właściwą datą, nie fikcyjną, i regularnie je w przyszłości prowadzić.

Czego jeszcze nie mieliśmy w czasopiśmiennictwie, to wyszło na świat w r. ub. Mam tu na myśli pismo, którego zeszyt pierwszy pojawił się w Warszawie, nakładem Gebethnera i Wolffa, a które jest poświęcone wyłącznie *Poezyi*. Widocznie płodność naszych poetów dosiągnęła tak kulminacyjnego punktu, że w braku miejsca na drukowanie utworów w dziennikach i tygodnikach literackich, (któremi i tak już są aż nad miarę wszelką przepełnione), musiano przystąpić do założenia specyalnie temu celowi służącego pisma. Czy jednak nie będzie ono efemerydą, jak i kiedy i na jakich warunkach będzie *Poezya* wychodzić, o tem trudno powziąć jakąkolwiek wiadomość z okładki. Do najlepszych utworów, tu pomieszczonych, zaliczam: »Z poematu p. t. Echa — Wyjazd« Wł. Bukowińskiego, »Z drobiazgów« Gust. Daniłowskiego, »Lwy« J. Jankowskiego, »Matkę« Edw. Słońskiego« i »Widmo. Baśń o śpiącym gryfie« W. Wolskiego. Ponadto mamy wiersze: W. Dzierżanowskiego, St. Pytlińskiego, W. Rogowicza, Z. Różyckiego i O. Słońskiego. Drugi zeszyt nie wyszedł dotąd. Widocznie będzie *Poezya* wydawnictwem peryodycznem bez bliżej określonych terminów wychodzenia.

Wydawnictwem o wyraźnej barwie pseudopostępowej, jest warszawska *Biblioteka naukowa,* jak o tem mogą każdego przekonać tytuły choćby tylko paru prac, jakie pomieścił ostatni rocznik. Żeby nie

bawić się długo i nie wdawać się w niepotrzebną i bezcelową polemikę, wymienię tylko: Fr. Engelsa »Rozwój socyalizmu od utopii do nauki«, K. Kautsky'ego »Przeciwieństwo interesów klasowych w 1789 r.«, St. Nerarda »Rozwój głosowania powszechnego w Niemczech« lub wreszcie przekład rosyjskiej »pracy« Zwiezdowicza p. t. »Ustrój państwowy i stronnictwa polityczne w Europie zachodniej — Austrya«, która jest lichą kompilacyą, polującą na zupełne nieuctwo czytelników. Dość powiedzieć, że charakterystyka stronnictw austryackich opiera się na *Arbeiter Zeitung!* Stosunki polskie przedstawione zostały w sposób, urągający wszelkim pojęciom o prawdzie i bezstronności. Jeszcze w r. ub., pisząc z tego miejsca o *Bibliotece,* wskazywaliśmy na błędny jej kierunek, choć prac większej wartości i prawdziwie naukowych było w niej więcej. O ostatnim roczniku ani tego nie można powiedzieć, pominąwszy już nawet tę okoliczność, smutną bądź co bądź, że karmiono czytelników przekładami z obcych języków w stosunku trzech czwartych.

Tenże sam kierunek, z silną przymieszką judofilstwa i socyalizmu, utrzymywała i nadal krakowska *Krytyka,* mieniąca się jedynym »miesięcznikiem postępowym« w Galicyi. Rodzaj tego »postępu« charakteryzują wybornie artykuły tego rodzaju, jak d-ra Wł. Gumplowicza »Socyalizm a państwo«, L. Płochockiego »Polska partya socyalistyczna«, I. Moszczeńskiej »Psychologia i technika obecnej rewolucyi« a nadewszystko artykuły wstępne redaktora *Krytyki,* p. Feldmana, który przybrawszy na się maskę Polaka, ze stanowiska socyalistyczno-żydowskiego porusza będące na dobie n a s z e narodowe zagadnienia. Dość przejrzeć takie artykuły, jak »Wrażenia z Warszawy« lub »Za naszą i waszą wolność«, ażeby nie wzdrygnąć się z oburzenia na widok bijącej z nich przewrotności. Tak tylko wróg Polski może pisać, nie — przyjaciel, nie syn! Oplwać można wszystko, ale są rzeczy, których zjadliwa ślina splamić nie jest zdolna! — powinien p. Feldman pamiętać. A już wprost powadze dziennikarskiej ubliża rewolwerowy strzał, jaki wymierzył p. Feldman w artykule, nadającym się doskonale do pisemek brukowych, p. t. »Pamflet prof. Tretiaka«.

Z pomiędzy artykułów, pisanych bezstronnie, wymienię: M. Sokolnickiego »Upadek polskiej myśli historycznej«, d-ra K. Rakowskiego pamiętniki »Z więzienia pruskiego«, J. Tennera »Teatr miejski we Lwowie« (jest to piękny i treściwy przegląd sztuk, wystawionych w sezonie 1904/1905), oraz Izy Moszczeńskiej »Podwójna moralność. — Kobiety upadłe«, którą to kwestyę autorka nie po raz pierwszy porusza.

Z belletrystyki oryginalnej na uwagę zasługują: D-mol »Zmrok«, M. Zycha »Echa leśne«, L. Staffa »Pieśni śpiewane sobie i nocy«, Wł. Orkana »Powstańcie smutni...«, W. Brzozowskiego »Z epizodów« i St. Przybyszewskiego »Odwieczna baśń«; z tłumaczonej zaś: utwory Maeterlincka w przekładzie Br. Ostrowskiej i z sanskrytu »Nal i Damajanti« przez A. Langiego.

Przeglądy czasopism i dział recenzyjny przedstawiały się bardzo słabiutko i mizernie. Przedewszystkiem rzeczy polskich, jakby nie było wcale godnych omówienia, natomiast na pierwszy plan wysunięto rzeczy niemieckie, a przedewszystkiem socyalistyczne. Za to duch, jaki z nich wionął, odpowiadał i dostrajał się w zupełności do tonu naczelnych artykułów *Krytyki*.

Z równą dawniejszej starannością i zapobiegliwością był redagowany popularny warszawski miesięcznik p. t. *Ognisko*, miejscami nawet podawał wcale udatne ryciny. Najważniejszą jego zaletą był dobór artykułów, pisanych przez pierwszorzędnych naszych uczonych i publicystów, a nadto ich rozmaitość. I tak z prac historycznych mamy tutaj: prof. d-ra W. Czermaka »Z życia Jana Sobieskiego«, L. Lepszego »Zamek na Wawelu, jego historya i jego odnowienie«, W. Gomulickiego »Z przeszłości i uliczek warszawskich«, d-ra K. Estreichera »Pięćset lat istnienia największej naszej biblioteki«; z tyczących się historyi literatury: L. Rydla o Arystofanesie, Gomulickiego »Złotousty« (o Skardze, jako mowcy, pisarzu i obywatelu), z podróżniczych: G. Biernackiej »Nad morzem Białem«. Inne są również na czasie i pochodzą z rozmaitych gałęzi wiedzy, żeby wymienić: prof. d-ra Wł. Czerkawskiego »Ze statystyki wojen«, prof. d-ra Wachholza »O obłąkaniu i jego przyczynach«, A. Zakrzewskiego »Język międzynarodowy Esperanto«, d-ra J. Lipskiego »Panowanie tłumu« lub A. Suligowskiego »Szkolnictwo początkowe Warszawy«.

Dział belletrystyczny był słabszy, gdyż oprócz wierszy Or-Ota i kilku tłumaczonych nowelek (np. L. Tołstoja »Trzej synowie«), reszta nie przedstawia większej wartości. W każdym zeszycie oprócz rozmaitości były omawiane sprawy kobiece przez E. Żmijewską.

Długo odczuwanej potrzebie stało się nareszcie zadość. Komu wiadomo, jak mało my, Polacy, zajmowaliśmy się naszymi pobratymcami i jak wielka była u nas nieznajomość spraw słowiańskich, ten z pewnością powita z zadowoleniem nowo z inicyatywy krakowskiego Klubu słowiańskiego powstały pod redakcyą d-ra F. Konecznego miesięcznik *Świat słowiański*. Ma on już swego poprzednika w czeskim

»Slovenskym přehledzie«, ale jest od niego i objętością i programem daleko obszerniejszy. Główny nacisk położył pieczołowity redaktor na sprawy ogólno-słowiańskie i na stosunek Polaków do pokrewnych narodów. Stąd też można było czytać arcyciekawe listy otwarte w kwestyi sporu polsko-rosyjskiego L. F. Pantelejewa do prof. M. Zdziechowskiego, poinformować się o »Słowiańskim interesie w sprawie polskiej« i o »Ruchu katolickim w Słowiańszczyznie«. Bardzo interesującym był artykuł d-ra Z. Gargasa p. n. »Świat słowiański a życie realne«; czysto historyczną rzeczą była rozprawa d-ra St. Zakrzewskiego p. n. »Polacy nad Łabą w XII wieku«; o Rosyi informowały artykuły: A. Grzymały Siedleckiego »Z prawosławnych sekt«, K. Żegoty »Finanse rosyjskie a wojna«, B. Kutyłowskiego »Ziemstwa rosyjskie i rola ich polityczna« i t. p. Z natury rzeczy prac, dotyczących Rosyi, było najwięcej, że tylko jeszcze przytoczymy rzeczy: Siedleckiego o Pypinie i K. Morawskiego »Rosya a Prusy«. O życiu politycznem, naukowem i ekonomicznem Serbów łużyckich i Słowaków pisał prof. R. Zawiliński, o Słoweńcach dr. J. Leciejewski, o Rusinach B. Łepki, o Czechach w Wiedniu G. Smólski, o »Stosunkach agrarnych w Bośnii i Hercegowinie« dr. Z. Stefański, wreszcie o ś. p. ks. biskupie J. J. Strossmayerze p. A. Jabłonowski. Nie są to wszystkie artykuły, tylko najważniejsze. Poza tem wyczerpująco były omawiane sprawy słowiańskie w przeglądach prasy codziennej, bardzo sumiennych i treściwych, w kronice, własnych korespondencyach i notatkach. Dział recenzyjny przedstawiał się wcale udatnie. Trudno nakoniec nie wspomnieć zasługi p. K. Wołodkowicza, dzięki którego poparciu wydawnictwo *Świata słowiańskiego* mogło być podjęte. Oby tak szczęśliwie zapoczątkowane pismo krzewiło wszędzie miłość, zgodę i jedność i znalazło posłuch u wszystkiej braci słowiańskiej od Bałtyku i Wełtawy po Wołgę i Bałkany!...

Nowym miesięcznikiem, poświęconym sprawom społecznym, katolickim, nauce, sztuce i literaturze, jest *Hasło,* które miało zacząć wychodzić w grudniu w Paryżu, pod redakcyą znanego z kilku tomików poezyi, p. Stanisława Jasińskiego. Będzie ono organem stowarzyszenia młodzieży polsko-katolickiego »Związku koleżeńskiego«. Dotąd — piszę te słowa w styczniu — o pismie tem głucho.

* * *

Najwspanialszem, a zarazem najbogatszem w treść pismem obrazkowem jest stary *Tygodnik illustrowany.* Pod względem zewnętrznej

formy i technicznego wykonania nie dorównuje mu żadne z wychodzących czasopism tygodniowych. Przedewszystkiem na pochwałę zasługuje zarzucenie dawniejszego zwyczaju, t. j. równoległego niemal drukowania dwu dłuższych powieści. W ostatnim roczniku ujrzeliśmy z zadowoleniem, że pomieszczono tylko jedną obszerniejszą powieść Wł. Reymonta »Chłopi«. Skutkiem tego zyskano sporo miejsca na zapełnienie łamów pisma krótszemi powieściami i nowelami, których dawniej bywało mniej. Reforma taka przyczyniła się znamienicie do urozmaicenia *Tygodnika.* Z pomiędzy nowel wyróżniają się zwłaszcza: Rodziewiczównej »Kamienie«, W. Sieroszewskiego urywek z powieści p. n. »W obronie gejsz«, St. Dąbrowskiego »Sama« i »Kartki z notatnika« Reymonta. I to trzeba podnieść, że zasadniczo nie drukowano tłumaczeń, dając je w osobnych dodatkach książkowych. Wyjątek to pomiędzy wszystkimi naszymi tygodnikami. Poezya, w zbyt skromnych, jak na *Tygodnik,* dozach podawana, miała swoich przedstawicieli: w Tetmajerze, Felicyanie, Adamie M-skim, H. Zbierzchowskim, Balińskim, Or-Ocie, Glińskim, J. St. Wierzbickim, Gomulickim i Bukowińskim, żeby nie wymieniać podrzędniejszych. Natomiast bardzo obficie był zapełniony dział, obejmujący studya historyczne, literackie, społeczne oraz artykuły bieżące. Różnorodność też kwestyi, jakie w nich roztrząsano, była jak największa. Obok »Naszej baśni dziejowej« d-ra W. Sobieskiego, mieliśmy K. Rakowskiego »Atmosferę nerwowości«, J. Kleczyńskiego »Odrodzenie budownictwa polskiego«, obok »Książek polskich w Petersburgu« d-ra K. Estreichera i rzeczy I. Chrzanowskiego o Rejowem »Zwierciedle», J. Okszy »Wychowanie kobiet i pensye warszawskie« oraz trafnie pochwycone przez I. Matuszewskiego uwagi »O krytyce polskiej« i »Przyczynek do psychologii socyalizmu«, obok A. Kraushara »Dawnych pałaców warszawskich«, — Gostomskiego »Kulturalnych wrogów kultury«, Chrzanowskiego »O reformie szkolnej« i B. Koskowskiego »Ilu jest hakatystów?«. Tak samo rozmaitość gościła stale w artykułach bieżących, w których między innymi zajmowano się: kościołem P. Maryi w Poznaniu, księdzem w polskiej poezyi i powieści, wojną na Dalekim Wschodzie, Polakami w głębi Niemiec, kwestyą litewską, katolikami chińskimi w Mandżuryi, oświęcimskim Zakładem Salezyanów i bardzo wielu innemi sprawami, wziętemi z doby obecnej. Ponadto chwila bieżąca znajdowała jak najszersze uwzględnienie w illustracyach i życiorysach wybitniejszych osobistości, w kronikach tygodniowych Bol. Prusa, w sprawozdaniach z ruchu teatralnego polskiego i obcego, z salonów artystycznych, sztuki stosowanej,

sztuk graficznych, a dalej w bardzo bogatej illustrowanej kronice bieżącej światowej, w informacyach politycznych i w licznych korespondencyach. Wszystko to stałe rubryki każdego numeru *Tygodnika.* Co się tyczy wartościowego i treściowego wyboru w reprodukcyach dzieł sztuki, to istotnie trudnoby mu cokolwiekbądź zarzucić. Przesuwa się tu cały szereg artystów z Stachiewiczem (Chrystus błogosławiący), Kurzawą (Geniusz), Malczewskim (Szopka), Fałatem (U kramarza w Częstochowie), Bagińskim, Batoskim, Boeklinem, Brandtem, Grottgerem, Gembarzewskim, M. Gierymskim, Kowalskim, Okuniem, Mordasewiczem, Żmurką, Ropsem, Siemiradzkim, Kamieńskim, Klingerem, Krzeszem, Pawliszakiem, Raszką, Rapackim, Welońskim, Styką (U stóp krzyża), Piątkowskim, Wodzinowskim i Tetmajerem, żeby już nie przeciągać dalej wyliczania imion. Sztuka polska przecież dzierżyła prym przed obcą. Słowem *Tygodnik* stał pod każdym względem na czele naszych tygodników illustrowanych.

Drugi, czysto literacko-naukowym sprawom poświęcony, tygodnik *Wędrowiec,* przeznaczony dla szerszych, od poprzednio omówionego, warstw, trzymał się w tonie więcej popularnym, choć, co się tyczy zakresu pisma, był on taki sam, jak w *Tygodniku illustrowanym.* Dział belletrystyczny prowadzony był z widoczną starannością o to, ażeby podawać czytelnikom jak najwięcej urozmaiconą treść. To też unikano drukowania dłuższych powieści, dając natomiast wiele krótkich nowel i opowiadań. Powieści dłuższych było dwie, a mianowicie: L. Stasiaka »Malarze« i G. Zapolskiej »Rajski ptak«. Z pomiędzy zaś nowel zasługują na wzmiankę: fragment historyczny W. Gąsiorowskiego p. t. »Odwrót« i M. Rodziewiczównej »Tryumfator«. O ile belletrystyka oryginalna była słabo reprezentowana, o tyle tłumaczona została silniej zastąpioną, nawet wcale niepośledniemi nazwiskami, żeby tylko wymienić: O. Mirbeau, ks. Sandora Gjalskiego, A. Czechowa, J. Vernego, M. Gorkiego i A. Francea. Rozmaitości zatem dość. Dział poezyi, niezbyt jednolicie prowadzony, miał walnego przedstawiciela w Or-Ocie, a pozatem: w Gomulickim, B. Hertzu, Wł. Bukowińskim, K. Lubeckim i Z. Różyckim. Nadmienić trzeba, że wiele utworów tu drukowanych, nie zasługiwało na ogłoszenie w szanującem się pismie! Przechodzimy do prozy. Wierny tytułowi, pod jakim wychodzi, pomieścił *Wędrowiec* parę wcale udatnych opisów podróży, z których wyróżniają się: znanego przyrodnika J. Chmielowskiego »W Tatrach«, J. Krzyżanowskiego »Z nad brzegów morza Żółtego« i J. Warszawskiej »Z nad Nilu«. Dział studyów naukowych zasługiwałby na większą od dotychczasowej

dbałość i na rozszerzenie. Z prac w niem drukowanych bardzo korzystnie przedstawiają się: notatki L. Uziębły »O Kuryerze Litewskim i czasopismach w Wilnie«, artykuł M. Massoniusa o Schillerze, Wł. Korotyńskiego »Kara śmierci w dawnej Polsce« oraz L. Méyeta »Słówko o Erazmie Słowackim, stryju Juliusza«. Nieporównanie obfitszym był *Wędrowiec* w artykuły treści społecznej, w których zajmowano się między innymi: kwestyą wychowania estetycznego, wychowania dziewcząt, źródłami naszej nerwowości, przemysłem a potrzebami intellektualno-fachowymi, nadużyciem słuszności, sprawą unormowania warunków gospodarstwa wiejskiego, partyami politycznemi w Japonii i całym długim szeregiem najróżniejszych, a bardzo interesujących spraw, tak zwanych »na dobie«. O ile przyjemnie jest nam chwalić pewne działy tego tygodnika, o tyle przykro wskazywać niedostatki, a zwłaszcza nierównomierność w traktowaniu poszczególnych działów. I tak: dział, poświęcony zagadnieniom literatury i sztuki, był traktowany wprost po macoszemu, że dorywczość w nim oraz przypadkowość razi wprost oczy. Dobre są tutaj zaledwo artykuły: H. Piątkowskiego o Brandcie i o znaczeniu dziejowem A. Grottgera, bo artykuły innych autorów są tak płytkie, że nie nadają się do łamów poważnego tygodnika, za jaki niewątpliwie uważamy *Wędrowca;* tak samo dział sprawozdań teatralnych i artystyczno-literackich był aż nadto skąpy i mizerny. Całości każdego zeszytu towarzyszyły rubryki: rozmaitości, kroniki bieżącej, opisu reprodukowanych illustracyi oraz feljetonu. Ryciny reprodukowane w *Wędrowcu,* odznaczają się troskliwym doborem treści. Z artystów przesunęło się w omawianym roczniku całe mnóstwo z Matejką i Grottgerem na czele. A dalej mamy: A. Wierusz-Kowalskiego, Fr. Kostrzewskiego, K. Pilattiego, Pawliszaka, H. Siemiradzkiego, Andriollego, Harasimowicza, L. Koehlera, Winterowskiego, Brandta, J. Chełmońskiego, W. Kotarbińskiego, Męcinę-Krzesza, Wygrzywalskiego, Czachórskiego, Żmurkę, Welońskiego i w. i. Obcych artystów jest też dosyć, przewaga jednak leży po stronie polskich. Poza tem podano wiele portretów, pomników i t. p. w objaśnieniu chwili bieżącej. Na pochwałę zasługuje zwłaszcza ten numer, w którym reprodukowano podobizny kilku sal krakowskiego Muzeum Narodowego.

Jakoś nie wiedzie się stale *Tygodnikowi polskiemu* od szeregu lat. Bo chociaż pismo to stanowi wcale pożądaną lekturę dla ludzi o t. zw. »familijnem« usposobieniu i kulturze, przecież nie zdołało sobie zjednać tylu abonentów, iżby żywot jego biedny był jako tako zabezpieczony. To też życie jego suchotnicze więdło i więdło coraz

to bardziej, aż zgasło w drugiej połowie ub. r. — z braku czytelników. Ma ono — według zapowiedzi — zacząć na nowo wychodzić. Dobrzeby to było, gdyby zapowiedź ta się sprawdziła, boć przecież trzy pisma popularno-naukowo-literackie na całą Polskę, to wcale nie zbytek jakiś. A niezawodnie każde z nich, choć wyszydzane przez »übermenschów«, jest stokroć pożyteczniejsze od *Kurjera niedzielnego!* A przecież tygodnik wspomniany wychodzi w wspaniałej szacie zewnętrznej, chociaż w nim samym próżnia bezdenna.

Tygodnik p. t. *Ziarno*, mniejszy objętością od poprzedniego, miał ten zakres i też same uprawiał cele. Zadaniem jego było użyczyć strawy duchowej w duchu przystępnym jak najszerszym warstwom czytelników. Nadaje się on też doskonale na lekturę dla młodzieży wyżej lat 14-stu, bo i treść jego jest dla niej dostępna i stosownie dobrana i illustracye odpowiednie temu wiekowi i złączonemu z nim rozeznaniu i upodobaniom. Prosty wykład rzeczy oraz dobór treści zalecić są go wstanie jak najmocniej, zwłaszcza gdy nie mamy pism wcale dla starszej młodzieży. Wartość tego tygodnika jest bez porównania większa od zmarłego *Tygodnika polskiego* i staranność w doborze materyału widoczniejsza od razu, bo tutaj uwzględniono równocześnie wszystkie gałęzie wiedzy i większą kierowano się pieczołowitością o belletrystyczny dział, który sprawia, jeśli weźmiemy pod uwagę cel tego czasopisma, wcale dodatnie wrażenie. Nie od rzeczy byłby większy nacisk na dobór w dziale poezyi, bo chyba w czasie dzisiejszej grafomanii na polu »rymotwórstwa«, nie tak trudno znowu o zacniejsze od pomieszczonych utwory. Dział illustracyjny dość obfity, tylko wykonanie jego techniczne szwankuje cokolwiek. Tutaj zdałaby się trochę troskliwsza opieka, zwłaszcza, że w Warszawie nie brak zakładów, wytrawiających klisze artystycznie, tak, że nie ustępują one bynajmniej analogicznym zagranicznym zakładom. Wreszcie, choć wcale oto nieproszony, radziłbym poprawić się w dodatkach książkowych. Czyż u nas wytwórczość literacka spadła do poziomu groszowego, warsztatowego wyrobnictwa? Nie wątpię, że redakcya zechce uwzględnić tych parę życzliwych uwag, nie pochodzących bynajmniej z maniackiej u niektórych chęci ganienia. Na tem zyska tylko poziom pisma. Z belletrystyki, jaką pomieściło *Ziarno*, wymieniamy: L. Stasiaka »Wigilia Bożego Narodzenia« i »W zapadłym szybie« oraz A. Krzyżanowskiego »Za cudze winy«. Z pomiędzy opisów podróży na uwagę zasłużyły przedewszystkiem W. E. Zapałowskiego »Powiat Będziński« i »Powiat iłżecko-opatowski« (obie

obszerne i bardzo cenne monografie krajoznawcze), a dalej ks. L-ja »Książęta Koreccy i zamek w Korcu«, W. Daleckiej »Świteź« i szkic historyczny »Z dziejów Humania«. Z polskich artystów, których obrazy reprodukowano, znajdujemy: Grottgera, Matejkę, Siemiradzkiego, Wodzinowskiego, Gierymskiego, Podkowińskiego i Ryszkiewicza. Przeważnie reprodukowano rzeczy obce.

* * *

Na czele warszawskich nieillustrowanych a pseudopostępowych tygodników stoi trzeci rok dopiero wychodzące *Ogniwo*. Warto też przyjrzeć się jego historyi, bo ma ją już ono mimo krótkiego istnienia. Kiedy przed trzema laty zostało powołane do życia, w odezwie programowej zaznaczono wyraźnie, co było już wówczas kłamstwem, że pismo to będzie bezpartyjnem. I to właśnie ściągnęło doń z początku wielu zasłużonych uczonych, którzy atoli widząc, jak ich wyprowadzono w pole hasłem umiarkowanego postępu i bezpartyjności, wnet cofnęli się od dalszego współpracownictwa. W opinii jednak ludzi, niewglądających bliżej w rzecz samą, pismo to stało wysoko, błyszcząc nadal blaskiem imion, nie mających z niem nic wspólnego. Już w r. ub. wykazywaliśmy tendencye *Ogniwa*. Wówczas otrzymaliśmy z Warszawy parę listów, orzekających, że wykazanie przez nas socyalistyczno-judofilskiego kierunku tego tygodnika jest nie mniej ni więcej — tylko prostą d e n u n c y a c y ą. A oto co okazało się po ogłoszeniu manifestu wolnościowego? *Ogniwo* teraz bez ogródek wyrzekło się swojej bezpartyjności i na swym szyldzie wywiesiło otwarcie sztandar socyalistyczno-żydowski. Kto zatem — pytam — był przed rokiem kłamliwym informatorem czytelników?... Tygodnik ten miał i w r. ub. wszystkie wady ogółu pism pseudopostępowych. Chorował przedewszystkiem stale na brak artykułów samodzielnych, posługując się przeważnie sprawozdaniami z bieżących wydawnictw. Pół biedy byłoby, gdyby te recenzye stały na wysokości kilku artykułów p. Drogoszewskiego i odznaczały się takąż samą bezstronnością. Co jednak rzec, jeśli walnym referentem literatury p o l s k i e j jest tu p. F e l d m a n ? ! Jeśli on w dodatku przedrukowywał tylko ustępy ze swojej krytyki literackiej? Jakgdyby ustępy te przedrukowane stanowiły klejnot stylu i nauki oraz zmysłu krytycznego p. Feldmana! Na innem miejscu postaramy się dowodnie wykazać, że ten zmysł nie jest czem innem, jak nieuctwem i partyjną nienawiścią, a może i rasową. A okaże się wówczas też i to, że jest zasadniczy błąd w na-

turze żydowskiej, który wyklucza możliwość naukowego krytycyzmu u tego plemienia. Stąd poszło, że ludzie niewątpliwego talentu, jak: Wyspiański, Schnitzler, Klinger urośli w oczach Żydów do miary geniuszów! Co powiedzieć, jeśli cały niemal dział naukowy był referowany nie przez ludzi znanych w nauce, a natomiast przez pp.: Szymonów Rundsteinów, Jakubów Lewkowiczów, Benedyktów Bornsteinów, M. Posner-Garfeinowe i jak się tam dalej zowią. Belletrystyka w rzeczach oryginalnych i tłómaczonych mizerna i skąpa. Na uwagę zasługują jedynie: »Wspomnienia« Wł. Orkana, »Moje służby« C. Walewskiej i »Braciom pieśniarzom« Konopnickiej. Po co jednak drukowano »Czerwony śmiech« Andriejewa, kiedy mamy już dwa jego przekłady? — trudno odgadnąć. Wogóle tłómaczone rzeczy przeważają tutaj nad polskiemi, choć to niby polskie czasopismo! Sprawy zasadnicze zawsze w tonie socyalistyczno-judofilskim omawiane, znajdowały natomiast jak najuprzejmiejsze przyjęcie i uwzględnienie. Pełno ich w rubryce przezwanej »fejletonem«, jeszcze więcej »w życiu społecznem« i »odgłosach«. Inne drobniejsze działy roją się wprost od nich. I jeszcze jedno! Oto widocznie redakcya sądziła, że judofilstwo mimo wszystko zasługuje na jak najszersze uwzględnienie i widocznie zbyt mało było objawów, — zdaniem redakcyi, — kiedy nie omieszkała zaprowadzić rubryki, poświęconej »sprawom żydowskim«. Na szczęście o sprawach obco rasowych nie pisał ani jeden Polak, choć o literaturze polskiej referowali tu nie-Polacy przeważnie. Aleć, mimo wszystko Warszawa daje się brać na kawał hasłom *Ogniwa*. Ciekawe to choć zarazem bardzo smutne!

Satellitami tego najmłodszego pseudopostępowego organu, który zdystansował konsekwencyą w przeprowadzeniu programu na łamach swoich dawniejsze od siebie tygodniki warszawskie tegoż samego pokroju, były: *Prawda, Przegląd Powszechny* oraz *Głos*, różniące się między sobą tylko nieznacznymi odcieniami w zabarwieniu. Zresztą szły jednym torem wytrwale, jak za lat dawniejszych.

Pierwszy z nich, — *Prawda* postępowo-socyalistyczna, z pewną domieszką radykalizmu, grupowała w gronie swoich stałych współpracowników, z nielicznymi wyjątkami, siły żydowskie. To też nie dziw, że wonieją jej artykuły zapachem cebuli, w treści marne i płaskie, obliczone na łatwowierność partyjnego czytelnika, przyjmującego bezkrytycznie na ślepo nową ewangelię, mieszczącą się w artykułach politycznych i niepolitycznych, szerzące wokół zaślepienienie i niewyrozumiałość bezwzględną dla wszystkiego, choćby i dla rzeczy prawdzi-

wie dobrych i pożytecznych, jeśli tylko one nie zgadzają się z góry postawioną maksymą, poza którą reszta nic nie warta. Judofilstwo widoczne tu na każdym kroku, pogarda (nie powiem już wyraźna niechęć) dla wiary, wreszcie liberalizm radykalny w swoim rodzaju, będący zlepkiem liberalizmów rozmaitych, a więc żydowskiego, rosyjskiego itd. Prac bezstronnych bardzo znikoma ilość, ograniczająca się w przeważnej części sprawozdaniami z bieżącej literatury naukowej i pięknej. Ale ponad wszystkiem góruje polityka, partyjność, nieprzebierająca w środkach bez względu na to, czy one godziwe, czy nie, obojętna i głucha na prawdziwość, ba nawet na prawdopodobieństwo czynionych przeciwnikowi zarzutów. Jaką jest tedy *Prawda?* Żal bierze ferować taki wyrok, boć przecież w dzisiejszej tak ważnej dobie, wśród tylu sprzecznych i błędnych zapatrywań i kierunków, godziłoby się mieć Królestwu bodajby jeden tygodnik prawdziwie postępowy, nie paczący do reszty zasad, wśród których panuje istna kołowacizna. Boć nawet nie chce się uczynić przypuszczenia, ażeby zasady takie, jakiemi przesiąkły wszystkie pseudopostępowe tygodniki warszawskie, były wyznawane przez sfery postępowe p o l s k i e. Nie znając innych, nie możemy w tej mierze przesądzać na ślepo sprawy, choć judofilski kierunek pism nakazywałby przypuszczać, że tak jest, że te inne sfery lubują się w mętnych pojęciach, wrogich niejednokrotnie polskiemu społeczeństwu.

Prawdziwą niespodzianką było, że dawniejszy *Przegląd tygodniowy* nie potrafił zdobyć się bodaj na tyle przyzwoitości, ażeby uszanować ogólnie praktykowaną zasadę i korzystając z tego, że między Rosyą a Austryą nie istnieje konwencya, przedzierżgnął się z początkiem ub. r. w *Przegląd powszechny*, jakkolwiek niewątpliwie było mu wiadomem, że pismo tej nazwy wychodzi od szeregu lat w Galicyi. Pocóż stwarzać zamęt wśród czytelników? A może znudziła się już czytelnikom nazwa pisma? Równocześnie ze zmianą nazwy zmienił *Przegląd* format i zewnętrzną szatę przyozdobił. O tym tygodniku da się powiedzieć to samo, co o *Prawdzie*, z tą tylko zmianą, że przeważał w nim kierunek socyalistyczny. Tradycya *Przeglądu tygodniowego* przeszła w spadku i na pismo pod zmienioną nazwą.

Wreszcie *Głos* od czasu, kiedy wciągnięte zostały do współpracownictwa w nim siły młodsze, ożywił się znacznie, modyfikując cokolwiek dawną barwę radykalną, która jednakowoż dotąd jest jeszcze wyraźną. Judofilstwo, podobnież jak w omówionych tygodnikach, daje się odczuwać, chociaż — zaznaczyć powinno się, — że nie rozpano-

szyło się tak bardzo w *Głosie*. Wogóle kierunek polityczno-społeczny *Głosu* jest chwiejny i zamglony, fluktując na różne strony, jakby nie wiedziano, czego się właściwie trzymać?

* * *

Najobszerniejszem pod względem programu, oraz najbogatszem w treść pismem kobiecem jest *Bluszcz*, który od czasu objęcia redakcyi przez M. Gawalewicza, zmienił się nie do poznania na korzyść. Wszystkie jego działy były traktowane równomiernie, dobór zaś kwestyi poruszonych i autorów nie pozostawiał nic do życzenia. Główną wagę położono, za co pełne uznanie należy się, na artykuły o postępie w pracy, dobrobycie i wykształceniu kobiety, oraz na związane z tem ściśle zagadnienia, jakoteż na rzeczy traktujące o wychowaniu moralnem, życiu społecznem i rodzinnem. Kwestya emancypacyi kobiet utrzymana tu była na właściwem stanowisku, poważnem, nie obliczonem wcale na efekt. Za to problemy, poruszone w *Bluszczu*, były omawiane rozsądnie, z prawdziwem pogłębieniem przedmiotu. Widać to z całego szeregu świetnie uargumentowanych artykułów, czy w nich mówi: ks. Wł. Kirchner o zakładzie Kuźnickim, L. Reinschmidt o udziale kobiety w samorządzie, Wł. Zarembina o pracy nocnej kobiet, czy K. Szaniawska o dobrem wychowaniu, Z. Seidlerowa o psychologii dziecka, lub o psychologii i o pedagogice pracy, A. Grudzińska o dzieciach wyjątkowych, o lalkach i zabawkach, lub o zwyrodnieniu, czy J. Strokowa o szczęściu dziecka, o żonach mężów pracujących, czy M. Cz. Przewóska w szeregu przepięknie pisanych artykułów o ruchu kobiecym, W. Zarembina o tem, jak zachować siły w wieku sędziwym, W. Z. o wychowaniu dziecka głuchoniemego i ciemnego, czy wreszcie z licznych drobnych prac, poruszających kwestye aktualne zawsze, jak np.: kokieteryę, wpływ kobiecy, małżeństwa wśród inteligencyi, rodzinę i szkołę, straszenie dzieci, kształcenie dzieci i całe mnóstwo tym podobnych. Widoczne jest z nich wszystkich szczere zajęcie się i umiłowanie idei, by stopień kultury kobiet naszych podnosił się z dniem każdym coraz to wyżej. Hygienie, tak u nas zapoznawanej, poświęcono też sporo miejsca. I trzeba przyznać, a przyznajemy to z radością, że artykuły tej kategoryi były pisane z głębokiem znawstwem, ale też przystępnie tak, by nasze matki i żony, mogły zaczerpniętemi z nich wiadomościami naprawiać błędy, jakich tyle popełnia się w fizycznem wychowaniu młodzieży. Dowiadujemy się między innemi stąd o: hygienie ducha, rozwoju fizycznym dziecka i krzywicy

(Dr. J. Brudziński), o powstawaniu bocznego skrzywienia kręgosłupa w czasie szkolnym (Dr. X), o wychowaniu i chorobie (Dr. Wł. Chodecki), wreszcie o nerwowości i neurastenii (Wł. Zarembina). Również doskonale stosowały się i harmonizowały z programem pisma prace literackie. Mieliśmy tutaj przedewszystkiem: obszerne studyum społeczne J. Terpiłowskiej p. n.: »Historya kobiety«, odczyt Dr. H. Nussbauma o sercu, ks. Wł. Kirchner poruszył sprawę służących wobec nowoczesnego rozwoju cywilizacyi, a W. Gostomski »Bezstylowość życia współczesnego«. Dział belletrystyczny był bardzo bogaty i doborowy. Z powieści wymieniamy: M. Rodziewiczównej »Joan VIII. 1—12«, T. Jeske-Choińskiego »Sąd Boży«, Z. Morawskiej »Jakżem szczęśliwy«, urywek z większej całości E. Żmijewskiej p. t. »Płomyk« i M. Łopuszańskiej trzy »Obrazy z przeszłości niewiast«. Staraniu o piękne opisy podróży należy oddać uznanie. Rzadko bowiem nadarzy się czytać tak malownicze szkice, jak: Jana Łady »Piórem i ołówkiem« i A. Tripplinównej »Z pobytu na dalekim szlaku«. Zdałoby się natomiast wyłożyć więcej dbałości o utwory poetyckie, dość jest bowiem pomiędzy nimi słabych. Sprawy kobiece były jeszcze szeroko omawiane w fejletonach: K. Glińskiego, A. Gliszczyńskiego i K. Laskowskiego, w przeglądach literacko-artystycznych (z osobną rubryką poświęconą muzyce) i w kronice działalności kobiecej. Ponadto pomieszczał *Bluszcz* kronikę bieżącą, drobne wiadomości, a w osobnych dodatkach dawał rysunki ubiorów i robót, przepisy gospodarskie, kuchenne itp., wszystko to bardzo umiejętnie redagowane. Ze względu na to, że tygodnik ten ma ze wszystkich pism kobiecych najrozleglejszy program, że dalej podaje treść doborową pod każdym względem, zasługuje, żeby nasze panie zarzuciły w kąt analogiczne pisma niemieckie, które w Galicyi tak się rozpanoszyły! Zwłaszcza, że z *Bluszczu* bezwarunkowo więcej, niźli z tamtych, odniosą pożytku.

Drugie pismo kobiece, warszawski *Tygodnik mód i powieści* stał we wszystkich względach nieporównanie niżej od *Bluszczu*. Przedewszystkiem poziom kulturalny jego był zgoła odmienny i mógł oddziaływać tylko na warstwy mniej wykształcone, których intelligencya nie jest jeszcze odpowiednio rozwinięta, co znać nietylko z dania przewagi belletrystyce oraz modom, lecz i z tonu popularnego aż nadto, w jakim były pisane artykuły. Ponadto sam dobór tych artykułów pozostawia niejednokrotnie wiele do życzenia. Nie jest też wcale pożądaną rzeczą, jaka tutaj stale się powtarza, iżby artykuły były wytworem kilkunastu tylko osób, gdyż przyczynia się to

niemało do jednostronności poglądów. Jak nadmieniono, główny nacisk położono na dział powieściowy, w myśl tytułu, jaki ma ten tygodnik. Jeśli już tak koniecznie postanowiła redakcya, to powinnaby się bodaj starać, ażeby pomieszczane powieści przedstawiały prawdziwą artystyczną wartość. Tymczasem przypatrzywszy się bliżej, widzimy, że na ogół 19 powieści i nowel, zaledwie sześć ma większą lub mniejszą wartość, a mianowicie: Tetmajera »Zbójnicy« oraz »Pojęcia religijne dawnych górali«, G. Daniłowskiego »Laureat«, Z. Wójcickiej »Młodzieniec z Sais«, H. Ceysingerównej »Gość« i T. Jeske-Choińskiego »Klara z Mikorzyna«. Reszta, to rzeczy albo bezwartościowe, albo liche tłomaczenia. Ażeby uporać się z zarzutami odrazu, dodam, że sprawozdania literackie były traktowane po macoszemu i niedbale. Lepiej już jest z artykułami »treści różnej«, pomiędzy którymi można napotkać i wcale udatne w rodzaju: H. Ceysingerównej »Szkoła nienormalnych dzieci«, T. Męczkowskiej »Rękojmie w życiu publicznem«, R-a »Wybór zawodu«, T. M. »Społeczność w dorobku«, H. C. »Znaczenie i rola szkół prywatnych« lub T. M. »Tolerancya przekonań«. — Jeszcze lepiej przedstawia się rubryka, zaznajamiająca z obcym ruchem umysłowym, rozbierając piśmiennictwo, odkrycia i wynalazki, naukę, prasę itp. objawy życia umysłowego. — Dział natomiast, traktujący o »świecie kobiecym«, jest stanowczo za szczupły, choć przyznać trzeba, że w kronice napotykamy jego uzupełnienie. — W artykułach, należących do »Poradnika dla kobiet«, tylko w dziale hygieny i wychowania napotykamy na prace wartościowe, np.: J. Kucia »Nerwowość«, A. Miecznika »Nauka jest pracą i obowiązkiem« oraz »Swoboda dzieci« i K. Stattlerównej »Poczucie koleżeństwa u małych dzieci« oraz »Ortografia w świetle pedagogii«. »Wskazówki i rady« bowiem są pisane aż nadto przystępnie i traktują o powszechnie znanych rzeczach. Na »radach gospodarskich« p. P. Szumlańskiej i »korespondencyach« paryzkich o ubiorach nie rozumiemy się — niestety — więc o nich nic nie możemy powiedzieć. — Oprócz wymienionych już na wstępie 19-stu powieści, drukował tygodnik ponadto 5 powieści i nowel w osobnym dodatku, dołączanym do każdego zeszytu. Z nich była jedna oryginalna A. Miecznika »Koniec królestwa niewiast«. Reszta, to tłómaczenia z francuskiego. — Do każdego numeru dodawano też arkusze mód. — Wobec tego, co powiedzieliśmy, *Tygodnik mód i powieści* nie może wytrzymać konkurencyi z *Bluszczem*, bo trzecie pismo kobiece, o którem wnet pomówimy, nie może być brane pod uwagę, jako że różni się mocno od tych obydwu. Sądzę, że powinno leżeć

w ambicyi wydawniczej redaktora *Tygodnika* p. E. Skiwskiego, ażeby poziom swego pisma podniósł znacznie wyżej, gdyż zastój panujący od lat kilku w *Tygodniku*, nie tylko nie wyjdzie mu na dobre, ale może stać się w przyszłości, wobec silnie rozwijającego się u nas kierunku samokształcenia, wprost zgubnym. Pism zaś kobiecych nie mamy tak wiele, żeby o jedno dbać nie należało. Ten też wzgląd tylko, ażeby zwrócić baczniejszą uwagę redakcyi na niedostatki *Tygodnika*, był wyłączną przyczyną, dlaczego tak obszernie nim zajmowaliśmy się.

W wychodzącym od niedawnego czasu tygodniku p. n. *Świat kobiecy*, belletrystyka stała na podrzędnem miejscu, a nawet tej, jaką podawano czytelnikom, powinno się było poświęcić więcej uwagi i starania. I to też niepodoba się nam, że przeważały tu rzeczy tłomaczone. Z oryginalnych wyróżniają się: nowela Sienkiewicza »U bram raju«, I. Dąbrowskiego, »Matka«, oraz wiersze I. Pileckiej. Nieporównanie większe ożywienie panowało w artykułach literackich. Bo i o kim tu nie pisano: o Adzie Negri, o Reju, Schillerze, Jacku Malczewskim, Drużbackiej, Zawistowskiej, Tetmajerze, Staszicu. P. Bukowiecka dała »Wspomnienie o Żmichowskiej«, J. Lorentowicz pisał o »Mickiewiczu wobec Rosyan«, Sieroszewski pisał o japońskim teatrze, M. Cz. Przewóska o »Elizie Orzeszkowej i jej stanowisku w ruchu kobiecym«, M. Karczewska o »Sztuce ludowej i sztuce dla ludu«, ks. A. Brykczyński o »Robotnicy w Stanach Zjednoczonych«, J. Olesza o »Teatrze jako czynniku kulturalnym«, F. Rudnicka o »Kobiecie w współczesnej powieści polskiej«, J. A. Kisielewski »O ewolucyi japońskiej od feudalizmu do modernizmu« i t. d i t. d. Większej rozmaitości trudnoby wprost wymagać. Główny jednak nacisk spoczywał na innym dziale, stokroć ważniejszym w piśmie tego zakresu, jakiem jest omawiane w całej pełni, a mianowicie na informacyjnych artykułach społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych, zwłaszcza jeśli *Świat kobiecy* jest organem »Koła gospodyń wiejskich«. W nich to roztrząsano potrzeby naszych włościanek (M. Kleniewska), stan obecny gospodarstwa kobiecego u nas (I. Kosmowska), organizacyę handlową naszego przemysłu (I. Piątkowska), działalność kobiet wśród dzieci w Anglii, sprawę walki kobiet z alkoholizmem, przemysł ludowy w gub. Łomżyńskiej (M. Lutosławska), prawa i obowiązki kobiet (F. Rudnicka), wychowanie moralne w Stanach Zjednoczonych (E. Żypowska), ekonomię życia rodzinnego (M. Kozierska), badanie stanu oświaty wśród włościan, kulturalną wartość szkoły niemieckiej (M. Karczewska), zabawy i gry jako czynnik wychowawczy (E. Żypowska), reformę początkowego nau-

czania (E. Węsławska), znaczenie społeczne przemysłu domowego (K. Proczek) i paręset innych, nie mniej doniosłej wartości, kwestyi, z pomiędzy których na szczególniejszą uwagę zasługuje poradnik dla matek, pragnących prowadzić kształcenie swych córek w domu do 16 roku, ułożony przewybornie przez E. Żmijewską, znaną z licznych prac na polu pedagogicznem. Równie obfitem było pismo to w artykuły z zakresu gospodarstwa domowego i ogrodnictwa, pisane przystępnie przez fachowców, na użytek wiejskich i miejskich gospodyń. Tak szerokie uwzględnienie wymienionych właśnie działów przyniesie niewątpliwie sporo korzyści samouctwu w dziedzinie gospodarstwa, a zarazem może stanowić istotną chlubę dla redakcyi, tak bowiem jak ona, nie dbało żadne inne pismo kobiece o realną korzyść czytelniczek i kształcenie ich praktyczne. Sprawy bieżące były rozpatrywane w rubryce »feljetonu«, w listach całego Królestwa i Cesarstwa, oraz w stałych rubrykach, znajdujących się w każdym numerze, a mianowicie w przeglądzie działalności kobiecej i gospodarskich wskazówkach praktycznych i przepisach. Zdałoby się tylko, by na przyszłość redakcya rozszerzyła dział recenzyjny, który w omawianym roczniku przedstawia się bardzo chudo. Z wyjątkiem tego niedostatku, którego usunięcie nie nastręcza wielkich trudności, nie da się nic zarzucić *Światu kobiecemu*, poziom jego bowiem naukowy i kulturalny tak jest wysoki, że nie pozostawia nic do życzenia. Że zostanie on nadal takim o tem nie można powątpiewać, skoro się widziało, jak w bardzo krótkim czasie redakcya nie szczędząc trudów i zapobiegliwości dokazała tego, że czytelniczkom dać może strawę zdrową i pożyteczną. Miło mi wypowiedzieć tyle pochlebstw tem więcej, że po raz pierwszy piszę o tym tygodniku w *Przeglądzie*.

Dr. S. Z.

Z polskich czasopism kościelnych za rok 1905.

Przegląd katolicki. — Kwartalnik teologiczny. — Homiletyka. — Wiadomości pasterskie. — Gazeta kościelna. — Kronika dyecezyi przemyskiej. — Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski. — Przegląd kościelny.

Mając dokonać przeglądu naszych kościelnych wydawnictw peryodycznych za rok ubiegły, słuszna, abym rozpoczął od *Przeglądu katolickiego*. Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy. Pismo to, niosące już piąty krzyżyk na swych barkach, przez długie lata było je-

dynym na ziemi polskiej organem katolickiej myśli, którą śmiało i gromko wypowiadało. Zwłaszcza kiedy lat temu trzydzieści zjawił się na naszym gruncie modny pozytywizm z ponętnem hasłem »pracy organicznej«, ale bez Boga i religii, *Przegląd katolicki* piórem swego założyciela i głównego kierownika, Michała Nowodworskiego, dzielnie odparowywał zwrócone w stronę »przeżytych ideałów« ciosy, ostrzegając społeczeństwo, że drogą niewiary nie dojdzie się do odrodzenia. Powoli zmieniała się barwa, broń, taktyka nieprzyjaciół religii i Kościoła: *Przegląd* przystosowywał się do bieżących potrzeb i zawsze stał na straży interesów katolicyzmu.

Od pewnego jednak czasu zasłużony weteran zdradza jakby przepracowanie. Ostatni rok, bogaty w ważne dla Kościoła i społeczeństwa polskiego wypadki, mógł był dostarczyć aż zbyt wiele materyału dla łamów *Przeglądu*. Tolerancyjny ukaz kwietniowy i wynikłe zeń nowe ukształtowanie kościelnych stosunków, budząca się po październikowym ukazie praca polityczna i społeczna naszego duchowieństwa, paląca kwestya podniesienia naukowego poziomu księży, kwestya szkolna, stosunki narodowościowe na Litwie i wiele jeszcze innych rzeczy, aż wpraszały się, aby je w swoim czasie wszechstronnie oświetlić, omówić i przedyskutować gruntownie. Nie można powiedzieć, że *Przegląd* nie interesował się temi sprawami; owszem o każdej z nich znajdziemy coś na jego łamach. Są tam myśli nieraz bardzo cenne. Dosyć wspomnieć głos ks. Majewskiego w kwestyi stosunków litewskich, lub Jana Popiela w sprawie udziału kapłanów w pracy politycznej. Ale co niemile uderza stałego czytelnika *Przeglądu,* to to, że w doborze materyału brak systematyczności, pełności i porządku. Artykuły o aktualnych sprawach, częstokroć spóźnione, były pisane dorywczo, bez programu, przeważnie przez osoby postronne. Rzekłbyś, że Redakcya spuszcza się na łaskę przygodnych pisarzy i korespondentów.

Rubryki stałe *Przeglądu* pozostały te same, co i dotąd. Jedna z nich, mianowicie »Przegląd tygodniowy spraw kościelnych« (dodaćby należało — obcych), stała w zupełności na wyżynie swego zadania. Przegląd ów, kreślony jędrnem i wytrawnem piórem ks. J. G., a później prowadzony przez ks. A. J., informował szybko i dokładnie o wszystkich ważniejszych zdarzeniach w życiu Kościoła za granicą. Dlaczego jednak obok takiego przeglądu pozostała jeszcze rubryka kroniki kościelnej zagranicznej — tego nie mogłem się domyśleć. Czy nie dlatego czasem, by umieszczać w niej rzeczy, nie mające żadnego związku z życiem Kościoła, a przytem zaszłe na polskiej ziemi? Na taki do-

mysł mogłaby naprowadzić kogoś umieszczona w rubryce wzmiankowanej notatka »Z dziejów sztuki« (str. 61), gdzie wcale ani o Kościele, ani o zagranicy, ani nawet o sztuce kościelnej niema mowy.

Kronika wewnętrzna *Przeglądu* od dłuższego czasu przedstawia się jako pole do popisu piórem i wzajemną adoracyą. Wypełniają ją długie opisy wizyt pasterskich, celebr uroczystych, przyczem omawia się zwykle historyę kościołów, cytuje wypowiedziane mowy; są tam nekrologi sążniste, poświęcone zmarłym współbraciom, łącznie z pogrzebowymi panegirykami. Natomiast zawiódłby się ten, ktoby w kronice wewnętrznej szukał d o k ł a d n e g o i z u p e ł n e g o obrazu życia kościelnego w naszym kraju: ważniejszych zmian w dyecezyach, statystyki ludności katolickiej, postępu budownictwa kościelnego, objawów wzrostu czy upadku religijnego życia. Takiego rodzaju krótkie, ale ze wszystkich zakątków kraju zbierane, notatki byłyby o wiele milej widziane w *Przeglądzie* i zajęłyby nawet mniej miejsca, niż kwieciste panegiryki, — ale nie możnaby wtedy spuszczać się na łaskę kilku woluntaryuszów z prowincyi, rozpisujących się *per longum et latum* w jakiejś sprawie własnego zaścianka.

W obecnych warunkach, sądzę, dałoby się inną, niż dotąd, przeprowadzić granicę między kroniką wewnętrzną i zagraniczną, w ten sposób, aby Galicya i Poznańskie nie były stawiane na równi z Chinami i Ameryką, ani znowu Władywostok nie figurował obok Warszawy. Spójnia etnograficzno-historyczna winnaby być braną w rachubę bardziej, niż przypadkowe słupy. Mogłaby powstać kronika kościelna p o l s k a i kronika kościelna o b c a.

Notatki z prasy peryodycznej od czasu do czasu nawoływały do porządku różnych płytkich pisarzy i dziennikarzy, szukających popularności kosztem Kościoła. Czasem jednak zabłąkała się jakaś notatka, której wcale prasa peryodyczna nie wywołała, np. o balach publicznych (str. 8), o eleuteryi (str. 131).

Do naukowości *Przegląd,* niegdyś i na tem polu zasłużony, obecnie, po powstaniu innych czasopism kościelnych, nie rości sobie pretensyi. Mimo to w roku ubiegłym zamieścił parę cennych drobiazgów przeważnie z zakresu historyi naszego Kościoła.

Kończąc nasze uwagi, wyrażamy nadzieję, że obecnie, kiedy wszystko, cokolwiek spało w Królestwie, poczyna budzić się do nowego intensywnego życia, *Przegląd katolicki* również ożywi się i odmłodnieje, skupiając około siebie najwybitniejsze siły pisarskie kato-

lickiego obozu. Pragniemy, aby stał na czele całej katolickiej prasy w Królestwie i Rosyi.

* * *

Zabierając się do pisania niniejszego przeglądu, sądziłem, że będę wolny od obowiązku omawiania *Kwartalnika teologicznego* z powodu zeszłorocznego jego strajku. Aliści, kiedym skończył pisać o *Przeglądzie katolickim,* wnoszą mi do pokoju zeszyt I i II *Kwartalnika* za rok ubiegły. Spóźnienie pierwszego zeszytu wynosi 9 miesięcy, drugiego 6.

Przed dwoma laty utyskiwał na tem miejscu mój poprzednik-referent na zupełny brak w *Kwartalniku* prac z zakresu teologii dogmatycznej. Zeszyt, który mam pod ręką, nie lepiej się przedstawia pod tym względem. Z nauk teologicznych znajdujemy tutaj tylko parę artykułów w kwestyach biblijnych. Resztę zeszytu wypełnia filozofia i materyały historyczne, z dodatkiem ascetyki. O większej części artykułów trudno wydać jakikolwiek sąd, gdyż pomimo, że ciągną się one od kilku lat, jeszcze jednak nie zostały ukończone. Takimi są prace ks. A. Szaniawskiego o kodeksie Hamurabiego i o budowie psalmów, ks. J. Gołąba o tłumaczeniu Pisma św. przez Wujka. Rozkładanie niemal każdej pracy na wiele części, zwłaszcza w piśmie tak rzadko i chimerycznie wychodzącem, jak *Kwartalnik,* przedstawia wielkie dla czytelnika niedogodności. Otrzymując artykuły w homeopatycznych dozach, jest się zmuszonym do posiadania pod ręką wszystkich poprzednich tomów *Kwartalnika,* aby nowe fragmenty nawiązać do tych, które przed paru laty już się czytało i o nich zapomniało. Przytem, kiedy się ukaże koniec pracy, początek może nie będzie już posiadał naukowej wartości. A inne rzeczy wcale nie będą może ukończone. Dla przykładu wskazuję na prace ks. A. Szaniawskiego. Jeśli pism św. Jana od Krzyża będziemy otrzymywali po 9 kart na rok, a *Słownika biblijnego* mniej więcej tyleż, to zapewne ani czytelnik ani wydawca końca nie doczeka. Wolelibyśmy więc, aby *Kwartalnik* dawał mniej prac, ale większemi dozami. Takie prace, jak *Słownik biblijny,* wymagają współpracownictwa całego koła uczonych.

Z cenniejszych prac ostatniego zeszytu *Kwartalnika* notujemy historyczne studyum ks. St. Chodyńskiego o biskupach-sufraganach włocławskich i dwie filozoficzne rozprawy ks. d-ra Gabryla: »Analiza aktu przypominania sobie« i »Realizm i nominalizm w dziejach filozofii«. »Listy znakomitych mężów wieku XVI« są niezmiernie cennym

materyałem dla historyka, ale robienie z nich polskiego przekładu jest bezcelowe, wobec tego, że do studyów historycznych nie zabierają się przecież analfabeci w łacinie.

Strona zewnętrzna *Kwartalnika,* papier, druk, nie pozostawiają nic do życzenia, owszem są wprost wytworne. Pragniemy, aby i pod względem regularności i treści *Kwartalnik teologiczny* stał się jak najprędzej kwartalnikiem i to — teologicznym.

* * *

Homiletyka, wychodząca od 8 lat we Włocławku pod kierunkiem ks. Maryana Nassalskiego, służyła jak przedtem tak i w roku ubiegłym praktycznym potrzebom duchowieństwa, zajętego duszpasterstwem na parafiach. W ciągu roku podała około stu kazań, nauk katechetycznych, przemów okolicznościowych, wyszłych z pod pióra takich mowców, jak JE. arcybiskup Bilczewski, biskup Fischer, zmarły biskup wileński Adam Krasiński, dr. A. Kopyciński i inni. Rubryka »Wiadomości teologiczno-pastoralnych« informowała kler parafialny o istniejących przepisach, tyczących duszpasterstwa, publicznego nabożeństwa, rozwiązywała k a z u s y moralne, udzielała różnych praktycznych wskazówek. Nadto każdy zeszyt ofiarowywał czytelnikom po kilka luźnych rozprawek z zakresu kaznodziejstwa i duszpasterstwa. Wymieńmy niektóre z nich. »Samoobrona moralna«, skreśliwszy obraz niebezpieczeństwa, zagrażającego wierze z powodu prądów antyreligijnych, nurtujących we współczesnem naszem piśmiennictwie i w życiu przedewszystkiem młodzieży, podaje praktyczne rady, w jaki sposób przeciwdziałać zgubnym dążeniom kół niewierzących. Autor każe wiele spodziewać się pod tym względem od katechetów w szkołach publicznych, którym wiele światłych wskazówek udziela. — »Obrazy religijne«. Autor tej rozprawy zastanawia się nad parenetycznem i liturgicznem znaczeniem obrazów i zaznajamia z kościelnymi przepisami, tyczącymi malarstwa religijnego. Nie pozbawione wartości rozprawki historyczne o »Aspersyi« i o »Spowiedzi usznej w pierwszych wiekach Kościoła«. Budzące się w kraju życie chrześcijańsko-społeczne dało okazyę *Homiletyce* do wystąpienia ze swemi uwagami w sprawie udziału kleru w pracy społecznej, w artykule »Zadanie duchowieństwa wobec stowarzyszeń i zebrań«, jak również rozpocząć polski przekład, raczej przeróbkę francuskiego podręcznika chrześcijańskiej socyologii, p. t. *Manuel social chrétien.* Ostatnie prace wykazują rozszerzenie programu *Homiletyki,* naszem jednak zdaniem, niezupełnie fortunne. Zamiast dążyć do tego,

aby się stać wszystkiem dla wszystkich, wydawnictwa nasze winny raczej podzielić się pracą i dążyć do wydoskonalenia się każde w swoim zakresie. *Homiletyce* nikt za złe nie weźmie, jeżeli pominie kwestye natury społecznej, a niewątpliwie wdzięcznym jej będzie każdy prenumerator, jeśli znajdzie gruntowne prace z zakresu kaznodziejstwa, pedagogiki, historyi wymowy i t. p. Jakbyśmy mile powitali *Homiletykę*, gdyby zechciała np. podjąć na nowo rozpoczęty przed paru laty przekład parenetycznych utworów Ojców Kościoła!

* * *

W ubiegłym roku nasze piśmiennictwo kościelne wzbogaciło się nowym miesięcznikiem *Wiadomości pasterskie*, wydawanym w Piotrkowie, pod kierunkiem znanego liturgisty ks. M. Fulmana. Nie roszcząc pretensyi do naukowości, nowy miesięcznik pragnął dostarczać duchowieństwu polskiemu, zajętemu duszpasterstwem, przedewszystkiem praktycznych wskazówek działania na rozlicznych polach pasterskiego urzędu.

Z uznaniem podnieść należy, że *Wiadomości pasterskie* zdołały zgromadzić około siebie kilku wybitniejszych pisarzy nie tylko z pośród duchowieństwa, ale i z pośród świeckich. Artykuły, umieszczane w *Wiadomościach pasterskich*, przy całej swej młodzieńczej świeżości i werwie, noszą ślady, że pisane były przeważnie przez ludzi fachowych w swym przedmiocie.

Program pisma, nie imponującego rozmiarami, był bardzo bogaty. W »Zagadnieniach teologiczno-pasterskich« dawano rozwiązania trudniejszych etycznych wypadków (t. z. kazusy) i wątpliwości liturgicznych. W rubryce »Prawo i liturgia« informowano nie tylko o przepisach prawa kościelnego, lecz rozpoczęto piórem zawodowem p. St. Godlewskiego zaznajamiać duchowieństwo i z tymi przepisami prawa cywilnego, które w praktyce pasterskiej uwzględniane być muszą. Wiele uwagi poświęcono sztuce kościelnej, budownictwu domów Bożych, ich zdrowotności i warunkom praktycznej ich wygody. Znawca tego przedmiotu ks. W. Górzyński udowadniał potrzebę znajomości sztuki dla kapłanów, raz dlatego, aby nie tylko przez prawdę i dobro lecz i przez piękno prowadzili ludzi do Boga, źródła piękna, a powtóre, aby umieli pielęgnować i konserwować zabytki sztuki, bogato rozrzucone po naszych świątyniach, a narażone na wandalizm tam, gdzie niema znawcy piękna.

Pojawiło się parę rozprawek i treści naukowej z zakresu nauk

biblijnych, jak np. udatna rozprawka ks. A. Syskiego o sprawdzianie natchnienia ksiąg świętych Nowego Testamentu, w której autor staje w obronie zaniedbanej ostatnimi czasy tezy, że sprawdzianem takim jest apostolskość pochodzenia ksiąg świętych.

Samo życie wysunęło w polskiem społeczeństwie Królestwa na pierwszy plan kwestyę pracy społecznej. Nie dziw więc, że *Wiadomości* największą ilość i najlepszych treścią artykułów kwestyi tej poświęciły. Obok ks. Fulmana przemawiał w tej sprawie do współbraci kapłanów ks. A. Szymański, który w jednym artykule, zwięźle a jasno napisanym, dotknął wszystkich niedomagań społecznych, podając w głównych zarysach wszechstronny program pracy kapłańskiej na tem polu; w drugim zaś artykule nawołuje wiernych stanu świeckiego do współpracy i pomocy duchowieństwu w sprawie Bożej. Ponieważ *exempla trahunt*, więc i *Wiadomości* nie ograniczyły się na teoryi, lecz stawiały na oczy żywe przykłady pracy pasterskiej i społecznej w zwięzłych życiorysach św. Karola Boromeusza, biskupów Kettelera, Spaldinga i Bonomelli'ego.

Od dawna uskarżano się na zbyt słaby rozwój piśmiennictwa i twórczości teologicznej wśród polskiego kleru pod berłem rosyjskiem. *Przegląd katolicki* umieścił parę głosów w tej sprawie: czuło się jednak, że w nich czegoś brak, że czegoś nie dopowiedziano. Śmielej i pewniej omówił całą tę rzecz ks. Fulman w *Wiadomościach*, w artykule: »Kapłan, książka i pióro«. Kapłanów pracujących naukowo mamy niestety, zbyt mało, lecz nie sam kler temu winien. Winne temu i całe społeczeństwo, które od długiego już czasu literalnie nic nie zrobiło, by dopomódz podnieść naukowy poziom naszych uczelni teologicznych. Seminarya, z braku funduszów pozbawione bibliotek i innych pomocy naukowych; alumni, wstępujący do zakładu duchownego bez naukowego przygotowania, nie mogą należycie korzystać z wykładu poważnych przedmiotów teologicznych. Przytem dotkliwy brak zawodowych profesorów, gdyż jedyna wyższa uczelnia w Petersburgu, która ich wydaje, sama stanowi tylko *repetitorium* nauk seminaryjskich, nie wyrabia sił naukowych, nie specyalizuje ich, a i później profesor seminaryjny, pobierający 100—250 rubli rocznej pensyi (*sic!!*) nie posiada środków, aby się mógł gruntownie wykształcić w jednym przedmiocie. Dotknąwszy i innych braków, stawia autor artykułu daleko idący i głęboko pomyślany program reformy szkół duchownych, na który nie może nie zgodzić się, ktokolwiek zna z bliższa seminarya katoli-

ckie pod berłem rosyjskiem. Oby nie został głosem wołającego na puszczy!

Aktualność, praktyczność, wszechstronność — te zalety *Wiadomości Pasterskich* winny zyskać im jak najszersze koło czytelników i przyjaciół.

* * *

W Galicyi w stosunkach prasy kościelnej nic się nie zmieniło w roku ostatnim. Posiadaliśmy po dawnemu *Gazetę Kościelną*, *Dwutygodnik katechetyczny* i *Kronikę dyecezyi przemyskiej*. *Gazeta kościelna* obok zwięzłej lecz wyczerpującej kroniki kościelnej i stale podawanych duchowieństwu kazań i egzort, umieszczała w dalszym ciągu artykuły ks. dr. A. Kopycińskiego na rozmaite tematy, poczerpnięte z religijnego i społecznego życia. Artykuły te pisane na sposób popularnej apologii, językiem jędrnym, aforystycznym, pełne myśli niepowszednich, nieraz błyskotliwych. Część tych artykułów weszła do zbiorowego wydania »Dokąd dążymy«, któremu *Przegląd* nasz poświęcił już swoją uwagę [1]. — Ks. dr. Sieniatycki, chcąc dostarczyć katechetom i kaznodziejom materyałów do poważniejszych konferencyi apologetycznych, rozwinął szeroko »Dowód kosmologiczny na istnienie Boga«, z uwzględnieniem przytem i nowszych wyników badań naukowych. Przyjemną niespodziankę sprawiła *Gazeta* artykułami o »kulcie obrazów Matki Boskiej w Rosyi«, uchylając tym sposobem przynajmniej rąbeczek zasłony, która ukrywa przed okiem zachodnich chrześcijan szczegóły religijnego życia Cerkwi rosyjskiej. Kwestye aktualne, jak sprawa kongruy duchowieństwa, potrzeby uniwersytetu katolickiego w Austryi, zaprowadzenia w archidyecezyi lwowskiej świeckich katechistów w myśl encykliki *Acerbo nimis*, podniesienia materyalnego stanu organistów i t. d. — znajdowały oddźwięk na łamach *Gazety*.

* * *

Kronika dyecezyi przemyskiej przestrzegała tegoż zakresu i kierunku, jaki sobie w początku swego istnienia nakreśliła. Oprócz urzędowych dyecezalnych obwieszczeń, publikacyi nowych rozporządzeń rzymskich, kontynuowała *Kronika* »Dzieje dyecezyi przemyskiej ob. łac.«, ważny przyczynek do historyi kościelnej w naszym kraju, osnuty

[1] Tom obecny, str. 103.

przytem na zródłach, z których nie wszystkie były znane i przystępne historykom. Jako pismo dyecezalne, *Kronika* może być wzorem dla innych dyecezyi, które dotąd nie zdobyły się na podobne wydawnictwa.

* * *

IX rocznik *Dwutygodnika katechetycznego i duszpasterskiego* na swoich 760 stronnicach druku dał niezmiernie wiele pożytecznego materyału swoim czytelnikom. Jak należało się spodziewać po piśmie, poświęconem sprawom wychowania i nauczania religijnego, najlepsze i najżywotniejsze artykuły znalazły się w *Dwutygodniku* z zakresu wychowania i nauczania szkolnego. Pisali je doświadczeni pegagodzy duchowni i świeccy. Zanotujemy tylko wybitniejsze. Poruszono myśl zakładania katolickich bibliotek samokształcenia, któreby przeciwdziałały socyalistycznym kursom samokształcenia; na innem miejscu pewien *Expertus* doradza urządzanie bibliotek dla dzieci wiejskich, wskazując błogie skutki takiej próby. Mowa sejmowa J. E. ks. arcybiskupa Teodorowicza dotknęła najgłębszych i najbardziej jątrzących ran naszego szkolnictwa. Ks. M. Jeż podał trafne uwagi w modnej dziś kwestyi uświadamiania młodzieży na punkcie popędu płciowego. Niepodpisany autor artykuliku »Związki rodzicielskie a wychowanie moralne w Galicyi« wzywa owe związki do otwartego wystąpienia pod hasłami katolickiemi, dążenia do szkoły wyznaniowej i moralno-religijnego podnoszenia samychże rodzin, aby nie burzyły w sercach młodzieży tego dobrego, co Kościół i szkoła katolicka w nich zbudują. Bardzo pomysłową rozprawkę dał nam Fr. Szczepański: »Styczna nauki religii i języka wykładowego polskiego«, w której nawiązuje do ustępów katechizmu rozmaite wierszyki polskie, mające ilustrować i podawać w estetycznej szacie katechizmowe prawdy.

Nie poprzestawał *Dwutygodnik* na pracach z zakresu chrześcijańskiej pedagogiki, lecz wkraczał niekiedy i na szerszą arenę społecznego życia, już to stawiając za przykład akcyę społeczną obcą (art. ks. Szczeklika), już to rozpatrując naszą pracę i potrzebę jej na tem polu. Ks. Koterbski rozbierał z punktu religijnego poezye Kasprowicza. Kwestya stosunków między Kościołem katolickim, a wyznaniem wschodniem znalazła dwóch pracowników na łamach *Dwutygodnika*. Ks. dr. Macko traktował o cechach prawdziwego Kościoła, w artykule »Prawosławie czy katolicyzm?«, kryjący się zaś pod α autor rozpo-

czął dłuższą rozprawkę »O unii kościołów«. Samo podjęcie podobnych tematów w *Dwutygodniku* zasługuje na uznanie.

Inne działy *Dwutygodnika*, jak liturgiczny, kaznodziejski, bibliograficzny, były również bogate. To jedno możnaby zarzucić Redakcyi, że w dziale bibliografii stosunkowo zbyt wiele poświęca miejsca sprawozdaniom z literatury niemieckiej, a za mało mówi o piśmiennictwie w ojczystym i innych europejskich językach.

* * *

W Poznańskiem piśmiennictwo kościelne reprezentowały *Ruch chrześcijańsko-społeczny* i *Przegląd Kościelny*. O pierwszym z nich nasz *Przegląd* miał sposobność mówić z innej okazyi (zob. P. P. tom 88 str. 316). Parę słów wypada poświęcić drugiemu z wymienionych organów katolickich. Informując kler katolicki w praktycznych kwestyach duszpasterstwa, *Przegląd Kościelny* obok tego usiłował zająć poważniejsze stanowisko czasopisma naukowego. Jeśli nie sięgnął zbyt wysoko, to wina braku sił teologiczno-naukowych na naszej ziemi. Dał jednak kilka prac niemałej wartości. Do takich najpierw zaliczamy pracę ks. dr. Stanisława Trzeciaka »Chrystus Pan a współcześni mu ludzie«, która następnie wyszła w osobnej odbitce p. t. »Stosunki polityczne żydów za czasów Chrystusa Pana«. Drugi tytuł dokładnie oddają treść pracy, będącej polityczną historyą narodu żydowskiego od czasów machabejskich, aż do zburzenia Jerozolimy przez Tytusa. Sumienna i źródłowa ta praca, zapełniająca lukę w naszem piśmiennictwie z zakresu studyów biblijnych, rozjaśnia wiele wątpliwości, podniesionych przez krytykę racyonalistyczną przeciwko prawdomówności opowiadań ewangelistów. Inną cenną pracą, aczkolwiek tylko lokalną wartość posiadającą, była rozprawa ks. Czesława Meissnera: »Patronat kościelny w świetle pruskiego prawa krajowego«. Rozpoczęta praca ks. H. Likowskiego »Kwestya unii kościoła wschodniego z zachodnim na soborze konstanckim«, omawia rzecz nie zupełnie dotąd wyzyskaną w historyografii kościelnej, a spodziewać się należy, że będzie gruntowną, gdyż opiera się na źródłach mało albo wcale nieznanych dotąd, a przytem wszechstronną, gdyż zdradza obszerne oczytanie nietylko w autorach zachodnich, ale i w historykach kościelnych rosyjskich.

Przeważna część artykułów, umieszczonych w *Przeglądzie Kościelnym*, odnosi się do historyi naszego Kościoła lub naszego kościel-

nego piśmiennictwa. Jak *Kwartalnikowi teologicznemu* tak i *Przeglądowi Kościelnemu* życzymy szczerze podniesienia działu teologicznego.

* * *

Reasumując wszystko, co się powiedziało o polskiem kościelnem piśmiennictwie, wyznać wprawdzie należy, żeśmy jeszcze bardzo ubodzy pod tym względem w porównaniu do naszych europejskich sąsiadów. Poważna teologiczna literatura prawie że nie istnieje wcale u nas, a to, co mamy, w większej części wzięliśmy gotowe z Zachodu. Wszakże gdy porównamy dzisiejszy stan naszego piśmiennictwa teologicznego z tem, co było jeszcze przed laty kilkunastu, kiedy jedynem pismem kościelnem był *Przegląd katolicki*, możemy stwierdzić stały postęp. Miejmy nadzieję, że spodziewana zmiana warunków kościelnych w Królestwie przyspieszy i pożądany wzrost naszego piśmiennictwa teologicznego, boć tam największa ilość naszych kapłanów i uczelni duchownych. Inną potężną, jak sądzę, dźwignią postępu na polu literatury teologicznej, byłoby bliższe porozumienie się i zogniskowanie wszystkich wybitniejszych sił naukowych z trzech dzielnic polskich około jednego organu myśli teologicznej. Taki wspólny organ teologiczny zdołałby stanąć na wyżynie właściwej zachodnim tego rodzaju wydawnictwom. Na wiele takich wydawnictw, zupełnie odpowiadających swemu zadaniu, jeszcze nas nie stać, lecz na jedno zdobylibyśmy się bez wątpienia. Inicyatywa w tej mierze winna z natury rzeczy przypaść któremuś z naszych fakultetów teologicznych.

Ks. J. Urban.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kilka uwag z powodu walki kościelnej we Francyi.

Podczas kiedy Francya w sprawie marokkańskiej nie po raz pierwszy odczuła zastosowaną do siebie starą zasadę: siła przed prawem; podczas gdy, jak to widać z francuskiej »żółtej księgi« i niemieckiej »białej«, przyjmowała upokorzenie po upokorzeniu, rzucała na pastwę niemieckim żądaniom swoich polityków, odstępowała od swoich zasad, bo z dali połyskiwały bagnety i słychać już prawie było grzmot granatów i kartaczy, stosowała z całą bezwzględnością i zaciekłością sekciarską powyższą maksymę do Rzymu, gdyż tam nie stały w odwodzie bagnety i wojska, nie groziły armaty a siła moralna nie imponuje więcej naszemu wiekowi; pojęcia wolności i sprawiedliwości nie są znane dzisiejszej Francyi.

Rozdział francuski oznacza zupełne odłączenie się narodu od jakiegokolwiek kultu, jest niejako narodową apostazyą, wprowadzoną w czyn przez prawnych przedstawicieli kraju; pod tym względem stoi Francya samotna i odosobniona w szeregu cywilizowanych narodów, gdyż nawet Ameryka, na którą się czasem powołują, nie wyłączyła zasadniczo i w imieniu państwa kultu ze swego ustawodawstwa.

Rozdział jest, jak słusznie zauważył Rzym w »białej księdze«

a później jeszcze w encyklice do katolików francuskich, złamaniem prawa międzynarodowego. Francya i papiestwo zobowiązały się wzajemnie, zawierając przed stu laty konkordat; ten konkordat istniał jeszcze obecnie w całej swej rozciągłości i. Francya nie miała prawa samodzielnie i jednostronnie ukształtować na nowo swych stosunków religijnych i to zaniedbując nawet wszelkich form i względów, jakie przy wypowiadaniu międzynarodowych traktatów według przyjętych zwyczajów i przepisów są stosowane.

Rozdział w uchwalonej formie jest pogwałceniem pierwszych kardynalnych zasad sprawiedliwości. Drugiego listopada 1789 r. uchwaliło i przyjęło zgromadzenie konstytuujące dwa następujące wnioski: 1) wszystkie dobra kościelne przechodzą na naród z obowiązkiem ponoszenia kosztów kultu, utrzymywania duchownych i starania się o ubogich; 2) utrzymanie duchownych ma wynosić najmniej 1200 fr. rocznie, nie włączając w to jednak ani mieszkania ani przynależnych gruntów. Zgromadzenie konstytuujące czuło się więc obowiązane do odszkodowania Kościoła i przyjęło ten obowiązek olbrzymią większością głosów, gdyż chciało konfiskacie dóbr kościelnych nadać legalne pozory. Przy zawarciu konkordatu zgodził się papież Pius VII w artykule trzynastym na tę konfiskatę, równocześnie jednak postanowiono w artykule czternastym, że »rząd zapewni odpowiednie utrzymanie biskupom i proboszczom«. Dwa razy tylko sprzeniewierzyła się Francya temu zobowiązaniu: w r. 1793 za krwawych rządów konwentu i w r. 1905 uchwalając rozdział Kościoła i znosząc budżet kultu. Rząd będzie wprawdzie jeszcze wypłacał obecnym duchownym częściowo dożywotnią, częściowo kilkuletnią pensyę, wynoszącą połowę do trzech czwartych dawnych pensyi, ale po dwudziestu ośmiu latach ten obowiązek siłą rzeczy już ustanie i cały dług pozostanie od tego czasu niewypłacany. Wprawdzie w przeciągu dwudziestu ośmiu lat dużo zmienić się może, ale samo uchwalenie takiego prawa, jest już w sobie czemś niemoralnem, bez względu na to, czy będzie ono kiedyś zniesionem czy nie. Równocześnie zabiera rząd po dwóch latach mieszkania arcybi-

skupów i biskupów, a po pięciu seminarya i mieszkania proboszczów.

Świątynie pozostają wprawdzie do wolnego użytku wiernym, ale — i tu pojawia się nowa niesprawiedliwość — właścicielem ich pozostaje rząd a prawa używania może udzielić lub odmówić tak zwanym związkom wyznaniowym. Środki potrzebne mają związki czerpać z dobrowolnych datków, ze składek, fundacyi, ślubów, pogrzebów i innych dochodów za funkcye kapłańskie wpływających; majątek ich może wzrastać jednak tylko do pewnej wysokości i będzie zawsze przez rząd kontrolowany. Skutkiem tego będą te związki zależeć prawie wyłącznie od rządu tak dalece, że gdy np. takie dwa związki zażądają jednego i tego samego Kościoła, rozstrzygnie tę sprawę rada państwowa, nie dziw więc, że nawet radykalni zwolennicy rozdziału, jak Buisson, twierdzą, że takie rozwiązanie kwestyi zdezorganizuje hierarchię kościelną i doprowadzi prostą drogą do schizmy. Rada państwa będzie bowiem zawsze narzędziem rządu, za kim więc się opowie, gdy np. jakiś zbuntowany przeciwko swemu biskupowi kapłan zbierze dokoła siebie kilkudziesięciu sojuszników i utworzy związek wyznaniowy? Czyż zapobiegnie temu niebezpieczeństwu artykuł czwarty ustawy, głoszący, że związki mają się stosować do ogólnej organizacyi tego kultu, dla którego zostały utworzone? Pomijam już tu kwestyę, że takie prawo oddaje kościoły i duchowieństwo na łaskę i niełaskę osób świeckich — pomijam je, bo o to przecież na pierwszem miejscu chodziło.

Poruszyliśmy tylko kilka ujemnych stron nowego prawa, inne pokażą się niezadługo po wyjściu przekazanych osobnej komisyi uzupełnień tak zwanych *réglements administratifs,* które według wszelkiego prawdopodobieństwa, podobnie jak dołączone do konkordatu artykuły organiczne, do tego zdążać będą, by Kościół jeszcze więcej ujarzmić i zabrać mu nawet ten cień wolności, który nowa ustawa zostawiła.

Ostatnie zajścia we Francyi pokazały jednak, że mimo wszystko politycy się przerachowali. »Fakt, pisała przed paru tygodniami *Revue des deux mondes,* że kilku energicznych ludzi żądało rozdziału, wystarczył, aby go narzucić innym, którzy go

bynajmniej nie pragnęli«. Krótki czas przed śmiercią pisał Waldeck-Rousseau, że »sprawa rozdziału nie dojrzała jeszcze«, a i sam Combes wzywał do cierpliwości. »Sprawa rozdziału wymaga stanowczo, przynajmniej dla uspokojenia umysłów, aby była przez naród zatwierdzoną i żaden rząd nie odważy się chyba podporządkować woli wyborców swym osobistym zapatrywaniom«. Późniejszy prezydent ministrów, Rouvier, był i jest nieprzyjacielem ustawy, uważał i uważa ją za niepolityczną i niebezpieczną; nawet między stronnictwami radykalnemi i socyalistycznemi znalazło to prawo wrogów, nie dlatego wprawdzie, jak gdyby te stronnictwa kierowały się poczuciem sprawiedliwości lub nie pragnęły rozdziału, ale ponieważ się obawiały praktycznych jego następstw i z pewnem lękiem pytały, po czyjej stronie stanie tłum, obojętny w rzeczach wiary i religijnych praktyk, lecz nie zatwierdzający antyreligijnej ustawy i niesłychanie czuły na wszystko, co jego wolność krępuje. Mimo to ustawa przeszła większością w izbie i w senacie, a jak pisze Eugène Tavernier, została uchwalona przez tuzin radykałów i socyalistów, pod których wpływem znajdowała się większość; dlatego też już przed paru tygodniami pisał ten sam autor w *Historisch-politische Blätter* (t. 137, str. 281), że ustawa jest daleką od tego, żeby mogła sumienia zadowolić.

Ostatnie wypadki we Francyi wykazały, że to przewidywanie było trafnem. Dobrze jeszcze, gdy demonstracye ograniczały się do protestów, do modlitw, do śpiewów kościelnych i do dzwonienia w tak zwany »dzwon zmarłych«, gorzej jednak gdy w demonstracyach brali udział duchowni, gdy w kościołach wznoszono barykady i lała się tam krew. Rozgoryczenie to można zrozumieć. Tłumaczy je brutalność rządu, który z pogwałceniem wszelkich form i uczuć religijnych zabrał się do inwentaryzowania sprzętów kościelnych, nie czekając utworzenia związków religijnych, nie uwiadamiając przedtem, jaki jest cel tego postępowania i pozwalając a raczej rozkazując powolnym swoim urzędnikom otwierać tabernakula i spisywać kielichy i cyborya, w których znajdował się jeszcze Najświętszy Sakrament. Tłumaczy je również, jak pisze ostatnia *Revue des deux mondes* (str. 947) fakt, że demonstracye były rezultatem »długiego szeregu wszelkich

możliwych dokuczań i nawet prześladowań, których katolicy byli ofiarami. W ich sercach wezbrało całe morze goryczy, cała przepaść uzasadnionych skarg, które przełamały wreszcie tamy, niezdolne ich więcej hamować«, ale, dodaje to samo pismo równocześnie, »tłumaczyć nie znaczy jeszcze usprawiedliwiać«.

Demonstracye nie powstrzymają rządu, złamią tylko na długo niejedno życie, wniosą rozdźwięk pomiędzy katolików, duchownych i władzę kościelną. »Jeżeli katolicy, pisze w *Univers* ks. Gayraud, mają obowiązek protestować energicznie i jasno objawić swe niezadowolenie z prawa z 9 grudnia a szczególniej z prawa inwentaryzacyi, jeżeli te tłumy zgromadzone około kościołów dały piękny przykład wiary i szlachetnego usposobienia obywatelskiego, czyż miały one jednak prawo przekroczyć granice winnego Bogu uszanowania i winnego swym pasterzom posłuszeństwa? Czyż powinni się byli dopuszczać gwałtów na nieszczęśliwych urzędnikach, którzy musieli pełnić rozkazy, jeżeli nie chcieli utracić swego kawałka chleba?«

I rzeczywiście, do czego te demonstracye prowadzą? »Sympatye publiczności, donosi korespondent kolońskiej *Volkszeitung* (nr. 15), są po stronie demonstrantów, nie ze względów religijnych, ale ponieważ Francuz zawsze i wszędzie musi walczyć przeciwko rządowi a przedewszystkiem przeciwko znienawidzonej policyi. Dlatego łatwo zrozumieć, że w szeregach obrońców kościołów znaleziono dużo ludzi niemających z chrześcijaństwem nic wspólnego«. To też gorzko wprawdzie, lecz chyba słusznie powiedział ktoś, że trzeba było zacząć demonstrować przed dwudziestu laty, a nie doszłoby nigdy do tego, co obecnie się dzieje. I niezbyt czarno, zdaje się, zapatrują się ci, którzy w demonstracyach widzą chwilową przewagę uczucia a nie religijności i wiary, i którzy przypuszczają, że te demonstracye odbywają się raczej pod wrażeniem chwili, jak pod wrażeniem przekonania o niesprawiedliwości i krzywdzie.

Takie zapatrywanie potwierdza fakt, że w demonstracyach wielką rolę odgrywał element polityczny; dla niejednego stronnictwa wykonanie prawa jest okazyą, by wykazać, że republika wszystkiemu winna i by znowu po raz tysiączny, republikę obalić.

»Mamy jej dosyć, odzywa się orleański *Soleil*. Rouvier oznajmił, że użyje wszelkich środków, by prawo przeprowadzić. Jakie to środki? Dadzą się wyrazić w jednem słowie: przemoc, brutalna, cyniczna przemoc, która od dawna już postawiła policyę i żandarmeryę na żołdzie brudu i rozboju. Prawo? Cóż to za prawo? Liczebna większość je uchwaliła, nie by bronić praw i wolności obywatelskiej, lecz by zdruzgotać i ograbić politycznych przeciwników. Tymi przeciwnikami są katolicy, których wiarę chce się zniszczyć, a których dobra chce się skraść. Jakąż jednak wartość ma prawo, jeżeli nie jest wyrazem sprawiedliwości, lecz narzędziem tyrańskwa? Żadnej. Republikanie łamią wszelkie zasady, poświęcają nasze obywatelskie wolności swemu fanatyzmowi, są dosyć bezczelni by chcieć nas zmusić do posłuszeństwa lub uszanowania dla ich bezprawnych praw. Co to, to nie! Odpowiadamy im jako Francuzi, obywatele, chrześcijanie, że czynny opór przeciwko takim prawom jest najświętszym z obowiązków«.

Przytaczając ten ustęp nie myślimy bynajmniej twierdzić, że wszyscy z tych samych pobudek działali, chodzi nam tylko o wykazanie, że na podobnych scenach nie można zbyt wiele budować, ani oddawać się większym nadziejom. Gdyby tu chodziło tylko o religię, nie mielibyśmy tych zaciętych napaści na biskupów i księży, którzy nawoływali do posłuszeństwa i nie chcieli ani słyszeć o jakimś zbrojnym oporze; ale księża stanęli w poprzek politycznym tendencyom, a wtenczas już nie znano żadnego hamulca. To też rozumne i prawdziwie katolickie sfery nie pochwalają demonstracyi.

Tymczasem przygotowują we Francyi adres do Ojca św. Słowa adresu zdają się na razie stać w sprzeczności z powyższymi wywodami: »Jakiekolwiek będą rozkazy Stolicy św., podpisani poddadzą się z pełną najgłębszego uszanowania ufnością i posłuszeństwem, jeżeli jednak — te słowa są bardzo znamienne — Wasza Świątobliwość wezwie do czynnego oporu, odpowie naszemu gorącemu życzeniu, które jest: cierpieć i walczyć za katolicką Francyę«. Papież już odpowiedział a odpowiedział prawdopodobnie inaczej, jak sobie tego różne stronnictwa życzyły. Wykazał on tak samo dobitnie, jak w »białej księdze« niesprawie-

dliwość leżącą w uchwaleniu ustawy i w formie jej ogłoszenia, niebezpieczeństwa z niej dla Kościoła wypływające, potępił ją jako przeciwną prawu natury, prawu narodów i wierności winnej każdemu traktatowi a obiecawszy na później praktyczne wskazówki i wezwawszy duchowieństwo do obrony praw i wolności Kościoła (bez czyjejkolwick jednak obrazy) i do miłości chrześcijańskiej, wezwał również i katolików nie do oporu i gwałtu, lecz do jedności i do poświęcenia dla wyższych celów swych zapatrywań i poglądów politycznych, zalecając wprawdzie, by bronili wiary, lecz w tej obronie szli za wskazówkami swych biskupów i duchownych. Tak wytrącił ostatnią broń z ręki tych, którzy utrzymywali, że ponieważ papież jeszcze nie przemówił, walka przeciwko prawu jest nie tylko dozwoloną ale wprost obowiązującą i pokazał, gdzie leży prawdziwa moc i siła katolików francuskich, a więc w jedności stronnictw politycznych pod hasłem katolickiem, której to jedności brak gangrenował i uniemożliwiał od szeregu lat wszelką donioślejszą w skutki działalność.

Encyklika wywołała we Francyi wrażenie połączone z pewnem rozczarowaniem. Jedni spodziewali się jej dopiero po ogłoszeniu dodatkowych przepisów a więc w pierwszych dniach marca, inni oczekiwali już teraz praktycznych wskazówek; zbyt żywi zauważyli z pewnem przerażeniem, że dzisiaj nie wolno im już wznosić barykad po kościołach, oportuniści uczuli się dość nieprzyjemnie z długiego snu zbudzeni. Cała jednak prasa omawia żywo słowa papieskie, rozumie się według swych specyalnych zapatrywań.

Prasa monarchistyczna uwydatnia przedewszystkiem zawarte w encyklice słowa potępienia, nacyonalistyczna spodziewa się upragnionej jedności i biernej ale wytrwałej walki Kościoła przeciw państwu, oportunistyczna twierdzi, że encyklika nie odpowiedziała oczekiwaniom, gdyż teoretycznem potępieniem prawa nie usunie go z widowni a praktycznych wskazówek nie daje, socyalistyczna i radykalna widzi w niej wezwanie do poddania się i przypuszcza, że niezadługo pojawi się inna encyklika, głosząca już tylko posłuszeństwo: »To będzie śmieszny koniec niesmacznej komedyi« *(Lanterne)*. Najrozumniej jeszcze wyraziła się *Liberté:*

»Zrozummyż wreszcie przestrogę wychodzącą z Rzymu i poprawmy, o ile się tylko da, w uzupełnieniach ustawy wszystko to, co niepokoi Stolicę Apostolską. Starajmy się, żeby ta ostatnia sposobność do uratowania religijnego pokoju, któregośmy się spodziewali, bezowocnie nie minęła«. Roztropne to słowa, tylko nie padną one prawdopodobnie na żyzną glebę.

Przyczynek do dziejów dzisiejszego protestantyzmu.

Dziś jeszcze często w pismach protestanckich spotkać się można ze zdaniem, które i w pewnych sferach naszego społeczeństwa słyszeć się daje, że tylko protestantyzm jest religią odpowiadającą potrzebom i godności człowieka i że on właśnie przechował nieskażoną pierwotną wiarę Chrystusa, *das reine Evangelium,* którą już dawno Kościół katolicki spaczył i której się wyrzekł. Na czem ta nieskażona, pierwotna wiara polega, wykaże kilka następujących faktów z ostatnich miesięcy.

Pastor dr. Fischer z Berlina, wywodził w publicznym wykładzie, że całe objawienie nie istnieje już dla współczesnej świadomości; Kościół narodowy będzie bez wyznania. Przeciwko ubóstwianiu Chrystusa trzeba ostro wystąpić. Chrystus nie może być przedmiotem religii ani przedmiotem kultu. I dwudziestu ośmiu berlińskich pastorów zażądało z tej okazyi dla siebie wolności swoich zapatrywań teologicznych.

Pastor Jatho z Kolonii daje w swych kazaniach nowy światopogląd, który identyfikuje Boga i świat. Jezus jest, według niego, synem naturalnym Józefa; nie można przyjąć innego odkupienia jak tylko samoodkupienie; Pismo św. w sprawie zbawienia duszy nie jest bynajmniej miarodajnem, dlatego też pewnie chrzci on dzieci nie »w imię Ojca«, lecz »w imię prawdy«.

Pastor Schmaltz wątpi o dziewiczem narodzeniu się Chrystusa i nie może uwierzyć w Jego zmartwychwstanie.

Pastor Römer utrzymuje w kazaniu, że jak pogańska mitologia niektórym wybitnym postaciom, jak np. Aleksandrowi W., Herkulesowi, Augustowi i innym przypisała przymioty Boskie, tak to samo pogańskie pojęcie zostało przeniesione i na Chrystusa i tym sposobem Chrystus został Bogiem. Mimo to Römera

wybrano proboszczem, a gdy wyższa Rada kościelna nie śmiała go potwierdzić, wystąpili różni członkowie z rad i ewangelickiego Związku a to z powodu nietolerancyi tych instytucyi.

Pastor Scipio ze Szczecina podziela zapatrywania Römera.

Pastor Burggraf z Bremy urządza w kościele kazania o dramatach Szylera; w Wielki Piątek np. mówi o Maryi Stuart.

Mauritz, tamtejszy kaznodzieja katedralny, woła: »Precz z chrześcijaństwem! dla nas ono już nie istnieje. Precz z religią życia przyszłego, precz z romansami wieczności! Od chrześcijaństwa jużeśmy się odwrócili, mamy naszą własną religię. Z chrześcijaństwa zabraliśmy jeszcze pewne stare rupiecie. Takiem starem rupieciem jest »Ojcze nasz«. Odmówimy tę modlitwę zaraz, ale każdy może sobie przytem myśleć, co chce«.

Pastor Kalthoff z Bremy, znany i czytany niestety i u nas, odkrył, że Chrystus wogóle nigdy nie istniał, i że jest on tylko postacią mityczną.

Dwaj ostatni razem z pastorem Steudel potępiają jako fałszywe i tamujące kulturę trzy następujące zasady: istnienie Boskich, objawionych prawd, którym poddać się trzeba; istnienie sił i mocy nadprzyrodzonych i istnienie przyszłego życia.

To tylko mała wiązanka tych dziwnej woni kwiatów, a mimo to protestanckie pisma pouczają nas często, że protestantyzmu celem jest przynieść katolikom światło i wiarę.

Jeżeli tych kilka faktów rzuca dziwne światło na stosunki panujące w kościele protestanckim, to niemniej dziwnie oświetla tolerancyę protestancką burza, jaka powstała w Niemczech na wiadomość, że księżniczka angielska, Eugenia Battenberg, narzeczona króla hiszpańskiego, ma przejść na katolicyzm. *Reichsbote* i *Magdeburger Zeitung* utrzymują, że może ona przecież być królową hiszpańską a mimo to zostać protestantką. Prawda! że co wolno w Hiszpanii, nie wolno w Prusach. Jeszcze niedawno pisała *Kreuzzeitung*, że katoliccy wyżsi prezydenci w Brandenburgii, Saksonii i na Pomorzu to sprzeczność w samem pojęciu słowa. I dlatego też pewnie *Hannoverscher Kurier* i inne dzienniki tamtejsze, żądały stanowczo, aby panujący dom saski zamienił katolicyzm na protestantyzm; dlatego też zapewne starają się w Ba-

denie wszelkiemi siłami, aby następstwo tronu przeszło na księcia protestanckiego, który z powodu mezaliansu jest od tronu wykluczony — grozi bowiem niebezpieczeństwo, że wielkim księciem mógłby zostać katolik; dlatego wreszcie nie tak dawno książę Paweł Fryderyk meklemburski musiał wyrzec się tronu, ponieważ wziął katoliczkę za żonę.

Stara scholastyka, na którą tyle dziś rzuca się gromów, rozumiała jednak dobrze naturę ludzką, gdy wypowiedziała zdanie: gdy dwóch robi to samo, nie jest to jednak tem samem. Prawdę tego zdania zrozumiały też widocznie *Leipziger Neueste Nachrichten* pisząc: »Niemieccy koloniści z nad Wołgi muszą swe dzieci posyłać do szkół, w których niemczyzna jest wprost potępiona i wydrwiona. W szkole jednak, jak to wiadomo, nikt się jeszcze języka nie nauczył, to też ostatecznym celem tej głupiej pedagogii jest obniżenie poziomu kultury niemieckich kolonistów«. *Nachrichten* są ze wszystkich hakatystycznych organów pismem najbardziej może polakożerczem, mimo to zapatrywanie na sprawę kolonistów niemieckich w Rosyi nie sprzeciwia się ich »ostatecznemu celowi«, gdyż ratuje je powyższa scholastyczna zasada.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata odkryć i wynalazków.

Teorya elektronów a grawitacya. — Polonium i radyotelur prof. Marckwalda. — Z biologii molów. — Sztuczne barwienie motyli.

Gwałtowne tempo, w jakiem przez ciąg ośmiu ostatnich lat rozwija się najnowsza gałąź fizyki, tak zwana fizyka elektronów, obecnie nieco zwalnia, a korzystając niejako z tego fizycy teoretycy, zaczynają się powoli rozglądać baczniej koło siebie i dostrzegać, jak z różnych kątów i szczelin wyłażą rozmaite wątpliwości i trudności.

Działo się to i dziać się będzie zawsze z każdą nową hypotezą. Utworzona celem wytłumaczenia świeżo odkrytych zjawisk, zapozwana następnie zostaje, by zdała sprawę z tego, jak z jej punktu widzenia przedstawiać się i objaśniać mają zjawiska już dawniej znane. Wiadomo, że teorya elektronów doszła do wniosku, stawianego w for-

mie nieśmiałego przypuszczenia, iż owe chemicznie najdrobniejsze cząstki materyi, zwane atomami, nie są czemś jednolitem, lecz składają się z ujemnie i dodatnio naelektryzowanych elektronów, które już nie mają cech materyi zwykłej, lecz są znowu najmniejszemi cząstkami fluidum elektrycznego, jakgdyby atomami elektryczności. Innymi słowy, zachwiano wiarę w istnienie tej grubej, w nas i naokoło nas znajdującej się materyi, a natomiast postawiono tezę, że cały wszechświat utworzony jest z rozmaicie ze sobą zespolonych cząstek elektryczności, tak zwanych elektronów. Hypoteza ta, która świetnie tłumaczy istnienie owych przeróżnych nowych, dla oka niewidzialnych promieni, jakoteż naturę i sposób działania radu, polonu i innych promieniotwórczych substancyi, która wreszcie zbliża nas może do rozwiązania tego ciągle niepokojącego problemu, jakim jest wzajemne oddziaływanie na siebie materyi i elektryczności, napotyka jednak już teraz przy bliższem rozpatrzeniu się w niej, na dwie walne trudności. Wynikają one ze znanego prawa wzajemnego przyciągania się ciał, czyli grawitacyi.

Ciała wszystkie we wszechświecie, tak najmniejsze pyłki, jak i olbrzymie planety i słońca przyciągają się i to z siłą tem większą, im większe są ich masy, proporcyalną mianowicie do iloczynu z tych mas. Przyciąganie to zależy nadto od odległości ciał od siebie, tak, że gdy ciała położone są dwa razy bliżej, oddziaływują na siebie z siłą cztery razy większą. Prawo to, zwane prawem powszechnej grawitacyi, a sformułowane przez Newtona, pod względem ogólności, ścisłości a zarazem genialnej intuicyi, z jaką zostało wykryte, niema prawdopodobnie równego sobie w całokształcie nauk ludzkich. Podziwiamy dziś wielu geniuszów, którzy pracami swemi rozsuwali mgły i przebijali skały, zacieśniające horyzont współczesnej wiedzy ludzkiej, a naukami i wygłaszanemi przez siebie poglądami, wskazywali myśli ludzkiej nowe drogi. Z biegiem czasu jednak wiele z tych poglądów i nauk tak gruntownej uległo zmianie i przebudowaniom, że z gmachu przez nich wzniesionego niepozostało nieraz nic, prócz miejsca i tablicy pamiątkowej, na której wypisano, że pod uprawianą tu gałąź wiedzy, ten lub ów umysł genialny rzucił fundamenta. Inaczej z prawem grawitacyi Newtona. Stoi ono niezachwiane już przez trzy blizko wieki a i dziś jest uznawane w całej pełni, chociaż obserwacye i pomiary fizyczne i astronomiczne osiągły stopień dokładności i delikatności, o jakiej za czasów Newtona marzyć nie było można.

Gdy Newton wygłosił prawo grawitacyi, pierwszą oczywiście dąż-

nością uczonych było wytłumaczyć ten tak jednolity mechanizm wszechświatowy, objawiający się w tem prostem a zagadkowem oddziaływaniu. Usiłowano wydrzeć przyrodzie tajemnicę, w jaki sposób się dzieje, że ciała o miliony i miliony mil od siebie oddalone z niezmierną siłą przyciągają się wzajemnie. Newton sam nie lubiał zapuszczać się w tego rodzaju spekulacye; wykrywszy to powszechne prawo działania, przyjął je poprostu za fakt, a niechciał go wcale tłumaczyć. Tymczasem powoli, zwłaszcza po śmierci mistrza, umysły tak przyzwyczaiły się do owego przyciągania zdala, że nie znalazłszy innego wyjaśnienia, nawet ściśli fizycy, wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczęli wierzyć, że ciała mogą na siebie odziaływać na odległość, bez żadnego bezpośredniego łącznika, jakgdyby ktoś z brzegu samą tylko wolą chciał kierować pływającym po morzu statkiem. Mistyczny ten i niezdrowy pogląd na ustrój przyrody runął dopiero w drugiej połowie XIX wieku, po wysiłkach dwóch nowych geniuszów angielskich, Faradaya i Maxwella, którzy wyrugowawszy mniemanie, iż ciała naelektryzowane działają na siebie z dala, bez żadnego pośrednictwa, wszelkie oddziaływanie na odległość usunęli z naukowych hypotez. Z miejsca, w którym znajduje się źródło elektryczności, uczyli oni, rozchodzi się działanie w postaci fal, będących zmianami pewnemi w eterze kosmicznym, ośrodku, wypełniającym cały wszechświat. Ten sam eter musi także być pośrednikiem, umożliwiającym owo powszechne ciążenie ciał ku sobie.

Jeżeli idąc za teoryą elektronów, przyjmiemy, że materya jest zlepkiem cząstek elektryczności, to rola eteru w grawitacyi natychmiast się wyjaśnia. Ciała kosmiczne nie ciążą ku siebie z oddala, jak dwie nastrojowo usposobione dusze, lecz działają na siebie po prostu jak dwa ładunki elektryczne, za pośrednictwem wszystko wypełniającego eteru, gotowego daleko i szeroko rozwłóczyć po całym wszechświecie wszelkie sympatye i antypatye elektrycznej natury. Lecz tu właśnie teorya elektronów napotyka na trudności. Materya jest złożona z cząstek elektrycznych, dodatnich i ujemnych, a więc ciała nietylko powinny się wzajemnie przyciągać, lecz w niektórych przynajmniej przypadkach objawiać się winno między nimi także i odpychanie, podobnie jak to ma miejsce między ciałami naelektryzowanemi, na mocy znanej zasady, że elektryczności różnoimienne się przyciągają, równoimienne zaś się odpychają. Tymczasem takiego odpychania się nigdzie we wszechświecie całym nie zauważono, siła grawitacyjna stara się zawsze ciała do siebie zbliżyć, nigdy zaś nie oddala ich

wzajemnie. Ażeby tę trudność usunąć, przypuszcza Lorentz, że przyciąganie się dwóch różnoimiennych ładunków elektryczności jest większe, niż odpychanie się takichże ładunków równoimiennych. Różnice tych działań, chociaż w pojedynczych wypadkach słabe, sumując się, dawałyby w rezultacie owo znaczne przyciąganie, jakie nazywamy grawitacyą. Przypuszczenie to jednak znakomitego fizyka, chociażby nawet zdołało wyjaśnić wszystkie zjawiska grawitacyjne, dotychczas doświadczalnego niema jeszcze uzasadnienia.

Drugim szkopułem nie małej wagi, na który napotyka teorya elektronów, a wynikającym również z grawitacyi, jest kwestya tak zwanych osłon elektromagnetycznych. Fale elektromagnetyczne, rozchodzące się w eterze, mają zdolność przenikania ciał materyalnych, ale nie wszystkich. Smoła, szkło, szelak i wiele innych substancyi, zwanych przewodnikami złymi elektryczności, przepuszczają fale elekryczne bez przeszkody. Natomiast przewodniki dobre, jak metale, są dla tych fal nieprzeźroczystymi. Stąd, ażeby przedmiot jakiś od działań elektryczno-magnetycznych uchronić, otacza się go płytami metalowemi, które w ten sposób stanowią doskonałą przed falami temi osłonę. Jest to zupełnie analogicznem do fal świetlnych, które także nie są niczem innem, jak tylko bardzo krótkiemi falami elektromagnetycznemi. Wiemy, że i dla światła niektóre ciała, jak szkło, kwarc, woda są przeźroczyste, inne zaś, mianowicie metale, a więc przedewszystkiem przewodniki dobre, światła nie przepuszczają. Tymczasem zasłon grawitacyjnych dotychczas nieznamy, to znaczy nie mamy sposobu, zapomocą którego możnaby ciało jedno osłonić przed przyciąganiem drugiego. Siła grawitacyjna działa zawsze, chociażby pomiędzy dwoma ciałami, znajdowały się setki jakichkolwiek ciał innych, dobrych czy złych przewodników.

Teorya elektronów natrafiła tu więc na przeszkody i dalsze badania, może dopiero w dalekiej przyszłości, wykażą jej wartość. Wobec nich będzie musiała uledz albo gruntownej zmianie, albo też owszem, jak każda prawdziwie dobra i użyteczna hypoteza, naprowadzi badaczy na ślad bogatej żyły nowych a dotychczas nieznanych zjawisk.

* * *

Dziwnym zbiegiem okoliczności, bo o złą wolę posądzać tu nie wolno, nawet na polu ścisłej nauki wystąpił przeciwko polskiemu imieniowi profesor uniwersytetu berlińskiego Marckwald, którego kampania przeciwko odkrytemu przez rodaczkę naszą p. Curie-Skłodowską

polonium, nawet między uczonymi angielskiemi wywołała pewien niesmak.

Polonium to pierwsza substancya wybitnie promieniotwórcza, jaką p. Curie-Skłodowska nowemi swemi metodami badania wykryła; drugim owocem tej samej seryi badań było radium. Dłuższy czas wszelako nie umiano odpowiedzieć na pytanie, czy te substancye są nowymi pierwiastkami, czy też mięszaniną, lub szczególną jakąś formą ciał już znanych. Badania dalsze wykazały, że radium jest na pewno nowym pierwiastkiem, co do polonium jednak sprawa pozostała dalej w zawieszeniu, nie można bowiem było otrzymać tej substancyi w dostatecznej ilości, by dokonać nad nią pewnych i decydujących badań zapomocą analizy spektralnej, które dotychczas jedynie mogły te wątpliwości rozwiązać. Sprawa zawikłała się jeszcze bardziej, gdy w r. 1902 na zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Karlsbadzie, wystąpił wyżej wymieniony prof. Marckwald z odczytem, w którym zawiadomił o dokonanem przez siebie odkryciu nowej substancyi promieniotwórczej, którą później nazwał radyotelurem, a która własnościami swemi, głównie zaś tą, że wysyła z siebie same tylko promienie bardzo mało przenikliwe, wielce przypominała polonium. Prócz tego oświadczył Marckwald, że według jego zdania polonium nie jest wcale osobnym pierwiastkiem, a więc należało tę nazwę porzucić.

Postępowaniem swem ściągnął jednak Marckwald nawet u bezstronnych angielskich fizyków zarzut nielojalności. W świecie bowiem naukowym, jak wogóle wszędzie, jest zwyczaj, że pierwszy odkrywca nadaje wynalazkowi swemu nazwę. Należało więc, zdaniem uczonych, zaczekać z ogłoszeniem nazwy radyoteluru, zanim dalsze badania nie wykażą na pewno, że substancya ta jest czemś rzeczywiście różnem od polonium; inaczej p. Skłodowska zatrzymuje swe prawa pierwszeństwa do wynalazku, a w nauce uznaną być musi nazwa przez nią nadana. Obecnie zdaje się, że praca przedłożona przez p. Skłodowską przed kilku tygodniami akademii francuskiej, sprawę tę definitywnie załatwia.

Najczulszym i wypróbowanej pewności środkiem badania chemicznego składu ciał, była dotychczas analiza spektralna. Zapomocą niej można wykryć obecność pierwiastków w niezmiernie drobnej znachodzących się ilości. Jednak gdy chodzi o ciała promieniotwórcze, jeszcze i ta metoda okazała się niedostateczną. Przyrządy elektryczne wykazują napewno obecność tych ciał, podczas gdy analiza spektralna nawet ich śladu wykryć jeszcze nie zdoła.

Obecnie też oparta na długoletniem doświadczeniu i badaniach czuje się p. Skłodowska uprawnioną do wypowiedzenia zasady, która dla dalszych badań fizycznych będzie z pewnością niezmiernie doniosłą. Wiadomo mianowicie, że ciała promieniotwórcze nie wysyłają ze siebie promieni o ciągle jednakowem natężeniu, lecz przeciwnie moc ta ich maleje i zmienia się rozmaïcie. Otóż prawo wygłoszone przez p. Skłodowską orzeka, że szybkość z jaką natężenie owych niewidzialnych, sposobami np. elektrycznymi wykrywanych promieni opada, jest istotną cechą każdej promieniotwórczej substancyi, tak, że z niej napewno można poznać, z jakiem promieniotwórczem ciałem mamy do czynienia, bez dalszego uciekania się do innych metod badania.

Pozostawiwszy tę zasadę utrzymuje p. Curie-Skłodowska z całą stanowczością, że substancya, nazwana przez nią polonium, jest zupełnie identyczną z radyotelurem Marckwalda, siła bowiem promieniotwórcza obu tych ciał maleje z jednaką szybkością, mianowicie po 140 dniach zmniejsza się do połowy. Wobec tego domaga się polska badaczka stanowczo, ażeby zarzucono nazwę r a d y o t e l u r a substancyę tę, odkrytą przez nią, badaną następnie przez Marckwalda, nazywano dalej p o l o n i u m. Nazwa więc polska przez Marckwalda zamieniona, zostanie owej substancyi przywróconą. Doczekamy się może kiedy, że i uczeni geografowie pójdą w dziedzinie swej nauki za przykładem fizyków.

* * *

Ujarzmianie elementarnych sił przyrody, poznawanie ich własności i zaprzęganie w służbę człowieka, odbywa się w ostatnich lat dziesiątkach bardzo szybko, oddziaływa też gwałtownie na przemiany stosunków społecznych i cywilizacyjnych. Jednak pamiętać należy, że wśród tego podłoża fizycznej materyi wre ciągłe życie, a niezliczona ilość istot, pod wieloma względami tym samym, co i my, prawom życiowym podległych, tysiącami nierozdzielnych węzłów z nami złączonych, dzieli z nami to ziemskie mieszkanie, prowadząc z nami lub przeciwko nam ową ciągłą a nieubłaganą walkę o byt, od której żadna żyjąca istota uchylić się nie może. Nie leży w naszej mocy usunąć się z pod działania tych naszych współmieszkańców, mieszczą się oni w nas i koło nas, a nie troszcząc się o nasze zezwolenie, wywierają decydujący nieraz wpływ na wszystko, co się nas pośrednio lub bezpośrednio dotyczy. Gruntowne zapoznanie się też z ich sposobem życia, ich dobrymi i złymi przymiotami odnośnie do człowieka, byłoby

może o wiele donioślejsze dla losów ludzkości, niż zbadanie sił martwej przyrody. Mimo jednak licznych, a z niezmiernym mozołem dokonywanych prac i badań nad biologią zwierząt, przyznać trzeba, że nasza znajomość świata zwierzęcego jest jeszcze stosunkowo znikająco małą, a nawet i postępy w tym kierunku dokonane są w porównaniu z postępami na polu praw fizycznych bardzo nikłe. Przyczyna leży głównie w istotnej różnicy badań fizycznych i biologicznych. W fizyce ma się zwyczajnie do rozporządzenia każdego czasu dowolnie obfity do doświadczeń materyał; nadto wnioski i rezultaty zdobyte w pewnej mniejszej grupie zjawisk, można po największej części uogólniać, rozciągać do materyi i zjawisk całego wszechświata. W biologii trzeba postępować natomiast bardzo ostrożnie, sposobem ściśle monograficznym. Zanim dojdzie się do znajomości jednej formy, jednego gatunku zwierzęcia, trzeba wprzód robić obserwacye nad całym szeregiem osobników i dopiero po ostrożnem oddzieleniu faktów, będących własnością danego indywiduum, można posunąć się do formułowania ogólniejszych wniosków. Gdy dodamy do tego trudność zdobycia okazów potrzebnych do badań, konieczność liczenia się z warunkami klimatycznymi i lokalnymi, łatwo przyjdzie zrozumieć, dlaczego nauka na tem polu, pomimo tylu wysiłków, małe stosunkowo osiągnęła zdobycze.

Pojawianie się też takich monografii biologicznych, zaznajamiających nas bliżej z sposobem życia i właściwościami jednego chociażby zwierzęcia, należy zawsze witać z radością, tem bardziej, jeżeli przedmiotem pracy jest zwierzę, swym sposobem życia bezpośrednio w nasze codzienne wplątane stosunki. Taką właśnie kartę do biologii zwierząt dorzucił świeżo młody polski przyrodnik, zajmujący się specyalnie badaniem motyli, p. L. Sitowski. Rezultat jego badań i doświadczeń nad naszymi dobrymi znajomymi, molami, niszczycielami naszych sukien i materyi, ogłasza krakowska Akademia Umiejętności w 45-tym tomie swych rozpraw. Z kilkoma bardzo interesującymi szczegółami, zaczerpniętymi z tej publikacyi, pragniemy naszych czytelników zapoznać.

Pojawienie się w pokoju mola, owego złotawego, zwinnego motylka, napawa mieszkańców większą nieraz trwogą, niż całe zastępy skrzydlatych, nazwą swą hakatę przypominających gospodarzy kuchennych, stanowiących po miastach zwłaszcza nieodłączny żywy inwentarz każdej niemal kamienicy. Żaden przyrodnik nie ugania po polach za najrzadszymi motylami z większym zapałem, niż nasze gospodynie

za pięknym motylem mola domowego. Celem pozbycia się tego napastnika ogłasza się stan wzmocnionej ochrony w całym domu, przetrząsa się wszystkie meble, szafy i komody, a nawet nie cofa się przed zastosowaniem tak radykalnych środków, jak przepojenie atmosfery całego mieszkania i garderoby, wstrętną wonią naftaliny. Tymczasem motyl sam jest zupełnie niewinny, tylko jego przeszłość i przyszłość usprawiedliwić mogą zajadłość, z jaką ludzkość go prześladuje.

Zdarza się, niestety nawet zbyt często, że wyjmując w jesieni lub po dłuższej podróży, dłużej nie używane ubrania, lub futra, spostrzegamy na nich żółtawy pyłek, a tu i owdzie małe, białawe, wesoło i swobodnie się kręcące gąsieniczki. Jest to właśnie młode pokolenie mola. Złożone tu przed kilkoma tygodniami przez swe matki w postaci drobnych jak mak jajek, dwa do trzech tygodni spoczywały w embryonalnych osłonkach, na miękkiej podłoży naszych ciepłych lub balowych sukien. Wyszedłszy z skorupki jajowej jako piękne, białe, czerwonawą główką opatrzone gąsieniczki, pobudowały sobie z nitek materyi, na której mieszkają, małe domki i teraz przez forsowne odżywianie się, gromadzą siły i materyał na dalsze losy i przemiany życia. A są one przy tem wcale wybredne. Ze znawstwem, mogącem zawstydzić najlepszego krawca, umieją rozróżnić wełnę prawdziwą od bawełny, tę drugą odrzucają ze wzgardą, a żywią się tylko nitkami wełnianemi. Stąd spostrzegłszy, że suknie nasze zostały zniszczone przez mole, możemy mieć tę przynajmniej pociechę, że materya ta była utkana z pradziwej wełny. Pokarm, jakiego gąsienica w wełnie szuka, jest to substancya rogowa, znajdująca się we włosach zwierzęcych i ludzkich, zwana keratyną, a zawierająca w swym składzie węgiel, wodór, tlen, azot, a nadto nieco siarki. Pożywienie to jednak twarde, trudno-strawne i jak pokazały badania, każda jego porcya przez dobę ciąży biednej gąsieniczce w żołądku, zanim choć częściowo ulegnie strawieniu. Dlatego też zjada ona chętnie i inne przysmaki, znajdujące się skąpo wprawdzie we włosach wełny, jak resztki tłuszczów, ciał białkowatych i węglowodanów, pochodzących od zwierząt, z których włosów materya zrobiona. Toteż najlepiej się powodzi gąsienicom, żyjącym na zwykłem suknie góralskiem, które jako źle odtłuszczone, wiele tych cennych substancyi zawiera.

W życiu mola, podobnie jak u innych motyli, rozróżnić należy cztery stadya: rozwój embryonalny w jajku, życie larwalne w postaci gąsienicy, a następnie poczwarki i życie formy doskonałej, tj. motyla. Zarodek w jaju rozwija się, jak już widzieliśmy, w ciągu dwóch do

trzech tygodni, po czem wykluwa się na zewnątrz gąsienica, która żyje i rośnie przez kilka tygodni, a następnie zamienia się w poczwarkę, w którym to stanie trwa nieruchomo dwa do trzech tygodni. Z poczwarki wychodzi motyl, tem się odznaczający, że nie ma rozwiniętych narzędzi pyszczkowych, tak, że w ciągu całego swego życia, trwającego około miesiąca, nie przyjmuje żadnych pokarmów, to też jest zupełnie nieszkodliwy. Mimo to motyl ten jest bogato zaopatrzony w materyały odżywcze i z tego zapasu nietylko sam doskonale żyje, lecz samica składa nadto mniej więcej 60 jaj, z których potem wylęgnąć się mają gąsienice nowego pokolenia.

Widzimy, że mól w jednej tylko fazie całego swojego życia, to jest w stadyum gąsienicy, przyjmuje pokarm. Nic więc dziwnego, że gąsienica ta odżywiać się musi bardzo intenzywnie, ma bowiem nie tylko róść i rozwijać się sama, lecz nadto musi zaoszczędzić tyle substancyi organicznych, iżby wystarczyło na życie i rozwój poczwarki, motyla i embryonów w jajach.

* * *

Przechodzenie tej samej materyi zapasowej z gąsienicy do wszystkich stadyów owadu przez cały cykl rozwojowy, naprowadziło na bardzo interesującą seryę doświadczeń. Już dawniej znanem było zjawisko, że gąsienice owadów, żyjące na roślinach, przybierają kolor pokarmu, którym się żywią. Widocznie barwik roślinny przechodzi nierozszczepiony do gąsienicy i osadza się w jej materyałach zapasowych. Tę kwestyę można bliżej i łatwiej zbadać na gąsienicy mola. Substancya zapasowa w organiźmie zwierzęcia gromadzi się głównie w postaci tłuszczu. Trzeba więc podawać gąsienicy w jakiejś formie barwik, któryby z łatwością zabarwiał tłuszcz. Czyniono to w ten sposób, że na suknie góralskiem wychowane gąsienice przenoszono na wełnę, zabarwioną czerwienią sudanową, barwikiem, który z łatwością rozpuszcza się w tłuszczu. Gąsienice nie mając teraz innego pokarmu do wyboru, spożywać musiały tłuszcz na czerwono zabarwiony, razem z włosami wełny. Doświadczenie udało się znakomicie. Po trzech już dniach gąsienice zaczęły przybierać różowawy odcień, który szybko stawał się coraz wyrazistszy i w krótkim czasie stawały się wybitnie czerwone, podczas gdy ich siostry, zwykłą żyjące strawą, zatrzymywały dawny wygląd biały. Tak zabarwione gąsienice rozwijały się dalej doskonale, przepoczwarczały się normalnie i po upływie zwykłego czasu wychodziły z poczwarek motyle — tylko, że tak te poczwarki,

jak i motyle, były znowu wybitnie różowo zabarwione, motyl zwłaszcza w tych miejscach, gdzie gruba chitynowa powłoka, jaka ciało owada osłania, staje się nieco cieńszą. A nawet i jaja zniesione przez taką sztucznie zabarwioną samicę, są różowe, tak, że można je z łatwością odróżnić od jaj, pochodzących od motyli niebarwionych.

Mechanizm tego interesującego zjawiska interpretuje autor w sposób prosty i oczywisty. W tłuszczu, znajdującym się we włosach wełny, na której mola żywimy, rozpuszcza się barwik sudanowy, barwiąc go na czerwono. W ten sposób zabarwione krople tego tłuszczu, spożyte wraz z włosami przez gąsienicę, dostają się bez rozszczepienia do ciała tłuszczowego gąsienicy i tu, niezmienione, zatrzymując swoją barwę czerwoną, pozostają jako materyał zapasowy na dalsze życie owada. Tem się tłumaczy niezmienna obecność barwiku w poczwarce i w doskonałej formie owada, motylu. Jajo, tworząc się w jajniku matki, musi oczywiście od niej otrzymać materyały potrzebne do dalszego, embryonalnego rozwoju. Ponieważ, jak widzieliśmy, ma ono podobnie, jak matka, także barwę czerwoną, więc widoczną jest rzeczą, że mechanicznie z tłuszczem matki pomięszana substancya barwika przechodzi do jaja; fakt bardzo ważny, ze względu na sprawę dziedziczności. Zaznaczyć jednak trzeba, że wylęgła z tych barwionych jajek blado różowa gąsienica, traci tę barwę, jeżeli ją chowamy na zwykłem podłożu. Żywiona natomiast pokarmem barwionym, barwi się szybko i bardzo intenzywnie.

Piękna ta i ciekawa .praca polskiego badacza ma więc także i znaczenie teoretyczne. Z uwag praktycznych należy podnieść jeszcze tę okoliczność, że tak gąsienice moli, jak i motyle same, nie lubią światła i starannie go unikają, natomiast substancye trujące, nawet takie jak chloroform i formalina, nie wielkie stosunkowo na nie wywierają działanie. Wniosek stąd oczywisty, że najlepszym i najpewniejszym środkiem przeciwko molom naszym, jest częste przewietrzanie przedmiotów, ich atakom podległych i wystawianie ich na działanie światła słonecznego.

Ks. Feliks Hortyński.

Pogadanka artystyczna.

Odbudowa Wawelu. — Pomniki na rynku krakowskim. — Nowe budowle krakowskie: gmach Izby handlowej, Towarzystwa Muzycznego i Akademii handlowej. — Wystawa »Sztuki«. — Wystrzyganki w służbie sztuki. — Los rzeźbiarzy polskich. — Chełmońskiego: Kościuszko przed bitwą pod Racławicami.

Nie wszystko co tworzy sztuka narodowa w naszych Atenach polskich godne słów podziwu i chwalby, nie; w ostatnim bowiem okresie czasu powstały dzieła szpetne, nieudolne swą twórczą siłą, obok rzeczy kapitalnych, godnych tradycyi starego Krakowa. Królowa piękna, architektura, budzi się dopiero do nowego życia na opoce wawelskiej. Czy wstanie majestatyczna i pięknem prawdziwem jaśniejąca, nie w naszej mocy przewidzieć. Dzielny architekt stanął na czele wielkiego przedsiębiorstwa narodowego, przywrócenia Wawelowi królewskiej godności. P. Zygmunt Hendel podjął się tego ze wszechmiar trudnego, jak również zaszczytnego zadania. Dokonane przez niego dotychczasowe odnowy starożytnych budowli wróżą jak najlepiej i dają gwarancyę, iż również tej wiekopomnej pracy, dokona z prawdziwem znawstwem a pietyzmem dla przeszłości. Niejednakowo pietyzm ten rozumiany bywa, poglądy w tym względzie rozchodzą się dyametrycznie. Konserwatorowie pragną wszystko uratować co jest spuścizną wieków — inaczej dzieje się z synami Apollina, którzy bogactwem swej fantazyi pragnęliby bez zbytniego liczenia się z przeszłością stworzyć jakby nowy polski Wersal na uroczych wyżynach Wawelu. Rzeźbiarz p. Wacław Szymanowski, przejęty wzorami gallickimi rozwija (fejleton *Czasu* nr. 30, r. 1906) fantastyczny obraz przyszłych budowli zamkowych, burzy kuchnie królewskie, rozrywa zasadniczy czworobok włoskiej struktury, otwiera dalekie perspektywy, jak w parku z czasów Ludwika XVI, mauzolea, jak świątynie Sybilli z epoki pasterek i idyllicznych obrazów. Autor marzy »O przyszłości Wawelu«, nie chce »monotonnego i smutnego powtórzenia przeszłości« ale motywem architektonicznym »lekkich i powiewnych prawie galeryi balkonów« powtarzającym się jak »główna melodya w uroczej symfonii«, tworzy poetyczny program zabudowania wzgórza. Otóż nieporozumienie. Wszak kardynalnym celem, który był i jest niewzruszonym dla nas to o d n o w i e n i e W a w e l u a nie jego zabudowanie, konserwacya królewskiej rezydencyi, przywrócenie zeszpeconym murom dawnej okazałości

a nie przekształcenie wyglądu całej góry. A potem autor pragnie potomności, naszym praprawnukom, narzucić swój sposób patrzenia na zadania architektury, swoją fantazyą ujarzmić przyszłość. Musiałaby ona być bardzo genialną i wyrazić się formą a nie słowami, byśmy ją jako prometeuszowej miary uznać mogli. Rozbujała fantazya jest zawsze wrogim przeciwnikiem rzeczywistości. Na razie bezpieczniej pozostawić potomności wolną rękę i swobodę czynu, niechaj każde pokolenie wypowie się w każdej epoce odmiennie swoim własnym sposobem, w formie oryginalnej, własnej, bo miejsca na olbrzymiem wzgórzu im nie braknie. Fantastyczny projekt rzeźbiarza znalazł bardzo silny oddźwięk w Wydziale Krajowym, który natychmiast po pojawieniu się fejletonu powołał go do komitetu budowy. Niewątpliwie, że program budowy powinien się zająć uporządkowaniem i upiększeniem wzgórza. Tutaj to potrzeba ożywczej twórczej myśli artysty i dlatego, nie osądzając trafności wyboru, Wydział Krajowy bardzo słusznie uczynił powołując do komitetu prócz p. Szymanowskiego, malarza p. Jana Stanisławskiego, jak również czyniąc zadość kardynalnej potrzebie pp. architektę T. Talowskiego i budowniczego J. Pakiesa. Wreszcie więc Wydział Kraj. spełnił swój obowiązek, na który wskazaliśmy w naszej poprzedniej pogadance o Wawelu. Artyści i archeolodzy krakowscy domagają się jeszcze od Wydziału Kraj. organizacyi stałego podkomitetu miejscowego krakowskiego, złożonego z ludzi zamieszkałych w Krakowie, któryby wykonywał stałą kontrolę, czuwał nad ścisłem wykonaniem uchwał komitetu krajowego i przygotowywał materyał dla obrad komitetu pełnego. Żądanie takie mówi samo za siebie. Poparł je na ostatniej sesyi sejmowej, światły poplecznik zdrowych myśli, hr. Piniński, natomiast Wydział Kraj. przechodzi milcząco nad tą sprawą doniosłego znaczenia do porządku dziennego.

Restauracya Wawelu postępuje tymczasem szybkiem tempem naprzód. Są to wszystko prace przygotowawcze, które energicznie prowadzi kierownik artystyczny odnowy, p. Hendel, na całej przestrzeni oddanej krajowi przez wojskowość. Mury ogołocono z tynku, by ułatwić ścisłe zbadanie wątku budowy i struktury. Już teraz wyszły na jaw bardzo ważne dla historyi zamku szczegóły architektoniczne, które rzucą niemało światła na wygląd zamku królewskiego w epoce gotyckiej. Jak się pokazuje, skrzydło położone najbliżej katedry z bramą wjezdną opiera się na starych murach średniowiecznych, które już w epoce XVI wieku uległy dwukrotnym przemianom. Najciekawszą częścią dotąd zasypaną gruzami, są podziemia w okolicy Kurzej Stopy, gdzie labi-

rynt piwnic z kamiennemi ławami i krokształynami, lochy z tajnem ujściem i t. p., budzą wielkie zaciekawienie badaczów przeszłości. Według uchwały komitetu z 12 lutego b. r. roboty restauracyjne i kamieniarskie rozpoczną się niebawem od wymiany zepsutych ciosów w ośmiu przęsłach arkadowego podwórza a równocześnie nastąpi ze względów na przeszłość zamku niesłychanie doniosłe przekopanie wszerz i wzdłuż całego podwórza zamkowego, aż do pierwotnego stałego terenu. Już przy wykopaniu płytkiego rowu pokazało się, że podwórze zamkowe jest formalnie zwaliskiem szczątków dekoracyjnych romańskich, gotyckich, renesansowych lub nawet barokowych.

U podnóża Wawelu stary Kraków po długoletnich sennych rządach liberalnych poprzedniego prezydyum miasta, ocknął się do życia, zabrał się żywo do pracy kulturalnej, twórczej. Powstają nowe urządzenia, kładą się nowe wygodne chodniki i wznoszą się nowe budowle. W środku miasta najpilniejszej poprawy wyczekuje Rynek krakowski, ten najpyszniejszy plac, niemający sobie równego na północy Europy. Prezydent Leo, który wniósł do Rady miejskiej ducha inicyatywy, obiecuje w niedługim czasie zająć się jego gruntownem uporządkowaniem. Zajmuje się tą sprawą również Towarzystwo upiększenia m. Krakowa, które wniosło do Rady miejskiej memoryał, w którym podnosi ze względów estetycznych niewłaściwość stawiania pomników b r o n z o w y c h na Rynku, wśród wysokich gmachów o ścianach z surowej, nietynkowanej cegły. Sąsiedztwo ich wpływa niesłychanie ujemnie na wygląd i wrażenie estetyczne pomnika, żaden bowiem pomnik bronzowy nie znosi tła o kolorze czerwonym, brunatnym lub zielonym, zaś najkorzystniej zawsze przedstawia się jako sylweta na tle nieba. Odwrotnie rzecz biorąc, nowożytny monument szkodzi niechybnie wielkim przestrzeniom pełnym słońca i światła starego Rynku, który sam dla siebie jest pomnikiem przeszłości, dziełem Bolesława Wstydliwego i św. Kingi, a któremu wieki następne dały malowniczą oprawę architektoniczną. Nowożytne pomniki modernizują go i rozdrabniają. Gdyby kto chciał dzisiaj na prześlicznej Piazza San Marco zbudować pomnik, podniósłby się przeciw temu protest i okrzyk oburzenia w całej Europie. To też nawet wenecki pomnik jezdny Wiktora Emanuela stanął na Riva degli Schiavoni, nie zaś na Placu św. Marka.

Towarzystwo upiększenia m. Krakowa żąda radykalnej zmiany na Rynku krakowskim; przedewszystkiem przeniesienia pomnika Adama

Mickiewicza na Plac Szczepański. Za przeniesieniem przemawiają, zdaniem mojem, nie tylko względy estetyczne, ale również wzgląd na sąsiedztwo kościołów. Manifestacye narodowe lub socyalistyczne skupiają się u stóp pomnika a głośne ich echa rozlegają się w sąsiednich trzech świątyniach katolickich (Panny Maryi, św. Barbary i św. Wojciecha) i w czasie nabożeństw mącą religijny nastrój i skupienie ludu pobożnego. Dziwna rzecz, jak międzynarodowy socyalizm chwyta chciwie każdą sposobność, by z Mickiewicza robić ojca idei socyalizmu polskiego, wbrew prawdzie i faktom, jak to w ostatnich czasach udowodnił prof. Kallenbach ze Lwowa. Komitet budowy pomnika Tadeusza Kościuszki w imię romantycznej idei zrodzonej równocześnie z pomnikiem Mickiewicza, że Rynek krakowski winien być Walhallą polską, postanowił toż samo bohaterowi z pod Racławic stawić spiżowy na Rynku pomnik. Towarzystwo upiększenia m. Krakowa zaofiarowawszy 10.000 K. na dokończenie budowy, domaga się bardzo słusznie, aby bronz Marconiego miał za tło błękit nieba i wskazuje, jako najodpowiedniejsze: miejsce pięciopromiennej gwiazdy zbiegu ulic: Szewskiej, Podwale, Krupniczej i Karmelickiej.

Nadmienić nam trzeba, że przeciw stawianiu pomników na Rynku krakowskim walczył gorąco Jan Matejko, wielki artysta i nieskazitelny patryota. Fałszywy kąt patrzenia u jednej części naszej wykształconej publiczności, która na dzieła twórczości artystycznej patrzy ze stanowiska polityki bieżącej chwili, mąci jasny sąd i każe sztuce pójść w służbę politycznego stronnictwa. Nie dosyć na tem, zagnieździł się między nami zły obyczaj, że każdy sądzi się być uprawnionym do rozstrzygania z największą łatwością choćby najzawilszych kwestyi estetycznych, przy których rozwiązaniu zawahałby się sam Michał Anioł. Jest to zupełnie co innego wypowiadać wrażenie estetyczne, co jest zaletą i dobrze mówi o myślących warstwach społecznych, a co innego rozstrzygać kwestye doniosłe artystyczne z pominięciem fachowego w rzeczach sztuki zdania a zwłaszcza w sprawach, które mają trwalsze znaczenie i pozostaną na zawsze świadectwem i miarą naszych aspiracyi artystycznych. W tych razach nazywamy tę działalność zarozumiałością, bo nie popartą pracą twórczą ani naukową, wykroczeniem poza swoją kompetencyę i wiedzę.

Do najzdolniejszych architektów krakowskich należy p. Franciszek Mączyński, jest to niezaprzeczenie najbardziej twórczy umysł, który umie być sobą, potrafi być oryginalnym. Przez budynek Izby handlowej zyskała ulica Sławkowska, której teren podnosi się ku ulicy

Długiej, bardzo malownicze zamknięcie. Budynek sam wygląda z daleka na stary kastel; niektóre motywy dekoracyjne przypominają sztukę ludową i nadają budowie piękny typ swojski. Patrząc na sylwetę gmachu z innego punktu, przedstawia się wieża mniej korzystnie, przysadkowato, strzelisty jej dach zanadto blizko poczyna się od zrębu magistralnych murów gmachu i stąd pochodzi jej ociężałość, która ginie, gdy patrzymy na nią, jak powiedzieliśmy, z ulicy Sławkowskiej, gdzie znaczny spadek terenu pozwala gmach obserwować z niższego punktu. W przebudowie starego teatru na nowy przybytek Melpomeny pomysłowy architekt rozwinął prawdziwe bogactwo dekoracyjne, miarkując jednak jego ilość poczuciem znaczenia szerokich płaszczyzn. Rozkład i podział, kolorystyczne odczucie i stworzenie na małej przestrzeni wdzięcznych perspektyw, to jej wysokie zalety. Akustyczna żółta sala Towarzystwa muzycznego, wysoka i przestronna, z galeryą obiegającą ją na wysokość jednego piętra, na zdobnych konsolach, z przepięknymi świecznikami elektrycznymi, przysłoniętymi witrażami — tworzą wspaniałą całość. Robi ona wrażenie iście europejskie. Dekoracya sal, foyer i westybulu jest dziełem malarza Eugeniusza Dąbrowy. Zdania co do jej wartości są podzielone, jedni chwalą bezwzględnie, inni niezdecydowanie wzruszają ramionami i dają do poznania, że lepiej tę rzecz rozumieją, niż sam artysta. Ornament westybulu bardzo silny kolorystycznie, gdyż barwy polnego maku o wykrojach wycinanek na popielatem tle — posiada wyrazisty charakter swojski. Nieco surowy i prostszy kontrastuje on z salami, w których fryzy z jasnych róż, wyki lub kwiatu tytuniowego użyczają zupełnie innego, więcej weselszego i jaśniejszego wejrzenia. Wewnętrzne urządzenie sal i gabinetów spoczęło w ręku Towarzystwa Sztuki stosowanej. W całem ujęciu sprawy przebudowy starego teatru, który przez 10 lat stał pustkowiem i przyprawił gminę ściśle biorąc o szkodę jakich 100.000 K. — znać nie tylko ducha inicyatywy w naszym zarządzie miasta, ale co więcej stanął on na stanowisku prawdziwego mecenasostwa sztuki.

Ale nie wszystkie gmachy nowozbudowane ozdobiły Kraków. Wniosek poety-malarza St. Wyspiańskiego, zmierzający do utworzenia przy Radzie miejskiej komitetu, któryby czuwał nad estetycznym wyglądem gmachów miejskich, okazał się zwłaszcza w bieżącym roku bardzo na czasie. Dość rzucić okiem na Akademię handlową, budowaną przez architekta miejskiego, by brak podobnej instytucyi odczuć boleśnie. Niefortunny dobór motywów architektonicznych, przesada w ich użyciu, jakoteż niespokój i fałszywy bieg linii w całej fasadzie żywo

przemawiają za większą kontrolą estetyki magistrackiej. Wszak to gmach monumentalny, który wiecznie będzie potomnym dawał świadectwo, żeśmy łożyli krocie na nieszczęśliwe pomysły.

Jak co roku tak i w ubiegłym dziewiąta z rzędu wystawa Towarzystwa »Sztuka« była w roku 1905 momentem najwybitniejszym w pałacu Sztuk pięknych. Prof. Wyczółkowski zorganizował prawdziwą wyprawę artystyczną w Tatry. Z towarzyszami swymi i prowiantami puścił się na szczyty naszych niebotycznych gór i tu w szałasie góralskim przemieszkał na studyach kilka tygodni, malując swoje świetne »Wrażenia z Tatr« na kilkunastu płótnach. Rezultat też tej wyprawy był istotnie imponujący i z całej wystawy r. 1905 najwspanialszy. Przedewszystkiem interesowały ze względu na zupełną nowość tematu, studya nad mgławicami. Artysta uchwycił na płótnie »kurzawe chmury«, kłębiące się wśród ostrych turni i barwione promieniami słońca. Z poza mgieł przeglądają białe śniegi żlebów, granitowe urwiska lub czerwone wirchy. Tatrzańskie jeziora tak poetycznie podpatrzone i odczute przez Wyczółkowskiego — odmiennie widzi Stefan Filipkiewicz, wprawdzie uczeń poprzedniego, lecz w studyach Tatr był on jego poprzednikiem i patrzał na nasze skały i góry nieco inaczej. W przejrzystości niesłychanej powietrza zbliżają się góry ku widzowi, znikają odległości (dzieje się to zwłaszcza jesienną porą w Tatrach) i z niesłychaną wyrazistością konturów rysują się ich kształty, jakby fantastyczne.

Tuż przed chorobą wykończone dzieła Wyspiańskiego i nadesłane na wystawę Sztuki, posiadły dziwny czar poezyi. Tak obydwa portrety kobiece, jako też »Obraz«, przedstawiający szczęście macierzyństwa. Wszystkie strojne w przepiękne róże, jakie tylko Wyspiański malować potrafi, dawały powiew jakiejś wiośnianej rozkoszy, tchnęły niewymownym urokiem. Oprócz tego dwa pejzaże: Widok z piętra Sukiennic na wieże Maryackie i Widok na Wisłę, budziły żal, że znakomity artysta zapadł tak ciężko na zdrowiu, nie ma sił do dalszej pracy twórczej.

Obrazy prof. Mehoffera, jak wybornie malowana rebusowa »Europa iubilans« — chrzczone bywają zupełnie chyba bezcelowo senzacyjną denominacyą. Studyum, bardzo zresztą pomysłowe, pokojówki u kollekcyonisty japońskich rzeczy p. Jasińskiego, nie zasługiwało chyba na tak zagadkową nazwę! Dzieła prof. Mehoffera nigdy banalne, zawsze wyróżniające się najzaszczytniej fakturą malarską, są pierwszorzędnego znaczenia dla sztuki polskiej. Portrety jego pendzla odzna-

czają się zdecydowaną charakterystyką, bardzo umiejętnem użyciem akcesoryów.

Wśród portretów zasługiwały na szczególniejszą uwagę wytworne dzieła, pełne finezyi Olgi Boznańskiej, następnie doskonale malowane lecz często dziwaczne w pozie, portrety pendzla Wojciecha Weissa, wykwintne kobiece podobizny i studya Józefa Czajkowskiego oraz sumiennie opracowany »konterfekt« byłego prezydenta miasta przez prof. T. Axentowicza. Pejzaż polski utrwalił swój byt i rozwija swoje nieprzebrane skarby na licznych płótnach pp. Kamockiego, Filipkiewicza, obydwóch Czajkowskich, Sichulskiego, tudzież profesorów Stanisławskiego i Fałata. Prawdziwie szkoda, że w »Sztuce« nie widzimy dzieł p. Eugeniusza Dąbrowy. Winę tego przypisujemy samemu stowarzyszeniu, które tworzy w sobie zwarte koło artystyczne, rządzące się w przybraniu nowych członków niezupełnie ściśle stosowaną normą. Dla obserwatorów rozwoju sztuki będzie to zjawisko ostatecznie zupełnie obojętne, jak długo sztuka polska przez to żadnej szkody nie poniesie. Korespondencya, jaka pojawiła się w tej sprawie w dziennikach, przykre wywarła wrażenie.

Mamy nadto do zanotowania dwa rodzaje malarstwa, które zjawiły się na salach pałacu Sztuk pięknych: Satyra pendzla Kazimierza Sichulskiego, w której w sposób może zbyt zjadliwy, niemniej bardzo dowcipny, chłoszcze za ich śmiesznostki znanych artystów, poetów i kollekcyonistów »pseudo-mecenasów« sztuki. Drugim rodzajem są wystrzyganki p. Karola Frycza, podniesione przez artystę do godności i wrażenia prawdziwego obrazu. Co do znaczenia i wartości technicznej prac p. Frycza dają się słyszeć sądy ujemne, mianowicie że obrazy z naklejanych kolorowych papierów nie dorównują trwałości obrazu olejnego na płótnie. Rzecz pewna, że na wilgoć będą niesłychanie wrażliwe, natomiast w suchem i przewiewnem miejscu mogą okazać się nierównie trwalsze od farby olejnej, która w stosunkowo niewielu latach traci pierwotny blask i potrzebuje świeżego werniksowania. Ostateczny sąd o ich trwałości wyda zrobione doświadczenie po wielu latach. Tymczasem powiedzmy, że wystrzygane obrazy p. Frycza wyróżniały się niezwykłą siłą kolorytu. Okazały jego supraport z pawiem pośrodku może być prawdziwą ozdobą najwykwintniejszego salonu. Widok procesyi na Małym Rynku świadczył o bystrym zmyśle spostrzegawczym artysty, a już wybornym okazał się artysta obserwatorem ptactwa domowego: indyki lub pantarki żyją w jego wy-

strzygankach, podpatrzone w swych najbardziej charakterystycznych ruchach, kolorycie i we właściwem otoczeniu.

O innych artystach malarzach i ich obrazach mówiliśmy w ostatniej Pogadance, dodać nam chyba trzeba jeszcze o pp. Leonie i Samuelu Hirszenbergach, że w licznych okazach swego pędzla zaznajomili publiczność krakowską z prądami nowoczesnymi francuskiego malarstwa ostatniej doby. W rzeźbiarzu p. Wacławie Szymanowskim, twórcy pięknego pomnika Grottgera, pozyskał Kraków tęgiego artystę, który przeniósł się tutaj na stałe z Paryża. Jedna przecież nasuwa się przy tem myśl smutna, że chociaż mamy tak wybitnych rzeźbiarzy jak Szczepkowski, Laszczka, Szymanowski i innych, warunki ich egzystencyi są u nas niezmiernie trudne. W społeczeństwie naszem, mamy dla rzeźby mało zrozumienia, zaś zapotrzebowanie wypełnia się w znacznej części tuzinkową robotą zagranicznych trzeciorzędnych rzeźbiarzy. Miejmyż nadzieję, że i nasze biedne społeczeństwo zerwie z dotychczasową praktyką i wedle sił poprze narodową sztukę.

W ostatnich dniach nadesłał do Krakowa Chełmoński nowy obraz wystawiony w salonach Koła literackiego na widok publiczny i wywołał nim w świecie artystycznym senzacyę. Oto moje wrażenia:

Najważniejszym współczynnikiem artystycznej organizacyi Chełmońskiego jest ogromne odczucie natury. Patrząc na jego »Kościuszkę przed bitwą pod Racławicami«, przedewszystkiem rozumie się i czuje wraz z malarzem nastrój, jaki rozlewa się w naturze o wczesnym poranku pamiętnej bitwy.

Na płótnie widać na pierwszym planie dwa szeregi kosynierów, które rzuciły się na kolana na darń zieloną, zwilżoną rosą poranną, darń świeżą, budzącą się z wiosną do życia. Klęczą nie jak żołnierze, ale jak prosty lud, zamodleni, trzymają to ręce złożone do modlitwy, to rozkrzyżowane, biją czołem pokłony, a ustami całują macierzystą ziemię. Na zielonej runi leżą porzucone kosy i krakuski. Za nimi dobosze biją w bęben, tuż łopocze w powietrzu chorągiew z wizerunkiem Przenajświętszej Panienki a obok chorążowie chłopscy niosą sztandary narodowe z orłem białym. Dalsze szeregi tych dzieci krakowskiej ziemi jeszcze kolan nie ugięły. Stoją dorodni parobcy strojni na bój, jak na gody do tańca, z rogatywkami suto ubranymi we wstążki. W głębi ciągną wojska regularne, a przepyszne sylwety wodza ze sztabem i artyleryą, topią się całkiem we mgle i rysują jednobarwnie. Na przodzie w pierwszym szeregu klęczy kapucyn, twarz

zakrył rękami i zatopił się w modlitwie za Ojczyznę. Mgła opada, zróżowiała od wschodzącego za górami słońca, tylko po szybko mknących jak kule ogniste chmurkach znać, że za chwilę ozłoci ono krajobraz. Czuje się, że za chwilę zabrzmi trąbka bojowa, zawarczą bębny i zagrzmią armaty a brać kosynierska rzuci się naprzód, by umrzeć za wiarę i Ojczyznę.

Bezsprzecznie obraz to niepospolity, nie przez charakterystykę typów, bo ich niema, nie przez dramat rozgrywający się w duszy tych ludzi a malujący się na twarzy, bo go trudno doszukać w majaczących i podobnych do siebie, niekiedy jak dwie krople wody postaciach — ale w tej fali ludzi poruszonych jedną ideą i prawie zjednoczonej z tą ziemią, o którą walczą. To zespolenie człowieka z naturą, doprowadzenie do jednego sentymentu i zlania w jeden wielki akord harmonijny uplastycznionej dziejowej chwili, nadaje utworowi piętno genialne.

Mimowoli przypominają się podobne sceny, pokrewni w układzie i kolorycie kosynierzy Piotra Stachiewicza. Chełmoński przewyższył go — czem? — powiedzieliśmy. Jednego ma przecież przeciwnika, którego nie zmógł, lecz obok niego stanął, to: Matejko. Genialny mistrz epopei narodowych w »Kościuszce po bitwie pod Racławicami«, dał nie zespolenie człowieka z naturą, nie jeden akt dziejowej chwili, lecz w licznych epizodach malował i grupował obok siebie tragizm duszy ludzkiej, tworzył typy szczere, prawdziwe krakowskiego chłopa, któremu choćbyś przywdział inny ubiór, nimby pozostał. Malował człowieka bez oglądania się na to, co go otacza. Tu leży różnica między Matejki pojęciem a artyzmem Chełmońskiego, u którego charakterystyka typu i gra uczuć na ludzkiej twarzy schodzi na plan drugi — podporządkowuje się całości.

Leonard Lepszy.

Druk ukończono 8 marca 1906 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Przepisy o konkurencyi kościelnej i komitetach parafialnych, obowiązujące w Królestwie Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem. Zebrał *ks. dr. Władysław Mysor*, profesor prawa kanonicznego w seminaryum duchownem w Tarnowie. Tarnów 1906. Nakładem własnym. Str. 38.

Współczesna Chorwacya. Studya literackie. I. Przez *Tad. Stan. Grabowskiego.* Lwów 1905. Str. XII i 250.

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Księga IV. Czasy polistopadowe. Epilog. 1831—1836. Monografia historyczna. Przez *Aleksandra Kraushara.* Kraków. G. Gebethner i Spółka. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1906. Str. 513.

O mszach manualnych. Przez *ks. d-ra Władysława Kochowskiego.* Odbitka z »Kroniki dyecezyi przemyskiej«. Przemyśl. Nakładem drukarni Udziałowej. 1905. Str. 35.

Pan Twardowski. Poemat w XVIII pieśniach. *Lucyan Rydel.* Kraków 1906. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Str. 130 i VI.

Betleem polskie. *Lucyan Rydel.* Kraków 1906. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Str. 91.

Österreichs Reichsrat. (Ein Wahlreformvorschlag). Von *Valerian Ritter von Pieńczykowski,* k. u. k. Kämmerer. Wien 1906. Verlag des Verfassers. Str. 32.

Reforma wyborcza w sejmie. Kraków 1906. Str. 145.

Kto założył parafie w dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej. Część druga. Napisał *ks. Stanisław Kujot.* Toruń 1905. Nakładem Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Str. 369.

Egzorty świąteczne do młodzieży szkolnej. Napisał *ks. Feliks Leliwa Józefowicz.* Wydanie drugie. Lwów 1906. Str. 248.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Rocznik XI, za rok 1904. Kraków 1905. Nakładem Izby Handlowej i Przemysłowej. Str. 332.

Marcin Bielski. Studyum literackie. Przez *Ign. Chrzanowskiego.* Warszawa 1906. Str. 280.

O Morskie Oko. Wywód praw polskich przed sądem polubownym w Gradcu. *Oswald Balzer.* Lwów 1906. Nakładem autora. Str. 254.

Losy szkolnictwa w Królestwie Polskiem. *Władysław Korotyński.* Warszawa 1906. Nakładem księgarni E. Wendego i Sp. Str. 115.

Rewolucya rosyjska i pokój europejski. Przez *Ignotusa Prawdziana Prawdzickiego.* Kraków 1906. Nakładem W. L. Anczyca i Spółki. Str. 27.

Z myśli społecznej. I. Główne zasady socyologii katolickiej. Skreślił *ks. Naudet,* profesor nauk społecznych. Warszawa 1906. Nakładem księgarni M. Szczepkowskiego. Str. 88.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Szkolnictwo ludowe w Galicyi wobec analfabetyzmu. *Dr. K. W. Kumaniecki.* Odbitka z »Czasopisma prawniczego«, r. VI. Kraków 1906. Str. 36.

Precz z trucizną! Tylko zdrowy pokarm. Przemowa o »Znaczeniu prasy«. *O. Wiktor Kolb T. J.* Z niemieckiego. Cieszyn 1906. Nakładem »Dziedzictwa błog. J. Sarkandra dla ludu polskiego na Śląsku«. Str. 31.

Sprawozdanie czytelni akademickiej we Lwowie. Rok administracyjny 1904/5. Nakładem Czytelni akademickiej. Str. 115.

W sprawie naszej taktyki Odpowiedź C. K. R. P. P. S. na »List otwarty« towarzysza Ignacego Daszyńskiego. Warszawa 1906. Str. 24.

Nasza taktyka i hasła programowe w chwili obecnej. Odpowiedź na »List otwarty« tow. Ignacego Daszyńskiego do C. K. R. P. P. S. M. Kowieński. Warszawa 1906. Str. 24.

Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim. Ułożył *Jan Karłowicz.* Zeszyt III. Kraków 1905. Nakładem rodziny autora. Od str. 335—411.

Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia. Z illustracyami. Serya I. Kraków 1905. Spółka Wydawnicza Polska. Str. 492.

Nowele. *Antoni Czechow.* Kraków 1906. Spółka Wydawnicza Polska. Str. 342.

Ko-Ko-Ro. *Lafcadio Hearn.* Kraków 1905. Spółka Wydawnicza Polska. Str. 230.

Archiwa w Sanoku, Jaśliskach, Króliku wołoskim, Hłomczy, Ładzinie i Klimkówce. Przez *Antoniego Borzemskiego.* Sanok 1906. Nakładem miasta Sanoka. Str. 179 i IX.

Wizerunek Mikołaja Reja z Nagłowic. Przez *Adolfa Nowaczyńskiego.* Kraków 1905. Nakładem Jana Fiszera w Warszawie. Str. 97.

Wczasy literackie. *Adolf Nowaczyński.* Warszawa 1906. Nakładem Jana Fiszera. Str. 327,

Sot bavard? Courte réponse. Par *A. Fleury.* 1905. Str. 16.

List pasterski Józefa Sebastyana Pelczara, biskupa przemyskiego, na Wielki Post r. 1906. Przemyśl 1906. Str. 21.

Kwestya polska w Rosyi w związku z innemi kwestyami kresowemi i innoplemiennemi. *J. Baudouin de Courtenay.* Kraków 1905. Str. 18.

Fra Angelico et Benozzo Gozzoli. Par *Gaston Sortais.* Société Saint-Augustin. Desclée, De Brouwer et Cie. Lille 41, rue du Met. Paris 30, rue Saint-Sulpice. Str. 274.

Jasełka. Napisała *Marya Konopnicka.* Muzyka Piotra Maszyńskiego. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa 1906. Część I: Słowa. — Część II: Muzyka. Str. 60.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Z AUDYENCYI U PIUSA X W SPRAWIE JEGO LISTU DO POLSKI. Przez *ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza* . .	1*—18*
PROGRAM PAPIESKI DLA POLSKI ZAKORDONOWEJ. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	19*—32*
Z LISTOPADOWYCH ROZMYŚLAŃ I DOŚWIADCZEŃ. Przez *Ignotusa*	1
MIKOŁAJ NIEPLUJEW I JEGO »BRACTWA PRACY«. Przez *ks. Jana Urbana T. J.*	21
NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. Przez *d-ra Feliksa Konecznego*	38
POSTULATY PSYCHOLOGII DOŚWIADCZALNEJ. (Dok.) Przez *ks. Stanisława Kobyłeckiego T. J.*	53 357
MIĘDZY SŁOWIANAMI. Z PODRÓŻY PO BUŁGARYI. (C. d.) Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.*	76

ANKIETA »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO«:

	Str.
Od Redakcyi w sprawie ankiety	1*
Kwestyonaryusz ankiety	2*
Odpowiedzi:	
J. E. Ks. Arcybiskup Floryan Stablewski	3*
N. Ks. Biskup Edward Likowski	3*
N. Ks. Biskup A. Andrzejewicz	5*
J. E. Ks. Arcybiskup J. Teodorowicz.	5*
N. Ks. Biskup Józef Seb. Pelczar	23*
J. E. Ks. Biskup T. Kuliński	24*
J. E. Ks. Biskup St. Zdzitowiecki	25*
N. Ks. Biskup K. Ruszkiewicz	28*

	Str.		Str
Prof. dr. St. Krzyżanowski . .	145	Dr. Jerzy Michalski	262
Dr. Michał Żmigrodzki	147	Jan Trzecieski	265
Dr. Leopold Caro	155	Ks. St. Bratkowski.	266
Leonard Lepszy	163	Ks. Kujot	267
Dr. Henryk Jordan.	170	Krzysztof hr. Mieroszewski . .	268
Kazimierz Szeptycki	171	Stanisław Tomkowicz	272
Józef Jakób Michałowski . . .	172	W. Kraiński	276
Aleksander Mańkowski	176	Ks. L. Zbyszewski	277
Ks. F. Fulman	185	Dr. Józef Tretiak	280
Dr. Rudolf Sikorski	186	Dr. Karol Potkański	283
Dr. Fr. Chłapowski	188	Dr. Karol Klecki.	285
Franciszek Morawski	193	Dr. M. Zdziechowski	286
Dr. Kazimierz Krotoski. . . .	233	Dr. Józef Milewski	292
Dr. Antoni Mazanowski . . .	251	Dr. Włodzimierz Czerkawski .	298
Dr. Adam Krzyżanowski . . .	256	Walery Gostomski	309
Dr. Bronisław Dembiński . . .	259		

ANKIETA »PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO« (C. d.) zeszyt za marzec:

J. E. Ks. Arcybiskup Józef Bilczewski			1*
J. E. Ks. Biskup Stefan Zwierowicz			3*
Prof. dr. Kazimierz Morawski .	5*	Dr. Maurycy Straszewski . . .	30*
Prof. dr. Ignacy Łyskowski .	7*	K. hr. Siemieński	41*
Kazimierz hr. Rostworowski .	17*	Dr. Bolesław Wicherkiewicz .	48*
Dr. Maksymilian Thullie . . .	24*	Ludomir Benedyktowicz . . .	54*

ZBUDŹMY JADWIGĘ! Przez *ks. d-ra Wł. Bandurskiego* . . . 323

Z NAD MORZA. Przez *Krystynę Saryusz-Zaleską* 334

W ARABII SKALISTEJ. Wrażenia z podróży r. 1905. Przez *ks. Wł. Szczepańskiego T. J.* 342

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z NIWY POETYCKIEJ. I. *(Antoni Mazanowski)* 92

POLITYKA ROSYI WZGLĘDEM SZKOLNICTWA ZABORU ROSYJSKIEGO. Wł. Studnicki. *(Marek Michnowiecki)*. 98

ZARYS HISTORYI KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO dla szkół średnich i seminaryów nauczycielskich. Opracował ks. Walenty Gadowski, katecheta w Tarnowie. *(Ks. A. Starker T. J.)* 101

DOKĄD DĄŻYMY. Napisał ks. dr. Adam Kopyciński. *(Ks. A. Pechnik)* . 103

CZASOPISMA NAUKOWO-LITERACKIE W R. 1905: Chimera.— Ateneum.— Poezya. — Biblioteka naukowa. — Krytyka. — Ognisko. — Świat słowiański. — Hasło. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec.—

Str.

Tygodnik polski. — Ziarno. — Ogniwo. — Prawda. — Przegląd powszechny. — Głos. — Bluszcz. — Tygodnik mód i powieści. — Świat kobiecy. *(Dr. S. Z.)* 377

Z POLSKICH CZASOPISM KOŚCIELNYCH ZA ROK 1905: Przegląd katolicki. — Kwartalnik teologiczny. — Homiletyka. — Wiadomości pasterskie. — Gazeta kościelna. — Kronika dyecezyi przemyskiej. — Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski. — Przegląd kościelny. *(Ks. J. Urban T. J.)* 394

Z piśmiennictw obcych.

ANGÉLIQUE ARNAULD. R. M. Monlaur. *(M. Paciorkiewicz)* 105

Z POWIEŚCI ANGIELSKICH: »The perpetual Curate« by Mrs. Oliphant. »Salem Chapel« by Mrs. Oliphant. »Rose of the World« by Agnes and Egerton Castle. *(T. Wodzicka)* 109

WORPSWEDE. Hans Bethge. *(M. Harsdorf)* 116

Zapiski bibliograficzne.

KARTY Z DZIEJÓW WSI SMARŻOWY I SIEDLISK powiatu pilzneńskiego oraz wspomnienia ich dawnych dziedziców (1686—1846). Dr. Adam Bogusz. *(H. U.)* 119

ANHELLI. Juliusz Słowacki. Opracował do użytku szkolnego prof. dr. Wiktor Hahn. *(H. U.)* 120

Přisłowa a přisłowne hrónčka a wusłowa Hornjołužiskich Serbow. Zběrał a zhromadził Jan Radyserb Wjela. *(H. U.)* 120

»Очерки по языковѣдению и русскому языку«. Пособіе при изученіи науки о языкѣ. В. А. Богородицкій, орд. профессоръ Императорскаго Казанскаго Университета. Казань. *(w. i.)* 121

POEZYE. M. Szukiewicz. *(M. B. T. J.)* 122

POWIAT SANOCKI W CYFRACH. Studyum statystyczne. Antoni Borzemski. *(W.)* 123

O ZJEDNOCZENIU NARODOWEM. Przez ks. Arcybiskupa Teodorowicza. Mowa wypowiedziana w Dzikowie podczas uroczystości koronacyjnej cudownego obrazu dnia 8 września. *(L. Ł.)* 123

ROLNICTWO I JEGO FUNKCYE W GOSPODARSTWIE SPOŁECZNEM. Dr. Zygmunt Gargas. *(Z.)* 124

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Rozdział Kościoła i państwa. — Akcya o szkołę wyznaniową w Anglii. — Taktyka protestantyzmu w Czechach. — Biskupi a koalicya węgierska. — Ze stosunków katolickich w Norwegii. — »Ankieta w sprawie religii«. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 125

Z POLSKICH WYNALAZKÓW. Przez *M. N.* 136

Str.

Z CHWILI OBECNEJ. Odznaczenie Sienkiewicza. — Z Królestwa. — Na Śląsku austryackim. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 141

OD REDAKCYI. 144

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Kilka uwag z powodu walki kościelnej we Francyi. — Przyczynek do dziejów dzisiejszego protestantyzmu. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 405

ZE ŚWIATA ODKRYĆ I WYNALAZKÓW. Teorya elektronów a grawitacya. — Polonium i radyotelur prof. Marckwalda. — Z biologii molów.—Sztuczne barwienie motyli. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 414

POGADANKA ARTYSTYCZNA. Odbudowa Wawelu. — Pomniki na Rynku krakowskim. — Nowe budowle krakowskie: gmach Izby handlowej, Tow. Muzycznego i Akademii handlowej. — Wystawa »Sztuki«. — Wystrzyganki w służbie sztuki. — Los rzeźbiarzy polskich. — Chełmońskiego: Kościuszko przed bitwą pod Racławicami. Przez *Leonarda Lepszego.* 424

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.